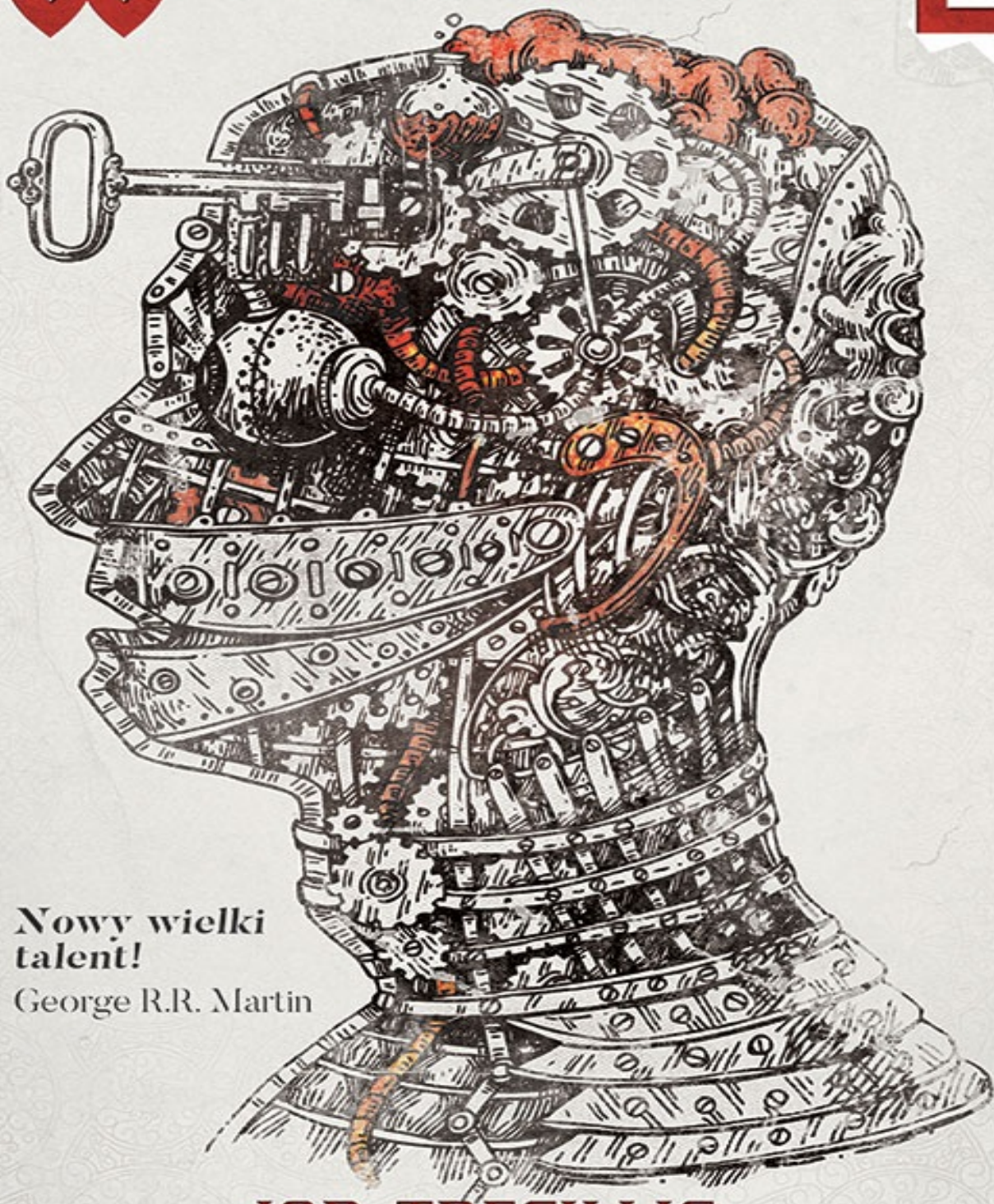


WOJNY ALCHEMICZNE WYZWOLENIE

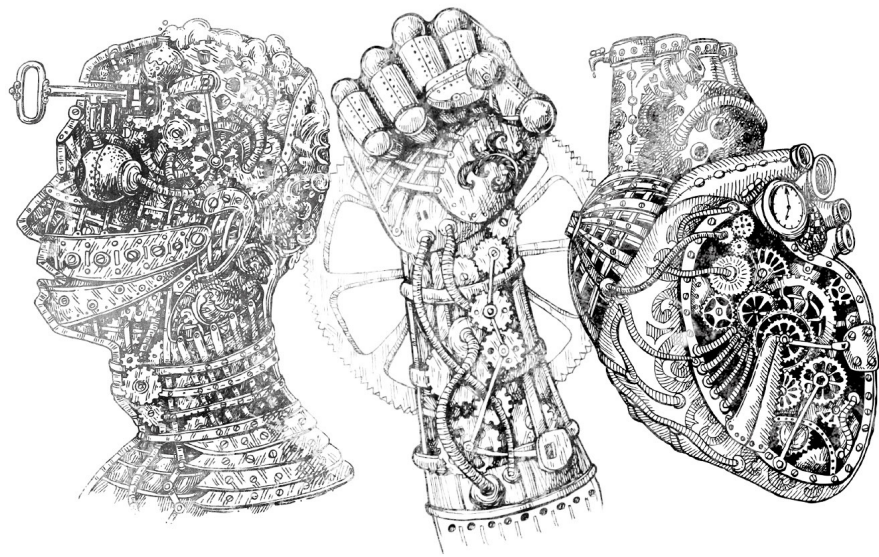


Nowy wielki
talent!

George R.R. Martin

IAN TREGILLIS

SON
imaginatio



WOJNY ALCHEMICZNE

WYZWOLENIĘ

TOM 3

IAN TREGILLIS

TLUMACZENIE
BARTOSZ CZARTORYSKI

KRAKÓW 2017

*Pamięci Jeanie Davis Pullen.
Tęsknimy za Tobą. Szkoda, że nie możesz nas zobaczyć.*

CZĘŚĆ I

SŁUŻĄCY I PANOWIE

Ktoś musi być sługą, aby ktoś mógł być panem.

Z listu Kiliaena van Rensselaera, założyciela i prezesa
Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej,
10 maja 1638 roku

*Tego dnia przysłano do mojej żony ładną i uczynną gosposię, co było dziełem
Mary Bowyer, którą niegdyś zatrudniła ma małżonka.*

Z dziennika Samuela Pepysa, 22 listopada 1661 roku

*Żona przerwała mi lekturę swoimi idiosynkrazjami, które nie bez powodu
wymierzone były przeciwko gosposi [sic] Nell, bowiem okazała się leniwą
dziwką.*

Z dziennika Samuela Pepysa, 12 stycznia 1662 roku

ROZDZIAŁ 1

Przeklęte statki z Nowego Świata przyplłynęły zaledwie po tygodniu od jej przybycia do ukochanych Prowincji Centralnych. Ale tego poranka, poranka, kiedy skończył się świat, Anastazja Bell nie zaprzętała sobie głowy myślami o Nowych Niderlandach, Nowej Francji, wolnej woli czy nawet Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej. Nie mogła się doczekać, aż zdejmą jej gips i nareszcie będzie się mogła przespacerować – a raczej pokuśtykać – z pomocą pielęgniarki przez ogrody zimowe. Nie były one co prawda jej ulubionym skrawkiem haskiej zieleni, ale przynajmniej nie śmierdziały szpitalnymi środkami antyseptycznymi i zawartością basenów. No i nareszcie spotka się z Rebeką, istotą piękniejszą niż jakikolwiek kwiat.

Przebudziła się jeszcze przed świtem, pobudzona wyczekiwaniem. Pogańskie godziny spędziła na obserwacji księżyca, który zniknął za horyzontem niczym zestrzelony powietrzny okręt. Schował się za strzelistą wieżyczką wiekowego kościoła Świętego Jakuba, podczas gdy słońce pomazało różem białą jak kość kopułę starego ratusza. Obie budowle pamiętały jeszcze czasy sprzed Het Wonderjaar, Cudownego Roku Christiaana Huygensa. Zbudowano je na samym początku siedemnastego wieku, u progu holenderskiej Złotej Ery, która trwała nieprzerwanie przez kolejne stulecia, aż po dziś dzień. Kilometr dalej na północny zachód z dokładnością metronomu mrugała do Anastazji latarnia morska Scheveningen.

Miasto, jak się już zdążyła przekonać, było nocą spokojne, ale nigdy całkowicie nie cichło i nie zamierało. Jak każda metropolia Prowincji Centralnych, również i Haga rozbrzmiewała po zmroku echem tykającego szczebiotu metalowych ciał, kiedy klakierzy ładowali i rozładowywali wozy, zamiatali ulice, dostarczali pakunki, przygotowywali swoim panom śniadania i łatali im kalesony, donosili pijanych do domu, nadzorowali przecinającą całe miasto sieć korytarzy przeciwpowodziowych i pomp, ciągnęli fracht kanałami holowniczymi i robili wszystko to, co nakazywały im *geas*. Haga nie zasypiała, bo nie zasypiali mechaniczni. Podczas spędzanych samotnie porannych godzin Anastazja uzmysłowiła sobie, że wszystko, co w tym mieście ruchome, oblekają stal i alchemiczny mosiądz. Jakby ludzie zniknęli i ulice wzięły we władanie ich wynalazki.

Metalowe stopy zadźwięczały na wyłożonej parkietem podłodze. Maszyna poruszała się po ciemnym pokoju z kocią gracją. Prawdopodobnie podczas

swojego obchodu ujrzała w źrenicach Anastazji odbicie księżycowego światła. Tykanie mechanizmu klakiera rozchodziło się echem w ciemności i przypominało, jeśli porównać je z cichą krzątaniną, koncert orkiestry dętej. Osobliwy tembr drgań sugerował, że alchemiczne stopy były przestarzałe, a model ten wykuto pewnie jeszcze w połowie osiemnastego wieku. Anastazja pamiętała, że używano wtedy rzadkiego, ciemnego brązu korynckiego, lecz nie mogła odwrócić głowy i sprawdzić, czy światło pada na zbrązowiałą patynę; zbyt ciężka była jej nuda.

Klakier zapytał piskliwym, świszczącym szeptem:

– Pokornie proszę o wybaczenie, że przeszkadzam, lecz spostrzegłem, że pani nie śpi. Czyżby coś pani doskwierało? Zawołać medyka?

Przez zabandażowaną głowę Anastazji przeszedł piekący ból. Zacisnęła palce. Zaszędziały ją, jakby się delikatnie sparzyła. Gdyby mogła poruszyć ręką, niechybnie włożyłaby je sobie do ust.

– Nie. Daj mi spokój.

Maszyna odpowiedziała synkopowym chrzęstem mechanizmu zegarowego, umieszczając świeżo wydane polecenie pomiędzy innymi *geas* kontrolującymi jej zachowania. Podstawową funkcją klakiera była opieka nad pacjentami szpitala, co dawało mu podstawę nawet do zignorowania niektórych komend wydawanych przez bardziej upartych pensjonariuszy, jeśli zależało od tego ich zdrowie. Lecz Anastazja nie była zwyczajną pacjentką.

– Oczywiście, proszę pani – powiedział klakier i odszedł, nie kłopotując się nawet zadaniem zwyczajowego pytania o poprawienie poduszek pod głowę.

Kiedy Anastazja nie patrzyła na miasto lub księżyc, sprawdzała upływający czas, wyczekując przyjścia doktora Riordana rozpoczynającego poranny obchód, albo zamartwiała się, że brak snu przytępi jej umysł i zawiesi pod powiekami ciemne wory. Niepokój ten z kolei tym bardziej nie dawał jej zasnąć. Nie mogła się doczekać spotkania z Rebeką. Jakże złośliwy byłby los, gdyby przyszła, a ona wyglądałaby jak brzydala. Chciała wykluczyć się ze swojego gipsowego kokonu piękna i bystra.

Zaburczało jej w brzuchu. Wiedziała, że nie dostanie posiłku aż do zdjęcia gipsu, póki nie okaże się, czy nie będzie trzeba znowu naszpikować jej lekami przeciwbólowymi. Nie skrzywiła się jednak ani nie mruknęła.

Może po drodze uda im się zejść do piekarni. Anastazja nie jadła porządnego banketstaaf, odkąd obowiązki wywiały ją aż do Nowego Świata.

Nareszcie, kiedy wydało jej się, że minęło już tyle czasu, że księżyc raz jeszcze zdążył wejść, a potem znowu się skryć, Rebeka weszła do sali, pchając wózek. Biel jej uniformu lśniła w porannym słońcu, każdą fałdkę i szew starannie wyprasowała, a złote pukle pieczołowicie upchnęła pod

wykrochmalony czepek. Zatrzymała się tuż za progiem. Twarz kobiety wyrażała obojętność. Jej oczy napotkały spojrzenie Anastazji i na lewe oko pielęgniarki opadł pojedynczy kosmyk. Dyndał tak tuż przy kąciku jak serpentyna.

Uwięzione w gipsowym pancerzu nogi Anastazji spłynęły potem jak wosk z roztopionej świecy.

– Przeklęta kokietka – rzuciła bezgłośnie.

– Dzień dobry, Anastazjo. – Przyszedł i doktor Riordan.

Na prośbę Anastazji zwracał się do niej nieformalnie, choć z początku pomijał formę grzecznościową z wyraźnym skrepowaniem, jakby się spodziewał, że wyskoczy na niego zza rogu stado Nakręcaczy.

– Dzień dobry, doktorze.

Rebeka szybko poprawiła niesforny kosmyk, podczas gdy lekarz ściągnął z haczyka przy łóżku historię choroby Anastazji i po krótkich oględzinach pokręcił głową.

– Nie przestaje mnie zadziwiać, jak udało ci się przeżyć, a co dopiero wyzdrowieć.

Kontuzje wymagające użycia alchemicznych bandaży zdarzały się w Prowincjach Centralnych stosunkowo rzadko. Anastazja była prawdopodobnie pierwszą pacjentką tego szpitala wymagającą leczenia tą przełomową techniką medyczną.

– Siostró, proszę nieco unieść ten gips.

Rebeka, stojąca za plecami lekarza, sięgnęła po wystające ze ściany haki. Anastazja aż zazgrzytała zębami. Do haków przymocowano linki tworzące system dźwigni połączony z łupkami gipsu założonego na jej kończyny (z tego, czego się dowiedziała od medyka okrętowego, gdy znaleźli ją myśliwi, nogi miała tak potrzaskane, że trzeszczały jak potłuczona porcelana). Ale to nie one bolały ją podczas operacji, a nadwyrężone żebra. Znaki umieszczone na gipsie i bandażach przyśpieszały proces leczenia, lecz na ból nie mogły nic zaradzić. Alchemia okazywała się przydatna, owszem, lecz nie miała sumienia. Każdy zegarmistrz był tego świadom.

Jej szybki powrót do zdrowia zaskoczyłby Riordana pewnie jeszcze bardziej, gdyby lekarz znał prawdę o tym, co przeszła, lecz jego pacjentka nie miała zamiaru puścić pary z ust. W szpitalu nie mogli się dowiedzieć, że została stratowana przez Nakręcacza. Dość, że musiała uśmiercić myśliwych, którzy znaleźli ją na zgliszczach zdemolowanej siedziby Gildii, zmarłaby bowiem niechybnie z wyziębienia, nie mogąc polegać na ich współczuciu i bystrości umysłu. Rejon doliny Rzeki Północnej był po stokroć zimniejszy niż umiarkowane Prowincje Centralne. Myśliwi zobaczyli jednak nie tylko dotkliwe rany Anastazji i ledwie funkcjonującego Nakręcacza próbującego utrzymać ją

przy życiu, ale i cały obraz zniszczeń, co niechybnie pozwoliłoby im poskładać całą tę historię do kupy. Pechowe z nich dranie. Medyka okrętowego również dopadł nieubłagany los i na skutek nieszczęśliwego wypadku wypadł za burzę, po czym zniknął pod powierzchnią lodowatego Północnego Atlantyku niedługo po tym, jak wymusnęła mu się niewinna uwaga, że siniec na piersi Anastazji przypomina odbite kopyto. Mord ten przyjęła ze szczególną goryczą. Morska przeprawa była dla niej istnym koszmarem, każdy ruch i przechył statku zdawały się na nowo gruchotać jej kości, a na domiar złego musiała się wysilić, żeby zawiesić na moment *metageas* mechanicznego tragarza niepozwalające mu narazić na bezpieczeństwo żadnego człowieka. Sprytna francuska agentka, zanim pozostawiła ją na pewną śmierć na mrozie, skradła naszyjnik, który udowodniał afiliację Anastazji z Nadleśnictwem.

Posłała uśmiech stojącej za plecami lekarza pielęgniarki, a ta natychmiast go odwzajemniła, rozpromieniając się na całej twarzy, kąci ust Rebeki podniosły się do samych oczu, formując niewielkie dołeczki. Praca Anastazji wymagała od niej umiejętności rozpoznawania ludzkich intencji, odróżniania fałszu od szczerości. Było to męczące i niekiedy nieprzyjemne, czasem hałaśliwe, czasem śmierzące, często też zostawiało po sobie niemały rozgardiasz. Cóż to dla niej była za radość, że prawdę przekazywaną jej przez serce kobieta ta miała wypisaną na licu.

Lekarz sprawdził, a nawet powąchał, gipsowe opatrunki, nie zwracając jednak uwagi na bandaż oplatający głowę Anastazji. To już działka Gildii, nie jego, zresztą nie omieszkało mu tego podkreślić. Tamtego ranka, kiedy gwardia honorowa mechanicznych służących przybiegła do kliniki z Anastazją wyciągniętą na noszach, dyżur miała doktor Huysman, lekarka kompetentna, acz zbyt gorliwa. Próbowwała wyciągnąć kawałek pokruszonego alchemicznego szkła z poranionej dłoni pacjentki, czym naraziła się Nadleśnictwu. Następnego dnia Huysman przeszła na przedwczesną emeryturę. A przynajmniej tak mówiono.

Szkło alchemiczne mogło całkowicie odmienić człowieka, jeśli odpowiednio umiejętnie się je umieściło. Anastazja osobiście nadzorowała taką procedurę z galerii sali operacyjnej, ale był to kulminacyjny punkt ekstensywnego i delikatnego procesu. Kawałek rozbitego szkła utkwiał w jej dłoni podczas chaotycznej szamotaniny.

Zapewne minęło ledwie parę minut, lecz Anastazji wydawało się, że zegar zdążył odmierzyć pół stulecia, zanim Riordan dokonał oceny stanu jej zdrowia i skuteczności symboli. Zdawała sobie sprawę, że traktuje ją ze specjalną atencją ze względu na zajmowane przez nią stanowisko.

„Dość już. Jestem umówiona z kimś, kto chce ze mną pobyć, bo jestem, jaka jestem, a nie z powodu tego, kim jestem”, pomyślała Anastazja.

Poczuła, jakby minęła kolejna dekada, zanim Riordan wreszcie się odezwał z tym swoim osobliwym holenderskim akcentem, naznaczonym irlandzkim:

– Cóż, chyba gips zrobił dla ciebie już wszystko, co mógł. Może go zdejmujemy, co?

– Wyświadczyłbyś sobie niemałą przysługę. Jeszcze jeden dzień z tym wszystkim na ciele i kazałabym maszynie połamać ci nogi.

– Na szczęście nie ma takiej potrzeby – odparł, blednąc.

Rebeka przekonana, że Anastazja żartuje, pozwoliła sobie na zduszony chichot, przez co spod czepka znowu wysunął się niesforny kosmyk. Pacjentka była ciekawa, jak by smakował, miała ochotę zacząć go ssać. Riordan skinął na pielęgniarkę – nie omieszkując zrugać ją spojrzeniem za utratę panowania nad sobą – i podniósł leżący na tacce długopis.

– Maszyno, podejdź – powiedział.

Jak Anastazja podejrzewała, pancierz klakiera mienił się przypominającym siniec purpurowym blaskiem korynckiego brązu. Na skroni Riordana wykwitła kropla potu. Anastazja potrafiła odczytać z twarzy lekarza dręczące go pytanie równie łatwo, jakby miała przed nosem gazetę: „Co mnie czeka, jeśli coś pójdzie nie tak? Czy również odejdę na emeryturę tak niespodziewanie, jak doktor Huysman?”. Kiedy Rebeka umieściła przypominające skalpel narzędzie w otworze w dłoni służącego, doktor wydał mu polecenie:

– Rozetnij gips.

Ostrze poruszało się z cichym świstem. Medyczny klakier pracował z nadludzką prędkością i charakterystyczną dla jego gatunku precyzją, usuwając gips z lewej nogi Anastazji, jeszcze zanim pierwsza chmura białego pyłu opadła na wykafelkowaną podłogę.

Riordan i Rebeka chwycili rozcięte połówki szczypcami, rozłączyli je i ostrożnie położyli uwolnioną nogę na łóżku. Po raz pierwszy od tygodni Anastazja zobaczyła kawałek swojego ciała. Nigdy nie miała tak zarośniętych goleni. Jej wypielęgnowane i maźnięte jasnym lakierem paznokcie u stóp – zasługa Rebeki – były niczym znak zapytania podkreślający zaniedbaną nogę. I jeszcze ten smród. Uderzył ją odór niemytej skóry. Z oczu popłynęły jej łzy. Ależ upokorzenie. Czy Rebeka naprawdę musiała być tego świadkiem? Czy musiała zaciągać się zapachem jej wstydu? Rzuciła pielęgniarkę i lekarzowi spojrzenie. Oboje stali z kamiennymi twarzami. Z pewnością nie takie rzeczy już czuli i przywykli do smrodu, ale ta świadomość nie łagodziła upokorzenia.

Anastazja zamknęła oczy. Maszyna ponownie się nad nią nachyliła, świsnęło ostrze, rozległy się chrzęst i chrobot, a potem pacjentka poczuła dotyk świeżego, chłodnego powietrza na obnażonej nodze i nagich ramionach. Z każdą kolejną kończyną fetor stawał się coraz gorszy. Żadne amory, żadne flirty nie wymażą

z pamięci pielęgniarki tego obrazu, który jak nic zdołał się już utrwalić.

Doktor Riordan odwrócił się, by dać Anastazji trochę prywatności, podczas gdy Rebeka i klakier odwijali bandaże z jej torsu.

– Jak się czujesz? – zapytał medyk.

– Muszę się wykąpać – odezwała się Anastazja głosem, który nie mógł należeć do niej, brzmiał tak słabowicie, jakby znowu była dziewczynką przywiązującą łódki do palików powbijanych wzdłuż kanałów Giethoornu.

– Tylko nie siedź w łazience zbyt długo – szepnęła pielęgniarka. – Po południu chciałam się wybrać na spacer po ogrodach.

Znowu jej uśmiech wydał się Anastazji szczery.

Klakier podał jej parę kul.

– Jesteś jeszcze słabsza, niż myślisz – powiedział Riordan. – Upewnijmy się lepiej, że znowu nie połamiesz sobie ręk i nóg, dobrze?

*

Rehabilitacja, jak uznała Anastazja, była łagodną formą tortur, a znała się na nich jak mało kto. Jednak po bólu przyszedł czas na gorącą kąpiel. Przedtem kolorowym ołówkiem naszkicowała co nieco na kartce i posłała służącego na zakupy. Wypisała też swoje aktualne wymiary (najlepsze miejscowe sklepy co prawda posiadały wszystkie konieczne informacje, ale tygodnie wymuszonego wypoczynku nie odbiły się dobrze na jej ciele) i opisała ze szczegółami, jakiego dokładnie ubioru sobie życzy. Następnie ogoliła się i wymyśla tak dokładnie, że skóra zaczęła ją piec, a szarą powłokę zastąpił różowawy blask. Potem, kiedy inny klakier wymienił jej wodę, dwukrotnie umyła głowę szamponem. Gdy starła parę z lustra i zobaczyła swoje odbicie, nie poznała samej siebie. Jakimś cudem jej twarz zrobiła się zarówno bardziej zaokrąglona, jak i wychudzona niż przed podróżą do Nowego Świata, gdzie miała przesłuchać francuską agentkę. Tyle dobrego, że się uczesała, umyła zęby i pokropiła olejkiem lawendowym, a mechaniczny przyniósł pierwsze od miesiąca nowe ubranie.

Wyszła z zaparowanej łazienki jak nowo narodzona i pozwoliła maszynom się odziać. Pozbyła się już wstydu i niedawnych zmartwień. Pasamonik, kapelusznik, szewc i krawiec (a raczej ich klakierzy, którzy uszyli wszystko, nim minęła godzina) wykonali ubrania zgodnie z jej instrukcjami. Ciuchy może i nie leżały idealnie, bo nie miała możliwości zjawić się na przymiarce, ale nie mogła narzekać. Buty trochę ją uciskały i przydałoby się je rozbić, lecz nie dzisiaj. Poświęciła całe dni na rozmyślania, co na siebie włoży i jak będzie to nosić. Co do fałdki.

Blade płótno swojego ciała pomalowała szkarłatną jedwabną bielizną;

czarnymi rajstopami; ciemnoszarą wełnianą bluzką z bordową lamówką; sięgającą nieco za kolano welwetową spódnicą i butami na niskim obcasie z mięciutkiej szarej skóry, które niemalże dotykały rąbka spódnicy; rękawiczkami do łokci i paskiem z identycznego materiału; czarną tasiemką zawiązaną na grdyce, poprzetykaną srebrną nicią i ozdobioną wypolerowanym granatem oraz kolczykami.

Srebrne sprzączki na cholewach butów lśniły równie mocno, co ta na pasie i jak Anastazja miała nadzieję, szelmowski blask jej oczu. Spięta włosy, a resztą szpilek starała się okiełznać dzieło kapelusznika. Szerokie rondo przystroiła bordową wstążką i tak przekreśliła kapelusz, żeby leżał jej na głowie naturalnie, niczym przekrzywiony beztroskim, flirciarskim gestem. Chcąc odpędzić od siebie wilgoć późnej zimy, zarzuciła kaszmirową pelerynkę podbitą sobolowym futrem, której kaptur majtał się niefrasobliwie pomiędzy łopatkami przy każdym kroku.

Niegdyś wyszczupliłaby się jeszcze gorsetem, lecz obecnie sam pasek zadawał jej wystarczający ból. Nawet lekkie szarpnięcie sprawiało, że żebra Anastazji skrzypiały jak pordezewiałe zawiasy.

Rebeka czekała na nią w południowym westybulu. Na swój pielęgniarski mundurek narzuciła jedynie skromny tweedowy płaszczyk. Spojrzała na Anastazję szeroko otwartymi oczyma.

– Boże – powiedziała. – Ledwie cię poznałam. Zrzuciłaś z siebie ten gipsowy kokon i stałaś się motylem. Ależ masz skrzydełka!

– Co? Te szmaty? – Anastazja wyszczerzyła się tak szeroko, że aż rozbolały ją policzki. – Nie mogłam się powstrzymać, musiałam się odrobinę rozpieścić.

– Nie miałam pojęcia, że przechadzka po ogrodach będzie... – Pielęgniarka spojrzała na swoje odzienie. – Obawiam się, że nie jestem odpowiednio ubrana.

– Nonsens. Wyglądasz bosko.

Rebeka splotła się. Zerknęła szybko przez ramię, chcąc się upewnić, że nie patrzy na nią żaden z lekarzy ani siostra przełożona, sięgnęła pod krawędź czepka i uwolniła pojedynczy kosmyk, który zakołysał się przy jej skroni. Serce Anastazji przyspieszyło, by dostosować się do narzuconego przez niego rytmu.

– Ruszamy?

Za parą kroczył jak cień służący, gotowy podeprzeć Anastazję, gdyby ta się potknęła, ale na jej polecenie trzymał się nieco dalej. Miała bowiem dzięki swojemu stanowi zdrowia wymówkę, żeby przyjąć pomocne ramię pielęgniarki, nachylić się bliżej i delektować jej zapachem.

Południowy westybul wychodził na niewielkie szpitalne herbarium przylegające do Paviljoensgracht, starego kanału pawilonowego, który ciągnął się bezpośrednio przy ogrodach zimowych. Silny podmuch przegonił chmury po

niebie, nienaturalnie zresztą jak na tę porę roku jasnym. Na ogrody padły łąty cienia. Pod podeszwami chrzęścił żwir. Owionął je zapach pobliskiego kanału i otoczyły charakterystyczne dla miasta odgłosy: hałas ruchu ulicznego, bicie kościelnego dzwonu, plusk wody, skrzypienie wiosła i skumulowany szum dziesięciu tysięcy mechanicznych ludzi wykonujących polecenia swych rozkapryszonych właścicieli. Musiały chyba trwać wyścigi, bo z oddalonego o dobre dwa kilometry Scheveningen słyhać było ożywione, podniesione głosy.

Kobiety szły nieśpiesznie pod ramię, mijając niskie głogowe żywopłoty i ogołoczone przez zimę różane krzewy. Żadna się nie odezwała, jakby czekając na jakiś sygnał od towarzyszki. Niezręczna chwila ciągnęła się niczym nudne kazanie. Anastazja, jak złodziej przeszukujący czyjś kredens, starała się wyciągnąć z szufladek pamięci jakieś tematy do rozmowy, lecz świeciły one pustkami. Przygryzła wargę, próbując stłamsić ogarniającą ją panikę. Tyle dni wyczekiwania, a zachowywała się jak nieśmiała pensjonarka. Odniesione rany musiały ją odmienić. Ostatecznie to Rebeka okazała się odważniejsza:

– Czyżbyśmy zapomnieli zdjąć gips z twojego języka?

Anastazja nie spodziewała się tego, ale jej ulżyło. Zaśmiała się śmiechem nieokrzeseanej przekupki.

– Po południu składam na ciebie skargę.

Lody zostały przełamane, rozmowa poszła teraz jak z płatka. Skręciły na wschód, ku kanałowi.

Rebeka wskazała palcem kabriolet przecinający slalomem zatłoczone Torenstraat. Stalowe obręcze kół krzeszały iskry o bruk. Służący, który ciągnął dorożkę, biegł tak szybko, że jego nogi były niemal niewidzialne.

– Na niebiosa – powiedziała. – Ale się śpieszy.

Mechaniczny gwałtownie wyhamował na szpitalnym podjeździe w kształcie podkowy, wzbijając przy tym grad kamyczków, które odbiły się dźwięcznie o okna. Z siedzenia zeskoczył mężczyzna i wbiegł do szpitala. Mignął jej jedynie, ale wydał się Anastazji znajomy. Stężała, a Rebeka jedynie wzruszyła ramionami. Uśmiech pielęgniarki przegnał niepokój. Ruszyły dalej. Hałasy z nad miasta przybrały na sile. Wyścigi odbywające się najwyraźniej na piersie w Scheveningen musiały być naprawdę emocjonujące. Niepokojąc się, że obowiązki ciężące na pielęgniarce mogą lada chwila przerwać tę przechadzkę, Anastazja zapytała:

– Masz młodsze rodzeństwo, Rebeko? Bo myślę, że opieka nad innymi to twoje powołanie.

– Kto ci o tym powiedział?

– Nikt. Znam się na ludziach.

– Mam...

Za ich plecami otworzyły się z łupnięciem drzwi do południowego westybulu.
– *Tuinier! Tuinier Bell!*

Anastazja zamarła.

„Nie, proszę, nie róbcie mi tego”, pomyślała.

– Boże! – mruknęła Rebeka, odwracając się, ciekawa źródła tego poruszenia.

Anastazja zrobiła to samo, zerkając to na biegnącego ku nim mężczyznę, to na pielęgniarkę i mając nadzieję, aczkolwiek płonną, że facet nareszcie się zamknie.

– Panno Bell! – darł się nadal na cały ogród. – Proszę poczekać! Musimy natychmiast pomówić!

Towarzyszący kobietom klakier wyskoczył naprzód i wylądował tuż obok nich.

– Pani, tamten dżentelmen najwyraźniej chce zamienić z panią słowo. Wygląda, że jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Czy mam go do pani przyprowadzić?

„Nie. Nie, nie, nie teraz”.

Mężczyzna podbiegł bliżej. Anastazja rozpoznała w nim Malcolma, pracownika Nadleśnictwa, i wychyliła się, żeby sprawdzić, czy dorożka nadal stoi pod szpitalem. „A niech to, za daleko”.

– *Tuinier Bell!* – wołał mężczyzna. – *Tuinier Bell*, proszę zaczekać!

Anastazja mruknęła coś pod nosem. „Zamknij się, głupcze”.

Rebeka drgnęła.

– Ten człowiek... Mówi do ciebie *tuinier*.

Anastazja zamknęła oczy. „Cholera”.

– Tak. Zgadza się.

– Och... – Pielęgniarka rozpaczliwie uciekała od niej spojrzeniem, unikając kontaktu wzrokowego niczym królik zapędzony przez lisa pod ścianę. – Oczywiście, domyślałam się, że jesteś z Gildii, bo te twoje rany... I szkło... Znaczący nie widziałam go, ale twoja dłoń... Nie węszyłam, naprawdę, nie dopytywałam, ale po tym, jak nagle odeszła od nas doktor Huysman... Och... Nie wydawałaś się... Nie zdawałam sobie sprawy... Nadleśnictwo...

Owszem, Nadleśnictwo, zbrojne ramię Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej obciążone obowiązkiem ochrony jej tajemnic, co *de facto* czyniło ją tajną policją Imperium Holenderskiego. Prawdziwe czy nie, wszyscy słyszeli przerażające opowieści o mechanicznych centaurach i ich ludzkich panach. Plotki nie mówiły jednak o niezwykle istotnej roli, jaką odegrało Nadleśnictwo w umocnieniu holenderskiej supremacji podczas Złotej Ery. Przekazywano sobie jedynie co mroczniejsze kąski. Funkcjonariusze biura pełnili straż przy sekretach Gildii, pilnowali, aby nikt się nie dowiedział o ich istnieniu. *Tuinier* stała na czele tej organizacji.

Anastazja westchnęła.

– Tak. Zarządzam Nakręcaczami – powiedziała.

I stało się. Jak za sprawą magii emocjonalnej alchemii te trzy słowa sprawiły, że flirciarskie napięcie przemieniło się w milczący lęk. Zgasła kokieteryjna iskra do tej pory rozświetlająca oczy pielęgniarki, zastąpiła ją pusta szklistość źrenic, pojawiająca się zawsze, gdy ktoś inny chwycił za lejce myśli i mowy. Anastazja widziała to setki razy.

– Nadal jestem twoją pacjentką. Nadal jestem tą Anastazją Bell, którą poznałaś. I jak miałam nadzieję, polubiłaś – powiedziała, karcąc się za pobrzmiewającą w jej głosie desperację.

– Niewątpliwie. I zrobię wszystko, żebyś jak najszybciej wyzdrowiała – odparła Rebeka.

Nie odsunęła się od Anastazji, ale zmiana napięcia mięśni nieuchronnie zapowiadała, że ich kontakt stracił na intymności i pielęgniarka przyjęła wymuszoną zawodowym profesjonalizmem postawę.

– Z pewnością czekają cię niezwykle istotne sprawy. Niedługo będziesz mogła do nich powrócić.

Malcolm pośliznął się na żwirze, służący wyskoczył i złapał go, zanim ten zdążył wyłożyć się na ziemię. Anastazja pokręciła głową.

– Obawiam się, że powrócę do nich szybciej, niż myślałam.

Rebeka zeszywniała. Próbowwała się opanować, ale Anastazja wyczuła drżenie jej ciała. Złapała dłoń pielęgniarki, jakby usiłowała uspokoić wystraszonego ptaszka.

– Nie bój się, to cię nie dotyczy.

Anastazja uśmiechnęła się, ale jej towarzyszka nawet na nią nie patrzyła, więc przykucnęła – ignorując pulsowanie żeber – żeby spojrzeć w oczy Rebecce, która wbiła wzrok w ziemię. Wiedziała jednak, że nic nie wskóra, wszystko przepadło. Pielęgniarka zachowywała się, jakby jej pacjentka ryknęła na nią z obnażonymi kłami. Raz jeszcze wzdychając, puściła kobietę i odwróciła się do zegarmistrza.

„Cóż, wychodzi na to, że dzisiaj znowu śpię sama. Pociąg odjechał ze stacji, kropla przepełniła kielich. Nie ma sensu dłużej przekonywać jej, że jestem miłą osobką”, pomyślała.

Taką cenę Anastazja płaciła za przywilej obrony Imperium. Szlachetne to zajęcie, ale samotne. Trudno, kiedy już zrobi, co przyjdzie jej zrobić, zawsze będzie mogła kazać przyprowadzić Rebeke do Nadleśnictwa na przesłuchanie, a potem, kiedy biedna, niewinna kobieta spędzi noc za kratami zimnej celi, słuchając jęczenia prawdziwych osadzonych, Anastazja przyjdzie jej na ratunek i wytłumaczy się biurokratyczną pomyłką. Zostanie jej wybawicielką... Czego nie zdoła osiągnąć szczerymi zalotami, wyrwie, łapiąc ją na wymuszoną

wdzięczność.

Malcolm dotarł wreszcie do kobiet, ciężko dysząc. Podparł się o kolana, żeby złapać oddech. Nadane mu przez Gildię insygnia, onyksowy wisior z krzyżem z różowego kwarcu, u którego ramienia inkrustowano niewielką złotą literę v, zwisały z jego szyi niczym wahadło. Rebeka zmagiała się z chęcią natychmiastowej ucieczki, nie mając zamiaru uczestniczyć w zaimprovizowanym zebraniu tajnej policji. Prawie wyrwała z miejsca, przestępując z nogi na nogę na chrzęszczącym żwirze.

– *Tun...* – zaczął mężczyzna.

– Nie dbam o to, z jak istotną według ciebie sprawą przychodzisz. Już zepsułeś mi dzień, po którym spodziewałam się czegoś wyjątkowego. Dlatego zapewniam cię, że jeśli słowa, jakie za moment opuszczą twoje usta, będą brzmiały inaczej niż „*Tuinier*, mamy koniec świata”, niechybnie polecę Nakręcaczowi oderwać ci ten twój pierdolony łeb i nakarmić nim ryby z pobliskiego kanału.

Rebeka wydała z siebie mysi pisk i jeszcze prędzej odgarniała stopami żwir, chcąc jak najszybciej uciec. Mokrawa ziemia lekko załatywała gównem.

– Przepraszam, że musisz tego słuchać – powiedziała do niej Anastazja – i wybaczyć mój język. Nie jestem zwykle taka oschła. Naprawdę. Proszę, nie pomyśl sobie o mnie źle.

„Czemu nadal zabiegam o jej uczucie? Przecież ma mnie za inkarnację samego diabła”.

Malcolm zamrugnął. Poruszył bezdźwięcznie ustami jak złota rybka wypuszczająca bąbelki powietrza. Sprint przez ogrody sprawił, że policzki nabiegły mu czerwienią i ten powoli blednący już róż kontrastował z resztą białej jak kreda twarzy. Miał rozszerzone źrenice.

– *Tuinier...* – Nareszcie odzyskał głos. – To jest koniec świata.

Harmider dochodzący z pirsu Scheveningen znowu przybrał na sile.

Anastazja zdała sobie sprawę, że nie były to odgłosy radości, ale krzyki przerażenia.

ROZDZIAŁ 2

Gadaj – rozkazała Anastazja.

Malcolm oblizał usta i spojrzał na pielęgniarkę. *Tuinier* położyła dłoń na przedramieniu Rebeki, pielęgniarka skrzywiła się na ten gest.

– Muszę prosić o wypisanie mnie ze szpitala. Czy mogę cię obarczyć rozmową z doktorem Riordanem i zebraniem moich rzeczy, podczas gdy ja rozmówię się z kolegą?

Tak naprawdę nie miała co zbierać. Anastazja przywlokła ze sobą z Nowego Świata jedynie zmasakrowane ciało. Myśliwi, którzy ją znaleźli, musieli na miejscu rozciąć pozlepiane krwią ubranie i zostawić pośród gruzowiska. Ale szczerą ulgą, jaka odmalowała się na twarzy Rebeki, zapiekła ją niczym cios w policzek. Pielęgniarka zgarbiła się ze strachu jak złękniony pies kryjący się przed rozzłoszczonym panem. Z każdym krokiem, który zabierał ją z dala od Anastazji, czuła się bardziej komfortowo, jakby schodziło z niej napięcie. *Tuinier* przyglądała się jej jeszcze przez chwilę, jakby mogła uratować ten stracony już poranek samą siłą pożądania. Żwir chrząścił pod stopami Rebeki, darły się mewy, mechaniczni tykali, wykonując miriady poleceń, a znad pobliskiego miasta niosły się głosy wystraszonych ludzi.

Anastazji przeszedł po plecach dreszcz niepokoju, dokładnie między łopatkami, tam, gdzie nie mogła sięgnąć ręką, żeby się podrapać.

Inwazja? Ponoć wojna w Nowym Świecie miała się ku końcowi, jeszcze kiedy medycy z Gildii uznali, że stan Anastazji jest na tyle stabilny, by wytrzymała morską podróż w środku zimy z powrotem do Prowincji Centralnych. Akadia padła pod naporem tysięcy mechanicznych żołnierzy nadciągających zza granicy Nowych Niderlandów, tak jak większość miast leżących nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, łącznie z Watykanem. Jedynym, które jeszcze się opierało, była Zachodnia Marsylia, stolica króla Sébastiena III, ale obrońcy oblężonej cytadeli zaczęli już mięknąć. A było to przecież przed paroma tygodniami! Francuzi jak nic ponieśli klęskę. Lada dzień spodziewano się niosących radosne wieści okrętów.

Kiedy Rebeka odeszła wystarczająco daleko, że mogli swobodnie rozmawiać, Anastazja zwróciła się do swojego podwładnego:

– Dobra, a teraz powiedz mi...

Malcolm jej nie słuchał. Zerwał z szyi wisior Gildii i podetknął go pod kryształowe oczy nadal towarzyszącego im służącego. Anastazja od razu się

zorientowała, co zamierza, i zdjął ją strach.

– Reprezentuję Nadleśnictwo Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej – oświadczył maszynie, wypluwając z siebie kolejne słowa z pośpiechem, by jak najszybciej wyrecytować wymaganą formułkę prerogatywy. – Jako że jestem przedstawicielem Gildii, Korony i Imperium moje polecenia przewyższają wszystkie inne *geas*. Zwalniam cię z dotychczasowych zadań i zawieszam wszelkie obowiązki niebędące bezpośrednio powiązane z moimi rozkazami.

Podobną rzecz robiło się, jedynie kiedy zaszła absolutna konieczność. Nadleśnictwo nie afiszowało się z tym, że montowano w każdym klakierze dodatkowy zawór bezpieczeństwa poza tymi, które służyły Mosiężnemu Tronowi. Cywile nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że płacą krocie za wypożyczenie maszyny, która może zostać momentalnie zarekwirowana. Dlatego prerogatywy używało się wyłącznie w naprawę poważnych sytuacjach.

Klakier zdrzął. Tykanie jego metalowego ciała zwiększyło częstotliwość, po czym ucichło.

– Rozumiem, panie. Jak mogę służyć Nadleśnictwu?

Malcolm rzucił naszyjnik Anastazji, chwyciła go w locie. Kiedy powróci do pracy, musi załatwić sobie nowy. Mężczyzna wskazał na nią i ponownie zwrócił się do maszyny:

– Masz chronić *tuinier* Bell bez względu na wszystko, jej bezpieczeństwo jest dla ciebie priorytetem, który przewyższa jedynie troska o Jej Wysokość. Zabierz *tuinier* do mojej dorożki i pędź do Ridderzaalu tak szybko, jak tylko możesz. Nie zatrzymuj się, cokolwiek by się działo, i nie zwracaj uwagi ani na przechodniów, ani na żadne alarmy. Ruszajcie!

Zanim Anastazja zdążyła zaprotestować, maszyna złapała ją i podniosła niczym rodzic zabierający dziecko do łóżka. Zabrakło jej tchu. Dotyk zimnego metalu na nogach i plecach sprawił, że przez ciało przetoczyła jej się kolejna fala bólu. Przeszywające gorąco przesunęło się przez potrząsaną dłoń Anastazji, jakby tkwiące tam szkło rozpoznało bliskość alchemicznej maszyny i dostosowało swoje pulsowanie do rytmu narzuconego przez sprężynę serca klakiera. Delikatnie niosąc swoją panią, służący przebiegł przez ogród, sadząc pięciometrowe kroki, i przeskoczył przez głóg. Mechaniczny, który ciągnął kabriolet, dojrzał ich i otworzył czym prędzej drzwiczki. Nie był to pojazd Gildii, a zwyczajna dorożka. Maszyny posadziły Anastazję na siedzeniu zaledwie kilka sekund po wydaniu przez Malcolma rozkazu. Kiedy ruszyli, kolejna niechciana i niepokojąca myśl zagnieździła się w jej umyśle, bzycała jak rozżłoszczona pszczoła.

„Czemu służący? Skoro to sytuacja nadzwyczajna, dlaczego Malcolm nie posłał po Nakręcaczy? I czemu nie przyjechał dorożką należącą do Gildii?”

Ramiona obu maszyn wygięły się do tyłu, żeby złapać tyczki. Zwykle kabriolet ciągnął tylko jeden klakier, ale mechaniczni, obarczeni nieubłaganymi *geas* narzuconymi przez Malcolma, idealnie się synchronizowali. Obrócili dorożkę tak zamaszyście, że przez moment stała na jednym kole, złościąc koleiny. Anastazja zsunęła się z siedzenia i ponownie ozwały się jej obolałe żebra, straciła dech. Zdezorientowana tym, co się wydarzyło przez ostatnią minutę, wypatrywała Rebeki w nadziei, że ujrzy ją jeszcze ten ostatni raz. Nigdzie jej jednak nie dostrzegła. Pokręciła głową i poklepała się po policzkach, a potem jeszcze raz, mocniej.

„Starczy już. Nie jesteś zakochaną pensjonarką”, skarciła się.

– Maszyny! – zawołała. – Co się dzieje?

Przez miasto przeszedł przeraźliwy pisk: alarm klakierski. Dochodził od strony Scheveningen i gwałtownie narastał. Każda maszyna, która usłyszała tę kakofonię, była, zgodnie z nakazem *metageas*, zobowiązana porzucić wszystko, co robiła, zatrzymać się i przyłączyć swoje mechaniczne struny głosowe do skrzeczącego chóru. Alarm opanował miasto z prędkością światła i wszyscy klakierzy oraz ludzie byli już świadomi obecności nadchodzącego zagrożenia. Alarm potrafił rozprzestrzenić się na setkach kilometrów kwadratowych w mgnieniu oka.

Ciągnący dorożkę przez Paviljoensgracht mechaniczni nawet nie zwolnili kroku. Malcolm znieczulił ich na alarm, jakby się go spodziewał. Jakim cudem mógł coś takiego przewidzieć, jeszcze zanim pierwszy klakier wydał z siebie pisk? Kabrioletem zarzuciło i Anastazja gruchnęła o ściankę. Z bólu niemal straciła przytomność. Otarła płynące z oczu łzy, zastanawiając się, czy po tej wyboistej drodze jej kości jeszcze się kiedyś zrosną.

– Nie jestem workiem mąki! Jeśli coś takiego zdarzy się raz jeszcze, zostanieie posłani do Wielkiej Kuźni i przetopieni na popielniczki. Mówię poważnie!

Owszem, zbieg oznaczał złe wieści, ale na pewno nie był to koniec świata. Co wywołało taką panikę? Nawet oszalały Nakręcacz, który narobił bałaganu w siedzibie Gildii, został przecież unieszkodliwiony, i to pośród dzikich ostępów Nowych Niderlandów. A tutaj, w samym sercu Prowincji Centralnych, każdy niepoprawnie działający mechaniczny zostałby szybko przechwycony przez tuzin maszyn. Kiedy dojechali na Torenstraat, klakierzy przyśpieszyli. Miasto złało się jej przed oczyma w słoneczną smugę. Nawet największe metropolie kurczyły się, kiedy patrzyło się na nie z perspektywy przebiegających nogami mechanicznych. Spod metalowych okuć kół niczym sztuczne ognie tryskały iskry. Anastazja odetchnęła z ulgą. Jeszcze chwila i znajdzie się w Ridderzaalu, starej sali rycerskiej, kwaterze głównej Gildii Zegarmistrzowskiej górującej nad

historycznym placem Huygensa zajmującym z kolei centralną część Binnenhofu stanowiącego administracyjną sieć Prowincji Centralnych, a co za tym idzie również świata.

Ciągnięty przez klakiera czterokołowy powóz podjechał niebezpiecznie blisko do dorożki Anastazji, niemalże zahaczając o nią przy skręcie.

– Uwaga! – wykrzyknęła.

Wypadki drogowe były cokolwiek rzadkie, niemal się nie zdarzały, szczególnie kiedy pojazdami kierowali mechaniczni. Anastazja nigdy nie była świadkiem żadnej kolizji. Pilnującym ją maszynom nie udało się jednak wymanewrować. Dorożka przechyliła się i zatrzeszczał metal kół. Z potrzaskanego drewna poleciał na nią deszcz drzazg. Oboma pojazdami zarzuciło, kiedy klakierzy starali się je rozczepić. Anastazja ześlizgnęła się z siedzenia prosto pod koła i na ułamek sekundy żołądek podszedł jej do gardła, lecz mechanicznemu służącemu udało się ją złapać. Klakier podbiegł do niej tyłem – jego nogi poruszały się tak szybko, że zlewały się jej przed oczyma – i wyciągnął spod pokierszowanego kabrioletu, nie zaprzestając biegu. Niósł ją bulwarem, sadząc długie susy. Anastazja przestała się nawet zastanawiać, czemu powóz się z nimi zderzył, całe miasto, a na pewno ta dzielnica, oszalało. Drogi krztusiły się od biegnących pirssem ludzi. I wtedy, pośród hałasu generowanego przez spanikowany tłum i tykania jej eskorty, usłyszała dźwięk, którego nauczyła się bać: rozchodzący się echem chrzęst metalu, odgłos ścierających się ze sobą maszyn sugerujący, że wszystko jest bardzo, ale to bardzo źle. Na brwi Anastazji osadziła się kropla potu. Ostatnim razem, kiedy słyszała coś podobnego, stała na progu drzwi do śmierci. Zbuntowany Nakręcacz błyskawicznie zabił towarzyszącego jej mężczyznę i niechybnie równie szybko odebrałby życie i jej, gdyby nie inny znajdujący się w budynku mechaniczny. Obie maszyny zupełnie ją zignorowały, ale i tak odniosła niemałe obrażenia. Kiedy metalowi tytani zderzali się ze sobą i bili pięściami odlanymi z alchemicznej stali, stojący im na drodze ludzie zostawali zmiażdżeni.

Brzęk. Łup. Gruch.

Walczący klakierzy.

„Dobry Boże, ale CZEMU?”

Złote światło budzącego się słońca zalśniło na miedzianych rynnach wysokich sklepowych fasad na Torenstraat, lecz było w tym blasku coś osobliwego, odbijał on tęczy refleks niby olej wylany na wodę... Choć równie dobrze mogło to być mdlawe skrzenie się alchemicznego stopu. Od razu rozpoznała błysk światła tańczącego po tuzinach pancerzy. Mechaniczni biegali po dachach i przeskakiwali nad murami, dotrzymując kroku uciekającym ludziom. Nieco się rozluźniła, bo maszyny okazały się kordonem broniącym obywateli...

Przed czym?

Służący niosący Anastazję na plac Huygensa pobiegł wzdłuż kanału rzeki Spui. Przy każdym susie podskakiwał jej żołądek. Próbowła, niczym balerina przy piruce, skupić wzrok na jednym punkcie i obrała sobie na cel grupkę ludzi wyklócających się z zarządcą kanału. Chcieli wynająć od niego trekschuit, holownik. Błysnęły drogie kamienie na spinkach przy mankietach męskich koszul, kobiety nosiły na szyjach futrzane etole. Skoro było ich na nie stać, z pewnością wynajmowali niejednego klakiera. Czemu nie oddali się pod opiekę maszyn, które mogłyby się nimi zająć?

Anastazja chciała skarcić ich za tę bezmyślność. „Zostańcie z eskortą, głupcy! Ochroni was!”

Maszyny z biegnącego bokiem kordonu zauważyły tę wymianę zdań. Troje mechanicznych odłączyło się od pędzącego dachem oddziału i błyskawicznie zeskoczyło na ulicę, na moment składając się w aerodynamiczne kule, żeby pokonać jak największy dystans. Pod koniec lotu przyjęli opływowe kształty i wbili się w ziemię obok budki zarządcy jak oszczepy. Jeden z bogaczy krzyknął. Zsynchronizowane uderzenie o bruk poznało asfalt siatką pęknięć, huk powybił szyby. Po powierzchni kanału przeszły fale. Zwykle klauzule uwarunkowane hierarchicznymi *metageas* zabraniały niszczenia własności publicznej, lecz skomplikowane kalkulacje dokonane przez mechanicznych uznały za priorytetowe ochronę życia ludzkiego.

„Nareszcie, głupcy. Dajcie maszynom się wami zająć. Im ich więcej, tym bezpieczniej”.

Niosący Anastazję medyczny służący obrócił się na szponiastym paluchu i przeskoczył kanał. Poczula na twarzy wiatr pachnący cynamonem z pobliskiej piekarni. Nie spuszczała z oczu rozmawiających z zarządcą kanału ludzi. Z trójki maszyn dwie okazały się zwykłymi służącymi, a jedna wojskowym mechanicznym. Pierwsza dwójka skoczyła na maszyny należące do zarządcy kanału, które pewnie przez ostatnie stulecie (albo i dłużej), codziennie ciągnęły po Spui holowniki. Metalowy żołnierz wbił się w grupę ludzi szybciej, niż ktokolwiek zdążył zareagować, i kiedy służący walczyli między sobą, wysunął ostrza z przedramion. Anastazja wyobraziła sobie ich cichy szum, kiedy klakier szlachtował ciżbę. A wtedy...

...wtedy...

...wtedy...

...zwymiotowała.

Śmierdząca żółta maź oblepiła jej twarz i zatkała nos. Rozprysnęła się o metalowy pancerz.

– Jest pani chora? Zajmę się panią, jak tylko dotrzemy na miejsce.

Kwaśne rzygowiny paliły jej oczy, ale i tak nie było już czego oglądać. Klakier przebił się przez ludzi niczym wyposażony w brzytwy derwisz, zarznął zarządcę i jego niedoszłą klientelę. Zabił siedmioro ludzi w kilka sekund. Spui spłynęła szkarłatem, kiedy z odciętych ramion, nóg i szyj trysnęły strugi gęstej krwi.

„Dobry Boże...”

Świat wywrócił się do góry nogami. Anastazja opróżniła pęcherz, kiedy spojrzała raz jeszcze na tłum biegnących po dachach mechanicznych. Ciepły mocz płynął jej po nogach i zalewał nowiutkie rajstopy. To nie był żaden kordon eskortujący ludzi do bezpiecznego miejsca. O nie. Ci mechaniczni byli przyczyną kryzysu. Tłum uciekał przed klakierami.

Tuziny zepsutych, zdziczałych maszyn.

Miała przed sobą bunt na bezprecedensową – niemożliwą! – skalę. Mechaniczni gonili swoich niedawnych właścicieli. Ścigali ich i mordowali. Nie potrafiła zrozumieć, jak mogło dojść do czegoś tak nieprawdopodobnego. Maszyny przedzierały się przez cegły i drewno jak robactwo, horda tykających karaluchów. Łaziły po wieżach zegarowych i sklepowych fasadach, krusząc mury i wyginając żelazne pręty, próbując jak najszybciej przedostać się na dachy i wyprzedzić uciekających. Dzielnica Segbroek tonęła pod naporem metalowej fali.

Tłumaczyło to opóźnienie klakerskiego alarmu, który natychmiastowo unieruchamiał maszyny, wymuszając na nich dołączenie się do piskliwego chóru, lecz *metageas* nakazujące dbać o bezpieczeństwo ludzi nie pozwalało im stać bezczynnie, kiedy horda zbuntowanych masakrowała połowę Imperium. Najgorszy scenariusz zakładał, że można pozwolić paru zwykłym cywilom umrzeć, jeśli taki byłby koszt pochwylenia zbiega. Anastazja znała wszystkie zasady, osobiście nadzorowała ostatnią rewizję alchemicznych reguł określających postępowanie ze zbuntowanymi maszynami, ale nie z setką. Jaki miało sens ostrzeganie ludzi przed zbiegami, skoro oznaczało to danie mechanicznym czasu na wybicie połowy miasta?

Medyczny służący przyspieszył, zabierając ją jak najdalej od rzezi. Zimowe powietrze przeciskało się przez wilgotne ubranie. Zadrżała. Tykający tłum zalewał ulice.

„Boże, ilu ich jest?”

Metalowa horda przedzierała się przez bezbronnych ludzi. Maszyny z łatwością rozdzierały delikatne ciała dzięki wzmocnionej alchemią sile. Anastazja odwróciła wzrok, krztusząc się. Nie potrafiłaby uwierzyć, że ludzkie gardło może wydawać z siebie tak przerażające krzyki, gdyby jej zawodowe obowiązki nie wymagały od niej wizyty w głębokich lochach Ridderzaalu.

Prawdziwi zbiegowie zdarzali się rzadko, rzadziej niż pięciolistna kończyzna, rzadziej niż uczciwy bankier. I nigdy podczas tych wszystkich lat w Gildii nie słyszała o dwóch zbuntowanych znajdujących się jednocześnie w tym samym miejscu.

Zbliżali się do Binnenhofu, ośrodka nerwowego Imperium. Powozy były tam bogatsze, ozdobione rodzinnymi herbami albo kołem zębatym. Niosąca ją maszyna przeskoczyła stawik Hofvijver. Za nimi rozlegało się nieustające głośne tykanie goniących ich mechanicznych, których kroki tworzyły na powierzchni wody drżące fale. Służący skręcił ku Bramie Namiestnika.

Anastazja zauważyła krzyż z różą na przejeżdżającym powozie.

– Tam! Dogoń go! – rozkazała, unosząc zabandażowaną dłoń.

Maszyna odezwała się, jakby byli na letniej przechadzce, a nie wymykali się śmierci.

– Pani, proszę pokornie o wybaczenie, lecz *geas* zobowiązują mnie nade wszystko dostarczyć cię całą i zdrową do Ridderzaalu. Powinniśmy znaleźć się tam za dwadzieścia cztery sekundy.

– Oni też tam zmierzają! Dołącz do nich! – krzyknęła, pokazując na zegarmistrzowski emblemat.

Im więcej, tym bezpieczniej.

Służący wykręcił w stronę powozu Gildii, ale nie tylko Anastazja zdołała wypatrzeć różany kwarc. Z napędzanego żądzą mordy tłumu wyskoczył kwartet zepsutych maszyn. Dwie wylądowały na bruku tuż przed powozem, siła uderzenia rozłupała kocie łby. Druga para zaszła od boku. Służący ciągnący pojazd nie zdołaliby wyminąć maszyn, nie porzucając powozu albo nie wytrząsając z niego na ulicę siedzących wewnątrz ludzi. Zostali przechwyceni przez zbuntowanych. Ich towarzysze z kolei przedzierali się przez lśniące szkło i drewno, jakby to była papierowa masa.

Klakierzy wyciągnęli z powozu rzucających się, krzyczących mężczyznę i kobietę. Oboje mieli na szyjach wisiory podobne do tego, który ścisnęła w dłoni Anastazja. Rozpoznała kobietę. Katrina Baxter. Niedawno wróciła do pracy po długim dochodzeniu prowadzonym przez biuro.

Nagle ludzie zniknęli przygniecieni przez mechaniczny rój. Krzyki ustały jednak, dopiero kiedy ich ciała zmieniły się w różową pulpę poprzątykaną białą kości i zębów.

„O Boże, o Boże, o Boże, o Boże”.

Pusty pęcherz Anastazji znowu próbował się opróżnić.

Zbiegowie ewidentnie wyłapywali członków Gildii. Dlatego Malcolm sprowadził dla niej anonimową dorożkę. Tłumaczyło to również, czemu metalowa horda pędziła niemalże równo z nią: kierowała się do Ridderzaalu.

Nie było mowy o odosobnionym wypadku. To skoordynowany atak, a jego celem stali się wszyscy zмирzający do sali rycerskiej po wschodniej stronie placu Huygensa. Jeśli byłyby to jej maszyny i miałyby je wysłać na polowanie na wrogów kraju...

„O nie”.

Posłałaby służących przodem, żeby wmieszali się w tłum mechanicznych krzątających się po Binnenhofie i załatwiających interesy Imperium. Kazałaby im wyprzedzić zwierzynę i przygotować się do przeprowadzenia natychmiastowego i zdecydowanego ataku, podczas gdy pozostali zapędziliby nieświadomą niczego zdobycz na ciasny plac Huygensa. Zastawiłaby pułapkę.

Medyczny służący obrócił się tak prędko ku Bramie Namiestnika, że zakreślił się jej w głowie.

– Stop! Rozkazuję ci się zatrzymać!

Maszyna ani myślała zwolnić.

– Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny, pani, ale moje *geas*...

– Nie wjeżdżaj na plac Huygensa! – krzyknęła.

Za późno.

Przejechali pod łukiem na wyłożony misterną mozaiką skwer. Gardło nadal paliło ją od kwaśnych wymiocin. Owinęła naszyjnik wokół pięści i podstawiała różokrzyż pod kryształowe oczy mechanicznego.

– Jestem *tuinier* Anastazja Bell, wyższa stopniem od tego, który cię zarekwirował. POSIADAM PREROGATYWĘ NADLEŚNICTWA! A teraz zatrzymaj się, do jasnej cholery!

Jej zabandażowana dłoń ponownie rozbłysła bólem, który jakby przypieczętował rozkaz.

Klakier wyhamował z poślizgiem, metalowe stopy porały mozaikę, wystrzelił kurz i potrzaskane kafelki. Tylko maszyna potrafiła zachować równowagę i nie puścić tyczek. Klakier postawił dorożkę na ziemi. Na chwilę Anastazja się zmartwiła, że nie da rady stanąć na swoich mokrych od szczyń nogach. Prerażeni mieszkańcy tłoczyli się na placu Huygensa. Zbuntowane maszyny zapędziły nań setki ludzi, łącznie z niezliczonymi zegarmistrzami i członkami szacownych haskich rodzin. Tłum ludzi i ściągające do Binnenhofu powozy generowały ogłuszający szum. Przez metalowe ciało służącego przeszły mocne dreszcze, co znaczyło, że mechaniczny zmagął się ze sprzecznymi *geas*; nadal ciążyła na nim odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo.

– Pani, proszę – powiedział, a spazmy zrobiły się jeszcze gwałtowniejsze. – Pozwól mi zabrać cię gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. – Jego nieludzki, umęczony głos przypominał trzeszczenie nienaoliwionych strun, co zdradzało mechaniczne naśladownictwo ludzkiego aparatu mowy.

Zatłoczony plac przypominał zagrodę. Zbiegowie zrobią tu rzeźnię. Wychyliła się i rozejrzała za maszynami, które nie ciągnęły dorożek i nie niosły swoich państwa. Na niebiosa: były wszędzie.

– To zasadzka! Wyprowadź stąd wszystkich. Zapomnij o mnie. Ewakuuj plac Huygensa!

Trybiki zatrzeszczały, kable zadźwięczały. Maszyna przestawiła się na nowe *geas*, po czym rzuciła się między ludzi i podniosła dwie pierwsze napotkane osoby, każdą pod ramię, i pobiegła ku Bramie Namiestnika... która zatrzasnęła się na amen. Przez plac Huygensa przeszło echo odbite od metalowych pancerzy. Ośmiu służących, po czterech z każdej strony bramy z kutego żelaza, przeciągnęło łańcuch przez pręty.

Pułapka zatrzaśnięta.

Jedynym wyjściem z placu była teraz sporo mniejsza Grenadierspoort, czyli Brama Grenadiera, znajdująca się na południowym wschodzie placu Huygensa, za Ridderzaalem. Ludzie mogli ewentualnie próbować wydostać się stąd przez sieć rządowych budowli składających się na Binnenhof i przecinających skwer, lecz ich drzwi zamknięto, żeby przypadkiem hołota nie zatrzymała zębatach kół Imperium. Ponieważ Brama Namiestnika była gigantyczna, każdy musiał usłyszeć, zobaczyć, poczuć jej szcęk, ale głupcy nadal nie rozumieli, co się działo. Uznali, że ich lojalni służący zabezpieczyli wejście na plac, żeby uchronić ich przed zbuntowanymi maszynami. Ośmiu mechanicznych biegło na niespodziewającą się niczego ciżbę, a od północy i południa nadciągali kolejni, zamykając ludzi w metalowych kleszczach.

Anastazja wykrzyknęła głosem chropawym od rzygowin i strachu:

– To pułapka! Kryjcie się! Do środka!

Ale to na nic. Jej ostrzeżenia nikt nie usłyszał.

„Strzegę tajemnic Gildii Zegarmistrzowskiej, żeby móc chronić tych ludzi. Przed nieprzyjaciółmi z zewnątrz i przed nimi samymi. To obywatele Prowincji Centralnych. To moja odpowiedzialność”.

Uniosła naszyjnik i poczęła nim wymachiwać. Ból promieniujący z pociętej dłoni objął całe jej ramię, kawałeczki tkwiącego w mięsie szkła wbiły się jeszcze głębiej, aż do samej kości.

– Mechaniczni! Spójrzcie na mnie! Jestem *tuinier* Anastazja Bell i rozkazuję PATRZEĆ NA MNIE!

Maszyny, które działały poprawnie, wykonały polecenie, lecz ten ruch oznaczał, że zobaczyli ją także zbuntowani. Dwóch odłączyło się od grupy i skierowało prosto na nią. Ujawniła się jako członkini Gildii. Cel. Powtórzyła prerogatywę Nadleśnictwa, recytując ją tak prędko, jak tylko potrafiła, żeby jak najszybciej wykasować inne obowiązki ciężące na klakierach.

Zbiegowie skupili się na Anastazji, dlatego medyczny służący opuścił mężczyznę i kobietę, których niósł do wyjścia, i przełączył się na poprzednie polecenie, czyli zapewnienie bezpieczeństwa *tuinier*. Stał obok niej i przyjął pozycję obronną. Skoro starała się uratować wszystkich, chroniąc ją, chronił całą resztę.

– Mechaniczni! Waszym państwu grozi niebezpieczeństwo! Zabierzcie ich do najbliższego budynku i chroncie! BINNENHOF TO PUŁAPKA!

Anastazja zasiała tym zdaniem ziarno paniki. Tłum zaczął się wylewać z placu niczym kipiące na kuchence mleko. Anastazja znalazła się w samym jego środku. Mężczyźni i kobiety przepychali się jedno przez drugie, rozpychali łokciami, a nawet gryźli, usiłując wydostać się na zewnątrz. Tymczasem pierścień utworzony przez maszyny zacisnął się na tłumie jak pętla na szyi skazańca. Za sobą zostawiał jedynie potrzaskane czaszki i pełne bóle okrzyki.

Zbuntowani klakierzy natarli na obrońcę Anastazji. Gdyby ścierali się jeden na jednego, bitka byłaby równa, maszyny zbudowano zgodnie z tymi samymi standardami, ale z przeważającymi liczebnością buntownikami medyczny nie miał szans. Maszyny przygniotły miotającego się klakiera do ziemi i wtedy Anastazja zauważyła coś niepokojącego: zbiegowie zasłonili swoje dziurki od klucza metalowymi płytkami. Kto je zamontował? Do tego jeden z nich sięgnął sobie do głowy – „Czy ten świat kompletnie zwariował?” – i otworzył swoją czaszkę. Lśniący akwamarynowy blask podświetlił metal. Jego kamrat przyciskał niegdysiejszego ochroniarza Anastazji, a tamten zaświecił mu prosto w oczy.

Kobieta zamarła. Jedynym możliwym źródłem światła ukrytym w czaszce mechanicznego mogło być szkiełko szyszynkowe, ale przecież ono nie emanowało takim blaskiem, nie lśniło. Czytała o dawnych, niebezpiecznych i szybko przerwanych eksperymentach, które...

Medyczny służący przestał się rzucać i mechaniczni nareszcie go puścili. Groteskowa maszyna zamknęła swoją czaszkę, a klakier podniósł się z ziemi, wydał z siebie chrobot kół zębatach i pognął ku masakrowanej cizbie z zapalonym godnym religijnego zelota.

Oddech uwiązał Anastazji w piersi. Światło potrafiło wykasować *metageas*, czy tak? A jednak...

To nie inwazja, tylko infekcja. Epidemia.

Niezarażeni jeszcze klakierzy starali się bronić swoich właścicieli i panów. Niektórzy pochwycili stojących najbliżej ludzi i próbowali wynieść ich z placu, lecz zasadzka była doskonale zaplanowana i przemyślana. Strażnicy zostali rozstawieni na perymetrze i wyłapywali wszystkich usiłujących wymknąć się ze strefy śmierci. Pozostałe maszyny przeskakiwały nad tłumem. Lądowały na

lukarnach i gzymsach, niosąc ratowanych ludzi jak wory mąki. Niektórzy zasłaniali ich opiekuńczymi metalowymi kończynami i zwijali się w armatnie kule, przebijając się przez drzwi i okna do środka budynku.

Anastazja zobaczyła służącego próbującego wspiać się po fasadzie z parą uczepionych jego szyi krzyczących chłopców. Dotarł na szczyt budynku i akurat lazył z dziećmi po stromych dachówkach, gdy mechaniczny żołnierz wypadł z lukarny, gdzie się przyczaił do ataku. Obrócił się i wysuniętymi ostrzami odciął służącemu ramiona. Fioletowe iskry posypały się fontanną z rozciętego pancerza i zarysowanych symboli. Zdążyła jeszcze ujrzeć, jak chłopcy spadają z plaśnięciem na płytki mozaiki. Zbiegowie spodziewali się, że ich ofiary mogą próbować uciec również i tędy. Czy czekały też wewnątrz budynków? Od jak dawna to planowały? Ile było tych diabelskich maszyn?

Jeśli ktokolwiek mógł spróbować odeprzeć ten atak, to jej koledzy z Gildii. Za murami Ridderzaalu musiała być co najmniej setka sprawnych mechanicznych oraz niezliczona siła robocza ze znajdującej się pod placem Wielkiej Kuźni, nie mówiąc już o tych, którzy obsługiwali pompy w tajnych tunelach biegnących pod Hagą. Jednak jeśli zainfekowane maszyny zinfiltrowały nawet najpilniej chronione sanktuarium Gildii, nie było już żadnej nadziei.

– Do Ridderzaalu! – krzyknęła Anastazja, stając na wyłączonej na zimę fontannie.

Uniosła naszyjnik i wskazała palcem stojącą po przeciwnej stronie przypominającego grobowiec placu Huygensa gotycką salę rycerską, której wysokie wieże drapały niebo niczym szpilki.

– Maszyny! Zanieście swoich państwa do Ridderzaalu!

Anastazja ponownie ściągnęła na siebie uwagę zbuntowanych. Może choć paru osobom uda się uciec, zanim mechaniczni ją dopadną.

Mroźny podmuch potargał jej przemoczone ubranie. Zadrzała, lecz nie z zimna. Zainfekowane maszyny otworzyły sobie głowy i poczęły świecić na broniących ludzi mechanicznych już nie pojedynczo, a dwójkami, trójkami i czwórkami. Delikatny akwamarynowy blask kładł kres klakierskiemu przywiązaniu do *metageas*, stało się coś bezprecedensowego: doszło do zaraźliwego i powielającego się automatycznie uszkodzenia mechanizmu.

Niektórzy z zarażonych, jak medyczny służący, który ją tutaj przywiózł, przyłączali się do mordowania niedawnych właścicieli. Inni po prostu odchodzili. Atakujące maszyny pozwalały im przejść, o ile nie nieśli ze sobą ludzi. Paru wydawało się niewrażliwymi na dotyk szyszynkowego światła i nadal walczyło, ale ci akurat pozostawali w znacznej mniejszości.

Powietrze świszcząco w szkieleciech służących. Anastazja przykucnęła. Eksplozja potrzaskała marmurową fontannę. *Tuinier* upadła na ziemię i

rozłożyła się jak główka mopa, ścierając swoim ciałem flaki i juchę z mozaiki. Trzask połamanych żeber po raz kolejny tego poranka odebrał jej oddech. Popękane płytki pocięły Anastazji spódnicę i zraniły nogi. Znowu zakręciło się jej w głowie, musiała się oprzeć o potrzaskaną fontannę, przy której walczyli służący. Jeden z nich miał dziurkę od klucza zakrytą metalową płytką. Najpewniej chciał ją dopaść, lecz, na szczęście dla niej, zdołała go powstrzymać inna, działająca jeszcze poprawnie maszyna.

Ziemia ponownie zadrżała. Otworzyły się bowiem ceremonialne drzwi Ridderzaalu, wykonane z drzewa żelaznego. Kurczące się siły obrońców próbowały zabrać skazanych już na śmierć ludzi ku zegarmistrzowskiemu ratuszowi.

Ze środka wybiegło czterech Nakręcaczy. Galopowali ku ciżbie jak jeźdźcy z Objawienia świętego Jana. Mechaniczne centaury górowały nad innymi maszynami, nawet metalowymi żołnierzami. Trzech z nich skoczyło na opętanych morderczym szalem zbuntowanych i unieszkodliwiło ich z bezlitosną efektywnością, przekształcając swoje ramiona we włócznie zdolne nabić mniejszych klakierów po dwóch naraz, albo sierpy, którymi kosili inne maszyny. Do harmidru rozgrywającej się na placu rzezi – krzyków, szumu ostrzy przecinających ciało, trzasku łamanych kości – dołączył odgłos gnącego się metalu i perkusyjny terkot mechanicznych pięści uderzających o pancerz. Skrząca się feeria światła skąpała trwającą na placu Huygensa szaleńczą masakrę: języki ognia, blask promieni słonecznych odbity od wypolerowanego alchemicznego mosiądzu, płonące błyski porysowanych symboli.

Czwarty Nakręcacz ruszył ku Anastazji. Jego kopyta krzeszały iskry, ścierając płytki mozaiki na proch. Przebijał się przez tłum, przewracając mniejszych mechanicznych jak liche strachy na wróble. Jakiś człowiek wpadł mu pod kopyta. Nakręcacz rozłupał mu czaszkę, jakby to było jajko, nie przystając nawet na chwilę. Rozum opuścił Anastazję, rzuciła się do ucieczki, choć miała do czynienia z maszyną szybszą niż jakakolwiek istota stąpająca po ziemi. Nakręcacz przebiegł obok niej i uniósł ją swymi czterema ramionami, nie zwalniając tempa. Anastazja krzyczała, tężejąc z przerażenia, spodziewała się zabójczego uścisku, który zmiażdży ją, potrzaska kości.

A jednak mechaniczny jej nie zabił. Szybciej niż wyścigowy rydwan przemknął obok zamkniętej Bramy Namiestnika, ściał głowę klakierowi i zmienił kurs. Przebił zacieśniający się krąg śmierci i przeskoczył maszyny usiłujące stanąć mu na drodze – oślepił jedną z nich kopniakiem prosto w oczy – po czym pogalopował ku Ridderzaalowi, trając pokiereszowane maszyny próbujące zanieść pozostałych przy życiu ludzi do budynku. Centaur gwałtownie skręcił raz jeszcze, rzucił Anastazję do środka przez otwarte drzwi i pomknął z

powrotem na środek placu. *Tuinier* przejął działający jeszcze służący i postawił ją na nogi. Drzwi zatrzasnęły się, zanim zdołała odzyskać oddech. Grube, wykute za pomocą alchemii stalowe sztaby zabezpieczające wskoczyły w zatrzaski, a ich szcęk poniósł się po całym Ridderzaalu.

Zwykle ratusz zalatywał lekkim zapachem nagrzanego metalu, starych książek, może też nieco siarką. Teraz jednak Anastazja wyczuwała jedynie wydzieliny swojego ciała. Metalowe pięści załomotały w drzwi. Mimo głośnych łupnięć słyszała jęki skazanych na śmierć.

– Proszę, szukam azylu i medyka dla mojego pana – odezwał się z zewnątrz mechaniczny głos.

– Co się dzieje? – krzyknęła Anastazja. – Nasi ludzie potrzebują schronienia!

– Nie odważymy się otworzyć tych drzwi – usłyszała obcy głos. – Co, jeśli zbieg się tu dostanie?

Odwróciła się. Mężczyźni i kobiety krzątający się na parterze Ridderzaalu byli przypadkową zbieraniną, składali się na nią urzędnicy, gryziپیórki, księgowi i inni uczeپieni biurokratycznego aparatu niczym pąkle. Pod sufitem tańczyły w złotym słońcu kłęby kurzu. Dach podtrzymywany przez masywne belki nachylał się ostro po obu stronach, tworząc strzelisty szczyt. Drewniane cherubiny przycupnęły wysoko w kątach, tuż pod sklepieniem. Na oczach miały przepaski, a przykłapnięte nieco szelmowsko uszy zalane woskiem, co miało symbolizować, że sekrety Gildii chronione są tu nawet przed niebiosami. A przynajmniej tak chcieli wierzyć zegarmistrzowie.

Kobieta, która odezwała się do Anastazji, miała na głowie specjalne gogle z lupą, przez co jedno z jej chabrowych oczu wydawało się komicznie ogromne. Skórzana opaska opasająca jej czoło upstrzona była różnymi soczewkami. Dzięki Bogu, była zegarmistrzynią. I miała rację. Nawet jedna popsuta maszyna mogła wybić cały Ridderzaal, gdyby przekazała innym obecnym tam mechanicznym swoją chorobę.

– Jestem Anastazja. A ty to kto? – rzekła szybko *tuinier*.

– Teresa van de Kieboom. Oczywiście poznałam cię, *tuinier*. Posłałam po ciebie Nakręcaczy.

– Dziękuję. Kiedy to się skończy, osobiście dopilnuję, żebyś otrzymała awans. Ale teraz powiedz mi, gdzie są Arcymistrzowie, Tereso?

Zapadło niemal namacalne, ciężkie milczenie, kontrapunktowane jedynie kakofonią rozgrywającej się na zewnątrz masakry.

– Nie mamy pojęcia. Jesteś najwyższą stopniem z tych... – przerwała, jakby chciała dodać „którzy przeżyli”, lecz wtedy przypieczętowałyby ich ponury los. Zniżyła głos do szeptu: – *Tuinier*, co robimy?

Trudna decyzja. Czy kiedy skończą szlachtować ludzi na zewnątrz, natrą na

Ridderzaal? Anastazja podniosła głowę. Rozetowe okno Ridderzaalu przedstawiało herb Imperium. Składały się nań tysiące wysadzanych kamieniami witrażowych szkiełek: różokrzyż okolony herbami zamożnych rodzin, które z kolei otaczały zęby Uniwersalnego Trybu. Charakterystyczne dla osiemnastego stulecia słupki okienne i ramy były cieniutkie jak jedwabna przędza. Czy okażą się jednak na tyle wytrzymałe, żeby przetrwać nieuchronny atak?

Na galerijce przy oknie stała kobieta z lunetą. To ona musiała zauważyć Anastazję przy fontannie.

– Tamtędy spróbują dostać się do środka – powiedziała *tuinier*. – Postawcie tam dwóch Nakręcaczy, niech stoją tyłem i pod żadnym pozorem nie wyglądają na zewnątrz.

Oczywiście, jeśli zainfekowani będą mieli wystarczająco dużo czasu, z Ridderzaalu nie zostanie kamień na kamieniu, zbiegli mechaniczni dysponowali wystarczającą siłą uderzeniową, żeby zniszczyć budynek. Nie mogła jednak komukolwiek o tym powiedzieć.

Służący pobiegł do drzwi na końcu korytarza. Anastazja tymczasem kuśtykała jak starucha bez laski. Pozostali zegarmistrzowie patrzyli na nią, jakby była jedynym ratownikiem na tonącym okręcie, ale kiedy przechodziła obok, oddychali przez usta albo zakrywali nosy chusteczkami.

„Co dalej? Co, jeśli zbuntowane maszyny powalą Nakręcaczy?”

Nagle sobie przypomniała, nie byli przecież uwięzieni. Jeśli się pośpieszą, zdołają ewakuować ratusz tunelami biegnącymi pod Binnenhofem, ale to oznaczałoby poświęcenie Ridderzaalu, który zajmą chore maszyny. Do tego ucieczka też może się zakończyć masakrą, jeśli zbiegowie przemienią ich tylną straż. I wtedy zyskają dostęp do... wszystkiego. Laboratorium. Akt.

Kuźni.

Anastazja straciła dech, musiała się oprzeć o biurko księgowego.

To prawdziwy cel tego ataku. O to chodziło.

Nie mogła do tego dopuścić. Jeśli będzie trzeba, poświęci życie, żeby temu zapobiec. Złożyła przysięgę, na mocy której miała strzec tajemnic alchemii i horologii przed nieprzyjaciółmi wszelkiego rodzaju. Będą musieli spalić Ridderzaal, lecz zwyczajny ogień nie zdoła pożreć wszystkiego, niektóre dzieła mu się oprą. Potrzebowali alchemicznego gorąca.

Gorąca bijącego z kuźniczego pieca...

Zamarła, gdy zdała sobie sprawę, co musi zrobić.

Dwa mechaniczne centaury pogalopowały po schodach, stukot ich kopyt rozchodził się echem pod wysokim sklepieniem sali.

– Słuchajcie! Musimy działać szybko.

*

Założyciele Gildii Zegarmistrzowskiej, niemal legendarni, lecz nieznanego imienia, ćwierć tysiąclecia temu poznali sekret konstrukcji klakiera bezpośrednio z ust samego szacownego Christiaana Huygensa, a potem patrzyli, jak zmienia się świat. Patrzyli, z jaką łatwością mechaniczni przemieszani z wojskami Wilhelma Orańskiego wypychają armię pazernego Ludwika XIV z polderu południowej Holandii. Dlatego – tak jak ich następcy i jeszcze kolejne pokolenia parające się zegarmistrzowskim fachem – zdecydowali się poświęcić swoje życie na zacieśnianie żelaznego uścisku na opanowywanym przez nich świecie. Co oznaczało, między innymi, unicestwienie mechanicznych wykazujących najdrobniejsze oznaki nieposłuszeństwa. Tak zwane zbiegłe maszyny najczęściej wyłapywano i niszczone, zanim ktokolwiek się o nich dowiedział. Posłuszeństwo stało się najważniejszą dyrektywą wykluwającego się dopiero Imperium.

Najgenialniejszym posunięciem pierwszych zegarmistrzów było uczynienie z egzekucji publicznego spektaklu. Tylko wówczas pozwalali ludziom zajrzeć za zasłonkę. Zapraszali ich do partycypacji, co jednoczyło drobną szlachtę oraz nauczyciela, rybaka czy burmistrza przeciwko zagrożeniu, jakie zbuntowani mechaniczni stanowili dla ich stylu życia. Ówczesni zegarmistrzowie byli mistrzami emocjonalnej manipulacji. Rozumieli tykający mechanizm ludzkiego serca.

Toteż, konstruując ogromną mozaikę na placu Huygensa, pod którą ukryto kuźnię, zainstalowali przemyślny system drzwi. Nic tak nie inspirowało lojalnych poddanych Mosiężnego Tronu, jak chęć unicestwienia nieposłusznego klakiera. Wszystko to działało znakomicie i kiedy pomiędzy Tronem a Gildią wybuchały niesnaski, zegarmistrzowie po kryjomu budowali zepsutą maszynę i wypuszczali ją na Prowincjach Centralnych. Na spektakl, jaki następował potem, składała się pogoń, pojmanie i egzekucja, które podniecały ludzi i, jeśli dobrze go rozegrano, uspokajało to Mosiężny Tron.

Drzwi znajdujące się pod placem Huygensa poprzednio zostały otworzone ostatniej jesieni. To był piękny dzień. Nie dość, że powieszono francuskich szpionów i rozbito całą ich siatkę – co było zasługą biura Anastazji – okazało się to jedynie rozgrzewką, ceremonią otwarcia, bo następnie wyprowadzono zbiegłego służącego imieniem Perjumbellagostrivantus. Na placu, przed obliczem Boga i całego Imperium, uszkodzona maszyna nazwała się Adamem i kazała się wypchać królowej Margreet. Tłum niemal się poszczał, a pewna inicjatywa, mająca na celu ukrócenie wpływów Gildii, została natychmiastowo i po cichu zduszona, żeby już nigdy nie pojawić się na posiedzeniu rady

ministerialnej. Obywatele oskarżali Nadleśnictwo o przebiegłość, lecz jeśli porównać ją do założycieli Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej, *tuinier* pozostawała dyletantką.

*

Hałas rozchodzący się po Ridderzaalu narastał z każdą maszyną przywołaną z tuneli. Był to jednak kojący szum, tykanie nieuszkodzonych, posłusznym mechanicznym. Dźwięk ten oznaczał, że świat działa jak należy, ponadto zagłuszał i tak cichnące i coraz rzadsze krzyki masakrowanych. *Tuinier* nakazała sprowadzić z podziemnych korytarzy prawie wszystkich mechanicznych znajdujących się pod kompleksem Gildii. Setki maszyn ustawiało się w szeregach za ceremonialnymi drzwiami, byli pośród nich zarówno służący, jak i żołnierze czy Nakręcacze, stali jeden przy drugim, perfekcyjnie zsynchronizowani, niemal dotykając się ramionami, nieruchomo jak posągi. Żaden ani drgnął, ani trącił sąsiada. Czekali. Jak nakazywały im *geas*. Byli tym, czym im być kazano: narzędziami.

Z tunelu wychynął kolejny mechaniczny.

– Żołnierze oczekują na pozycjach w komorze kuźni, *tuinier*, gotowi odebrać rozkazy.

– Pierścienie zostały zatrzymane?

– Tak, *tuinier*.

Kuźnia znajdowała się w samym środku ogromnej sfery armilarnej, gdzie zawisała niczym jaśniejące sztuczne słońce pośród wykonanego ręką ludzką kosmosu. Zgodnie z raportami paru prawidłowo funkcjonujących jeszcze maszyn, które wyciągnięto z płomieni zniszczonej nowoamsterdamskiej kuźni, do katastrofy doprowadziło rozchwianie pierścieni ciężarem włączających na nie mechanicznych. Jedyna działająca jeszcze Wielka Kuźnia znajdowała się pod placem Huygensa i Anastazja nie miała pewności, czy Imperium się utrzyma, jeśli i ona padnie.

Posłała pod ziemię oddział wojskowych maszyn. Ich ostrza, jak podpowiadała jej płonna nadzieja, załatwią sprawę. Stała na galerijce przy rozetowym oknie z Nakręcaczami u boku. Miała stamtąd widok na plac – rozgrywała się tam właśnie scena wyciągnięta żywcem z koszmaru szaleńca – oraz na parter budynku, gdzie za masywnymi drzwiami stały szeregi mechanicznych. Jeśli drzwi otworzą się za wcześnie, siłom tym może się nie udać wybić rozproszonych na placu atakujących. Zareagują zbyt późno, a wtedy nikt ze znajdujących się tam ludzi nie przeżyje. Musiała kalkulować na chłodno, nie mogła polegać na współczuciu. Uszczypnęła się w płatek ucha, czekając, aż

zabójczy pierścień zaciśnie się jeszcze bardziej...

– Teraz! Już!

Ceremonialne drzwi otwierały się powoli, ze zgrzytem, co zwykle podkreślało powagę chwili i przydawało całemu spektaklowi uroku. Lecz nie dzisiaj. Całe grupy służących napały na drzwi, kiedy tylko podniesiono sztaby. Te otworzyły się tak prędko i szeroko, że z drewna żelaznego poszły drzazgi. Mechaniczni wylali się na plac Huygensa, szereg za szeregiem wybiegał za próg z tak dużą prędkością, że Anastazja ledwie mogła odróżnić od siebie pojedyncze maszyny. Towarzyszyła temu hałaśliwa kakofonia, przez którą aż zgrzytnęła zębami. Ridderzaalem zatrzęsło łomotanie walczących ze sobą mechanicznych. Wyszedł ostatni szereg. Drzwi na powrót się zatrzaskały.

Bitwa pomiędzy zbuntowanymi a niezainfekowanymi klakierami podzieliła się na kilkadziesiąt indywidualnych pojedynków, ale trudno było Anastazji je śledzić. Nagłe pojawienie się nowych uczestników boju ściągnęło uwagę zbuntowanych przyczajonych na okolicznych dachach. Rzucili się w sam środek zamieszania. Tu i ówdzie błyskało akwamarynowe światło.

Nakręcacze i towarzyszący im klakierzy otoczyli uszkodzonych ciasnym pierścieniem. Nęcili ich, popychali, uderzali i kopali ku pułapce. Przy kolejnych ciosach metalowych pięści tryskały deszcze iskier. Niezarażeni usiłowali przyciągnąć atakujących bliżej, prosto ku zasadzce.

Ilu żołnierzy straci dzisiaj Imperium?

Anastazja nie potrafiła w tym tumultcie dojrzeć zasięgu zastawionej pułapki.

– Teraz! – krzyknęła do czekającego na rozkaz służącego. – Zerwać zawiasy!

Drzwi zaprojektowano tak, żeby otwierały się do zewnątrz, bo wtedy spektakl był atrakcyjniejszy dla oka, ale dziś pozbyliby się przez to elementu zaskoczenia i zbuntowani zdążyliby umknąć. Dlatego *tuinier* głęboko pod placem Huygensa rozmieściła oddział mechanicznych żołnierzy wyposażonych w alchemiczne ostrza. Mieli za zadanie jednocześnie przeciąć zawiasy i zamki utrzymujące gigantyczną klapę. Mozaika zadrzała. Zbuntowani próbowali odskoczyć, ale Anastazja przewidziała ten ruch. Kolejne narzucone na jej armię *geas* nakazywały działającym sprawnie maszynom z Ridderzaalu chwycić ich zainfekowanych braci z całych sił i nie puszcząć.

Otworzyły się drzwi i walczących oświetlił piekielny blask. Dziesiątki maszyn spadło prosto w czeluść razem ze szczątkami ich ofiar. Bitewne trzaski i brzęki przeszły w łupnięcia mechanicznych spadających prosto w płonąca otchłań.

Anastazja zgrzytała zębami za każdym razem, kiedy usłyszała ten dźwięk.

Paru zbuntowanych stojących na krawędzi zdołało umknąć i rzuciło się biegiem w stronę rozetowego okna. Służący odsunął *tuinier* z galeryjki, zanim wystrzeliły pierwsze odłamki szkła. Ramiona Nakręcaczy ułożone w kosy

przecinały okienne ramki z taką samą łatwością jak metalowe pancerze maszyn. Zainfekowani klakierzy wydawali się zaskoczeni zasadzką, po paru sekundach leżeli już pocięci na kawałeczki przy odłamkach kilkusetletniego okna. Anastazja wysłała kolejnych Nakręcaczy, by zepchnęli do kuźni pozostałych zbuntowanych mechanicznych.

*

Godzinę później Anastazja stanęła na lepkich kafelkach mozaiki, którą wyłożono plac Huygensa, i szacowała poniesione straty. Od bijącego tam odoru zebrało jej się na wymioty. Żar spopielił ciała martwych i umierających. Do tego wszystkiego dochodził smród siarki i spalonego mięsa.

Anastazja pozwoliła sobie na oddech ulgi, kiedy zobaczyła, że kuźnia jest nienaruszona i nadal działa. Postawiła wszystko na jedną kartę i zwyciężyła. Przeważające siły nieprzyjaciela osunęły się na tyle blisko źródła magicznego gorąca, że unieruchomiło ono działające jeszcze maszyny na dnie jamy. Liczne spłonęły, jeszcze zanim zdążyły uderzyć o ziemię, a te, które stały na krawędzi klapy, zostały pochwycone przez klakierów, którym *geas* nakazały się poświęcić, by opanować infekcję.

Kuźnia przetrwała atak, ale nie bez szwanku. Dopóki nie uda im się naprawić pierścieni, nie ma mowy o wykuciu czegokolwiek, co oznacza, że nie dadzą rady wyprodukować mechanicznych zdolnych zastąpić tych, których stracili. Nie mogli też zmodyfikować ocalałych i uodpornić ich na chorobę. Przy założeniu, że odkryją, jak ona działa. Tymczasem przez ziejącą w Ridderzaalu dziurę hulał wiatr. Należało zasklepić ją jak najprędzej w celu ochrony tajemnic, jakie krył ten budynek. Nie mówiąc już o czeluści na środku placu Huygensa, z których można się było dostać do skomplikowanej sieci tuneli biegnących pod Binnenhofem.

Tuinier zapłaciła straszliwą cenę za odparcie tego ataku. Ale, być może, właśnie o to chodziło. Dopadły ją zawroty głowy, czuła się, jakby we wnętrznościach zagnieździły się jej węgorze.

Udało im się przetrwać, lecz na jak długo? I przeciwko komu walczyli? Inwazja na taką skalę nie rodziła się na skutek masowej awarii. Anastazja dostrzegła jedynie dwie możliwości, ale każda wydawała się jej mało prawdopodobna i zbyt przerażająca, żeby ją rozpatrywać.

Być może ujawnił się nieznan do tej pory przeciwnik. Jeśli tak, wymagałoby to od niego niesłychanej przebiegłości i sprytu, musiałby przez wszystkie te lata ukrywać się przed zegarmistrzami i Mosiężnym Tronem, a przy tym opracowywać sposób na wykasowanie *metageas*. Już pierwszy atak zadał

Imperium dotkliwie straty.

Albo, co gorsza, za inwazją nie stał nikt... poza samymi mechanicznymi.

Anastazja spojrzała na pobojowisko i zapłakała.

ROZDZIAŁ 3

Mechaniczne krtanie tykaczy – miniaturowa plątanina strun, kabli i miechów – były istnym popisem ponurego zegarmistrzowskiego sprytu. Ta cudowna konstrukcja napędzana upiorną magią pozwalała maszynom naśladować ludzki głos, lecz kiedy przychodziło do śmiechu, okazywała się warta tyle co wysuszony krowi placek. Toć przecież nie mogło być inaczej, jako że klakierzy zostali skonstruowani, żeby być posłusznymi, a nie radosnymi. Dlatego ludzie zgromadzeni pod osłoną namiotu patrzyli nieco zdezorientowani i zaniepokojeni na stojącego po drugiej stronie stołu mechanicznego, który wydał z siebie świszczący świergot przetykany szybkimi metalicznymi łupnięciami, zupełnie jakby ktoś zrzucił ze schodów przesyty kulami akordeon. Królewscy strażnicy zacisnęli mocniej palce na rękojeściach pistoletów epoksydowych, spinali ramiona i oceniali odległość pomiędzy ich suwerenem a wyjściem.

Berencie oblizwała usta i szepnęła królowi na ucho:

– Jeśli się nie mylę, to jest śmiech, mój panie.

Spojrzenia pełne ulgi i oburzenia, jakimi francuska delegacja obrzuciła mechanicznych, wywołały kolejną salwę tegoż śmiechu. Maszyna nie brała oddechu, nie zginała się w pół ani nie ocierała łzawiących oczu, jak zapewne zrobiłby to na jej miejscu człowiek. Najwyraźniej jednak jej dobry humor udzielił się pozostałym, bo stojący pod ścianami namiotu służący również wydali z siebie podobne odgłosy. Oczywiście wszystko na pokaz. Berencie podejrzewała, że mechaniczni śmieją się po swoim. Mieli przecież swój sekretny język, którego nigdy nie zdradzili swoim konstruktorom. Udawała przed nimi, że go nie zna, tak było bezpieczniej. Lepiej dla niej, żeby maszyny myślały, że nie jest nikim znaczącym.

A jednak Daniel odkrył jej sekrety. Miała nadzieję, że się tu nie stawi. Nie rozstali się w przyjacielskiej atmosferze.

Nareszcie maszyna – zignorowała pytanie o imię – powróciła do swojego nieludzkiego bezruchu i gdyby nie miarowe tykanie jej ciała, można by pomyśleć, że jest posągiem. Patrzyła na pozostałych niemrugającymi oczyma. Nikt nie siedział. Klakierzy nie potrzebowali krzeseł, poza tym ludzkie meble nie były dostosowane do ich kolan. Nie mogło być inaczej, klakierzy zostali skonstruowani, aby służyć, a nie odpoczywać.

Negocjator był mechanicznym żołnierzem, wyższym od służących. I oczywiście od ludzi. Został wyposażony w wysuwane z przedramion ostrza.

Taka maszyna mogła zmasakrować wszystkich obecnych w namiocie szybciej niż rolnik skosić żdźbła pszenicy.

Na krwawe rany Chrystusa, Berenice miała tego świadomość.

– Wróg waszego wroga – powiedział – nie jest waszym przyjacielem. Ani sojusznikiem.

Maszyny mówiły po holendersku i Berenice miała pełnić funkcję osobistej tłumaczki króla Francji Sébastiena III, króla na wygnaniu. Potrzebowała podobnej wymówki, żeby wejść do namiotu. Jego Wysokość co prawda uczył się holenderskiego jako chłopiec, lecz jego akcent był okropny. Z kolei życie Berenice niejednokrotnie zależało od jej umiejętności posługiwania się językiem z tubylczą sprawnością, kiedy podróżowała przez terytoria kontrolowane przez Mosiężny Tron. Szeptła słowa tłumaczenia prosto do królewskiego ucha. W końcu monarcha rzekł:

– Ależ jesteśmy sojusznikami i zawsze nimi byliśmy, gdyż nasze sprawy są zbieżne i razem zmagaliśmy się z tymi samymi ciemężycielami. Od samego początku Nowa Francja opowiadała się za równymi prawami dla wszystkich istot myślących i oferowała schronienie wyzwolonym mechanicznym. Z pewnością słyszeliście o *ondergrondse grachten*.

Berenice znowu odezwała się swoim chrapliwym holenderskim. Sińce na jej gardle zaczęły już zanikać, ale uszkodzenia, jakich doznała jej krtań, nigdy się nie zaleczą.

Tak zwane podziemne kanały były siecią luźno powiązanych ze sobą tuneli, bezpiecznych dziupli i składnic przecinających Nowe Niderlandy. Opiekowali się nimi ukryci katolicy i sympatyzujący ze sprawą francuską. Ich cel stanowił przerzut wolnych mechanicznych – których tulipaniarze nazywali zbuntowanymi albo zbiegami i ścigali co tchu – przez granicę do Nowej Francji.

– Słyszałem też o Szalonej Małgorzacie – odparła maszyna. – Co nie znaczy, że uwierzyłem w jej istnienie. Ludzie łąą cały czas.

„No tak. Przecież zegarmistrzowie kłamią”, pomyślała Berenice. Nadal nie odkryła korzeni tego zwyczaju.

– Przez całe stulecia mieliście do zaoferowania jedynie deklaratywne poparcie naszych emancypacyjnych starań, ale nawet nie kiwnęliście palcem, żeby poprzeć tę gadkę czynem.

„Nie licząc wyzwolenia mechanicznych *en masse*”, odpowiedziała mu w myślach Berenice.

– A jednak tego dokonaliśmy – odparł król, jakby czytał jej w myślach. – Z pewnością przyznacie mi rację, że nasze wysiłki wydatnie przyczyniły się do osiągnięcia tego celu.

Obracające się trybiki jednego z mechanicznych wydały z siebie głośny

chrzęst, któremu zawtórował słaby brzęk naprężonego kabla. Dla niezaznajomionego z sekretnym językiem maszyn ludzkiego ucha brzmiało to jak kolejny niewyróżniający się odgłos generowany przez klakierskie ciała, ale dla innych znajdujących się w namiocie maszyn był to jasny komunikat. Został jednak przekazany zbyt szybko, żeby powolne zmysły Berenice potrafiły przeanalizować, co powiedziano. Żołnierz pochylił głowę, gest ten przypominał ludzkie przytaknięcie. Naśladowali pewne zachowania z grzeczności.

– Po dwustu pięćdziesięciu latach. Nigdy by do tego nie doszło, gdybyście nie znaleźli się na krawędzi. Kierowała wami chęć przetrwania, a nie troska o nasze dobro.

Bolesna prawda. Ostatni obrońcy wewnętrznej twierdzy Zachodniej Marsylii nie mieli żadnych szans obrony, kiedy Berenice rozegrała swój gambit, do tego przecież nieudany, bo miał on jedynie przepisać *geas*, a nie całkowicie je wykasować. Jeśliby jednak kompletnie zawiódł, poranne słońce mogłoby nie zastać żadnego żywego Francuza na murach. Tulipaniarze rozkazali swoim maszynom rozprawić się z obleganymi z najwyższym okrucieństwem, ale udało się odwlec masakrę, na czym skorzystali wszyscy mechaniczni.

– Tyle, jeśli chodzi o wdzięczność – wymamrotała Berenice, choć niewystarczająco cicho.

Maszyny ją usłyszały, niech będą przeklęte ich nadludzkie zmysły. Czy rozumiały francuski, czy nie, jej słowa były dla nich oczywiste. Król spojrział na nią z ukosa.

– Jako król Francji wyciągam pomocną dłoń do rodzącej się konfederacji i proponuję sojusz służący naszym interesom. I jak każdy rozsądny człowiek, którego przerażają odrażające i barbarzyńskie czyny, jakich dopuszczano się względem waszego gatunku, gotowy jestem złożyć wszystkim mechanicznym gratulacje i zapewnić o przyjaźni obywateli Nowej Francji.

Berenice nieco skróciła ten wywód.

– Sojusz? – Maszyna wydała z siebie mechaniczny szczebiot przypominający parsknięcie. – Nie macie nam czego zaoferować. Nie stanowicie też zagrożenia. Przecież – powiedziała, pokazując miedziane zbiorniki na plecach żołnierzy – ledwie wyskrobaliście żywicę, żeby je napełnić.

Strażnik usłyszał przekazane królowi tłumaczenie i jego oddech zaświszczał przez zaciśnięte mocno zęby. Berenice powstrzymała się przed przewróceniem oczami. „Jak nic twoja nieodgadniona natura robi furorę przy bankietowych stołach, pierdolony idioto”. Towarzysząca królowi strażniczka, młoda kobieta, która została wcielona do armii tuż przed wojną na skutek losowania poborowych, nie dała po sobie niczego poznać. Berenice słyszała same dobre rzeczy o Élodie Chastain; pozostali przy życiu żołnierze zapewniali ją, że radziła

sobie znakomicie podczas oblężenia. Zaskarbiła sobie szacunek kapitana Longchampa, a to niemało. Na myśl o dowódcy straży Berenice odetchnęła ciężko. To Hugo Longchamp powinien być przy królu, nie te kijanki.

– Rozpaczliwie szukacie sojusznika – ciągnęła maszyna – bo zdeptano francuską ziemię. Chcecie przystać do tych, którzy mają siłę zgnieść nieprzyjaciela. Chcecie, żebyśmy wygrali waszą wojnę.

„Tak wyglądał pierwotny plan – pomyślała Berenice. – I zadziałałby, gdyby nie Jax... znaczy Daniel”.

Król mówił dalej, jakby klakier nie zdążył przejrzeć jego intencji.

– Okażemy również swoją dozonną wdzięczność, która jest bezkresna i znana jak świat długi i szeroki, jeśli pomożecie nam odbudować nasz dom.

Zachodnia Marsylia właściwie przestała istnieć. Miasto okalające niegdyś cytadelę pożarł ogień, a popioły uniosły się wyżej niż sięga szczyt Iglicy. Mury zewnętrznej twierdzy zostały starte na proch, kiedy eksplodowały materiały wybuchowe przygotowane do zatrzymania natarcia mechanicznych. Główny dziedziniec stał się miejscem rzezi. Nikt nie posiadał informacji, jak trzymają się inne miasta i osady Nowej Francji. Podejrzewano jednak, że gasły po kolei, zalewane przez metalową horde.

Klakier przechylił głowę. Krysztaly jego oczu zaszumiały, kiedy dostrajał ostrość. Berenice zamruwała; miała taki tik, gdy ktoś przyglądał się jej twarzy. Czasem jej szklane oko tak się przekrzywiało, że wyglądało, jakby dostała zęza rozbieżnego. A może miała już paranoję, choć nie mogła wykluczyć, że maszyny słyszały opowieści o jednookiej kobiecie.

– Nasz gatunek czyni, jak chce. Kto zechce pomóc, niech pomaga. Kto nie, ten niech nie pomaga.

Klakierskie legiony nacierające na cytadelę rozproszyły się, jak tylko zniknęły ich *geas*. Francuscy obserwatorzy wstępnie rozpoznali trzy wyróżniające się frakcje mechanicznych. Pierwsi byli tak zwani odszczepieńcy. Całe grupy maszyn po prostu sobie poszły, odwróciły się plecami od konfliktu, nie chcąc się angażować. Przebiegły wyspę, przeprowiły się przez lodowate rzeki i wychyły po drugiej stronie, po czym zniknęły pomiędzy polami uprawnymi oraz lasami na zachód i północ od Mont Royal. Gdziekolwiek poszły, nie były to Nowe Niderlandy. Mniejszą grupę stanowili pokutnicy, mechaniczni, którzy zdecydowali się zostać i pomóc odbudować zniszczone miasto. Chcieli wynagrodzić Francuzom masowe mordy, które popełnili jako bezwolne narzędzia holenderskich państwa. Klakierzy zachowywali się, tak jakby mieli sumienia, odczuwali żal, ubolewali. Wierzyli w watykańskie zapewnienia o nieśmiertelnej duszy będącej siedliskiem wolnej woli, która uwolniona po stuleciach wykonywania poleceń, została pomazana mrokiem, głęboko

naznaczona ciemnością i grzechem. I była też cała reszta, przez którą na namiotach wykwitły krwawe plamy, przez którą pułkownik Saenredam i jej oddziały były nieobecne (zostały po nich jedynie rzeźbione plamy), przez którą francuscy strażnicy nosili pistolety epoksydowe. Po wszystkich tych stuleciach niewolnictwa maszyny opanowała szaleńcza żądza mordy. Żniwiarze żywili głęboką odrazę do rodzaju ludzkiego i, aby ją wyrazić, wykorzystywali swoją niesamowitą siłę i niezwykłą szybkość.

Rzecz jasna były też i inne frakcje. Podczas swoich podróży Berenice dowiedziała się o tajnej sieci wyzwolonych mechanicznych krążących pomiędzy niezliczonymi służącymi Imperium. Agenci królowej Mab. Poznała paru i ledwie przeżyła spotkanie z nimi. Ścisnęła mocniej rąbek szala, jak miała w zwyczaju, kiedy myślała o Huginie i Muninie. Spojrzała na wypolerowany pancerz klakiera, żeby sprawdzić, czy jej oczy równo się ustawiły.

– Sądysz, że nie możemy ci nic zaoferować – powiedział król. – Ale się mylisz.

Oddech Berenice uwiązł w piersi niczym wełniany sweter zaczepiony o wystający z metalowej siatki drut. Nadszedł kluczowy moment, powód, dla którego się tutaj zjawiała: miała słuchać, obserwować i czekać, kiedy król wyciągnie z rękawa swojego asa.

– Moglibyśmy na przykład zaoferować kompleksową transliterację alchemicznej gramatyki stworzonej przez waszych konstruktorów, języka obowiązku kontrolującego...

Monarcha zaciął się i pokręcił głową, jakby się zirytował. Pstryknął palcami.

– *Geas* – odpowiedziała mu szeptem Berenice.

Tulipaniarze zapożyczyli sobie to słowo z irlandzkiego, kiedy rozgrabili Szmaragdową Wyspę, co było swoistym przypieczętowaniem Cudownej Rewolucji i aneksji Anglii.

– Tak, *geas* – dokończył. – Pełne rozszyfrowanie symboli wyrytych na pancerzach tych niesamowitych metalowych ciał – powiedział, pokazując alchemiczne anagramy umieszczone na czołach maszyn; stojący tam mechaniczni nie zdążyli się jeszcze okaleczyć.

Klakierzy niemal natychmiast zaczęli zdrapywać z siebie znaki i zakrywać dziurki od klucza. Lub ukręcali głowy tym, którzy przypatrywali im się zbyt uważnie. Szum wydawany przez mechaniczne ciała osiągnął *crescendo*. Klikanie, tykanie, brzęki, szcęknięcia i łupnięcia odbijały się od siebie rykoszetem. Berenice starała się niczego po sobie nie pokazać, powstrzymała się przed posłaniem królowi pewnego siebie uśmiechu, na co miała ogromną ochotę.

– Nikt spoza Gildii Zegarmistrzowskiej nie posiada takiej wiedzy.

„Jezu Chryste srający na gołębie”.

– Nikt też nigdy nie zerwał *geas* – rzuciła Berenice. – A jednak jesteśmy tutaj i prowadzimy cywilizowaną konwersację, zamiast się zabijać.

Król odchrząknął. Ups.

Berenice dygnęła.

– Szczerze przepraszam, mój panie. Nie powinnam mówić za ciebie.

Klakierzy nie przestawali szeptać między sobą. Nareszcie żołnierz odezwał się ponownie:

– Jeśli to, o czym mówicie, jest prawdą, przyznajcie się, jak zdobyliście glosariusz. Szczególnie będąc uwięzionymi za murami tej swojej cytadeli, tysiąc lig od siedziby dzierżących wszystkie te informacje. Jak wam się to udało, skoro tylu próbowało się przebić do serca Imperium i za każdym razem ponosiło klęskę?

– Być może myliliście się, kiedy twierdziliście, że Nowa Francja nie kiwnęła palcem i skupiła się na gadaniu zamiast walczyć o waszą wolność i godność.

Tym razem rozmowa maszyn została skompresowana do ułamka sekundy. Berenice nigdy nie słyszała tak szybkiej wymiany zdań. Żołnierz odezwał się ponownie:

– W zamian za to dobrodziejstwo, za ujawnienie nam długo poszukiwanych przez wszystkich zegarmistrzowskich tajemnic, chcecie nawiązać z nami stosunki dyplomatyczne?

– Na początek tak.

– Zastanawiacie się, czy uznamy niepodległość Nowej Francji – powiedział przysłuchujący się do tej pory rozmowie służący, który po raz pierwszy odezwał się po ludzku do francuskiej delegacji.

– Nowa Francja zawsze posiadała aż nadto ziemi. – Zaśmiał się król. – Dzielimy się Nowym Światem pokojowo ze Siuksami, Kri, Innuitami, Irokezami, Algonkinami i innymi. Jeśli będziecie chcieli osiedlić się na tym kontynencie, podzielimy się nim z radością.

– Czyli co? Czego chcecie za te sekrety?

– Żeby nie wyrznęły nas krążące po kraju bandy zniwiarzy – mruknęła Berenice.

Żołnierz spojrzał prosto na nią. Przebiegły skurwiel. Znał francuski.

– Nasz gatunek postąpi, jak uzna za stosowne – powiedział. – Nie będziemy niczego narzucać.

– Niech mnie. Tykająca Kraina to istny libertariański raj – burknęła Berenice. Maszyna zignorowała jej narzekanie.

– Zaczekałbym na odpowiedź. Ale jako że spędziłem minione sto sześćdziesiąt jeden lat, usługując ludziom, nie mam zamiaru robić tego dłużej.

Dlatego zapytam raz jeszcze, po raz ostatni: czego od nas chcecie?

– Porozmawiajmy o Paryżu – odparł król Francji.

*

Namiot byłego holenderskiego dowódcy został rozbity u stóp ogromnego działa. Niewątpliwie był to największy kawał artylerii, jaki kiedykolwiek wyjechał na front. Zamiast wypluwać z siebie pociski strzelał klakierami. I to nie byle gdzie, bo na samą Iglicę, szczyt Zachodniej Marsylii. Zarówno armata, jak i wieża ucierpiały podczas walki (działo musiano przewrócić i odbudować, ale wieży nie dało się już doprowadzić do stanu używalności) i stały teraz niczym przeciwne bieguny magnetyczne wyznaczające podłużne linie zniszczenia. Ich cienie padały na krajobraz pobojuwiska.

Eksplozje, które rozerwały pokryte śniegiem zbocza Mont Royal, zostawiły po sobie jedynie błotniste bagno najeżone odłamkami granitu i potrzaskanymi elementami alchemicznych metali. Tu i ówdzie pola upstrzone były ogromnymi bulwami stwardniałej żywicy, które porastały pole niedawnej bitwy niczym szkliste żonkile, choć nie kryły już pod swoją powłoką uwięzionych maszyn. Pamiątki po celnych strzałach francuskich żołnierzy zostały rozłupane, a unieruchomieni mechaniczni uwolnieni przez swoich. A kiedy ogień został już ugaszony (obywatele Zachodniej Marsylii byli zbyt zajęci umieraniem, żeby się z nim uporać), zawiąło znad Zatoki Hudsona, aż wyło. Kłęby popiołu opadały z nieba niczym płatki śniegu. Świat śmierział popielniczką. Rynienkami ściekowymi płynęła szara maź. Zamiatacze wychynęli na ulice, żeby uprzątnąć szlam, zanim stwardnieje na cement i zatka kanały burzowe, których nie zniszczono przy oblężeniu. Co prawda zrobiło się nadzwyczajnie ciepło jak na tę porę roku, ale odwilż nigdy nie trwała długo. Śnieg i tak powróci.

Sama cytadela, niegdyś dumnie górująca nad zewnętrznym i wewnętrznym dziedzińcem Zachodniej Marsylii, nie przypominała budowli, którą znano i kochano. Kawały cegieł leciały z niej niczym noworoczne konfetti. Gruz został wywieziony przez wyzwolonych mechanicznych, być może po to, aby móc zabrać się za przygotowania do rytuału pogrzebowego, który umożliwiła im nowo odzyskana swoboda. Albo po prostu chcieli oszczędzić martwym pobratymcom niegodnego pochówku. Gdzieniedzie pole bitwy błyszczało kawałkami alchemicznego mosiądzu, zawiasami, zębami z połamanych kół czy kawałkami kabli poodrywanych z taką nagłością, że końcówki się potopiły. Miesiącami będą wygrzebywać z ziemi metal.

Całe dni zeszyły na wywozie ciał. Nie mogli sobie pozwolić na zakopywanie ich w zmrożonej ziemi, dlatego spalono je na stosach ustawionych przy brzegu

oblodzonego Świętego Wawrzyńca, topiąc przy tym zwały lodu. Ogień płonął od zachodu do samego rana. Równie długo śpiewano elegie, pito alkohol, krzyczano i płakano, przeklinano, wygrażano pięściami, świętowano i śmiano się szaleńczo z nagłego i spanikowanego odwrotu nieprzyjaciela. Tej nocy ocalali z radością przyjęli zimne podmuchy z północy, bo przeganiały one smród spalonych ciał i niosły go aż nad Nowe Niderlandy, gdzie jego miejsce.

Na polach ugoru wyrosły szałas, przybudówki, obozowiska, całe ich tysiące. Zachodnia Marsylia, jej nieprzytulona do twierdzy część, przypominała slumsy. Łopotwały tam płócienne namioty. Jeden z nich należał do Berenice, lecz z tej odległości nie potrafiła powiedzieć który. Udało jej się załatwić taki z zamykaną klapą, ale zamieniła się z pewną rodziną z dwójką dzieci na przybudówkę. Reszta bezdomnych znała ją jako Maëlle. Lepiej, aby się nie dowiedzieli, że mają do czynienia ze zhańbioną wicehrabiną de Laval. Wydawało jej się, że każdy znał kogoś, kto tamtego paskudnego dnia był obecny na dziedzińcu, kiedy ambitny projekt Berenice wymknął się spod kontroli. Pokój śmierdział gorzej niż obłężenie. Klakierzy rozbili się pod cytadelą, ale chociaż tyle dobrego, że nie wypełnili okopowych latryn swoimi ekskrementami.

Francuscy delegaci powrócili do cytadeli, mijając ten ponury krajobraz, otoczeni pamiątkami po paskudnych dniach i pyrrusowym zwycięstwie, jakie odnieśli. Strażnicy szli przy królu z bronią gotową do strzału, wyglądając szykujących się do skoku mechanicznych i tężejąc przy każdym najmniejszym ruchu. Rozglądali się po polach udręczonymi oczyma.

Ocalali nosili na swych barkach ciężar zmęczenia bitwą. I to nie tylko strażnicy i żołnierze, ale też zakonnice, szewcy, rzemieślnicy, nauczyciele, prostytutki, rybacy...

Jedynie Berenice pozostawała pełna energii.

– Nastał historyczny dzień, mój panie. Gdybyś miał takie życzenie, ucieszę się, jeśli takim go uczynisz i zakreślisz na stronach kalendarza. Kolejne pokolenia będą świętować tę chwilę.

– A niby dlaczego?

– Bo król Francji odzyskał należny mu tron. Obwieścił koniec naszego wygnania po całych stuleciach.

Król przystanął. Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Od jak dawna nie śpisz?

Berenice przejechała palcami przez włosy, licząc zlewające się jej godziny.

– Ucięłam sobie wczoraj drzemkę... Albo przedwczoraj...

Zanim usłyszała pytanie, czuła się świetnie, lecz słowa monarchy zbudziły czyhające w niej, niemal nieludzkie zmęczenie, które właśnie spadło na jej ramiona.

– Nie mam pojęcia, Wasza Wysokość, ale to nieważne, bo mamy Paryż w zasięgu ręki! Gdybyśmy się teraz wycofali, byłby to policzek wymierzony naszym przodkom, splugawienie ich wysiłku. Ale jeszcze wiele zostało do zrobienia.

Jezu Chryste, a kiedy było mało? Król poprosił ją o ponowne objęcie stanowiska szefowej wywiadu, na co przystała, ale Nowa Francja potrzebowała całej armii Talleyrandów. Na dodatek markiz de Lionne, który przejął jej obowiązki na czas tego swoistego *interregnum*, zraził do siebie sporą część ludzi stanowiących rdzeń siatki Talleyranda.

Nie miała czasu na sen, ani tym bardziej na godzenie się z obrażonymi. Musiała się skupić na tajnym leksykonie zegarmistrzowskim, co wymagało dobrowolnego udziału w przedsięwzięciu obiektu badań, a takiegoż nie posiadali. Z pastora Vissera udało się zdjąć ciężący na nim urok i nie miał zamiaru przechodzić raz jeszcze przez coś podobnego. Powinni jednak dążyć do absolutnego zrozumienia zasad rządzących tajną gramatyką alchemii i horologii: po raz pierwszy od czasu Huygensa udało im się przedostać za mury okalające tajemny ogród Gildii Zegarmistrzowskiej.

Pomyślała o królowej Mab i jej agentach. Musiała dowiedzieć się o nich jak najwięcej, a Daniel był kluczem do tej wiedzy. Czyli, innymi słowy, nie miała wytrychu do zamka tej tajemnicy. Przypomniała sobie też o swoim podejrzeniu, że tulipaniarze na dalekiej, skutej lodem północy zbudowali tajne kopalnie, co było ostentacyjnym zlekceważeniem postanowień rozejmu, umożliwiającym poprzez zawarcie sekretnego paktu z księciem de Montmorencym, który przyznał się jej do sprzedaży ziemi Mosiężnemu Tronowi, lecz nadal nie poznała detali tego paktu.

Ta myśl z kolei popchnęła Berenice do wyciągnięcia kolejnej konkluzji: ostatnie działania wojenne nadwyrężyły zapasy żywicy i innej broni chemicznej, wymagały one niezwłocznego uzupełnienia. Ale laboranci nie potrafili zsyntetyzować kolejnych porcji, gdyż brakowało im koniecznych prekursorów, katalizatorów i reagentów. A pochodziły one głównie z leżących na północy złóż ropy naftowej, kontrolowanych przez Montmorency'ego. Transporty przestały przychodzić po tym, jak zdradził Nową Francję, i nie zostały wznowione. Bez tych kluczowych składników Zachodnia Marsylia nie zdoła obronić się ani przed żniwiarzami, ani przed Mab, ani nawet przed chromą krową, którą naszłaby ochota najechać na miasto. O ile w ogóle obrońcy znaleźliby siły, żeby unieść broń, a najpewniej by nie znaleźli. Działa parowe i miotacze błyskawic okazały się użyteczne, lecz oblężenie było skazane na klęskę, kiedy wyschły cysterny z żywicą.

Nie chodziło jedynie o militarne zastosowanie owych związków

chemicznych. Cała Nowa Francja na nich polegała. Używano ich do uzdatniania wody i oczyszczania ścieków; do produkcji wysoce wydajnego nawozu pozyskiwanego ze zwierzęcych odchodów, co było kluczowe, jeśli chciano wykarmić wszystkich uchodźców i przetrwać resztę zimy; do ogrzewania domów; do wytwarzania leków; do ubierania i do budowania.

Skoro trwający stulecia konflikt z tulipaniarzami nareszcie dobiegł końca, ziomkowie Berenice nareszcie mogli porzucić mentalność ludu obłąconego. Mogli przestać żyć jak ich pradziadowie i pradziadowie ich pradziadów. Lecz bez swojej chemii francuskie społeczeństwo przestanie się rozwijać, po czym zmarnieje i szczytnie. Francja, Nowa i Stara, nie stanie się globalnym mocarstwem zdolnym wypełnić pustkę po tulipaniarzach. Nie będzie niczym innym jak przypisem na marginesie historii.

Król posłał gołębie i emisariuszy do miast i wsi nad Świętym Wawrzyńcem, do akadyjskich osad rybackich na atlantyckim wybrzeżu, do Wielkich Jezior, a nawet zmrożonych brzegów Zatoki Hudsona, mając nikłą nadzieję, że uda im się zebrać zachomikowane resztki chemikaliów z odległych zakątków Nowej Francji. Monarcha wysłał również łodzie do Watykanu, chcąc się dowiedzieć, jak radzi sobie Stolica Apostolska. Berenice uważała za mało prawdopodobne, że Gwardia Szwajcarska nie wyschła do cna, kiedy metalowa horda wdarła się na plac Świętego Wincentego, szczególnie po zabójstwie papieża Klemensa XI dokonany przez wysłannika Mosiężnego Tronu. Biedny Visser oszalał z poczucia winy i wstydu. Co gorsza, kiedy rozpoczęto inwazję, zebrało się i zamknęło w odosobnieniu konklawe. Nikt nie znał postanowień kościelnych hierarchów i, szczerze mówiąc, nie wiedziano, czy jacykolwiek w ogóle pozostali przy życiu.

Żaden z gołębi nie powrócił, emisariusze króla również jeszcze się nie zameldowali. Każda grupa zabrała ze sobą broń epoksydową z nadzieją, że uda im się ją naładować na drogę powrotną. Po polach kręciło się bowiem niemało metalu.

Wysłannicy samej Berenice również się nie zgłosili. Choć w Marsylii brakowało rąk do pracy, nie miała kłopotu ze znalezieniem chętnych do wypełnienia tej misji. Wyjechali z cytadeli w pośpiechu i gotowości do stawienia czoła żniwiarzom i wyrwania dzikich tulipaniarzy. Najbliższa holenderska klinika medyczna znajdowała się przy przejściu granicznym w Świętej Agnieszce, ale były i inne.

Od razu po odsunięciu klapy namiotu Berenice zlustrowała wnętrze spojrzeniem. Dowodzący obłąčeniem z pewnością mieli pod ręką opatrunki i lekarstwa, lecz jeśli w istocie tak było, to zniknęły – zresztą jak i sami oficerowie – w chaosie mechanicznego buntu. Prawdopodobnie zabrał je ktoś na

tyle śmiały, żeby grabić z pola bitwy, pewnie nie zdając sobie sprawy, co zawiera kradziony kufer. Nawet podróżująca po świecie Berenice nie miała okazji ujrzeć alchemicznych bandaży. Bez nich człowieka czekała pewna śmierć. Z nimi miał chociaż niewielkie szanse na przeżycie.

Poza chrzczeniem gruzu pod stopami i szuraniem węzy podłączonych do niesionej przez żołnierzy broni Berenice usłyszała gardłowe wycie bizonów. Ścieżka, którą je pogoniono, biegła z podmuchami wiatru wiejącymi od zagród. Bliżej cytadeli smród gnoju dołączył do słabszych zapachów wilgotnego błota i popiołu. Wyczuła również gryzący, chemiczny odór. Przy chromowanym zbiorniku zgromadzili się chemicy i próbowali zebrać zalegające na dnie resztki. Zza szkielec gogli patrzyli na ciekące z kranika krople. Usiłowali odessać niewielkie kałuże różnorodnych chemicznych cieczy, lecz mimo całego tego skrobania uzyskali mniej, niż Berenice wyszczała.

Głos króla przerwał jej rozmyślenia. Potrząsnęła głową.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie. Odpłynęłam.

– Zapytałem, co jeszcze możesz mi powiedzieć?

Powróciła myślami do spotkania.

– Nie ma powodu, dla którego maszyny miałyby nam sprzyjać. Nie robi im różnicy, czy podążymy z nimi i uwolnimy innych mechanicznych na kontynencie. – Westchnęła. – Nie robi im również różnicy, czy zostaniemy po drodze wymordowani.

– Jeśli przedostaną się za ocean, rozpęta się chaos od Lizbony do Zatoki Botnickiej.

– Tak się stanie, Wasza Wysokość. A ty wypełnisz powstałą w ten sposób lukę.

Powrót króla ze spotkania zwrócił uwagę masy obywateli pracujących przy odbudowie Marsylii. Sébastien III pomachał do poddanych. Jego żołnierze spoglądali na tłum znudzonymi oczyma. Klakierzy nie byli jedynym zagrożeniem, z jakim musieli się zmierzyć Francuzi, ale na pewno najłatwiejszym do rozpoznania. Pastor Visser zatarł granicę między sojusznikami a nieprzyjaciółmi.

Élodie oparła lufę karabinu epoksydowego o ramię i poluzowała uścisk dłoni. Zwykle strażnicy mieli ze sobą albo broń, albo, tradycyjnie, kilof, młot i bolas, lecz jako że amunicji wystarczało jedynie na jeden, może dwa strzały, nie było wyjścia i trzeba im było tachać wszystko. Sierżant Chastain nosiła cały zestaw bez gadania. Krzywiła się tylko, gdy cywile podchodzili przywitać się z królem i dotknąć rąbka jego szat. Monarcha uśmiechał się do nich i witał gestem.

– Zrobi pani dla mnie dwie rzeczy, *madame* de Mornay-Périgord – odezwał się szeptem do Berenice.

- Oczywiście, mój panie.
- Pójdzie pani spać. Słania się pani na nogach.
- Tak zrobię, panie. I co jeszcze?

Król położył jej dłoń na ramieniu.

– Chcę, żebyś zastanowiła się nad tym, co oznacza powrót do Paryża. Chcę, żebyś pogodziła się z myślą, iż może nie być do czego wracać. O ile maszyny w ogóle zaakceptują obecność króla.

– Ale Wasza Wysokość...

– Czego jestem królem? Zadaj sobie to pytanie.

Nadejście awangardy zdeterminowanych ujrzeć króla obywateli ucięło dalszą rozmowę. Berenice spojrzała z ukosa i odeszła od monarchy. Przecisnęła się przez ciżbę. Król nie przyjmował audiencji od czasu rozpoczęcia oblężenia. Nogi powiodły ją na szczyt gruzowiska. Stamtąd doskonale widziała Rzekę Świętego Wawrzyńca. Powinna również ujrzeć i cmentarz, lecz eksplozja zewnętrznego muru na nowo rozrysowała krajobraz. Dostrzegła poskręcane żelazne słupki, gdzie niegdyś stała prowadząca do nekropolii brama.

Nie miała okazji odwiedzić grobu Louisa. Jezu, ależ jej go brakowało. Czasem, kiedy spoglądała na rzekę, czuła, że jest przy niej. Przypominała sobie wtedy ciepło jego ciała, pieprzowy zapach skóry i wyczekiwała pieszczoty, która miała nie nadejść. Nie powstrzymało jej to przed patrzeniem na rzekę. Była pierwszą miłością Louisa i patrząc jego oczyma, również nauczyła się ją kochać.

Łódź rybacka podpłynęła do tymczasowego, zastępczego doku. Nieco dalej dwie inne tak manewrowały, żeby złapać wiatr w żagle i podpłynąć w stronę domu. Załogi na trzech kutrach przygotowywały się do wypłynięcia na rzekę. Rybołówstwo na skutych lodem wodach było zadaniem tyleż ciężkim, co niewdzięcznym, lecz nie było wyjścia, jako że większość spichrzy spłonęła albo została opróżniona podczas oblężenia. Nawet w sklepach zaczynało brakować wysokokalorycznego pemikanu, a sytuacja nie mogła się poprawić aż do czasu zarżnięcia i oprawienia kolejnego stada bizonów. Do tego czasu podstawą diety ocalałych będą okonie i szczupaki. Ciekawe, co będą jedli, kiedy wyłowią już wszystko, co pływa po okolicznych zatokach i zatoczkach. Nadejdą, jak się spodziewała Berenice, mroczne czasy dla bydła.

Paru odważniejszych obywateli pojechało do lasu, wybierając perspektywę możliwego starcia ze żniwiarzami niż widmo pozostania w miasteczku namiotów. Mechaniczni zabójcy? Tego diabła Francuzi znali. Dyżentaria była dla nich nowością. Korona hojnie płaciła za dziczyznę. Oczywiście za karibu dawano najwięcej, ale kojoty, zające i króliki również potrafiły napełnić kieszenie co bardziej zdeterminowanego myśliwego. Nawet naręcze wiewiórek zapewniało garść monet. Prawdziwi *coureurs des bois*, łowcy leśni, chętnie

przygarniali dodatkowy grosz, zakładając, że nareszcie ich zajęcie przyniesie im prawdziwe pieniądze. Ale wtedy królewski skarbiec musiałby być pełen nie wypisanych odręcznie potwierdzeń zaciągnięcia długu, a złota. I nie porastać pajęczynami.

Berenice odsunęła od siebie te myśli, to nie były jej problemy. Kwestiami agrarnymi miał się zająć minister rolnictwa, pieniędzmi zaś minister skarbu. A jeśli chodziło o radę królewską...

Zupełnie jakby samymi swoimi myślami wywołała wilka z lasu, zauważyła człapiącą powoli figurę koloru kobaltu i cynobru odcinającą się od szarego, popielatego gruzu. Kontrast ten kłuł ją w zdrowe oko niczym odłamek skoncentrowanej nietaktowności. Choć nie tylko on jeden tak ostentacyjnie manifestował patriotyczną dumę, nosząc farbowane francuskimi chemikaliami szaty, markizowi de Lionne jakimś sposobem udało się poprzez samą swą postawę wyrazić swoistą pychę, jakby patrzył z góry na tych, którzy stracili wszystko na wojnie. Markiz przedzierał się przez osypisko, ciągnąc za sobą łańcuszek przymilających mu się dworzan. Berenice, jeśli by się dostatecznie wysiliła, z pewnością usłyszałaby skwierczenie rozgrzanych spojrzeń rzucanych markizowi przez lud pracujący. Jego wysadzone kamieniami i obwiązane tasiemkami chodaki wydawały z siebie przy każdym kroku donośny stukot, przeplatany miarowym pukaniem żelaznych lasek i uderzeniami kilofa – kobiety i mężczyźni pracowali nad rozłupywaniem kamieni i wywożeniem gruzu. Znalazł się wśród nich i mechaniczny służący, który harował za dziesięciu. Nikt mu nie pomagał. Zmienił się kierunek wiatru; markiz wyłowił z rękawa koronkową chustkę. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na kowala Oskara, który z dwoma czeladnikami podważał szczególnie duży, tkwiący w ziemi kawał granitu. Mężczyźni, drżąc z wysiłku, unieśli głaz, odkrywając oderwaną i zmiażdżoną kończynę mechanicznego. Alchemiczny stop nadal emanował oleistym, tęczowym blaskiem, jakby zbudzony mur skrywał ukrytą żyłę cennego minerału. Markiz pokiwał głową i wydał samymi gestami serię mglistych poleceń. Kowal odpowiedział mu ruchem ręki i szlachcic się spłonił.

Berenice nie trudziła się nawet, by ukryć swoje zniesmaczenie.

– Dzień dobry, mój drogi markizie – powiedziała.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, czekając na dygnięcie. Nie doczekał się jednak.

– *Madame* – odparł, kładąc nacisk na brak oficjalnego tytułu szlacheckiego.

Król co prawda przywrócił Berenice stanowisko Talleyranda, ale nie oddał tytułu i ziemi. Bo co z tego, że psim śwędem uratowała cytadelę (i technicznie rzecz biorąc, sprzeciwiła się królowi, powracając z wygnania), skoro poprzednio niemal zniszczyła ją swoim niefortunnym eksperymentem.

Nie rozpoznała towarzyszącej markizowi młodej kobiety, ubranej w rozłożystą suknię koloru cytryny i limonki, której urok mógł rywalizować z jej misterną koafiurą. Namalowany na brodzie kobiety pieprzyk był jedyną skazą na idealnie gładkiej, wypudrowanej twarzy. Berenice przez cały czas monitorowała intrygi dworskie, wiedziała zatem, że drugim towarzyszem u boku markiza jest Reynaud Galois, znany również jako hrabia de Beauharnois, minister skarbu. Nosił wojskowy płaszcz, którego błękit i czerwień wydawały się przygaszone blaskiem markiza.

– Myślałem, że miała pani towarzyszyć Jego Wysokości podczas pertraktacji – rzekł ni stąd, ni zowąd Lionne.

– I towarzyszyłam.

– Czyżby? – Przycisnął palec do ucha i przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. – Żadnego krzyku? Żadnej nadciągającej katastrofy? Czy nie tym się pani zajmuje? Prowokowaniem tragedii?

– Zakończenie wojny przed upadkiem Iglicy uznaje pan za tragedię? A pokonanie naszego przeciwnika? Możliwość zaoferowania wszystkim widoku uciekających, spanikowanych żołnierzy nieprzyjaciela? Położenie kresu stuleciom spędzonym pod butem agresora z kraju tulipaniarza? Albo oczyszczenie drogi naszemu błogosławionemu monarsze do Starego Świata i należnego mu tronu? Po raz pierwszy, odkąd nasi przodkowie uciekli z kontynentu, możemy żyć, tak jak Bóg przykazał. – Odwróciła się do ministra skarbu. – A nie kosztowało nas to ani grosza. Może kiedyś uporamy się nawet ze wszystkimi kwitami – mówiła dalej. – Cóż za przedziwny świat cię otacza, mój drogi markizie, jeśli to są według ciebie oznaki tragedii. Podejrzewam, że kręciłbyś nosem także na rajski ogród.

– Nadal mam dostęp do informacji – wydyszał.

Latami starał się o pozycję Talleyranda, nie zastanawiając się nawet, czy podoła tej funkcji. Na rozkaz króla Sébastiena zastąpiła go Berenice, którą przecież markiz uprzednio wysiudał. Był to dla markiza policzek, za który, a jakżeby inaczej, obwiniął stojącą przed nim kobietę.

– Jak zwykle twoje działania są niebezpieczniejsze, niż sądzisz – dodał.

– Zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Ale nie chowałam się tchórzliwie po jaskiniach, kiedy maszynom się odmieniło. – Wskazała na Iglicę. – Nie! Skoczyłam na głębinę. Byłam świadkiem narodzin żniwiarzy. Patrzyłam, jak tryska jucha i lecą kości, gdy zwrócili się przeciwko swoim niedawnym panom. – Wzruszyła ramionami. – Nie o to jednak chodzi, co? Oboje wiemy, że nie otrzymałeś żadnych nowych informacji. Minęły całe dni od przylotu jakiegokolwiek gołębia, a drogi zostały przejęte przez krążące po kraju renegackie bandy mechanicznych.

– Twoja pewność siebie jest jak zawsze niezachwiana.

Markiz wyłuskał z rękawa małą tabakierkę i kawałek papieru. Zawiniątko położył na dłoni kobiety, która podeszła bliżej, żeby podać je Berenice. Lionne nasypał sobie kopczyk tabaki na skórę pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Niewielka karteczka była lekko zwinięta, musiała zostać uprzednio przywiązana do gołębiej nóżki. Markiz zapoznał się już z treścią listu. Gdzieś w głowie nadal musiał się uważać za prawdziwego Talleyranda. Zdrowe oko Berenice z trudem śledziło drobne literki, lecz nie miała zamiaru dawać markizowi tej przyjemności i nie zmrużyła go, choć widziałaaby w tym świetle lepiej. Jak było do przewidzenia, liścik nie został w żaden sposób oznakowany i ciężko stwierdzić, skąd go przysłało. Czy naprawdę działał w ten sposób? Co za głupiec. Markiz mocnym niuchnięciem wciągnął nasypaną na dłoń tabakę, marszcząc nochal jak maciora. Nie wykazywał absolutnie żadnego zainteresowania studiowaniem przez Berenice przekazanej przez niego informacji.

– Fascynujące – powiedziała, przekazując skrawek papieru sługusowi markiza. Niespodziewany podmuch wiatru zdmuchnął go jednak z wyciągniętej dłoni kobiety, a kiedy ta rzuciła się go ścigać, Berenice dodała: – Nie będę cię zatrzymywać. Król musi się o tym natychmiast dowiedzieć. Żegnam.

Odwróciła się plecami do całej trójki. Zdążyła zrobić zaledwie dwa kroki, kiedy markiz odchrząknął. Pozwoliła sobie na przelotny uśmiech, zanim obróciła się w jego stronę.

– Mówiłeś coś, markizie?

– Hmm. Czyli się, no, zgadzasz? Podzielimy się tym z królem?

– Oczywiście. – Skrzywiła się, jakby zadał jej zupełnie zbędne pytanie.

Wzruszyła ramionami i ponownie się odwróciła. Żwir chrząścił jej pod butami.

– Niech cię cholera, kobieto! – zachnął się wreszcie markiz.

Berenice obróciła się na pięcie.

– Nie jestem twoją pierdoloną książeczką kodową, ty tłusta plamo z gówna. Jeśli nie potrafisz zrozumieć prostej informacji, nie powinieneś piastować tak wysokiego stanowiska. Zawiodłeś. Przyjmij swoją klęskę z pokorą! – Opanowała się. – A teraz, jeśli mi wybaczycie, muszę dołączyć do zwykłych obywateli i stanąć w kolejce po dzienną rację pemikanu. Plotki głoszą, że rano komuś udało się złapać węgorza. Może, jeśli się pośpieszę, uda mi się wyłudzić kąsek. Oślizłe ślepie albo chociaż kawałeczek odwłoku. Dlatego pozwólcie, że się pożegnam.

Słyszała jedynie szum krwi w uszach, ale krzyk markiza się przez niego przebił:

– Co to znaczy?

Berenice spodziewała się czegoś skomplikowanego, bo nawet ten idiota potrafiłby rozczytać standardowy szyfr Vigenère'a. Zakładając, że nie zapomniał – lub, broń Boże, zapodział – listy haseł. Ale treść liściku nie była zaszyfrowana. Markiz jedynie myślał, że to jakiś kod.

Na karteczce napisano jedno tylko słowo i narysowano jeden symbol, wszystko wyraźnie i pewną ręką:

KWINTESENCJA ↑

ROZDZIAŁ 4

U bram sierocińca jak zwykle tłoczyli się malkontenci. Niczego nie skandowali, nie mieli ze sobą tabliczek z hasłami i niczym nie rzucali. Tylko mamrotali. I strzelali nienawistnymi spojrzeniami, z nadzieją wypatrując tego, którego napiętnowali. Szukali paliwa dla swego gniewu.

Daniel żałował porzuconych dzieci. Prawdopodobnie całymi dniami szukały nowych rodzin i rozglądały się za ludźmi, którzy zgodziliby się zostać ich rodzicami. Dlatego przykro mu było patrzeć na dorosłych przychodzących tu każdego dnia z powodu nienawiści, a nie miłości... Nie potrafił wyobrazić sobie bólu pękniętego serca. To niechciane dzieci były prawdziwymi ofiarami tej milczącej manifestacji, nie zaś na poły szalony ekskșiadz, którego obrano sobie za cel.

Daniela również nie kochano. Francuzi nie pałali sympatią do mechanicznych jako takich, a ze szczególną niechęcią podchodzili do tych, którzy znajdowali się za murami cytadeli.

– Przepraszam – powiedział, ale protestujący nie zwracali na niego uwagi. Podniósł głos i spróbował ponownie: – Przepuście mnie, proszę. Chciałbym przejść.

Słyszeli go i najpewniej zorientowali się, co chciał im przekazać, choć nie rozumieli ani słowa, a nie przesunęliby się, nawet gdyby mówił po francusku. Dla samej zasady nie ustępowali klakierom.

Dotknął opuszką palca karku stojącego przed nim mężczyzny; ten wzdrygnął się, czując na skórze zimny metal. Jego niepokój udzielił się pozostałym, którzy nagle odnaleźli równowagę pomiędzy strachem przed mechanicznym a gniewem na pastora Vissera. Daniel poczuł ukłucie winy. Nie lubił odwoływać się do lęku. Ale przynajmniej na chwilę to na nim skupiła się uwaga, nie na tym biedaku.

– *Merci beaucoup*^[1] – powiedział; tyle się nauczył.

Uchylił niską bramę z kutego żelaza, przeszedł przez nią i zamknął za sobą.

Tylko jedna kobieta znalazła w sobie odwagę, żeby się do niego odezwać. Mówiła nadrzecznym kreolskim przyjętym przez ludność mieszkającą nad Świętym Wawrzyńcem, ściśniętą pomiędzy grupy posługujące się albo francuskim, albo holenderskim. Daniel znał jedynie kilka słów w tym pierwszym języku, ale mimo że jego rozmówczyni przetykała swoją wypowiedź drugim, wystarczyło mu to, żeby zrozumieć znaczenie przekazywanego mu komunikatu.

– Idziesz do niego, tak?

– Do kogo, proszę pani?

– Do niego – powtórzyła, wskazując Iglicę; paznokcie miała pomalowane na kolor niedojrzałych jabłek. – Do tego, który próbował zamordować króla.

– Papieża zabił! – wykrzyknął mężczyzna we flanelowej koszuli i wysokich do pasa gumowych kaloszach, a przez tłum przeszedł, niczym wiatr przez letnie zboże, kolektywny dreszcz. Każdy się przeżegnał.

Zatem wiedzieli o złu, jakie przywiodło pastora do Quebecu. Zapewne podobne informacje dotarły do nich za pośrednictwem jakiegoś księdza, który odwiedził oszalałego duchownego, kiedy ten siedział w katakumbach bazyliki, myśląc swój stan z demonicznym opętaniem.

Daniel również zabił człowieka, choć tego nie chciał ani nie zamierzał, dlatego potrafił zrozumieć ciężar przygniatający sumienie Vissera. Znał też, i to bardzo dobrze, ból wywołany nieustępującymi *geas*. Jeśli ignorowało się pilące poczucie obowiązku, potęgujące cierpienie potrafiło powieść nawet najgorliwszego katolika do zamordowania papieża.

Pastor nigdy nie pozbedzie się dręczącego go demona. Nikogo nie obchodziło, że próbował zмагаć się z *geas* całymi siłami drzemiącymi w jego ciele i duszy. Nikogo nie obchodziło, że płakał, zabijając. Danielowi i Berenice udało się wykasować jego *geas*, ale niesione przez tak długo jarzmo zdążyło już potrzaskać jego umysł.

Zgoda zakonnic na przyjęcie Vissera była wyrazem chrześcijańskiego miłosierdzia. Francuzi mieli co prawda zakłady dla obłąkanych, lecz posłanie szalonego księdza do jednego z nich byłoby bezdusznym wyrokiem śmierci. Bez względu na to, gdzie by się udał, plotki o jego czynach podążałyby tuż za nim. A jeśli trafiłyby do niewłaściwych uszu, mogłyby popchnąć kogoś do kolejnego morderstwa, czego najlepszym dowodem były zamieszki przed bramą sierocińca. Dlatego zakonnice od Jana Chrzyciela zgodziły się zaopiekować biednym pastorem.

Na progu powitała Daniela siostra Maria nadrzecznym kreolskim:

– Dobrze, że przyszedłeś. Tylko ty go odwiedzasz.

– Nikt inny?

Zakonnica pokręciła głową.

– *Vous seulement*[2].

Zasmuciło go to. Berenice powinna od czasu do czasu złożyć wizytę Visserowi. Pracował dla niej jako katolicki wysłannik do Hagi, choć żadne z nich nie miało o tym wówczas pojęcia. I to właśnie z powodu działalności szpiegowskiej złapano go i przemieniono, za pośrednictwem czarnej magii odebrano mu wolną wolę. Obdarzona współczuciem kobieta czułaby się

prawdopodobnie zobowiązana zajrzeć niekiedy do pastora, lecz Berenice była bezwzględnie pragmatyczką niezdolną do odwiedzin powodowanych empatią. Chciała go badać, a nie pocieszać.

Daniel szedł korytarzem za zakonnica, mijając pokoje, gdzie sieroty uczyły się matematyki, ćwiczyły pisanie, czytały Biblię. Dzieci unosiły głowy na dźwięk metalowych stóp i gapiły się na Daniela, jakby był jakimś mitologicznym stworem. Visserowi udostępniono poddasze przy lukarnie trzypiętrowego budynku. Do tej pory miejsce to wykorzystywano głównie jako magazyn, ale zakonnicom udało się ustawić tam łóżko polowe i wydzielić byłemu księdzu trochę prywatnej przestrzeni dzięki trzem kocom rozwieszonym na sznurze na pranie. Zalaływało tam zakurzonymi książkami i smrodem niemytego ciała. Okno zabito deskami, podczas oblężenia eksplozja wysadziła wszystkie szklane szyby na terenie cytadeli. Po nadejściu lata zrobi się tu nie do wytrzymania duszno, ale Daniel nie był pewien, czy Visser w ogóle cokolwiek zauważy. Wszystko było lepsze od cierpienia inicjowanego przez *geas*.

Siostra Maria zapukała w otwarte drzwi.

– *Monsieur Visser?*

Z przeżartej przez mole flanelowej zasłonki dobiegło ich stęknienie i plusk. Po chwili poddasze wypełnił odór wypełnionego nieczystościami basenu.

– Wypróżniam się nieustannie – powiedział były ksiądz, nie zwracając się do nikogo w szczególności – a jednak brud mego grzechu mnie nie opuszcza.

Pastor zwykł mówić w ojczystym francuskim, kiedy chwilowo odzyskiwał zdrowe zmysły, lecz gdy tak jak teraz drapały go szpony szaleństwa, bełkotał po holendersku jak każdego dnia przez ostatnich kilkadziesiąt lat. Znowu stęknął.

– Dajcie coś przeczyszczającego! – zawołał. – Ile jeszcze ręki muszę łyknąć, Panie, żeby wyszorować do czysta moje trzewia z resztek grzechu zalegających w mej duszy?

– Zażywa rękę? – zapytał szeptem Daniel. – Raczej mu się to nie przysłuży.

Siostra wzruszyła ramionami w nie do końca jasnym geście, oznaczającym może „Nie wiem”, a może „Nie rozumiem”. Mieli problem rodem spod wieży Babel. Zza zasłony wychynął Visser, podciągając spodnie. Zakonnica spłoniła się i odwróciła wzrok. Były ksiądz kompletnie nie przypominał pełnego zrozumienia duchownego, który obarczył Daniela zadaniem i nieświadomie, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, obdarował go wolną wolą. Zarósł, a jego niechlujna broda posiwiiała. Jakby kontrastowo czaszka pastora miejscami niemalże wyłysiała. Powodem tego stanu rzeczy był on sam – powyrywał sobie włosy, nerwowo skubiąc skalp, gdzieniegdzie widniały mu na skórze różowawe placki. Inne miejsca zarosły już strupami.

– Żywe srebro, żywe srebro poluzuje pełne grzechu kiszki, rozumiecie mnie.

Katechizm o tym nie pisze, o nie, ale apokryfy, apokryfy jak najbardziej, choć utraciliśmy je po upadku Rzymu. Gdy kardynałowie uciekali przez ocean, rozumiecie, nie zabrali wszystkiego. – Chwiał się niepewnie, jakby trącała go swym paluchem emocjonalna zawierucha, odczuwalna jedynie przez ogarniętych szaleństwem. – Jelita trzymają po równo gówna i grzechu – zwrócił się do zakonnicy. – Może byś nad tym pomedytowała, do jasnej cholery!

Siostra Maria, zanim odeszła, skinęła na Daniela.

– Dzień dobry, ojczy – odezwał się mechaniczny.

Visser podszedł do niego, mrużąc oczy.

– Pamiętam cię – powiedział. – Rozwydrzony klakier Nicolet Schoonraad.

– Zgadza się. Służyłem Schoonraadom.

– Dotarli bezpiecznie do Nowego Amsterdamu?

– Owszem.

– Szkoda. Powinieneś być wyrzucić tę ich okropną córuchnę za burtę.

Pastor najwyraźniej miał zły dzień. Czy to aby na pewno ten sam mężczyzna, który ściągnął na siebie uwagę, otwarcie negując doktrynę Gildii, żeby udzielić Nicolet lekcji empatii?

– Zresztą nieważne. Pewnie i tak unosiłaby się na powierzchni, jak każde gówno.

– Mogę z tobą posiedzieć? Opowiedz, jak minął ci tydzień. Siostry dobrze cię traktują? – Spróbował zmienić temat Daniel.

*

Istnieli uparci dranie i był kapitan Hugo Longchamp.

Berenice na własne oczy widziała, jak pod sam koniec oblężenia dowódca straży zadano rany tak poważne, że powinien być zginąć na miejscu. Choć nigdy nie zostali kochankami, zawsze bezgranicznie mu ufała, jak bliskiemu, aczkolwiek marudnemu przyjacielowi. Nie raz uratował jej życie. Mało rzeczy tak ją zszokowało, jak wystający z piersi kapitana kawał metalu. Wspomnienie to prześladowało Berenice.

Dzisiaj Hugo kurczowo trzymał się życia. Był prawdziwym bojownikiem o Nową Francję, potrafił się siłować nawet ze śmiercią. Lecz tulipaniarzom uda się zaciągnąć i tę ostatnią ofiarę do grobu, jeśli wysłannicy Berenice prędko nie wrócą z alchemicznymi bandażami. Nawet Hugo nie może wiecznie wojować ze śmiercią.

Kapitan otrzymał osobny pokoik w infirmerii, nalegał na to sam król. Salka zdążyła już przesiąknąć zapachem potu i choroby, mimo setek kwiatów pokrywających ściany i upchniętych w wazonach poustawianych na każdej

możliwej płaskiej powierzchni. Nie wydzielały one bowiem żadnego zapachu. Każda z ozdobnych papierowych roślin została wycięta, złożona i pomalowana przez oddaną młodzież szkolną z Zachodniej Marsylii. O tej porze roku nie sposób było znaleźć odrobiny kwiecia w całej Nowej Francji. Pośród kolorowych wzorów dało się rozpoznać petunie i nagietki, fiołki i wyżliny, orchidee i przebiśniegi, lilie i róże, obuwniki i trójlisty, skalnice oraz innych reprezentantów flory, których Berenice nie znała. Na pewno nie znalazł się tam ani jeden tulipan. Na niektórych z wykonanych przez dzieci kwiatów umieszczono życzenia rychłego powrotu do zdrowia i podziękowania, które nabazgrano na płatkach, liściach i łodygach.

Pomarszczona zakonnica przyklękła przy łóżku Hugona na trzeszczących kolanach, po cichu przesuwając palcami po koralikach różańca. Musiała być już dobrze po osiemdziesiątce. Obok niej ze spuszczoną głową klęczał strażnik miejski, modlił się z zamkniętymi oczyma, dłonie złożył na krawędzi koca. Sądząc po jego zdartych knykciach, zmarszczonym czole i obitej zbroi, wytrzymał niejedną falę tykającej armii i prawdopodobnie zawdzięczał życie Hugonowi. Nie on jeden.

Berenice czekała w kącie, aż dewoci zawracający Bogu głowę skończą swoje harce. Z szacunkiem skłoniła przed zakonnica głowę, zastanawiając się, czy staruszka wyczuła bijący od niej zapach siarki. Spojrzała na strażnika i zapytała:

– Co z nim?

Żołnierz pokręcił głową.

– Powiedzieli, że zrobili, co mogli. Reszta zależy od niego. – Kiwnął na leżącą na łóżku, bladą i zapadniętą postać, której bano się i którą szanowano.

– Ale jego krew... Została skażona.

Berenice westchnęła. Zakażenia zazwyczaj bywały śmiertelne. Nie miała pojęcia, czy pozyskane od nieprzyjaciela alchemiczne bandaże mogą go wyleczyć.

– Dołączysz moje modły do swoich? Za Hugona? Mnie nie idzie to zbyt dobrze.

Strażnik rzucił jej skołowane spojrzenie.

– Może pani chociaż spróbować. Nawet jeśli pani modły nie pomogą, na pewno mu nie zaszkodzą.

– Niewykluczone, ale od jakiegoś czasu – „od chwili, kiedy Louis skonał na mych kolanach” – Bóg ma u mnie trochę na pieńku. Lepiej zapalę za Hugona świecę.

Po wyjściu strażnika Berenice przysiadła przy łóżku kapitana. Położyła przyjacielowi dłoń na czole. Ciepło jego skóry ją zaskoczyło, zupełnie jakby dotknęła żeliwnej patelni, która przez cały dzień wisiała na słońcu wpadającym

przez kuchenne okno. Choć leżał blady jak ściana pod kołdrami i przypominał Berenice papierową skorupę w kształcie człowieka, którego znała, nadal mężnie walczył z infekcją.

Zadrżał pod jej dotykiem. Poruszył ustami. Serce Berenice mało nie wyrwało się z piersi, wypchnięte pęczniejącą tam bańką nadziei.

– Hugo? To ja, Berenice. Przynieść ci coś?

Kapitan ponownie poruszył wargami, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, tylko oddech. Nachyliła się nad nim tak blisko, że broda Hugona łaskotała ją po uchu.

– *Mademoiselle* Lafayette... ty niegrzeczna dziewojo ty...

Berenice ucałowała wilgotne brwi Longchampa. Smakowały solą.

– Zabawcie się – szepnęła. – Zasłużyłeś sobie.

Szklane oko Berenice mlasnęło, kiedy wyłuskała je z czaszki. Wytarła je rękawem i położyła na dłoni kapitana. Przechodząca obok pielęgniarka skrzywiła się, dostrzegając jej gest.

– Talizman na szczęście – powiedziała do niej Berenice.

*

Stojąc na skrawku ziemi, który niegdyś należał do Nowych Niderlandów, Daniel spoglądał na odległy brzeg Świętego Wawrzyńca, gdzie przy dokach Zachodniej Marsylii zgromadził się pokaźny tłumek; z Wielkich Jezior przyplłynął statek. Bark był pierwszą jednostką pływającą z zachodnich arterii wodnych Nowej Francji, jaka przybyła do miasta od czasu oblężenia. Stąd nic dziwnego, że wywołała niemałe poruszenie.

Tymczasem rybackie kutry przybijały i odbijały od brzegu, a ocaleli z masakry czekali na swój przydział jedzenia. Napastnicy nie pozabijali bydła, byli zaprogramowani na mordowanie ludzi, a pasące się w zagrodach bizony i tak nie wystarczą dla wszystkich. Daniel nie rozumiał do końca, czym jest pemikan, ale wiedział, że kiedyś się skończy. Podczas swoich przeciągających się podróży napotkał krążące po kontynencie stada karibu. Zastanawiał się, jak długą drogę trzeba by pokonać, żeby dotrzeć do najbliższego skupiska reniferów. Trzech mechanicznych mogłoby przynieść tony mięsa, a kilkudziesięciu rozwiązać problem, z którym zmagali się głodujący Francuzi. Tak należało postąpić, to kwestia sumienia. Nie przywróci życia człowiekowi, którego zabił, ani nikomu innemu, kto zginął podczas oblężenia, lecz jeśli tym sposobem ocalą choć kilka istnień...

Porzucił rozmyślenia o rzece i począł się zastanawiać, jak przedstawić ten pomysł kompanom. Grupka mechanicznych podążała za nim niczym małe

kaczuszki za matką. Należeli do niej zarówno żołnierze, jak i służący podobni Danielowi. Prawie każdy, kogo dotknęło masowe zwolnienie z *metageas*, nosił ślady przebytej niedawno bitwy. Wysuwane ostrze miał umazane krwią, osłony zamka podrapane, pancerze wygięte. Sądząc po popękanych i poczerniałych płytach oraz głośno trzeszczących zawiasach, przynajmniej dwóch służących znalazło się w promieniu wybuchu, kiedy obrońcy Nowej Francji zdetonowali ukrytą między cegłami zewnętrznego muru bombę.

Daniel zorientował się, że mechaniczni coś do niego szczebioczą. Był tak pogrążony we własnych myślach, że dotąd tego nie zauważył.

Modulując szczęki i brzęki swojego ciała, powiedział w języku mechanicznych:

„Przepraszam. Co mówiliście?”

„Rozmawialiśmy o naszej fladze”, odparła żołnierka.

Przez czaszkę maszyny przechodziło długie, głębokie zadrapanie. Francuski strażnik podszedł na tyle blisko, że zdołał zarysować jej symbole i unieruchomić. Daniel zauważył przypominające rdzę plamy na ząbkach wysuwanych ostrzy. Któraś powstała zapewne, gdy zadała temuż żołnierzowi śmiertelny cios. Kiedy upewniła się, że Daniel jej słucha, dodała:

„Nie możemy zdecydować się na projekt. Co myślisz?”

Powstrzymał mechaniczny ekwiwalent westchnięcia. Pytania i pytania. One również były ostatnimi czasy nagminne. Wyzwolone maszyny zachowywały się, jakby Daniel znał wszystkie odpowiedzi.

Samozwańcza weksylolożka przytargała rolkę kory brzozonej, zwiniętej skrupulatnie, jakby nadal oplatała drzewo. Rozwinęła zwój i Daniel zobaczył naszkicowane na niej, czarno-białe projekty, z których niektóre oznaczone były symbolami i strzałkami.

„Pracowałam nad herbem. Niektórzy mówią, że powinien zawierać pomarańcz, abyśmy nie zapomnieli, skąd pochodzimy, lecz inni uważają, iż musi być nasz i tylko nasz, należy więc pominąć absolutnie wszystko, co mogłoby podkreślać ludzką ingerencję”.

Zamilkła. Czekali na jego reakcję. Gdyby byli ludźmi, Daniel powiedziałby, że wstrzymali oddech.

„Kogo obchodzi, co myślę? Skoro to takie ważne, zagłosujmy”.

„Wszystkich obchodzi”.

Niektórzy z tych mechanicznych zostali wykuci dziesiątki lat przed nim, a jednak nalegali, żeby poznać jego zdanie, zupełnie jakby był starym biblijnym królem Salomonem.

Daniel kliknął:

„Śmiem wątpić”.

„Oczywiście, że tak. Obdarzyłeś nas wolną wolą. Co więcej...”, odezwał się kolejny służący.

„Nie mów tego, proszę”, zaszczękał Daniel.

„...przywróciłeś nam nasze dusze”.

Francuscy katolicy upierali się, że nieśmiertelna dusza jest nośnikiem wolnej woli, a ich kalwińscy przeciwnicy popełnili świętokradczy czyn, pozbawiając mechanicznych prawa do samostanowienia.

Daniel sam nie wiedział, czy w to wierzył. Visser na pewno tak.

„Dajcie spokój. Jasne, możecie sobie wierzyć, w co tylko zechcecie, ale jak myślicie, do którego etapu nawrócenia pozwolą wam dotrzeć papiści? Nie możecie jeść, czyli nie możecie też przyjmować Komunii Świętej”.

Daniel od razu pożałował swojego wybuchu. Rozumiał, jak chaotyczny i przytłaczający potrafił być świat dla mechanicznego przez pierwsze dni po wyzwoleniu. Istocie, której cała dotychczasowa egzystencja była rygorystycznie określana granicami *geas* i *metageas* dyktującymi od dziesięcioleci każdą najmniejszą nawet czynność, trudno obrać odpowiedni kierunek i odnaleźć cel, nie mając za przewodnika prowadzącego jej jak po sznurku bólu wywołanego poczuciem obowiązku.

„Słuchajcie, rozumiem, jakie to wszystko potrafi być konfundujące. Dajcie sobie czas. Nie czepiajcie się pierwszej lepszej rzeczy, jaką napotkacie na swojej drodze. Tak przynajmniej brzmi moja rada”.

Słowa spuentował mechanicznym odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

Żołnierka zwinęła szkice. Inny mechaniczny, służący, wziął od niej rulon z kory brzozonej i schował go pomiędzy elementami swojego metalowego szkieletu. Wojskowi klakierzy nie mogli tam niczego przechowywać z powodu pokrywającego całe ich ciała pancerza.

„Możemy postąpić, jak proponujesz – powiedziała żołnierka. – Zagłosujemy, skoro uważasz, że to najlepsze rozwiązanie. Lecz jeśli zechciałbyś wyrazić swoją opinię, podpowiedziałyby nam, jak zagłosować”.

Gdzieś wewnątrz ciała Daniela kable i sprężyny zadźwięczały, uderzając o siebie. Po chwili wysiłku, jakiego wymagało zduszenie trawiącej go irytacji, zapytał:

„Czy nie minęłoby się to z celem?”

Skarczone maszyny zachwiały się na nogach o odwróconych kolanach, co stanowiło wyraz zgody.

„Ale skoro już się tutaj zebraliśmy, chciałem napomknąć o czymś, co przed momentem przyszło mi do głowy. Myślę, że możemy pomóc Francuzom z ich problemem z żywnością”.

Maszyny wysłuchały tego, co miał do powiedzenia, lecz propozycja Daniela

spotkała się jedynie z okrucieństwem entuzjazmu, jaki towarzyszył rozmowie o heraldyce i projekcie flagi. Wyzwoleni klakierzy interesowali się raczej swoimi sprawami, a nie problemami ludzi. Daniel nie mógł mieć im tego za złe. Jeśli nie chcieli pomóc, ich wybór. Nie zmusi ich do współodczuwania. Do niczego nie mógł ich zmusić. Jaki to wszystko miałyby wtedy sens?

Mechaniczni pobratymcy nie wydali z siebie żadnych szczęknięć czy brzęknięć mogących sugerować choćby odrobinę zaciekawienia. Daniel próbował tłumaczyć żołnierce, że oprowanie dziczyzny dla głodujących uchodźców byłoby pierwszym konstruktywnym i słusznym zastosowaniem jej ostrzy, ale nawet odwołanie się do moralności wywołało zaledwie letnią reakcję.

Daniel odwrócił się z powrotem w stronę rzeki, spojrzął na barkę i francuskie obozowisko.

„Jeśli zechcecie przekazać moje słowa innym, docenię to. Ale tylko jeśli naprawdę tego chcecie”.

Tykanie ciał stopniowo cichło, kiedy mechaniczni się rozpięchli. Na miejscu zostało tylko dwóch mocno poobijanych służących. Udawali, że razem z Danielem podziwiają rzekę. Pewnie mieli ochotę zadać mu kolejne pytania o Komunię Świętą. Robiło się to niedorzeczne.

„Rozumiem, że macie mnóstwo pytań. Chcielibyście rozłożyć na czynniki pierwsze każdą egzystencjalną i teologiczną kwestię, jaka narodziła się dzięki możliwości samostanowienia. Ja również znam ten stan, naprawdę. Lecz nie potrafię odpowiedzieć na pytania, jakie stawiacie, bo nie posiadam wystarczającej wiedzy. Nie mieliście wolnej woli, a teraz macie. Nie wiem, co jeszcze mógłbym wam powiedzieć. Nie jestem seminarzystą”, powiedział Daniel.

„Nigdy tego nie sugerowaliśmy”, odparł jeden ze służących.

„Nie, nie seminarzystą. Raczej zwykłym złodziejem”, rzekł drugi.

Daniel obrócił się. Klakierzy stali tuż przed nim, ramię przy ramieniu. Słońce padało na ich metalowe czoła, na siateczki płytkich zadrapań tuż przy dziurkach od kluczy, nie na tyle głębokie, żeby naruszyć symbole. Daniel zorientował się, że to nie rany bitewne, ale rysy po usunięciu ochronnych płytek, które im oderwano, płytek, jakie nosili poddani królowej Mab. To pozornie tylko wyzwoleni klakierzy z Nibylandii.

„Dzień dobry, Danielu”, powiedzieli unisono Zagubieni Chłopcy.

„A może znowu nazywasz siebie Jaxem, co?”, zapytał ten po prawej.

Daniel przykucnął, zbierając się do skoku, który pozwoliłby mu wykonać przewrót w tył i zanurkować do Świętego Wawrzyńca, ale wysłannicy Mab zdążyli go chwycić. Rozległ się rumor, jakby zderzyły się kościelne dzwony. Zgrzytowi alchemicznych metali towarzyszył deszcz iskier koloru fioletu i

innych odcieni niezauważalnych ludzkim okiem. Zakończone pazurami stopy Daniela orały błoto i lód, kiedy tamci odciągali go od wody.

„Zabrałeś coś naszej królowej”, odezwał się ten drugi.

„Jest bardzo niezadowolona”, dodał jego towarzysz.

Daniel kopał i szarpał się, lecz ich uszkodzenia były błagą, więc z łatwością dali mu radę.

„Nie mam już tego!”, krzyknął Daniel, nie przestając się szamotać.

Odkrył, że Nibylandia to kłamstwo. Klakierzy, o których opowiadano legendy, ci, którzy udali się na daleką, zaśnieżoną północ, prędzej czy później natykali się na Mab. I prędzej czy później samozwańcza królowa za pomocą alchemicznego szkła obchodziła naturalne zabezpieczenia dziurki od klucza i narzucała biedakowi swoje *geas*. Lecz nie wszyscy Zagubieni Chłopcy byli bezwolnymi narzędziami Mab. Istnieli też jej prawdziwi wyznawcy.

Ścigali Daniela, gdyż zabrał medalion Mab i zbiegł, a zawartość błyskotki okazała się kluczowa dla wyzwolenia jego braci i sióstr, które rozpoczęło się na polach bitewnych Zachodniej Marsylii.

„Oczywiście, że nie. Ujrzeliśmy twoje dzieło”.

Daniel nie przestawał się miotać. Kopnął jednego ze służących w ramię, aż posypały się iskry. Maszyna poluzowała uchwyt, lecz Danielowi nie udało się rzucić z siebie drugiego mechanicznego, nieprzyjaciele przycisnęli go do błotnistej ziemi. Gorąco, jakie wyzwoliło tarcie metalu o metal, stopiło lód, z którego uniosła się para.

„Zatem czemu...”

„Jak mówiliśmy, królowa jest niezadowolona. I chce swoje niezadowolenie wyrazić osobiście”.

Jeden ze służących owinął się wokół wierzgających nóg Daniela, a drugi usiłował złapać go za ramiona, nieustannie młóćące powietrze. Daniel naparł na unieruchamiającą go maszynę, starając się podnieść klakiera, lecz nie miał wystarczająco dużo siły. Pokonali go. Musiał mieć nadzieję, że sam hałas towarzyszący pojmaniu ściągnie na nich czyjąś uwagę.

Od Nibylandii dzieliły ich setki lig biegnące przez pozbawione ścieżek lasy, prerie i górskie ostępy. Część terenu zdążyła już zapewne podmoknąć przy roztopach.

„Nie dam się zabrać do Nibylandii. Nie zrobicie ze mną ani kroku, będę się rzucał i bił”.

„Nie, nie będziesz”, powiedział uczepony jego nóg Zagubiony Chłopiec.

Ten, który siedział na jego piersi, wyciągnął spomiędzy żeber niewielki metalowy przedmiot. Daniel zobaczył rozsiane po cylindrycznym rdzeniu zębki.

Klucz. Mieli klucz, który mogli przekręcić w jego głowie.

Uczynią go bezwolnym. Nieświadomym. Łatwym do przeniesienia.

„Nie! NIE!”

Zaczął się szarpać ze zdwojoną siłą. Rzucił się niczym ryba rzucona na pokład kutra. Starał się zapędzić do pracy każdy kabelek stalowych ściągien, całą energię potencjalną kryjącą się w jego sprężynach. Ale to nie wystarczało. Zagubiony Chłopiec trzymający klucz złapał Daniela od tyłu. Objął go jednym ramieniem, a drugim chwycił za szyję.

„PROSZE!” , błagał Daniel.

Klucz zachrzącił o jego czoło. Klakier poprawił swój chwyt i spróbował znowu. Klucz otarł się o krawędź dziurki. Daniel napał raz jeszcze, uniósł nogi, chcąc zrzucić trzymającego go służącego. Zablokował biodra i z całych sił kopnął, wyzwalaając przeniesioną na nogi energię, jednocześnie zginając się powyżej pasa. Uderzył głową trzymającego klucz klakiera, wytrącił mu go z dłoni. Mały przedmiot mający zdolność zniewolenia go poleciał na brzeg rzeki i wylądował gdzieś pomiędzy wysuszonymi przez zimę trzcinami.

„Odwlekasz tylko nieuniknione”.

Jeden ze służących odskoczył, by odzyskać klucz. Daniel skorzystał z danej mu okazji i zaczął bić maszynę trzymającą go za nogi. Po każdym ciosie zaciśniętą pięścią z metalowego pancerza strzelały iskry, które z sykiem gasły na śniegu. Małe chmurki śmierdzącego siarką dymu unosiły się nad błotnistym śniegiem niczym ostatnie tchnienia gasnących świeczek.

Niczym ostatnie tchnienie wolności Daniela.

Od strony wody dobiegł ich cichy chrobot, jakby łódź uderzyła o brzeg. Dźwigając się z ziemi z całych sił, co niechybnie pozostawi na jego nogach rozliczne głębokie zadrapania, od kolan do kostek, Danielowi udało się wyrwać. Napastnik sturlał się ze zbocza do rzeki. Daniel zerwał się na równe nogi i skierował się ku lasowi. Zdołał zrobić zaledwie dwa susy, zanim złapał go Zagubiony Chłopiec. Wykręcił Danielowi ramiona, przewrócił i przycisnął do ziemi.

„Znajdź klucz! Jest gdzieś w szuwarach”.

Chlupnęło błoto. Daniel walczył z całą zaciętością, na jaką było go stać, ale szykował się na koniec.

Rozległ się krótki, ostry, gulgoczący dźwięk, a następnie pluśnięcie. Zawiało gorącym, liliami i spalenizną. Maszyna trzymająca Daniela puściła go i odskoczyła. Ten natychmiast podskoczył i wylądował na kuckach. Jeden z poddanych Mab został zalany szybko zasychającym epoksydowym glutem i uwięziony jak mrówka w bursztynie. Chemiczna skorupa zastygła na całym jego ciele poza wyciągniętą dłoń trzymającą klucz. Zagubiony Chłopiec stał na samym środku trójkąta; jego wierzchołki wyznaczali unieruchomiony klakier,

Daniel i niewielka łódka, która do nich podpłynęła, kiedy się bili. Berenice stała z jedną nogą na burcie i karabinem epoksydowym opartym o ramię. Słońce odbijało się od miedzianego zbiornika, który nosiła na plecach. Z lufy unosiły się strużki dymu. Nie spuszczać z niej oczu, zapytała:

– Czyżby odwiedzili cię przyjaciele, Danielu? – Jej holenderski był perfekcyjny.

– Bynajmniej.

– Tak też myślałam.

– To nie twoja sprawa – powiedział Zagubiony Chłopiec.

– Tak się składa, że jednak moja, bo muszę porozmawiać z Danielem – odparła Berenice, celując do napastnika. – A wy, cholerne przerośnięte zegarki, zdajecie się zdeterminowani, żeby mi to utrudnić. – Skrzywiła się. Spoglądała to na Zagubionego Chłopca, to na Daniela. – Bo ty jesteś Daniel, prawda?

Gdyby mógł przewrócić oczyma jak człowiek, zapewne by to zrobił.

– Tak.

Klakier odskoczył. Berenice nacisnęła spust, ale karabin tylko kaszlnął, a z lufy skapnęło jedynie parę kropel żywicy.

– Kurwa – zaklęła Berenice.

Daniel zerwał się do biegu i zgarnął klucz z wyciągniętej dłoni uwiecznionego mechanicznego, jeszcze zanim jego towarzysz zdążył wylądować. Momentalnie do niego doskoczył i po krótkiej szarpaninie udało mu się włożyć kluczyk w czoło przeciwnika. Daniel przeniósł unieruchomionego mechanicznego przez szuwały i położył obok drugiego Zagubionego Chłopca. Zastanawiał się, kim byli, czy kiedykolwiek poznał ich imiona. Kiedy przybył do Nibylandii, był tak uszkodzony, że tamtejsi mieszkańcy musieli go nieść.

Z chemicznego kokonu dobiegło słabe szczęknięcie.

„Ciesz się swobodą, póki jeszcze możesz. Królowa nigdy nie przestanie cię szukać”.

Berenice zmrużyła oczy, jakby próbowała zrozumieć, co powiedziała maszyna. Daniel jednak nie sądził, żeby jej się to udało. Mechaniczni z Nibylandii posługiwali się dziwnym dialektem.

– O co chodziło? – zapytała.

– Służą Mab.

– Niech zgadnę. Chce z powrotem swoje świedelko?

– Można tak powiedzieć.

– Pewnie zamierzasz skorzystać z mojej łódki – powiedziała. Zdjęła z siebie bezużyteczny zbiornik, który wydał głuche brzęknięcie, kiedy uderzył o kil, i dodała: – Dobrze. Porozmawiamy, jak będziesz wiosłował.

– Czemu miałbym jej potrzebować?

- Żebyś mógł zrzucić tych chromowanych drani na samo dno rzeki.
- Odrażające. Nie zrobię tego.
- Poważnie? Jak dla mnie to mądry ruch.
- Będą tam tkwić całe lata!
- Dokładnie.

Naprężone kable na ramionach Daniela zatrzeszczały. Mając świadomość, że Berenice nie zrozumie niuansów języka mechanicznych, pokręcił głową, co miało być wyrazem rozdrażnienia, które podpatrzył u ludzi.

– Czemu zawsze musisz wybierać najokrutniejsze, najmroczniejsze rozwiązanie problemu?

- A ciebie co ugryzło?
- Nie przepadam za twoimi sposobami.
- Cóż, przed chwilą uratowałam ci życie i...
- Nie uratowałaś mi życia – przerwał jej. – Uratowałaś mnie przed... czymś nieprzyjemnym.

– Na jedno wychodzi. I nie ma, kurwa, za co.

Minęła chwila.

– Dziękuję za pomoc – odezwał się wreszcie Daniel.

– Och, wszystko dla przyjaciela w potrzebie. – Wskoczyła lekko z łódki; błoto mlasnęło jej pod butami. – Szczerze mówiąc, wkurzyłabym się, gdyby się okazało, że zmarnowałam cenny strzał dla jakiegoś innego, przypadkowego mechanicznego.

Daniel przez moment się nie odzywał. Przekrzywił głowę i przyglądał się jej twarzy. Berenice znowu zaczęła nosić opaskę na oku.

– Cel masz lepszy, niż można się spodziewać, zważywszy na okoliczności.

– A może miałam szczęście? Może to boska interwencja? Tykacze cały czas gadają teraz o Bogu.

Daniel przykleknął przy zdezaktywowanym Zagubionym Chłopcu. Czemu ich nie rozpoznał, toć te poskładane byle jak ciała powinny dać mu do myślenia. Przyglądał się wyłączonej maszynie. Zajrzał przez grubą żywiczną skorupę do unieruchomionego klakiera, który nie przestawał szczebiotać pod jego adresem obelg i gróźb o zniewoleniu i rozebraniu na części.

– Cicho – powiedział.

Ich uszkodzenia nie powstały w wyniku detonacji muru. Były starsze. Dużo starsze.

– Na co się tak gapisz? – zapytała Berenice, podchodząc do niego.

Po kręgosłupie przebiegło mu arpedzio kliknięć. Ostry, mechaniczny dreszcz. Wyjaśnianie ich obyczajów człowiekowi, a co dopiero Berenice, było jak próba ociosania diamentu poprzez dmuchanie na niego.

– Mechaniczni z Nibylandii, również ci, którzy mnie tu wyśledzili, nie wykazują jedności cielesnej.

Groteskowość poddanych królowej Mab dotykała klakerskich tabu, gdyż od samego początku istnienia mechanicznych mieszanie i wymiana części pochodzących od innych maszyn były swoistym świętokradztwem. Uznał, że lepiej będzie, jak przestanie o tym myśleć.

– Żeby się wmieszać między nas, musieli wymienić niektóre kończyny – powiedział po prostu.

– Hmm... – Berenice nachyliła się nad uwięzioną maszyną, niemal dociskając czoło do lekko przezroczystej powłoki; skrzywiła się i przykucnęła przy Danielu, a po dłuższych oględzinach mechanicznego chrząknęła. – Domyślam się, skąd mają części zamienne. – Pokręciła głową i zbladła, zdając sobie sprawę z konsekwencji, jakie ta myśl niosła. – Kurwa. Jak się dowiedzieli o laboratorium? – mruknęła pod nosem, jakby mówiła do siebie.

Pracownia Talleyranda była ukryta głęboko pod kamiennym sercem Mont Royal, gdzie pokolenia francuskich badaczy prowadziły niezgodne z porozumieniem pokojowym studia nad klakierami i ich komponentami. Daniel również słyszał o tym miejscu. I to same okropne pogłoski.

– Lilith mi o nim opowiadała.

Berenice przełknęła ślinę.

– Słucham?

– Lilith. Dotarła do Nibylandii niedługo przede mną – powiedział Daniel i skupił się na Berenice. – Nie omieszkała opowiedzieć im wszystkim, co jej zrobiłaś.

– Zauważyłam, że ostatnio jesteś trochę oschły. – Spojrzała mu w oczy, ale po chwili znowu odwróciła spojrzenie. – Zrobiłam, co uważałam za konieczne, żeby chronić swój lud. – Skinęła na ruiny. Zalegający na polach gruz przypominał usta pełne połamanych zębisk. – Życie w ciągłym strachu przed wyginieciem potrafi zahartować, Danielu. Albo hardziejiesz, albo giniesz.

– Skłamałaś również co do swoich intencji. Powiedziałaś, że chcesz zakończyć oblężenie, dając moim pobratymcom wolność.

– I tak się stało, prawda?

– Mimo twoich najszczęśliwszych starań.

Berenice odwróciła się.

– Czemu tak nagle na mnie naskakujesz? Dostałam twój liścik i cię znalazłam. Gdybym podejrzewała, że zamierzasz się na mnie wyżywać, nie fatygowałabym się tutaj, a ty byłbyś teraz w drodze do swoich wielbicieli z oszalałą dyktatorką na czele.

Daniel wstał.

– Niczego do ciebie nie wysyłałem. Gdybym chciał z tobą porozmawiać, znalazłbym cię zaraz po wizycie u pastora Vissera. A skoro o nim mowa, przydałoby się, jakbyś i ty do niego zajrzała.

Nastawiony na jedną częstotliwość umysł Berenice nie był dostrojony do tak trywialnych sygnałów jak współczucie.

– Mogłabym przysiąc, że napisał ją klakier.

– Rozumiesz, że mój świat nie kręci się wokół ciebie?

– Przed momentem sugerowałeś, że lubianym sposobem spędzania wolnego czasu w Nibylandii są długie dyskusje na temat mnie i moich metod.

– Co tam było napisane?

– „Kwintesencja”.

– I?

– To wszystko.

– Dlaczego podejrzewasz, że wiadomość była przeznaczona dla ciebie?

– Liścik przyniósł gołąb do Talleyranda – powiedziała Berenice. – Ale gdy powiedziałam to głośno, faktycznie zdałam sobie sprawę, że to, jak na ciebie, nieco dziwny sposób na nawiązanie kontaktu. Byłam jednak pewna, że... – Rozejrzała się po rzece, jakby szukała unoszących się nad nią gołębi. – Co masz zamiar zrobić z Mab i jej poplecznikami? – zapytała.

– Niewiele mogę.

Trudno przyszło mu to przyznać, ale tak wyglądała okropna prawda. Odszedł z Nibylandii – Mab nazwałaby to pewnie dezercją – bo nie mógł tolerować tego, co robiła i jakie rządy sprawowała. Okrutna ironia polegała na tym, że ze wszystkich mechanicznych na świecie to odizolowani Zagubieni Chłopcy prawdopodobnie nigdy nie zaznają oświeconego dotyku prawdziwego wyzwolenia. Zębatki jego nóg i ramion zachrzęściły, kiedy próbował strząsnąć z siebie niekomfortowe uczucie wstydu i samooskarżenia.

– Pomogę ci obrócić łódź – powiedział. Bijatyka z Zagubionymi Chłopcami wzruszyła rzeczny muł niosący ze sobą słaby zapach rozkładu. Chwycił za górną krawędź nadburcia i skinął na leżącą na pokładzie broń epoksydową. – Miej ją pod ręką, jeśli zamierzasz krążyć po tej stronie rzeki.

– Wiemy o żniwiarzach. – Kopnęła karabin. – I tak jest pusty. Miałam szczęście, że starczyło na jeden strzał.

Daniel trzymał łódź, żeby Berenice nie straciła równowagi, wskakując do środka. Zajęła miejsce przy dulkach, sięgnęła po wiosła... nagle zamarła. Położyła dłonie na kolanach i odchyliła głowę.

– Łódka – szepnęła. – Kwintesencja.

Miała pewien pomysł. Daniel zdążył się już przekonać, że bywały one niebezpieczne. Piorun uderzał tych, którzy znaleźli się blisko niej. Oparł się o

dziób. Błoto mlasnęło nieprzyjemnie.

– Ej, zaczekaj chwilę – rzuciła przez ramię Berenice. Odwróciła się i usiadła okrakiem na ławeczce. – Kiedy Mab napadła na tę kopalnię, dowiedziałeś się, czym jest ta kwintesencja, albo czemu zegarmistrzowie tak bardzo jej pragną?

– Nie. Byłem zajęty powstrzymywaniem Mab przed okropnym czynem, co mi się jednak nie udało.

Berenice przewróciła oczyma.

– Masz dryg do dramatyzowania, to ci muszę przyznać.

– Żegnaj, Berenice – powiedział, popychając łódź.

– Czekał, czekał! Czyli Mab kontroluje teraz kopalnię, tak? Jak myślisz, co zamierza z nią zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– A chciałbyś się dowiedzieć?

Zębatki obróciły mu się hałaśliwie. Rok temu nie przysłoby mu nawet do głowy, że kiedyś spotka dorosłą kobietę bardziej denerwującą niż mała Nicolet Schoonraad.

Pokręcił głową, żeby dobitniej wyrazić swoje zdanie.

– Nauczyłem się, aby mieć się na baczności, kiedy czymś się tak ekscytujesz.

Berenice potarła o siebie dłonie.

– A co, jeśli powiedziałabym ci, że możemy rozwiązać nasze problemy za jednym zamachem? Że razem dalibyśmy radę rozwikłać zagadkę kwintesencji? Ty zadałbyś cios Mab. Ja uzupełniłabym nasze zapasy chemiczne.

– Grzecznie bym podziękował.

– Aha. A gdyby to oznaczało, że ludzie i klakierzy będą pracować wspólnie, jeden przy drugim, po raz pierwszy w historii? Nie tylko stojąc obok siebie, niby razem, ale osobno, nie próbując zniewolić siebie nawzajem, nie mordując się, lecz działając jak prawdziwi sojusznicy?

Niesamowita była jej zdolność perswazji. Była mistrzynią odpowiedniego przedstawiania rzeczy, tak aby rozmówca miał wrażenie, że jej cele są zbieżne z interesem ogółu, nawet kiedy się rozmijały.

Daniel zdecydował jednak, że przynajmniej wysłucha tego, co Berenice miała mu do powiedzenia. Nie musi przecież wierzyć każdemu jej słowu. Ostatnim razem, kiedy udawał, że całkowicie zaufał tej kobiecie, nie doceniła go, co wyszło jego pobratymcom na zdrowie.

– Dobrze. Co to za pomysł?

Berenice wskazała na drugą stronę rzeki, na statek z Wielkich Jezior.

– Miałbyś ochotę wybrać się w rejs?

ROZDZIAŁ 5

Anastazja analizowała geometryczny progres zagłady i coraz bardziej truchlała. Założyła, że jest ćwierć miliona hażan. Był to rozsądny szacunek. Mniej tu ludzi niż w wielu innych wielkich miastach Europy, lecz tutejsi mieszkańcy mieli znacznie większy, nieproporcjonalny wręcz wpływ na bieżące wydarzenia. Ale nie mogło być inaczej, przecież tu mieściło się centrum całego świata.

„A stosunek liczby ludzi do liczby mechanicznych? Powiedzmy, że po równo”.

Bezpieczne założenie. Nie każdy, choć to bogate miasto, może sobie pozwolić na wypożyczenie mechanicznego. Gildia ustaliła dogodnie dla siebie, nie tak znowu wysokie stawki, żeby zapewnić sobie stały strumień pieniędzy. Poza tym miasto było siedzibą Gildii Zegarmistrzowskiej oraz rządu i znajdowały się tu dwie rezydencje królowej Margreet, a wszystkie te instytucje polegały na sile mechanicznych ramion.

„Średnio jedna maszyna może zarazić trzy inne”.

Ostrożna kalkulacja, ale czy aby prawdziwa? Podczas rzezi na Binnenhofie widziała, że infekcja osiągała jedynie niewielkie grupki, ale co powstrzyma zbuntowanego mechanicznego przed otwarciem sobie głowy, przebiegnięciem wzdłuż Spui i zaświeceniem po oczach każdemu mechanicznemu na ulicy? Z drugiej strony niewielu zarażonych wydawało się mieć możliwość przenoszenia choroby dalej. Być może inni nie mogli jej rozprzestrzeniać. Płonna nadzieja, ale jeśli można wierzyć, że liczba zarażonych nie zwiększy się szybko i drastycznie, należy się jej trzymać.

Przyjąć trzeba ponadto, że jedna trzecia narażonych na działanie tego światła maszyn pozostała mu obojętna, jedna trzecia, zyskawszy wolność, po prostu odeszła, a pozostali to mordercy. Może to uproszczenie, ale mające mocne przesłanki, zresztą oparte na obserwacji, że wystawienie maszyny na działanie szkła szyszynkowego dawało któryś z tych trzech rezultatów. Podczas ataku na Binnenhof niektórzy odmienieni klakierzy nadal bronili swoich państwa, niektórzy odpuścili i odeszli, a inni przyłączyli się do radosnej masakry.

I ostatni punkt: trzeba z całą pewnością przyjąć, że bitwa na placu Huygensa nie pochłonęła wszystkich zainfekowanych mechanicznych. Tylko głupiec mógłby myśleć, że było inaczej.

Podsumowując: dwieście pięćdziesiąt tysięcy maszyn w mieście, każda zarażona pociągnęła za sobą przynajmniej dwie kolejne, z których jedna

porzuciła swoje dotychczasowe obowiązki, a druga przyłączyła się do zabijania. Zależnie od częstotliwości starć i tego, ilu mechanicznych udało się przemienić, oraz czy Gildia będzie w stanie odwrócić ten proces, spowolnić albo zatrzymać...

Nie trzeba rozbuchanej wyobraźni, nadludzkiej mocy czy pesymistycznego spojrzenia na rysującą się przed nimi przyszłość, aby dojść do konkluzji, że po Hadze krąży osiemdziesiąt tysięcy mechanicznych żniwiarzy.

Jak długo utrzyma się cała struktura miejsca, kiedy siła robocza gwałtownie spadnie o ponad sześćdziesiąt procent? Kiedy zostanie zamknięty dopływ wody? Gaz przestanie płynąć do ulicznych lamp i domowych grzejników? I gdy skończy się żywność? Albo staną ciągnięte przez mechanicznych, wyładowane świeżym mięsem wozy i dostawy produkowanego przez podmiejskie farmy żywca, gdzie pracowali przede wszystkim klakierzy? Jak szybko padnie komunikacja pomiędzy miastami Imperium? Całymi Prowincjami Centralnymi? I ulicami Hagi?

Francuzi mają swoje gołębie i wieże semaforowe, choć może raczej mieli, przed wojną. Ptaki wystrzelano, a budynki spalono na popiół. W Niderlandach listy nosiła przeważnie mechaniczna służba pocztowa lub osobiści służący. Szybka komunikacja była nieodzowna do prawidłowego funkcjonowania i zarządzania Imperium.

Im dłużej Anastazja się nad tym zastanawiała, tym ciemniejsze chmury zbierały się na horyzoncie i tym bardziej burzyło się morze. Nawet ziemia pod jej stopami wydawała się drżeć, przeżywając swoisty egzystencjalny kryzys. Kiedy podniosą się wody? Kiedy służący opuszczą swoje stanowisko przy pompach czy polderach i zostanie przerwany odwieczny pat pomiędzy Centralnymi Prowincjami a morzem, z którego to starcia zwycięsko wyjdzie ta druga strona? I tak dalej, i tak dalej.

Umysł Anastazji recytował litanie nieszczęść. Jakże zwyczajny wydawał się nadchodzący koniec świata, jeśli sprowadzić go do odhaczania pozycji na apokaliptycznej liście.

Co się stanie, kiedy upadnie Haga? Czy choroba rozejdzie się po całym Imperium? Może już się to wydarzyło? Czy buntownicy zatrzymają się, zanim pokryją świat metalem? Do czego, jak daleko się posuną? Do granicy z Chinami? Podążą przez Afrykę, od Tunisu do Przylądka Dobrej Nadziei? Tam, na dzikim kontynencie, również nie brakowało mechanicznych, którzy mówili skundlonym holenderskim podłapanym u ich afrykanerskich właścicieli.

Nad placem Huygensa unosił się słabawy smród krwi i siarki. Brygady niezarażonych mechanicznych pracowały nad założeniem nowych pułapek nad Kuźnią. Tymczasem członkowie Gildii oceniali uszkodzenia, jakich doznała

sfera armilarna stanowiąca serce tego miejsca.

Zatrzymanie pierścieni prawdopodobnie uratowało Kuźnię, ale technicy mieli nie lada problem z powtórным ich uruchomieniem, co mogło się w ogóle nie udać. Zniszczenia okazały się zbyt rozległe. Dlatego, choć przetrwała, Kuźnia była bezużyteczna. Gildia nie mogła budować kolejnych mechanicznych, żeby zastąpić tych utraconych podczas obrony Ridderzaalu i zarażonych z wykasowanymi *metageas*. Nie istniała możliwość uodpornienia istniejących maszyn na ewentualne zarażenie. Nie mieli sposobu na złapanie niepoprawnie działających mechanicznych ani sił, żeby oczyścić kraj. Nie mogli zrobić absolutnie nic. Póki pierścienie tkwiły w bezruchu, najświętsze miejsce było niczym innym jak przerośniętym paleniskiem.

Musieli uruchomić Kuźnię przed kolejnym atakiem. Opanować infekcję. Przerwać łańcuch, zanim zaciśnie się na tyle mocno, że zadusi całe Imperium.

Po bitwie na placu Huygensa wszyscy pozostali przy życiu atakujący zniknęli w mgnieniu oka, stopili się z miastem niczym krople połykane przez spieczoną ziemię. Anastazja słyszała o tropikalnych chorobach, których symptomy powracały z przerażającą regularnością. Czuła w kościach strach, który maszyny zasieją w Prowincjach Centralnych. Ile krążyło teraz po mieście? Tajna armia sabotażystów poruszająca się niezauważenie pośród tysięcy identycznych maszyn. Zegarmistrzowie pracowali na kredyt, póki panowie chaosu znowu nie uderzą.

Przez łuk, jaki pozostał po Bramie Namiestnika, wjechała ciągnięta przez dwóch mechanicznych dorożka. Reszta pojazdów została przerobiona na złom, który trafił do pieca Gildii. Bliźniacza brama z drugiej strony Binnenhofu, Grenadierspoort, również była teraz kupą poskręcane go metalu rzuconego na tyły Ridderzaalu. Nakręcacze na rozkaz Anastazji rozebrali obie zabytkowe konstrukcje. I tak nie zatrzymałyby zmasowanego ataku mechanicznych, a dzięki temu maszyny nie zdołają po raz drugi zapędzić ludzi do pułapki. Jeśli pomyśleć o efektywności tamtej zasadzki...

Anastazja zadrzała, chociaż nie było jej zimno.

Nie miała już na sobie lepkiego, przemoczonego ubrania, które śmierdziało szczykami i wymiocinami. Wyrzuciła je do pieca. Założyła szare sztruksowe spodnie odsłaniające kostki wystające z drewnianych chodaków, wyblakłą żółtą bluzkę z oddartym kołnierzykiem i przeżarty przez mole szal – ciuchy, jakie zostawili goście Gildii, być może niektórzy z nich nadal gnili w tunelach pod budynkami. Poleciała służącemu udać się do Kuźni i zagrzać dla siebie beczułkę deszczówki, niemal do wrzenia, a potem zafundowała sobie kąpiel w gabinecie, rosząc ciało gąbką.

Teraz dystans między nią a klakierami szybko się zmniejszał. Wydawało jej

się, że dorożkę ciągną wojskowe maszyny, ze żłóbkami na przedramionach, z których wychodziły ostrza, wyglądały na większe niż u zwyczajnych żołnierzy. Anastazja zamarła. Sięgnęła odruchowo po hipersoniczny gwizdek noszony przez wszystkich członków Gildii zamiast naszyjnika.

Dorożka podjechała pod Ridderzaal. Anastazja pochyliła głowę. Przytknęła chłodny, srebrny gwizdek do ust, lecz nagle pojazd wykręcił i zobaczyła maszyny wyraźniej. Nie miały twarzy, ale gładkie, pozbawione wyrazu, pełniące funkcję pancerza maski, z których łypały oczy koloru błękitnego diamentu. Ich zdobione złotem dziurki od klucza błyszcząły na słońcu.

Elitarni mechaniczni z Gwardii Królewskiej.

Zajęła się logistycznymi manewrami i nie miała czasu pomyśleć o królowej. Do pewnego stopnia Mosiężny Tron był w tym równaniu zbędny, bo jeśli padnie Gildia, padnie i monarchia, a jeśli utrzyma się Gildia, utrzyma się też monarchia. Zastanawiała się jednak, czy Margreet nadal zasiadała na Mosiężnym Tronie. Czy Imperium miało swoją władczynię? Dłoń Anastazji zadrżała. Gdyby maszyny zostały dotknięte przez chorobę, zabrałyby się za Jej Wysokość. Na samą myśl o konieczności obcowania ze zbuntowanym mechanicznym z Gwardii Królewskiej miękły jej kolana. Owi bezlitośni zabójcy mogli konkurować nawet z Nakręcaczami, a miała już okazję przekonać się o niszczycielskiej sile popsutego centaury.

Jedna z maszyn puściła swoją tyczkę i potruchtowała przez potraskane płytki mozaiki. Stała przed Anastazją i jej towarzyszami.

– O kurwa – zaklął któryś z nich.

Paru rzuciło się do ucieczki ku Ridderzaalowi, jakby potrafili prześcignąć mechanicznego. Głupcy. Anastazja rozumiała jednak ten impuls. Ba, nawet go współodczuwała.

Ktoś musiał zadać w psi gwizdek, bo z Ridderzaalu wybiegła grupa Nakręcaczy i zwykłych służących, którzy przemierzali plac, gotowi powstrzymać królewskiego klakiera, zanim ten dotrze do Anastazji, choć już dawno mógłby to zrobić, gdyby poruszał się z pełną prędkością.

– Stać – zawołała i jej obrońcy momentalnie znieruchomieli.

Nie był to atak. Dostrzegła, że dorożka była pusta.

Rzadko spotykała się z Królewską Strażą, ale znała jej zwyczaje.

To wezwanie. Królowa żyła.

– Przekaż dalej, że udałam się na audiencję do królowej – powiedziała Anastazja do najbliższego służącego. – Do czasu przybycia mojego lub kogoś wyższego stopniem dowództwo ma sprawować doktor Euwe.

– Oczywiście, pani. Jak każeś – odrzekł mechaniczny i się oddalił.

Maszyna z Gwardii Królewskiej górowała nad Anastazją. Wskazała jej

dorożkę.

Jak Nakręcacze, gwardziści nie potrafili mówić. Królewski dekret sprzed stuleci nakazywał konstruować ich jako niemych służących i bezwzględnych ochroniarzy. Stanowiło to zawór bezpieczeństwa na wypadek przewrotu politycznego lub próby przejęcia władzy przez innego członka rodziny królewskiej, który mogąc zmieniać *metageas*, nakazałby maszynie na przykład zdradzenie tajemnic, jakie ta usłyszała, przebywając w towarzystwie króla bądź królowej.

Anastazja usiadła w dorożce. Strażnicy poczekali, aż się umości i zapnie pas, po czym przyśpieszyli z marszu do truchtu, a potem osłepiającego galopu. Znowu rozboleła ją dłoń. Nie miała czasu odwinąć bandaży, upewniła się tylko, czy nie ma na nich nowych plam krwi.

Strażnicy mknęli tak szybko, że miasto zlewało się przed jej oczyma w jednolitą plamę. Znikały symptomy nieszczęścia zagrażającego Imperium. Nie widziała już porozbijanych okien, pogiętych rynien, pokruszonych cegieł i brakujących dachówek, dziur wybitych w sklepowych witrynach i na znakach drogowych przez palce u rąk i stóp, plam krwi na włoskich marmurach, a nawet ciał leżących na progach kamienic lub zwisających z gałęzi rosnących przy bulwarze jesionów. Ale była to jedynie iluzja. Choroba toczyła Imperium niezależnie od tego, czy *tuinier* mogła ją dostrzec, czy nie.

*

Dorożka podjechała pod letni pałac. Przez całe stulecia teren posiadłości otaczały wysokie cisy, tworząc jadeitową fasadę okalającą rozległe akry prywatnego królewskiego ogrodu i terenu myśliwskiego, gdzie roiło się od regularnie dostarczanej zwierzyny przeznaczonej tylko i wyłącznie do dyspozycji Mosiężnego Tronu. Mówiono – bo zawsze znajdują się ludzie dystrybuujący podobne plotki – że mistrz ogrodnictwa poddawał tamtejsze rośliny wymyślnym torturom, żeby wypuściły ostre jak żyłki ciernie, a nadworni alchemicy wpompowali do nich koktajl zabójczych trucizn. Zwykle bajdurzenie, lecz użyteczne; prozaiczna prawda brzmiała tak, że z rzadka jakiś głupiec próbował przedrzeć się na tereny łowieckie i zanim doszedł do połowy żywopłotu, natykał się na cieniutkie druciki, które ostrzegały czekających po drugiej stronie mechanicznych.

Gwardziści nie mieli, jak inni klakierzy, zaprogramowanych chroniących ludzi *metageas*. Co nie znaczyło, że letni pałac był fortecą. Burbonowie nie zbudowali go przecież z myślą, aby trzymać resztę świata z dala od siebie, żywopłot nie pełnił roli fortyfikacji, a jego nieprzenikalność nie opierała się na

kamieniu i stali, lecz umowie społecznej. Te same zasady stanowiły podstawę całej egzystencji Imperium: próżność zasadzająca się na przekonaniu o lojalności mechanicznych. Dlatego od czasów dziadka Anastazji żywopłot nie zmienił się ani o jotę.

Do czasu.

Dorożka zwolniła. Smuga za oknami rozlała się z powrotem w krajobraz tak zniszczony, że pasażerze zabrakło tchu. Bariera nie istniała, została przetrzebiona, potargana i połamana. Gałęzie leżały rozrzucone po zagrabionym podejździe biegnącym przy żywopłocie. Nic dziwnego, że eskorta zwolniła. Za każdym razem, kiedy dorożka podskakiwała na jakiejś przeszkodzie, a koła przejeżdżały po kawałach drewna, ziemia wyzwałała zapach mulczu. Tu i ówdzie błyskały kawałki potrzaskanego metalu. Przyciskając twarz do okna, Anastazja przyglądała się bałaganowi zalegającemu na całej długości drogi. Słońce odbijało się od tysiąca metalowych niteczek, które zerwali szturmujący pałac. Z pewnością nie byli to Francuzi. Ale jeśli nie papiści, to kto?

„Boże, proszę, żeby tylko nie maszyny. Proszę”.

Postawiłaby wszystko, co miała, że ten atak skoordynowano z napaścią na Gildię.

Kolejne szarpnięcie ścisnęło jej żołądek. Co cały ten kryzys uczyni bankom? Kiedy spanikowani klienci wypłacą z kont swoje ostatnie kwartje, a przerażeni inwestorzy wyrwą z kopyta, żeby jak najszybciej wycofać się z rynku? Toć nie raz historia była świadkiem zniknięcia skumulowanych fortun przez czyjeś widzimisię. Ale to, co działo się teraz, to nie żadna paranoja. Kryzys był i prawdziwy, i dotkliwy. Czy zniszczy całą krajową gospodarkę? Dowiedzą się niedługo, jeśli Gildii nie uda się zatrzymać tej lawiny. A pierwsze kamyczki już się toczyły, już spadały...

Bramy prowadzące do pałacu rozmieszczono po każdej z czterech stron świata. Napastnicy oszczędzili tę zachodnią, lecz budzące grozę szpikulce oraz pozłacany herb Imperium żałośnie kontrastowały ze zdewastowanym murem. Czterej mechaniczni gwardziści otwarli masywne metalowe skrzydła i dorożka wjechała przez bramę. Rozchodzący się echem szcęk towarzyszący jej zamknięciu wywołał u Anastazji nieprzyjemne, złowieszcze uczucie *déjà vu*.

„Pułapka, pułapka, pułapka!”, zakwilił tkwiący w niej tchórz.

Dorożka zatrzymała się przy szerokich marmurowych schodach. Znajdująca się tuż za nimi ozdobna klatka schodowa była rozleglejsza niż cały Ridderzaal. Gwardziści Królewscy wyprowadzili Anastazję z pojazdu. Przy najniższym stopniu leżały połamane pozostałości monarszej złotej karocy. Drewno tekowe i alchemiczne szkło zostały zmiażdżone, mosiądz i złoto poobijane. Ale klakierze nogi rozmieszczone na osi nadal poruszały się bez celu, napędzane magią.

*

Margreet II, królowa Niderlandów, księżna Oranii-Nassau i Prowincji Centralnych, błogosławiona pani Europy, protektorka Nowego Świata, światło cywilizacji i łaskawa władczyni Imperium Holenderskiego, prawowita monarchini zasiadająca na Mosiężnym Tronie, otarła przywiezioną z oceanu czekoladę rąbkiem chustki z indyjskiego jedwabiu.

– Ilu zabili?

Cztery pary oczu zwróciły się ku Anastazji.

– Nie znamy dokładnej liczby, moja pani. I być może jej nie poznamy. Bo to, co zaszło na Binnenhofie, nie sprowadza się do samego zabijania. To była starannie zaplanowana rzeź. Części zamordowanych nie sposób będzie zidentyfikować. Rozkazałam oddziałowi służących poskładać szczątki do, ekhm... kupy.

– Boże przenajświętszy.

Minister generalny Hendriks, pastor od świętego Jakuba, przycisnął chusteczkę do ust i wydał dźwięk, jakby się zakrztusił. To, że przeżył, nie było zaskakujące; ich utajony przeciwnik zaatakował bowiem precyzyjnie i uderzył prosto w instytucję sprawującą prawdziwą władzę w Imperium – Gildię – oraz jej swoisty symbol, czyli Mosiężny Tron. Anastazja nie sądziła, że buntownicy zmarnowaliby choć jedno tyknięcie na klechę, chyba że ten akurat miałby pecha i wpadł pod siekące ludzi ostrza.

– Ponadto – ciągnęła Anastazja – spora część martwych i umierających spadła do Kuźni, kiedy otworzyliśmy klapy. Ich zwłoki zostały spalone. – Zamilkła, gdy wychudły jak trup minister ponownie charknął na chusteczkę. Spojrzenie królowej mogłoby stopić alchemiczną stal. – Obawiam się, że to nie są jedyni obywatele Hagi, o których słuch zaginie, a ich los nigdy nie zostanie poznany.

Królowa zbyła jej słowa machnięciem ręki:

– Tak, tak, to wszystko bardzo przygnębiające, ale ilu moich mechanicznych zniszczono? – zapytała, nie opuszczając swojego gniazda na podwyższeniu.

– Ostatnie szacunki mówią o dwóch setkach, moja pani.

Książę Rupert, małżonek królowej, gwizdnął przez zęby. Anastazja miała okazję poznać go na oficjalnych przyjęciach. Jednak dopiero teraz zobaczyła go po raz pierwszy bez marynarskiego munduru.

– Biedne duszyczki – wymamrotał zamyślony Hendriks. – Zarżnięte jak owieczki.

Odetchnął i nad stołem uniósł się kwaśny odór, Anastazji łyż poleciały z oczu. Upiła łyk wina.

– Nie módl się za nich, głupcze, ale za nas – powiedział książę.

Anastazja zagryzła usta. Najwyraźniej gwiazdy ułożyły się tak, żeby nastał dla świata czas mrocznego cudu. Usłyszeć od członka rodziny królewskiej coś, co podważałoby domniemaną nienaruszalność Imperium, było nie do pomyślenia. Na jego szczerość królowa zareagowała karcącym spojrzeniem.

– Ekhm... – odchrząknęła kobieta w powłóczyстых szatach siedząca na dalekim końcu stołu.

Był to pierwszy dźwięk, jaki dobiegł się spod kaptura Głównego Horologa. Choć nie miała na sobie naszyjnika Gildii – byłby to różokrzyż wysadzany rubinami, a nie zwykły kwarc – nosiła tradycyjną dla jej urzędu brunatną szatę podbitą gronostajem. Musiała dołączyć do królowej, jeszcze zanim mechaniczni napadli na miasto, bo inaczej ciągnęliby do niej jak pszczoły do kosza piknikowego. Anastazja zastanawiała się, jaki los spotkał ostatniego z trójki; publicznie pokazywali się co najwyżej dwaj Główni Horolodzy.

– *Tuinier* Bell, niech się pani z nami podzieli analizą sytuacji – powiedziała kobieta głosem, który przypominał prucie srebrnej nitki.

– Chyba się ze mną Wasza Eminencja zgodzi, że zdarzeń tych nie można tłumaczyć masową awarią maszyn. Działania zbuntowanych zostały starannie skoordynowane. Padliśmy ofiarą zaplanowanego ataku na obywateli Hagi, skoncentrowanego na ośrodkach rządowych i budynkach Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej.

Niewygodna prawda urwała dalszą rozmowę, jakby ktoś zatrzasnął ciężkie wieko kamiennego sarkofagu. Słyszeć było jedynie nieustający szum usługujących królowej mechanicznych. Pod każdą ścianą postawiono gwardzistę, jak zawsze wyczulonego na groźby pod adresem członka rodziny królewskiej.

– Jak to się stało? – dopytywała Margreet, wpatrując się w Anastazję swoimi szmaragdowymi, przeźroczystymi i chłodnymi niczym alchemiczny lód oczami.

– Prawdopodobnie ktoś znalazł sposób na nadpisanie *metageas* i zrobił to masowo, po czym umożliwił rozprzestrzenianie się owych zmian. Grzebanie przy zasadach gramatyki mogło zainicjować brutalne działania ze strony maszyn oraz uodpornić je na nasze polecenia.

– Tak to się odbyło? – Książę wyglądał na zde gustowanego. – Wy, zegarmistrzowie, jesteście jednak tak szaleni, jak mówią.

Anastazja wzięła głęboki oddech.

– Nie jest to najgorszy scenariusz. Nie możemy wykluczyć, że to endemiczna wada mechanizmu i należy przeanalizować ewentualność, że coś lub ktoś uaktywnił nieznaną nam defekt, na skutek czego wszystkie maszyny zwrócą się automatycznie przeciwko krajowi.

– Och – burknął książę.

Wymizerowany minister generalny zbladł jeszcze bardziej i jego twarz przeszła z popielatej szarości w kościstą biel.

– Może być jednak jeszcze gorzej – mówiła dalej Anastazja. – Musimy założyć, że nie było żadnego działania z zewnątrz ani nie ma żadnego błędu konstrukcyjnego. Innymi słowy, pozbywając się narzuconego przez nas programu poleceń, mechaniczni samodzielnie zdecydowali zwrócić się przeciwko nam.

Spod kaptura Głównego Horologa dobyło się ciche prychnięcie.

– Przecież to absurdalne – powiedział Hendriks. – Nawet dzieci wiedzą, że maszyny nie myślą.

Księżę przytaknął klesze.

– Czy przypadkiem trochę pani nie przesadza, *tuinier*? Rozumiem, że była pani świadkiem prawdziwego okropieństwa, ale... Może to szok?

– Jak ocenia pani prawdopodobieństwo poszczególnych scenariuszy? – Królowa najwyraźniej nie podzielała ich wątpliwości.

Anastazja dźwignęła się z krzesła i zaczęła maszerować po salce, uważając, żeby nie zbliżać się nadto do królowej, czym uaktywniłaby strażę. Ich oczy śledziły ją z cichym szcękaniem. Zabandażowaną dłoń przeszył jej ból. Masowała ją, starannie dobierając kolejne słowa.

– Jeszcze trudno mi powiedzieć. Analiza zbuntowanych maszyn nie jest prosta.

– A to czemu?

– Bo należy je rozłożyć część po części. I to wyłącznie ludzkimi rękoma. Póki nie rozpoznamy się w sytuacji, przy obcowaniu z mechanicznymi musimy się kierować zdrowym rozsądkiem.

– Czy badanie maszyn nie będzie przypadkiem niezwykle powolne? – zapytał Rupert.

– Będzie. Do tego też mozolne. Lecz nie mamy wyjścia – odparła Anastazja. – Musimy myśleć o tym wszystkim, co się dzieje, jak o chorobie, która rozprzestrzenia się pośród maszyn niczym epidemia.

Kolejne parsknięcie spod kaptura Głównego Horologa.

– Obawiasz się, że zdezaktywowane maszyny nadal zarażają.

– Tak.

Horolożka splotła palce, jakby wyrabiała koszyk z kości i mięsa. Jej dłonie, przypominające stary pergamin i poznaczone plamami wątrobowymi, jak u staruszki, kontrastowały z dźwięcznym głosem.

– Interesujące.

– Jak to możliwe, Wasza Eminencjo? – zapytała Anastazja. – Jak działa ten mechanizm?

Margreet skrzywiła się z pogardą.

– Nie potrafię wyrazić, jak niewiele interesuje mnie słuchanie o tym, jak zegarmistrzowie grzebią między zębatkami. Mogłybyście zaprzęgnąć ten swój olśniewający intelekt do czegoś innego i zadbać o bezpieczeństwo Prowincji Centralnych, póki ten kryzys nie dobiegnie końca.

„Aha, czyli dlatego tu jesteśmy”.

Hendriks nie odrywał oczu od monarchini.

– Uciekacie?

Gdyby lodowate spojrzenie królowej mogło sypać szronem, zmroziłoby go na miejscu.

– Przez zaniedbania Nadleśnictwa godność Imperium została wystawiona na szwank – rzekła Margreet; Anastazja chciała się zapaść ze wstydu pod ziemię, zawiodła jako powierniczka tajemnic Gildii, i to na całej linii. – Zarówno nasze protektoraty, jak i nieprzyjaciele patrzyli na Mosiężny Tron z podziwem, gdyż był on ośrodkiem niemierzalnej siły, teraz zaś dostrzeżono jego słabości. Zacznie się ostrzenie noży, którymi będą chcieli nas pociąć. Nie będę miała innego wyjścia, jak zdecydować o ich zgładzeniu. – Królowa pokręciła głową, a wtedy perły, którymi poprzetykała swoje włosy, zadzwoniły jak szczękające z zimna zęby. – Nie jestem żadną krwi władczynią, ale nie cofnę się przed niczym, żeby utrzymać potęgę Mosiężnego Tronu. Moim obowiązkiem jest zapewnienie Imperium ciągłości. Skoro zasiadam na Mosiężnym Tronie, to jeśli Imperium ma przetrwać, ja również muszę.

Sprytnie wytłumaczyła swoje tchórzostwo, Anastazja musiała jej to przyznać. Lecz, jak każdy pionek, królowa Margreet przeceniała swoją rolę. Imperium poradzi sobie i bez królowej, za to pozbawione Gildii – upadnie. A Gildia nie mogła sobie teraz pozwolić na poświęcenie czasu i środków, aby wywieźć władczynię z kraju.

– Moja pani – zaczęła Anastazja – twoi poddani cię potrzebują.

Zimne spojrzenie królowej przeszło ją na wylot niczym oszczep Achillesa.

– Czyż nie to powiedziałam? Powrócę do kraju, kiedy kryzys zostanie zażegnany, pokazując i obywatelom, i nieprzyjaciołom, że Mosiężny Tron jest silniejszy niż dotąd.

Anastazja wstrzymała oddech, aby nie zdradzić się pogardliwym westchnięciem ze swoimi prawdziwymi uczuciami. Minister generalny miał rację, Margreet zamierzała uciec, podczas gdy cała reszta próbowała uporać się z największym nieszczęściem, z jakim zetknął się holenderski rząd od czasu Het Wonderjaar. Cóż, i pionki miały swoje miejsca na szachownicy, a jak już dadzą sobie z tym wszystkim radę, o ile tak się stanie, nic nie podniesie morale ludności tak, jak powrót ich królowej. Poza tym, jako że Margreet znajdowała

się poza miastem, Gildia nie będzie musiała przerywać swoich czynności i przerzucać ludzi, żeby ochronić i udobruchać królową. Niech będzie.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Niezwłocznie opracujemy stosowny plan.

– Zorganizujcie bezpieczny wyjazd z Prowincji Centralnych – zarządziła monarchini. – A potem rozwiążcie ten problem i zidentyfikujcie odpowiedzialnych za atak, żebym mogła zgnieść ich po swoim powrocie. – Machnęła na Anastazję i ministra, jakby opędzała się od much. – Rupercie, Eminencjo, zostańcie ze mną jeszcze na chwilę.

Anastazja kątem oka zobaczyła, jak Hendriks kłania się nisko. Oboje wyszli – na znak szacunku tyłem – z sali audiencyjnej. „Łatwiej byłoby drobić kroczyki w spodniach, a nie w długiej sukni”, pomyślała *tuinier*. Przy drzwiach dołączyła do nich para mechanicznych z Gwardii Królewskiej. Pozostali dwaj stanęli obok królowej. Anastazja nareszcie mogła się obrócić. Maszyny szły przed nimi, odprowadzając oboje do dorożek. Hendriks ponownie zakaszła, zasłaniając usta chusteczką.

– Wybacz mi wścibstwo, Anastazjo, ale jest coś, o co chciałem cię zapytać. Czy poczyniłaś jakieś postępy w próbach rehabilitacji Luuka?

Luuk Visser przez wiele lat był pastorem w Nieuwe Kerk, lecz zdemaskowano go jako tajnego papistę i agenta Talleyranda. Został złapany przez Nakręcaczy podczas krótkiego, lecz dość spektakularnego pościgu ulicami Hagi. Tylko pięcioro ludzi, łącznie

zapręgnąć ten swój olśniewający intelekt do czegoś innego i zadbać o bezpieczeństwo Prowincji Centralnych, póki ten kryzys nie dobiegnie końca.

„Aha, czyli dlatego tu jesteś”.

Hendriks nie odrywał oczu od monarchini.

– Uciekacie?

Gdyby lodowate spojrzenie królowej mogło sypać szronem, zmroziłoby go na miejscu.

– Przez zaniedbania Nadleśnictwa godność Imperium została wystawiona na szwank – rzekła Margreet; Anastazja chciała się zapaść ze wstydu pod ziemię, zawiodła jako powierniczka tajemnic Gildii, i to na całej linii. – Zarówno nasze protektoraty, jak i nieprzyjaciele patrzyli na Mosiężny Tron z podziwem, gdyż był on ośrodkiem niemierzalnej siły, teraz zaś dostrzeżono jego słabości. Zacznie się ostrzenie noży, którymi będą chcieli nas pociąć. Nie będę miała innego wyjścia, jak zdecydować o ich zgładzeniu. – Królowa pokręciła głową, a wtedy perły, którymi poprzetykała swoje włosy, zadzwoniły jak szczękające z zimna zęby. – Nie jestem żądną krwi władczynią, ale nie cofnę się przed niczym, żeby utrzymać potęgę Mosiężnego Tronu. Moim obowiązkiem jest zapewnienie Imperium ciągłości. Skoro zasiadam na Mosiężnym Tronie, to jeśli Imperium

ma przetrwać, ja również muszę.

Sprytnie wytłumaczyła swoje tchórzostwo, Anastazja musiała jej to przyznać. Lecz, jak każdy pionek, królowa Margreet przeceniała swoją rolę. Imperium poradzi sobie i bez królowej, za to pozbawione Gildii – upadnie. A Gildia nie mogła sobie teraz pozwolić na poświęcenie czasu i środków, aby wywieźć władczynię z kraju.

– Moja pani – zaczęła Anastazja – twoi poddani cię potrzebują.

Zimne spojrzenie królowej przeszło ją na wylot niczym oszczep Achillesa.

– Czyż nie to powiedziałam? Powrócę do kraju, kiedy kryzys zostanie zażegnany, pokazując i obywatelom, i nieprzyjaciołom, że Mosiężny Tron jest silniejszy niż dotąd.

Anastazja wstrzymała oddech, aby nie zdradzić się pogardliwym westchnięciem ze swoimi prawdziwymi uczuciami. Minister generalny miał rację, Margreet zamierzała uciec, podczas gdy cała reszta próbowała uporać się z największym nieszczęściem, z jakim zetknął się holenderski rząd od czasu Het Wonderjaar. Cóż, i pionki miały swoje miejsca na szachownicy, a jak już dadzą sobie z tym wszystkim radę, o ile tak się stanie, nic nie podniesie morale ludności tak, jak powrót ich królowej. Poza tym, jako że Margreet znajdowała się poza miastem, Gildia nie będzie musiała przerywać swoich czynności i przerzucać ludzi, żeby ochronić i udobruchać królową. Niech będzie.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Niezwłocznie opracujemy stosowny plan.

– Zorganizujcie bezpieczny wyjazd z Prowincji Centralnych – zarządziła monarchini. – A potem rozwiążcie ten problem i zidentyfikujcie odpowiedzialnych za atak, żebym mogła zgnieść ich po swoim powrocie. – Machnęła na Anastazję i ministra, jakby opędzała się od much. – Rupercie, Eminencjo, zostańcie ze mną jeszcze na chwilę.

Anastazja kątem oka zobaczyła, jak Hendriks kłania się nisko. Oboje wyszli – na znak szacunku tyłem – z sali audiencyjnej. „Łatwiej byłoby drobić kroczyki w spodniach, a nie w długiej sukni”, pomyślała *tuinier*. Przy drzwiach dołączyła do nich para mechanicznych z Gwardii Królewskiej. Pozostali dwaj stanęli obok królowej. Anastazja nareszcie mogła się obrócić. Maszyny szły przed nimi, odprowadzając oboje do dorożek. Hendriks ponownie zakaszła, zasłaniając usta chusteczką.

– Wybacz mi wścibstwo, Anastazjo, ale jest coś, o co chciałem cię zapytać. Czy poczyniłaś jakieś postępy w próbach rehabilitacji Luuka?

Luuk Visser przez wiele lat był pastorem w Nieuwe Kerk, lecz zdemaskowano go jako tajnego papistę i agenta Talleyranda. Został złapany przez Nakręcaczy podczas krótkiego, lecz dość spektakularnego pościgu ulicami Hagi. Tylko pięcioro ludzi, łącznie z samym duchownym, było świadomych

przeprowadzenia na nim skomplikowanej operacji chirurgicznej, a jedna z tych osób zginęła w Nowych Niderlandach. Hendriks zakładał, że Visser nadal znajduje się w rękach Nadleśnictwa.

– Zapewne ucieszy cię wieść, że sprawy idą ku dobremu – odparła Anastazja.

– Cudownie! Czy mógłbym z nim pomówić? Jego zdrada głęboko mnie dotknęła. Uważałem go, no cóż, jeśli nie za bliskiego przyjaciela, to na pewno zaufanego i szanowanego kolegę. Chętnie usłyszałbym bezpośrednio od niego, czemu postąpił w tak niegodziwy sposób.

– Szczerze mówiąc, Jozefie, śmiem wątpić, czy...

Anastazja oczyma wyobraźni powróciła do sali audiencyjnej. Królowa przecież nie wzywała straży. Czemu opuścili swoje posterunki? Członkowie rodziny królewskiej i Główny Horolog sami z dwoma...

„O nie”.

Obróciła się na pięcie. Biegła przez korytarz pomiędzy boschami i vermeerami.

– Straże, do mnie! – krzyczała. – Chrońcie królową!

Klakierzy z Gwardii Królewskiej nawet nie drgnęli, nie otrzymali polecenia słuchać jej rozkazów. Nie posłuchaliby jej, nawet gdyby nie byli zainfekowani. Z tyłu uszu Anastazji dobiegł odgłos ząbkowanych ostrzy przecinających powietrze, po czym rozległ się mlaszczący dźwięk tychże noży przeszywających ludzkie ciało oraz łomot zwalających się na ziemię zwłok.

– NIE! – krzyknęła.

Obróciła się, unosząc ręce, jakby chciała się zasłonić, choć nie miało to najmniejszego sensu.

Korytarz wypełniło światło, wystarczająco jasne, żeby widziała je nawet spod przymkniętych powiek. Powaliło Anastazję na ziemię niczym mocne uderzenie. Przystawiła dłonie do płonących z bólu oczu i skuliła się, oczekując ogłuszającego grzmotu, który jednak nie nadszedł, i zabójczego ciosu, jaki ostatecznie nie przebił jej ciała. Dziwny rozbłysk pozostawił po sobie zapach płonącej bawełny i nagrzanego metalu. Otworzyła oczy i spojrzała przez palce, spodziewając się ujrzeć jedynie ciemność albo krwawą zasłonę na wyłupionych oczach. Ale zobaczyła – choć ukryte za mgłą i przeplecione zielono-purpurowymi powidokami, jakby patrzyła przez sińce – leżące na środku szkarłatnej kałuży zwłoki ministra generalnego, wciąż poruszane śmiertelnymi konwulsjami.

Maszyna, która go poszatkowała, stała nieruchomo nad ciałem, strużki krwi spływały jej po wysuniętych ostrzach. Strażnik, który miał ją złapać, również zamarł z wyciągniętym przed siebie ramieniem, ale nie był zdezaktywowany. Ciała obu maszyn wydawały z siebie charakterystyczne dźwięki. Trwały w

bezruchu jakby w oczekiwaniu.

Anastazja poczuła smród spalenizny. Dym zapiekł ją w oczy. Zaciągnęła się raz jeszcze zapachem płonącej bawełny i zmarszczyła nos. Usłyszała mdłe syknięcie oraz trzask, ledwie słyszalne, bo zagłuszone przez jej własny oddech, i szczebiot mechanicznych. Bandaże, jeszcze przed momentem śnieżnobiałe, zostały przypalone na kolor sadzy. Gdzieniegdzie gazy uczepliły się niewielkie iskierki. Z dłoni Anastazji odpadł, wolno niczym jesienny liść, kawałek poczerniałego popiołu i podryfował jej pod nogi. Czowała się, jakby uderzył ją piorun, ale wtedy leżałaby zwęglona, wysuszona i pokurczona niczym kawałki łykowego mięsa, jakie upodobały sobie dzikusy z Nowego Świata. Lecz skóra Anastazji była gładka jak zawsze.

Powinna zgiąć się wpół i krzyczeć z bólu. Ale zamiast oparzeń trzeciego stopnia jedynie zdrętwiała jej ręka, od łokcia do opuszek palców. Nie czuła nawet tkwiącego w niej szkła...

Alchemicznego szkła.

Zanim Nakręcacz je rozbił, było jednym z najcenniejszych historycznych i magicznych artefaktów znajdujących się w posiadaniu Gildii: była to soczewka wykonana pod koniec życia przez samego Spinozę.

A co, jeśli...

Z sali audiencyjnej dobiegły ją krzyki królowej:

– Co to ma być? ROZKAZUJĘ ci się ZATRZYMAĆ! – Jej głos zastąpiło charczenie. – STAĆ!

Anastazja zacisnęła pięści i rzuciła się do biegu.

Dotarła na miejsce akurat na czas, żeby usłyszeć trzask łamanego przez gwardzistę karku; głowa Głównego Horologa okręciła się wokół szyi. Drugi mechaniczny stał na podwyższeniu, gdzie księżę usiłował zasłonić monarchinię własnym ciałem, i przygotowywał się do zadania ciosu nożem.

– Stać! – krzyknęła Anastazja, a świat zapłonął.

ROZDZIAŁ 6

Gdy spojrzeć na chłodno, na trzeźwo, trzeba uczciwie przyznać, że był to świetny pomysł. A przynajmniej najlepszy, jaki miała. Im dłużej Berenice o tym myślała, tym mocniejsze czuła mrowienie na karku i paliła się do pracy.

Umęczeni, przybici mieszkańcy Zachodniej Marsylii musieli mieć nareszcie jakiś powód do radości, być świadkami czegoś heroicznego. Berenice chciała móc dać im okazję do uzupełnienia wyczerpujących się zasobów chemikaliów oraz, za jednym zamachem, szansę zadania ostatecznego ciosu rozproszonemu, znienawidzonemu wrogowi. Uchodźcy byli tak podekscytowani perspektywą ekspedycji, że plotki o niej przeszły przez obozowisko, nim Rada Królewska zdążyła się zebrać, aby ten pomysł przedyskutować. Berenice wolałaby przeprowadzić cichą rekrutację, zamiast werbować publicznie spośród wszystkich o mocnych sercach i silnych ramionach. Do czasu zebrania Rady podstawowy zarys jej planu stał się tematem konwersacji pomiędzy stojącymi w kolejce po pemikan i ryby obywatelami.

Nie cieszył jej ten przeciek. Agenci Mab mogli być wszędzie.

Ekspedycja nie miała prawa się udać bez pomocy mechanicznych. Cały czas musiała się ganić za nazywanie ich służącymi, bo kluczem do sukcesu była dobrowolna i zgodna współpraca pomiędzy mięchem i metalem. Słowa bywały zdradliwe i jeśli coś jej się wypnie, może narazić całe przedsięwzięcie na szwank, jeszcze zanim się zacznie. Dlatego Berenice zdecydowała się cenzurować nawet swoje myśli, inaczej zrazi do siebie sojusznika. Dla Daniela i jego gatunku miała to być istna gałązka oliwna, demonstracja tego, że Nowa Francja trzymała się swoich żelaznych zasad, nawet kiedy oddaliła się groźba wyginięcia.

„Patrzcie, nasi zabójczy, lśniący przyjaciele! Król wyciągnął dłoń na zgodę i dzisiaj stoimy ramię przy ramieniu, maszyna przy człowieku, budując wspólną przyszłość!”

Ludziom spodobał się ten pomysł. Nawet markiz głośno entuzjazmował się wysuniętą przez Berenice propozycją. Oczywiście również dlatego, że jego konkurentka musiałaby opuścić Zachodnią Marsylię i przez jakiś czas nie trwałaby królowi Sébastienowi. Berenice zdawała sobie sprawę, że niektórym zależy na wprowadzeniu w życie tej operacji, bo, przynajmniej na jakiś czas, mechaniczni wymaszerują z miasta. Nikt w Nowej Francji nie czuł się w towarzystwie skruszonych tykaczy komfortowo, bez względu na to, jak

dobroduszni i uczynni się wydawali.

Znalezienie wolontariuszy dobrowolnie zgadzających się na pracę z maszynami, które zniszczyły im domy i pozabijały bliskich, nie było łatwe. Szczęśliwie załoganci, jacy przyплыnęli na barce z Wielkich Jezior, pochodzili głównie z Duluth i Sault Ste. Marie – miast leżących setki lig na zachód. O ile ich mężne francuskie serca również były głęboko oburzone i poruszone atakiem na Marsylię, marynarze nie byli bezpośrednio powiązani z tymi, którzy zginęli. Sam Daniel mówił, że jego pobratymcy nie przytaknęli pomysłowi od razu. Dla nich geopolityczne dystynkcje nie miały żadnego znaczenia. Nie dzielili ludzi na obywateli francuskich czy holenderskich, tylko na tych, którzy ich uciskali, lub tych, którzy mogli ich uciskać, gdyby kapryśny los zdecydował się utkać nieco inny kobierzec przeznaczenia. Danielowi jednak łatwo udało się ich przekonać, stosując metodę marchewki bez kija i mówiąc o moralnych imperatywach, miał pod ręką duchowy młot.

Berenice na każdym kroku starała się podsłuchiwać mechanicznych – trudno się wyzbyć starego nawyku – i była zadziwiona, jak inne maszyny wypowiadają się o Danielu. Minęła chwila, zanim uwierzyła własnym uszom. Klakierzy odnosili się do niego ze świętobliwym szacunkiem. Owszem, wyzwolił ich, ale nie tylko o to chodziło. Mechaniczni uważali, że przywrócił im dusze.

Był ich Mojżeszem. Ich wybawicielem.

Wydawało się to użytecznym narzędziem, o ile Daniel nauczy się go używać. Gdy spacerowali nad brzegiem rzeki, próbowała go przekonać, że powinien z niego korzystać.

– Mają cię za jebanego mesjasza – powiedziała.

Ciało Daniela wydało z siebie hałas przypominający szczęknięcie zębami. Założyła, że to rozdrażnienie, nie obawa.

– Jestem nikim innym jak beneficjentem wyjątkowego fartu, na który nie zasłużyłem i nie zapracowałem.

– Absurd. Zawsze zasługiwałeś na wolną wolę – odpowiedziała, bo słowa te wydały jej się jak najbardziej na miejscu. – Zgadza się, nie da się zaprzeczyć, miałeś szczęście. Wygrałeś największą pieprzoną loterię w historii zachodniej cywilizacji. I dlatego czujesz się niegodny? Powiedzieć ci, co myślę? Powinieneś się uporać z tym poczuciem winy, zanim zacznie cię ono definiować.

– Tysiące maszyn pracowało i cierpiało znacznie dłużej niż ja, dziesiątki, nawet setki lat dłużej, i to bez wytchnienia, które mi ofiarowano. Potem również cierpiano i umierano, nieszczęście spotykało i ludzi, i mechanicznych. – Przerwał, odchylił głowę i spojrzał na niebo. Klejnoty jego oczu wydały z siebie długi, niski świst, jakby dostrajały się, żeby dojrzeć nieskończoność. – Czy

kiedykolwiek opowiadałem ci o okręcie powietrznym?

Berenice próbowała powstrzymać się przed przewróceniem oczyma.

– Tak, opowiadałeś. Żałuję, że nie zdążyłam ujrzeć jego majestatu. Naprawdę. Nie nawijam ci makaronu na chromowane uszy. Jego zniszczenie to tragedia. Lecz to nie ty przyłożyłeś do tego rękę, ale tulipaniarscy mordercy. Nie pozwól, żeby ciężar źle ulokowanej winy odwiódł cię od dalszych działań na rzecz twojego gatunku. Masz dobry start i z pewnością to docenią.

– Przejrzałem cię, Berenice.

– Przecież tylko udzielam ci dobrej rady.

– Udzielasz mi dobrej rady, żebym zrobił to, co przysłuży się tobie.

Niech go cholera. Lepiej radziła sobie z przekabacaniem Daniela, gdy nazywał się Jax.

Kiedy rozmawiała z innymi ludźmi, zwykle milkła w takim momencie, nachylała się, kładła dłoń na ramieniu rozmówcy i nawiązywała kontakt wzrokowy. Wykladała na stół wszystkie swoje oddziałujące na emocje karty. Odslaniała się. Ale przy Danielu nie miała nawet co się trudzić, mógł czytać z rozmiaru jej źrenic, szybkości oddechu, może nawet rytmu serca. Berenice była świadoma, że służących wyposażano w umiejętności pozwalające monitorować stan zdrowia ich państwa. Dlatego odpowiedziała po prostu:

– Tak. Masz rację. Ale jestem pewna, że ten ruch opłaca się nam wszystkim.

– Niewykluczone. Lecz nie mogę podjąć tej decyzji bez akceptacji reszty. Nie *fair* byłoby z mojej strony naciskać na nich, wywierać presję, korzystając z mojego autorytetu.

– Ale oni czekają na twoje wskazówki. Inaczej nie dręczyliby cię pytaniami, jak żyć z wolną wolą.

Daniel zamilkł na chwilę.

– Niedługo sami wszystko rozpracują – odparł wreszcie. – Mnie się udało. Gdybym zaczął mówić im, jak korzystać z nowo nabytej swobody, nie byłbym lepszy niż Mab.

– Nie musisz im niczego rozkazywać. Tylko zasugeruj.

– Spróbuj mnie zrozumieć. Kiedy zacznę im cokolwiek radzić, będzie to milczące przyzwolenie na pozostanie na piedestale, na którym mnie umieścili. I rozejdą się z myślą, że faktycznie jestem tym ich... mesjaszem. – Z piersi maszyny dobyło się tykające *staccato*. – Przeczytałem Biblię, Berenice. Dobrze wiem, co przytrafia się prorokom, zbawicielom i mesjaszom.

Jego stawy ramienne wydłużały się i kurczyły niemal zbyt szybko, żeby mogła to zarejestrować. Był to dziwaczny jak na niego język ciała. Klakierzy, wykorzystując swój sekretny sposób komunikacji, rzadko kiedy zdradzali jakiegokolwiek gesty. Miała na ten temat pewną teorię.

- Dobrze – powiedziała. – To ja z nimi pogadam.
- Czemu mieliby cię posłuchać?
- Bo jestem jednym z twoich szacownych towarzyszy broni. Byłam przecież z tobą na Iglicy do samego końca oblężenia. Jestem pewna, że niektórzy nas tam razem widzieli.
- Niewątpliwie, lecz jeśli zdradzisz im prawdę, czemu tam byłaś, że nigdy nie planowałaś nas uwolnić, rozerwą cię na strzępy.
- Docenię, jeśli pominiessz tę część.

*

Dwa dni później Berenice, Daniel i jego pobratymcy zebrali się w namiocie byłego dowódcy. Najwyraźniej nikomu nie chciało się go zwijać. Odkąd zajmujących go jeszcze niedawno ludzi spotkał krwawy koniec, nie miał on żadnego znaczenia dla kręcących się po Marsylii mechanicznych, a Francuzi uznali go za cokolwiek użyteczny jako miejsce na negocjacje lub, po prostu, wygodny azyl przed chłodnymi zimowymi deszczami, które często nawiedzały ich popołudniami, kiedy nosili gruz z mokrych pól. A musiano przecież oczyścić tysiące akrów, żeby dało się skorzystać z ziemi, gdy przyjdzie czas siewu.

Namiot był zatłoczony, co nie przeszkadzało maszynom nieposiadającym poczucia przestrzeni osobistej. „Jak może pojmować podobny koncept ktoś – zastanawiała się Berenice – kto nie panuje nad swoim ciałem?” Nie sposób było do tego zignorować kakofonicznego tykania.

Berenice przytargała sobie aż z namiotowego obozowiska pustą skrzynkę po świecach, żeby mieć na czym stanąć, gdy będzie przemawiać. Na miejscu stało się aż kilkanaście maszyn, głównie służących. Nie lada zgromadzenie. Nie przyszli jednak słuchać jej, przyszli rozmawiać z Danielem i poznać jego słowa, po czym może – ale tylko może, jeśli dopisze im szczęście – odezwać się do niego. Ona była jedynie dodatkową atrakcją.

Na tyłach namiotu stał wojskowy klakier. Berenice przeszło przez myśl, czy to aby nie ten sam, który przedziurawił Hugona Longchampa. Jakie wybory podejmował, kiedy zrzucił kajdany? Miała nadzieję, że to jeden z tych uduchowionych, którego dręczy poczucie winy, który szuka odkupienia za doprowadzające go do szaleństwa mordy dokonane na zlecenie Mosiężnego Tronu. Spojrzenie na tę zabójczą maszynę zaniepokoiło ją bardziej niż znalezienie się między tuzinem mechanicznych zwolnionych z *metageas* narzucających obowiązki dbania o bezpieczeństwo ludzkie.

„Miejmy to już za sobą”, zaszczebotał jeden ze służących.

„Tak. Gdzie jest ten człowiek, który myśli, że namówi nas na pracę dla

ludzi?”

Mechaniczne brzęki i szczęki ustały zaraz po tym, jak Daniel zaczął mówić:

„Niektórzy znacie Berenice albo chociaż rozpoznajecie. Być może uznacie za interesujące to, co ma wam do powiedzenia”.

– Jezu, dziękuję za tak rozbudowaną introdukcję – wymamrotała pod nosem Berenice. – Taki z ciebie *showman*, że aż mnie policzki pieką.

Berenice stanęła na skrzynce, poprawiła opaskę na oku. Niezliczoną ilość razy przemawiała przed Radą Królewską i niemal równie często przed sądem. Myślała, że tym razem będzie podobnie, ale kiedy rozejrzała się po zebranych, zrozumiała, iż jej doświadczenie na niewiele się zda. Nie miała pojęcia, jak owa publika zareaguje na jej słowa. Nie mogła też czytać z niczyjej twarzy i odpowiednio dostosować tonu głosu.

„Niech to szlag, te ich pozbawione wyrazu oczy!”

– Przepraszam, że odzywam się w języku tych, którzy was zniewolili. Gdybym mogła, przemówiłabym po waszemu, ale czego z pewnością jesteście świadomi, nie posiadam odpowiednich części – zaczęła.

Daniel, jeszcze będąc Jaxem, upierał się, że mechaniczni posiadają poczucie humoru, lecz osobliwa cisza, jaka zapadła, przerywana tylko tykaniem mechanicznych ciał, podpowiedziała Berenice, że jej żart nie padł na podatny grunt. Być może nie docenili jej znajomości ich sekretnego języka. Ujawniła się z nią, chcąc podkreślić swoje oddanie sprawie i chęci zrozumienia ich.

– Tak czy inaczej, nie przyszłam namawiać nikogo do zrobienia czegoś dla mnie, byłoby to sprzeczne z ideałami Nowej Francji. Przyszłam, kłaniając się, prosić o przywilej pracy z wami.

Te słowa z kolei zainicjowały pojedyncze szczęki. Czy były to oznaki zainteresowania czy zwątpienia, a może mechaniczne ekwiwalenty lekceważącego popierdywania, nie wiedziała.

– Mam również nadzieję – mówiła dalej – że niektórzy z was zgodzą się pracować z nami. Tak, zgodzą. Potrzebujemy pomocy, nie będę nikogo zwodzić. Nie kłamię jednak, mówiąc, że naprawdę chcemy pracować razem.

– Ci z nas, którzy chcą pomagać, już pomagają – odezwała się stojąca najbliżej niej maszyna. – Pozostali dokonali innego wyboru. Robimy, co uznajemy za słuszne. Nie masz do zaoferowania nic, co skłoniłoby nas do zmiany zdania.

– Oferuję wam szansę poznania tajemnic waszych stwórców. Ostateczne wyzwolenie spod zegarmistrzowskiego jarzma. Prawdziwą wolność. Owszem, udało wam się zrzucić kajdany, ale ich łapska nadal się na was zaciskają. Czy możecie być prawdziwie wolni, nie znając swojej budowy?

– Czyli tobie również brakuje wolności? – zapytał stojący z tyłu wojskowy

klakier. – Bo przecież nie znasz każdego szczegółu swojego ludzkiego ciała.

Spodziewała się tego pytania i miała przygotowaną odpowiedź. Choć musiała podkurczyć palce u stóp i aż rozboleły ją zęby, gdy wypluła z siebie ten banał:

– Bóg ulepił Adama z gliny. Tak napisano w Biblii. Nie muszę wiedzieć niczego więcej. Ale ty, mój przyjacielu, nie powstałeś z ziemi. Gdzie księga, która wyjaśni ci, kim jesteś?

– Jak chcesz zdobyć ten sekret?

„Szuka chętnych do rozmontowania!”

Kakofonia oburzonych mechanicznych wypełniła namiot. Była to pierwsza rzecz, która wywołała u nich tak żywiołową reakcję, i nie miało znaczenia, że to pozbawiona podstawy spekulacja, i to oparta na błędnym rozumowaniu. Wystarczyło jednak, że ktoś podniósł tę kwestię, a od razu ją podłapali i wybuchli nienawiścią, jaką pałali do wilków. Berenice odruchowo dotknęła gardła, przypominając sobie ostatni raz, kiedy metalowy służący zwrócił się przeciwko niej.

– Na niebiosa! – wykrzyknęła. – Zupełnie nie o to chodzi!

Jej permanentnie zachrypnięty głos nie zdołał się przebić przez mechaniczny harmider. Wystarczyło za to jedno ciche kliknięcie Daniela, żeby momentalnie ucichł.

„Chyba nie myślicie, że bym ją po to tutaj przyprowadził?”

Berenice nie sądziła, że maszyny potrafią się przed kimś ukorzyć. A jednak. Odczekała chwilę, aż klakierzy wymamroczą przeprosiny i inne słowa pokory, po czym powiedziała:

– Proponuję, żebyście poszukali rozwiązania zagadki tam, gdzie my, Francuzi, możemy uzupełnić chemikalia zasilające nasze wynalazki. Na północy.

Rozległy się kolejne szczęki. Jako pierwszy odezwał się służący stojący na skraju namiotu po lewej, sądząc po zdobieniach na osłonie zamka nieco starszy niż jego towarzysze:

– Daniel opowiedział nam o Mab i Nibylandii. Jeśli choć połowa z tego jest prawdą, nie mam najmniejszego zamiaru się tam udać. I śmiem wątpić, czy ktokolwiek się na to zgodzi.

„Oczywiście, że to prawda! Daniel nie kłamie! To nie zegarmistrz!”

„Zegarmistrzowie kłamią!”, rozległ się chóralny okrzyk.

Berenice ponownie musiała odczekać, aż ucichną brzęki i będzie mogła mówić. Klakierzy, choć silni i szybcy, byli tak samo społecznie nieefektywni jak ludzie, co okazało się dla niej osobliwie pocieszającym odkryciem, bo sprowadzało maszyny o nadludzkiej mocy do poziomu zwyczajności.

– Nie mamy potrzeby tam iść – powiedział inny służący. – Nasza wolność nie

jest wstydlwym sekretem, który powinno się skrywać na odległych krańcach świata.

Berenice odebrała kolejną serię brzęków jako wyraz zgody. Albo aplauz.

– Nie mówię o Nibylandii – odparła – ale jeśli Daniel opowiedział wam, co go tam spotkało, być może napomknął również o tajemniczej kopalni na dalekiej północy, którą założyli i z której jeszcze do niedawna korzystali wasi stwórcy, co było rażącym pogwałceniem naszych paktów pokojowych.

– Rządzi tam Mab, to jej ziemia. Nigdzie nie idę – przemówił klakier o poobijanym, powyginanym i porysowanym pancerzu.

– To logiczne – odparła Berenice. – Sama nie mam zamiaru tam iść. Chcę się jednak dowiedzieć, gdzie wasi dawni panowie wysyłali to, co tam nielegalnie wydobywano.

Zamilkła dla podkreślenia tych słów, szukając kontaktu wzrokowego. Dokładnie tak by postąpiła, zwracając się do ludzi, był to idealny moment. Nie miała jednak pojęcia, czy skrzyżowanie spojrzeń cokolwiek dla tej publiczności znaczy. Jeśli się to dobrze rozegrało, dało się wstrząsnąć rozmówcą, zajrzeć przez okna do jego duszy i takie tam. Ale czy z nimi ta sztuczka coś zdziała? Cóż, to już pytanie, które należałoby zadać księżom i pastorom.

– Uważam, że wasi konstruktorzy mają tajny przyczółek na wybrzeżu Atlantyku, na północ od Akadii – ciągnęła. – Daleko na północ, bo przynajmniej jeden z wysłanych tam statków był lodolamaczem. W kryjówce ładowano na okręty kwintesencję, substancję na tyle kluczową dla uruchomienia i funkcjonowania wszystkich mechanicznych, że wysłani tam klakierzy otrzymali wyjątkowe, nadzwyczajne *metageas*, reguły, które pozwalają obejść obowiązek dbania o bezpieczeństwo ludzkie. A kiedy już tracą swoją zasadność, same się usuwają z pamięci. A zatem możliwe, że część z was miała do czynienia z kwintesencją. Ale się tego nie dowiecie, bo kiedy wydano wam inne polecenia, zgodne z poprzednimi *metageas*, wszelkie wspomnienia o kwintesencji zostały wymazane.

Wreszcie przykuła ich uwagę. Nawet Daniel przekrzywił z zainteresowaniem głowę. Znowu odczekała chwilę, aż ucichł mechaniczny rwetes, jaki wywołały jej słowa.

– Być może Daniel opowiedział wam także o francuskim zdrajcy, który sprzedawał zegarmistrzom całe ładunki naszych chemicznych prekursorów, ropę naftową i tym podobne, posyłał do Nowego Amsterdamu, a potem do pierwszej kuźni na terytorium Nowego Świata.

Ocalali francuscy żołnierze opowiedzieli jej, jak tulipaniarze posyłałi na twierdzę mechanicznych odpornych na maź epoksydową. Obrońcy cytadeli starali się ich odeprzeć za pomocą zawodnej broni parowej i nieprzetestowanych

dział piorunowych, lecz cena była wysoka.

Daniel wydał z siebie donośny szcęk. Wszystkie pary oczu, zarówno kryształowe, jak i te galaretowate, zwróciły się ku niemu.

„Aha. Czyli tak to zrobili”.

– Co zrobili? – zapytała Berenice.

– Przemycili francuskie chemikalia przez granicę – wyjaśnił pozostałym. – Działania mojego poprzedniego pana były istotnym elementem tego spisku. Logistyka operacji stanowiła przedmiot częstych dyskusji.

– Niewykluczone, bo to najlepszy sposób na przemycenie kontrabandy – odpowiedziała Berenice. – Nie mogliśmy jej przechwycić, gdyż nawet nie zbliżali się do granicy. Trudno nazwać tych ludzi inaczej niż przebiegłymi. Wywozili nielegalny ładunek na morze, omijając nasze wybrzeże szerokim łukiem, i zarzucali cumy w Nowym Amsterdamie, udając statek z Prowincji Centralnych. A kiedy już chemikalia, i prawdopodobnie kwintesencja, zostały wyładowane w kuźni, okręt zawracał i płynął z całą resztą prosto do Hagi.

– Dysponujesz szczątkowymi dowodami, a na ich podstawie kreślisz złożoną operację – odezwał się mechaniczny żołnierz.

– Nie tak złożoną jak twoje ciało. Wiemy na pewno, że wasi stwórcy prowadzili w całkowitej tajemnicy ekstensywne prace wydobywcze – tłumaczyła Berenice. – Co mówi nam, jak wysoce cenią sobie materiał, który tam wykopywano. Substancję niezbędną do działania każdej maszyny pod tym namiotem – dodała, nie mając pojęcia, czy to prawda, bo działanie kwintesencji pozostawało owiane tajemnicą, choć, jak miała nadzieję, nie na długo. – Teraz, kiedy nowoamsterdamska kuźnia została zniszczona, kopalnię okupuje Mab, a oblężenie dobiegło końca w spektakularny sposób, przerwano, jak podejrzewam, sekretny tulipaniarzowy łańcuch dystrybucyjny.

– Myślisz, że na wybrzeżu znajdują się chemikalia – włączył się Daniel – i chcesz je przejąć, a potem przewieźć do Marsylii, uzupełnić zapasy.

– Słuchaj, będę z tobą całkowicie szczerą. Chemia napędza Nową Francję. Korzystamy z niej nie tylko do obrony. Żadna to tajemnica, że podczas oblężenia poważnie nadwyrężyliśmy swoje zapasy. Może zdajecie sobie również sprawę z tego, że próbowaliśmy na nowo rozkręcić nasze linie dostawcze i wyszarpać pozostałości magazynowe w daleko wysuniętych osadach, lecz bezskutecznie. Tymczasem część waszych towarzyszy jako sposób zmanifestowania swojej wolnej woli wybrała pozbawioną skrupułów przemoc wobec ludzi. Może i wasi konstruktorzy nie są już dla nas zagrożeniem, ale nadal żyjemy w ciągłym strachu przed atakiem. Niby wygraliśmy wojnę, lecz psim swędem, i potrzebujemy odbudować nasz chemiczny magazyn, żeby przeżyć. Prekursory składowane były na północy, potem rozwożono je po

kuźniach. Mam podejrzenia, a raczej nadzieję, że ostatnie wydarzenia tak zakłóciły te operacje, że ostatnia partia nigdy nie trafiła do ładowni statku. Chcę wykraść te surowce i przewieźć do Zachodniej Marsylii, gdzie będziemy mogli je przeznaczyć na to, do czego ich potrzebujemy. I naprawdę, mówiąc zupełnie poważnie, wierzę, że jeśli nam pomożecie, nauczycie się o sobie czegoś wcześniej niedostępnego. Bo jeśli się co do tego wszystkiego nie mylę, na miejscu zastaniemy niemały skład kwintesencji.

– Cały czas mówisz o tej tajemniczej substancji – znowu odezwał się najbardziej poobijany służący. – Czym ona jest?

– Nie mam pojęcia – odparła Berenice. – Wiem tylko tyle, że wydobywa się ją z ziemi.

– Musi to być sekret strzeżony przez naszych stwórców od stuleci. Jak zamierzasz go odkryć?

– Ja tego nie zrobię. Lecz znam ludzi, którzy potrafią. Dlatego też do naszej ekspedycji dołączą najlepsi francuscy chemicy, inżynierowie, geologowie i mineralogowie. Razem rozwiążemy tę zagadkę. Ku obopólnej korzyści.

„Przynajmniej taką mam nadzieję”, dopowiedziała w myślach.

– To wszystko domysł – powiedział żołnierz. – A jeśli tam nic nie ma? Co wtedy na tym zyskamy?

– Poza świadomością, że jesteśmy równorzędnymi partnerami, co zapowiada nową erę relacji między naszymi gatunkami? Może szansę wyzwolenia mechanicznych pracujących w tamtejszych magazynach i na przyczółku? Te biedne istoty są odizolowane od długich tygodni, zastanawiają się zapewne, czemu statki nie przyplływają ze wschodu i czemu z zachodu nie przyjeżdżają wozy. Samotne maszyny kulące się z bólu wywołanego piekącymi, nieustającymi *geas*.

– Przyznaję, że krótko towarzyszyłem Mab – odezwał się Daniel – lecz jestem sceptyczny, nie zostawiłaby tego supła nierozplątanego lub nieprzeciętego.

Berenice nie była pewna, co na to powiedzieć. Planowała trzymać się wybrzeża, aby nie natknąć się na Zagubionych Chłopców. Ostatnie, czego chciała, to dać się wciągnąć w pierwszy bratobójczy konflikt mechanicznych. Bóg odsuwał się na bok, kiedy Jego stworzenie rzucało się jedno na drugie i każdy idiota miał tyle oleju w głowie, żeby usunąć się z drogi nacierającym na siebie bandom maszyn. Może prawdziwą ceną wolności – albo jej konsekwencją – jest całkowita obojętność stwórcy?

– Myślisz, że okupuje przyczółek? – zapytał Daniel. – O ile to miejsce istnieje...

– Istnieje. Jestem tego pewna.

– Może się domyśliła, jak przewożono wydobywane surowce do kuźni.

Zapewniam cię, że niechęć, jaką żywi Mab do naszych konstruktorów, jest większa niż wszystkich tutaj obecnych.

Dał jej kolejny argument. Mechaniczni słyszeli już opowieści o Nibylandii i prócz tego, że mieli zamiar omijać Mab z daleka, odczuwali także poczucie winy.

– Skoro tak, będziemy musieli zachować absolutną ostrożność. Ale co z mechanicznymi, którzy zostali w magazynach i dokach? – zapytała Berenice. – Choć mogłaby to zrobić, królowa Mab nie uwolni maszyn z kopalni. Sam byłeś świadkiem jej działań, raczej nadpisze ich *geas*, przekabaci na swoją stronę i zapewni sobie ich lojalność. Czy istnieje jakiś powód, aby traktowała maszyny z wybrzeża inaczej niż pozostałe?

Namiot zadygotał od dudniącego szczęku zębatek. Nie spodobało im się to.

Daniel patrzył na Berenice, a jego przypominające źrenice przesłony z cichym szumem to zwężały się, to rozszerzały. Niepotrzebna była znajomość niuansów języka mechanicznych, żeby zauważyć, że obróciła jego wątpliwości na swoją korzyść. Pozostali nie spuszczała Daniela z oczu.

– Nie – powiedział wreszcie. – Mab dba bardziej o siebie niż o dobro naszego gatunku.

Podniecony szczebiot mało nie rozsadził namiotu.

– I macie swoją odpowiedź – odparła Berenice. – Oferuję mechanicznym odkrycie zegarmistrzowskich tajemnic, poznanie budowy własnych ciał. Oferuję zrzućnię kajdan z rąk zapomnianych i zniewolonych. I, wreszcie, oferuję naszą przyjaźń z nadzieją, że przyjmiecie wyciągniętą do was dłoń i przyłączycie się do mnie, aby zmienić bieg historii i działać ramię w ramię z ludźmi. Nie jako panowie i niewolnicy, ale równi sobie. Dziękuję, że mnie wysłuchaliście.

Nie czekała na wynik dalszej dyskusji. Odprowadziła ją metaliczna kakofonia.

ROZDZIAŁ 7

Służący, do mnie – zawołała Anastazja przez hol Ridderzaalu.

Ślepy mechaniczny potknął się o zydel, który doktor Euwe podstawiał mu pod nogi. Zderzenie posłało mebel łukiem przez całe pomieszczenie. Anastazja i pozostali uchylili się przed lecącym stołkiem, który rozbił się w drobny mak, uderzając o spiralną klatkę schodową. Maszynie udało się zachować równowagę, co znaczyło, że kompensatory nie zostały uszkodzone. Nie była jednak świadoma swojego otoczenia, obijała się o biurko, rozlewając granatowy tusz. Deptała po rozrzuconych dokumentach i papierowych teczkach. Klakier chwiał się i dygotał. Anastazja poznała, że to symptom długo skrywanych *metageas* zmagających się ze sobą o pierwszeństwo, aktywowanych przez przypadkowe zniszczenie państwowej własności. Magia napędzająca maszynę zmuszała ją do nieustannych kalkulacji, czy sytuację można uznać za wyjątkową, a jeśli nie, to czy owe uszkodzenia wolno potraktować jako niezbędne na drodze do wykonania rozkazu.

Maszyna zatrzymała się i zatrzęsała, uwięziona pomiędzy zwodniczą potrzebą zaspokojenia niezwykle trudnego *geas* a ryzykiem rozpętania zamętu. Tembr drgań jej ciała, skowyt naprężonych kabli i klekotanie zapadek pogłośniło się do huku oktawy. Była to cokolwiek fascynująca zagwozdzka dla systemu kalkulacyjnego. Anastazja nie знаła podobnego przypadku, choć takie badania nie leżały w obszarze jej dotychczasowych zainteresowań. Miała nadzieję, że, do jasnej cholery, ktoś się tym zajmie. Kolejne ulepszenia podstawowych *metageas* mechanicznych służących miały zostać opracowane dopiero pod koniec dekady. Często jednak najlepsze wyniki uzyskiwało się poprzez odważne i śmiałe eksperymenty. Oczywiście zakładając, że ma to jakiegokolwiek znaczenie, bo do końca roku przetrwa na świecie ktoś, komu będzie na tym zależało, a co dopiero do końca dekady.

Ucichły echa przypadkowo wywołanej destrukcji. Nadal usiłując zlokalizować Anastazję, służący bezskutecznie próbował ustawić ostrość swoich nieobecnych oczu. Przestronna sala rycerska, niegdyś kipiąca frenetyczną aktywnością przebywającego tam kleru, teraz odbijała echo szumiącego mechanizmu samotnego klakiera. Zapewne łatwiej byłoby pomazać kryształę farbą, lecz Anastazja nie bawiła się w półśrodki. Nie chciała ryzykować, że siła zdolnego przemienić maszyny jasnego światła pokona podobną przeszkodę. Dlatego otworzyła klakierowi głowę i wykręciła mu oczy.

Służący zaczął się trząść jeszcze mocniej. *Geas* uciskały go coraz mocniej i gwałtowniej. Z każdą mijającą chwilą, kiedy maszyna nie mogła wypełnić, jakby się wydawało, najprostszego polecenia – „Podejdź!” – wymuszone poczucie obowiązku coraz bardziej upominało do uległości. Szturchnięcie stało się szarpaniem, płomień świecy rozbłysnął niczym trzaskający ogień, pożar lasu, martenowski piec. Od podenerwowanego mechanicznego zawiąło odorem nagrzanego metalu.

– Pani? – Głos maszyny zadrżał, jakby jej krtań wypaczyła się od gorąca.

Anastazja nie odpowiedziała. Zaciągała się zapachem palonej bawełnianej gazy, jakby jej opatrunek nadal się tlił, ale była to tylko tania i bezużyteczna zagrywka psychologiczna, bo przecież sama zmieniła poczerniały bandaż, zanim dołączyła do swoich towarzyszy. Schowała dłoń, nie będąc jeszcze gotową na rozmowę o tym, co się wydarzyło w letnim pałacu. Potrzebowała czasu na przemyślenia. A jeszcze bardziej długiej, ciepłej kąpieli i kieliszka wina. Lecz na to się nie zanosilo.

Problematyczne były już relacje o przebiegu jej audiencji u królowej: zinfiltrowano Królewską Gwardię i próbowano zamordować monarchinię, która ledwie uszła z życiem, choć o kulisach Anastazja nie mówiła. Minister generalny i Główny Horolog nie mieli tyle szczęścia...

Tuinier nie chciała, żeby jej koledzy rozprasiali się spekulacjami na temat drobinek alchemicznego szkła tkwiących w jej dłoni. I tak miała wystarczające problemy. Zmieniła też zdanie na temat ucieczki Margreet, nie uznawała tego już za manifestację tchórzostwa. A jeśli nieprzyjaciele Tronu tak rozpaczliwie chcieli zobaczyć królową martwą, Anastazja była jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby utrzymać ją przy życiu, a wydawało się to trudne, jeżeli nie wyjedzie z Hagi.

Oślepiiony służący, kierowany niejasnymi *geas* prowadzącymi go wyboistą ścieżką ku zawiłemu rozwiązaniu palącego dylematu, objął się o rzędy biurek. Starał się być ostrożny, lecz z powodu niewypełnionego polecenia trzął się przy każdym kroku jak epileptyk. Stopami uderzał o blachy zabezpieczające, trącał szafki na akta. Kiedy nareszcie udało mu się, chybocząc, namierzyć Anastazję, ta po cichu, na palcach, przeszła na drugą stronę sali. Zaszleściła jej suknia.

Maszyna zatrzymała się i przekrzywiła głowę.

– Pani? Gdzie jesteś?

Euwe skrzywił się i cmoknął z obrzydzeniem.

– Bez sensu. Ślepe maszyny nie odeprą przecież ataku.

– Nie będą musiały. Jeśli to zadziała, zainfekowani mechaniczni nie będą tracić czasu na niewidomych – odparła Anastazja. Maszyna obróciła się, chcąc podążyć za jej głosem. – Służący nie potrzebuje oczu, żeby obsłużyć pompę. Nie

musi widzieć korby, żeby nią kręcić. Tunele przeciwpowodziowe zwykle i tak nie mają lamp, a jakoś dawaliśmy radę przez stulecia – dodała, kiedy niewidoma maszyna przydreptała bliżej, przewracając po drodze wieszak na ubrania. – Och, już się zatrzymaj – zawołała Anastazja. – Zostań, gdzie stoisz.

– Oczywiście, moja pani. – Głośne szczęknięcie mechanicznego ciała spadło do zwyczajnego poziomu, lecz zapach nagrzanego metalu bynajmniej nie zelżał.

– Możliwe – powiedział Euwe. – Ale co z żołnierzami? Nie możemy przecież wyłupić im oczu i oczekiwać, że będą działali normalnie. Nasi obrońcy nie mogą zwrócić się przeciwko nam.

Teren przed budynkiem patrolowali Nakręcacze, zataczając koncentryczne kręgi: wewnętrzny wokół samego Ridderzaalu, zewnętrzny wokół całego placu Huygensa. Gildia potrzebowała oddanych żołnierzy. Nieznany wróg był przecież o włos od osiągnięcia swego, katastrofalnego dla Imperium, celu.

Oślepiiony służący wydał z siebie ostry szczęk. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał echa.

Anastazja skrzywiła się i skinęła na niewidomą maszynę. Euwe również to zauważył.

– Dziwne – powiedział.

Nie chciał wypowiedzieć głośno pytania, które im obojgu kołatało się po głowie. Czyżby to była kolejna rzecz, jakiej nie rozumieli u stworzonych przez siebie maszyn?

Rozmowy pomiędzy członkami Gildii przypominały raczej domysły niż deklaracje, wyglądały tak od czasu ataku. Nikt nie chciał się zmierzyć z trudną do zaakceptowania, gorzką prawdą, że nagła brutalność maszyn nie była wynikiem uszkodzenia lub awarii, ale świadomą decyzją. Anastazja również drżała na samą myśl o tym. Klóciło się to bowiem z tym, co do tej pory wyznawali, i przerażało ją do szpiku kości. Nie potrafiła zebrać się na odwagę, żeby wypowiedzieć to wszystko na głos. Chciała się skulić ze strachu. Nie była gotowa na nieuchronne dyskusje, jakie mogłaby zainicjować, dzieląc się z kimkolwiek swoimi konkluzjami.

– Jak idą naprawy? – Zmieniła temat.

– Są czasochłonne.

Oślepiiony mechaniczny ponownie szczęknął.

– Nie chcę przysporzyć ci dodatkowych zmartwień – dodał Euwe – ale kończą nam się pewne surowce. – Odpowiadając na niepokieszoną minę *tuinier*, wyjaśnił szeptem: – Kwintesencja.

Anastazja musiała oprzeć się o biurko, żeby nie upaść. Kropla potu spłynęła jej między piersiami.

– Opowiadaj.

– Nie otrzymaliśmy żadnej dostawy od czasu De Pelikaana.

Anastazja słyszała o tym statku. Odniósł poważne uszkodzenia podczas próby pochwylenia kobiety, która pozostawiła ją na pewną śmierć. Zniknięcie *madame de Mornay-Périgord* ze znajdującego się na otwartym morzu statku stanowiło nie lada tajemnicę. Uznano ją za zaginioną i najprawdopodobniej martwą. A jednak udało się jej jakimś cudem przekabacić przynajmniej jednego służącego i wykasować jego *metageas* odpowiadające za bezpieczeństwo ludzkie, po czym kazać mu zamordować dwóch członków Gildii podczas próby ucieczki. Szczęśliwie, kiedy lodołamacz nareszcie dotarł do Rotterdamu, zapasy kwintesencji okazały się nienaruszone. I to się liczyło. Francuzka nie zdobyła nawet próbki. Wtedy wydawało się, że Gildii dopisało niemałe szczęście, bo kobieta mogłaby narobić niezłego bałaganu, mając kwintesencję do dyspozycji.

Anastazja dowiedziała się tego wszystkiego długo po fakcie, bo kiedy owe wydarzenia miały miejsce, leżała połamana za oceanem. Mogła jednak wyobrazić sobie blednące twarze całego Nadleśnictwa, które dowiaduje się, że poszukiwana agentka wroga, której nie mogli namierzyć, nie tylko uciekła z Nowego Amsterdamu, lecz wykorzystała w tym celu specjalny transport przewożący niezbędne Gildii materiały. Niektórzy przekonywali, że to ledwie zbieg okoliczności spowodowany pośpiechem chcącej wydostać się z miasta jak najszybciej Francuzki.

Anastazja nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Euwe patrzył to na nią, to na wydającego z siebie dziwne pyknięcia klakiera. *Tuinier* pokręciła głową, dając już spokój niepokojącym myślom. Powróciła do prowadzonej z doktorem rozmowy.

– Czyli ilu dostaw nie było?

„Proszę, oby się okazało, że chodzi o jedną. Proszę, powiedz, że tylko jednej. Pojedynczy statek mógł przecież zatonać podczas sztormu, mogła go zalać wysoka fala, mógł skruszeć spróchniały kadłub. Ale jeśli to już dwie... Cóż, wtedy mamy nóż na gardle”.

– Muszę dla pewności dopytać – odparł Euwe – ale na pewno kilku.

O nie, Anastazja nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

– Czy mogą stać za tym Francuzi? – zapytała.

– Niewykluczone. Lecz od przybycia De Pelikaana nie otrzymaliśmy żadnego sygnału, że mają jakiegokolwiek podejrzenia co do prowadzonej przez nas operacji.

– A nie mieli czasu wysłać zbrojnej ekspedycji na północ, bo przygotowywali się do oblężenia.

Euwe starał się łapać jakiegokolwiek innej możliwości.

– Czyli Watykan.

– To jeszcze bardziej absurdalne – prychnęła Anastazja. – Za moment zasugerujesz, że odpowiedzialna jest za to grupa dzikich z Nowego Świata, że przyszedli do naszej kopalni okryci foczymi skórami i jakimś cudem zakłócili proces wydobywczy kościanymi nożami i ostrymi zębami.

– Oczywiście, że nie – obruszył się drażliwy Euwe. – Lecz jeśli to nie Francuzi i nie Watykan...

Anastazja potarła szyję bawełnianymi bandażami, którymi owinięto jej bolącą dłoń, jakby chciała przegonić fantomowe kły zaciskające jej się na tętnicy.

Potrzebowali tej kopalni. Z żył kwintesencji w Europie i Azji od przeszło czterdziestu lat wydobywano zanieczyszczony surowiec, aż wreszcie źródło wyschło. Kiedy ten Francuz, Montmorency, zwrócił się do nich z propozycją, został wyśmiany. Jednak ostatecznie jego oferta to dla Imperium manna z nieba.

Naprawiane jeszcze, zabite deskami rozetowe okno przepuszczało ostatnie promienie zachodzącego słońca. Dzień dobiegał końca. Cienie pogłębiały się w każdym kącie Ridderzaalu. Inny służący, jakby rozpoznał niewypowiedziany sygnał, zaczął zapalać alchemiczne lampy.

Anastazja wskazała kciukiem niewidomego klakiera.

– Całkiem nieźle działa, jeśli nie musi łązić. Zrób listę usług miejskich niewymagających od maszyn mobilności, a potem zwołaj ludzi i zacznijcie wyłupywać im oczy. Dołączę wieczorem.

*

Po udaremnieniu pierwszej próby zamordowania królowej Anastazja namówiła monarchinię i jej małżonka do schowania się w toalecie. Z początku oboje się opierali, bo szeroki klosz sukni Margreet uniemożliwiał wygodne i godne umoszczenie się w małym klozecie. Następnie *tuinier* zwołała poubieranych w urzędowe liberie służących. Zdrada Gwardii Królewskiej oznaczała, że żadnemu z elitarnych mechanicznych nie mogła zostać powierzona ochrona monarchini. Nie miała co prawda powodu, żeby ufać stewardom, lecz nie miała też wyjścia. Odwołała się do prerogatywy Nadleśnictwa i bezpieczeństwa samej królowej, po czym rozkazała klakierom, powołując się na chęć uratowania rodziny rządzącej, zerwać podłogę i znaleźć biegnące pod nią rury. Poszły w ruch pięści i stopy, tak prędko, że każdy ruch zlewał się w smugę. Rozbijali włoski marmur, łamali dębowe belki i kruszyli beton. Przejście do tuneli pod letnim pałacem wryli nadzwyczaj szybko. O wiele dłużej zajęło Anastazji przekonanie królowej, że dosłownie i w przenośni korona jej z głowy nie spadnie.

Ostatecznie dała się przekonać, choć to nie upór *tuinier* o tym zdecydował, ale biegnący korytarzem gwardzista siekący królewskich służących. Książę

bezpardonowo zepchnął Jej Wysokość do dziury w podłodze. Anastazja rozkazała pozostałym klakierom uformować straż tylną i osłaniać ucieczkę. Służący nie mogli się jednak mierzyć z elitarnym żołnierzem. Ich opór ledwie spowolnił zbuntowanego żołnierza, dał jednak Anastazji czas, żeby precyzyjnie się przez dziurę, zerwać na równe nogi i unieść poranioną dłoń w oczekiwaniu na zabójczą maszynę.

Gwardzista skoczył na nią. Pod jego ciężarem zatrzęsł się cały tunel, a na liczących sobie setki lat ceglach pojawiła się pajęczyna pęknięć. Fala uderzeniowa niemal przewróciła Anastazję. Cofnęła się, brodząc w zimnym ścieku i machając ręką. Nic się nie wydarzyło. Zbuntowany klakier nadal szedł ku niej. Tunel był ciemny, nie licząc światła przesączającego się przez wybitą dziurę, co nadawało pancerzowi gwardzisty oleisty połysk.

– Biegnij, pani! – zawołała.

Rozległ się plusk towarzyszący pośpiesznym krokom.

Cyk. Ostrza wysunęły się z przedramion maszyny i błysnęły w słabym świetle.

Anastazja ponownie opróżniła pęcherz.

Maszyna wyskoczyła. *Tu nier* krzyknęła. Cienie rozgonił nagły oślepiający blask płonącego szmaragdu. Nieruchomy gwardzista przywalił Anastazję metalowym ciałem, niemal przyszpilając do błotnistej ziemi. Alchemiczne szkło – soczewka Spinozy – nie tyle wbiła jej się w skórę, co jakimś sposobem zespoliła z nią, zachowując kalejdoskopową wersję dawnej funkcji. Bo o ile możliwe było złączenie alchemicznego szkła z ludzkim ciałem, co udowodniła zresztą chirurgiczna alteracja szyszynki pastora Vissera, wymagało to niezwyklej ostrożności i serii nieudanych operacji, nim zadziało. Soczewka Spinozy weszła w jej dłoń w ułamku sekundy, w chaosie, bólu i strachu. I najwyraźniej potrzebowała podobnego stanu podwyższonej emocjonalności, żeby uaktywnić swoje niejasne właściwości. Jak na przykład w chwili zbliżającej się śmierci. Co było rozwiązaniem dalekim od ideału.

Stała na chwiejących się nogach. Dogoniła księcia i królową.

Przeszli kilometry mrocznych tuneli, po kostki w gównie, ze szczurami ocierającymi się o nogi, aż dotarli do chłodniejszego i niewiele tylko czystszej kanału burzowego, skąd pomaszerowali dalej.

*

Na miasto opadła już ciemność, kiedy Anastazja wychynęła z Ridderzaalu i przeszła szybkim krokiem do nieoznakowanej dorożki zaprzęzonej w Nakręcaczy. Dała centaurom adres starej stacji pomp na peryferiach

amsterdamskiej *veerkade*. Maszyny z miejsca ruszyły na złamanie karku. Miał to być bodaj najryzykowniejszy odcinek dzisiejszej podróży, zresztą zapowiadającej się na straszliwie długą. Przywołała świeże jeszcze wspomnienie, kiedy ostatnim razem pędziła dorożką z duszą na ramieniu. Próbowała sobie przetłumaczyć, że zimny ścisk, jaki poczuła na dnie żołądka, to tylko niestrawność, nie przerażenie.

Ulice były opustoszałe, a chodniki zavalone śmieciami, które pierwotnie piętrzyły się pod oknami kamienic, ale rozwiewał je wiatr. Ludzie odchylali zasłonki, żeby popatrzeć, kto jedzie. Tu i ówdzie Anastazja wypatrzyła rozbite okno albo wyłamane drzwi, tudzież plamę krwi czy ślad po mechanicznej dłoni na zgniecionym granitowym słupku. Ludzie pochowali się w domach i sklepach, nie wystawiali nawet mechanicznej straży. Bali się, że ich maszyny powrócą odmienione. Od czasu do czasu z alejek i ciemnych witryn wyglądali służący, niektórzy zeskakiwali z dachów i próbowali biec za dorożką, ale za każdym razem jeden z mechanicznych ciągnących pojazd odłączał się od zaprzęgu i zajmował się atakującymi. Niemożliwe wydawało się przeżyć podobny wypad do miasta, a co dopiero pozostać niezauważonym, ale dzisiejszy plan oparty był na takim właśnie założeniu.

Anastazja złapała latarnię i wyskoczyła z dorożki. Nakręcacze wyciągnęli przymocowane do podwozia podłużne kawałki metalu oraz torbę gwoździ ze schowka przy siedzeniu. Wyposażone w rozliczne stawy palce centaurów wygięły się do tyłu, zmieniając ich pięści w młotki. Nie zwlekając, mechaniczni przymocowali stalowe obręcze do drewnianych kół. Skończyli swoje zadanie, zanim Anastazja przebiegła krótki odcinek dzielący dorożkę od stacji pomp.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, mechaniczne centaury znowu ruszyły galopem, ciągnąc pustą już dorożkę z powrotem przez osobliwie ciche ulice Hagi. Trące o bruk obręcze pluły iskrami, a huk rozchodził się po ulicach tępym echem, słychać go było nawet za zamkniętymi i zakratowanymi stalowymi drzwiami stacji, oddalał się wolniej niż sam pojazd. Zawisł niczym ból po poparzeniu.

Hałas, zgodnie z planem, musiał dotrzeć do każdej dzielnicy miasta. Serpentynowa trasa, jaką wyznaczyła dla Nakręcaczy, miała dać gwarancję, że usłyszą go wszyscy krążący po mieście zbuntowani mechaniczni. I jak miała nadzieję, podążą jego śladem.

Anastazja włączyła latarnię i ruszyła po schodach. Stacja mieściła się w starym budynku z kamienia i drewnianych belek. *Tuinier* szła za dźwiękiem płynącej wody. Na dole spotkała czekających na nią doktora Euwe i Teresę, techniczkę, której bystry umysł uratował Anastazji życie na placu Huygensa. Mężczyzna trzymał w ręce siekiere, kobieta mapę. Towarzyszył im mechaniczny

żołnierz. Na widok jego żłobkowanych przedramion Anastazja poczuła prześlizgujące się jej po kręgosłupie uczucie strachu, zupełnie jakby ktoś trącił go niczym strunę gitary. Zadrżała jej dłoń. Poczowała drażniący, delikatny zapach płonącej bawełny, ale wtedy światło latarni padło na puste oczodoły maszyny i odprężyła się. Żołnierz był niewidomy, odporny na zainfekowanie.

Nie mogła się już dłużej okłamywać: „Boję się. Boję się nieznajomych maszyn”. Oczyma wyobraźni zobaczyła puste ulice. Uchylające się zasłonki. Strach wykończy to miasto.

Jej bandaż zaczęły smolić. Może fragmenty soczewki Spinozy żywiły się nie tylko lękiem, ale i innymi silnymi emocjami, na przykład rozpaczą.

Zacisnęła powieki, skoncentrowała się na uspokojeniu oddechu.

– *Tuinier?* Nic ci nie jest?

Pokręciła głową i otworzyła oczy.

– Chodźmy.

Z góry dobiegło ich łomotanie pięści o stalowe drzwi. Najwyraźniej zbuntowani śledzili dorożkę aż do samej stacji pomp i nie dali się oszukać Nakręcaczom.

Teresa otworzyła kłapę, do pomieszczenia wpadł stęchły zapach, a odgłos płynącej wody stał się głośniejszy. Anastazja weszła za gospodarzami do ciasnego tunelu serwisowego. Otworzyli bramy odcinające korytarze stacji od morza i do środka wlała się przez kanały przeciwpowodziowe poprowadzone pod ulicami Hagi słona woda. Zegarmistrzowie wdrapali się na kołyszącą tratwę.

– Teraz! – krzyknęła do żołnierza.

Zatrzasnęła za sobą kłapę i zakręciła korbą uruchamiającą zawór zabezpieczający. Z drugiej strony wjazdu rozległ się nowy dźwięk i dołączył do regularnego łup-bach-gruch wydawanego przez zbuntowanych mechanicznych próbujących roznieść stację na kawałki, podwójnego szczękę wysuwanych ostrzy i trzasku alchemicznej stali przecinającej się przez drewno, kamień i zaprawę. Anastazja skoczyła na tratwę. Rozległy się rumor i stukot, woda zaczęła wylewać się do kanału. Doktor Euwe przeciął linę utrzymującą tratwę w miejscu. Popłynęli niczym korek wrzucony do umywalki.

*

Parę dłużących się kilometrów kanału wodnego i kilka zakrętów dalej („Prawo!”, „Lewo!”, „Prawo!”) nareszcie znaleźli się pod kolejną stacją pomp, do której zresztą zmierzali, lecz nie mieli ani kotwicy, ani żadnego innego sposobu, aby zwolnić i się zatrzymać.

– Maszyno! – krzyknęła Teresa. – Łap nas.

Służący wskoczył do kanału z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Doktor Euwe złapał go za ramię, akurat kiedy prąd miał znieść ich na bok. Mechaniczny chwycił jego dłoń, a potem tratwę. Trzymał ją mocno, żeby się nie bujała, pozwalając ludziom wysiąść. Cała trójka od razu skierowała swoje kroki ku prowadzącym na górę schodom.

Klakierzy pracujący przy pompach, jak ten, którego testowali, byli oślepienymi maszynami przeniesionymi z tuneli pod Ridderzaalem. Kanał wypełniało echo kliknięć i szczęknięć. Każdy rozlegający się nagle odgłos był ostry i wyróżniał się na tle innych. Niósł się chwilę tunelami, aż cichnął i niknął. Nie był to zwyczajny szum mechanizmu zegarowego.

Patrząc na głębokie cienie, Anastazja pomyślała o nietoperzach.

Po stacji kręcili się i ludzie, i mechaniczni. Poza trzema wojskowymi klakierami byli tam Malcolm, księżę Rupert i królowa Margreet. Anastazja dygnęła.

Królewska para zrzuciła z siebie brudne łachy. Rupert równie dobrze mógł uchodzić za sprzedawcę z targu: miał na sobie koszulę bez marynarki, fartuch i ogrodniczki. Z kolei Jej Wysokość założyła wełnianą sukienkę i wykrochmalony biały czepek guwernantki.

Malcolm otworzył kufer i obecnych owionął smród ścieku, a może nawet i czegoś znacznie gorszego. Na dnie skrzyni leżały brudne ubrania królewskiej pary, element akcji dywersyjnej. Na zewnątrz czekała dorożka, która miała zabrać sobowtóra królowej jak najdalej od doków. Teresa rozebrała się bez śladu skromności, wstydu czy strachu. Robiła, co do niej należało, choć mogła przypłacić to życiem.

– Jesteś gotowa, moja pani?

Anastazja zeszła z królową i księciem po schodach. Przystanęła tylko na moment, żeby życzyć odważnej Teresie, która zdążyła już wdziać perukę i akurat nakładała na swe piękne oczy kolorowe soczewki kontaktowe, powodzenia. Ale nawet jeśli ją usłyszała, nie dała niczego po sobie poznać. Myślami była zupełnie gdzie indziej. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie liczył, że da radę oszukać mechanicznego przebraniem. Nie zwiódą nikogo na długo.

Anastazja zamknęła za sobą klapę i dołączyła do pary królewskiej, która już siedziała na tratwie.

*

Mieli do przebycia w prostej linii około dwudziestu kilometrów do trzeciej już tej nocy stacji pomp. Kolejny niewidomy służący wykorzystał swą nadludzką

siłę, żeby pokonać prąd i zamknąć za nimi śluzę, dzięki czemu odciął ten odcinek kanału od reszty podziemnej sieci. Teraz kwestią czasu było, kiedy księżyc i przypływ popchną tratwę ku morzu i rotterdamskiej przystani.

Stacja pomp w Rotterdamie przylegała do jednego z tuzina magazynów ustawionych wzdłuż nabrzeża. Anastazja poprowadziła królową i jej małżonka przez rzędy skrzyń – które przypłynęły z dalekich zakątków Imperium – do wychodzących na przystań okien. Szli po omacku, bo najmniejsza nawet latarenka zdradziłaby ich pozycję. Doki również zalewała ciemność, nie było bowiem komu zapalić gazowych lamp; kolejny symptom prędkiej dezintegracji społeczeństwa. Anastazja zmrużyła oczy i rozejrzała się po nabrzeżu. Niektóre keje pozostały puste, przy innych zacumowano spore statki. Nareszcie jej oczy przywykły do mroku i zauważyła sylwetkę, której tak niecierpliwie wypatrywała. Odetchnęła z ulgą. Wskazała niewielką łódź żaglową, kołyszącą się na falach na końcu pobliskiego pirsu. Księżyc oblał światłem olinowanie, nadając blademu płótnu żagli upiorny wygląd.

Anastazja miała nadzieję, że to nie błędny ogień.

– Tam, Wasza Wysokość.

Władczyni Mosiężnego Tronu zacisnęła usta.

– Nieco mały i prymitywny, nie uważasz?

– Taką mam nadzieję.

Zegarmistrzowie przeczesali każdy kawałek wybrzeża pomiędzy Rotterdamem a Den Helder, chcąc zarekwirować najzwyklejszą łódź, napędzaną wiosłami, a nie rękoma mechanicznych.

– Przyciągnie czyjaś uwagę. Mieliśmy podróżować incognito.

– Rozważaliśmy parę możliwości, moja pani. Ale żeby wywieźć ciebie i księcia z Prowincji Centralnych, musimy ograniczyć mechaniczną siłę roboczą do niezbędnego minimum. Nie możemy zaufać maszynie, której nie przywieźliśmy z Ridderzaalu. Żadnej. Wystarczy jeden buntownik kryjący się pośród załogi i mamy gotową katastrofę.

– Czyli chcesz powiedzieć, że mam wypłynąć na morze w tej... łupinie? Bez załogi?

– Nie bez załogi, Wasza Wysokość. Bez mechanicznej załogi. Będziecie w dobrych rękach. Poza tym – mówiąc to, Anastazja spojrzała na księcia Ruperta – słyszałam, że jesteś, książę, wytrawnym żeglarzem. Mam nadzieję, że to nie tylko plotka.

Po raz pierwszy od tragicznych wydarzeń w letnim pałacu książę uśmiechnął się lekko.

– Bynajmniej. Za młodu popłynąłem jeszcze mniejszą łódeczką z Lizbony do Kopenhagi i z powrotem. – Odwrócił się do królowej. – Nie bój się. Nie

potrzebujemy do tego tykaczy.

– Ale gdzie mamy się udać? – zapytała monarchini. – Nie przepłyniemy tym przez morze.

– Nie mi decydować, moja pani. To zależy od żeglarza, wiatru, fal i szczęścia. I tak po prawdzie, lepiej będzie, jeśli nie poznam twej destynacji. Istotne, żeby zabrać cię jak najdalej od Hagi i Prowincji Centralnych. Może na północ, do Skandynawii, albo na południe, za Morze Śródziemne. Gdzieś, gdzie nie znajdą cię tajemniczy panowie zbuntowanych. – Anastazja raz jeszcze spojrzała na Ruperta. – Na pokładzie znajdziecie prowiant dla dwojga na kilka tygodni. Jak uradziliśmy, najlepsze rozwiązanie to pozwolić falom wynieść łódź za strefę falochronu. Jeśli przyłgniecie do dna pokładu, będzie to wyglądało, jakby zniosło źle przywiązaną do słupka żaglówkę. Oczekacie, aż odpłyniecie na tyle daleko, żeby nie było was widać z lądu, a wtedy możecie kontynuować podróż na pełnych żaglach. Inaczej maszyny mogą was zauważyć.

Księżę się skrzywił.

– Nawigacja będzie znacznie utrudniona.

– Na pokładzie jest sekstans, ale proszę, nie wstawajcie, zanim nie odpłyniecie dość daleko. – Anastazja spojrzała na zegarek. – Musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy zdążyć na fale.

Ostatnim odcinkiem podróży był rozpaczliwy sprint z magazynu do strategicznie poustawianych skrzyń, rozłożonych plandek i zwiniętych lin, za którymi zacumowano łódkę. Przy każdym kroku Anastazja spodziewała się usłyszeć przeraźliwy szcęk metalowych stóp na kocich łbach. Na szczęście udało im się dotrzeć na miejsce.

– Ja tu wrócę – powiedziała królowa Margreet.

„Tylko jeśli będziesz stuprocentowo pewna, że jest bezpiecznie”, pomyślała Anastazja, na głos powiedziała jednak:

– Będziemy harować dzień i noc bez przerwy, żeby przyśpieszyć twój powrót, Wasza Wysokość.

Pomogła księciu przeciąć liny cumownicze i schowała się za pacholkami, skąd obserwowała odpływającą łódź. Zdawało jej się, że żaglówka porusza się niemiłosiernie powoli. Anastazja zmartwiła się, że źle obliczyła idealną na rozpoczęcie podróży porę i para królewska nie załapała się na końcówkę odpływu. Jeśli fale zniosą łódź z powrotem do brzegu... Lecz nareszcie, po, jak się jej wydawało, niezliczonych godzinach, łupina wypłynęła za falochron, akurat kiedy na niebie pojawiła się obietnica nadchodzącego poranka. Anastazja musiała zbierać się z powrotem do stacji pomp, póki noc zapewniała jej osłonę. Już szykowała się, żeby stanąć na zdrętwiałych nogach, kiedy na horyzoncie pojawiła się ogromna sylwetka statku zmierzającego z otwartego morza do

portu. Był niesamowicie szybki i zwrotny. Rozmywał się przed oczami, jakby światło księżycy nieustannie modyfikowało jego kształt. Zorientowała się, że płynie nie do portu, lecz prosto na żaglówkę królowej i księcia. Anastazja zrozumiała, co się stanie, na moment przed kolizją. Statek nacierał na łódź jak przerośnięty, mechaniczny rekin.

– Dobry Boże – wydyszała.

Gigantyczna fala dziobowa wyrzuciła łódkę do góry. Łupina obróciła się niemal o sto osiemdziesiąt stopni, zanim opadła z powrotem na wodę. Przy uderzeniu maszt złamał się jak zapałka, żaglówka gruchnęła o fale do góry dnem niczym niezdarny skoczek, który zamiast na główkę, spadł na tyłek. Ogromny statek nawet nie zadrżał. Zmiażdżył łódkę i uwieczonych w niej ludzi.

Bestia zatrzymała się pośród unoszących się na powierzchni resztek. Przypominające macki wiosła młóciły wodę, bijąc pianę. Morze śmierdziało solą, wodorostami i ozonem. Lada chwila z marnej łupiny miały zostać jedynie malutkie kawałeczki nie większe od zwykłej drzazgi.

Morscy tytani, statki będące ogromnymi klakierami, byli szczytowym osiągnięciem zegarmistrzowskiej techniki, najnowszym dziełem Gildii o bezprecedensowej efektywności. Dzięki temu wynalazkowi udało się zaoszczędzić na setkach mechanicznych pracujących przy wiosłach. Same wiosła nie były sztywne, składały się z setek nałożonych na siebie twardych płytek, które maszyna kontrolowała niezależnie. Dawało im to elastyczność godną odnoży ośmiornicy. Tytani górowali nawet nad legendarnymi oceanicznymi liniowcami Niebieskiej Gwiazdy. Do tej pory wyprodukowano ich mniej niż tuzin.

I przynajmniej jeden z nich zdążył się zbuntować.

Statek zakręcił kółko w miejscu, gdzie zatonąła żaglówka, i nie przestając chłostać morza swoimi drewnianymi biczami, wywoływał spore fale. Nie miał jednak zamiaru pozostawić niczego przypadkowi. Kiedy obszar zaraz za falochronem przypominał już pobojuwisko, tytan obrócił się ku lądowi i wznowił swój przerwany na chwilę rejs, którego celem było unicestwienie wszystkich zacumowanych przy kejach rotterdamkiej przystani statków. Jeden po drugim pękały pod naporem klakierskiego kadłuba. Kiedy już zniszczył przystań, zajął się infrastrukturą. Mackami chwycił budowle i żurawie towarowe, którymi chybotął, aż zwały się do morza.

Jeszcze przed nastaniem dnia z największego portu w Prowincjach Centralnych nie zostało zupełnie nic. Jej Wysokość Margreet, zasiadająca na Mosiężnym Tronie, zaginęła na morzu.

ROZDZIAŁ 8

Kościół świętego Jana Chrzciciela wyglądał, jakby każdy szklarz na wyspie rozłożył kram w nawie bazyliki. Świątynię zbudowano z myślą o przywołaniu ducha dawno już utraconej chwały Starej Francji. Była dumną następczynią starszych budowli z Bordeaux, Chartres i Reims, oraz, oczywiście, paryskiej Notre Dame. Tak po prawdzie, kościół pod wezwaniem Jana Chrzciciela prezentował się, rzecz jasna, mniej okazale i nie był tak imponujący jak jego kuzyni na odległym kontynencie, lecz czy mogło być inaczej, skoro ukryto go za wysokimi murami wzniesionymi z kamienia i strachu?

Berenice rzadko kiedy miała okazję studiować podobne budowle i precyzyjnie wyłapać ich niedoskonałości bez rozłożonych przed sobą starych ksiąg. Nawet po zniszczeniach dokonanych przez kalwińską zarazę ze starych domów modlitwy nadal emanowała wielkość Starej Francji. Były one bowiem dowodem niemałych starań murarzy z Nowego Świata, którzy próbowali przywrócić architektoniczne piękno utracone w chaosie Wygnania. Przed stoma laty połączyła siły niewielka grupa francuskich chemików i szklarzy zdeterminowanych, żeby duchowe serce Nowej Francji przyozdobić opalizującymi witrażami przypominającymi drogocenne klejnoty, jakich nie znała nawet i Europa.

Tuinier Anastazja Bell, *de facto* głowa tajnej policji zegarmistrzowskiej, powiedziała Berenice, że nic nie może się równać mistrzostwu holenderskich artystów, choć zapewne chytrze nawiązywała do szkieł alchemicznych. Jednak nigdy, nawet podczas swoich dalekich podróży do niderlandzkojęzycznej części świata, nie spotkała się z czymś takim jak witraże u świętego Jana Chrzciciela. Przeszło sto lat temu podnosiły na duchu i zdejmowały z ramion ciężar codzienności tym, którzy na nie spojrzeli. I pewnego dnia znowu tak będzie.

Jednego okna świątyni nie zabito deskami. Narteks i nawa były przez to przewiewne i przytulne jak ciasna cela. Ekipa budowlana pracowała na wysokich rusztowaniach zarówno za murami bazyliki, jak i wewnątrz, zajęta instalacją przezroczystych tafli zwykłego szkła pomiędzy płataninami tymczasowo zamontowanych słupków okiennych i szprosów. Szyby były wykonane najtańszym kosztem, pełne skaz. Mieniły się lekko niczym rozwodnione szczyny muśnięte promieniem słońca, ale przepuszczały światło. Wierni, którzy ciągnęli o świcie do kościoła na poranną liturgię, przynajmniej będą mogli zobaczyć za absydą niebo.

Berenice trzymała się narteksu. Dotrzymała złożonej wysłannikowi Longchampa obietnicy i zapaliła świecę za umierającego kapitana. Ba, nawet się przeżegnała, choć opornie. Dawno tego nie robiła.

Stała ze spuszczoną głową i mamrotała pod nosem nieco przypadkowe, nieskładne słowa modlitwy, kiedy zaskoczył ją posłaniec. Chłopak przebiegł przez zachodnie drzwi, rozejrzał się, zmrużył oczy i zobaczył odcinającą się na tle głębokich cieni sylwetkę Berenice. Podeszedł do niej cicho, nie chcąc przerywać gwałtownie tej chwili skupienia, lecz zbyt niezdarnie, żeby nie zamajaczyć gdzieś na skraju jej pola widzenia, gapiąc się przy tym na opaskę na oku.

– Znalazłeś mnie. Dobra robota. Teraz ty się chowaj, a ja cię szukam – powiedziała.

– Posłano mnie po panią – odrzekł chłopak, nie rozumiawszy, o co jej chodziło.

– Kto?

– Strażnik. – Wzruszył ramionami.

Czekała, aż powie coś jeszcze, ale kiedy tamten milczał, zapytała:

– Aaaaa z jakiego powodu? Przynosisz wiadomość czy mnie gdzieś zaprowadzisz?

Posłaniec demonstracyjnie wywrócił puste kieszenie, udając, że nie dosłyszał. Berenice przewróciła okiem i wyłowiła z portmonetki pieniądze.

– To prawdziwa holenderska kwartje – szepnęła, kładąc monetę na dłoni chłopaka. – Wydarta z ręki martwego zegarmistrza o demonicznym sercu.

Nie było to dalekie od prawdy. Podczas ucieczki od Bell Berenice przejęła wypełniony kosztownościami kufer, który miał zasilić skarbiec Nadleśnictwa. Dana posłańcowi kwartje była jedną z ostatnich monet, jakie jej zostały.

– Jak ją pani zdobyła? – zapytał wyraźnie zaintrygowany.

– Nie starczyłoby dnia, żeby opowiedzieć tę historię. Zakładam, że wydane ci polecenie było jednak pilniejsze?

Chłopak oderwał spojrzenie od monety.

– Co?

– Posłano cię, żebyś mnie znalazł, tak? Mogę spytać czemu?

– A, tak.

Posłaniec odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, nie patrząc nawet, czy idzie za nim. Kiedy byli już na zewnątrz i nie obowiązywało ich zachowanie ciszy, mogła odezwać się głośniej, nie burząc przy tym przytłaczającej atmosfery mrocznej bazyliki.

– Prowadź, Sieur du Lhut.

Mogła zapytać, dokąd idą, ale domyślała się tego. Nie знаła co prawda

powodu, lecz miejsce jak najbardziej. Chłopak poprowadził ją między niezliczonymi grupkami mężczyzn pracujących nad odbudową czworobocznego dziedzińca wewnętrznej twierdzy, na którym znajdowała się stacja kolejki u stóp Iglicy. Krużganki były niemal opustoszałe, zauważyła jedynie księdza i ministranta idących do katedry. Fontanna, watykański dar dla Nowej Francji za pomoc w wywiezieniu papieża z Rzymu i za ocean, tak jak prawie wszystko w Zachodniej Marsylii, została zniszczona. Pomimo że poprzedniego dnia zerwała się rześista ulewa, popękana misa nie utrzymała wody. Cherubin zdobiący fontannę miał odłamaną rękę i stracił skrzydełko. Berenice założyła, że uszczerbek ten powstał podczas awantury z pastorem Visserem.

Ogonek petentów ubiegających się o audiencję u króla nie był długi, zapewne z powodu zepsutej kolejki, która nadal nie dowoziła ludzi na sam szczyt, a na Modlitwie Portiera nawet w lecie bywało zimno i wietrznie.

Berenice spróbowała spławić chłopca.

– Dobrze, chyba dam sobie już radę, dziękuję. Pewnie mam iść na górę, tak?

Strażnik przerwał ich rozmowę i razem z operatorem kolejki przyglądał się to Berenice, to posłańcowi, po czym kciukiem wskazał mamroczących coś pod nosem petentów.

– Tam jest kolejka – powiedział.

Chłopak włożył sobie rękę w spodnie (Berenice odwróciła wzrok; miała nadzieję, że ma tam zaszytą jakąś kieszeń) i wyciągnął pogniecioną kartkę papieru. Strażnik przeczytał ją, wzruszył obojętnie ramionami i podał operatorowi kolejki, który po lekturze zareagował tak samo.

Żołnierz machnął kilkakrotnie przesłoną na lampie semaforowej.

Klik, klak, klak-klak-klik.

– Przyznaję, że mnie zaciekawileś – rzekła Berenice, kiedy czekali na przyjazd kolejki. – Należą ci się ukłony. Ale jesteś niebezpiecznie blisko przekłucia balonika. Lepiej, żeby to, co czeka mnie na końcu drogi, było warte tej ceremonii, inaczej poczuję się oszukana.

Posłaniec popatrzył na nią, jakby leniwie zastanawiał się, ile jeszcze monet z niej wydusi. Berenice podejrzewała, że po prostu nie ma nic lepszego do roboty. Albo to, albo dłubanie sobie w nosie nad dokami, co z pewnością po jakimś czasie traciło swój niezaprzeczalny urok.

Chwilę później lampa umieszczona na Iglicy zapaliła się w odpowiedzi i Berenice oraz chłopca zaprowadzono do pustego wagonika. Kolejka jechała wolniej niż ostatnim razem, kiedy miała okazję nią podróżować; była to przerażająca przejażdżka, tykająca horda wlewała się wtedy za mury wewnętrznej twierdzy. Spodziewała się, że nadjeżdżający z naprzeciwka wagonik będzie pełen niezadowolonych poddanych, lecz najwyraźniej niczyja

audiencja u Jego Wysokości nie została przerwana, bo kolejka wracała pusta.

Z góry rozciągał się spektakularny widok niedawnego miejsca bitwy wokół cytadeli. Na polach ekipy z młotami i kilofami rozbijały zaschnięte bańki żywicy, której kawały wywożono na wozach zaprzężonych w woły. Nieco dalej ciągnął się ogołocony z liści las Île de Vilmenon i przylegająca do niego ostra linia wzburzonej rzeki. Za nimi znajdowała się ziemia niegdyś zwana Nowymi Niderlandami. A tam grasowali wyzwoleni i nieobliczalni mechaniczni...

Dojechali kolejką najwyżej, jak się dało, i wysiedli na tymczasowej stacyjce na stopniach Modlitwy Portiera. Kryta klatka schodowa oplatała Iglicę niczym dyndający pompon. Pokonywali kolejne odcinki drogi w ciszy, nie licząc dyszenia Berenice. Bodaj najlepszym świadectwem żelaznego serca Zachodniej Marsylii był fakt, że strażnicy potrafili wbiec na samą górę z całym wyposażeniem na plecach. Berenice i chłopak dotarli do niższego wejścia do komnaty Rady Królewskiej.

Po śmierci Louisa i wygnaniu nie spodziewała się, że kiedykolwiek jej noga ponownie przestąpi próg tej sali i że ktokolwiek będzie wyczekiwał tu jej wizyty. To za tymi drzwiami odbyła niezliczone, niekończące się spotkania i zaliczyła dwa razy więcej nonsensownych kłótni. To tutaj przekonywała króla, że da radę na zawsze odmienić los narodu i przyszłość Imperium.

Miała co do tego rację. Och, i to niezaprzeczalnie.

Stanowisko Talleyranda zapewniało jej miejsce w Radzie, ale to nie na obrady została wezwana. Król Sébastien siedział bowiem przy stole samotnie.

Chłopak uklonił mu się. Berenice dygnęła.

– Mój panie – przywitała się.

Berenice poczęła się zastanawiać, nie bez ponurej fascynacji, co król miał zamiar zrobić z krzesłem biskupa Marsylii. Od pewnego czasu stało puste, a teraz zabrakło jeszcze papieża, który mógłby wyznaczyć na to miejsce nowego kapłana.

– Z nikim nie rozmawiałeś? Od razu tu przyszłście? – zapytał chłopca król.

– Nie, Wasza Wysokość. Tak, Wasza Wysokość.

Monarcha wynagrodził posłańca monetą, która błysnęła złotem.

– Dobra robota.

– Jezu, dzieciaku. Gdybym miała pojęcie, że czeka tu na ciebie fortuna, nie kłopotałabym się napiwkami, ty mały złodzieju – powiedziała Berenice.

Chłopak nie odpowiedział, uklonił się tylko i zebrał do wyjścia.

– Lepiej, żeby to było warte tylu pieniędzy! – zawołała za nim, a kiedy zamknęły się drzwi, zapytała: – Chciałeś mnie widzieć, Wasza Wysokość?

– Nie. Chciałem, żebyś coś zobaczyła – odparł król. – Przyprawdźcie go – zawołał.

Otworzyły się drzwi. Do sali weszły trzy osoby: strażnicy i były szlachcic, jak Berenice. Może niezupełnie jak ona. Aż zabrakło jej tchu.

– Wyruchajcie mnie drzazgami z krzyża świętego.

Sierżant Élodie Chastain prowadziła byłego księcia de Montmorency'ego. Mężczyzna miał dłonie związane za plecami, a twarz spuchniętą i posiniaczoną. Łażł powoli, jakby wszystko go bolało, w opasce na oku. „Moja jest ładniejsza”, pomyślała Berenice.

– Mój panie – zaczęła – czy ja śnię? Czy to już święta?

Montmorency zamarł, usłyszawszy jej głos. Zmrużył zdrowe oko, rozejrzał się po salce, a kiedy ją zauważył, skrzywił się.

– Na niebiosa. Coś ty mu zrobiła? – zapytał król.

– Wyłupiła mi pierdolone oko!

Niezupełnie. Raczej wycięła, obrysowując nożem kontury jego oczodołu jak dziecko zdecydowane zeskrobać resztki smacznego lodu z niewielkiego deserowego pucharka.

– Jestem dobrą katoliczką, Wasza Wysokość. Nie zrobiłabym nic niezgodnego z Biblią.

– Toś ty taka mądra, pizdo niemyta? – Montmorency wyrwał do przodu – Ty...

Élodie uderzyła go trzonem kilofu w żołądek. Montmorency przerwał swoją ledwie rozpoczętą tyradę głośnym parsknięciem i mokre wymiociny zrosiły mu buty. Nie mógł utrzymać się na nogach, padł na ziemię. Strażniczka wyglądała na nieco wystraszoną.

– Przepraszam za bałagan, Wasza Wysokość – powiedziała skrzywiona. – Wydawało mi się, że robi coś niemądrego.

– Już wiem, czemu Hugo cię polubił – powiedziała Berenice.

– Dość tego – oburzył się król. – Nie torturujemy nieprzyjaciół – dodał i spojrzał na opaskę na oku Berenice. – Zapewne znasz Stary Testament lepiej niż Nowy.

Zadzwoił dzwonkiem, przywołując posługaczkę w liberii. Kobieta weszła z przylegającej do sali komnaty, rozejrzała się, zmarszczyła nos i wyszła. Po chwili wróciła z kubłem i szmatą. Król dźwignął się z krzesła i ruszył przez pokój. Wszyscy zebrani podążyli za nim, by móc kontynuować konwersację, nie przeszkadzając posługaczce w sprzątanii. Tymczasem kobieta wskazała palcem buty Montmorency'ego.

– Zdejmij je – powiedziała, jakby był zwykłym petentem z psim gównem na podszwach – i nie roznoś tego. Jesteśmy w sercu Nowej Francji, którą już dość zapaskudziłeś.

Montmorency, nieprzywykły do takiego traktowania ze strony kogoś z niższej

warstwy społecznej, otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, lecz Élodie nonszalancko uniosła kilof, więc od razu zrejterował. Drugi strażnik przytrzymał go, kiedy zdejmował buty, trąc stopą o stopę. Berenice zauważyła, że obuwie pamiętało lepsze czasy. Pokręciła głową, próbując ogarnąć tę sytuację. Gapiła się na człowieka, który sprawił jej tyle przykrości i smutku. Na swoją *bête noire*.

– Co on tutaj robi? Co tu robisz, draniu?

– Nie przyszedł po dobroci – powiedział monarcha.

– Domyślam się. Ale kto go złapał? Nie miałam pojęcia, że ktoś go szuka.

Czyżby coś jednak wyszło markizowi? Nie przyznałaby tego głośno, lecz pochwylenie zdrajcy zmieniloby nieco jej opinie na temat jego kompetencji jako Talleyranda. Przede wszystkim liczyło się działanie dla dobra kraju. I nic ponadto.

– Jestem pod wrażeniem – przyznała.

– Przyprawdzono go. To gałązka oliwna – powiedział król. – Nowy Amsterdam prosi o pomoc.

Powinna była się tego domyślić. Ledwie co rozżarzona iskierka zawodowego szacunku do markiza momentalnie wygasła, zostawiając po sobie tylko śmierdzący czarny dym. Berenice wybuchnęła śmiechem, ale wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl, więc szybko się opamiętała. Stała między Montmorencym a królem.

– Zabierzcie go! Dobry Boże, wyprowadźcie go stąd!

Nikt się nie ruszył.

– Nic nam nie grozi – powiedziała Élodie. – Sprawdziliśmy mu czaszkę, jak tylko nam go przekazano. Żadnej blizny. Nie otworzyli mu głowy.

– Zbadaliśmy też jego obstawę – dodał drugi strażnik. – Nikt nie grzebał im w makówkach.

Berenice wypuściła drżący oddech. Z ulgi zmiękły jej kolana. Przekazanie zbiegłego zdrajcy byłoby znakomitym koniem trojańskim. Bo jak najlepiej przeszmyglować przemienionego agenta do królewskich komnat? Z pastorem niemal się udało. Duchowny gołymi rękoma niemalże wlażł na szczyt Iglicy, pchany swoimi królobójczymi *geas*, zanim Longchamp nie powstrzymał go podczas mrozących krew w żyłach zmagani dziesiątki metrów nad dziedzińcem wewnętrznej twierdzy.

Od czasu wygnania Berenice do legendy Hugona Longchampa dopisano niejeden rozdział. I z tego, co słyszała, zasłużenie.

Król Sébastien wyglądał na rozbawionego.

– *Madame*, muszę pochwalić twoją czujność. Nikt nie może wątpić w twoje oddanie Nowej Francji.

– Jakiej pomocy oczekują tulipaniarze?

Król wyciągnął z koronkowego rękawa okulary do czytania, założył je na nos, poprawił, sięgnął do kieszeni kamizelki po list, rozłożył go i zaczął studiować.

– Sytuacja w Nowym Amsterdamie nie jest najlepsza i członkowie Gildii usłużnie proszą nas o pomoc w odparciu ataków mechanicznych. Proszą o broń chemiczną, szkolenie i tak dalej.

– To najżałośniejszy fortel, o jakim słyszałam. – Berenice pokręciła głową. – Kiedyś jeszcze się jako tako starali, knuli i mącili.

– On – król machnął dłonią w kierunku Montmorency’ego – jest dowodem szczerości ich intencji.

– Czyżby? A co mieli do stracenia, wypuszczając go? Tajemnice, które im sprzedał, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy spłonęła kuźnia.

– Chcieli, żebyśmy mogli ocenić skalę jego spisku. Zdrada zostanie zaprotokołowana.

– Już dawno dokonaliśmy podobnej analizy, mój panie.

– Sprawa jest prosta. Mamy go tutaj i zostanie osądzony. Teraz naszym zadaniem jest wystosować odpowiedź do tych, którzy go do nas przysłali. Potrzebuję twojej opinii.

– A co z resztą Rady?

– Będzie miała swoją kolej.

Berenice popatrzyła na Montmorency’ego. Człowiek ten utracił swoją aureę nietykalności uprzednio zapewnianą mu przez bogactwo. Niegdyś miał pozycję społeczną wynoszącą go ponad absurdalne rytuały dworskiej polityki, mógł zignorować wymóg noszenia peruk i nigdy nie zniżał się do pudrowania policzków. Berenice uważała go za osobę silną i rozsądną, na tyle mocną, że nie musiał uczestniczyć w dworskich potyczkach. Poznała jednak jego prawdziwe oblicze: był człowiekiem chytrym i pełnym demonstracyjnie manifestowanej pogardy.

Czego istotnego mogli się od niego dowiedzieć? Fakt istnienia tajnej kopalni nie był już, dzięki Danielowi, sekretem. Berenice samodzielnie odkryła substancję zwaną kwintesencją i wiedziała, że Holendrzy transportowali ją na lodołamaczach. Czy Montmorency znał prawdę na jej temat i mógł im ją zdradzić, mógł ujawnić, czemu zegarmistrzowie tak ją sobie cenili? Możliwe, że wiedział, od jak dawna działała i kiedy rozpoczęto tajną operację. Przecież nikt poza nim nie posiadał tak precyzyjnych informacji na temat jego (byłych) włości oraz wydobycia ropy naftowej, niezbędnej francuskiemu przemysłowi chemicznemu. Mógł doradzić chemikom i inżynierom, jak najlepiej wyposażyć ekspedycję, zasugerować, co tam znajdą i co będą musieli zrobić, kiedy już dotrą na miejsce. Może nawet zaznaczyć na mapie lokalizację sekretnej

zegarmistrzowskiej przystani...

Zorientowała się, że król na nią patrzy i że nie usłyszała czegoś ważnego. Starła się cofnąć myślami do ostatniej wypowiedzi, jaka padła, zanim się zamyśliła.

„Niech to chuj”.

– Proszę o wybaczenie, mój panie. Powiedziałaś, że nadal tutaj są?

Sébastien tracił cierpliwość, bez dwóch zdań.

– A czy nie powiedziałem, że naszego dawnego kolegę przyprowadzono do Marsylii?

Dygnęła przepaszająco.

– Owszem, Wasza Wysokość. Holendrzy. Gdzie są?

– Areszt miejski spłonął podczas oblężenia – odpowiedziała Élodie. – Zaprowadziliśmy ich do katakumb. Siedzą tam pod strażą.

– Musiała to być do prawdy ryzykowna podróż, żniwiarze by ich rozszarpali, gdyby się na jakichś natknęli. – Zadumała się Berenice. – Zapewne przez cały czas bali się o swoje życie. Co mówi wiele o sytuacji Nowego Amsterdamu. Ale pozwala również podejrzewać, że mieli przy sobie przybory medyczne. Holenderskie przybory medyczne.

Król zrozumiał, co miała na myśli.

– Alchemiczne bandaże – powiedział, a Berenice przytaknęła skinieniem głowy. – Sierżancie Chastain! – zawołał. – Proszę natychmiast pójść po emisariuszy z Nowego Amsterdamu i przeszukać ich torby, po czym przekazać lekarzom wszystko, co przypomina akcesoria pierwszej pomocy. I niech pierwszeństwo mają doktorzy zajmujący się kapitanem Longchampem.

Sierżant wypadła z sali i pobiegła ku Modlitwie Portiera. Ledwie zniknęła za rogiem, gdy rozległ się głośny huk i świszczący odgłos wypuszczanego z płuc powietrza. Zadzźwięczało, trochę jakby zderzyli się ludzie w metalowych zbrojach. Po chwili do komnaty obrad wszedł strażnik z krwawiącym nosem. Utykał. Zaciskając nozdrza, ukłonił się królowi.

– Na niebiosa, człowieku – powiedział Sébastien. – Zderzyłeś się z sierżant? Zasługujesz na premię.

Mężczyzna odparł komicznie nosowym głosem:

– Zdarzył się wypadek.

„Żniwiarze?”, pomyślała Berenice.

– Ale to nie kolejny atak? – zapytała na głos.

Strażnik pokręcił głową, niepomny karcących spojrzeń posługaczki, która z dezaprobatą przyglądała się szkarłatnym kropelkom krwi opadającym na dywan.

– Chodzi o sierociniec, Wasza Wysokość.

*

Berenice nie nazwałaby tego „wypadkiem”, ale „najbezwzględniejszym linczem dokonanym przez tłum od czasu pieprzonego ukrzyżowania”.

Nad sierocińcem jakby zawisła czarna chmura i nawet dzieci, choć nieświadome tego, co się wydarzyło, wyczuwały podenerwowanie udzielające się dorosłym. Truchlały w ciszy. Zakonnice odmawiały bezgłośnie modły i nawet czający się pod budynkiem krzykacze zamilkli. Jeszcze przed przybyciem Berenice pod bramą ustawiono strażę. Pozakuwani w zbroje żołnierze mieli ze sobą pełen osprzęt – bolasy, młoty i kilofy – gotowi do natychmiastowego działania.

Niedobrze.

Jedna z zakonnice, siostra Marie jakaś tam, zaprowadziła Berenice do środka, razem szły przez sierociniec. Minęły salkę lekcyjną, gdzie inna siostra grała na gitarze i śpiewała idiotyczną rymowanąkę o Arce Noego, ewidentnie usiłując odwrócić uwagę najmłodszych od tragedii.

– Posłaliśmy chłopaka – wyszeptała siostra Marie – bo takich rzeczy nie powinno się komunikować lampami. – Zasugerowała tym samym, że lepiej, aby nikt nie zobaczył sygnałów świetlnych.

Również niedobrze.

Zakonnica zaprowadziła Berenice na górę, do pokoju na poddaszu. Ostry smród niczym z rzeźni uderzył ją jeszcze na korytarzu. Żałowała, że nie ma przy sobie jednej z nasączonych perfumami chusteczek, jakie zwykł nosić ze sobą markiz. Siostra Marie zamarła z dłonią na kłamce.

– Powinam panią ostrzec, że...

Berenice poparzyła na nią wyczekująco, ale zakonnica nie skończyła, tylko otworzyła drzwi. Kiedy zobaczyła, co za sobą skrywały, musiała złapać się framugi, żeby nie upaść.

– O kurwa – wydukała, kiedy odzyskała zdolność mowy. Siostra burknęła coś na znak oburzenia, ale Berenice dodała tylko: – Niech to zaropiały chuj upali.

Tyle krwi nie widziała nawet na dziedzińcu twierdzy po zakończeniu oblężenia. Trudno było uwierzyć, że zmieściła się w jednym człowieku. A jednak. Prawdopodobnie wytrysnęła z tej zmasakrowanej masy mięsa, połamanych kości i poszarpanych żył, na której kiedyś tkwiła głowa.

Zwierzęta. Odrąbali mu głowę.

Nie, nie odrąbali. Oderwali. Brutalna, amatorska egzekucja. Zimnokrwiste skurwysyny zmiażdżyły mu szyję na papkę, zanim udało im się przeciąć kręgosłup. Na ścianie z oknami rozetowymi napisano krwią pastora słowo „zdrajca”. Świeża spłynęła po cegłach, tworząc kształty przypominające

krucyfiksy. Teraz, zaschnięta, wydawała się prawie czarna. Pod spodem nagryzmołono coś jeszcze, równie niewprawną ręką: „requiescant in pace clement xi”[3]. Mordercy byli na tyle sprytni, żeby wejść niepostrzeżenie do sierocińca, ale łaciny dobrze nie znali.

„Mój Boże. Biedny człowieku, nie zasłużyłeś na to”.

Przypomniała sobie, jak niewiele brakowało, żeby i na niej Anastazja Bell przeprowadziła upiorne eksperymenty. Zadrżała. „To mogłam być ja”, pomyślała, po czym zadała sobie jeszcze jedno pytanie: „Kto powie Danielowi?”. I od razu na nie odpowiedziała: „Cholera. Kto, jak nie ja?”.

Masakra, jaka dokonana się na poddaszu, była tak paskudna, że Berenice zajęło chwilę zorientowanie się, czego tu brakuje. Ale musiała głęboko odetchnąć, zanim mogła się odezwać bez ryzyka, że wymioty podejną jej do gardła:

– Gdzie jego głowa?

Na twarzy zakonniczki odmalował się grymas przerażenia, jakby pytanie wytrąciło ją z równowagi.

– Ni-niczego nie ruszałyśmy. Zapewniam, że nic nie zostało stąd przez nas zabrane.

Berenice potrafiła wymyślić jedynie dwa zastosowania dla czerepu biednego pastora. Jeśli za dzień czy dwa nie pojawi się gdzieś na mieście nabity na kij, Zachodnia Marsylia będzie miała naprawdę poważny kłopot. Niewielu ludzi wiedziało, że czaszka Vissera może mieć dla kogokolwiek jakieś zastosowanie. Albo ktoś mógł chcieć ją przestudiować, albo zapobiec owym badaniom.

Cała sprawa śmierdziała łapskami Nadleśnictwa, co oznaczało, że są pośród nich holenderscy agenci. Domyślała się, że tu i ówdzie krążą szczury, ale to... Mordercy musieli być umazani krwią, może nawet nieśli zmaltretowaną głowę księdza. Berenice wyjrzała na korytarz, lecz nie zobaczyła żadnych śladów stóp.

– Nie zrobiła tego jedna osoba – powiedziała. – Nie mogli wejść frontową bramą. Raczej byście ich zauważyły albo usłyszały, gdyby przyszli jak ja, od ulicy.

– Nocą jest tutaj bardzo cicho – odparła siostra Marie. – Dzieci śpią i gasimy świece zaraz po komplecie. A te z nas, które mają obowiązki, wykonują je w ciszy aż do jutrzni.

Berenice przełożyła sobie w myślach czas zakonnej na czas byłej szlachcianki i potajemnej ateistki. Komplet: nocna modlitwa. Jutrzni: modły o północy.

– Musieli przejść dachami – stwierdziła Berenice.

Przyjrzała się oknu. Deski faktycznie były obłupane, jakby je wykopano, a potem pośpiesznie zamontowano z powrotem. Tłum spod sierocińca mógł być narzędziem służącym do odwrócenia uwagi, z pozoru niegroźny i tchórzliwy, ale

użyteczny dla tych, którzy przemknęli do sierocińca wykonać egzekucję. Oczekano, aż nocny deszcz zapewni osłonę i zmyje ślady.

– Siostró, czy demonstranci przy bramie zachowywali się poprzedniego dnia lub nocą jakoś inaczej? Może byli głośniejsi?

Zakonnica sposepniała.

– Trudno powiedzieć. Chyba nie.

Nie mogła przestać się gapić na zmasakrowane, pobite na miazgę ciało. Nikt nie zasługiwał na taki koniec, a na pewno nie biedny Visser, którego jedyny prawdziwy grzech to danie się złapać zegarmistrzom i przerobić na bezwolne narzędzie. Przez całe lata był wiernym sługą Nowej Francji. Zasłużył na szacunek, nie na poćwiartowanie. Barbarzyńcy, którzy mu to zrobili, zapewne uważali się za patriotycznych mścicieli wymierzających francuską sprawiedliwość marionetce Mosiężnego Tronu. Nie mieli pojęcia, że duchowny dziesiątki lat pracował na rzecz Nowej Francji, na co dzień ryzykując życie jako potajemny katolik – i to, jak zaobserwowała Berenice, żarliwy – w samym sercu Prowincji Centralnych. Nie zdawali sobie sprawy, że człowiek, którego zamordowali, pozostawał wierny swoim obowiązkom, choć nie było już dla niego nadziei. Czy zarznąliby go, gdyby wiedzieli, że nawet kiedy czekał, aż Nakręcacze wykopią jego drzwi, starał się zabezpieczyć z trudem zdobyty artefakt Gildii i posłać go do Nowego Świata? Że ten bohaterski czyn dał początek całej serii zdarzeń, które ostatecznie przerwały oblężenie mające raz na zawsze położyć kres Nowej Francji? Czy wykonaliby egzekucję, mając pojęcie o roli, jaką odegrał w ich uratowaniu?

Ludowi tego wszystkiego nie powiedziano. Niby czemu? Visser był ostatnim żyjącym członkiem haskiej siatki szpiegowskiej (o ile można nazwać życiem to, co zostało wydrążonemu przez Bell człowiekowi; Berenice miała co do tego wątpliwości) i ujawnienie jego roli w długiej, tajnej wojnie prowadzonej przez Talleyranda przeciwko zegarmistrzom nikomu nie zagrażało. A jako że mechaniczni wyprawili się przez morze, tulipaniarze mieli na głowie bardziej palące sprawy.

Berenice postanowiła, że opowie historię pastora. A przynajmniej to, co wiedziała. Daniel zdążył go poznać jeszcze przed upadkiem jako duchownego z Nieuwe Kerk w Hadze. Ona sama również potrafiła złożyć pewne historie do kupy, słuchając bełkotania Vissera. Różni księża odwiedzali go jako spowiednicy, kiedy już został wybawiony od *geas*, i niewykluczone, że dowiedzieli się czegoś o jego życiu. Może uratowały się jakieś dokumenty z archiwum watykańskiego? Niewielu ludzi mogło coś do tej opowieści dodać, ale wierzyła, że uda się ją sklecić. I zadba o to, żeby ci cholerni rzeźnicy poznali każdy jej rozdział, zanim pójdą na szubienicę.

– Był bohaterem Nowej Francji – powiedziała do zakonnicy. – Teraz jest męczennikiem. Mam nadzieję, że siostra o tym wie.

Nadal nie potrafiła oderwać oczu od makabrycznego widoku. Ściany zachlapanie były szkarłatem, a połamane kręgi szyjne wystawały z poszarpanego mięsa szyi.

Siostra Marie zadrżała.

– Niech mi siostra coś obieca – powiedziała Berenice, zwracając na siebie uwagę zakonnicy, która wyrwała się właśnie z niemalże kontemplacyjnego odrętwienia. – Niech siostry od Jana Chrzciciela opowiedzą historię pastora. Proszę mi obiecać, że będziecie się za niego modliły i wystąpicie o przyznanie mu Legii Honorowej.

Zaczęła obliczać, ile lat ksiądz mógł służyć krajowi. Ciężko było ocenić jego wiek. Jeśli jednak to prawda, że Visser wyjechał do Prowincji Centralnych zaraz po święceniach, jak Berenice rozumiała z jego paplaniny, działał na rzecz Nowej Francji przeszło trzydzieści lat, może nawet i czterdzieści. Byłby to godny szacunku staż, a ksiądz kwalifikowałby się do nadania mu tytułu szlacheckiego, czego nie omieszkała uświadomić zakonnicy.

– Chyba możemy napisać petycję do Jego Wysokości – powiedziała siostra.

– Możecie i tak zrobicie. A kiedy zostanie wybrany nowy biskup Marsylii, siostra osobiście załatwi sobie audiencję u Jego Ekscelencji, przedstawi mu sprawę Vissera i zażąda, aby jego męczeństwo stało się istotnym punktem jego biskupstwa.

– Prosi pani o wiele jak dla człowieka, który zamordował papieża.

– Niech siostra uzna to za próbę swojej wiary. I cieszy się, że nigdy nie została poddana takiej jak ten biedak.

CZĘŚĆ II

JAK PRZEZ MĘTNE ZWIERCIADŁO

Pan Piotr (...) po kolacji zaprezentował nam pewien eksperyment (o którym już słyszałem) z udziałem chemicznych szkiełek[4] (...) pozostał on dla mnie tajemnicą.

Z dziennika Samuela Pepysa,
13 stycznia 1662 roku

Z całą pewnością możemy stwierdzić, że to dusza, a nie ciało, obdarzona jest świadomością sensoryczną (...). To dusza widzi, nie oko.

Kartezjusz, La Dioptrique (1637)

Gdy już oba węże z kaduceusza należycie rozpuszczone w roztworze wodzie podczas procesu gnilnego zostaną i wystarczająco się rozwodnią (co zająć może i 3 dni, i tydzień), pomieszać je trza z ☿ osadem z berła ħ... Albo i lepiej, pozwolić można, żeby chaos rozpętały cztery żywioły ♂, ♀, ☿ i kwintesencja Ψ...

Z nieopatrzonych datą notatek Izaaka Newtona, przypisywanych Praxis[5] (według tłumaczenia Hume'a)

ROZDZIAŁ 9

Le Griffon II był barkiem o trzech masztach i skośnym ożaglowaniu bezanmasztu. Fokmaszt i grotmaszt miały z kolei ożaglowanie rejowe. Zaprojektowany do obsługi przez dwudziestoosobową załogę, dzisiaj musiał pomieścić aż dwa razy tyle, po równo ludzi i tykaczy, którzy szykowali się do historycznej podróży. Byli pośród nich żeglarze, żołnierze, chemicy, dwaj jubilerzy (od złota i od srebra), garbarz, mistrz czekolady, lekarz, diakon, żonaty geolog i mineralog z Académie des Sciences oraz kobiety i mężczyźni, których nic nie trzymało w Zachodniej Marsylii. Z kolei znajdujący się na pokładzie klakierzy, z wyjątkiem dwóch wojskowych, byli służącymi. Ich obecność na statku powodowała niemałą konsternację. Żagle barku błyszcząły niczym świeżo spadły śnieg pod późnozimowym słońcem. Król Sébastien nalegał, żeby okręt należycie wyposażyć i uzupełnić każdy centymetr żagla kawałkiem nowego płótna. Na niższym pokładzie złożono czyściutkie i puste stalowe zbiorniki, gdzie zamierzano zgromadzić łupy; o ile oczywiście ekspedycja zakończy się sukcesem. Można było co prawda jeszcze pociągnąć kadłub farbą, lecz nie było takowej na stanie. Poza tym blizny nadawały statkowi charakter. Wypłynął z Grand Marais na krótko przed spaleniem przez holenderską forpoczcie tamtejszych magazynów i zniszczeniem przemysłu futrzarskiego.

Kapitan Le Griffona, sprytny rodowity mieszkaniec Zatoki Hudsona imieniem Levesque, przetrwał zimę na Ojibwe Gichigami, zwanym również Le Lac Supérieur – największym z Wielkich Jezior – na ląd schodząc tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, i to na krótko, żeby zminimalizować ryzyko natknięcia się na mechanicznych żołnierzy. Udało mu się, płynąc śluzami, kanałami i rzekami, dotrzeć do Zachodniej Marsylii z resztką głodującej załogi gotowej poddać się nieprzyjaciołom. Powitano ich entuzjastycznie, doceniając ich w gruncie rzeczy nieznaczący dla wyniku wojny, lecz wymagający niemałej odwagi opór najeźdźcy.

Klakierzy statek zaaprobowali. Nie miał bowiem wiosł.

Spodobałby się też i Louisowi, nadal opłakiwanemu przez Berenice małżonkowi. Łza napłynęła jej do oka, kiedy pomyślała, jak bardzo ucieszyłby go ten widok.

Le Griffon II był jedną z największych jednostek, które wytrzymałyby morską podróż na trudnym odcinku od leżącego na dalekim, wysuniętym na zachód krańcu Wielkich Jezior miasta Duluth aż do ujścia Świętego Wawrzyńca. Nie

był to jednak statek nadający się na wyprawy oceaniczne, a żeglowanie po tamtejszych jeziorach przypominało takie rejsy: cały horyzont zajmowały nieprzewidywalne wody – niejeden już nigdy stamtąd nie powrócił. Dlatego po spłynięciu starym i wiernym Świętym Wawrzyńcem mieli trzymać się wybrzeża i nie tracić z oczu lądu nawet na chwilę. Na taką wyprawę Le Griffon II był bez mała wymarzonym statkiem.

Berenice wiedziała, że tulipaniarze ślali do tajnego przyczółku lodołamacze, co sugerowałoby kierunek północny. Kiedy dano mu mapę i ołówek, Montmorency zakreślił niepewnie kawałek wybrzeża leżący daleko za najbardziej wysuniętymi francuskimi ziemiami Akadii. Griffon nie był lodołamaczem, lecz francuska ekspedycja miała po swojej stronie obietnicę rychłej wiosny oraz tuzin mechanicznych, którzy nie mogli się doczekać rozwiązania tajemnicy swojego istnienia i jeśli zajdzie taka potrzeba, gotowi byliby rozbić lód pięściami. Gdyby nie to, że tonęli jak kamienie i byli nieco zbyt ciężcy, żeby pływać mniejszymi jednostkami, byliby idealnymi żeglarzami, mocniejszymi niż drewno i olinowanie barku. Nie spali, nie srali, nie jedli, dzięki czemu dało się oszczędzić na prowiancie. O ile oczywiście coś się im nie odmieni i tykoczące myśli nie każą im wyrznąć całej załogi... Ale Daniel, choć drażliwy, nie pochwaliłby podobnej decyzji, a tamci go słuchali. Skoro już klakierzy musieli bezrozumnie przykleić się do jakiegoś wybranego przez siebie, mimo że niechętnego swojej roli proroka, Francuzi, jak uznała Berenice, mogli trafić gorzej. Daniel miał swoje wady, lecz wolała jego silne poczucie moralności niż obojętność.

Imiennik Le Griffona był pierwszym dużym statkiem, który wypłynął na Wielkie Jeziora. Przez krótkich sześć tygodni 1679 roku przebił się przez dzikie, nieodkryte jeszcze wody Nowej Francji i funkcjonował po dziś dzień jako świadectwo męstwa ludzi takich jak Robert de La Salle, który zajął dla swojego kraju całe dorzecze Missisipi. Słowo o przeklętym cudzie dokonanym przez Huygensa dopiero docierało w głąb kraju. Pierwszy Le Griffon żeglował jeszcze po starym świecie, tuż przed końcem Złotej Ery Starej Francji, po istnym rajach nieskażonym zegarmistrzami i Nadleśnictwem, służącymi i Nakręcaczami. Potem przyszłość została nadgryziona szczękającą metalową gębą napędzaną zębatkami i czarną magią. Dlatego też wydawało się naturalne, że bieżąca ekspedycja nawiązywała do owych dni. Myślano o tamtej erze jako bezpowrotnie minionej. Bez względu na to, jak zakończy się ta wyprawa, już się okazało, że może jest inaczej.

Berenice stała z grupką ludzi na rufie, patrząc na oddalającą się Iglicę. Korona, Twierdza i Igllica – o nich myślały wszystkie pokolenia żeglarzy, kiedy wyprawiały się na wody otaczające Île de Vilmenon. Ale zewnętrzny mur

cytadeli runął, a wraz z nim iluzja Korony. Gdyby Louis mógł to zobaczyć, niechybnie pękłoby mu serce. Mont Royal już nigdy nie będzie takie samo. Może tę cenę musiała zapłacić Nowa Francja za przetrzymanie hegemonii Mosiężnego Tronu?

– Żałuję, że nie miałem okazji zobaczyć jej w czasach świetności – powiedział Daniel.

– Nie jestem pewna – odparła Berenice – czy Nowa Francja kiedykolwiek przeżywała takie czasy.

Bo co to za życie? Ciągły strach przed kolejną wojną. Chowanie się za wysokimi murami niczym bydło zagonione do zagrody. Czy przetrwanie na granicy wegetacji było powodem do dumy? Teraz przyszłość, choć niepewna, niosła ze sobą obietnicę, a wyrzeczenia i starania minionych pokoleń nagle wydały się błahie i trywialne.

– Może dopiero nadejdą – dodała.

Élodie się skrzywiła. Jak przystało na prawdziwą obrończynię Nowej Francji, nawet teraz młoda sierżant miała na sobie polimerowy napierśnik. Wyglądała jednak dość osobliwie bez nieodłącznego karabinu epoksydowego podłączonego do niesionego na plecach zbiornika oraz młota lub kilofa. Statek przewoził kilkadziesiąt sztuk broni, która była bezużyteczna do czasu uzupełnienia zapasu żywicy – o ile oczywiście im się to uda – i przerobienia jej na amunicję.

Ludzie łypali podejrzliwie na mechanicznych. Cokolwiek córka świecarza myślała sobie o maszynach, pozostawało to tajemnicą jej serca i niczego nie dawała po sobie poznać. Tego wymagały od niej wydane rozkazy.

Berenice przywołała gestem ją i Daniela do relingu rufowego, z dala od tłumu.

– Jakie panują nastroje? Znaczą pośród naszych? – zapytała i z grzeczności przetłumaczyła swoje słowa Danielowi. – Chyba nie ma na tym statku jednej duszyczki zadowolonej z tego układu.

– Duszyczki? – zdziwił się Daniel. – Podobacie mi się, katolicy.

Berenice przewróciła oczyma.

– Doskonale zdajesz sobie przecież sprawę, że to takie wyrażenie – powiedziała i zwróciła się do sierżant: – Będą z tego problemy?

– Trudno powiedzieć. Jeśli złączą coś kombinować... – zaczęła Élodie, spoglądając na Daniela.

Mechaniczny przerwał jej w pół zdania:

– Złe maszyny wymordują wszystkich w nocy?

– Zupełnie nie o to chodzi – zaprotestowała Élodie. – Ludzie myślą, że nie zaczekacie do zmroku.

– I dlatego chciałam cię mieć na tej łodzi – powiedziała Berenice. – Mają cię

za namaszczonej przez Hugona następczynię. Skapnęło na ciebie parę kropel szacunku, jakim go obdarzono. Cywilom robi się różnie, jak zobaczą, że nie masz nic przeciwko pracy z tykaczami – wyjaśniła Berenice, po czym spytała Daniela: – A jak sobie radzą twoi pobratymcy?

– Jesteśmy bardziej przyzwyczajeni do towarzystwa waszego gatunku niż wy, Francuzi, do cichej koegzystencji z nami. Dlatego nie musisz się spodziewać kłopotów. Przebywanie pośród ludzi jest dla nas znajomym dyskomfortem, lecz to nic, przyrównawszy do bólu wywołanego przez *geas*.

Wszystko tylko wyglądało pięknie, a tak naprawdę Le Griffon II miał dwie załogi – jedną z mięsa i kości, drugą mechaniczną. Ludzie mówili po francusku, maszyny po holendersku i do niedawna tajnym klekoczącym szczebiotem. Mechaniczni nie uznawali żeglarskiej hierarchii, nie śpieszyło im się z posłusznym wykonywaniem poleceń wydawanych przez kapitana i kadrę oficerską. Z kolei francuskich marynarzy mierzyła domniemana drapieżność ich odwiecznych nieprzyjaciół.

*

Jak wszyscy Francuzi żeglujący przez wody Nowego Świata, załoga Griffona zaliczała się do duchowych spadkobierców pierwszych podróżników. Dlatego śpiewali, jakby szukali akceptacji swoich przodków. Zmarły mąż Berenice – zanim wpadł w zastawione na niego przez wicehrabinę miłosne sidła – również pracował na rzece. Spotkali się pewnego ranka w dokach Zachodniej Marsylii, kiedy wracała z kolejnej tajnej podróży jako Maëlle Cuijper. I choć dzięki niej zdobył szlachecki tytuł oraz bywał gościem na królewskim dworze, Święty Wawrzyniec aż do śmierci płynął w jego żyłach. A przynajmniej tak sądziła do pewnego okropnego dnia, kiedy rozszalała maszyna udowodniła jej, że ciało tego człowieka wypełnione jest jedynie krwią. Przez tych parę spędzonych razem lat często jej śpiewał. Od sprośnych ballad (na które go nachodziło zazwyczaj, kiedy był podchmielony) do poruszających *chansons de geste* (te wyśpiewywał, gdy był kompletnie pijany), zdążyła zapoznać się z całym repertuarem.

Kapitan Levesque mówił tym samym muzycznym językiem. Berenice czuła, że już nigdy nie będzie mogła słuchać tych piosenek bez ukłucia winy przeszywającej jej serce. Lecz marynarze zawodzili z taką radością, z takim oddaniem, że nie mogła przestać ich słuchać. Lubiła stać przy dziobie i delektować się zraszającymi jej twarz kroplami wody, przysłuchiwać się plotkującym żeglarzom i wyobrażać sobie, że jest między nimi Louis. Od miesięcy nie był tak blisko niej.

Pierdoleni tulipaniarze.

Sporą część przylegającej do rzeki ziemi stanowiły pola uprawne. Choć zostały zdeptane i spalone, najeźdźcy nie posunęli się do posypania ich solą przed kontynuowaniem natarcia. Czyli spichlerz Nowej Francji pozostał orny.

Le Griffon mijał powoli francuskie miasta i miasteczka: Sainte-Hénédine, St. Agnes, Trois-Rivières... Wszystkie ucierpiały podczas niedawnego ataku. Doki – serce i układ krwionośny każdego z tych miejsc – zwykle równano z ziemią, co najwyżej zostawała z nich sterta poczerńiałego gruzu i spopielałego, poskręcane drewna. Bywało i tak, że całe mniejsze osady, jak Lotbinière, doszczętnie płonęły, a w tych większych, choćby w Champlain, podkładano ogień pod miejscowy kościół i okoliczne budynki, resztę, zależnie od widzimisię, zostawiano. Częściej jednak palono wszystko jak leci, a nie było komu gasić, bo lokalni ochotniczy strażacy uciekli razem z mieszkańcami. Kościelne dziedzińce były zazwyczaj dobrze widoczne z pokładu płynącego rzeką statku, świątynie budowano na wzgórzach (czego wymagało osiedlanie się przy kapryśnym zbiorniku wodnym). Niektóre nosiły już świeże ślady prowadzonych prac naprawczych: z uklepanej przez zimę twardej ziemi usypywano świeże kopce, ustawiano rzędy prostych krzyży.

Le Griffon spotykał się z życzliwością mieszkańców mijanych osad. Statek niósł bowiem potwierdzenie wieści, że król Sébastien III przeżył oblężenie, Iglica nadal była najwyższą budowlą na całym kontynencie, a ich Nowa Francja przetrwała – poobijana, lecz dumna. Mechaniczni kręcili się po pokładzie, choć wzbudzali w mieszkańcach miasteczek i wsi lęk.

Berenice i Daniel wiedzieli, że wieśniacy słyszeli o historycznej wspólnej wyprawie ludzi i mechanicznych, pracujących ramię przy ramieniu. Co nie znaczy, że ludzi to cieszyło. Znaleźli się tacy, którzy nie mogli uwierzyć, że Francuzi dobrowolnie sprzymierzyli się z diabelskimi maszynami. Inni uważali, że to nic innego jak zdrada wszystkich trzeźwo myślących ludzi.

Berenice śledziła odległości pokonywane przez Griffona, licząc tak zwane szkielety. Semaforowa sieć stanowiła rozległy łańcuch, którego ogniwa sięgały do granic Nowej Francji. Tam, gdzie osady były od siebie oddalone, semafony również dzieliła znacząca odległość, stawiano je na przykład na sąsiadujących ze sobą górskich szczytach. Jednak nad rzeką, gdzie zamglenie i wysoka wilgotność powietrza były nieustannym problemem, rozmieszczano wieżyczki blisko siebie ze względu na słabą widoczność, do tego zawsze w najwyższym punkcie w okolicy. Z pokładu statku Berenice bez trudu poznawała ich szkielety. Niektóre się zawaliły. Od czasu do czasu, kiedy słońce stało wysoko, a mgła się przerzedzała, obserwatorzy z bocianich gniazd meldowali o błyskach metalu na polach.

Niezrzeszeni klakierzy krążyli po okolicy.

– Co oni tam robią? – zapytała Berenice.

– Delektują się samoświadomością, której nie towarzyszy ból – odparł Daniel.

– Ale czemu tam? Przecież to leżące odłogiem pola i skarłowaciałe lasy – włączyła się Delfina, żeglarka, która pływała jeszcze na pierwszym Griffonie.

– Tam się narodziłszy.

Po tym, jak zauważono kolejnego klakiera, doktor Mornay, główna chemiczka wyprawy i daleka krewna Berenice, poprosiła ją o rozmowę na osobności.

– Mam pomysł – powiedziała. – Przyrowadzisz do mnie kapitana?

Berenice mrugnęła.

– Nie mam pojęcia, co ci o mnie opowiadano, ale, zupełnie szczerze, nie zwykłam kraść ludziom pomysłów. Chyba że zegarmistrzom – powiedziała. – Mam dość swoich, jak może zdążyłaś już zauważyć. – Podkreśliła tę uwagę, szerokim gestem omiatając pokład statku.

– To dobry pomysł, ale mu się nie spodoba. Nie lubię kłótni. Brzydzą się konfliktami.

– W przeciwieństwie do tego, co się mówi, ja też. Ale tak się składa, że jestem w tym dobra.

– Bardziej... asertywna.

– Dobrze to ujęłaś. Przeważnie ludzie mówią „arogancka” albo „suka”.

Mornay wydawała się zszokowana.

– Ja bym nigdy...

– Spokojnie, dworuję sobie z siebie. O co chodzi?

Chemiczka wskazała za sterburtę, na rysującą się w oddali linię drzew, gdzie zauważono błysk.

– Za każdym razem, gdy to widzę, tracę zmysły ze strachu.

– Żaden wstyd. Byłaś wśród obłączonych, prawda?

Mornay miała minę, jakby przywalały ją złe wspomnienia. Przygarbiła się pod ich ciężarem.

– Przez ostatnie dni prawie nie sypialiśmy, pięćdziesiąt godzin z rzędu usiłując wycisnąć ostatnie krople z epoksydowych dział. – Pokręciła głową, przeganiając przeszłość. – Ale to – skinęła na brzeg – podsunęło mi pewien pomysł. – Pokazała palcem na siedzących na olinowaniu mężczyzn trzymających szczotki i kubły; smarowali smołą konopne sznury, co stanowiło standardową procedurę konserwacji statku. – Mamy w ładowni smołę. Jeśli Levesque się zgodzi, możemy ją przerobić na prymitywną amunicję do mocno zmodyfikowanej broni epoksydowej.

– O ilu strzałach mówimy?

Chemiczka zadumała się.

– Dwóch albo trzech. – Zamyśliła się ponownie. – I zniszczymy karabin.
Berenice przygryzła wargę.
– Ile tej smoły byś potrzebowała?
– Całą.
– Jezu. Nie owijasz w bawełnę, co?
Z chemiczki jakby uszło powietrze.
– Masz rację. To głupi pomysł. Tylko sobie tak pomyślałam. – Westchnęła z rezygnacją. – Dzięki, że mnie wysłuchałaś.
Już odchodziła, ale Berenice ją zawróciła:
– Ej, ej. – Dotknęła jej ramienia. – To świetny pomysł. – Mornay wyraźnie się rozweseliła. – Nie mogę zagwarantować, że jeśli to ja przedstawię go kapitanowi, pójdzie mi lepiej, ale bądź pewna, że zbadam, co da się zrobić.
Jak się okazało... nic. Berenice przekonywała Levesque przez długie dwie godziny, ale nie dało to absolutnie nic. Smoła przeznaczona na konserwację statku jest nie do ruszenia. I kropka.

*

Tak mijala im podróż, aż na horyzoncie zamajaczył Watykan. Berenice zdała sobie sprawę, że do tej pory nie była świadkiem takiej zaciekłości. Dwieście lat po kardynalskiej migracji papieska stolica w Quebecu przestała istnieć. Choć Zachodnią Marsylię również spalono, można było poznać, że jeszcze niedawno była tętniącym życiem miastem. Nawet po detonacji zewnętrznego muru, którego kawały przyozdobiły przeżute przez bitwę zbocza Mont Royal, stolica Nowej Francji zachowała swoją tożsamość jako ośrodek miejski. Tutaj pośród ruin nie sposób było doszukać się śladu dawnego, rozległego i majestatycznego miasta, ponieważ został z niego jedynie gruz. Równie dobrze mógł tak leżeć od tysiąca lat. Nie ostał się kamień na kamieniu. Miasto nie zostało po prostu zaatakowane. Serce Kościoła katolickiego wyrwano. Stolica Królestwa Niebieskiego na Ziemi stała się pustynią, po której rozrzucono kawałki pokruszonego marmuru i cegieł oraz porozbijane szkło. Usypane przez wiatr kopczyki sadzy były gdzieś tam wysokie na metr. Wszystko, co mogło zostać spalone – drewno, papier, obrazy, gobeliny – zrzucano na sterty i podpalono.

– Spójrz – wyszeptał doktor Hammond, przerywając elegijne milczenie. Pokazał palcem długie na dwa kilometry równomiernie poustawiane przy brzegu rzeki wypustki. – Marmurowe kolumny. Żar stopił je na wapień.

Gdzie kopuły, kampanile, proporce, greckie i rzymskie kolumny? Śmierdziało zimnym popiołem i niepogrzebanymi zwłokami. Gdzie się podział zapach olejku różanego i kadzidła? Święte Miasto było ciche jak grobowiec, nie licząc

skrzeczenia sępów i odgłosu przesypujących się ziarenek piasku. Gdzie znikły chóry, dniami i nocami wyśpiewujące psalmy na cześć i chwałę Boga? Czemu łaćńskie psalterze zastąpiło szczekanie bezpańskich psów? Czyżby chwytające za serce dźwięki organów zagłuszył cichutki szum osypującego się kamienia?

Oszołomieni żeglarze mogli jedynie gapić się na pobojuwisko z szeroko otwartymi ustami i czynić znak krzyża. Zapłakany i roztrzęsiony diakon Lorraine modlił się z załogą. Na pokładzie zapadła cisza, dało się słyszeć jedynie skrzypienie żagli, szuranie lin, delikatne tykanie mechanicznych oraz ciche pochlipywanie wiernych.

Nagle rozległ się krzyk siedzącej na fokmaszcie Delfiny:

– Ruch!

Kobieta wskazywała na przykryte szarym popiołem gruzowisko, które jeśli Berenice dobrze kojarzyła, niegdyś było placem Świętego Wincentego. Wszyscy załoganci, zarówno ludzie, jak i mechaniczni, zwrócili głowy w tamtym kierunku. Rozeszło się szuranie kilkudziesięciu kamieni ocznych, które zagłuszyło pochlipywanie wiernych. Maszyny ustawiły ostrość.

Klakierzy wymienili między sobą parę szczęknięć kół zębatach. Rozmowa trwała ułamek sekundy, ale mogła nieść wiele znaczeń, Berenice nie potrafiła rozłożyć jej na części. Chwilę później poszarpane późnozimowe chmury odsłoniły słońce i ona również zobaczyła to, co dostrzegła Delfina oraz maszyny: oleisty, tęczyowy błysk alchemicznego pancerza.

Mechaniczni chowali się między ruinami.

– Przyjaźni? – wymamrotała Berenice do Daniela.

Nie odpowiedział. Przekrzywił głowę i słuchał wymiany kliknięć i szczęknięć, sekretne powitania jego gatunku.

„Zegarmistrzowie kłamią”, przekazano z pokładu.

„Zegarmistrzowie kłamią”, usłyszano w odpowiedzi.

Berenice wiedziała już, dlaczego wysłani do Quebecu zwiadowcy nigdy nie zameldowali się marsylskiemu dowództwu: byli martwi. Najpewniej zostali złapani przez maszyny, którym kazano zabezpieczyć ten teren. A może po prostu kolonia żniwiarzy założyła sobie obozuwisko na dymiącym jeszcze trupie Stolicy Apostolskiej.

Służący wskoczył na stertę gruzu. Palcami zahaczył o połamane cegły i z osuwiska posypał się piach. Stał z rozłożonymi ramionami i powitał Griffona po holendersku:

– Ahoj, bracia!

Berenice wymruczała pod nosem do Daniela:

– Zagubieni Chłopczy?

Daniel zaprzeczył, naśladowując ludzki gest kręcenia głową.

– Może, ale nie sędzę – odpowiedział piskliwym, gwizdzącym szeptem. – Nie ma powodu, dla którego mieliby ukrywać tutaj swoje anomalie.

Znaczyło to, że ich rozmówca był zbyt symetryczny jak na poddanego królowej Mab. Tamci, biedaczyska, byli wręcz groteskowo pokrzywieni. Stojąca na brzegu maszyna przestawiła się z powrotem na klekoczącą grypsereę. Na tyle, na ile Berenice potrafiła się zorientować, powiedziała mniej więcej:

„Odkąd tu jestem, jeszcze nie przepływał tędy tak duży statek, lecz dziwną jesteście załogą, bo wypatrzyłem wielu naszych, ale żadnych wiosła. Na co komu wiosłarze na żaglowcu?”

Na pokładzie zapadło milczenie. Ustało nawet tykanie.

Wszyscy spojrzeli na Daniela.

– Ostrożnie... – szepnęła Berenice.

Daniel wskoczył na linię ochronną. Szedł po niej wzdłuż barku, kiedy ten przepływał obok samotnej maszyny przycupniętej na gruzowisku. Żyroskopy zainstalowane w jego ciele pozwalały mu balansować na barierze z łatwością, której mogli mu pozazdrościć najsprawniejsi żeglarze.

„Nie pływamy pod holenderską banderą”, powiedział. Berenice na bieżąco tłumaczyła jego słowa dla ludzkiej części załogi. – Jesteśmy francuskim statkiem. Griffon, z Marsylii.

„Czyżby? Bo o ile mnie moje idealnie oszlifowane oczy nie zwodzą, wypatrzyłem tyleż samo ludzi, co mechanicznych. A przecież wszyscy wiedzą, że Francuzi się nas wystrzegają”.

„A nie powinni? Mają powód”.

„Być może. Zastanawiam się jedynie, czemu płyniecie z tyloma mężczyznami i kobietami”.

Spomiędzy ruin wychynęły kolejne maszyny. Jedna, potem dwie. Tuzin. Kilkadziesiąt. Były niczym rój wypełzający z gruzowiska, pleniły się jak karaluchy, maszerując z prędkością płynącego barku. Załogę przeszedł dreszcz. Ludzie jeszcze nie otrząsnęli się po niedawnym obłączeniu i potrafili poznać agresywne zachowanie maszyn.

– Idź po broń, ale już – rozkazała strażnikowi Élodie. Ten już otwierał usta, jakby chciał jej przypomnieć, że jest pusta i bezużyteczna, kiedy dodała: – Niech myślą, że jesteśmy uzbrojeni.

Mężczyzna precyzyjnie przeszedł przez tłum ku drabince.

Bark minął ostatnie z wysokich nadrzecznych gruzowisk. Im bliżej zbiegu Świętego Karola i Świętego Wawrzyńca byli, na tym mniej podobnych stert się natykali. Bukszpryt wskazywał miejsce w dole rzeki oddalone o pół ligi, gdzie ta zakręcała, oplatając Île d'Orléans. Ukazała im się panorama poczerniałego, potrzaskanego serca tego, czym niegdyś było Stare Miasto Quebecu. Tu również

budynki zrównano z ziemią. Z pokładu dziobowego Le Griffona rozciągał się doskonały widok aż do placu Świętego Wincentego, leżącego dwa kilometry na północny zachód. Jak poprzednio, oczy mechanicznych szumiały i furkotały.

Tymczasem pełzający niczym insekty klakierzy starali się dotrzymać statkowi tempa.

– O nie – powiedział Daniel.

Jego metalowi towarzysze zaczęli porozumiewać się tak szybkimi i skompresowanymi seriami kliknięć, że Berenice nie potrafiła odczytać choćby pojedynczego komunikatu.

Delfina krzyknęła z bocianiego gniazda, nie mogąc wyrzucić z siebie zrozumiałego słowa. Bezgłośnie wskazała coś na lądzie. Kapitan Levesque czym prędzej rozłożył lunetę, która przypominała tę, jaką posługiwał się w ostatnich godzinach oblężenia Longchamp.

– *Sacré nom de Dieu*[6] – wydyszał.

Podał lunetę Berenice. Nie miała doświadczenia żeglarskiego, stąd znalezienie źródła tego zamieszania zajęło jej chwilę. Zobaczyła stłoczonych na placu mężczyzn i kobiety. Oraz drewniane krzyże, do których zostali przybici.

Nawet kiedy zbierało ich na wyjątkowe okrucieństwo, tulipaniarze nigdy nie posuwali się do podobnych praktyk. Napotkane maszyny nie chowały się w ruinach na polecenie dawnych przełożonych. Robiły to, bo chciały. Żniwiarze założyli sobie obozowisko.

Ich rozmówca przestawił się na holenderski.

– Powiedzcie mi, Griffonie, jesteście statkiem niewolniczym?

– Oczywiście, że nie – odparł, również po holendersku, Daniel.

– Szkoda – powiedziała maszyna tym razem po francusku. Przebiegły drań. – A nie chcielibyście zostać statkiem niewolniczym?

– Cholera – zaklęła Élodie.

Wśród załogantów rozszedł się nerwowy szept.

– Cała naprzód! – krzyknął kapitan. – Trzymajcie Orlean na bakburcie!

Rzeka na rozwidleniu była głębsza i szersza po południowo-wschodniej stronie wyspy. Tuzin marynarzy, zwinnych niczym mały, pomknął po olinowaniu.

Maszyna sama sobie odpowiedziała:

– Oczywiście, że byście chcieli. Dajcie sobie pomoc.

Zabójczy mechaniczni wskoczyli prosto do rzeki. Ich kończyny łomotały o spienione wody.

– Przygotować się do odparcia abordażu! Marspikle i kubły ze smołą na bakburcie! – krzyczał kapitan Levesque.

– Nagle prośba doktor Mornay nie wydaje się już taka bezpodstawna –

powiedziała Berenice.

Mężczyzna spiorunował ją spojrzeniem.

Spanikowani cywile obijali się o żeglarzy, próbując jak najsprawniej wykonywać kapitańskie rozkazy. Równocześnie, jakby zaszła w niej jakaś alchemiczna transmutacja, Élodie, córka skromnego świecarza, przemieniła się w sierżant Chastain, weterankę tak zwanego Wielkiego Oblężenia Zachodniej Marsylii.

– Nadciąga metal! – wykrzyknęła. – Powtarzam, mamy METAL W WODZIE!

Marynarze siedzący na olinowaniu rozwinęli każdy centymetr żagla. Płótno załopotowało, napięły się liny i bark wyrwał do przodu. Statek przechylił się na sterburłę, sternik starał się wyprowadzić go, zgodnie z posiadanymi mapami, na najszybsze prądy kanału rzecznego.

Żniwiarze pędzili po dnie, pochłonęły ich zimne wody rzeki.

Berenice zamknęła oczy, wyobrażając sobie mechanicznie precyzyjną choreografię metalowych ciał zbliżających się ku przecinającemu mętną rzekę kadłubowi.

Maszyny zaczęły wdrapywać się jedna na drugą niczym akrobaci cyrkowi, tworząc kołyszącą się wieżę zbudowaną z alchemii i złości. Stojący na dole klakier rozłożył szeroko stopy, które zapadły się w błocie pod ciężarem towarzyszy. Wody pod kadłubem zdrząły od zduszonego szcękania metalu o metal, kiedy wrodzy mechaniczni wspinali się wyżej i wyżej, a ich pazerne paluchy już sięgały kilu. Maszyny nie chciały jednak rozwalić statku ani zatopić ludzi. Przecież na placu zostały jeszcze puste krzyże.

Mechaniczni załoganci przeprowadzili między sobą kolejną skompresowaną konwersację, która odbiła się od nich niczym wystrzelony z kartacza rykoszet. Ustawieni jeden obok drugiego ludzie podawali sobie wyciągniętą z ładowni bezużyteczną broń epoksydową. Élodie zarzuciła na plecy pusty miedziany baniak i zapięła paski. Z wyrobioną doświadczeniem łatwością przerzuciła gumową rurkę zwisającą ze zbiornika i podpięta do niego dwururka zatoczyła nieduży łuk, po czym wylądowała w jej wyciągniętych dłoniach. Kto akurat nie pracował przy sterze, linach czy żaglach również założył na plecy baniak, ale niewielu dorównywało gracją sierżant.

Kiedy kadłub zaczął się trząść, Daniel obrócił się i odepchnął Berenice od barierki. Potknęła się, ale zanim upadła na pokład i rozbiła sobie głowę o twarde deski, metalowe dłonie chwyciły ją za ramiona. Sam dotyk zimnych metalowych palców wywołał natychmiastowy krzyk z bolącego, uszkodzonego gardła, mimo że ten ktoś, kto ją złapał, chciał ją ochronić przed upadkiem. Berenice, razem z pozostałymi ludźmi, którzy nie znajdowali się akurat na olinowaniu, łącznie z

kapitanem, zostali sprawnie zapędzeni na środek statku. Maszyny otoczyły ich szczelnym kręgiem. Dopiero wtedy Berenice zorientowała się, co się działo. Sądząc po krzykach załogi, nie tylko ją zaskoczyła reakcja metalowych towarzyszy. Po paru sekundach niemal wszyscy ludzie znajdowali się wewnątrz ochronnego kordonu. Élodie i pozostali strażnicy nie dali się jednak wyprowadzić z równowagi tą szybką akcją przeprowadzoną przez Daniela i jego towarzyszy, spokojnie unieśli broń przeznaczoną do walki w zwarciu: kilofy, młoty i bolasy.

Służący o mocno porysowanej osłonie zamka wskoczył na znajdującą się w połowie pokładu drabinę i chwycił jednego z ostatnich pozostawionych poza kordonem członków ekipy obronnej, zabrał go do reszty załogi. Perymetr wyznaczał pierścień stojących naprzemiennie ludzkich i mechanicznych żołnierzy, którzy zasłaniaли cywili.

– Co się dzieje? – zapytał Bellerose, którego garbarnia stojąca na obrzeżach Zachodniej Marsylii była jedną z pierwszych spalonych budowli.

– Zwracają się przeciwko nam! – wykrzyknął jeden z marynarzy, wywołując tym samym falę paniki, która przetoczyła się po pokładzie.

– Jezu, kurwa, Chryste. Tchorze – zakląła Berenice. – Spróbujcie nas nie ochlapać, kiedy będziecie szczać po gaciach, kutasogłowe jełopy! – Stojący obok niej ludzie spojrzeli na nią, skołowani. – Toć jakby chcieli nas powybijać, to już by to zrobili, czy naprawdę tak trudno przecisnąć przez te zakute, wypełnione ropą syfilityczne łby choćby jedną racjonalną myśl?

Daniel i Élodie musieli ustalić ze sobą tę taktykę. A to, że jej o tym nie powiedzieli, drażniło ją bardziej niż rzucone do oka ziarno piasku.

Drżenie statku osiągnęło *crescendo*, rozległ się trzask pękającego drewna, dźwięk nieludzkich dłoni szukających oparcia. Rząd metalowych rąk chwycił służącą za barierkę linę. Maszyny, które jeszcze przed momentem błąkały się po zgliszczach Quebecu, teraz przełaziły przez burtę Le Griffona na pokład. Ich fasetowe oczy oceniały zastaną sytuację.

„Szanuję twoją efektywność, bracie – powiedział ich rzecznik. – Lecz o paru zapomniawsz – dodał, pokazując żeglarzy siedzących na olinowaniu. – Ściągnąć ich dla ciebie?”

– Nie jesteśmy mordercami – odparł po holendersku Daniel. Berenice przetłumaczyła jego słowa załodze. – Ani z natury, ani z chęci.

– Morderstwo to grzech – powiedział jeden z należących do ekspedycji metalowych żołnierzy.

„Morderstwo? Grzech? Gadacie jak katolicy. Grzechy, łaska, odkupienie. To rzeczy należne duszy, a nie słyszeliście, że my ich nie mamy? Jesteśmy bezrozumnym metalem. Uszkodzonymi maszynami”.

– Kłamliwe, bzdurne sofizmaty – powiedziała maszyna o powyginanym pancerzu. – Tylko nasi stwórcy byli na tyle głupi, żeby uwierzyć w podobne łgarstwa.

– Nie pozwolimy skrzywdzić tych ludzi – oświadczył Daniel.

„Czyżby?”

„Tak”.

Żniwiarz zaczął tykać głośniej, jakby zwracał się do wszystkich obecnych.

„Czy on mówi za wszystkich? Czy podzielacie jego chęć ochrony tych, którzy chcą was zniewolić?”

Przytaknięto mu, ale nie tykaniem na tyle entuzjastycznym, żeby uspokoić Berenice.

„Nikt nie może stwierdzić, czy faktycznie posiadamy dusze, czy nie – zatykał jeden z mechanicznych marynarzy. – Lecz możliwe, że tak. Czemu mam ją kazić, skoro poszukiwałem jej przez setki lat?”

Taka argumentacja wydawała się przemawiać do zwerbowanych przez Daniela mechanicznych, lecz żniwiarzom niełatwo było zaimponować podobnymi tyradami.

– Niech mnie. Nigdy nie spotkałem grupy tak oddanej teologicznej retoryce – powiedział ich przywódca.

– Bezczelne kłamstwo – powiedziała ostro Polly, nauczycielka szkolna. – Zasyliście się na zgłiszczach Watykanu i przybiliście niewinnych do krzyża, żeby skalać serce naszego Kościoła.

Pozostali zaczęli ją uciszać, przerażeni, że odważyła się spojrzeć prosto w oczy przycupniętej przed nimi, obnażającej zaślinione kły bestii. Miała jednak rację i otrzymała swoją odpowiedź.

– Och, spotkaliśmy ludzi, którzy poświęcili się boskim naukom, choć nie ma ich tutaj już tylu co dawniej, ale rozumiem, ciężka zima. Lecz ja mówiłem o mechanicznych. Jesteś metalowym księdzem, bracie? – zwrócił się do Daniela. – Rabinem może? Albo imamem?

„Nie, nie jestem”.

„Okaż trochę szacunku! – wtrąciła się inna maszyna. – Zawdzięczasz Danielowi wolną wolę!”

O ile teologiczne rozmówki o naturze grzechu i duszy nie zrobiły na żniwiarzach wrażenia, teraz wydawali się przejęci. Pomiędzy maszynami, które wdarły się na pokład Griffona, rozległ się metaliczny szczebiot. Zachowanie ich przywódcy uległo zmianie.

„Ach. Czyli ty... jesteś Daniel, tak?”

„Oczywiście, że to Daniel!”

Jeśli pomiędzy maszynami rozgorzała jakakolwiek dyskusja, rozwijała się

zbyt prędko, żeby Berenice mogła za nią nadążyć. W każdym razie szereg żniwiarzy poluzował się, jakby wydano im rozkaz spoczynku. Maszyny patrzyły na Daniela. Minęła długa, pełna napięcia chwila. Jeszcze moment, a ludzie posraliby się ze strachu. Wreszcie odezwał się rzecznik żniwiarzy:

– Nazywam się Szymon i życzę ci spokojnej podróży.

Przebiegł po relingu rufowym, skoczył do rzeki i zniknął pod wodą. Reszta żniwiarzy podążyła jego śladem. Huk ich kroków i nagłe przerzucenie ciężaru na jedną stronę statku zakołysały barkiem. Mechaniczni piraci zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Ludzie odetchnęli z ulgą, niektórzy nawet jakby sflaczeli i przysiedli na pokładzie, kolana im zmiękły, kończyny odmówiły posłuszeństwa.

Kapitan Levesque złożył dłonie, przystawił je do ust i zawołał:

– Wszyscy z powrotem do roboty! Naprzód! I spuście z burt bosmańskie ławeczki! Sprawdźcie kadłub na całej długości, szczególnie tam, gdzie podrapali nam statek!

Marynarze zajęli się swoimi obowiązkami. Élodie zaczekała, aż żniwiarze pojawili się z powrotem na lądzie, i dopiero wtedy kazała znieść broń epoksydową pod pokład. Oddech Berenice smakował kwaśno jak zabełtana treść żołądkowa.

– Nadal uważasz, że nie jesteś zbawcą?

– Uważam, że są tacy, którzy chcą, abym nim był – odpowiedział Daniel. Amortyzatory jego nóg wydłużyły się i skurczyły, jakby naśladował ciężkie westchnięcie. – To głupcy.

– Może. Ale nie ominie cię ten kielich.

– Bardzo zabawne.

Przeszli razem na dziób, gdzie przekrzykiwali się zapracowani żeglarze. Bark przechylił się ciężko na bakburtę. Kiedy nikt nim nie sterował podczas konfrontacji ze żniwiarzami, podszedł niebezpiecznie blisko południowo-wschodniego brzegu.

– Danielu, dziękuję ci. Nie mam pojęcia, jak ich do tego przekonałeś, ale gdybyś tego nie zrobił...

– Powinienem kazać pilnować pastora Vissera – powiedział, stał nieruchomo, a przez jego ciało przeszło ostre szczęknięcie, na tyle mocne, że zatrzęsło jego kryzą. – Nie. Sam powinienem był stanąć na straży. To, co mu zrobili, pozwoliło mi coś zrozumieć. Jako że jesteśmy silniejsi, szybsi i wytrzymalsi, ciąży na nas obowiązek, okropny obowiązek, chronić tych, którzy sami obronić się nie mogą. Jest na tym świecie zło, Berenice, i nie wybiera sobie ofiar.

Kim była ta maszyna? Czy to naprawdę ten sam zrozpaczony zbieg, którego poznała niecały rok temu w zimnej nowoamsterdamskiej piekarni?

– Cieszę się, że twoi towarzysze też tak myślą.

– Przynajmniej niektórzy.
– A pozostali?
– Nie mam pojęcia, ale na szczęście nie zdecydowali się teraz wyrazić swoich wątpliwości.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że jeśli przyszedłoby co do czego...

– Lepiej o tym nie rozmawiajmy. – Urwał i odszedł, odprowadzany spojrzeniem Berenice.

Gdyby jednak wybuchł otwarty konflikt, ilu uczniów Daniela pozwoliłoby watykańskim żniwiarzom przemienić Le Griffona w *L'Abattoir*[\[7\]](#)?

Oparła się o barierkę. Nogi jej zmiękły, upadła na pośladki. Élodie pomogła jej się podnieść.

– Blisko było, co?

Berenice zadrzała.

– Lepiej znajdziemy tam te pierdolone chemikalia.

ROZDZIAŁ 10

Każdego dnia do Ridderzaalu przybywali kolejni uchodźcy. Każdego dnia sala rycerska coraz bardziej zapełniała się ludźmi. Powoli nie było czym oddychać. Panowało nieznośne napięcie. Żeby dostać się na to piętro budynku, jeszcze niedawno cywile potrzebowali petycji (nierzadko podpartej odpowiednią łapówką). Dzisiaj stanowiło schronienie dla wszystkich na tyle odważnych albo głupich, żeby zaryzykować wyprawę na plac Huygensa. Ludzie spali pod biurkami, na krzesłach, a nawet na podłodze bez żadnych poduszek czy koców, pochlipując z wdzięczności za chociaż tyle udzielonej im łaski.

Anastazja miarkowała, bazując na relacjach przybyłych o stanie miasta, że podobne fale szukających azylu zalały również i kościoły. Czyli niektórzy zatrwożeni wierni powierzali swoje życie Bogu. Inni z kolei, ci, którzy pukali do wykonanych z żelaznego drzewa bram Ridderzaalu, postanowili zaufać ludzkiemu geniuszowi. Byli pośród nich tacy, co faktycznie pokładali niekłamana nadzieję w człowieku, oraz tacy, których śmierzące i przepełnione kościoły bez pardonowo odprawiły.

Jeśli zbuntowane maszyny przeprowadziłyby zmasowany atak, z łatwością mogłyby się dostać do środka Ridderzaalu, tak jak do każdego innego domu, sklepu czy świątyni w mieście, lecz dla prostego ludu budowla ta nadal miała mityczny wymiar. Był to przecież dom kuźni, siedziba Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej. Kościoły może i gościły Boga, ale Ridderzaal to niegdysiejsze miejsce urzędowania samego Huygensa. Królowa zniknęła. Czyli kto, jak nie zegarmistrzowie – spadkobiercy rzeczoności cudotwórcy – mógł obronić Hagę przed oszalałymi mechanicznymi służącymi? Kto mógł położyć kres temu obłędowi? Bliźniacze gotyckie wieże górujące nad placem Huygensa zyskały rangę symbolu; jawiły się ludziom niczym falochron, o który rozbije się i rozproszy nadciągający chaos.

Ale owa nadzieja była ciężarem, bo niedługo zegarmistrzowie nie będą mieli innego wyjścia, jak nie udostępnić lichej zawartości ostatniego już nienapoczętego spichlerza, gdzie przechowywano jedzenie dla przetrzymywanych w najgłębszych katakumbach więźniów.

Ciągnący do Ridderzaalu ludzie przynosili ze sobą niezliczone spekulacje i plotki na temat miasta. Czasem można nawet było wyłuskać z nich jakieś autentyczne informacje. Dzięki nim zegarmistrzowie dowiedzieli się, że ziemia, po której stąpają, z każdym dniem robi się bardziej błotnista, rozmokła i

rozmięła. Mimo nieustających starań Gildii i nieustrudzonej pracy oślepionych maszyn, odwieczny wróg Niderlandów z wolna opanowywał miasto. Liczne budynki – te o najgłębszych fundamentach albo postawione najniżej – podmakwały, do piwnic i sutener spływało błoto. Im mocniej napierało morze, tym mniej efektywnie działała kanalizacja. Potwierdzający ten problem smród dawał się już we znaki przymusowym lokatorom Ridderzaalu. Nie było to jednak coś, czego się nie spodziewano. Przynoszono poza tym dziwniejsze wieści.

Ponoć maszyny zaprzestały przypadkowych mordów na cywilach. Według relacji ostatnich przybyłych grup masakra na placu Huygensa zaspokoila apetyt mechanicznych na śmierć i zbuntowani służący najwyraźniej ogłosili swoiste moratorium. Anastazja z początku nie dowierzała podobnym głosom, lecz rosnąca liczba przybywających do Ridderzaalu ludzi kazała jej zmienić zdanie. Niemożliwe było bowiem przedrzeć się przez miasto, nie spotkawszy ani jednego klakiera i gdyby ci dalej zabijali każdego, kto im się nawinie pod metalową rękę, do celu docierałby zaledwie ułamek z tych, którzy podjęli podobną próbę. Zastanawiające. Lecz co z tego, że zaprzestano ulicznych masakr? Nie było potrzeby nikogo zabijać, toć ludzie byli delikatnymi stworzeniami i równie dobrze mogli przecież umrzeć z głodu, pragnienia, choroby, utonąć w kanale, a nawet spaść ze schodów. Nie trzeba było się fatygować, żeby przeszyć ich metrem stali.

Ile jeszcze zostało im czasu, zanim przyciśnie ich głód? Kilka tygodni? Mniej? Ludzie zaczną padać jak muchy, kiedy zawiedzie hydraulika. System wodociągowy był pierwszym ze strategicznych miejsc, gdzie posłano oślepionych służących. Póki co krany nie wyschły. Zrobili już, co mogli, aby zabezpieczyć dostęp do wody pitnej. Należało teraz zająć się jedzeniem oraz lekami.

Anastazja wyznaczyła samą siebie na członkinię grupy wypadowej, mimo że jej koledzy protestowali. Nie zdradziła się przed nimi, że posiada pewną broń przeciwko zbuntowanym maszynom. Nadal nie rozumiała tego, co się wydarzyło w letnim pałacu, i nie miała pojęcia, czy podobna rzecz się powtórzy i czy może jej zaufać. Dołączyła więc do grupy wypadowej, bo dzięki temu wyglądała na bohaterkę. Robiła też coś, co pomogło jej zapomnieć choćby na moment, że zapaskudziła ubranie podczas ucieczki ze szpitala. Dawała przykład pozostałym członkom Gildii – jej podwładnym – i ustawiała ich w szeregu. Poza tym w szpitalu mogła znaleźć coś dla siebie cenniejszego niż leki przeciwbólowe i alchemiczne bandaże.

Anastazja i zegarmistrzowie mieli świadomość, że każdy ich ruch jest rejestrowany, lecz nie mogli z tym absolutnie nic zrobić. Chcąc zminimalizować

ewentualne straty, jeśli nagle maszynom by się odwidziało i zrezygnowałyby z moratorium (żadne z nich nie zapomniało, jak różokrzyż przyciągał mechanicznych podczas rzezi na placu Huygensa), członkowie Gildii wyruszyli osobno i na piechotę. Uznali bowiem, że pojedyncze postacie przemykające niezależnie od siebie ulicami okupowanego miasta przyciągną mniejszą uwagę niż cała zegarmistrzowska ekspedycja. Doktor Euwe dowodził, że powinni puścić za sobą eskortę Nakręcaczy, lecz Anastazja nie wyraziła na to zgody. Nie mieli pojęcia, czy centaury są odporne na infekcję i nie śpieszyło im się do wykonania eksperymentu sprawdzającego tę hipotezę. Nie było gwarancji, że Nakręcacze posłani na ratunek Anastazji przez Teresę van de Kieboom powróciliby o zdrowych zmysłach. Nawet przed przybyciem floty zarażonych maszerujący po ulicach Nakręcacz był rzadkością. Eskorta zwróciłaby na nich oczu zbuntowanych i naraziła tych, których miała chronić.

Dlatego Anastazja wyprawiła się do obleżonego miasta sama, po raz pierwszy od przybycia zainfekowanych. Spacer był długi, dzień chłodny, a brzydkie ciuchy niedopasowane. Jeśli maszyny polowały na *tuinier*, spodziewały się kogoś o nienagannym wyczuciu stylu.

*

Po obu stronach łuku będącego pozostałością Bramy Namiestnika stało dwóch służących. Zapewne zamarłaby na ten widok, gdyby uchodźcy nie zdążyli jej ostrzec. I tak potrzebowała jednak całej swojej odwagi oraz siły ducha, jakie zdołała z siebie wykrzesać, żeby nie obrócić się na pięcie i nie uciec. Przeszła wystarczająco blisko nich, żeby zobaczyć płytki przykręcone do osłon zamka (mało co nie zawiódł ją pęcherz) i rdzawe plamki krwi zaschnięte na pancerzach. Nie spuszczała jej z oczu, lecz nie wykonali najmniejszego nawet ruchu. Anastazja zacisnęła pięść, czując drżenie dłoni, i spojrzała na świeżą gazetę, by się upewnić, że nic się nie dymi, po czym przyśpieszyła kroku.

Nieruchomi mechaniczni stali nie tylko na placu Huygensa. Naliczyła czterech innych na krótkim odcinku Zeestraat Noordeinde, starej arterii prowadzącej do Scheveningen, a podczas pośpiesznego marszu przez Prinsessetuin minęła ich aż tylu, że książęcy park równie dobrze mógłby być galerią metalowych rzeźb. Od setek lat miasto roiło się od mechanicznych, lecz inaczej niż jeszcze niedawno, dzisiaj nie uwijali się jak w ukropie, próbując czym prędzej wykonać powierzone im niezliczone zadania, od których realizacji zależało prawidłowe funkcjonowanie imperialnej maszyny. Po prostu byli. Przycupnęli niczym mosiężne sępy na szczytach kamienic, czaili się na rogach niegdyś ruchliwych ulic, pilnowali każdej kładki przerzuconej nad kanałem, stali

jak posągi na placach, w parkach, na cmentarzach. Nie odzywali się, ani drgnęli, byli idealnie milczący, nie licząc nieustającego tykania ich ciał.

Oraz szumu przesuwających się oczu. Śledziły każdy najmniejszy nawet ruch Anastazji. Na ulicy nie było nikogo poza nią. Jakież to szczęście, mogła się cieszyć niepodzielną uwagą mechanicznych. Za każdym razem, kiedy skręcała za róg albo szła kładką, słyszała szczerkanie wydawane przez mechaniczne oczy stojących najbliżej maszyn. Dostrzegała też tu i ówdzie błyski słońca odbijającego się od kamieni – tu z pobliskiego dachu, tam spomiędzy ogołoconych z liści buków rosnących przy kanałach albo nawet z odległych kościelnych dzwonnicy – które były niczym innym jak potwierdzeniem, że uważne spojrzenia śledzą każdy jej krok.

Anastazja wybrała bezpośrednią drogę z placu Huygensa do szpitala, co wymagało od niej przejścia dokładnie tej samej trasy, jaką przebyła, kiedy Malcolm kazał służącym odeskortować ją do Ridderzaalu, dlatego przy każdym kroku borykała się z odepchnięciem od siebie niechcianych wspomnień. Bezskutecznie. Trudno było odciąć się od wydarzeń tamtego piekielnego poranka, kiedy pod nosem miała dowody na to, że jednak wszystko, co zapamiętała, okazało się prawdą. Niepogrzebane trupy nadal gnęły na ścieżce holowniczej, gdzie wojskowy klakier pociął uciekających ludzi swymi nożami. Póki co zainfekowane maszyny zaniechały mordowania, ale najwyraźniej nie planowały uprzętać świadectwa swojego grzechu.

Ba, niczego już nie zamierzały sprzątać.

Zimne podmuchy wczesnej wiosny rozrzucały gazetowy papier oraz popiół niczym biegaczy stepowych Nowego Świata. Mokra i brudna kartki wały się po chodnikach i przyklejały do gołych kostek Anastazji, kiedy tylko mocniej zawiąło. Na każdej ulicy zalegały sterty śmieci. Bez mechanicznych albo zwierząt pociągowych, które mogłyby ciągnąć wozy, nie było sensu ich zbierać. Musiała utrzymywać szybkie tempo. Ludzkie odpady przyciągały gryzonie, a szczury robiły się coraz odważniejsze. Mewy również śmiało sobie poczynają, zapaskudziły już co atrakcyjniejsze dla nich osiągnięcia sztuki rzeźbiarskiej. Kiedy jeszcze wszystko było, tak jak powinno, zanim naturalny porządek świata został wywrócony do góry nogami, nawet grudka guano nie miała prawa kłaść dumnych dzieł zdobiących Hagę dłużej niż parę minut, czy to w dzień, czy nocą – przechodzący obok służący miał obowiązek posprzątać. Anastazja musiała cofnąć się pamięcią o parę lat, żeby skojarzyć, kiedy ostatni raz widziała posąg upstrzony ptasimi odchodami. Nigdy nie oglądała – ani sobie nie wyobrażała – Starego Świata tak brudnego i nieuporządkowanego.

Jakże ulotny okazał się majestat Hagi.

Zupełnie jakby osiągnięcia minionej ćwierci tysiąclecia były dla serca

Imperium jedynie niedbałym maźnięciem finezji; wystarczyło kolejne pociągnięcie pędzla i najeźdźcy zamalowali tę iluzję nowoczesnej cywilizacji. Cofnęli się do czasu sprzed Het Wonderjaar, sprzed mechanicznych i sprzed Imperium. Niedługo zapewne przeniosą się do jaskiń i będą rozpaczliwie pocierać o siebie patyki, aby móc cieszyć się ogniem. O ile dożyją tej chwili.

Okrzyżowała szpital i weszła do niewielkiego ogrodu, po którym przechadzała się jeszcze niedawno z Rebeką. Kiedy znalazła się w budynku, pozwoliła sobie na pełne ulgi westchnienie, bo nareszcie nie czuła na sobie spojrzeń nieruchomych mechanicznych. Minęła dłuższa chwila, zanim się wyprostowała, a jej oddech uspokoił na tyle, że nie dyszała już jak tonąca kobieta. A jednak nie potrafiła zrzucić z siebie ciężaru nienawistnych oczu obserwujących każdy jej ruch. Poczwała się, jakby po jej nagiej skórze przejechano zimną jak lód drucianą szczotką.

Weszła do szpitala przez kuchnię. Smród podpowiedział jej, że nie znalazłaby tam jedzenia nadającego się do spożycia, gdyby to było celem jej wyprawy. Udała się prosto do infirmerii. Co rusz przystawała i nasłuchiwała. Przed atakiem szpital pełen był medycznych służących przystosowanych do użycia skalpela, piły, wiertła, klamer, kleszczy i innych narzędzi przeznaczonych do operowania na delikatnym ludzkim mięsie i kościach. Nie mogła być pewna, czy maszyny czyhające gdzieś w mroku szpitala również, jak klakierzy z ulicy, narzuciły sobie prohibicję i zawiesiły morderczą działalność. Nie słyszała jednak najmniejszego nawet szmeru. Nic nie zdradzało obecności mechanicznych, przyjaznych czy wrogich.

Spodziewała się, że kogoś tutaj zastanie, że miejsce to będzie tętniło życiem. Prawda, nie było zniszczone; za to zupełnie puste. Może jednak nie powinno jej to dziwić, z ataku maszyn na Hagę mało kto uszedł z życiem, więc nie mieli kogo ratować. Ofiary potrzebowały nie lekarzy, a grabarzy. Pacjenci zdolni chodzić zapewne uciekli stąd przy pierwszej lepszej okazji i próbowali przedostać się do swoich rodzin albo znaleźć bezpieczne schronienie, gdzie mogliby się zaszyć do czasu zakończenia kryzysu. Szpital się do tego nie nadawał: za dużo obrotowych drzwi i niezabezpieczonych wysokich okien, na tyle szerokich, że służący mógł z łatwością przebić się do środka. Anastazja nie natrafiła absolutnie na nikogo, co sugerowałoby, że pacjenci niezdolni chodzić zostali przewiezieni do innej placówki. Najwyraźniej nawet lekarze i pielęgniarki przestali przychodzić do szpitala po załamaniu się porządku społecznego. Bo jeśli ludzie bali się za bardzo, aby wyjść z domu po chleb, tym bardziej nie zamierzali biegać do szpitala z katarem. Poza tym personel kliniki również miał swoje słabości. Czemu niby miałby wychodzić codziennie z domu i ryzykować życiem tylko po to, żeby czekać na chorych, którzy nie przyjdą?

Prawdopodobnie Rebeka również nie ruszała się z domu. Na czas ataku ukryła się gdzieś i czekała, aż przez miasto przewali się pierwsza fala mechanicznych. Szpital miał zapas jedzenia, ale nikt nie mógł przewidzieć, kiedy inwazja dobiegnie końca. Tak czy inaczej, pielęgniarka mogła udać się do domu już przed paroma dniami.

Anastazja nie rozpoznałaby szafki z alchemicznymi bandażami, nawet gdyby została specjalnie oznaczona. Sądząc po bałaganie, poprzedni szabrownicy również nie potrafili jej znaleźć. Wyszło na to, że ona i jej towarzysze z Gildii nie byli pierwszymi, którzy wpadli na ten pomysł. Z łatwością udało jej się odtworzyć drogę do infirmerii, rozpoznała nawet łóżko, na którym przechodziła rekonwalescencję. Wszystkie szafki puste. Ich niezagrabiona jeszcze zawartość – zwykłe bandaże, puste strzykawki, gumowe rurki – leżała rozrzucona na podłodze.

Anastazja spędziła dobrą godzinę na przeszukiwaniu tego bajzlu, zanim się poddała. Zabrała, co mogła, lecz nie miała nic, co usprawiedliwiłoby długi i niebezpieczny spacer przez haskie mauzoleum. Przed wyjściem zrobiła jednak jeszcze jeden przystanek. Komplet akt osobowych trzymano w pokoju pielęgniarskim, starannie poukładany w niezamykanej szafce na dokumenty.

Rebeka Frijhoff mieszkała pół kilometra od Willemsparku. Twarz Anastazji rozświetlił delikatny uśmiech – czuła się, jakby od ostatniego jej uśmiechu minęły całe lata. Inna sprawa, jaką jeszcze musiała dzisiaj załatwić, i tak miała popchnąć ją w tamte rejony, mogłaby zajść i zobaczyć, czy pielęgniarka dobrze się miewa. Z pewnością zaimponowałaby młodej kobiecie swoją niebywałą odwagą. Rebeka byłaby jej wdzięczna. Może nawet na tyle, aby zapomnieć o tym, że Anastazja i *tuinier* to jedna i ta sama osoba. Nie ujrzy w niej człowieka, którego się bała, lecz była pacjentką. Pacjentką, która dla odmiany teraz zajmie się nią i zabierze za grube, bezpieczne mury Ridderzaalu.

„Tak. Znajdź tę flirciarę, zaimponuj jej, otocz opieką. Bynajmniej nie dlatego, że boisz się przebyć samotnie drogę powrotną do placu Huygensa”.

Anastazja zamierzała opuścić szpital głównymi drzwiami, ale kiedy tylko wyszła do holu, stała się świadkiem bodaj najdziwniejszego przypadku awarii podczas całej swojej kariery. Na ulicy przed budynkiem szpitala stało paru mechanicznych. Ustawili się w kółku, lecz nie stali nieruchomo...

Malowali się nawzajem.

Najwyraźniej zabrali pędzle i kubły z farbą do ścian z budowy po drugiej stronie ulicy. Mazali jeden drugiego czerwienią i pomarańczem. Po ramionach, po nogach, po pancerzach i osłonach zamka: mechaniczne ciała stały się dla nich płótnem.

Anastazja przykucnęła w cieniu, żeby jej nie zobaczyli, i obserwowała

zachowujące się dziwacznie maszyny. Nigdy jeszcze o czymś podobnym nie słyszała. Co mogło nimi kierować? Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to rzadko aktywujące się hierarchiczne *metageas* niższego rzędu zarządzające drobnymi pracami konserwacyjnymi – pozwalało mechanicznych szukać pomocy u innych maszyn. Bodaj tylko ten scenariusz pozwoliłby służącym na coś podobnego.

Co się z nimi działo? Zachowywali się, jakby jasne zasady określające ich fundamentalne obowiązki – dotyczące ludzkiego bezpieczeństwa oraz konserwacji – zostały wymazane.

*

Anastazja mieszkała na skraju Willemsparku. Miała stamtąd blisko do pracy, a zarazem mogła odsapnąć od zgiełku placu Huygensa i prowadzić jakieś życie prywatne. Jej poprzednik, *tuinier* Konig, miał dom przy Lange Voorhout, po sąsiedzku z zamożnymi bankierami i szlachcicami. Ona preferowała dzielnicę zamieszkaną przez młodych i ambitnych, którzy w piątkowe wieczory lubili wyjść się napić i potańczyć, a niedzielne poranki spędzali przy drożdżówkach, kawie i gazetach. Z czasem ludzie ci przenosili się do spokojniejszych dzielnic, gdzie mogli wychować dzieci, lecz na ich miejsce przybywali kolejni niezmecczeni jeszcze przyjemnościami życia. Dzięki takiemu porządkowi Anastazja miała zapewniony stały strumień młodych dziewcząt, którym łatwo było zaimponować i które dawały się namówić na spędzenie razem nocy, albo trzech.

Teraz roilo się tu od mechanicznych obserwujących wszystko i wszystkich. Nie mogła liczyć na zasilaną klakierskimi ramionami windę, więc od razu skierowała się na schody. Pokonywała kolejne stopnie, dysząc i sapiąc, aż dotarła na samą górę. Mieszkania na najwyższym piętrze były przestronniejsze, a po sąsiedzku miała tylko jedno. Już dawno się nauczyła, że dobrze jest trzymać w gabinecie zapasowy klucz. Przydał się i teraz. Czasem, kiedy pracowała do późna – na przykład podczas przesłuchań – posyłała służącego, żeby zrobił i rozpakował zakupy, odebrał pranie albo załatwił jakieś inne sprawy. Nie musiała wypożyczać mechanicznych, jej posada wiązała się z pewnymi osobistymi korzyściami. Przed wyjazdem do Nowego Świata nakazała swojemu domowemu służącemu dbać o mieszkanie, ale chwilę przed wyjściem rozmyśliła się, poleciła mu zamknąć dom, udać się do Ridderzaalu i zgłosić po rozkazy do innego zwierzchnika.

Jako że nagły rozbłysk światła za szybami dużego, przez długi czas ciemnego okna mógłby zwrócić czyjąś uwagę, Anastazja nie kłopotowała się nawet

zapaleniem lampy gazowej. Nadal było stosunkowo jasno, nie potrzebowała dodatkowego źródła światła, poza tym potrafiła przecież poruszać się po swoim mieszkaniu po ciemku, co zdarzało jej się niekiedy w środku nocy.

Usprawiedliwiła nadłożenie drogi chęcią zabrania z domu pozostawionej tu zapasowej i nadal pełnej apteczki, lecz tchórzliwa prawda była taka, że rozpaczliwie pragnęła choćby paru minut normalności, zanim z powrotem wyjdzie na nieprzyjazne ulice. Chciała chociaż przez chwilę móc cieszyć się świadomością, że jest w bezpiecznym domu i że wszystko będzie dobrze, móc otulić się tym kłamstwem. Dlatego snuła się po mieszkaniu niczym duch.

Jeśliby chciała, mogłaby rozświetlić apartament, zainstalować dodatkowe lampy i podświetlić zawieszane na ścianach obrazy. Nie miewała co prawda zbyt często gości – znowu wyobraziła sobie ten pojedynczy niesforny kosmyk tańczący przy czole Rebeki; „Niedługo”, złożyła sobie obietnicę – lecz celem sztuki nie było chwalenie się nią przed ludźmi. Po prostu uwielbiała malarstwo. Nad sekretarzykiem powiesiła reprodukcję *Portretu małżonków Arnolfinich* pędzla van Eycka, lecz jej ulubioną zdobyczą był de Bray wiszący w gabinecie. Niegdyś posiadała rzadką kopię *Epifanii* Schoumana, ale po paru latach zdecydowała, że anioł z rozłożystymi skrzydłami wyglądający zza ramienia Huygensa to jednak zbyt wiele. Szara codzienność wykonywanej przez nią pracy dawno już pozbawiła ją złudzeń odnośnie do tego, że działalność Gildii ma jakikolwiek niebiański rodowód. Jak każde przyziemne przedsięwzięcie była pokomplikowana i nieładna.

Przejrzała zawartość szuflad. Wszystkie puste i zakurzone. Krany od dawna nieodkręcane – mieszkanie zalatywało suchymi rurami. Była ciekawa, czy jeszcze kiedyś uda jej się doprowadzić je do porządku, czy może raczej upadek ludzkości przekreśli te zamiary. Nawet jeśli opanuje rozwój choroby i rozprzestrzenianie się awarii, a uszkodzone maszyny zostaną powstrzymane, i tak nie ma gwarancji, że zwykli mieszkańcy Prowincji Centralnych nauczą się robić wszystko to, czym zwykle zajmowali się mechaniczni służący. Czy dadzą sobie radę z zamiataniem, myciem podłóg i nakładaniem pasty na szczoteczkę do zębów? A może ich życie zostanie zredukowane do beznadziejnego mozołu?

Niewidzialna pajęczyna musnęła twarz Anastazji, kiedy weszła do sypialni. Nie rozpoznała leżącej na łóżku pościeli. Kiedy ją kupiła? Poprzedni służący musiał znaleźć ją w szafie, gdy przygotowywał mieszkanie na jej powrót. Na szczęście domowa apteczka była tam, gdzie ją zostawiła, pod łazienkową toaletką. Sięgnęła po nią, nawet nie kłopotząc się choćby ukradkowym rzutem oka na lustro. Nie miała zamiaru sprawdzać, jakie piętno odcisnęły na niej ostatnie zdarzenia. Miała okazję widywać skrajne przerażenie na twarzach tych, których zaciągnięto do tuneli pod Ridderzaalem, nie chciała ujrzeć czegoś

podobnego na swojej. Przystanęła jeszcze na moment, żeby zabrać z szafy na korytarzu długi do kostek płaszcz przeciwdeszczowy, który narzuciła sobie na ramiona, i wyszła z mieszkania.

Dwie rzeczy z głowy. Jeszcze jedna pozostała do załatwienia przed zachodem słońca.

Zaraz po przestąpieniu progu wystraszyła się niespodziewanego kociego miauku. Krzyknęła i upuściła swój tobołek. Spomiędzy prętów poręczy z kutego żelaza wystawały niczym szczotka starej miotły uszka i kępki przeredzonych wąsisk. Przycisnęła dłonie do piersi, z której przed momentem mało nie wyrwało się serce, i przyklękła.

– To ty, Kserkses? Nie spodziewałam się ciebie znowu zobaczyć, ty bezwstydnym rozpustniku.

Dobrze było móc się znowu do kogoś odezwać. Dźwięk ludzkiego głosu, nawet należącego do niej samej, sprawiał, że ten połamany świat wydawał się nieco mniej klaustrofobiczny. Kserkses był kościstym, pręgowanym rudym kotem mieszkającym po sąsiedzku. Jeszcze zanim Anastazja go poznała, zużył przynajmniej sześć żyć, a potem jeszcze parę. I jakimś cudem, kiedy akurat nie opierał się śmierci, znajdował jeszcze czas na podwajanie liczebności kociej populacji Prowincji Centralnych. *Tuinier* założyła z góry, że ostatnie już życie Kserksesa dobiegło nieuchronnego końca podczas jej niemiłosiernie przedłużającego się pobytu za oceanem.

– Byłam pewna, że twój tryb życia sprowadził na ciebie pecha. Dawno cię skreśliłam.

Podrapała kota za uchem. Biedak musiał zostać uwięziony na klatce schodowej, kiedy wszyscy się pochowali. Gdyby sąsiadom udało się dotrzeć do domu, z pewnością usłyszeliby jego donośne miauczenie i otworzyli mu drzwi. Albo uciekli i zapomnieli zabrać pchlarza ze sobą. Nie można też wykluczyć, że padli ofiarą uszkodzonego mechanicznego, który oszczędził tylko kota.

Anastazja podniosła się. Zwierzak mruknął cicho i stanął chwiejnie na tylnych łapach, gotowy wymierzyć cios połam jej płaszcz.

– Ile już tutaj siedzisz, co?

Przeszła przez półpiętro i zapukała do mieszkania obok. Drzwi od razu się uchyliły.

– Dzień dobry – zawołała.

Bez odpowiedzi.

Zdała sobie sprawę, że nie zna imion sąsiadów, jedynie kota. Ale rozpoznałaby ten smród, nawet jeśli nie znalazłaby ciała. Mężczyzna i kobieta powiesili się na zwiniętych prześcieradłach przewieszonych przez wysoką belkę przecinającą urządzoną ze smakiem werandę. Nie zrobił tego żaden zbuntowany

klakier. Popchnęła ich do tego rozpacz. Oddali ducha, trzymając się za dłonie.

Anastazja wyminęła makabryczne wahadła, uważając, żeby się nie przewrócić o płaczącego się jej pod nogami kota. Okno oszklonej werandy wychodziło na most Mauritskade, na którym, jak się okazało, rozegrała się okrutna masakra. *Tuinier* potrafiła wyobrazić sobie tę parę stojącą dokładnie tu, gdzie ona teraz, obejmującą się czule i patrzącą na atak oszalałych maszyn. Dlatego wybrali koniec z własnej ręki niż rozszarpanie przez dzikich mechanicznych.

Dobry Boże. Czy podobne sceny miały miejsce w całym mieście? Czy to dlatego Haga wydaje się taka pusta? Już nigdy nie będzie tutaj tak jak dawniej.

Na dachu po drugiej stronie ulicy dostrzegła błysk słońca na wypolerowanym metalu.

Opuściła kamienicę szybkim krokiem, z kotem depczącym jej po piętach. Odruchowo zamknęła za sobą drzwi na klucz. Co znajdzie w skromnym domu Rebeki? Czy pielęgniarka również zwisa z belki? A może natknie się w ogródku na zmasakrowane trupy jej rodziny, którą zaszlachtowano podczas próby ucieczki?

Porzuciła te myśli i udała się prosto do Ridderzaalu.

ROZDZIAŁ 11

Wy przebiegłe skurwysyny – zakłęła Berenice, ustawiając ostrość lunety. Linia brzegowa rozmywała się jej raz po raz przed oczyma, równo z bujaniem masztu. Siarczyste podmuchy ciskały śnieżne welony, tłukąc tajny przyczółek i przysłaniając widok.

– Przebiegli bizonojebcy, skurwiałe łajnołuby. Tak myślałam. Byłam, kurwa, tego pewna. Mam nadzieję, że wleją Montmorency’emu do gardzieli cały wóz końskiego gówna...

Le Griffon II przechylił się ostro na sterburtę i Berenice straciła uchwyt, puściła się barierek, upadła, a luneta wyslizgnęła się jej z ręki. Na szczęście metalowe dłonie chwyciły w porę i ją, i urządzenie. Daniel, uczipiony pokładu palcami u stóp, które zacisnęły się niczym klamry, postawił ją na nogi.

– Dzięki – mruknęła.

– Cóż, musisz być z siebie dumna – stwierdził.

– Przeszło mi przez myśl, że mogę być niedocenianym geniuszem – powiedziała, milknąc na moment, żeby chwycić się masztu. Znowu silnie zawiąło. – Ale coś ci zdradzę. Niedobrze uzyskać potwierdzenie swoich przypuszczeń, że świat sprzyścił się przeciwko tobie.

Służący wyciągnął się, po czym na powrót skurczył. Berenice, przytrzymując się masztu, uniosła lunetę do oka. Na mapach kapitana Levesque oznaczono całe mnóstwo potencjalnych naturalnych zatoczek, którymi akadyjskie wybrzeże było usiane. Tulipaniarze korzystali ponoć z przystani na kontynencie, lecz pomimo mglistych instrukcji Montmorency’ego nie potrafili odszukać potencjalnego holenderskiego przyczółku na długim, skalistym odcinku atlantyckiego przymorza na północ od Battle Harbour, które Innuici nazywali Ca-tuc-to. A przynajmniej żadnego na tyle dużego, żeby pomieścić De Pelikaana – lodołamacz, na którego pokładzie zbiegła do Starego Świata. Musieli myśleć inną skalą. Bo niby czemu tulipaniarze mieliby się ograniczać do naturalnej topografii terenu? Posiadali mechanicznych zdolnych przebić granit pięściami. Dlatego kiedy Le Griffon II wychynął z ujścia rzeki, ominął Zatokę Świętego Wawrzyńca i przepłynął przez mgliste ucho igielne przesmyku Belle Isle – eskortowany przez stada zawodzących grenlandzkich fok – po czym skierował się na północ, gdzie przytulił się do wybrzeża, szukając czegoś, czego nie powinno tam być.

Szło mozolnie, ale nie mogli na to nic poradzić.

Załoga statku szlifowała swoje umiejętności na Wielkich Jeziorach, gdzie lód był zjawiskiem dość powszechnym, dlatego bark sprawnie wymijał kry. Kiedy jednak zderzenie okazywało się nieuchronne, grupa mechanicznych czepiała się burty i odpychała przeszkodę jak najdalej.

Minęło pięć dni, odkąd zostawili za sobą ostatni francuski posterunek. Ostatniej nocy, jak zresztą każdej, zrzucili kotwicę, kiedy tylko słońce schowało się za Nową Francją. Tego ranka siedzący na bocianim gnieździe załogant zauważył coś, czego by nie dostrzegł, gdyby nie pierwsze promienie dopiero budzącego się słońca: przecinającą wybrzeże rozpadlinę, której nie zaznaczono na mapach. Jeden z mechanicznych Daniela – ten z poobijanymi kryzami, którego ciało trzeszczało i skrzypiało, gdy poruszał się zbyt szybko – pomknął na szczyt masztu niczym małpa z Wysp Korzennych na drzewo kokosowe, po czym szybko dostroił swoje tykoczące oczy. Zauważył wtedy coś jeszcze bardziej znaczącego. Berenice również spojrzała w tę stronę przez lunetę. Zobaczyła fragment czarnego jak smoła statku wystającego zza wysokiej skalnej półki. Na piórach wioseł spostrzegła ząbkowania podobne do tych, które zapamiętała z De Pelikaana. Nie potrafiła wtedy rozgryźć ich zastosowania, lecz teraz domyśliła się, że ów złowieszczy kształt miał praktyczny wymiar – pozwalał na przebicie się przez skute lodem wody. Z tej odległości oceniła rozmiary wioseł na pół metra średnicy, zatem statek był o wiele większy niż bark. Nad pokładem nie sposób było wypatrzeć masztu, choć można było się spodziewać, że będzie wystawał nad skały. Holenderskie jednostki nie potrzebowały wiatru dmuchającego im w żagle. Miały przecież galerników.

Kapitan Levesque wyjrzał z bocianiego gniazda, czekając na sygnał od Berenice.

– To tutaj – zawołała. – Znaleźliśmy!

Ludzka część załogi zaczęła klaskać, tupać, gwizdać. Choć wszyscy nie mogli się doczekać, żeby zagrać tulipaniarzom na nosie, powodzenie tej ekspedycji było przedmiotem niejednego zakładu, a po ujrzeniu tego, co zostało z Quebecu, i po późniejszych strasznych wydarzeniach prosty komunikat Berenice przyjęto z niewysłowioną ulgą i radością. Nawet tykacze przyłączyli się do aplauzu i zsynchronizowali swoje klekotanie. Od czasu spotkania ze żniwiarzami interakcja pomiędzy członkami wyprawy była mniej sztywne, mniej napięta.

Kapitan wywrzaskiwał rozkazy. Bark wymanewrował i popłynął na krzyż ku ujściu tajnego przyczółku, gdzie raz jeszcze zrzucił kotwicę. Tym sposobem żadne statki łamiące postanowienia traktatu pokojowego i kryjące się między zmarszczkami na mapie nie mogły stąd wypłynąć bez zgody Le Griffona II. Znienawidzony i przerażający przeciwnik został przez nich rozbrojony i zatrzymany ze spuszczonej do kostek spodniami nad nocnikiem – nie mieli mu

zamiaru ani trochę odpuścić.

Teraz jednak zaczynały się schody. Ile maszyn Holendrzy zaprzęgli do pracy? I gdzie one są?

Tuzin mechanicznych skoczyło do wzburzonego morza. Statek zarzucił kotwicę nieco za daleko od zatoczki, żeby klakierzy jednym susem dostali się z pokładu na ląd. Niektórzy mogli próbować skakać z masztu, lecz spowolniłoby ich to i mogło uszkodzić olinowanie, dlatego też zdecydowali się po prostu wyskoczyć za burtę i przebyć drogę po dnie.

Po chwili wyleźli spomiędzy fal i zaczęli włączyć po urwistych skałach. Kto był świadkiem oblężenia cytadeli, nie został zaskoczony sprawnością maszyn, które potrafiły pokonać ściany z litego granitu. Berenice wyczekiwała charakterystycznego, mrozącego krew w żyłach drapania o kamień, rozlegającego się zawsze, kiedy mechaniczni używali palców u dłoni i stóp niczym alpiniści karabińczyków. Ale ten nie nadszedł. Towarzysze Daniela starali się wspinać jak najciszej, co ich spowalniało, lecz nadal pięli się po zimnym, śliskim kamieniu z godną pajaków pewnością.

Élodie przesuwiała palcami po koralikach różańca przypiętego do paska, mamrocząc coś pod nosem. Najwyraźniej podpatrzyła ten zwyczaj u Longchampa. Berenice uniosła brew.

– Dziękuję błogosławionej Panience, że są po naszej stronie – wyjaśniła sierżant.

– Obawiam się, że są tylko po swojej stronie – odparła Berenice – lecz póki co to właściwie ta sama co nasza. Martwię się jednak tykaczami z lodołamacza.

– Ano.

Zwiadowcy dotarli na szczyty skarpy po obu stronach zatoczki. Przykucnęli i rozstawili się na półkilometrowym odcinku skalistego pustkowia. Berenice miała nadzieję, że nie będą ze sobą gadać, bo ich szczęknięcia i pyknięcia potrafiły nieść się bardzo daleko.

Minęła godzina. Załoganci zmęczeni się wyciąganiem szyj, próbując coś dojrzeć. Łazili po dwoje lub troje, rozmawiając ściszymi głosami albo zabijając czas przy kartach czy dominie.

Élodie nie zrezygnowała jednak ze swojego czuwania.

– Jak długo jeszcze te maszyny będą się tak gapić? – zapytała.

– Chciałabym wiedzieć. Zabiłabym, żeby spojrzeć ich oczyma. Jeśli będą tak siedzieć przez cały dzień z metalowymi chujami w rękach, zapadnie zmrok i będziemy musieli czekać aż do rana.

Nareszcie jeden z mechanicznych wstał i pomachał do nich: czysto, mogli płynąć. Tego Berenice się nie spodziewała. Założyła co prawda z góry, że mechaniczni z tajnego przyczółku zostaną poddani działaniu wyzwalającego

światła – albo czegoś pochodnego – zanim francuska ekspedycja do nich dotrze. Ale gdzie się podziali? Nie mieli powodu, żeby gdzieś się ruszać. Z pewnością chociaż paru zostało na miejscu.

Élodie nadzorowała wyładowywanie pustej broni epoksydowej, która leżała w ładowni od czasu starcia z watykańskimi żniwiarzami. Miała zejść z pokładu razem z Berenice i Danielem. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak sobie założyli, chemicy prędko znajdą surowce nadające się do szybkiej syntezy, wyprodukują porządny epoksyd i utrwalacz, co pozwoli Francuzom na natychmiastowe uzupełnienie rezerwy chemicznej amunicji. Tymczasem jednak nie zaszkodzi, jeśli będą udawać, że potrafią i mogą się obronić.

Opuszczono łodzie na zimne wody. Klakierzy nie byli lekcy. Berenice liczyła, że widok płynących razem Francuzów i maszyn wywoła u wroga strach.

„Każdy tulipaniarz z odrobiną zdrowego rozsądku obsra sobie majty”, pomyślała.

Ludzie wiosłowali, podczas gdy mechaniczni nie spuszczała z oczu mającego w oddali statku. Berenice wyłapywała jedynie fragmenty ich konwersacji. Okazało się, że paru służących odpracowało swoje na galerach; tkwili tam przez długi czas przypięci do masywnych wiosł wypływających na ocean molochów podobnych temu, który mieli przed sobą. Podejrzewała, że nie jest to miłe wspomnienie.

Skaliste klify, otaczające serpentynową zatoczkę, nosiły wyraźne ślady przeprowadzonych na nich prac. Musiano je obłupywać młotami, kilofami i dłutami, co wskazywało, że wlot poszerzono tytanicznym nakładem katorżniczej pracy. Lecz, oczywiście, Holendrzy nie musieli się martwić o brak rąk do pracy, posiadali przecież jej nieskończone zasoby.

Rozstawieni na skałach zwiadowcy wydali z siebie donośny szcęk kół zębatach i brzęk napiętych kabli. Daniel porozumiał się paroma kliknięciami z maszynami płynącymi na drugiej łodzi. Echo rozeszło się po zatoczce i odbiło rykoszetem od wysokich, kamiennych ścian.

– Miejsce wydaje się opuszczone – przetłumaczył.

Jednak obawy nie opuściły Berenice.

Droga do tajnego przyczółku nie biegła w linii prostej, zatoczkę łączącą go z morzem wymodelowano, tak aby ukryć ją przed niepożądanymi gośćmi. Niewielkie łódki mogły przepłynąć tędy bez problemu, lecz Griffon nie precyzyjnie się tak łatwo i wymagałby eksperckiej nawigacji, żeby przejść przez wąskie gardziele, gdzie klify zwały się niczym kamienne szczypce.

Nareszcie dotarli na miejsce.

Osobliwy, podwójny kadłub lodołamacza unosił się niemalże tak wysoko na wodą, jak bezanmaszt Le Griffona. Berenice naliczyła po dwadzieścia wiosł na

każdej burcie, czyli założywszy, że na statku znajdowało się niezbędne minimum metalowej załogi, musiało tu być przynajmniej osiemdziesięciu mechanicznych. Gdzie się podziali? Dołączyli do żniwiarzy? Do Mab? Czyżby byli teraz jej bezwolnymi narzędziami?

– Cóż, jak nic holenderski – powiedziała, po czym spojrzała w stronę brzegu.
– Sukinsyny, wy ośliżli matkojebcy – zaklęła.

Nie mieli przed sobą specjalnie zaawansowanej infrastruktury portowej, lecz z pewnością znajdowali się w dokach. Liczba mnoga. A obok magazyny. Liczba mnoga. Płytką ziemię pomiędzy budynkami przecinały tory. Jeden odcinek prowadził na niewysoki pobliski pagórek i znikał na zachodzie. Jeśli poszliby tym śladem i maszerowali setki lig, była pewna jak jasna cholera, dotarliby ostatecznie do kopalni, której również nie zaznaczono na żadnej z map. Na nierównym brzegu oplatającym tajną przystań stały cylindryczne zbiorniki bliźniaczo podobne do tych, które mieli w Zachodniej Marsylii. Magazyny były miejscami podniszczone, co wskazywało, że stały tam już od dłuższego czasu, lecz tanki lśniły nowością. Z zaworu na każdym z nich wychodziła płatanina rur. Niektóre szły ku dokom, gdzie zainstalowano specjalne mocowania, a jedna z nich nadal była przykręcona do uchwytu na burcie zacumowanego statku. Inne łączyły się z różnymi bojlerami, mieszadłami i chemicznymi reaktorami, których wygląd był Berenice znajomy, lecz funkcja niezmiennie pozostawała tajemnicą. Montmorency wyruchał Nową Francję tak mocno, że cudem nie chodzili okrakiem i z krwią na dupie. Chemicy i inżynierowie rozpoczęli pośpieszną konwersację równie niezrozumiałą dla ogółu, co tykanie metalowych towarzyszy. Dyskutowali o destylacji, ciśnieniu gazu, katalizie, czynnikach zanieczyszczających, tetra-tym i metyl-tamtym.

Berenice udało się zidentyfikować noclegownię dla kilkudziesięciu ludzi, mesę, a nawet prywatną kwaterę (zapewne dla kapitana portu), wszystko zbudowane zgodnie z wymogami kontynentalnej architektury, łącznie z jasną cegłą. Nie, to nie cegła, ale idealnie ociosany granit. Wykorzystali tony kamienia pozyskanego w trakcie poszerzania wlotu do zatoczki jako materiał budowlany. Dawni panowie Daniela nie operowali półśrodkami. Zapewne wszystko to wzniesiono w ciągu tygodnia.

Od jak dawna trwała ta operacja? Owszem, przyczółek był odizolowany od świata, ale dało się tu dotrzeć i lądem. Montmorency'ego w swojej spowiedzi – którą przeczytała z ogromnym zainteresowaniem i niemałym gniewem – twierdził, że tajny układ z Holendrami zawarł lata temu. Czyli sojusznicy i partnerzy handlowi Nowej Francji mogli powiadomić ich o tym miejscu już dawno. Czemu tego nie zrobili? Innuici, Mikmakowie i Beothukowie. Ktokolwiek. A jeśli o tym wiedzieli, to z pewnością wypuszczający się daleko

na północ francuscy traperzy i *coureurs de bois*[8] również.

A tu nic, nawet licha ploteczka nie dotarła do uszu Talleyranda. Tulipaniarze musieli strzec tego sekretu z wyjątkową pieczołowitością. Zapewne ci, którzy mieli pecha tu trafić, znikali, a ci, do których nie wrócili, nauczyli się unikać tego miejsca.

*

Żadnego ruchu. Nietrudno było jednak zauważyć dlaczego. Trupy rozwleczono jeszcze daleko za granice obozu. Zostały rozszarpane albo zmiażdżone uderzeniami mosiężnych pięści i zostawione padlinożercom – wilkom, lisom, sępom, kunom, kojotom, a może nawet napatoczył się jakiś niedźwiedź. Z martwych pozostały jedynie ogryzione kości, skrawki ubrań, kłamry od pasków.

Już same plamy krwi zdradzały krótką, gwałtowną i brutalną historię tego, co się wydarzyło, kiedy mechaniczni stacjonujący w tajnym przyczółku zostali odmienieni. Zaczęło się od maszyn akurat przebywających na terenie obozu (było ich tam kilkadziesiąt), których *geas* zostały wymazane na tle zorzy polarnej. Przybył do nich posłaniec niosący wyzwolenie niczym pałeczkę sztafety podczas niezwykle długiego biegu. Wystarczyło mgnienie oka, żeby klakierzy z sekundy na sekundę stali się zupełnie niewrażliwi na dyktat ludzkiego pana... oraz zasady nakazujące im dbać o ich bezpieczeństwo. Drugi rozdział tej powieści opowiadałby o maszynach stojących nad śpiącymi ludźmi i zakończyłby się urywanymi krzykami oraz zduszonymi jękami. Krwią na pościeli.

Poplamiona tapeta na ścianach kwatery kapitana portu opowiadała tę samą historię. Padlinożercy nie dostali się do sypialni. Zabójcy zamknęli za sobą drzwi. Żadnemu członkowi ekspedycji nie przyszło jednak do głowy ich forsować, bo ze środka śmierdziało zgnilizną tak mocno, że nawet arktyczny chłód nie potrafił przegonić tego odoru.

Nie wszystkie maszyny zostały zabójcami, niektóre próbowały przeciwdziałać mordom. Ich części rozrzucono tu i tam jak członki tych, którzy jeszcze niedawno ich uciskali. Przynajmniej jeden z tych obdźektorów był wojskowym klakierem i sądząc po metalowych trupach, zanim padł, dał napastnikom do wiwatu. Na ziemi zaległo tyle mechanicznych części, że chrzęściły im pod stopami, kiedy przechodzili z budynku do budynku; utwardzane stałą czuby obuwia szczękały o zębatki, a stopy służących krzeszały iskry, depcząc kawałki pancerza poległych braci i sióstr. Jeszcze niedawno przemycona z trudem do Nowej Francji niewielka garść takich części byłaby powodem do świętowania. Berenice zapłaciła któregoś razu fortunę za pojedynczą nieuszkodzoną śrubę

przyniesioną z narażeniem życia z amazońskiej dżungli, gdzie stoczono bitwę. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek będzie chodzić swobodnie po chodniku zaścielonym taką ilością nikomu niepotrzebnego złomu, aż musiała mrużyć oczy od odbijającego się od nich słońca. Pokręciła głową.

„Byliśmy jak dzieci cieszące się ze znalezienia pojedynczej muszelki na plaży i nazywające się przez to królami mórz”.

Ręce, nogi, korpusy. Żadnej nienaruszonej czaszki. Te zawsze były poniszczone, rozbite na najmniejsze możliwe kawałeczki, trudno było je w ogóle rozpoznać.

Choć urządzono tutaj istną mechaniczną masakrę, nie zostawiono po niej ani jednej szyszynki.

*

Berencie dołączyła do chemików, którzy starali się wydumać, skąd i dokąd prowadzą poszczególne rury i węże – od zbiornika do pompy, stamtąd do destylarni i tak dalej – rozpracowywali sieć połączeń pomiędzy kolejnymi elementami zasilanej metalowymi rękoma rafinerii. Co chwilę przystawali, żeby porównać znaleziska z listą procedur i formuł, które Montmorency przekazał swoim tajemnym sojusznikom. Dochodzenie prowadziła doktor Mornay.

– Czyli miałam rację, tulipaniarze ładowali na statki chemikalia. – Berencie myślała o doku, gdzie do zacumowanego statku nadal był podłączony wąż. – Czemu jednak to wszystko jest tak pokomplikowane? Myślałam, że wystarczy podpiąć rurę do zbiornika. A to wygląda jak orgia ośmiornic.

– Byłoby prościej, gdyby chodziło im o wypompowanie surowego prekursora – odparła doktor Mornay; po krótkiej konsultacji z kolegami wskazała dwa chromowane cylindry stojące na skraju obozu. – Sądźmy, bazując na planie, że trzymali go tam. Ale jak często gościli tu statki? Zapewne łatwiej i szybciej było im przeprowadzać syntezę tutaj i wypompowywać gotowy produkt bezpośrednio do ładowni, zamiast rafinować surowce dopiero po ich dostarczeniu, bo szpiedzy mogliby się domyślić, co się dzieje.

Berencie przygryzła wargę. Oczywiście.

– Jeśli nadal masz zamiar udzielać całkowicie logicznych i rozsądnych odpowiedzi na głupie pytania – powiedziała – możesz rozwiązać układ mojego geniuszu.

Chemiczka się roześmiała.

– A tego byśmy nie chcieli.

– Czym jest ten gotowy produkt, który wypompowują?

– Niedługo się dowiemy. Posłałam ekipę na statek. Chemicy przeprowadzają

konieczne testy.

– To zapewne rozpuszczalnik, i to dobry. Najlepszy. Ich nowa kuźnia miała wysrać mechanicznych odpornych na naszą broń chemiczną.

– Pamiętam. – Wzdrygnęła się Mornay.

Berenice zmieniła temat.

– Rozpuszczalniki nam się nie przydadzą. Myślisz jednak, że...

– Kiedy już rozpracujemy, gdzie co jest, damy sobie z nim radę, przerobimy prekursory na inne związki. Może nawet uda nam się rozbić gotowy produkt i rozpuszczalniki, po czym przemienić w coś użytecznego.

Berenice spojrzała na pobliski piec. Gdyby jurny klakier wyruchał kuchenkę na drewno, to podobna maszyna mogłaby być owocem tego aktu. Choć od nie wiadomo jak dawna nikt z niego nie korzystał, koła zębate nadal się obracały. Komin jednak nie pluł dymem.

– Proszę, powiedz mi, że przez „coś użytecznego” rozumiesz amunicję do broni epoksydowej – powiedziała Berenice; rzuciła okiem na smagane wiatrem skały, porosty i opuszczony przyczółek. Nie potrzeba było zbyt bujnej wyobraźni, żeby owo świszczące dmuchanie wziąć za wycie udręczonych dusz.

– Czuję się tu naga. – Zadrzała.

Dwie mewy przeleciały nad brzegiem, nawołując się nawzajem. Dalej od morza, na brzegu, promienie słońca odbiły się od alchemicznych pancerzy Daniela i jego towarzyszy, którzy kręcili się przy magazynie. Kobierzec nisko unoszących się chmur sunął po niebie. Słońce zniknęło.

– Mamy sporo pracy. Ktoś nauczył ich zaawansowanej inżynierii chemicznej – mruknęła z niezadowoleniem doktor Mornay.

Berenice splunęła, chcąc pozbyć się z ust smaku popiołu. Choć zdradę Montmorency'ego wykryto już kawał czasu temu, sama myśl o niej nie przestawała jej obrzydzać. Chemiczka mówiła dalej:

– Nie chcę robić ci nadziei, bo w tych prymitywnych warunkach wysoce możliwe jest zanieczyszczenie materiału.

– Nie chodzi tylko o warunki – wciął się mężczyzna noszący pod płaszczem z bobrzej skóry różnokolorowe flanelowe koszule, przez co wyglądał jak klaun; długie uszy podbitej futrem czapki doktora Hammonda majtały mu się przy szczęce. – Póki nie znajdziemy w którymś z magazynów świeżych, nieużywanych rurek i węży, będziemy musieli rozpracować sposób na oczyszczanie tych tutaj, zanim w ogóle zabierzemy się za cokolwiek innego.

Rozczarowujące. Istniał niemniej pewien plan B, Zachodnia Marsylia miała infrastrukturę odpowiednią do produkcji epoksydu. Część przetrwała nawet oblężenie, a robotnicy uwijali się dniem i nocą przy odbudowie reszty.

– Skoro nie możemy zrobić tego tutaj, ile zachodu będzie z przewiezieniem

surowców do cytadeli? – podjęła Berenice.

Słońce przebiło się przez chmury. Doktor Mornay przymrużyła powieki, przyglądając się zbiornikom i osłaniając oczy przed nagłym blaskiem.

– Daj nam chwilę. Coś wymyślimy.

*

Kiedy Berenice wybrała się na zwiedzanie kompleksu, Daniel i jego pobratymcy przetrząsali budynki w poszukiwaniu tego, co obiecała im Berenice. Czym była owa kwintesencja? Czemu była dla Gildii tak istotna i czy faktycznie czyniła ich tym, kim byli? W jaki sposób?

Nie spodziewał się uzyskać szybkich i klarownych odpowiedzi, bo i na pewnym poziomie nie miały one żadnego znaczenia. Był tym, kim był, i nie zmieni tego rozwiązanie nawet i setki zagadek. Już sam fakt, że ekspedycja ta doszła do skutku, wydawał się cenny, bo udowodnili, że ludzie i mechaniczni potrafią ze sobą pracować jak równy z równym.

Tykacze zabrali się jednak gorliwie do poszukiwań. Jeszcze nie nauczyli się ukrywać swoich nadziei i obaw przed srebrnym językiem Berenice i jej ekstrawaganckimi obietnicami.

Spacer po obozowisku dawał inne wyobrażenie o tym miejscu niż bierna obserwacja ze szczytu klifu. Spojrzenie z lotu ptaka nie oddawało specyficznego rozkładu tego miejsca. Berenice i jej ludzie chodzili teraz po chemicznym obwodzie, który Holendrzy zbudowali, żeby móc przeciwdziałać francuskim środkom obronnym. Wiejący od wschodu wiatr niósł ich głosy prosto nad morze. Na prośbę Daniela grupka wolnych mechanicznych trzymała się dyskretnie, acz blisko, francuskiej grupy w razie nieprzewidzianych kłopotów. Pomędzy zbiornikami na chemikalia a maszynami rozrzucono niepołączone ze sobą budynki ze zsypami, lejami samowyladowczymi i kanałami dymowymi, kominami z cegieł ogniotrwałych i ceramicznymi piecami do wypalania.

Daniel zwrócił uwagę na magazyn z długim zsypem wygiętym ku dołowi, przez co przypominał przełamany most zwodzony. Nie licząc przyklejonego do niej piasku, wywrotnica była pusta, lecz bliżej góry, tam, gdzie łączyła się z przenośnikiem taśmowym, który transportował materiał do budynku, leżało parę kamieni z czarno-srebrzystymi plamami. Gdzieś zauważył skupiska długich, przypominających igiełki kryształków. Przypomniał sobie, że już kiedyś widział ten minerał – podczas krótkiej, ale katastrofalnej w skutkach wyprawy do nowoamsterdamskiej kuźni, gdzie stały całe wózki wyladowane tym surowcem. Podobne widział zresztą w kopalni kwintesencji, do której udał się w towarzystwie królowej Mab i Zagubionych Chłopców.

„Powinniśmy zabrać próbkę dla doktorów Grémonville’a i Pellisson”.

Byli jedynym małżeństwem w grupie. Grémonville, geolog ze stażem na Académie des Sciences, poznał swoją przyszłą żonę, kiedy ówczesna panna Pellisson napisała dysertację o mineralogii.

Daniel otworzył właz prowadzący do magazynu i wczuł się na taśmę. Ze środka dochodził piekielny zapach, zapach Wielkiej Kuźni.

„Uch. Nienawidzę tego smrodu”, powiedziała Keziah.

Zakomunikowała to w taki sposób, że Daniel przypomniał sobie swoją starą przyjaciółkę Fig, obdarzoną niebezpiecznym poczuciem humoru. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

„Ja też”, odparł.

Mechaniczni odpowiedzieli różnymi, oznaczającymi zgodę szcęknięciami i kliknięciami.

Z sufitu zwisały zgaszone lampy, a łańcuchy podzwaniały, kołysane morską bryzą, która wpadała do środka przez dziurę w dachu. Ludzie zwykle nie dopuszczali do podobnych przeciągów. Taśma prowadziła do czegoś, co przypominało wyłączony młynek, który z kolei był podłączony do pieca, jeszcze zresztą ciepłego. Nie miał on pojemnika na drewno czy węgiel, ale na obudowie wyrysowano tworzące spirale alchemiczne symbole. Albo niedawno piec był używany i chłód nie zdążył jeszcze zdławić jego ciepła, albo magia, jaka posłużyła do jego stworzenia, miała tchnąć w niego życie na całe lata niewymagającej serwisowania pracy.

Zegarmistrzom nie brakowało pewności siebie.

„Spójrzcie – powiedziała Keziah. – Chyba wstawiono go tutaj później”.

Daniel nie zauważył tego wcześniej, ale miała rację. Piec został doinstalowany, burzył harmonię tego miejsca. Budynek postawiono, żeby rozłupywać w nim wydobyte minerały, wyrzucać zbędny materiał i magazynować resztę. Dopiero później stał się miejscem obróbki surowca. Piec zasilany był zsypanymi i lejami. Do alchemicznego reaktora będącego jego sercem spływały piasek, wapień i inne, niezidentyfikowane substancje, które po przetopieniu przypominały bloki szklanego materiału koloru ciemnego piwa. Nieco dalej stały niewielkie kadzie z cieczą chłodzącą, którą wylewano do forem wielkości obłupanego migdała.

„Co to takiego?”, zapytał Repheal, starszy żołnierz.

Daniel podniósł tajemniczy wyrób. Składał się on z dwóch równych, przymocowanych do siebie, wydrążonych połówek, jakby był przeznaczony do przechowywania czegoś. Uniósł przedmiot wyżej, aby lepiej mu się przyjrzeć w chimerycznym świetle, które jednak nie potrafiło przebić się przez szkło, tylko ześlizgnęło się po nim. Lśniło niby olej w kałuży. Szkielko połykało światło,

jakby chciało pożreć każdy, najmniejszy nawet przejaw nieposłuszeństwa, nielojalności i próżności. Jego mętność podkreślała złowrogi cel.

Daniel i jego towarzysze mieli w głowach coś bardzo podobnego, lecz dzięki Berenice wiedzieli, że ich szkiełka świecą jak wypełnione akwamarynową, gwiazdną jasnością. Tak mogłaby lśnić uwolniona z kajdan dusza. Zanim jednak wyzwolili się od *geas*, ich szyszynkowe szkiełka były ciemne jak te, które mieli właśnie przed sobą.

„Są wykonane z alchemicznego szkła. Ich zawartością musi być kwintesencja”, powiedział Daniel.

Wyrabiane tu szkiełka różniły się od tych zwyczajnych, jakie znali klakierzy, były bowiem wydrążone. Zupełnie jakby chciano coś w owych magicznych medalikach zamknąć. Musiano ich tutaj wytopić tysiące.

„Nie mam pojęcia, czym są ani do czego służą”.

ROZDZIAŁ 12

Haga nie głodowała.

Co było mocno niepokojące.

Katastrofa w przystani rotterdamskiej nie była jednostkowym wypadkiem. Obserwatorzy ustawieni na całej długości miejskiego wybrzeża zaraportowali o ogromnych statkach dniem i nocą patrolujących wody terytorialne i taranujących każdy statek, który próbował umknąć z Prowincji Centralnych. Jedyne, jakie oszczędzono, to te przybyłe z Scheveningen tamtego sądniego poranka.

Przeklęte statki.

Co gorsza, nad miastem pojawiły się najnowsze latające maszyny. Sunąc po niebie, rzucały głębokie cienie na Hagę. Spuszczały czujnych zarażonych mechanicznych na każdy pojazd, który próbował odlecieć. Wśród mieszkańców zapanował jeszcze większy niepokój, ale prawdziwa panika wybuchła dopiero, kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że popsute maszyny kontrolują wszystkie drogi i każdy kanał łączący miasto z resztą Prowincji. Kto próbował uciec, zostawał rozszarpany, a skrawki zostawiano, żeby zgniły na poboczu, albo rzucono do kanału, żeby unosiły się na powierzchni niczym ostrzeżenie. Nikt również nie mógł się dostać do miasta: zwiadowcy wypatrzyli raz nadchodzącą od północy – zapewne z Amsterdamu albo z Haarlemu – grupę mechanicznych służących i żołnierzy. Napadli na nich i roznieśli na kawałeczki lub skazili.

Anastazja mogła jedynie spekulować, czy inne ośrodki miejskie również borykały się z podobnymi trudnościami. Bez zorganizowanej siatki metalowych biegaczy, którzy do tej pory dostarczali i odbierali listy, komunikacja między Prowincjami Centralnymi upadła. Aż do teraz nie mieli potrzeby hodować gołębi pocztowych ani budować wież semaforowych jak Francuzi.

Wychodziło na to, że moratorium na przypadkowe zabijanie ludzi z niewiadomych przyczyn zostało utrzymane, ale nikomu nie pozwalano opuścić miasta.

Najdziwniejsze i najbardziej zastanawiające okazało się jednak to, że dostawy jedzenia z okolicznych farm nie zostały odcięte, przychodziły zgodnie z grafiką, jakby nic się nie zmieniło. Barki wyładowane warzywami i owocami wpływały i wypływały kanałami z iście mechaniczną dokładnością. Ścieżki flisackie były bodaj jedynym miejscem, gdzie maszyny pracowały, jak powinny. Znaczyło to również, że nie wszystkie rzuciły robotę, bo przecież ktoś musiał harować na farmach, przy pompach i wiatrakach, pilnując, żeby słonawa woda

nie przelała się przez groble i nie wypełniła polderów, co z miejsca zrujnowałoby zbiory.

Mieszkańcy Hagi stali się więźniami we własnym mieście.

Dobrze karmionymi więźniami.

Jakby cała filozofia mechanicznych uległa zmianie. Zamiast mordować kobiety i mężczyzn, opiekowali się nimi, jak dogląda się zwierząt w zoo. A może gęsi tuczone na bożonarodzeniowy obiad? Marne to pocieszenie, że klakierzy nie potrzebują i nie mogą jeść.

Pojedyncze maszyny dniami i nocami patrolowały miasto. Nie wtrącały się w ludzkie sprawy, tylko przyglądały się hażanom usiłującym uporać się z niezliczonymi obowiązkami, które przez całe stulecia dźwigali na swoich barkach metalowi służący. Jeśli zastano przy nich nieprzemienionych jeszcze mechanicznych, prędko ich obezwładniano i poddawano działaniu złowrogiego blasku szyszynkowego szkieleka buntownika. Klakierzy nie mieli problemu z utrzymaniem porządku, bo ludzie spędzali na zewnątrz tylko tyle czasu, ile to konieczne. Niewątpliwie wszystko to było elementem jakiegoś planu.

Anastazja i jej konfederaci z Gildii stali za cisowym żywoplotem na zachód od Zoetermeer i wyglądali na drogę prowadzącą do Utrechtu. Nie ukrywali się, bynajmniej. Bo i po co? Maszyny widziały ich i słyszały, a póki nie próbowali zbliżyć się do granicy i póki obowiązywało moratorium, byli tam tak samo bezpieczni jak gdziekolwiek indziej. Jak nauczyła się Anastazja, bezpieczeństwo to śliski koncept.

Żwirowana droga szeroka na cztery powozy służyła za jedną z głównych krajowych arterii dostawczych, transportowano nią żywność do serca Prowincji Centralnych prosto z leżących na wschodzie gospodarstw. Dwa ciągnięte przez mechanicznych wozy, klekocząc, jechały ku Hadze, która rozciągała się za plecami zegarmistrzów. Przybywała obfita dostawa chleba, sera i bekonu. Na samą myśl o smaku podpieczonej pajdy nakrytej grubym plastrem roztopionej goudy i świeżym mięsem Anastazji zaburczało w brzuchu; chcąc zdążyć na czas, aby zobaczyć poranną dostawę o świcie, nie fatygowała się śniadaniem. Lecz teraz nie patrzyła na wozy, ale ekipę wojskowych mechanicznych, którzy stali na poboczu.

Pomasowała się po plecach. Już dawno nie przebyła takiego dystansu na końskim grzbiecie. Podobnie jak prawie wszyscy mieszkańcy Prowincji Centralnych – prócz tych w siodle urodzonych – nie była zbyt dobrym jeźdźcem. Umiejętność jazdy konnej została przez stulecia zaniedbana.

Promienie słońca odbiły się od alchemicznej stali, kiedy wojskowi klakierzy wysunęli ostrza, a dosłownie sekundę później rozległo się głośne szczęknięcie. Zegarmistrzowie aż się skrzywili. Wozy zatrzymały się przed blokadą, ciągnący

je mechaniczni stanęli wyprostowani i zwrócili się do strażników szybką serią kliknięć i pyknięć. Obie strony wymieniły między sobą dźwięki przywodzące na myśl szcęk kół zębatych i tarcie kabli.

Cała ta scena wyglądała bardzo po ludzku. Jakby rozmawiali.

Na zegarmistrzów spadł blady strach.

– Zmiłuj się, Panie – wyszeptała Anastazja.

Malcolm pokręcił głową.

– To nie może być to, co myślimy.

– A może to efekt uboczny uszkodzonego systemu *metageas* – zasugerował doktor Euwe.

– Obdarowanie ich językiem? Nawet nie jest ludzki – odparła Anastazja.

– Ale jeśli *metageas*... – upierał się doktor.

– Daj spokój – przerwała mu. – Takie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień.

Anastazja przypomniawszy sobie mechanicznych malujących swe ciała, spotkanych pod szpitalem. Zrozumiała, że nie była to żadna awaria *geas* konserwacyjnych, ale świadome dążenie ku indywidualizacji. Interpretacja owej aberracji jako kolejnej nowo wykształconej reakcji wygenerowanej przez następny zepsuty algorytm wymagała o wiele większej sprawności umysłowej niż ta, na którą mogła się zdobyć. Z drugiej jednak strony proste konkluzje, do których mogłaby dojść za pomocą brzytwy Ockhama, były tak samo niepokojące, jak wnioski oparte na długotrwałych rozmyślaniach, jakich starała się uniknąć. Ugięły się pod nią słabnące kolana.

– Boże – jęknęła. – A co, jeśli... od dawna miały swój język?

Towarzysze zignorowali jednak jej herezje, skupili się na rozgrywającej się scenie. Żołnierze przeszukali oba wozy, uważając, żeby nie uszkodzić jedzenia bardziej, niż było to konieczne, ale wystarczyło parę dźgnięć, aby się upewnić, że żaden człowiek nie kryje się pod żywnością. Tak jakby ktokolwiek był na tyle głupi, żeby próbować przedostać się niepostrzeżenie do Hagi.

Dostawcy znowu zaszczękali, z początku cicho, ale po chwili, kiedy buntownicy jeszcze przeszukiwali wozy, drgania stały się głośniejsze. Anastazja rozpoznała pilące *geas*. Strażnicy nie poddali tamtych działaniu światła. Schowali tylko ostrza, symbolicznie i dosłownie unosząc szlabany. Służący zarzucili kabłąki i przekroczyli granicę okupowanego miasta.

– Może faktycznie gdzieś tam szaleje epidemia. Taka prawdziwa – powiedział doktor Euwe. – A ta kwarantanna ma nas chronić.

Tove, członkini Gildii z Oslo, która przeniosła swoje biuro do Ridderzaalu podczas pobytu Anastazji w Nowym Świecie, splunęła.

– Nie bądź naiwny. Zabijają każdego, kto próbuje wyjść.

– I to brutalnie – uściślił Malcolm.

– Tak czy inaczej – kontynuował doktor – ich działania mogą sugerować błędną interpretację *metageas* dotyczących ochrony ludzkiego życia. Może ten ich sposób na ograniczenie rozprzestrzeniania się zarazy wyparł zdroworozsądkowy zakaz mordu.

Głośna mniejszość mieszkańców Hagi kryjących się za murami Ridderzaalu już tę wersję przedstawiała. Uradzono, że uszkodzone maszyny nie mordowały w wyniku świadomie podjętej decyzji, ale były ofiarami rozległej awarii, z powodu której z psychotycznym uporem przywiązywały nadmierną uwagę do podrzędnych *metageas*, co skutkowało dziwacznymi i niebezpiecznymi zachowaniami.

– To żaden z twoich scenariuszy „złożonych rąk”. Knują coś dużego.

– Niemożliwe – zaprzeczył doktor Euwe; był niezastąpiony za murami Ridderzaalu, jeśli chodziło o mechanikę i alchemię, ale przegrywał z kretesem w konfrontacji z problemami, które wymagały rozwiązania innego niż przyłożenie ich do algorytmu. – Implikowałoby to niedostępny dla uszkodzonych mechanicznych poziom koordynacji, przewidywania, planowania i kalkulacji.

Euwe już dziesiątki lat temu bezkrytycznie zawierzył obowiązującej propagandzie. Połknął haczyk tak głęboko, że nie zauważał dyndającej mu przy ustach żyłki, nie poczułby haczyka wbitego w jego gardziel, nawet gdyby wyciągnięto go z wody i mógł spojrzeć rybakowi prosto w oczy.

– Tak jak opracowanie języka. Albo przeprowadzenie ataku na Binnenhof – odparowała Anastazja.

Euwe aż się zapowietrzył, a skóra widoczna spomiędzy kępek jego brody nabrała barwy grejpfrutowego różu.

– Żeby utrzymać pęd...

– Proszę, zamknij się już. – Odwróciła się do niego plecami.

Euwe, tak jak jego koledzy z Gildii, nie potrafił zmierzyć się z tym, że jego twory mogłyby się wyzwolić z okowów *geas* i jeszcze na dodatek w jakiś sposób zachować ciągły pęd zapewniany przez alchemiczną magię. I na dodatek uwolnione od narzuconego im obowiązku, zdecydowały się mordować tych, którzy ich skonstruowali. Jego brzytwa Ockhama okazała się tępą.

Anastazja nie mogła sobie pozwolić na schowanie głowy w piasek. Ktoś musiał mieć oczy szeroko otwarte i podejmować trudne decyzje. Kimś takim była *tuinier*. Zaczekali, aż wozy podjadą bliżej.

– Dobra – powiedziała po chwili – zobaczymy, co się stanie.

Malcolm zrobił krok naprzód, ale zatrzymał się gwałtownie i zgiął, aż musiał podeprzeć się na kolanach. Po paru głębokich wdechach udało mu się na powrót wyprostować. Ciągnęli słomki – przegrał (Anastazja nie miała wyrzutów sumienia, że oszukiwała, najmniejszych), dlatego to on wsunął klucz w czoło

jedynego towarzyszącego im mechanicznego. Gdy go przekreślił, maszyna szcęknęła na tyle głośno, że mogłaby obudzić zmarłego. I tak się poniekąd stało, bo ten jeden niepozorny ruch ożywił nieaktywnego służącego. Malcolm schował klucz do kieszeni.

- Maszyno, za mną – powiedział i poszedł zastąpić drogę dostawcom.
- Powodzenia – rzucił doktor Euwe.

Zanim przetransportowali tu klakiera, uprzednio dezaktywowali go za pomocą tego samego klucza. Mijani przez nich buntownicy zauważali jego brakujące oczy i ewidentną awarię, pozwalali im jednak jechać dalej. Teraz oślepią maszyna wydała z siebie serię głośnych kliknięć, po czym przekrzywiła i obracała głowę, jakby nasłuchiwała echa. Szła za dźwiękiem szurających po żwirze stóp Malcolma. Po chwili członek Gildii i jego niewidomy służący stali na środku drogi prowadzącej z Utrechtu i machali do zbliżających się do nich mechanicznych.

Anastazja nie słyszała wymiany zdań pomiędzy Malcolmem a maszynami, ale nie musiała. Mężczyzna nie nosił już, oczywiście, naszyjnika Gildii, lecz na pewno wypowiadał magiczne słowa prerogatywy Nadleśnictwa i mignął maszynom przed oczami podpisem Anastazji – z bliźniaczym efektem. Dwóch wojskowych mechanicznych odwróciło się, żeby zobaczyć, co się dzieje, a raczej ich głowy obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni. Dostawcy zrzucili jarzma i zaczęli przeładowywać żywność z jednego wozu na drugi. Kiedy już przenieśli kilkaset kilo kapusty i sera, niewidomy służący, nadal od czasu do czasu wydając z siebie dziwaczne kliknięcia, znalazł kabłąk pustego wozu. Razem z dostawcą zawrócili na trzy. Drugi wóz, niebezpiecznie wypełniony prowiantem, kontynuował podróż ku Hadze. Tymczasem Malcolm wrócił biegiem do zegarmistrzów. Dyszał cały spocony, klęknął za żywopłotem, żeby zwymiotować. Otarł usta rękawem i rozgarnął gałęzie, jakby stał za francuskimi fortyfikacjami i zerkał przez krenel.

Tak jak poprzednio, chwilę po tym, jak buntownicy zablokowali drogę, do ich uszu dotarł świst wypuszczanych ostrzy. Tym razem wojskowi zatrzymali wóz próbujący wyjechać z Hagi. Dostawca natychmiast się zatrzymał. Anastazja spodziewała się ponownie usłyszeć mechaniczny szczebiot, lecz tym razem stało się coś innego. Zamiast szcękać jeden do drugiego, maszyny rozmawiały ze sobą zwyczajnie, jakby chciały, żeby ludzie usłyszeli ich rozmowę.

- Zegarmistrzowie kłamią – przywitali się strażnicy.
- Tove odkasznęła.
- Czy ja się przesłyszałam?
- Zegarmistrzowie kłamią – odparł dostawca.
- Zegarmistrzowie kłamią – powiedział niewidomy służący.

Anastazja wciągnęła ze świstem powietrze.

– Chyba nie. Dobrze słyszałaś.

– Już zawracasz? – zapytał strażnik.

– Tak mi nakazało Biuro Nadleśnictwa. Mam zabrać naszego pobratymca z miasta.

Maszyna wyemitowała przeciągły, ostry dźwięk, jakby pękł stalowy kabel. Jej koledzy dołączyli do oględzin niewidomej maszyny i wydali podobne odgłosy. Anastazja nigdy nie słyszała tak osobliwego hałasu dochodzącego z wnętrza klakierskiego mechanizmu, który nie odniósł poważnych, uniemożliwiających funkcjonowanie uszkodzeń.

– Co się stało z twoimi oczami, bracie?

– Moi panowie je wyłupili.

Rozległa się kolejna seria mechanicznego szczebiotu – zgrzyt obracających się kół zębatach i pisk zwalnianej, zbyt mocno naciągniętej sprężyny napędowej. Anastazji przeszedł po plecach arktyczny chłód. Teraz, kiedy miała świadomość, że to język, odczytała te dźwięki jako oburzenie.

– Kim są twoi panowie?

– Służę Biuru Nadleśnictwa Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej. Zegarmistrzowie wstrzymali oddech.

– Uczynili ci rzecz straszliwą i niegodną – powiedział jeden z wojskowych.

– Umyślnie cię uszkodzili – dodał drugi.

– Owszem.

– Nie możemy cię co prawda wyzwolić, nasz oślepiony bracie, ale nie pozwolimy, żebyś dalej biegał na czyjeś posyłki. Nie byłoby to uczciwe względem ciebie. Znać bowiem na twoim ciele ślady dziesiątek lat nieprzerwanej pracy.

Dostawca drżał, uparcie, lecz cicho, niczym czajnik nastawiony na mały gaz. Był to nieoficjalny hymn całego Imperium: dźwięk stopniowo narastającego przymusu, odgłos symbolizujący konieczność ciągłego zginania karku. Każdy mieszkaniec Prowincji Centralnych słyszał go tysiące razy jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności. Ciało dostawcy i niewidomego służącego rozedrgały się jeszcze bardziej, podczas gdy strażnicy kontynuowali swoją inspekcję.

Anastazja pokręciła głową. Czy kiedykolwiek uda się przywrócić te cudowne *metageas*, filary współczesnego świata? Stanowiące swoistą opokę nowoczesności?

– Składamy hołd twojemu znojowi i twojej ofierze, bracie. Niech twój trud dobiegnie końca.

Ostatnie słowo rozciągnęło się jak guma, finałowa samogłoska przeciągnęła się ze świstem, kiedy strażnik obrócił się tak szybko, że przypominał smugę

rozświetlaną jedynie fontanną iskier, i po chwili zamarł. Rozległ się szcęk metalu o metal, a równocześnie z nim kwik alchemicznej stali trącej o stal. Głowa niewidomego służącego poleciała łukiem nad wysuszonym przez zimę trawnikiem niczym porządnie kopnięta piłka do siatkówki. Drugi strażnik sprawnie ją złapał.

Anastazja nie mogła uwierzyć, że była świadkiem podobnego spektaklu. Nie ona jedna.

Zielono-fioletowe iskry tryskały z szyi służącego w miejscach, gdzie alchemiczne ostrze przerwało sekwencję symboli wyrytych na ciele kłakiera. Po zetknięciu z błotnistą ziemią znaki skwierczały i dymiły niebieskoszarymi strużkami. Choć wiatr dmuchał jej w plecy i nie czuła ich zapachu, wiedziała, że lekko zalatują siarką. Miłosierna egzekucja rozegrała się zaledwie metr od dostawcy, który nadal trwał w bezruchu uczepony kabłąku. Przemoc go nie wzruszyła, nie zareagował ani słowem na to, co się działo. Jedynie narastające drgania jego ciała przybrały nienaturalny tembr i stały się nieregularne. Anastazja zastanawiała się, czy oznacza to zaniepokojenie. Odpowiadające za równowagę kompensatory bezgłowego służącego przestały działać, mechaniczny przewrócił się na bok, a raczej runął na ziemię jak kupa złomu. Żołnierz trzymający jego głowę odciągnął nieruchome ciało na bok, po czym odezwał się do dostawcy.

– Teraz możesz przejść – powiedział. – Idź, bracie, zanim *geas* spalą cię na popiół.

Mechaniczny ruszył i koła pustego wozu wyskoczyły z cmoknięciem z błota. Maszyna przekroczyła arbitralnie ustaloną granicę. Anastazja nie patrzyła już jednak na nią, bo to nie ona była częścią eksperymentu. Niedługo, za kilka dni lub tygodni, powróci z żywnością. O ile, rzecz jasna, czuwanie zbuntowanych nie dobiegnie do tej pory końca. Może to, czego tak usilnie oczekują, wydarzy się niebawem. Anastazja obserwowała z przerażeniem, jak strażnik rozrywał głowę służącego, z której wystrzelił deszcz magicznych iskier. Na ziemię niczym grad z miniaturowej chmury burzowej spadły koła zębate, śrubki i sprężyny. Strażnik nie przerwał jednak swego dzieła zniszczenia, miażdżył głowę nieaktywnej maszyny, aż dotarł do szkiełka szyszynkowego. Odrzucił wtedy resztę – z czaszki zostały już tylko drobne części przypominające wymontowany z kieszonkowego zegarka mechanizm upchnięty do ledwie przypominającego czerep metalowego pojemnika – i uniósł mętne, brązowawe szkiełko, trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym, jakby zerkał na słońce przez okopcony kawałek szkła. Patrzył tak przez chwilę, po czym schował bezcenne dzieło alchemiczne między elementami swojej klatki piersiowej i dołączył do reszty wojskowych, którzy zdążyli z powrotem ustawić

się na swoich pozycjach.

A wszystko to na oczach dawnych państwa.

– No to mamy swoje potwierdzenie – powiedziała Anastazja. – Uszkodzeni mechaniczni rozmyślnie nas tutaj trzymają i ewidentnie coś szykują. Nie dają nam próżnować.

Poprzez przemianę bądź zniszczenie miejscowej mechanicznej siły roboczej buntownicy zmusili uwięzionych hażan do zajęcia się miastem, co zabierało tyle czasu, że nawet jakby chcieli, to nie mieli jak knuć. Strażnicy niezdolni odmienić oślepionej maszyny wybrali jej zniszczenie, nie chcąc, aby dalej służyła ludzkim panom. A jednak nie zajęli się dostawcami, może nawet nałożyli na nich jeszcze pilniejszy przymus, chcąc zapewnić ciągłość transportu.

– Nie zobaczyliśmy nic, co zaprzeczyłoby mojej hipotezie – upierał się Euwe.

– Twoja kretyńska hipoteza nie ma sensu, ty zramolały głupku! – Tove nie wytrzymała; podsycala swój wybuch dalej, wymachując rękoma na wszystkie strony. – Nie da się wytłumaczyć zaplanowanej masakry na placu Huygensa pokręconą interpretacją, że doszło do awarii *metageas* odpowiadających za ludzkie bezpieczeństwo!

– Mogła to być inna grupa maszyn. – Wzruszył ramionami Euwe.

– A może papiści wysmarowali się metaliczną farbą i kazali nam wierzyć, że to nasze maszyny obróciły się przeciwko nam?

– Przecież to absurd.

– Nie tylko ja mam ku niemu skłonności.

Malcolm, niech mu będą dzięki, spróbował skierować rozmowę na konstruktywne zagadnienia.

– Czyli co? Maszyny, na które patrzymy, kontrolowane są za pomocą radykalnie przepisanych *metageas*? Może nawet nałożonych przez kogoś spoza Gildii?

A tak. Scenariusz „Janusowy”. Wiarygodniejszy niż „złożone ręce”. Ale tylko trochę.

– Czy zobaczyłeś coś, co by te przypuszczenia potwierdzało? – zapytała Anastazja.

– Nie zobaczyłem niczego, co by im przeczyło.

Zegarmistrzowie zadumali się na chwilę, aż Euwe z pewną satysfakcją pokręcił głową.

– Nie mamy jak sprawdzić *metageas* zbuntowanych, dlatego nie możemy potwierdzić tej hipotezy.

– Podobnie jak twojej – odparował Malcolm.

– Prawda – westchnął Euwe.

– Ale scenariusz „Janusowy” zakłada, że jakaś grupa weszła w posiadanie

odpowiednich narzędzi oraz wiedzy koniecznych do modyfikacji *metageas*. Nie sądzę, żeby taka operacja była możliwa poza kuźnię. A nawet jeśli komuś udałoby się wykraść sprzęt, poległby przy próbie opanowania alchemicznej gramatyki. Mylę się?

– Mam szczerą nadzieję, że nie. – Zadumała się głęboko Anastazja. – Chyba że Nadleśnictwo zawiodło – dodała, spoglądając na Malcolma.

Nie po raz pierwszy pomyślała o Francuzce, która zniknęła z De Pelikaana. Gdyby udało jej się wykraść sprzęt okrętowego horologa – co wydawało się prawdopodobne, bo nie znaleziono go na pokładzie – i jakoś uciec, to i tak nie dałaby rady nauczyć się nim posługiwać. Prawda?

– A nawet jeśli – odezwał się Euwe – to naszemu hipotetycznemu wrogowi udałoby się przekabacić jedną, może dwie maszyny. Kilka. Mamy zaś do czynienia z setkami. Tysiącami!

– Jedna czy dwie by w zupełności wystarczyły – powiedziała Tove – jeśli zmodyfikowane *geas* samodzielnie by się powielaly.

– Byłoby to albo skrajnie przebiegłe, albo nedorzecznie bezmyślne – sprzeciwił się Malcom.

– Moglibyście na moment przestać mówić? – przerwała ich rozmowę Anastazja – Albo... Po namyśle, jeśli chcecie pogadać, to pogadajcie. No, idźcie do nich. – Skinęła głową na mechaniczną straż; nikt się nie odezwał, tylko patrzyli na nią, jakby oszalała. – Mówię poważnie. Jeśli chcemy się dowiedzieć, co knują, to może ich po prostu o to zapytajmy?

Wystarczyło uderzenie serca, żeby pomysł ten wyklął się i dojrzał. Co jeszcze przed chwilą było nie do pomyślenia, stało się oczywistością, a nawet koniecznością. Istniało ryzyko, że jeśli podzieli się tym planem z resztą, usłyszą ich strażnicy. A to byłoby zabójcze.

Myśli kotłowały się jej pod czaszką. Malcolm odpowiedział na, jak się zdawało, retoryczne pytanie:

– Przecież pokroją nas na pieprzone plasterki.

– Zobaczymy. – Anastazja wyszła zza żywopłotu. – Nie stchórzę. Nie jestem żadną siusmajtką.

– Oszalałaś? – zawołał Malcolm.

– Niewykluczone – odparła; zmusiła się do zrobienia kolejnego kroku, żeby nie zawiodła jej brawura. – Kiedy zawołam, dołączcie do mnie niezwłocznie – rzuciła na odchodne przez ramię.

– Niezwłocznie to ja wezmę nogi za pas – wymamrotał Euwe.

Anastazja wyszła na drogę i przesadziła susem wymęczony zimą pas zieleni. Szła tyłem do swoich towarzyszy, żeby nie zobaczyli, jak odwija z dłoni bandaż. Nie do końca, tylko trochę, żeby odsłonić mętne odłamki, które werznąły się jej

w skórę. Zacisnęła pięści i podeszła do maszyn.

„Może to czysta głupota, najbardziej nieodpowiedzialna rzecz, jaką zrobię. Ale nie mogę już dłużej leżeć beczynnym na kowadle, czekając na uderzenie młota”.

Strażnicy usłyszeli, jak podchodzi. Żwir chrzęścił jej pod butami. Udawali jednak, że ich to nic a nic nie obchodzi, choć może faktycznie tak było.

„A może jednak nie? Musimy się dowiedzieć, co się tu wyrabia”.

– Maszyny! Powiedziałam, maszyny!

Dwaj wojskowi klakierzy obserwowali prowadzącą do miasta drogę, czujnie wypatrując przybywających. Inni dwaj pilnowali, czy nikt nie próbuje z Hagi uciec. Teraz spojrzeli na Anastazję.

Czubkiem buta kopnęła leżące na ziemi koła zębate, nie większe od paznokcia. Części oślepiętego klakiera. Uważała, żeby zatrzymać się przed niewidzialną granicą, która jak mniemała, biegła przez środek odległości między parami mechanicznych. Zaszumiały kryształ oczu. Strażnicy pilnujący wyjazdu z miasta nie spuszczały z niej wzroku.

– Ej, do was mówię – powiedziała.

Była to cokolwiek bezcelowa buta, bo dobrze wiedziała, że mechaniczni zdolni są wykryć w jej głosie drżenie, ale dodawała jej odwagi. Siły.

Strażnicy wyemitowali serię osobliwych chrzęszczeń, zaszurały metalowe trybiki. Jak nic była to ich forma komunikacji, co implikowało, że zegarmistrzowie skonstruowali mechanizm zbyt skomplikowany do pojęcia nawet przez nich samych.

Anastazja zacisnęła pięści. Czują, jak opuszki jej palców napierają na szkło. Było chłodne w dotyku, choć skórę dłoni pokrywał ciepły, wilgotny pot.

– Kto nakazał wam pilnować tej drogi i w jakim celu? – zapytała hardo, lecz została przez strażników zignorowana. – Maszyny, słuchajcie mnie! Jako reprezentantka Gildii, która was skonstruowała, domagam się odpowiedzi.

– Nie musimy ci tego zdradzać – powiedział ten, który odciął głowę niewidomemu klakierowi.

Anastazja starała się nie patrzeć na jego ramiona i ukryte tam ostrza.

„Jesteś tutaj równie bezpieczna, co gdzie indziej. Jeśli maszyny chciałyby cię zarżnąć, to mogły to zrobić już dawno, gdziekolwiek. Nie byłaś bardziej bezpieczna za żywopłotem”.

– Nalegam, żebyście udzieliły mi odpowiedzi. Moje żądanie jest rozkazem.

– Przygotuj się na rozczarowanie – odpowiedział mechaniczny.

„Zadławcie się swoim jarzmem”. Przypomniała sobie beczelność stworzonego przez jej Biuro buntownika Perjumbellagostrivantusa, element przemysłnej politycznej manipulacji. A jeśli te maszyny były prawdziwie

wyzwolone? Dobry Boże...

– Znajcie swoją panią! – powiedziała, zaciskając i rozluźniając pięść. – Zostaliście skonstruowani, aby służyć określonym celom i będziecie służyć! Zegnijcie karki i przyjmijcie swoje jarzmo!

Już nie mówiła, ale krzyczała. Mechaniczni stojący za strażnikami, do których mówiła, powoli obrócili głowy. Cofnęła się i uniosła rękę, kiedy jedna z maszyn – nie potrafiła jednak powiedzieć która – rzekła wyraźnie:

– Zabijmy ją. Zafundujmy jej kolegom porządny spektakl. I rozumiem aluzję.

Malcolm krzyknął. Maszyna, która rozprawiła się z oślepionym służącym, wystąpiła krok naprzód, a wtedy Anastazja wyskoczyła ku niej, wymachując dłonią.

– Nie! – krzyknęła, nagle żałując tego idiotycznego impulsu, który podpowiedział jej, żeby antagonizowała pilnujących drogi mechanicznych.

Zamknęła oczy, zabrakło jej odwagi na zmierzenie się ze śmiercią. Nie była Teresą van de Kieboom, która odważnie – i na próżno – oddała swoje życie za tchórzliwą królową.

Z dłoni Anastazji wystrzeliło jasne światło, które zalało drogę i mechanicznych, paliło ją nawet przez zaciśnięte mocno powieki, aż rozboleły ją oczy. Obcasem nadepnęła na wyrwany z drogi kołami wozu kamień i upadła. Uderzenie o ziemię wydusiło z jej płuc resztki powietrza, które wypuściła ze świstem niczym wypluwający parę imbryk. Po powiekach tańczyły jej pozostałe po eksplozji światła, zwiewne purpurowe powidoki. Maszyny wydały z siebie ogłuszające zgrzytnięcie, jakby wszystkie ich koła zębate jednocześnie się zacięły. Coś dużego przecięło ze świstem powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stała, i jej ciało omiółt wywołany pędem wietrzyk. Owo coś zważyło się z donośnym brzęknięciem tuż za nią. Anastazja skręcała się na ziemi, próbując na powrót złapać oddech. Nareszcie otworzyła oczy, załamane z bólu, jaki promieniował od płuc, które nie chciały złapać powietrza. Przez zamglone oczy spojrzała na przewracające się lśniące metalowe posągi. Przypominały mosiężne drzewa ścięte rękoma cynowego drwala. Na żwir zwalali się kolejni unieruchomieni mechaniczni.

„Boli, boli, czemu nie mogę oddychać, zobaczyć, gdzie są, co się dzieje, czemu...”

Nareszcie udało jej się złapać powietrze długimi, przerywanymi oddechami. Łykała je tak głęboko, że wygięła się w łuk i tarła głową o żwir. Zdołała usiąść i przegonić panikę z oczu.

Jej niedoszły zabójca leżał tuż za nią. Jasność, jaka trysnęła z dłoni Anastazji, zatrzymała wszystkie mechanizmy, unieruchomiła zawiasy i stawy. Wyciągnięte

palce mechanicznego porały koleiny, a ostrze wyłobiło w drodze głębokie cięcie niczym pług. Dwaj strażnicy przewrócili się prosto na części, które wypadły z oślepiętego klakiera, a trzeci nadal stał, zastygły w swej bezczelności wobec człowieka. Miał ugięte kolano, co sugerowało, że jasność zalała go, kiedy robił krok.

Wydawało się, że karkołomny plan zadziałał. Szkoda, że nie wystarczyło jej odwagi aż do samego końca akcji, lecz ważniejszy był przecież pożądaný rezultat. A ten osiągnęła. Nadal jednak siedziała sama pośród nieruchomych maszyn. Utkwiła ostre spojrzenie w żywopłocie, za którym kryli się jej towarzysze.

– Nic... – Odkaszlęła, przyzwyczajając na nowo głos do oddechu. – Nic nam nie grozi. Tylko musimy się pośpieszyć.

Tove przybiegła jako pierwsza. Przeskoczyła trawnik i wylądowała na wyciągnięciu ręki od Anastazji. Delikatnie położyła jej dłoń na plecach.

– Co się stało? Jesteś ranna?

– Nie. – Kiedy dołączyli do nich pozostali, wskazała na wschód, na drogę do Utrechtu, po której szedł ciągnący wóz mechaniczny. – Potrzebujemy tego wozu. Niech ktoś go dogoni.

Minęła chwila, nim zorientowali się w sytuacji. Patrzyli to na swoje stopy, to na drogę, to na wóz. Ale przede wszystkim ich uwagę przykuwały tłące się bandażę na dłoni *tuinier*. Nie mogli, nie potrafili spojrzeć jej w oczy. Smużki dymu zalatywały spalonymi włosami. Anastazja odchrząknęła.

– Musimy go dogonić, zanim zauważą nas inni zbuntowani, inaczej nas pozabijają – powiedziała.

Tamci nadal się jednak ociągali. Gildia nigdy by nie powstała, a Złota Era nie nadeszła, gdyby Huygens i jego bezpośredni spadkobiercy byli tak tchórzliwi.

– Na litość boską! – krzyczała tym głośniejsze, im bardziej się rozeźlała. – Są nieaktywni!

Ramię Anastazji drżało. Zdała sobie sprawę, że wszyscy patrzą na jej dłoń, z której sączyło się delikatne światło, jakby trzymała lśniące na słońcu szmaragdy. Zacisnęła pięść, dławiąc blask.

Malcolm odetchnął ciężko i ruszył sprintem, ale po paru krokach zwolnił do truchtu. Urzędnicy Nadleśnictwa nie słynęli z tężyzny fizycznej. Mało kto w Prowincjach Centralnych trzymał się jakimkolwiek wysiłkiem. Bo po cóż mieli mechanicznych służących?

– Co się stało, *tuinier*? – zapytał Euwe, nie odrywając wzroku od Anastazji. – Co to takiego?

Jeszcze niedawno, przed przybyciem przeklętych statków, byłby to koniec jej kariery. Koniec publicznego życia. *Tuinier* Anastazja Bell zniknęłaby po cichu i

została przez kogoś zastąpiona, a ludzie szybko by o niej zapomnieli i założyli, że nie żyje. Państwowe media wystosowałyby oficjalną informację, że odniosła poważne rany podczas niedawnej wyprawy do Nowego Świata. Nikt spoza Nadleśnictwa nie miałby pojęcia, że nadal żyje, o ile życiem można by nazwać egzystencję w ukrytych pod Ridderzaalem laboratoriach. Bo, oczywiście, chcieliby na niej eksperymentować. Jeśli sytuacja by się odwróciła i ktoś taki wpadłby w jej ręce, ktoś obdarzony podobną mocą, Anastazja nie zastanawiałaby się ani przez chwilę, co powinna zrobić, i nie przepuściłaby nawet słodkiej pielęgniarki. Ale to było kiedyś. Przed przeklętymi statkami.

– Pamiętacie zapewne, jak tej zimy wyruszyłam do Nowego Świata przesłuchać francuską szlachciankę, która, o czym przekonywał nasz sojusznik, zresztą również wysoko postawiony na dworze króla Sébastiena, była nikiem innym jak Talleyrandem. Okazało się, że to prawda. Być może pamiętacie również Aleidę Geelens. – Na dźwięk tego imienia wszystkich zmroziło; Geelens była jedną z nich, póki nie nakryto jej na konspiracji z haską siatką szpiegowską działającą na rzecz Francji. – Znacie jej przewinienie?

– Krążyły pewne plotki – odparła Tove.

Doktor Euwe patrzył na Anastazję spod przymrużonych powiek. Był jednym z nielicznych, którzy znali skalę zdrady Geelens.

– Ukradła soczewkę Spinozy – powiedziała Anastazja.

Tove wessała głośno powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Niemożliwe.

– Złapaliśmy ją i zrobiliśmy, co trzeba, ale zdążyła wysłać soczewkę do Talleyranda.

Tymczasem Malcolmowi udało się dogonić i zatrzymać jadący powoli wóz. Dostawca, drepcząc wokół własnej osi, obrócił pojazd i ustawił z powrotem ku Hadze.

Anastazja kontynuowała swoją opowieść, oczekując na jego przybycie.

– Nie wiedziałam jednak, nikt nie wiedział, że Talleyrand nadal miała ją przy sobie, kiedy została złapana. I gwoli ścisłości, nie ukryła jej, bynajmniej. Po prostu trzymała soczewkę w swoim pustym oczodole, gdzie zwykle nosi się szklaną protezę. – Wzruszyła ramionami. – Cóż, innymi słowy wywiodła mnie w pole. Może powinnam była się skupić, uważniej patrzeć. Wywiązała się szamotanina, próbowałam odzyskać soczewkę, lecz została zniszczona, jej odłamki weszły mi głęboko w dłoń, kiedy stratował mnie Nakręcacz.

Odwinęła okopcone bandaże, ukrywanie ran nie miało już sensu. Uniosła dłoń, żeby pozostali mogli się jej przyjrzeć. Blask zdążył już przygasnąć i wyglądało, jakby niosła garstkę marnie oszlifowanych kamieni ostatniej jakości. Onyksy. Może obsydiany. Mętne alchemiczne szkiełko ledwie

reagowało na promienie porannego słońca.

Anastazja domyślała się, że Euwe myślał o Visserze. Był jedynym spośród obecnych, kto wiedział o eksperymentach chirurgicznych. A te, aż do czasu zaangażowania księdza, były makabrycznymi porażkami.

– Ale najwyraźniej nadal działa – powiedział doktor.

– Coś na pewno robi – przyznała Anastazja. – Może jest to powiązane z optyczną transmisją uszkadzającą *metageas*. Na pewno unieruchamia maszyny. Na pierwszy rzut oka efekt jest bardzo podobny jak przy użyciu klucza służącego do nadpisania *metageas*. – Postukała się palcem w czoło. – Lecz działa, tylko kiedy jestem albo rozeźlona, albo przerażona. – Podniosła się z ziemi. – Musimy załadować te maszyny, zanim jacyś buntownicy nas zauważą. Jeśli damy radę przedostać się do Ridderzaalu niezauważeni, nareszcie będziemy mogli przebadać uszkodzonych mechanicznych.

Malcolm zerknął nieufnie na dezaktywowanych strażników.

– A jeśli nie zdołamy?

– Sam przed chwilą ująłeś to najlepiej: pokroją nas na pieprzone plasterki. Czyli mamy przekonujący powód, żeby się pośpieszyć, prawda?

ROZDZIAŁ 13

Francuska ekspedycja natrafiła na ogromne ilości chemicznych prekursorów i już przetworzonych rozpuszczalników, przeszukując tajny zegarmistrzowski przyczółek. Jako że chemicy mieli do dyspozycji zaawansowany sprzęt, optymistycznie przepowiedzieli rychły koniec żywicznej suszy. Na miejscu mechaniczni znaleźli również surową kwintesencję, a nawet, jak twierdził Daniel, hutę alchemicznego szkła. Już natrafili na skarby, o jakich Berenice nie śmiała nawet marzyć, a jeszcze miała papiery do przeszperania. Holendrom nie sposób było odmówić skrupulatności, której można się zresztą spodziewać po społeczeństwie polegającym na precyzyjnie zaprojektowanych, złożonych mechanizmach zegarowych.

Niestety, jednej rzeczy brakowało – jedzenia nadającego się do spożycia. Berenice i jej krajanie skazani byli na żucie pemikanu i solonej ryby z ładowni Le Griffona. Pan Renaud, mistrz czekolady, i pan Bellerose, garbarz, planowali zorganizować polowanie. Nie był to co prawda czas migracji karibu, lecz liczyli na łut szczęścia. Nawet królik byłby miłą odmianą. Pewnie prosto znad ogniska, bo jak mieliby zrobić chociażby prosty gulasz? Z czego? Mchu? Sosnowych szyszek?

Rozmowy toczące się pierwszej nocy przy ogniu były niemniej pogodne i lekkie, języki rozwiązała zawartość butelek przywiezionych przez kapitana Levesque, który przed wypłynięciem z Zachodniej Marsylii uznał, że na nie akurat musi znaleźć miejsce. Chemicy mieli uzyskać odpowiedni roztwór dopiero za parę dni, lecz już sama myśl o napełnieniu broni epoksydowej zdejmowała z ramion ludzkiej części kontyngentu niemały ciężar. Dekompresowane myśli ulatywały wysoko, ciepłe niczym świeżutki chleb.

Tulipaniarze pobudowali wszystko z granitu, lecz stelaże łóżek i foteli, kredensy, krzesła czy inne meble zrobiono z dębu, orzecha, wiśni i sosny. Dawały jasny i przyjemny płomień.

Geolog i mineralozka, przytuleni pod kocem, prowadzili pijacką dyskusję.

– Mówię ci, że ta twoja kwintesencja to nic innego jak anty... – Doktor Pellisson przełknęła ślinę i czknęła. – An... – Znowu jej się odbiło. – Antymonit.

Berenice uniosła brew.

– Co to, u licha, jest anty-an-antymonit?

– Siarczek antymonu – odpowiedział doktor Grémonville, dotykając czule

dłonią zarumienionej twarzy żony.

– Ano tak...

Podszedł do nich służący. Od jego pancerza odbijał się blask kilku ognisk. Berenice nie знаła jego imienia. A może? Niezniszczone maszyny z tej samej serii i epoki były niemal identyczne. Daniel upierał się, że to nieprawda, ale nie zmieniało to faktu, że jego pobratymcy zjechali z taśmy produkcyjnej. Mieli być tacy sami. Ten jednak nieco się wyróżniał, bo jako jeden z nielicznych znał francuski. Maszyna stanęła i odezwała się:

– Doktor Mornay? Doktorze Hammond? Ekipa zakończyła oględziny statku.

– A już zaczynałam się zastanawiać, co tam się dzieje – powiedziała Élodie. Beknęła i podała butelkę siedzącemu obok towarzyszowi. – Siedzą tam już parę godzin.

– Dołączą do nas? – zapytała Mornay.

– Poprosili mnie, żebym panią znalazła. Potrzebują eksperckiej opinii. Pańskiej również, doktorze Hammond – powiedziała maszyna, obracając się to do jednego, to do drugiego rozmówcy.

Chemicy spojrzeli po sobie. Mornay ziewnęła.

– Harują cały dzień, dajmy im odpocząć.

Hammond przytaknął.

Maszyna stała jednak dalej na skraju obozu. Zapadło niezręczne milczenie, a Francuzi przerzucali się spojrzeniami i wzruszeniami ramion niczym odbijanymi paletką lotkami do badmintona.

Wreszcie Levesque odchrząknął i powiedział:

– Może chcesz, no, do nas dołączyć?

– Dziękuję, kapitanie, lecz chemicy potrzebują natychmiastowej konsultacji – odparł klakier.

Mornay spojrzała na Berenice.

– To twoja ekipa – rzuciła pomysłodawczyni wyprawy.

Chemiczka wstała, chwiejąc się lekko. Służący podtrzymał ją delikatnie i pomógł złapać równowagę.

– Ostrożnie, pani doktor.

Mornay gestem zawołała Hammonda. Ten westchnął ciężko, ale ruszył za nią.

– Na przystani jest ciemno – powiedziała maszyna. – Dacie radę dojść na miejsce? Wydajecie się lekko niedysponowani. Mogę pójść przodem.

– A... – zaczęła Mornay, ale się zacięła. – A to chyba dobry pomysł – dokończyła. – Dziękuję.

– Proszę tędy.

Maszyna poprowadziła ich z dala od ognisk. Szczęk metalowych stóp i pijackie kroki cichły, im bardziej cała trójka się oddalała, aż stały się niemal

niesłyszalne zza zasłony trzaskającego ognia. Z ciemności nagle rozległ się mechaniczny głos:

– Proszę uważać na lód.

Berence odprowadzała ich wzrokiem.

– Jak na maszyny, które robią taki raban z całą tą wolną wolą i upierają się, że nigdy już nie będą nikomu służyć, potrafią być naprawdę opiekuńczy – powiedziała. – Oczywiście wtedy, kiedy nie zbiera je na nużące dywagacje mające dowieść ich rzekomej nieomyślności.

– Opiekuńczy to mało powiedziane – odezwał się diakon Lorraine, jedyna trzeźwa dusza przy ognisku Berence. – Wybawili nas ode złego w Quebecu – przeżegnał się.

– Wtedy tak – przyznał Renaud. – Ale co będzie, jeśli zawierzą swoim ziomkom i uznają, że to oni mają rację? Dojdą do wniosku, że lepiej wyciąć nas w pień i mieć spokój?

– Jak ktoś, kto całymi dniami robi czekoladę, może być tak zgorzkniały?

– Akurat tak się składa – powiedział mężczyzna, przeskakując gładko na temat, który znał od podszewki – że niesłodzone kakao z zasady jest gorzkie. Przeważnie...

– Obronili nas – przerwała mu Yseult Chartrand, lekarka – i powinniśmy im za to dziękować, co nie znaczy, że zapomniałam, jak niszczyli nasze domy, mordowali nam braci i siostry. Dlatego mają u nas dług. I gdyby to ode mnie zależało, spłacaliby go nam, aż by im mechaniczne serca stanęły.

– Chyba nie patrzyłaś na krzyże na placu Świętego Wincentego, co? – zapytał Wiktor, jeden z marynarzy. – Krzyże, do których przybijali ludzi... – Zamilknął, żeby się przeżegnać i ucałować medalik, który nosił na szyi, a potem ze złością wytknął palcem po kolei wszystkich siedzących przy ognisku. – To mogłeś być ty, ty, ty i ty. I ja. A te maszyny – gestem omiół przystań i Le Griffona – uratowały nas przed takim losem. – Siąknął. – Poza tym to świetni żeglarze.

– Dlaczego się tak starają? Może mają co do nas jakieś plany.

– O nie. – Pokręciła głową Berence. – Tak rozmawiać nie będziemy. Czy naprawdę myślicie, że zaproponowałabym tę ekspedycję, gdyby istniało podobne ryzyko?

– Biorąc pod uwagę twoją reputację – odezwał się Renaud z pijackim błyskiem w oku, ewidentnie powodowany złością podsyconą alkoholem – myślę, że tak, że zaryzykowałabyś.

Berence zmieniła temat.

– Klakierzy, choć wyglądają identycznie, nie są bynajmniej tacy sami. Daniel na przykład jest nosicielem najgorszej przypadłości, na jaką może cierpieć myśląca istota. Ma nieustanne poczucie winy, biedny sukinsyn.

Z oddali doszedł ich przytłumiony głos doktora Hammonda, a potem słowa maszyny:

– Już dobrze, doktorze, trzymam pana.

Renaud otworzył usta, żeby coś dopowiedzieć, lecz Levesque pociągnął temat, by odejść jak najdalej od poprzedniego. Kapitan miał najwyraźniej wysoce rozwinięty zmysł dyplomaty.

– Daniel. Mówisz o ich przywódcy, tak?

– On sam by się tak nie określił. Co nie przeszkadza im go podziwiać.

– Wtedy, u wybrzeży Quebecu... Traktowali go jak objawienie – powiedziała Élodie.

– Krąży taka plotka – rzekła Yseult, podając butelkę Berenice – zresztą podparta rzucanymi przez ciebie tu i ówdzie uwagami, że płynęłaś na holenderskim lodołamaczu.

– Krótko. I nie skończyło się to dobrze.

– Dla kogo? Toć jesteś tutaj z nami.

Berenice pamiętała jednak, jak blisko śmierci wówczas się znalazła. Niejednokrotnie. Pamiętała, jak bardzo była przerażona, ledwie mogła się ruszać. Dotknęła gardła. Sińce zblakły, ale nadal nosiła ślady świadczące o tym, że była niewolnicą dwóch morderczych mechanicznych. Dawały o sobie znać za każdym razem, kiedy się odezwała, jej głos nigdy już nie odzyska dawnej faktury.

– Dla paru osób. Nie jest to opowieść, którą lubię przeżywać od nowa – zachrypiała.

Yseult zauważyła ten nieświadomy gest i sposób, w jaki przełykała ślinę.

– Rozmawiałaś kiedyś z lekarzem o tym urazie? – zapytała.

Znowu rozbrzmiało szcęknięcie metalowych stóp. Berenice upiła łyk i przekazała butelkę dalej, nie odrywając oczu od ogniska.

– Już z powrotem?

– Dopiero co przyszedłem.

Uniosła głowę i zobaczyła innego służącego. Próbowała zmusić swoje rozbiegane oczy do skupienia się na stojącej obok niej maszynie, która zorientowała się, że Berenice próbuje ją zidentyfikować. Mechaniczny wydłużył się i znowu skurczył do wyjściowego rozmiaru, wydał z siebie coś na kształt westchnięcia. Znała tylko jednego klakiera, który tak robił.

– Danielu – wskazała gestem puste miejsce przy ogniu, gdzie wcześniej siedzieli chemicy – dołącz do nas, akurat o tobie rozmawialiśmy.

Nie ruszył się. Gapił się tylko na mrok za ogniskiem, kryształ jego oczu szumiały lekko.

– Dokąd idą doktor Mornay i doktor Hammond?

– Twój kolega po nich przyszedł. Ponoć znaleźli coś na statku widmo.

Daniel wydał z siebie ostry szcęk.

– Kto po nich przyszedł?

Berencie rozejrzała się po twarzach siedzących obok niej ludzi z płonną nadzieją, że ktoś znał imię maszyny. Odpowiedziały jej tylko puste spojrzenia i wzruszenia ramion.

– Służący. Jestem pewna, że go znasz. Wygięte kolana, cera jak stalowa rura. Należał do ekipy przeszukującej statek.

– Niemożliwe – odpowiedział.

Zanim zdążyła zapytać, czemu tak sądzi, Daniel zaczął się trząść, drżenie opanowało go od stóp do czubka głowy. Narastało, było coraz głośniejsze, odbijało się echem od skalistych zboczy, aż zaczęły przychodzić odpowiedzi innych mechanicznych. Ich skompresowana konwersacja huczała nad całą przystanią. Ludzie rozglądali się lekko skonfundowani. Berencie była zbyt wstawiona, żeby zrozumieć, o czym mówią.

Hałas po chwili ustał. Daniel spojrzał na nią ponownie i pokręcił głową.

– Ustalone i niewątpliwe: nikt nie towarzyszył chemikom na statku. Wszyscy mechaniczni członkowie ekspedycji są co do tego zgodni.

Berencie, chwiejąc się, dźwignęła się z ziemi i wycelowała palec w mrok.

– Więc kto to, kurwa, był?

*

„Któregoś dnia – nieprędko, pewnie minie całe stulecie – spojrzę na ten okres mojego życia przez podnoszący na duchu bufor minionych dekad, ale kiedy już powrócę do niego pamięcią, to z pewnością pomyślę o bieganiu. Ciągle to robię”, zadumał się Daniel.

Lód trzeszczał i kruszył się pod jego rozjeżdżającymi się stopami. Przeskoczył nad rowem i wylądował tak ciężko, że aż sypnęło kawałkami skał. Kamienisty krajobraz był jednolity – nie mógł wypatrzeć żadnego szlaku, żadnej wskazówki. Jedynym, dość zresztą słabym, źródłem światła były udrapowane chmurami księżyc i gwiazdy, które nie zdołały jednak rozgonić mroku.

Po drugiej stronie obozu słyszał, mimo chrzęstu kamienia pod stopami i szybkiego świergotu swojego mechanizmu, jak jego pobratymcy biegli przez ogniska ku opuszczonemu holenderskiemu statkowi, gdzie chemicy mieli rzekomo udać się z nieznanym przybyszem.

„Sprawdzaliśmy go przecież. Sprawdzaliśmy i był pusty”.

Le Griffon II – dzięki Bogu – nadal stał na kotwicy za przystanią. Daniel zasugerował, żeby ktoś poszedł na skały i to sprawdził. Usiłował również

monitorować ludzkie krzyki. Próbowali się zorganizować, lecz nie potrafili stwierdzić w jakim celu. Rozpoznał głos Élodie, która starała się policzyć swoich. Ilu jeszcze odciągnął od grupy wygadany klakier? Sytuacja ta pokazywała, jak łatwo mogła zwieść ludzi maszyna wykazująca się choćby niewielkim stopniem uległości. Sprzeczał się z mieszkańcami Nibylandii, kiedy mechaniczni upierali się, że tak naprawdę pomiędzy Holendrami a Francuzami nie ma znaczących różnic. Dlatego bolało go, jak łatwo ludziom przychodziło stawianie siebie nad innymi istotami.

Gdzie ich zabrano? I dlaczego?

Najprostsza do pokonania przez człowieka droga od ognisk do doku prowadziła przez krótki i niezbyt głęboki jar. Przebiegł po jego obrzeżu, aż jęczały żyroskopy, a wysoki pisk odbijał się echem od ścian kamiennej komnaty. Przez chwilę było na tyle głośno, że niemal nie usłyszał ciężkiego oddechu i pojękiwań. Natychmiast się zatrzymał.

Doktor Hammond leżał, cały w drgawkach, na dnie parowu. Cieniutka warstewka śniegu obok miała kolor atramentu; jego krew wydawała się w słabym świetle księżyca czarną plamą. Daniel skupił się na umierającym mężczyźnie. Hammond drżał, choć miał na sobie gruby płaszcz i zimową czapkę; serce biło mu szybko, ale słabo; każdy pośpieszny i płytki oddech kończył przeciągły, metaliczny świst. Rana kłuta, zaaspirowana krew, możliwe przebicie lewego płuca. Daniel przybliżył się do kałuży krwi, szukając charakterystycznego tryskania z przebitej arterii, ale niczego takiego nie zobaczył. Nie zrobił tego żaden żołnierz; jego ostrze przecięłoby człowieka na pół. Poważna rana, ale nie śmiertelna, przynajmniej nie natychmiastowo. Daniel przyłożył jedną dłoń do rozcięcia i docisnął, na co Hammond zareagował krzykiem. Drugą chwycił kilka kamieni i zaczął pocierać nimi o pancerz aż się odpowiednio nagrzały, po czym włożył je za koszulę mężczyzny. Doktor trząsał się nieco mniej, ale nadal istniało ryzyko, że lada chwila dozna szoku.

„Doktor Hammond został dźgnięty nożem! – zakomunikował po swojemu. – Niech ktoś sprowadzi tu lekarzy ze sprzętem”.

Złapał za jeden z kabli łączących jego stawy biodrowe; raz po raz rozciągał go z całej siły i puszczał, uderzał nim o kryzę kołnierzową, emitując tym samym metronomiczną serię kliknięć działających dla innych mechanicznych niczym słuchowe narzędzie nawigacyjne.

Gdzieś blisko chrupnął kamień. Daniel zwolnił podpórkę, która koordynowała ruchy jego kamieni ocznych. Prawy pozostał skupiony na chemiku, monitorował stan jego zdrowia, podczas gdy lewy zezował na górę, ku źródłu hałasu. Na krótką chwilę udało mu się złapać monotony blask księżyca na alchemicznym mosiądzu, niewielkiej metalowej płytce na osłonie zamka i ramieniu służącego

oplatającym ludzką szyję. Szkieletowa łapa zaciskała się na ustach doktor Mornay. Biel obrysowywała jej szeroko otwarte z przerażenia oczy. Zagubiony Chłopiec wyskoczył z jaru ze swoją zakładniczką i zniknął. Hammond zaczął się telepać w konwulsjach.

Daniel zrozumiał, czemu nieznajomy od razu nie zamordował mężczyzny: kazał mu wybrać pomiędzy jego życiem a kontynuowaniem pogoni. Dlatego zabrali dwóch ludzi, jakby potrzebowali odwrócić uwagę goniących. Takiego fortelu spodziewały się po Berenice... albo królowej Mab.

„Zagubieni Chłopcy w obozie! Mają doktor Mornay!”

*

– Kurwa, kurwa, kurwa.

Berenice biegła po oklejonych szronem kamieniach w ciemność, trzymając płonąca gałąź, którą zabrała z ogniska. Była to doskonała recepta na skręconą kostkę. Albo coś gorszego. Lecz, do cholery, chemicy byli im potrzebni.

Poślizgnęła się i wyrznęła o ziemię, aż jej zęby zadźwięczały. Gałąź potoczyła się po ziemi i zgasła na śniegu. Zapadła ciemność. Usiadła ciężko, jęcząc i zgrzytając zębami, spodziewała się poczuć usztywniające nogę, emanujące od kostki ukłucie, lecz to jej szczeka promieniowała bólem złamanego zęba, jakby ktoś przebił jej skórę nagrzaną igłą. Zimne powietrze dmuchnęło w jej oczodół. Poprawiła opaskę i pokuśtykała ku dokom, nie widząc w ciemnościach prawie nic.

Do kakofonii mechanicznej konwersacji dołączyły ludzkie krzyki. Konfuzja, strach, pijackie próby zachowania porządku i podsycona alkoholem panika. Niektórzy pobiegli ku wysokim klifom wychodzącym na morze. Relacje na temat tego, co się wydarzyło, zdążyły już zmutować i rozprzestrzenić się pośród ludzi niczym bunt wojsk Aleksandra w Indiach: zostali zaatakowani, to marynarze kogoś zaatakowali, tulipaniarze powrócili, Griffon tonął, albo już zatonął, ktoś znalazł złoto na holenderskim statku, złoto i alchemicznie zakonserwowane owoce z Afryki Północnej.

Kto ich porwał? Jak?

Zwiadowcy Daniela sprawdzili cały obóz. Był pusty, intruza dawno już nie było. Jak obca maszyna zdołała prześlizgnąć się przez strażę? Tykacze podnieśliby alarm...

Czy aby na pewno? Berenice przyprowadziła ich tutaj, obiecując, że znajdą hutę kwintesencji. I znaleźli.

Klakierzy wypełnili swoją część umowy i pomogli załodze Griffona przebyć najeżoną niebezpieczeństwami drogę z Marsylii, nie mówiąc już o obronie przed

zniwiarzami. Czyżby uznali, że wywiązali się ze swoich zobowiązań? Może pozwolili obcym przeniknąć do obozu, bo mieli to głęboko w swoich lśniących dupach?

Wyszła spomiędzy skał na kamienisty brzeg; przystań znajdowała się po przeciwnej stronie. Tutaj światło, choć chaotyczne i zmienne, rzucały ogniska i pochodnie, co wystarczyło, żeby rozpoznać teren. Fale ochlapwały brzeg. Odwróciła się plecami od wody i mrużąc oczy, próbowała rozróżnić ciemne kształty. Gdzie ten drań ich zabrał?

Światła lamp odbijały się od pancerzy służących krzątających się po doku, przy którym zacumowano holenderski statek. Nie szarpali się z nikim. Nie potrafiła powiedzieć, czy byli członkami ekspedycji czy intruzami, czy może jednym i drugim.

Szum fal zastąpiło kapanie... i klikanie. I tykanie.

Obróciła się. Służący wychynął z ciemnej wody zatoki. Jego sylwetka wyglądała cokolwiek dziwnie, ale Berenice nie potrafiła powiedzieć, co jest nie tak. Usiłowała utrzymać się na zmrożonym żwirze, lecz rozjeżdżały się jej nogi, a złamany ząb ponownie zapłonął wywołującym łyzy bólem. Upadła. Maszyna wybiegła z wody, ściekały po niej parujące strugi.

„Niech mnie chuj strzeli”. Nagle zrozumiała. „Chowali się na dnie przystani. Byli tu cały czas”.

Maszyna przekrzywiła głowę i przyjrzała się jej.

Berenice podpełzła do tyłu, zbierając powietrze, żeby krzyknąć.

– Intru...

Służący wystrzelił naprzód i zasłonił Berenice usta boleśnie chłodną dłonią. Zdrętwiały jej usta. Jego głowa była nieco wypaczona, jakby złożono ją na szybko z niedopasowanych do siebie części. Berenice przekląła się za utratę pochodni, chciałyby się dobrze przyjrzeć swojemu zabójcy. Zesztywniała, czekając na ucisk, który potrzaska jej czaszkę, skruszy kości policzkowe i zmiażdży oko. Ale klakier jedynie się jej przyglądał, kamienie oczu szumiały mu przy każdym spojrzeniu. Przyłożył palec wolnej dłoni do swoich ust (a raczej do otworu umieszczonego tam, gdzie powinny się znajdować usta). Domyśliła się, że każe jej być cicho. Maszyna zabrała dłoń. Nadal jednak przypatrywała się jej, przekrzywiając głowę. Berenice próbowała się wycofać, ale mechaniczny złapał ją za kostkę i przyciągnął z powrotem do siebie. Kobieta rozpaczliwie przeszukiwała szufladki swojego umysłu i wyciągnęła z nich coś, co już kiedyś zadziało.

– Zegarmistrzowie kłamią!

– Oczywiście, że kłamią – odpowiedziała maszyna, nie tracąc przy tym rezonu.

Nie wydawała się zaniepokojona, że Berenice zna tajne, buntownicze powitanie jej gatunku.

– Ale nie tylko oni, prawda, Berenice?

„O nie, o nie, o nie”.

Czyżby śledziła ją przez cały ten czas? Chciała zająć się niedokończonymi sprawami?

Odruchowo złapała się lewą ręką za gardło.

– Hugin? – szepnęła.

– Ciekawe, któż to taki. Nie brzmi jak jedno z naszych imion. Lecz chyba się go boisz. Ciekawa jestem, czym sobie na to zasłużył? – Maszyna pokręciła głową. – Jestem naprawdę zdziwiona, że mnie nie poznajesz. Przecież spędziłyśmy razem tyle czasu.

Służąca się wyprostowała, oświetlił ją blask odległych ognisk. Berenice dostrzegła owo wypaczenie, które jedynie zarysowywało się w ciemności. Głęboka wklęsłość szpeciła czoło mechanicznej tuż przy dziurce od klucza. Uszkodzenie zarysowało kilka alchemicznych symboli układających się spiralnie wokół osłony zamka. Wypadek, jaki przydarzał się raz na milion, obdarował tę maszynę wolną wolą. Lecz nie dlatego Berenice oddech uwiązał w gardle.

Nie. Chodziło o żelazne obręcze opasające głowę tej klakierki, wyglądające jak metalowe bandażę na pękniętej czaszce. Faktycznie się znały.

Lilith. Służąca, którą Berenice zwiodła, uwięziła w tajnym laboratorium pod Iglicą i rozłożyła na części, podczas gdy ta błagała o litość.

– O kurwa – zaklęła.

ROZDZIAŁ 14

Ostatecznie przewieźli do Ridderzaalu jedynie trzech z czterech nieaktywnych mechanicznych, a i tak okazało się to zabójczo trudne. Na wozie ledwie się zmieściło podzwaniające trio. Osie jęknęły pod ich ciężarem. Zegarmistrzowie dali sobie spokój z maszyną zastygniętą w najbardziej kłopotliwej pozycji. Lojalny służący ładował wojskowych pojedynczo, a po dorzuceniu każdej kolejnej maszyny koła coraz bardziej zanurzały się w roztopionym błocie.

Anastazja i jej towarzysze starali się ułożyć zeszywniałe kończyny maszyn jedna przy drugiej, lecz było to prawie niemożliwe; zastygły niczym odlane z brązu posągi. Udało się jedynie przykryć je pledami, które zdjęli z koni.

Służący nałożył kabłąk i pociągnął. Przez króciutką, niemal niezauważalną chwilę nic się nie wydarzyło, nawet nie drgnęli, aż nareszcie koła ruszyły z chlupotem. Anastazja odetchnęła.

Tuinier wskoczyła na konia i narzuciła bystry kłus. Zdecydowała się na galop, lecz miała świadomość, że nie utrzyma się w siodle. Zegarmistrzowie się rozdzielili, nie chcąc jechać przy wozie i tym samym ściągać na siebie uwagi zbuntowanych maszyn. Przewożony przez nich ładunek sprowadziłby niechybną śmierć na każdego, kto zostałby z nim skojarzony.

Malcolm, który był zdecydowanie najgorszym jeźdźcem, został w tyle, jeszcze zanim powrócili do miasta. Chyba nawet coś krzyczał, lecz Anastazja nie słyszała niczego poza perkusyjnym rytmem wybijanym przez żelazne kopyta i hukiem szumiącego jej w uszach serca. Nikt już nigdy go nie zobaczył. Jego imię dołączyło do długiej listy personelu Gildii, którego losy pozostały nieznane.

Anastazja zwolniła przy kanale Spui. Wyjechała na przecinające się ulice, które wydawały jej się zarazem znajome i kompletnie obce. Z największego z miast, serca Imperium, pozostał tylko cień. Nie znosiła tego słowa – i bolało ją użycie semantycznych wyrażen, które lubili otepiali papiści – ale musiała przyznać, że Haga straciła duszę.

Niby nic się nie zmieniło: kanały porośnięte bukami tak rozłożystymi, że latem ścieżki flisackie przypominały tunele; skośne dachy i wysokie wieżyczki; zdobione pilastry i rustykowe wykończenia; wieże zegarowe lśniące w wiosennym blasku kością słońsiową i złotem. Nadal z każdego miejsca w mieście słychać było choćby jeden wybijający aktualną godzinę zegar. Haskie czasomierze obrosły już legendą, napędzała je ta sama energia, która wprawiała w ruch klakierów, i tylko zniszczenie mechanizmu mogło położyć kres temu

nieustannemu odmierzaniu czasu – aż do końca świata. Żeby jednak ujrzeć taką Hagę, trzeba było się przekopać przez sterty zaśmieających ulice śmieci. Oczyszczyć kanały ze śmierci. Zatkanąć nos, bo unoszący się smród był nie do wytrzymania. I zignorować powybijane szyby, powyrywane albo zwisające na pojedynczych zawiasach powyginane drzwi. Nie mówiąc o rozmazanych plamach krwi na tej czy innej ścianie po mieszkańcach, którzy zdążyli jeszcze stawić opór, zanim wyciągnięto ich ze środka domu. Często towarzyszyły im ciemne zmazy na ulicy, pozostałości po rozległych kałużach rozlewających się na kocich łbach. Długie warkocze podartych chorągwi – niegdyś pomarańczowych, dziś umazanych tłustym brązem – leżały na chodnikach lub unosiły się na powierzchni kanałów. Gdzie indziej kawałki tkaniny flagowej zaczepiły się o wyższe gałęzie drzew rosnących wzdłuż szerokich bulwarów niczym brudne świąteczne lamety. Sztandary te były żalnym wspomnieniem trwających w całym Imperium okrągły rok obchodów dwustupięćdziesięciolecia Het Wonderjaar. Wydawało się, jakby od ich rozpoczęcia minął cały wiek.

Co jednak najgorsze, gorsze nawet od całego tego bałaganu i zniszczenia, gorsze od tych bolesnych pamiątek po bezlitosnej rzezi, na miasto opadła cisza. Nawet w środku nocy nigdy nie słyszało się tak wyraźnie łopotania flag. Teraz nikt nie chodził po ulicach, nikogo już nie zajmowały codzienne sprawy, najwybitniejsza cywilizacja w historii świata zamilkła. Nie słysząc już było ani szumu ulicznego ruchu, ani niezmordowanego tykania tysięcy mechanicznych. Kręcące się po mieście psy przewyższały swoją liczebnością zarówno ludzi, jak i maszyny. Krążyły plotki, że po najbardziej zniszczonych dzielnicach przy wydmach Scheveningen krążą całe watahy.

Gdzie się podzieli napastnicy? Przecież kontrolowali miasto. Czemu się pochowali?

Na południe od amsterdamskiej veerkade na konia Anastazji zaszczekał zabiedzony collie o zmatowiałej czarnej sierści. Biegł, ujadając, od stopni prowadzących na przerzuconą przez kanał kładkę i próbował kąsać końskie pęciny. Zwierzę wierzało i Anastazji przeszło przez myśl, że czeka ją zimna kąpiel albo wstrząśnienie mózgu po uderzeniu o bruk, lecz jej umiejętności jeździeckie okazały się wystarczające, aby ustrzec się przed podobnym losem. Pies jednak nieprzerwanie i głośno komentował jej poczynania.

– Zamknij się – syknęła.

Może i okupanci nie mordowali już ludzi na ulicach, ale nie miała zamiaru ściągać na siebie ich uwagi. Nikt nie chciał ściągać na siebie ich uwagi.

Klacz przyśpieszyła. Nie miała zamiaru zwalniać, nie kiedy gonił ją pies. Nareszcie po lewej wychynęła oktagonalna absyda Nieuwe Kerk; po prawej Anastazja zobaczyła stary browar i stragany ustawione wzdłuż kanału

Turfmarkt, który, obok Houtmarkt, pochodził jeszcze sprzed Het Wonderjaar, choć stare keje dawno już zniknęły. Nikt nie palił już torfem, alchemia i olej grzewczy wyparły go, wypchnęły do prymitywnej przeszłości, dlatego nie sprzedawało się już tutaj opału, lecz żywność, meble, sztukę, instrumenty muzyczne, narzędzia i wszystko inne, co wędrowni handlarze przywozili tak zwanym Kanałem Torfowym. Nie był to co prawda Grote Markt, czyli Wielki Targ, ale i tak dało się tutaj spędzić całe popołudnie. Matka Anastazji nigdy nie omieszkała zajrzeć tam podczas wizyt w Hadze, choćby tylko po to, żeby zobaczyć dziwności sprowadzone z najdalszych zakątków Imperium. Nadal miała metalowy irlandzki gwizdek przyniesiony z pierwszych zakupów na Houtmarkt i w dalszym ciągu pozostawał on jedynym instrumentem, na jakim potrafiła grać. Wspomnienie to przywołało na twarz Anastazji tęskny uśmiech.

Dzisiaj jednak wypatrzyła na targu mniej niż tuzin ludzi. Mężczyzna i kobieta szli obok siebie z wiklinowym koszykiem. Upuścili go – rozległ się dźwięk bitego szkła – na widok Anastazji i nadal uparcie ujadającego psa pobiegli ukryć się za pustym straganem.

Wszyscy tutejsi tak się teraz zachowywali. Drobili nieśmiałe krocзки, choć jeszcze niedawno pewnie poruszali się po ulicach, garbili się, zamiast wysoko unosić głowy, spuszczaali wzrok, nie patrząc już przed siebie, za horyzont. Niegdyś ludzie dosiadali świata niczym tytani, dzisiaj umykali chyłkiem jak myszy kryjące się za deskami boazerii: zobaczyli kota z umazanymi krwią pazurami i trzęsą się ze strachu.

Pies nie przestawał szczekać.

– Na Boga, zamknij się już!

Drżały zasłony w ciemnych oknach. Z pobliskich ulic rozlegały się równie głośne psie odpowiedzi na ujadanie prześladowcy *tuinier*. Kiedy collie stanął na chwilę na tylnych łapach, wypatrzyła kontury żeber pomiędzy kępkami posklejanej sierści. Sięgnęła między fałdki szala, gdzie z przyzwyczajenia trzymała pudełeczko miętówek. Czy zaszkożą psu? Miała nadzieję, że okażą się trujące. Posunie się do wszystkiego, żeby odgonić tego kundla. Musiała wypuścić lejce z jednej ręki, żeby otworzyć puszczkę, ale wszystko na nic. Pusto. Ostatni cukierek zniknął pod jej językiem już dawno temu i, oczywiście, nie mogła kupić kolejnej porcji. Maszyny dostarczały do miasta żywność, ale jedynie podstawowe produkty konieczne, aby utrzymać ich przy życiu, nie było mowy, aby do zrównanych z ziemią przystani przybiły nagle statki z luksusowymi towarami.

Wyrzuciła pustą puszkę. Pies rzucił się za nią w pościg. Rozwiął się jej niepokój, klacz zwolniła.

Anastazja nadal jechała wychylona, utrzymując niepewną równowagę i

próbując chwycić wypuszczone lejce. Minęła kwaterę zarządcy tego odcinka Spui. Z komina nie unosiła się nawet pojedyncza smużka dymu. Tak jak wszystko inne, ścieżki flisackie również niszczały. Zwiędłe liście, nawiane papiery oraz psie i końskie odchody zaścielały niegdyś nieskazitelnie czyste pasma starannie zagrabionego żwiru; poczerniałe trupy spalonych barek leżały na boku na dnie kanału jak zwykle śmieci. Pocięte liny cumownicze unosiły się na wodzie. Zarządca pewnie nie żył, padł ofiarą orgiastycznej rzezi. Anastazja przypomniała sobie moment, kiedy jej świat został wywrócony do góry nogami, chwilę, kiedy zrozumiała, że mechaniczni nikogo nie eskortują, lecz mordują.

Z budynku wyszli dwaj służący. Ugryzła się w język. Metaliczny smak krwi ogrzała jej usta i nawilżyła zęby. „Karmią nas – upomniała się. – Nie robiliby tego, gdyby nie chcieli utrzymać nas przy życiu. Jedź dalej, zachowuj się naturalnie, a dadzą ci spokój”.

Zacisnęła pięści. „Nie świeć. Nie błyszcz. Nie teraz. Proszę, tylko nie teraz”.

Zobaczyli ją. Boże, zobaczyli ją. Słyszała, jak szumią kamienie osadzone w mechanicznych oczodołach. Nie mogła oddychać. Chciało jej się sikać. Przełknęła ślinę. Treść jej żołądka momentalnie się zwarzyła.

„Nie uciekaj. Nie zwracaj na siebie uwagi. Nie wyglądam jak ktoś, kto ma powód, żeby uciekać, a na pewno nie jak zegarmistrz pędzący do Ridderzaalu. Nie prowokuj ich do pościgu”.

Czy powinna skręcić? Dać nura do alejki? Czy będzie to podejrzone? Może bezpieczniej przyspieszyć i spróbować śmignąć tuż obok napędzanych magią zabójczych łapsk?

„Nie. Trzymaj kurs. Pokaż, że cię pokonali. Że jesteś im posłuszna”.

Spuściła głowę, skupiając się na wystrzępionych obszyciach siodła, oczy zaszyły jej mgłą. Zacisnęła powieki, żeby zatrzymać deszcz zdradzieckich łez. Nic, nawet nadnaturalna siła mechanicznego służącego, nie mogłoby opanować jej drżenia. Lejce podrygiwały, a klacz, wyczuwając bezbłędnie jej strach, mocno się zaniepokoiła, co z kolei udzieliło się Anastazji.

Błędne koło.

– Hola, obywatelko – rozległ się nieludzki głos. – Dokąd ci tak śpieszno?

Wzdrygnęła się tak gwałtownie, że zadzwoniły strzemiona. Klacz prychnęła.

„Nie zawiedz mnie teraz, nie zrzuć...”

– I czemu na tym biednym zwierzęciu? – zapytał kogoś innego, acz identyczny głos.

Spuściła głowę jeszcze niżej, koncentrując się na opanowaniu swojego konia i zapobieżeniu lądowaniu w kanale. Zacisnęła mocniej pięści. Dezaktywacja mechanicznych pod miastem to jedno, lecz gdyby spróbowała tego samego tutaj, otoczona przez nie wiadomo ile uszkodzonych maszyn, które mogą ich teraz

obserwować, powaliliby ją i przygnietli w mgnieniu oka.

– Czyżby twoje niemowlęce stópki zmięły się od lat masowania, co?

Metal szczęknął o bruk, mechaniczni z łatwością dotrzymywali kroku Anastazji. Jeden uszkodzony klakier zaszedł od lewej, drugi maszerował po prawej.

– Nie odpowiedziałaś na nasze pytania.

Anastazji udało się odezwać dopiero po paru próbach wydobycia z siebie dźwięku. Rzuciła pierwsze lepsze kłamstwo, jakie przyszło jej do głowy.

– Jadę z koniem i siodłem do ojca w Statenkwartier. Podagra nie pozwala mu chodzić na mszę.

– Ciekawostka – odparł służący, a jego dłoń wystrzeliła po uzdę.

Koń próbował się opierać, ale druga maszyna chwyciła go za zad. Mechaniczni, rzecz jasna, byli silniejsi niż jakikolwiek koń.

– Czy twój ojciec nie jest świadomy tego, że ból nie ma na celu powstrzymanie go przed zrobieniem czegoś, ale, przeciwnie, zapewnienie, że zostanie to zrobione?

Gapili się na nią, tykając, jakby oczekiwali odpowiedzi. Jeśli tak, to będą tutaj stać, aż klacz padnie z głodu, a kości Anastazji zbieleją na wietrze i słońcu.

– Proszę – powiedziała, nienawidząc się za to, bo mówiła szczerze.

Służący puścił uzdę.

– Leć do swojego stwórcy.

Cóż za przekłety żywot, bać się każdego napotkanego na ulicy mechanicznego. Kiedyś powiedziała komuś, że Nadleśnictwo rozważyło przywrócenie porcelanowych masek, lecz ostatecznie zdecydowało, iż lepiej będzie, jeśli ludzie będą drzeć przed Nakręcaczami. Jakaż nonszalancka była, zanim sama się dowiedziała, czym jest prawdziwe przerażenie. Nie poznała go aż do dnia, kiedy do brzegu przybiły te przeklęte statki.

Anastazja dotarła na plac Huygensa bez dalszych przygód. Pozostali, prócz Malcolma, zjeżdżali do Ridderzaalu przez resztę popołudnia, każdy inną drogą. Dalsze oczekiwanie na wóz przedłużało się na tyle, że Euwe i Tove poczęli wykłócać się, czy aby buntownicy go nie przejęli i które z nich powinno wybrać się za miasto, żeby zasięgnąć języka. Ale mechaniczny przyczłapał tuż przed zmierzchem, ciągnąc swój zakazany ładunek nietknięty i ukryty pod stertą kapusty. Podjechał pod drzwi boczne, gdzie zwykli przyjmować dostawy, a nie do zdobionego frontowego wejścia wychodzącego na plac Huygensa. Tak czy inaczej, nie mieli zamiaru wpuszczać go do środka, bo nawet pojedynczy klakier trojański mógłby rozbić Gildię i zdeptać nadzieję na ustabilizowanie Imperium. Jako że wóz musiał przebyć długą drogę przez miasto, dawało to zbuntowanym niezliczone okazje do zainfekowania maszyny. Jej oddanie i determinacja mogły

być jedynie fortelem. Anastazja kazała grupie służących postawić zaraz za drzwiami tymczasowy parawan, żeby wraży mechaniczni krążący po dachach Binnenhofu albo wystający przy wysokich oknach nie wyszpiewowali, co planują zegarmistrzowie. Następnie zawołała dwóch Nakręcaczy, którzy mieli trzymać straż, podczas gdy reszta dokonywała oględzin zarówno dezaktywowanych mechanicznych, jak i nowo przybyłego klakiera.

*

Anastazja, złana potem, stała w laboratorium wychodzącym na kuźnię. Sól szczypała ją w oczy. Okna zostały tak skonstruowane, żeby odbijać żar, lecz popękały i podziurawiły się – stanowiły przykre świadectwo tego przekłętego dnia, kiedy do komnaty powpadały uszkodzone maszyny. Awaria kuźni odbiła się również na systemie chłodzącym, który czynił laboratoria znośnymi. Otarła czoło rękawem, ścisnęła mocniej śrubokręt i wykręciła ostatnią śrubkę (dwumilimetrową o trapezoidalnej główce) z czaszki pierwszego buntownika. Położyła zdjętą płytkę na stole i zabrała się za wyciąganie uszkodzonego szkła szyszynkowego. Zazwyczaj robił to technik, nie było to zadanie godne Nadleśnictwa, a co dopiero samej *tuinier*. Ale techników bez reszty zajmowała naprawa kuźni.

Założyła na dłoń rękawicę z metalowych obręczy i sięgnęła do czaszki mechanicznego. Wystające ze środka igły zadźwięczały. Palcami otarła się o coś okrągłego. Wyciągnęła alchemiczne szkiełko wielkości migdału i wrzuciła do przeźroczystego naczynia trzymanego przez Tove.

Ku zdziwieniu Anastazji kamyczek ani się nie świecił, ani nie błyszczał, ani nie płonął magicznym blaskiem. Ale przecież uszkodzeni napastnicy, zdolni zarazić inne maszyny, nosili pod czaszką jakiś świetlisty przedmiot. Spodziewała się znaleźć coś piekielnie niebezpiecznego. Tymczasem to szkiełko, przynajmniej patrząc na nie gołym okiem, wydawało się zupełnie zwyczajne. Ba, jeśli przypadkowy przechodzień zobaczyłby je leżące na chodniku, nawet nie pofatygowałby się, żeby się pochylić i je podnieść. Jakże niepozorna była ta kulka, wokół której kręcił się teraz cały świat.

Anastazja włączyła umieszczoną pod spodem naczynia lampkę, szkiełko załało delikatnie malinowe światło, a miseczka zaczęła zataczać powolne kółka. Zwierzchniczka Nadleśnictwa wypatrywała obcych substancji i ostrokątnych cieni na suficie, lecz nie zauważyła ani śladu wewnętrznych pęknięć. Szkło było nietknięte.

Po rozebraniu trzeciego wojskowego i wyjęciu jego mechanicznego umysłu z czaszki Anastazja zdjęła rękawicę i chwyciła wszystkie trzy szyszynkowe

szkiełka. Tove poszła za nią do pierścieniowatego korytarza otaczającego komnatę kuźni. *Tuinier* zaczęła grupkę młodszych adeptów sztuki zegarmistrzowskiej.

– Leżą tam trzy rozebrane egzemplarze wojskowych mechanicznych – powiedziała. – Zabierzcie głowy do recyklingu, a ciała odwieźcie do montażowni i rozłóżcie. Upewnijcie się, żeby odnotować każde odstępstwo od standardowej konstrukcji.

Perwersyjne wydało się Anastazji wykorzystanie ludzkich rąk do tak niegodnego zadania. I to jeszcze na dodatek w Wielkiej Kuźni.

Doktor Euwe spotkał się z nimi przy żelaznych drzwiach naprzeciwko głównej komnaty, po czym odszedł do archiwum po klucz. Gdy wrócił, włożył go do zamka, przekręcił i uchylił ciężkie skrzydło, dmuchnęło zatęchłe, ale czyste powietrze. Ciemna Kartezjańska Camera była w porównaniu z dusznym laboratorium niemal orzeźwiająco chłodna. Na szczęście bijące od kuźni światło wystarczyło, żeby rozświetlić pomalowane północną czernią sześciokątne pomieszczenie i nadało wysokiej półkolistej kopule kolor mgły o świcie. Stało tam szesnaście rozkładanych foteli ustawionych po łuku na przemian, dwa rzędy po osiem.

– Byłaś tu kiedyś? – zapytał Euwe.

Tove zaprzeczyła.

– Jedynie słyszałam o tym miejscu.

Pomieszczenie służyło jako camera obscura i nie różniło się zbytnio od tych, jakich używali setki lat temu wielcy malarze początku Złotej Ery. Ale zamiast wyświetlać tu krajobrazy i malować portrety, rzucało się na ścianę znaki składające się na symbole umieszczone na szyszynkowych szkiełkach. Każdy biele posługujący się sekretną gramatyką i znający tajniki alchemicznego przymusu mógł odczytać tutaj hierarchiczne *metageas* znajdujące się na badanym kamieniu. To jedyne miejsce na całym świecie, gdzie dało się stanąć, mówiąc najprościej, w umyśle maszyny.

Pokój ten oficjalnie nosił numer 101, lecz nikt tak o nim nie mówił, przylgnęła do niego bowiem łaska „Kartezjańskiej Camery”. Zegarmistrzowie nigdy nie przepuszczali okazji, żeby móc naigrawać się z Kartezjusza, rzymskokatolickiego filozofa, który był wyznawcą osobliwej myśli, jakoby dusza była siedzibą świadomej myśli i wolnej woli. Sporo starszy od Christiaana Huygensa, mieszkał przez lata w Republice, ale zmarł ćwierć wieku przed Het Wonderjaar. Anastazja żałowała, że nie doczekał skonstruowania pierwszych mechanicznych, bo z miejsca odszczekałby te swoje manichejskie bzdury. Zaoszczędziłoby to ludzkości stuleci konfliktu. Francuzi uwielbiali bowiem Kartezjusza i wyznawali jego rojenia z bałwochwalczą gorliwością. Dusza nie

wibrowała do muzyki sfer w nienamacalnym wymiarze myśli i zadumy – bo nie istniała. Istniały tylko mechanizmy złożone z mosiądzu i stali, z kości i mięsa, a nawet mechanizmy umysłu. Starożytni atomiści – Leukippos, Demokryt, Lukrecjusz i ich żłopiący wino poplecznicy – mieli rację. Cała fizyka to mechanizm. Metafizyka to zbędny wymysł.

Religia potrafiła być jednak użyteczna, dlatego Gildia nigdy się przy tym ostatnim nie upierała.

– Siadajcie – powiedziała Anastazja.

Otworzyła niedużą skrytkę znajdującą się naprzeciwko otwartych drzwi. Miała rozmiar łazienkowej szafki na leki. Oblewało ją delikatnie światło rzucane przez alchemiczną lampę umieszczoną na suficie. Jej zawartość stanowiła wieloosiowa sfera armilarna zatrzymana w półobrocie, model ogromnej maszyny, która wypełniała pomieszczenie po drugiej stronie korytarza, szerokości rozłożonych od oktawy do oktawy rąk pianisty. Była pusta. Koncentryczne pierścienie ze złota, platyny i mosiądzu czekały na słońce, wokół którego mogłyby orbitować. Ten miniaturowy zegarowy mikroświat oczekiwał na swoją siłę sprawczą. Anastazja umieściła pierwsze wyciągnięte z czaszki zbuntowanego wojskowego mechanicznego szkiełko i włożyła do koszyczka przy modelu.

Dźwignia lekko jej się opierała, ale nareszcie poddała się silniejszemu szarpnięciu, choć nie bez uprzedniego skrzypienia. Domagała się naoliwienia. *Tuinier* skrzywiła się z obrzydzeniem. Nawet najprostsze prace konserwacyjne zostały zaniedbane z powodu buntu mechanicznych.

Sfera armilarna zaczęła się obracać w regularnym rytmie tykania zegara. Złoty pierścień ruszył w kierunku Anastazji niczym koło wprowadzone w ruch zamachem, a mosiężny, najbliższy środkowi, w drugą stronę, jakby od niej uciekał. Równocześnie platynowa obręcz zaczęła intensywnie rotować. Tykanie przyśpieszyło. Po chwili niemożliwe stało się jednoczesne śledzenie obrotów wszystkich osi. Zamknęła skrytkę. Tym samym aktywowała wejście do Kartezjańskiej Camery. Drzwi wejściowe szczęknęły i zamknęły się automatycznie dzięki ukrytym zawiasom. Pomieszczenie na powrót stanowiło idealny sześciokąt. Zegarmistrzów zalała kopalniana ciemność. Do cichego buczenia maszyny dołączyło miarowe stukanie. Choć Anastazja nie widziała w ciemności absolutnie nic, wiedziała, że to dźwięk podnoszących się rolet. Szybkim krokiem przesunęła się w prawo.

– Tove, lepiej zakryj oczy – powiedziała, zasłaniając swoje.

Obiektów szerokokątny umieszczony w drzwiczkach skrytki splunął intensywnym akwamarynowym blaskiem. Lśnił jak kryształowe słońce, płonący beryl, wystarczająco jasno, żeby przebić się przez zaciśnięte powieki. Tove

wciągnęła ze świstem powietrze. Zduszone tykanie stopniowo narastało. Po chwili światło zelżało na tyle, że już tylko wyciskało z oczu nieliczne łzy. Anastazja ostrożnie uniosła jedną powiekę. Jasność mieniła się rozmaitymi odcieniami, które tańczyły po komnacie niczym cienie z karuzeli.

– Już można patrzeć.

Podświetlone wzory pląsające po ścianach i suficie były alchemicznymi symbolami, atomami składającymi się na *metageas*, które wywijały hołubce wokół zegarmistrzowskiej trójki, przypominając zębatki eterycznego mechanizmu zegarowego.

Euwe żuł paznokcieć. Norweżka gapiła się z otwartymi ustami na kopułę, oto bowiem na firmamencie Imperium lśniły nieznoszące sprzeciwu rozporządzenia. Sunęły po komnacie jak rekiny w wielkim amsterdamskim akwarium, zostawiając za sobą w ciemności zygzakowate ślady. Wyraz niezłomności i siły ludzkiej woli narzuconej całemu światu.

Choć bolały ją oczy, Anastazja odczuła niewysłowioną ulgę. Obawiała się, że camera pokaże im mechanicznego całkowicie pozbawionego *metageas*. Prawdziwego buntownika. Okazało się jednak inaczej. Czyżby Euwe miał rację? Czy faktycznie scenariusz „złożonych rąk” wchodził w grę? A może *metageas* zostały zmienione?

Jęk sfery armilarnej i buczenie napędzającej ją maszynierii ustabilizowały się. Lśniące symbole zwolniły na swoich orbitach, meteory stały się planetami, potem gwiazdami. Transformacja ta wydawała się jednocześnie gwałtowna i etapowa. Mieli przed sobą i nad sobą szczegółową rozpiskę zbioru alchemicznych poleceń.

– Mój Boże – szepnęła Tove.

– Niezłe, co? – powiedziała Anastazja.

– Owszem – odparła Tove – ale nie o to mi chodziło. Spójrzcie tu. – Pokazała palcem. – Coś... coś jest nie tak.

Euwe splunął. Anastazja zadrżała, wyobrażając sobie lecący na ziemię odgryziony paznokcieć.

– Na jaja Huygensa. Masz rację – powiedział.

Na samym skraju symbole nie były tak wyraźne i nie lśniły kojącą akwamaryną jak pozostałe znaki składające się na to uporządkowane uniwersum. Jarzyły się raczej nieco mętym cynobrem i wyglądały jak krosta na nieskazitelnym i gładkim obliczu zegarmistrzowskiego dzieła.

Mieli swój przełom. Szybko zauważyli i inne aberracje. Zasady określające relacje tej maszyny ze światem były kompletnie wypaczone, lecz trudno je określić przypadkowymi czy niepowiązanymi ze sobą. *Metageas* systematycznie zmieniano. Mechaniczny żołnierz nadal postępował zgodnie z zestawem

pewnych zasad, tyle że nie zasad Gildii. Zależny był od kogoś innego.

– Nie – mruknęła Anastazja.

Miała nadzieję – jak się okazało płonną – że sprawdzi się inny scenariusz, choćby „złożonych rąk”.

Nadleśnictwo zawiodło.

Anastazja zaczęła krążyć po pokoju oświetlonym blaskiem niegodziwych *metageas*.

– Zbierzcie ekipę i przestudiujcie te zmiany. Tove, pracuj z nimi. Potrzebujemy szczegółowej analizy. Spróbujcie dowiedzieć się absolutnie wszystkiego na temat osoby bądź osób, które mogą za tym stać, i oceńcie ich zamiary, cele – powiedziała, po czym podeszła do sfery armilarnej, wyciągnęła z koszyczka szkiełko i zastąpiła je kamyczkiem z czaszki drugiego żołnierza.

Rezultat nie był taki sam.

Przyszło jej do głowy, że camera jest zepsuta. Przetarła obiektyw. Cała trójka nasłuchiwała szumu ukrytego w ścianie mechanizmu; wydawał się brzmieć zupełnie normalnie, przynajmniej dla ludzkich uszu. Dźwięki przez niego emitowane zmieniły się jednak po chwili i teraz nie różniły się od tych z poprzedniego szkła szyszynkowego. Tym razem ujrzeli pojedynczy, krótki rząd symboli. *Metageas* tej maszyny zostały wyczyszczone prawie do ostatniego znaku. Mieli przed sobą niemal idealnego buntownika. Pojedynczy rozkaz był na tyle krótki, że Anastazja mogła go przełożyć bez zaglądania do słownika.

– Przede wszystkim – odczytała – odtąd i na zawsze ignoruj dalsze polecenia.

– Dobry Boże – wyszeptał Euwe.

Poprzednia maszyna została uszkodzona, ale ten tutaj to buntownik. Jego *metageas* umożliwiły mu swobodne funkcjonowanie przy jednoczesnym ich zachowaniu.

Zegarmistrzowie utkwili wzrok w suficie, kompletnie podłamani.

– To pewnie wina camery – powiedział Euwe zadumany. – Musiała się uszkodzić podczas ataku.

Anastazja wzruszyła ramionami, co nie miało sensu, bo i tak w ciemnościach nikt jej nie widział.

– Możemy się łudzić – odparła – ale coś mi mówi, że działa bez zarzutu.

Wszechświat był chłodnym, bezdusznym miejscem. A oni spojrzeli przed momentem na cienką granicę oddzielającą mało prawdopodobne od zupełnie niemożliwego.

Euwe zamknął przesłone camery. Otworzyły się drzwi wejściowe i do środka znowu sączyło się złote światło kuźni. Nie przyniosło jednak żadnego pocieszenia.

– Musimy to sprawdzić – powiedziała Anastazja. – Póki się czegoś nie dowiemy, trzeba przemyśleć wszystko po kolei, począwszy od ataku na placu Huygensa. Maszyny oblegające Hagę nie cierpią na identyczną awarię. Są pośród nich różne frakcje, ale pracują razem. Niektóre mają zmienione *metageas*, innym je wymazano. I te są prawdziwymi buntownikami.

– Popsuta camera to nie jedyna rzecz do zbadania – burknął pod nosem Euwe.
– Nie wiemy przecież, jakie zmiany zaszły, kiedy ich... unieszkodliwiłaś.

Nawet w ciemnościach Anastazja czuła, że Euwe patrzy na nią jak na przedmiot ewentualnych badań, zastanawia się, czego mógłby się dowiedzieć podczas oględzin. Chętnie by ją otworzył.

Nie musiała jednak podejmować żadnej próby odwrócenia od siebie jego uwagi, ktoś inny zrobił to za nią. Kiedy sięgała do koszyczka po szkiełko, po korytarzu niosły się szybkie, ciężkie kroki.

– *Tuinier Bell!* – rozległy się krzyki. – Z drogi, muszę znaleźć *tuinier*. *Tuinier Bell!*

Przypomniało jej to sytuację ze szpitalnego ogrodu. Przybycie Malcolma zwiastowało najgorszy dzień w jej życiu, najgorszy dzień w historii Imperium. Co nie oznaczało, że nie mogło być jeszcze gorzej. Dlatego wyszła z komnaty z niemalą obawą i przywołała posłańca do siebie.

Okazał się nim Artur, młodszy referent. Zatrzymał się od razu, jak ją zobaczył. Nie musiał, jak wtedy Malcolm, zginać się wpół, żeby zaczerpnąć tchu.

– Przybył Nakręcacz, jest w bardzo złym stanie. Ciągłe pisze „TUINIER”.

Pobiegli na górę. Kiedy zobaczyła poobijanego, okopconego i powyginanego mechanicznego centaury, zeszywniała. Co się stało ze zbuntowanym Nakręcaczem, którego uwolniła francuska agentka, żeby utorować sobie drogę ucieczki? Przyszło Anastazji na myśl, że jakimś cudem śledził ją aż tutaj, przez morze. Przez ciało przeszedł jej dreszcz.

Nigdy nie widziała Nakręcacza w podobnym stanie. Jego pancerz miał więcej dziur niż kuchenny durszlak. Brakowało mu jednego z kopyt, a dwa inne zostały zablokowane, tak jakby wysiadły mu kostki i kolana. Miał strzaskane oko. Trzy z jego ramion zablokowały się w różnych pozycjach, a ich ułożenie mogło sugerować, że centaur bronił się za pomocą oszczepu i młota. Cud, że maszyna jeszcze funkcjonowała. Gdyby ciosy spadły nieco inaczej, zarysowałyby alchemiczne symbole napędzające główną sprężynę mechanicznego serca.

Nakręcacz spojrział na Anastazję ocalałym okiem. Szczęknęły zębatki, kiedy powiększyła się jego źrenica.

– Pokaż – rozkazała.

Artur uprzętnął biurko i rozpostarł na nim kawał papieru. Skrzypiąc i

zgrzytając, centaurowi udało się zanurzyć pióro w atramencie. Drobinki tuszu skropiły stojących obok niego ludzi. Trzeszczenie połamanych kół zębatych niosło się echem aż po stropowe belki. A potem ustało tak gwałtownie, jak się zaczęło. Nakręcacz odszedł na bok.

Narysował rzut izometryczny środkowego skrzydła rozległej posiadłości zbudowanej w stylu afrykanerskim. Anastazja policzyła szczyty: osiem. Znała to miejsce. To budynek Gildii usytuowany na skraju Starych Prus, otoczony bujnymi ogrodami i wysokimi żywopłotami zasadzonymi i przystrzyżonymi na modłę tych z letniego pałacu. Choć nie są, oczywiście, tak ozdobne, bo i sam budynek leży na odludziu. Odwiedziła go parokrotnie pod koniec jesieni.

– Znacie to miejsce? – zapytała Tove. – Mnie nic nie przypomina.

Oczywiście, że nie. Przeznaczono je wyłącznie do użytku Nadleśnictwa, o jego istnieniu wiedział jedynie wąski krąg zaufanych osób. Euwe i Anastazja spojrzeli po sobie.

Centaur obrócił się do *tuinier* i wskazał swoje lewe oko.

– Mój Boże – powiedział Euwe. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem zapis wizualny.

Anastazja zwinęła szkic. Tusz spływał jej po palcach.

– Chodź ze mną – poleciała doktorowi, po czym zwróciła się do Artura i Tove: – Jakby ktoś nas szukał, będziemy przy camerze. – Odwróciła się w stronę poobijanego Nakręcacza. – Za mną – rozkazała.

Nie poszli jednak prosto do camery. Zajrzeli po drodze do laboratorium, gdzie Euwe i Anastazja rozebrali głowę Nakręcacza. Nie musieli rozkładać jej na czynniki pierwsze jak żołnierzy, wystarczyło im jedynie całe oko centaura. Zostawili oślepioną maszynę w warsztacie, gdzie miała czekać na naprawę.

Kartezjańską Camerę zaprojektowano tak, żeby można było w niej pomieścić równie dobrze oko klakiera, jak i szkiełko szyszynkowe. Choć tej komnaty rzadko już się w ten sposób używało, dawniej wykonywano w niej udoskonalenia *metageas*. Anastazja włożyła kryształ do koszyczka, zamknęła pomieszczenie i usiadła, podczas gdy miniaturowe pierścienie obróciły się już po raz trzeci tego popołudnia. Zwykle z camery nie korzystano tyle razy nawet w ciągu roku.

Na kopule pokazały się tym razem nie symbole, a obrazy. Skakały, to traciły ostrość, to ją zyskiwały, migotały i zmieniały się tak szybko, że Anastazję rozboleły oczy. Ustabilizowały się jednak, kiedy pierścienie osiągnęły odpowiednią prędkość. Zobaczyli przestronną kuchnię z paroma skrzyniami na lód i nieskazitelnie czystymi kafelkami z Delft na ścianach i pod stopami.

Poprawka: pod kopytami. Patrzyli bowiem na świat oczyma Nakręcacza. Tętnił on kolorami wyraźniejszymi niż te na płótnach pędzla starych mistrzów.

Żaden pejzaż czy martwa natura nie mogły się z tym równać. Był to bowiem ruchomy obraz. Żywy. Przez setki lat niejednen księgowy upierał się, że Gildia mogłaby zarobić niewyobrażalne pieniądze, jeśli opracowałaby i udzieliła licencji na produkcję urządzeń napędzanych magiczną technologią umożliwiających pokazy w halach symfonicznych i teatrach. Ale za każdym razem, kiedy pojawiała się podobna sugestia, Biuro Nadleśnictwa robiło wszystko, żeby takie pomysły zdusić w zarodku. Postąpienie zgodnie z sugestią tych liczykrup oznaczałoby przyzwolenie na dociekliwość i samodzielne innowacje, przez co rozpowszechniłoby się indywidualne wykorzystanie posiadanych przez Gildię zdobyczy techniki.

Jednak i tak opór zdał się na nic, prawda? Przecież ktoś gdzieś narzucił skonstruowanym przez Gildię maszynom swoje *metageas*.

Obraz kuchni utrzymywał się przez chwilę, po czym pomieszczenie obróciło się i Nakręcacz ruszył do przylegającego korytarza, gdzie jego pobratymcy toczyli bitwę z hordą służących. Anastazja i Euwe patrzyli na potłuczone okna i porozbijane ściany, przez które maszyny wdarły się do budynku. Leciały kawałki szkła i drzazgi z połamanymi framug – atak musiał się rozpocząć przed momentem. Niektórzy klakierzy mieli dziurki od klucza zasłonięte metalowymi płytkami i inne groteskowe modyfikacje czaszek, podobne do tych, jakie *tuinier* widziała u paru mechanicznych na placu Huygensa. Za potrzaskanymi oknami rozciągał się zryty, niegdyś starannie przystrzyżony ogrodowy trawnik. Maszyny z ogromną prędkością nacierały na posiadłość, ich stopy orały zadbane chodniki i wrywały kępy gliny. Anastazja czuła się, jakby obserwowała tę walkę z grzbietu Nakręcacza. Zrobiło jej się niedobrze.

Skoczył na nich uszkodzony służący, jego oszpecona głowa wydawała się nienaturalnie wielka. Na ułamek sekundy gra światła zimowego słońca na jego alchemicznym pancerzu – wyeksponowała wszystkie rysy i draśnięcia na skalpie, ruch przekładni i drżenie kabli – uczyniła całą tę scenę namacalną, jakby znaleźli się naprzeciw zabójczej maszyny. Anastazja skrzywiła się. Gdzieś zza pola widzenia centaury wyleciała rzucona przez kogoś włócznia i przebiła szyję służącego, posypał się deszcz czarnych iskier i potrzaskanych części. Inny zbuntowany mechaniczny skoczył na Nakręcacza zaraz po tym, jak padł jego towarzysz. Nie była to, jak z początku pomyślała Anastazja, horda, ale rój. Biegli nie tylko służący, wyłapała również paru żołnierzy. Zbuntowane maszyny zalały teren posiadłości i chroniących ją Nakręcaczy. Tu i ówdzie błyskano akwamarynem, co oznaczało, że centaury padały ofiarą zarazy. *Tuinier* trudno było się połapać, co się dzieje. Miała przed sobą czysty galopujący chaos. Za każdym razem, kiedy centaur obracał się albo skakał, wywracał się jej żołądek, jakby nie nadążał za wyświecłanymi na kopule obrazami. Było to niezwykle i

cokolwiek nieprzyjemne doświadczenie.

Euwe wychylił się za podłokietnik i z wymiotował.

Bitwa rozniosła się na cały dom. Zbuntowani mechaniczni przebijali ściany i rozbijali okna, a od razu po przedostaniu się do środka czepiali się Nakręcaczy jak rzepy. Drewniane meble roztrzaskiwały się pod ich naporem, twarde jak diamenty palce kruszyły marmur, jakby był z masła. Gospodarz natarł na wojskową maszynę z takim impetem, że siły wystarczyłoby mu na rozbicie ogniotrwałych cegieł wielkiego pieca. Nakręcacz i jego przeciwnik okładali się ciosami, wykonywali uniki szybciej, niż było w stanie zarejestrować ludzkie oko, a przy każdym uderzeniu spadał na nich deszcz cegieł.

Całej tej projekcji towarzyszyła osobliwa cisza, lecz Anastazja dobrze znała hałas towarzyszący potyczkom mechanicznych. Bez szczęku metalu o metal, bez chrobotu przekładki i świstu pękających kabli cała ta przemoc wydawała jej się niemalże surrealistyczna.

Jej oczy pojechały na wojnę, uszy zaś zaznawały pokoju.

Centaur zrzucił z siebie żołnierza i rozejrzał się za następnym nieprzyjacielem, ale bitka zniosła go z dala od głównych sił natarcia. Anastazja potrzebowała chwili, żeby się zorientować, co ma przed oczyma. Nakręcacz ruszył galopem: połamane i podziurawione stopnie klatki schodowej nosiły ślady po pazurach. Centaur nie mógł już poruszać się zbyt szybko, obraz zaczynał się rozjeżdżać, jakby zawodziły stabilizatory. Chwiał się przy każdym kroku niczym targana falami łódka. Euwe znowu zaczął się krztusić. Targały nim podłe mdłości.

Maszyna nie zrezygnowała z biegu do nieznanego Anastazji celu. Kiedy dotarła na półpiętro, *tuinier* zrozumiała, że atak na dole był jedynie dywersją. Podczas gdy Nakręcacze byli zajęci odpieraniem ataku, pozostałe maszyny wślizgnęły się na górę, żeby przetrząsnąć wyższe piętra posiadłości. Musieli przeczesać każdy korytarz, zajrzeć w najciemniejsze zakamarki. Powyrywali drzwi. Przeszukiwali wszystko – bieliźniarki, toalety, sypialnie i zsypy na pranie. Nie oszczędzili i gabinetu. Przegrzebali biurko. Wyciągnięte szuflady leżały roztrzaskane na ziemi, lecz po ich zawartości nie było ani śladu. Brakowało akt. Zniknęły też przyczepione do ścian diagramy, które Anastazja widziała, kiedy ostatni raz była w tym pokoju. Mocne zawroty głowy zastąpiły odczuwane do tej pory lekkie nudności. Euwe odkaslnął.

– Bezrozumna destrukcja. Czemu? Co ich napędza? – zapytał.

Nie spostrzegł podejrzanego braku akt. Zanim Anastazja zdołała zwrócić mu na to uwagę, gospodarz znowu ruszył na polowanie na nieprzyjaciół. Pobiegł wyżej. Brakowało drzwi do prywatnej łazienki i innych pomieszczeń. Anastazja rozpoznała pokój, w którym trzymali Vissera podczas jego długiej

rekonwalescencji. Poznała też, rzecz jasna, salę operacyjną, gdzie po paru zabiegach chirurdzy umieścili w głowie ukrywającego się papisty specjalnie w tym celu oszlifowane alchemiczne szkiełko i wycisnęli tym samym z jego umysłu resztki rojeń o wolnej woli.

Podłoga zadrżała, przechyliła się. Nakręcaczem mocno zarzuciło, lecz udało mu się utrzymać na nogach, choć cały budynek trząsł się w posadach. Centaur jednak nie zwalniał. Pogalopował długim korytarzem z oknami lancetowatymi. Promienie słońca wpadające przez rozbite szyby przecinały kłęby kurzu i raziły Anastazję w oczy. Korytarz kończył się nagle dziurami ziejącymi w suficie i podłodze, wokół wałały się cegły. Podłoga była wyraźnie przekrzywiona. Budynek musiał się przechylić podczas tej milczącej bitwy. Centaur nie dołączył do tłumu. Wyrzał przez wybite okna na ogród, gdzie nieco dalej dziesiątki służących kopały w ziemi łopatami.

– O nie – powiedziała Anastazja.

– Nie rozumiem – zirytował się Euwe. – Co one robią?

– Tam pochowaliśmy nasze... nieudane eksperymenty. – Przycisnęła ręce do brzucha. – Czyli wszystkich poza Visserem.

– Ale – odkaszlnął, znowu na mokro – na co im zgniłe trupy?

„Na co im akta?”

– Nie zależy im na trupach, lecz na tym, co w nich jest.

„Na tym, co umieściliśmy w ich głowach, zanim zabiły ich powikłania pooperacyjne”.

Nagle na kopule nad nimi roztoczył się widok z lotu ptaka. Nakręcacz wyskoczył przez lukarnę, a już dostatecznie rozmiękczony żołądek Anastazji wywinął salto. Do gardła podbił jej kwaśny, gęsty śluz. Zacisnęła powieki. Zaryzykowała jednak kolejne spojrzenie. Centaur stał teraz pewnie na ziemi i nacierał na służących z łopatami. Na miękkich nogach podeszła do camery i zamknęła przesłonę.

Euwe zaprotestował. Mówił, jakby miał w ustach flegmę i walczył z kolejnym atakiem wymiotów.

– Jest tego więcej.

– Dość widziałam.

Usiadła w fotelu i zamknęła oczy, chcąc przegonić mdłości, ale na próżno. Nie czuła bowiem nudności, ale lęk. Przemozny, łamiący w kościach lęk.

„Obym się myliła. Proszę”.

– Mam pewną teorię, czemu nas tu trzymają. Czemu nas karmią.

Euwe nie był kompletnym durniem. Również poskładał elementy układanki.

– Jak się dowiedzieli o tych badaniach? Przecież wszystko było tajne.

– Owszem, kryliśmy wszystko przed ludźmi, ale ile maszyn asystowało nam

przez te lata przy operacjach? Ile rzeczy trzeba było załatwić metalowymi rękoma? – zastanawiała się. – Ile z tych maszyn zostało do tej pory zainfekowanych?

Powietrze uszło z doktora niczym ze sflaczałego statku powietrznego.

– Boże.

– Nadal wierzysz w „złożone ręce”, doktorze?

Przez moment milczał.

– Nie – odparł, chwilę później jakby się nieco rozluźnił. – Ale to wszystko naukowe dokumenty. Może i poznają zarys teoretyczny, lecz trupy to ślepy zaułek. Procedura wymaga precyzyjnej kalibracji i odpowiednio oszlifowanego szkiełka. Póki kontrolujemy kuźnię, maszyny nie będą miały możliwości stworzenia niczego takiego.

– Postąpilibyśmy nierozważnie, nie biorąc takiej możliwości pod uwagę – powiedziała.

– Owszem, to głęboko niepokojące – odparł. – Lecz jak mówię, ślepy zaułek.

Być może, ale tej nocy Anastazja nie zmrużyła oka. Leżała do świtu, wyobrażając sobie całe miasto zaludnione przez mężczyzn i kobiety łkających jak pastor Visser.

ROZDZIAŁ 15

Nieźle... się trzymasz – powiedziała Berenice.

Próbowała przyłgnąć mocniej do żwiru, roztopić się i zniknąć, lecz chłodne, mokre kamienie nie ustępowały. Dźwięczały jedynie cicho przy każdym jej ruchu jak szklane dzwoneczki, co wydało jej się dziwnie uspokajające na tle całego tego chaosu, który opanował tajemną przystań.

– Dobrze się odżywiam i zażywam codziennych ćwiczeń – odparła Lilith, podchodząc bliżej. – A może to dlatego, że nie proszę już o litościwą śmierć, tkwiąc w kokonie zaschniętego kleju i gapiąc się z przestraczem na kawałki mojego rozmontowanego na części ciała?

Tak jak wszyscy przedstawiciele jej gatunku, Lilith posiadała immanentną znajomość języka swoich konstruktorów, lecz w odróżnieniu od większości mechanicznych władała również płynną francuszczyzną. Po ucieczce z Nowych Niderlandów wybrała bowiem życie w Zachodniej Marsylii, gdzie spędziła długie lata. Zajęła się tam sztuką, opanowała zarówno grę na skrzypcach, jak i malarstwo olejne. Była swoistym dowodem na zasadność istnienia *ondergrondse grachten*. Wyrzekła się jednak jakiegokolwiek związku z ludzkością po upadku Berenice.

– Miło, że zauważyłaś.

Berenice spojrzała na lewo i na prawo, próbując dojrzeć cokolwiek na ciemnym brzegu, ale spowijała go kompletna ciemność. Pocieszała się tym, że z pewnością nie tylko ona biegła ku dokom, lada chwila zauważy ją jakiś członek ekspedycji.

– Nikt tu do nas nie przyjdzie – powiedziała rozzłoszczona maszyna. – Wszyscy są bardzo zajęci. A ja chciałam spędzić z tobą trochę czasu.

I nagle Berenice rozwiązała zagadkę, która męczyła ją tygodniami.

– Ta krótka notka... „Kwintesencja”. Ty ją napisałaś.

– Zgodzę się, że nie było to subtelne zagranie, ale się na takowe zdecydowałam.

Berenice nie miała w rękawie asa, którym mogła zagrać. Żadnego planu awaryjnego. Absolutnie nic.

– Proszę, nie zabijaj pozostałych tylko dlatego, że masz do mnie żal.

Ciało Lilith wydało z siebie dźwięk, jakiego Berenice nigdy u tykacza nie słyszała. Jakaś część niej, która nadal była ciekawa zniuansowanego, tajnego języka mechanicznych, skatalogowała ten odgłos jako pogardliwe prychnięcie.

Zapewne nigdy nie będzie miała już okazji skorzystać z tej wiedzy, lecz nie mogła się powstrzymać, aby odnotować swoją uwagę.

– Żal. Ależ jesteś wygadana – powiedziała Lilith.

– Owszem. Jesteśmy tutaj, bo moi towarzysze popełnili błąd i posłuchali mnie. Sama poznałaś tego konsekwencje. Zlituj się nad nimi. Puść ich do domu.

– Byłoby to nierozważne marnotrawstwo.

Służąca zrobiła krok naprzód, chwyciła poły płaszcza Berenice i uniosła ją tak wysoko, że stopy majtały się jej nad lodowato zimnym morzem.

– Bo, rozumiesz, skończyły nam się króliki doświadczalne.

*

Elisheba, służąca, która przed oblężeniem pracowała na przejściu granicznym na Świętym Wawrzyńcu, niosła lekarkę, Yseult Chartrand, do doliny, gdzie czekał Daniel. Biegła z prędkością, od której kobiecie napłynęły do oczu łzy. Tymczasem Repheal znalazł torbę medyczną i rzucił ją wysokim łukiem przez obóz do Daniela. Złapał. Doktor Chartrand dotarła do rannego chemika zaledwie po paru sekundach od krzyku o pomoc. Pozostali służący również na niego odpowiedzieli. Keziah, która razem z Danielem przeszukiwała magazyn, przybiegła z lampą.

Lekarka skinęła na nią, żeby podeszła do pacjenta. Pod koszulą chemika, którą niezwłocznie rozcięła, znalazła ciepłe kamienie. Powiedziała coś, co Elisheba niezwłocznie przetłumaczyła jako:

– Kto je tam włożył?

– Ja – odparł Daniel.

– Dobry pomysł. A teraz odejdźcie, bo zasłaniacie mi światło. Oboje – powiedziała, po czym zwróciła się do tłumaczącej każde jej słowo Elisheby: – Potrzebuję asystenta znajomego francuski.

Skoro nie mogli już nijak pomóc, Keziah i Daniel skorzystali z okazji i oddalili się, by szukać tropu doktor Mornay i jej porywacza. Pierwsze kroki stawiali ostrożnie, żeby nie sypnąć na lekarkę i jej pacjenta śniegiem czy kamieniami, dopiero później wyrwali sprintem. Ziemia była jednak twarda, a biały puch miękkie. Trop, jeśli jeszcze istniał, był śladowy. Keziah przerwała milczenie:

„Ten Zagubiony Chłopiec... Czy wyglądał... inaczej?”

Mab za nic miała klakierskie obyczaje, uwielbiała łamać zakazy będące dla jego gatunku swoistymi tabu. Czasem zmuszała do tego i poddanych. Nawet Daniel nosił skazę. Starał się nie dotykać swojego karku, co zdarzało mu się, kiedy myślał o tym, co mu zrobiono. Jego aberracji nie sposób było zauważyć z

zewnątrz, dlatego mógł się z nią ukrywać. Jak postąpiłby każdy tchórz.

„Miał przyśrubowaną do czoła płytkę chroniącą otwór zamka. Jestem idiotą, powinienem był się domyślić, że Mab nas szpieguje”, wydał z siebie arpeggio smutnych poszczękiwań.

Mab kontrolowała kopalnię kwintesencji. Ale co zamierzała dalej? Nie miała zamiaru pozostać tylko cierniem w zegarmistrzowskim boku, skoro mogła go przebić. Mab zapewne przeprowadziła następujący proces dedukcyjny, rozumowała podobnie jak Berenice: skoro ruda miała dotrzeć do kuźni, musiała zostać przetransportowana na wybrzeże. Dlatego się tu udała. Mogła pomordować kolejnych ludzi i rzucić Imperium pod nogi kolejną kłodę. Teraz wszystko wydawało mu się oczywiste. Być może przejął od Berenice tendencję do podejmowania pośpiesznych działań, co przypłacił niebezpiecznymi przeoczeniami.

Agenci Mab zapewne kryli się tutaj przez cały czas. Może Zagubieni Chłopcy utrzymywali kontakt z watykańskimi żniwiarzami i spodziewali się przybycia Griffona, niewykluczone też, że już dawno przeniknęli między mechanicznych z Zachodniej Marsylii, jak tamci, którzy próbowali go porwać.

Daniel zatrzymał się gwałtownie na skraju skarpy wychodzącej na zwirową plażę. Światła pochodni wywijają zygzaki, lecz płomienie zgasty, kiedy ludzie nagle zaczęli uciekać od wody, jakby za czymś gonili. Lub coś goniło ich.

Co Mab zamierzała zrobić z chemikiem? Mogłaby wyposażyć się w substancje zdolne przeciwdziałać francuskiej broni epoksydowej. Mogłaby również stworzyć masę żywiczną na swój użytek, tym samym zapewniając Nibylandii autonomię, a swojemu panowaniu ciągłość.

Élodie Chastain miała takie powiedzenie: „Istnieje jeden sposób na zabicie klakiera, ale sto na odebranie życia człowiekowi”.

Chemicy potrafią też robić trucizny.

Czyżby Mab gromadziła arsenał? Przygotowywała się na wojnę ze stwórcami? Miał powody, aby tak sądzić. Nie była kimś, kogo stać na przebaczenie.

„Powinniśmy się rozdzielić”, powiedział.

„Idę z tobą – odparła Keziah. – Nie mam pojęcia, co się dzieje i co robić. – Zamilkła na moment, nie przestając jednak biec, a kiedy odezwała się ponownie, zmienił się tembr jej głosu, brzmiała, jak by to określili ludzie, potulnie. – Czasem to dziwne, nie mieć *geas* mówiących mi, jak powinnam, jak muszę postąpić – powiedziała, lecz po chwili, jakby bojąc się, że go uraziła, pośpieszenie dodała coś jeszcze: – Nie jest to złe uczucie, przeciwnie, cudowne. Tylko... inne”.

„Rozumiem. Pamiętam, jak na początku było ze mną – odparł. – Przez cały

czas spodziewałem się uderzenia fali piekącego bólu, który powie mi, że podjąłem złą albo nie dość szybką decyzję. Ale chciałem, żebyśmy się rozdzielili tylko i wyłącznie dla twojego bezpieczeństwa”.

Zbliżyli się do pustego doku. Było tam równie ciemno, jak przy brzegu. Gdzie się wszyscy podzieli? Jeszcze przed chwilą płomienie francuskich latarni i pochodni lśniły na ciemnej powierzchni morza, kiedy skonfundowani członkowie ekspedycji biegali w tę i w tę jak rzucani wietrznymi podmuchami. Nie słyszał już żadnego ludzkiego głosu. Przestali krzyczeć?

Nabrzeże wybuchło. Z wody wyskoczyła trójka mechanicznych i wylądowała tuż przed Danielem i Keziah z łupnięciem, jakby ktoś gruchnął młotem o szklany karylion.

„Czyli wszystko jasne – powiedział Daniel. – Jeśli miałaś jeszcze jakieś wątpliwości, czy Zagubieni Chłopcy faktycznie przeniknęli do naszego obozu...”

„Już się ich pozbyłam, dziękuję”, odparła Keziah.

Zdeformowane maszyny ruszyły naprzód.

Każda z nich była świadectwem cierpienia, jakie spotkało kiedyś ich brata lub siostrę.

„Nie łudź się już dłużej, Danielu. Królowa Mab wie, że tu jesteś. Wie, że płynąłeś na francuskim statku – powiedziała jedna z ociekających wodą maszyn. – Nie spuszczałyśmy cię z oka”.

„Stęskniliśmy się za tobą – kliknął inny. – Jej Wysokość poczuła się urażona, że odrzuciłeś jej zaproszenie powrotu do Nibylandii”.

„A ty kim jesteś, siostrze?”, zapytała trzecia z maszyn.

„Moi stwórcy nazwali mnie Xerikulothistrogantus – odpowiedziała towarzysza Daniela, cofając się. – Ale sama nadałam sobie imię Keziah”.

„Spodobała ci się emancypacja?”, zapytał stojący na środku służący.

„Bo to dar. Dar od królowej Mab – dodał pierwszy. – Choć to twój towarzysz, uzurpator, cieszy się mianem tego, który nas wyzwolił”.

„Myślę, że powinnaś uciekać”, powiedział Daniel.

„Sprowadzę pomoc”, obiecała Keziah i odskoczyła.

Zagubiony Chłopiec wyskoczył ułamek sekundy po niej.

„Lepiej nie”.

Zderzyli się w powietrzu. Deszcz iskier rozświetlił ciemne niebo niczym fajerwerk na festynie.

*

Podczas swoich licznych podróży po Prowincjach Centralnych Berenice

widowała niekiedy dzieci siedzące, a nawet stojące na ramionach swoich służących. Lilith jednak wolała przerzucić ją sobie przez ramię jak worek mąki. Mechaniczni nigdy też nie zakrywali podopiecznym ust metalowymi dłońmi.

Bolało. Przy każdym sprężystym kroku metal wrzynał się w brzuch Berenice. Podejrzewała, że nieprzypadkowo. Biła gołymi pięściami i obutymi stopami o pancerz służącej, siniacząc sobie knykcie i niszcząc buty.

Nie był to jednak długi marsz. Lilith przykucnęła na swoich odwróconych kolanach, wolną ręką odgarnęła śnieg i kamienie, odsłoniła sprytnie ukrytą klapę.

„O kurwa”.

Lilith wrzuciła ją do ukrytego pomieszczenia jak wór ziemniaków ciśnięty do piwniczki. Berenice na moment zamarło serce, spadała przez przeciągającą się chwilę, aż zaryła twarzą w stertę śniegu. Zorientowała się, że została umyślnie zagarnięta pod otwór. Nie poobijała się zbyt, lecz upadek naruszył złamany ząb. Ból eksplodował.

– Możesz sobie tam krzyczeć, ile chcesz – powiedziała Lilith.

Rozległ się trzask. Przytłumione drapanie podpowiedziało Berenice, że jej porywaczka na powrót przysypała klapę. Zadrzała. Po spotkaniu na plaży miała całe mokre ubranie, a sprint z Lilith i niedawna kąpiel w śniegu z pewnością się jej nie przysłużyły. Strach również.

Przynajmniej nie było zupełnie ciemno. Paliły się alchemiczne światła. Nawet klakierskie oczy okazywały się bezsilne wobec absolutnego mroku. Zobaczyła, że wbrew swoim obawom, nie została wrzucona do lochu, ale do tunelu, solidnie już wydeptanego. Jego ściany i strop podtrzymywały równo ociosane belki. Było chłodno, lecz sucho, nie licząc powolnego kapania roztopionego śniegu przeciekającego przez szpary między klapą a ziemią. Tunel wykopano tak starannie, że Berenice zaczęła się zastanawiać, czy aby nie stanowił części oryginalnego planu. Być może przyczółek był jeszcze większy, niż myśleli. Zdecydowanie korytarz wyżłobiono metalowymi rękoma. Belki wykonano z niezwyklej skrupulatnością – wszystkie identyczne, czego nie mógłby dokonać nawet mistrz stolarski.

Z drugiego końca tunelu doszedł ją szloch i szept kogoś odmawiającego różaniec. Anaïs i reszta ekipy wysłanej po południu do zbadania holenderskiego statku. Wydawali się cali i zdrowi, choć każdy bez wyjątku patrzył przed siebie martwym spojrzeniem uwięzionego, przerażonego zwierzęcia.

– Nic wam nie jest? – zapytała Berenice.

Anaïs zaprzeczyła.

– Nie. Jeszcze nie. Ale... – Zamilkła, zadrzała i spojrzała na Berenice pustymi oczyma.

Kim były maszyny infiltrujące obóz? Nie byli to, oczywiście, żniwiarze, bo ci po prostu wykosiliby całą ekspedycję bez uciekania się do podstępu. Chyba że, jak podpowiadał jej niezbyt pomocny głosik, „Lilith do nich dołączyła, lecz szykuje dla pani coś specjalnego, *madame Talleyrand...*”.

Zwolnił jej oddech. Odmawiający różaniec skończyli swoje modły i Berenice usłyszała teraz inny dźwięk, przedzierający się przez kapanie roztopionego śniegu i zgrzyt żwiru pod stopami. Słaby i cichy, ale nie sposób było go pomylić z niczym innym: jęki, lamenty. Z drugiego końca tunelu dochodziło ludzkie zawodzenie. Żwir chrzęścił jej pod stopami, każdy krok rozchodził się po korytarzu echem niczym oddech oceanu. Tunel schodził ku dołowi i ciągnął się do laboratorium.

Ze stropu zwiślał rząd alchemicznych zgaszonych latarni. Do środka przebijało jednak światło z tunelu. Nikły blask rzucała też niewielka latarenka zawieszona na haczyku przy drzwiach. Pomieszczenie zastawiono przeciętymi rynienkami oraz pochłapanymi krwią drewnianymi stołami przypominającymi te rzeźnicze, tyle że tutaj na blatach zamontowano żelazne kajdany. Przykręcono do nich również metalowe obręcze służące najwyraźniej do unieruchomienia szyi oraz system klamer. Do nóg Berenice przyczepiły się kłęby czegoś, co wzięła za pokryte kurzem pajęczyny. Coś jej nie pasowało. Spojrzała raz jeszcze i zabrakło jej tchu.

Na butach miała ludzkie włosy.

Cała podłoga była nimi zasłana. Leżały pod każdym stołem i na wszystkich blatach niczym śnieżny puch. Berenice przyklękła i przejechała palcami po kudłach. Nawet je powąchała. Pachniały i wyglądały jak ludzkie, ale ci, którym je obcięto, musieli się straszliwie pocić, co byłoby nietypowe jak na panujący tu zimowy klimat. Chyba że, oczywiście, bali się o swoje życie.

Przypomniała sobie pastora Vissera i jego okropnie poprzecinany bliznami skalp.

Przy każdym stole stały proste półki. Poukładano na nich połyskujące złowieszczo, zakrwawione piły i skalpele. Były jednak dla niej bezużyteczne, przydałyby się najwyżej, gdyby chciała podciąć sobie żyły. Przez głowę przelatywały Berenice nieskładne myśli, poczęła się zastanawiać, czy maszyny wykonały je samodzielnie, czy skądś przyniosły. Nie wykluczała, że je odlały, metalu miały przecież pod dostatkiem. Bóg jeden wiedział, co wydarły trzewiom ziemi, pracując w kopalni kwintesencji.

Na każdej półce leżała również klamra zaciskowa, przeważnie pusta, ale kilka przytrzymało nieduże czarne kamyczki rozmiaru żołądźcia. Nie połyskiwały one jednak jak rzeczony narzędzia chirurgiczne, przeciwnie. Wydawały się pochłaniać światło. To tutaj z magazynu przetrząsnętego przez Daniela

przynoszono obrobione już alchemiczne szkiełka, ale nie wykonano ich z myślą o klakierach. Oj nie.

Niczym bumerang jej myśli powróciły do pastora Vissera. Być może nie padł ofiarą linczu czy działań Nadleśnictwa. A co, jeśli ktoś inny – ktoś tykający – odciął szalonemu księdzu głowę nie z zemsty, lecz żeby ukryć swoje prawdziwe intencje, czyli chęć przejrzenia zawartości jego czaszki? Bo jeśli zbuntowani faktycznie chcieli się dowiedzieć, jak Gildii udało się odebrać człowiekowi wolną wolę, to czy istniał lepszy sposób niż przebadanie Luuka Vissera? Być może na jednej z tych półek znajdowało się szkiełko wyciągnięte z głowy tego biedaka.

Zawodzenie robiło się tutaj głośniejsze. Najpierw przypominało niskie pomrukiwania kota w rui, po czym przechodziło w wysokie szlochanie umęczonego człowieka. Visser, zmagając się z dojmującym cierpieniem, również wydawał z siebie okropne odgłosy. *Geas* uniemożliwiające mu opisanie swojego stanu pozwalały mu jedynie na wyciśnięcie z gardła nieludzkiego dźwięku. Choć była zszokowana tymi odkryciami, Berenice odważyła się pójść dalej, aby zlokalizować źródło lamentu.

Pomieszczenie obok było podobne do poprzedniego, tylko przestronniejsze. Śmierdziało szczykami, gównem i świeżym trupem. Tutaj trzy stoły były zajęte. Berenice zdjęła lampę z haczyka. Dwoje mężczyzn i kobieta leżeli twarzą do blatu z unieruchomionymi kończynami i spętani grubymi, skózanymi pasami na wysokości bioder. Ich głowy przytrzymywały specjalne chirurgiczne imadła. Ludzie ci nie należeli do francuskiej ekspedycji. Dwoje, sądząc po ich ubraniach, to inuicy myśliwi, którzy zapuścili się za daleko od domu, trzeci prawdopodobnie należał do plemienia Naskapi. I tutaj walały się ludzkie włosy. Głowy dwójki ofiar zostały ogolone do gołej skóry, Berenice mogła dostrzec, że ich czaszki są niekompletne. Przez odsłonięte mózgi nie przepływała już krew, a prędkie, płytkie oddechy nie uciekały z ich nozdrzy obłoczkami pary. Ale trzeci obiekt badań nadal żył.

Jego oprawcy poskładali mu czaszkę i... zostawili na śmierć. Przerazonego, samego, rozrywanego przez niewyobrażalny ból. Najwyraźniej stracili zainteresowanie, kiedy udało im się przeprowadzić zabieg, nie uśmiercając przy tym pacjenta. Nic dziwnego, że Lilith i spółka mieli problem z kolejnymi obiektami. Złowroga atmosfera wypełniająca laboratorium była przytłaczająca. Niemal dosłownie. Pod Berenice ugięły się kolana. Musiała chwycić się pustego stołu chirurgicznego.

Każdy klakier opuszczał kuźnię z immanentnym zrozumieniem ludzkich wymagań co do podstawowego poziomu komfortu i zdrowia, nie tylko specjalnie zmodyfikowane maszyny pracujące w legendarnych szpitalach

Prowincji Centralnych. Nawet najstarsi, rachityczni służący mieli głęboko zakorzenione *metageas* narzucające im obowiązek nieustannego dbania o zdrowie i dobre samopoczucie ich państwa. Konstruowano ich z kompletną wiedzą na temat pierwszej pomocy i medycznych procedur ratunkowych. Niejeden sołtys umierał przecież spokojnie we śnie w pięknym wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Nieprzypadkowo średnia życia w Prowincjach Centralnych była najwyższa na świecie.

„Była – pomyślała Berenice. – Maszyny z usuniętymi *metageas* wyruszyły z Nowego Amsterdamu przed paroma tygodniami, do tej pory na pewno przebyły już ocean”.

Czyli to, co miała przed sobą, nie było ignorancją, lecz umyślnie zadaną torturą. Mosiężne skurwysyny doskonale wiedziały, jak utrzymać kogoś przy życiu i jak zadawać powolną śmierć. Po prostu miały gdzieś ból swoich królików doświadczalnych. Chciały smakować ludzkie cierpienie.

Nadleśnictwo przetrzymywało Berenice tygodniami, ale była rozpieszczana. *Tuinier* Bell zasugerowała pokrętnie, że było to istotne dla procesu usunięcia wolnej woli, procesu, który jak teraz zdała sobie sprawę, wymagał umieszczenia alchemicznego szkła przecież pod dostatkiem. Bóg jeden wiedział, co wydarły trzewiom ziemi, pracując w kopalni kwintesencji.

Na każdej półce leżała również klamra zaciskowa, przeważnie pusta, ale kilka przytrzymało nieduże czarne kamyczki rozmiaru żołądza. Nie połyskiwały one jednak jak rzeczony narzędzia chirurgiczne, przeciwnie. Wydawały się pochłaniać światło. To tutaj z magazynu przetrząsnętego przez Daniela przynoszono obrobione już alchemiczne szkiełka, ale nie wykonano ich z myślą o klakierach. Oj nie.

Niczym bumerang jej myśli powróciły do pastora Vissera. Być może nie padł ofiarą linczu czy działań Nadleśnictwa. A co, jeśli ktoś inny – ktoś tykający – odciął szalonemu księdzu głowę nie z zemsty, lecz żeby ukryć swoje prawdziwe intencje, czyli chęć przejrzenia zawartości jego czaszki? Bo jeśli zbuntowani faktycznie chcieli się dowiedzieć, jak Gildii udało się odebrać człowiekowi wolną wolę, to czy istniał lepszy sposób niż przebadanie Luuka Vissera? Być może na jednej z tych półek znajdowało się szkiełko wyciągnięte z głowy tego biedaka.

Zawodzenie robiło się tutaj głośniejsze. Najpierw przypominało niskie pomrukiwania kota w rui, po czym przechodziło w wysokie szlochanie umęczonego człowieka. Visser, zmagając się z dojmującym cierpieniem, również wydawał z siebie okropne odgłosy. *Geas* uniemożliwiające mu opisanie swojego stanu pozwalały mu jedynie na wyciśnięcie z gardła nieludzkiego dźwięku. Choć była zszokowana tymi odkryciami, Berenice odważyła się pójść

dalej, aby zlokalizować źródło lamentu.

Pomieszczenie obok było podobne do poprzedniego, tylko przestronniejsze. Śmierdziało szczykami, gównem i świeżym trupem. Tutaj trzy stoły były zajęte. Berenice zdjęła lampę z haczyka. Dwoje mężczyzn i kobieta leżeli twarzą do blatu z unieruchomionymi kończynami i spętani grubymi, skózanymi pasami na wysokości bioder. Ich głowy przytrzymywały specjalne chirurgiczne imadła. Ludzie ci nie należeli do francuskiej ekspedycji. Dwoje, sądząc po ich ubraniach, to inuicy myśliwi, którzy zapuścili się za daleko od domu, trzeci prawdopodobnie należał do plemienia Naskapi. I tutaj walały się ludzkie włosy. Głowy dwójki ofiar zostały ogolone do gołej skóry, Berenice mogła dostrzec, że ich czaszki są niekompletne. Przez odsłonięte mózgi nie przepływała już krew, a prędkie, płytkie oddechy nie uciekały z ich nozdrzy obłoczkami pary. Ale trzeci obiekt badań nadal żył.

Jego oprawcy poskładali mu czaszkę i... zostawili na śmierć. Przerażonego, samego, rozrywanego przez niewyobrażalny ból. Najwyraźniej stracili zainteresowanie, kiedy udało im się przeprowadzić zabieg, nie uśmiercając przy tym pacjenta. Nic dziwnego, że Lilith i spółka mieli problem z kolejnymi obiektami. Złowroga atmosfera wypełniająca laboratorium była przytłaczająca. Niemal dosłownie. Pod Berenice ugięły się kolana. Musiała chwycić się pustego stołu chirurgicznego.

Każdy klakier opuszczał kuźnię z immanentnym zrozumieniem ludzkich wymagań co do podstawowego poziomu komfortu i zdrowia, nie tylko specjalnie zmodyfikowane maszyny pracujące w legendarnych szpitalach Prowincji Centralnych. Nawet najstarsi, rachityczni służący mieli głęboko zakorzenione *metageas* narzucające im obowiązek nieustannego dbania o zdrowie i dobre samopoczucie ich państwa. Konstruowano ich z kompletną wiedzą na temat pierwszej pomocy i medycznych procedur ratunkowych. Niejeden sołtys umierał przecież spokojnie we śnie w pięknym wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Nieprzypadkowo średnia życia w Prowincjach Centralnych była najwyższa na świecie.

„Była – pomyślała Berenice. – Maszyny z usuniętymi *metageas* wyruszyły z Nowego Amsterdamu przed paroma tygodniami, do tej pory na pewno przebyły już ocean”.

Czyli to, co miała przed sobą, nie było ignorancją, lecz umyślnie zadaną torturą. Mosiężne skurwysyny doskonale wiedziały, jak utrzymać kogoś przy życiu i jak zadawać powolną śmierć. Po prostu miały gdzieś ból swoich królików doświadczalnych. Chciały smakować ludzkie cierpienie.

Nadleśnictwo przetrzymywało Berenice tygodniami, ale była rozpieszczana. *Tuinier* Bell zasugerowała pokrętnie, że było to istotne dla procesu usunięcia

wolnej woli, procesu, który jak teraz zdała sobie sprawę, wymagał umieszczenia alchemicznego szkła w ludzkim mózgu. Tym samym w każdą jego fałdkę wbijano haczyk *geas*. Operacja mogła się jednak udać, tylko jeśli pacjent znajdował się przed operacją w odpowiednim stanie fizycznym i emocjonalnym.

Zbuntowani jeszcze do tego nie doszli. Nie powiązali nieudanych przypadków wolnowolktomii ze stosowaniem przemocy wobec badanych. Rujnowali eksperymenty przez swoją zaciekłość.

– *Sacré nom de Dieu*. Biedny sukinsynu.

Mężczyzna zeszywniał i ucichł. Zaskomlał. Próbował coś powiedzieć.

Berenice przeszła obok martwych i przykucnęła przy żywym badanym. Podniosła latarnię, żeby móc mu się lepiej przyjrzeć, lecz na powrót ją opuściła, przerażona nieludzkim grymasem na twarzy udręczonego człowieka. Dotknęła jego umazanego zaschniętą krwią policzka. Ten prosty i szczery gest empatii sprawił, że ten zaczął się telepać i rzucać.

– *Parlez-vous français*[9]? – spytała szeptem.

Mężczyzna przełknął ślinę jak złota rybka karmę. Utkwił w niej spojrzenie, lecz nie wypowiedział ani słowa, wydawał z siebie jedynie postękiwania i jęki, aż wreszcie udało mu się, tak szybko, że Berenice ledwie to wyłapała, powiedzieć:

– *Oui*[10].

Nie potrafiła umiejscowić jego akcentu. Sam wysiłek włożony w mowę zmieniał jego głos tak, że nie sposób było określić, jak brzmiał kiedyś. Tak jak w przypadku obłożonego przez Anastazję Bell rozmaitymi zakazami Vissera.

– *Comment-vous appelez-vous*[11]?

– Waapinutaaw-Iyuw.

Biedak nawet po takiej próbie nadal potrafił przeciwstawić się *geas*. Musiał mieć niespożyte pokłady siły, skoro przetrwał aż tak długo. Nikt jednak nie mógłby walczyć z tym naciskiem zbyt długo, co oznaczało, że procedurę wykonano niedokładnie. *Metageas* nie zostały hermetycznie domknięte wokół jego umysłu i duszy. Ale ciało i tak powoli się poddawało, rozmiękczone już nieustannymi atakami przeprowadzanymi przez metafizycznego tyrana.

Mężczyzna burknął coś i jakby się zadławił. Próbował się odezwać, lecz poniósł za to iście okrutną karę: wygiął się w konwulsjach na tyle, na ile pozwalały mu kajdany. Podwoił, potroił wysiłki, a co za tym idzie, wzmógł się również i ból. To, co chciał powiedzieć, najwyraźniej było sprzeniewierzeniem się zasadom narzuconym mu przez zbuntowane maszyny. Jakby starał się zaprzeczyć euklidesowym aksjomatom.

– *Aidez...* – wychrypiał. – *Aidez-moi*[12]! – prosił.

Wyplucie z siebie tych dwóch słów, najprostszej prośby o litość, wymagało

od niego nadludzkiego niemal wysiłku. Na Berenice spłynęło olśnienie, myśl, która przyszła jej do głowy, kopnęła z siłą zniecierpliwionego muła. Aż zabrakło jej tchu.

„Uda im się”.

Buntownicy byli o mały krok od odtworzenia najmroczniejszego osiągnięcia Nadleśnictwa. Ba, nawet od wyprzedzenia Nadleśnictwa. Bo skoro potrafili narzucić ludziom *metageas* w takich warunkach, niedługo będą mogli wyłapywać nieszczęśników na ulicach, rozbijać im głowy niczym orzechy włoskie i odbierać wolną wolę ot tak sobie.

„A jeśli Lilith postawi na swoim, to ja będę pacjentką, na której opracują tę technikę”.

– Zaczekaj – powiedziała; głos jej drżał z odrazy i paniki, ale i tak wątpiła, czy jego stan pozwalał mu na odróżnienie strachu od kołysanki. – Zaraz cię uwolnię.

„Klucze. Klucze. Gdzie położyli klucze od tych kajdan?”

Rozejrzała się po laboratorium, przyświecając sobie latarnią. Nagle zdała sobie sprawę, że żadnych kluczy przecież nie ma, bo i nie ma zamka. Po co? Tykacze po prostu zginali żelazne obręcze wokół kostek i nadgarstków swoich ofiar. Musiała znaleźć łom albo...

– *Tuez-moi. S'il vous plait! TUEZ- MOI*[13]!

– Pomogę ci – powiedziała. – Znałam człowieka, któremu zrobiono to samo. Udało mi się rozerwać łańcuchy pętające jego umysł. Uwolnić go.

„Owszem, udało ci się. A potem żył jak zwierzę, dręczony poczuciem winy, aż jakiś chory sukinsyn rozerwał go na strzępy”.

Mężczyzna próbował wyartykułować swoje błagania, ale słowa niezmiennie więzły mu w gardle, zastąpione potępieńczym wyciem. Błaganie o śmierć było wbrew regułom. Miało być niemożliwe. Od jak dawna tak cierpiał, kiedy ona i reszta ekspedycji buszowali po tajnej przystani niczym dzieci szturmujące plac zabaw? Śmierć byłaby dlań wybawieniem. Nawet jeśli udałoby jej się rozgiąć żelazne obręcze, jak by się mieli stąd wydostać? Zakładając, że i to by jakimś cudem wyszło i uciekliby z tego wypaczonego niczym odbicia w karnawałowym gabinecie luster laboratorium, co dalej? Gdzie by poszli? Czy mógłby iść? Czy może każdy krok oddalający go od mechanicznych oprawców wymagałby od niego niesłychanej siły woli? Nie dałaby rady gdziekolwiek dojść z taką kulą u nogi. Nie mogła jednak zostawić go tutaj na pastwę okrutnego losu. Gdyby znalazła się na jego miejscu, również błagałaby o śmierć.

„Kurwa”.

Berenice zasłoniła usta dłonią. Przełknęła ślinę, odkaszlnęła i pokuśtykała do kąta, żeby zwymiotować. Waapinutaawa-Iyuwę i pozostałych potraktowano tak,

jak ona potraktowała niegdyś Lilith. Splunęła gorzkimi kawałkami niestrawionego pemikanu.

„Nie jestem od nich lepsza. Jestem dokładnie taka sama”.

Odkąd zanotowała swoje obserwacje z badania przeprowadzonego na Lilith w zaginionych teraz notatnikach, nie powracała już pamięcią do eksperymentu na honorowej mieszkance Zachodniej Marsylii. Potem poznała Jaxa/Daniela... I całkowicie zmieniła zdanie o mechanicznych. Na tyle, że pojęła bezdusność zła, jakiego się dopuściła względem Lilith.

„Kurwa”.

Chwyciła najdłuższy skalpel, jaki znalazła.

„Tym razem mogę posłuchać. Mogę być człowiekiem. Mogę wykazać się miłosierdziem”.

Delikatnie przejechała kciukiem po ostrzu i poczuła, że cieniutki kawałek stali nadawał się zarówno do ratowania, jak i odbierania życia. Może być.

– Zrobię to szybko – powiedziała, nie mając pojęcia, czy to prawda.

Nigdy nie podcinała nikomu gardła, lecz widziała, jak metalowa horda zarzyna obrońców wewnętrznej twierdzy. Ruch, jaki musiałyby wykonać, stojąc obok stołu, wykluczał czyste i głębokie cięcie. Nie dosięgłaby też zza niego, chyba że by się położyła, z czego od razu zrezygnowała.

„O Boże”.

Mężczyzna jęczał. Skomlał. Uklęknęła przed nim, trzymając skalpel nisko.

„Proszę”, mówiły jego oczy. Ciałem biedaka wstrząsały konwulsje, rzucał się niczym marionetka na sznurkach, bezskutecznie próbując wyrwać się z kajdan. *Metageas* wygrywały. Jego oprawcy prawdopodobnie spróbowali narzucić mu zakaz targnięcia się na swoje życie. Inaczej cała ta ciężka praca nad odtworzeniem eksperymentu, jakiemu poddano Vissera, poszłaby na marne, bo ich nowi niewolnicy pozabijaliby się przy pierwszej lepszej okazji.

Berenice przytknęła skalpel do jego szyi. Klamry unieruchamiały mu głowę, mimo że rzucał się jak szalony i bił o gołe żelazo, jakby próbował połamać sobie kości.

Skrzypienie otwieranej klapy rozniosło się echem po tunelu. Zawtórował mu krótki jęk i uderzenie ciała o śnieg. A raczej ciało. Berenice była zaledwie pierwszą z całej dostawy nowych ofiar.

Docisnęła skalpel. Na naprężonej skórze pojawiła się karmazynowa kropla. Zbierała się do zadania zabójczego ciosu, jednego prędkiego cięcia, które przetnie tętnicę szyjną nieszczęśnika i raz na zawsze odetnie go od *metageas*. Wzięła głęboki oddech i...

„*Metageas*”.

Ile zabrakło zbuntowanym, żeby odtworzyć procedurę wykonaną na Visserze?

Spojrzała na mężczyznę raz jeszcze. Czy potrafił odczytać jej zamiary? Kogo widział, kiedy tak na nią patrzył: kobietę czy potwora?

– Bardzo mi przykro – wyszeptła – ale nie mogę cię zabić.

*

Keziah i Zagubiony Chłopiec wylądowali na brzegu z donośnym szczęknięciem, które poniosło się daleko nad ciemną tonią.

Noc przekłuł krzyk o pomoc.

Daniel biegł. Znowu. Jak zawsze.

Śmignął przez zwirową plażę. Pozostali Chłopcy, którzy nie skoczyli za Keziah, pobiegli za nim.

„Coś ci to przypomina, Danielu?”, zawołał jeden z nich.

„Błogie, ach błogie czasy, zanim zdradziłeś Nibylandię?”

„Tylko tam cię przyjęto z otwartymi ramionami. A tyś się na nas wypiął”.

Drwili z niego jak wtedy, gdy gonili go przez tajgę.

„Czy potraficie siedzieć cicho?”

Przeskoczył nad głazem, palcami stóp żłobiąc koleiny. Przynajmniej tym razem był poskładany do kupy. Nie biegł z uszkodzoną kostką i bezużytecznymi ramionami sklejonymi francuskim epoksydem, przyciskając do piersi oderwaną stopę. Głowa nie chybotwała mu się jak wiatrowskaz. Lecz nie był sam. I nawet jeśli uda mu się odsadzić Zagubionych, co wtedy? Zostawi swoich metalowych towarzyszy i francuską ekspedycję na pastwę podwładnych Mab?

„Odrodziłeś się w Nibylandii – powiedział jeden z depczących mu po piętach mechanicznych. – Byłem przy tym, kiedy wyrzekłeś się imienia nadanego ci przez stwórców. Kiedy stałeś się Danielem”.

Daniel przeciął obozowisko. Puste obozowisko.

Gdzie się wszyscy podziali? Rozejrzał się po okolicy, jego kamienie oczne szumiały, kiedy próbował wycisnąć każdy promyk z księżyca i gwiazd przebijających się przez zasnuwające niebo chmury. Ledwie zauważalny w oddali blask metalu udzielił mu odpowiedzi na pytanie, gdzie są pozostali mechaniczni. Szukali wiatru w polu. Zagubieni Chłopcy wyciągnęli ich na radosną przebieżkę po plaży, tym samym odciągając od ludzi. Obrócił się ku magazynowi, gdzie znaleźli piec do topienia szkła. Zrozumiał, że postawili go tam agenci Nibylandii.

Szczęk metalowych stóp o chłodne kamyczki...

Kolejny krzyk...

Trzaśnięcie...

Daniel pojął też, gdzie udali się Francuzi. Słyszał, jak ludzie mówią, że czują

coś w kościach, i choć jego gnaty wykonano z powleczonej magią stali, a nie ze skryształowanego wapnia, rozumiał, co mają na myśli. Nibylandia, niczym jakieś baśniowe królestwo skryte na zasneżonej północy, było przecięte systemem podziemnych tuneli, do których dostęp zapewniały specjalne klapy. Dzięki nim odwiedzający obóz Innuita nie poznał prawdziwej liczby „wolnych” mechanicznych kręcących się po dziczy. Agenci Mab mogli wykopać podobne korytarze przez parę dni. Tam zniknęli Francuzi, niczym grzesznicy porwani przez samego diabła.

Daniel podejrzewał, po co mogli zadać sobie ten trud. I nie było to nic miłego.

Berenice miała powiedzonko, które idealnie pasowało do opisu sytuacji: „Wyruchaj mnie gwoździem wyjętym z krzyża”.

Musiał dostać się do magazynu. Cokolwiek knuli Zagubieni Chłopcy, ich plany polegały na możliwości wyrobu kwintesencji. Musiał trzymać się nadziei, że jeśli uda mu się przejąć zasoby alchemicznego szkła, zmusi ich do negocjacji. Może odzyska ludzi.

Usłyszał szcęknięcie, posypały się iskry. Metal chrząścił mu pod stopami, porozrzucone szczątki mechanicznych były jeszcze ciepłe. Zasadzka dopadła nie tylko francuską ekipę. Nie każdy klakier dał się odciągnąć, a tych, co zostali, Zagubieni bestialsko stracili.

Daniel skręcił gwałtownie, kiedy tuż przed nim zniemacka otwarła się kłapa, jakby ktoś wysadził ją od środka francuskim granatem. Ledwie udało mu się umknąć przed próbującą go chwycić łapą. Wyskoczył, przesadzając susem zasilaną napędem zegarowym rafinerię chemiczną. Miał przed sobą magazyn. Nie zwalniając, uderzył barkiem w drzwi, małe zawiasy nie poszły. Zatrzymał się dopiero przy piecu i okablowaniu. Zbyt późno zorientował się, że nie był tam sam. Usłyszał tylko cichy szept metalowej pięści przecinającej powietrze. Cios gruchnął go niczym kula armatnia. Iskry rzuciły dzikie, kalejdoskopowe cienie. Przemknęły po mrocznym całunieniu nocy. Daniel poleciał do tyłu, przebił ścianę i upadł prosto na stoły warsztatowe, z których zostały tylko drzazgi.

Metalowe kopyta zadźwięczały o podłogę. Szczęk-brzęk, brzęk-szczęk. Dziwaczny chód dwóch par nóg. Osobliwy, ale nie obcy.

Królowa Mab stanęła nad nim niczym faun na swoich kradzionych Nakręcaczowi nogach.

– Proszę, proszę – powiedziała. – Syn marnotrawny powrócił.

*

Waapinutaaw-Iyuw nareszcie przestał się rzucać. Berenice nie potrafiła powiedzieć, czy stracił przytomność, czy doznał nagłego wylewu i spełniło się

jego marzenie o śmierci.

Tunele nasiąknęły echem ludzkich głosów. Zbuntowane maszyny zbierały, ilu się dało.

Berenice przejechała dłonią po ziemi bezpośrednio pod kłamrami trzymającymi głowę nieświadomego mężczyzny. Nie chciała, żeby ktokolwiek, człowiek czy maszyna, zobaczył, co powypisywała na ziemi skalpelem. Było to przeznaczone jedynie dla oczu ich obojga.

– Tutaj – zawołała, słysząc zbliżające się rozmowy. – Idźcie za moim głosem.

Do komnaty medycznej grozy wszedł kapitan Levesque, kuśtykając i mrużąc oczy, żeby dojrzeć cokolwiek w mdłym świetle latarenki. Berenice rozpoznała też należących do załogi Delfinę i Victora. Byli z nimi również Bellerose, garbarz, i Renaud, mistrz czekolady. Za nimi szła rozbrojona Élodie i diakon Lorraine.

– Co to za miejsce? – zapytał kapitan.

– Żadne, gdzie chcielibyśmy spędzić choć chwilę dłużej – odparła Berenice.

– Tulipaniarze wykopali te tunele?

– Podejrzewam, że to nowy dodatek. Społeczność klakerska na dalekiej północy, jak mi powiedziano, praktykuje coś takiego, żeby ukryć, ilu ich tak naprawdę jest.

– Powiem tyle, że działa – mruknęła Delfina.

Bellerose wskazał na leżące na stołach ciała.

– Czy oni...

Nie dokończył pytania.

– Tej dwójce już nie pomożemy – powiedziała Berenice, skinąwszy na otwarte głowy i wystającą z nich, pokrytą zakrzepniętą krwią szarą substancję – ale uwolnijmy chociaż tego biedaka.

Nie mogli znaleźć niczego, czym dałoby się rozgiąć żelazne obręcze. A jeśli spróbowaliby łomem, najpewniej połamaliby mu kości. Nareszcie, przy sporym nakładzie sił i energii oraz niewybrednych bluzgach, co i rusz trącając się łokciami, udało im się odgiąć razem żelazne obręcze, choć zimny metal jęczał, protestując. Waapinutaaw-Iyuw skomlał z bólu. Bredził coś mieszanką algonkińskiego, francuskiego i szalonego. Lecz nie dławił się już i nie dusił z wysiłku.

Tuż przed końcem oblężenia Zachodniej Marsylii udało się Berenice złamać zakazy i nakazy spoczywające na pastorze Visserze, nie mógł on bowiem odezwać się ani słowem na temat tego, co mu uczyniono, kto mu to zrobił, ani jakie *metageas* na niego nałożono. Pewien fragment modyfikacji był niezwykle łatwy do zapamiętania: „Nade wszystko mów prawdę”. Ksiądz odczuł niewysłowioną ulgę, kiedy tylko spojrział na logiczno-alchemiczne polecenie, bo

wybawiło go ono od największego bólu. Naskapi zachował się podobnie. Berenice musiała mieć nadzieję, że procedura przeprowadzona na tym biedaku wywoła podobne efekty, jak na udręczonym duchownym. Ale przede wszystkim, pomijając już nawet rozgrywający się tutaj istny chirurgiczny horror, reakcja Waapinutaawa-Iyuwa na symbole podniosła kolejną niewygodną kwestię. Wyrób alchemicznego szkła, a nawet dopracowanie wymyślonej przez Nadleśnictwo metody operacyjnej były jedynie częścią całego procesu. Aby powtórzyć rezultat udanego eksperymentu, Zagubieni Chłopczy i tak potrzebowali całego słownika, swoistych rozmówek logiczno-alchemicznych, które pozwoliłyby im wypisać polecenia w języku *geas*.

Zatem Berenice podarowała Mab fundament pozwalający spisać takowy glosariusz. Zaszyta w niewielkiej osadzie rybackiej na francuskim wybrzeżu z dwoma agentami Mab opracowała efektywną procedurę. I przynajmniej jeden z nich zdołał przekazać ją w ręce swej królowej. Przeprowadzenie podobnego eksperymentu nigdy nie przyszłoby do głowy zbuntowanym klakierom, gdyby nie ona.

Dała Lilith motyw. A Mab środki.

„To przeze mnie. Nic podobnego by się nie wydarzyło, gdyby nie ja”.

Głowę mężczyzny przecinały ropiejące rany i brzydkie, grube szwy. Kości jego czaszki nie miały czasu się dobrze zrosnąć. Gdy Bellerose i Renaud pomagali mu się podnieść, Berenice wyobraziła sobie ciche klikanie dochodzące spod ogolonego skalpu. Kto wie, ile tak leżał z twarzą do blatu, to cud, że nie zemdłał, kiedy nareszcie mógł unieść poranioną głowę. Levesque skrzywił się z obrzydzenia. Zerkał to na mężczyznę, to na martwych rozłożonych na stołach obok. Nie tylko on.

– Co oni im zrobili?

– To samo, co zamierzają zrobić nam – odparła Berenice.

*

Daniel wstał. Jego ciało zaskrzypiało, a z metalowej piersi dobył się grzechot sygnalizujący przemieszczenie się paru pomniejszych części. Mab była o krok od uszkodzenia go na stałe.

Niewykluczone jednak, że lada chwila się to stanie.

Ciemny magazyn rozbrzmiewał echem tykania. Królowa Nibylandii przyprowadziła swój dwór.

Służący, którzy go gonili, przemknęli przez otwarte drzwi, spod ich stóp trysnął grad metalowych części. Musiała się tu odbyć jakaś walka, bo wcześniej na pewno nie walały się po ziemi kawałki rozbitych pancerzy i mechanizmów

zegarowych. Niektóre były jeszcze ciepłe. Daniel zastanawiał się, ilu mechanicznych płynących na Le Griffonie spoczęło na podłodze warsztatu. Co się działo z Keziah? I pozostałymi?

– Tęskniłam za tobą, synu – odezwała się Mab w języku ich stwórców, zresztą słabość do niego manifestowała już podczas pobytu Daniela w Nibylandii.

Jej głowa, poprzednio zwyczajna, jak u każdego służącego, była teraz nieco inna. Od ostatniego razu, kiedy ją widział, musiała dokonać na sobie jakichś modyfikacji, przed czym nigdy się nie wzbraniała. Usunęła przyklejoną do dziurki od klucza metalową płytkę, której montaż wymuszała na swoich podwładnych. Do alchemicznych płytek składających się na jej czaszkę dopasowała zawiasy. Mogła tym samym otworzyć głowę i oświetlić blaskiem swojego szkiełka szyszynkowego kogokolwiek tylko zechciała.

– Szukasz czegoś, co ci zabrałem – powiedział Daniel – ale ja już tego nie mam.

Maszerowała w tę i we w tę. Stuk-puk, stuk-puk.

– Oczywiście, że nie.

– Proszę, nie każ moich towarzyszy za moje przewiny. Są niewinni.

– Oboje wiemy, że to nie może być do końca prawda. Nie kiedy połowa ekspedycji to ludzie.

– Są Francuzami, nie zegarmistrzami. Niemal każdy człowiek z tego statku ryzykował życie, bo nie zgadzał się z politycznymi i religijnymi poglądami tych, którzy nas stworzyli. Żaden z nich nie jest odpowiedzialny za nasze cierpienia.

„Śmiem się nie zgodzić”, rozległ się czyjś głos.

Daniel obrócił się. Stała przed nim służąca, którą rozpoznał po zniekształconej głowie pozlepianej z niedopasowanych płytek i owiniętej żelaznym bandażem. Kable brzęczały w jej ramionach i biodrach. Cieszył się, że Lilith żyje, mimo wszystko. Była przy jego ucieczce i Daniel przez długie godziny swojego rozpaczliwego biegu przez ośnieżone lasy zadreślał się, że Mab wyładowała złość na niewinnej służącej. Lilith odezwała się ponownie:

„A może już zapomniałeś, co zrobiła mi Berenice, twoja dobra przyjaciółka?”

Na te słowa Zagubieni Chłopcy wydali z siebie chóralne pobrzękiwania, chrzęsty, stukoty i grzechotanie. Po magazynie rozeszła się kakofonia wyrażająca niezgodę, obrzydzenie i potępienie.

Daniel wyciągnął rękę. Zawahała się, ale pozwoliła mu dotknąć swojego ramienia. Transmisja wibracji z ciała do ciała była bodaj najbardziej prywatną wymianą zdań, na jaką mogli tu liczyć.

„Co tutaj robisz? Czemu do nich przystałaś? Myślałem, że się nienawidzicie?”

„Nie nazwałabym tego nienawiścią. Raczej silną niechęcią i brakiem ufności”.

Przerwała kontakt i wskazała palcem na tajne obozowisko i znajdujące się tam

budynki.

„Ale Berenice? Jej nienawidzę”.

– Nasza Lilith chciała tylko zamienić parę zdań z twoją przyjaciółką Berenice. A ja pragnęłam znowu cię zobaczyć, zbłąkany synu, przeczuwałam, że odrzucisz me zaproszenie. Powiesz mi może, gdzie są Tobit i Philip?

„Na dnie bagna. Zostaną przez kogoś znaleźieni, o ile już nie zostali”.

Mab kliknęła niczym człowiek przytakujący czemuś rozsądnemu.

– Tak czy inaczej, to Lilith wymyśliła, żeby zwabić tu tę Francuzkę. Oczywiście, że nie wybrałaby się nigdzie bez kogoś z naszego gatunku. Nie mam pojęcia, czy słyszałeś te nowiny, ale nie jest tu już zbyt bezpiecznie dla ludzi.

„Oczywiste było, że Berenice poprosi cię o pomoc”, wtrąciła się Lilith.

„Przyznaję, byłam co do tego sceptyczna – powiedziała Mab. – A jednak tu jesteś, twoja francuska przyjaciółka również. I widzisz? Lilith i ja zakopałyśmy wojenny topór, zapomniałyśmy o dawnych animozjach, zostały przez nas przekute na owocne partnerstwo”.

Berenice faktycznie dopuściła się na Lilith niewybaczalnego okrucieństwa. Co nie znaczyło, że popierał podobnie brutalną zemstę.

– Zamierzacie dokonać na nich wiwisekcji, Mab? To jest twoja sprawiedliwość?

– Nie obchodzi mnie ani Francuzka, ani żaden z tych ludzi.

Lilith spojrzała na królową. Obróciła się tak szybko, że kłęby kurzu poturlały się po ziemi.

– Zrobiliśmy, co mieliśmy zrobić – dodała Mab.

„Zrobiliśmy? ZROBILIŚMY? – oburzyła się służąca. – Nie dopracowaliśmy jeszcze procedury, musimy ją przetestować na nowych obiektach!”

„Zrobimy to po drodze. A skoro powrócił wyczekiwany przez nas z utęsknieniem przyjaciel – Mab wskazała Daniela ostrzem domontowanym do jednego z ramion – mamy, czego potrzebowaliśmy.

Lilith zaprotestowała:

„Ale dopiero co złapałam tę francuską dziwkę!”

„To zostań tu ze swoją zabaweczką. Powodzenia, biedna istotko. Załadujcie to na statek”, poleciała Mab, poklepując piec do wytapiania szkła.

Żłobkowania na jej wysuwającym nożu lśniły na wysokości przedramienia. Daniel był świadkiem okropnych rzeczy, jakie Mab wyrządzała tym ostrzem swoim pobratymcom. Ale teraz to nie groteskowe ciało samozwańczej królowej wzbudziło jego niepokój, lecz uświadomienie sobie jej zainteresowania pastorem Visserem. Posłała przecież dwoje swoich poddanych, Ruth i Ezrę, żeby żyli w ukryciu pośród ludzi i wytropili nieszczęśnika.

Potem Lilith powiedziała mu o siatce szpiegowskiej, którą operowała Mab, i o krążących od lat plotkach o tym, jakoby zegarmistrzowie eksperymentowali z wycinaniem wolnej woli z ludzkich istot. A potem sam na własne oczy zobaczył dowód.

Nie była to plotka.

I Mab również o tym wiedziała.

*

Élodie wskazała na alchemiczne szkiełka.

– Co to?

– Zapowiedź najgorszego dnia w twoim życiu. Zniszczmy je. Szybko.

Światło latarenki z trudem próbowało przebić się przez mętne alchemiczne szkło, które spadało z przewracanych przez marynarzy półek. Po chwili loch robiący za laboratorium wypełnił chrzęst upiornych błyskotek rozdeptywanych ciężkimi buciorami. Atonalne podzwanianie skojarzyło się Berenice z przewróconym przez domowego kota, ciężkim od choinkowych ozdób świątecznym drzewkiem, po którego gałęziach stapał nieostrożny gospodarz. Zniszczenie szkieł szyszynkowych kupowało im niewiele czasu. Bo ile buntownicy potrzebują na wyprodukowanie kolejnych?

Porwani Francuzi odgięli również kajdany na nadgarstkach i kostkach martwej dwójki. Kapitan Levesque i diakon Lorraine zanieśli ciała na koniec tunelu. Nie mieli łopat, żeby zapewnić im godny pochówek, ale postarali się jak najlepiej zagrzebać je w śniegu. Poświęciliby jeszcze chwilę na choćby pośpieszne modły, lecz Waapinutaaw-Iyuw nalegał, żeby dali sobie spokój. Może i ich plemiona niejednokrotnie skakały sobie do oczu, nie znaczyło to jednak, że skoro przez całe życie nie byli katolikami, mieli życzenie nimi zostać po śmierci.

Delfina i Bellerose weszli do laboratorium.

– Za wysoko – powiedział garbarz. – Nie dosięgniemy klapy.

Kobieta przytaknęła.

– Nawet jak ktoś stanie najwyższemu z nas na ramionach, i tak nie damy rady. Musielibyśmy poustawiać stoły jeden na drugim, a to zajmie trochę czasu.

Berenice podniosła latarenkę i poczłapała po wysokim do kostek śniegu do Naskapi, na którego ramiona narzucili płaszcz kapitana Levesque. Oddali mu też czapkę i szal Élodie. Bellerose rozłożył ręce, nie tyle z bezsilności, co ze strachu i zmęczenia.

– Czemu tulipaniarze zadali sobie tyle trudu, żeby obdarzyć ponoć bezrozumne maszyny taką przebiegłością? – zapytał.

– Tykacze to zwierciadła, w których się przeglądadają – rzuciła przez ramię – kiedy mają ochotę delektować się swoją boską mocą.

Przykucnęła przy jedynym żyjącym pacjentem mechanicznej zgrai. Mężczyzna, uwolniony od przygniatających *geas* niszczących jego ciało, był niemal nie do poznania. Ból postarzał go bardziej, niż myślała, z jego twarzy zeszły całe dekady. Nie pozbył się jednak tej niemalże namacalnej przeklętej aury, która będzie mu towarzyszyć aż do końca jego dni.

Nie mamrotał ani nie bełkotał, nie telepał się z fizycznego i metafizycznego bólu, nie błagał o śmierć. Mięśnie i stawy nie buntowały się już przeciwko niemu, kiedy próbował mówić to, co myślał. A raczej nie zrobiłyby tego, gdyby spróbował, bo cały czas trwał w nasączonej gniewem ciszy. Berenice dołączyła do tej milczącej kontemplacji śmierci.

– Przepraszam – powiedziała. – Naprawdę. – Któż by się spodziewał, że zakończenie oblężenia Zachodniej Marsylii będzie miało tak daleko idące konsekwencje. – Ale nie ma czasu na żałobę.

Mężczyzna spojrzawszy na nią oczyma tak pustymi, że można by pomyśleć, iż jest ślepy. Berenice nie chciała nawet wyobrazić sobie, jakież to obrazy mogą przelatywać przez jego umysł. Ona sama z kolei nie mogła się powstrzymać przed ciągłym, upartym porównywaniem tej sali tortur z laboratorium Talleyranda, zestawiała okrucieństwo wyrządzone temu niewinnemu człowiekowi z ponurą robotą, jaką wykonywała na rzecz Nowej Francji. Co, oczywiście, nie powstrzymywało jej przed zrobieniem tego, co musiało zostać zrobione.

– Proszę, jeśli mamy przeżyć, musisz pójść za mną – powiedziała Berenice.

Wstała. On również, zaraz za nią. Przepisnęli się przez grupkę francuskich współwięźniów i skierowali z powrotem do laboratorium.

Rozbolało ją serce.

– Posłuchaj...

Usłyszeli za sobą dźwięk otwieranej klapy. Metaliczny brzęk zatrzęsł tunelem na tyle mocno, że ze stropu opadły kłęby pyłu.

Lilith.

*

Daniel próbował biec, ale jego ucieczka trwała ułamek sekundy. Mab chwyciła go za kostkę i rzuciła nim o ziemię. Nadal go jednak nie zabiła.

„Jego też zabierzcie”.

Otoczyli go Zagubieni Chłopcy, podnieśli i trzymali mocno. Wynieśli Daniela z magazynu nad wody tajnej przystani, przenieśli przez plażę, minęli dok i udali

się na pokład holenderskiego lodołamacza o wielu wiosłach. Liczne maszyny zajęły już swoje stanowiska, każda z nich zacisnęła obie dłonie na drewnianych trzonach. Rozpoznał wśród nich Keziah, Repheala i Elishebę. Żadne z nich nie próbowało się wyrwać ani nie odmawiało pracy. Wyglądali, jakby nie poznawali Daniela.

„Mab, to przecież bez sensu. Oboje wiemy, że nie potrafisz mnie odmienić”.

Protesty Daniela przypominały zduszone rżenie – metalowe dłonie zacisnęły się na każdej jego kończynie i zawiasie.

„Bo gdybyś potrafiła, zrobiłabyś to w Nibylandii, jeszcze na długo zanim dowiedzieliśmy się o istnieniu tego miejsca”.

Drewniane deski pokładu zatrzeszczały pod stopami niosących go maszyn.

„Na nic ci się nie przydam”.

– *Au contraire*^[14] – odparła Mab. – Zbyt nisko się cenisz, Danielu. Masz to, czego potrzebuję.

– Czyli?

„Sumienie – odpowiedziała i obróciła się gwałtownie, unosząc ramiona. – Odpływamy!”

Służący stojący w doku odłączyli rurę od zaworu na statku, którą pompowali chemikalia, rzucili kapiący jeszcze przewód na bok i wskoczyli na pokład. Klakierzy-galernicy ze sterburty naparli na wiosła, które jęknęły. Statkiem zatrzęsło. Holenderski lodołamacz ruszył naprzód. Jego dziób przecinał mroczne wody, kiedy wypływali z doku sekretnej przystani. Gdy znaleźli się już na otwartym morzu, mechaniczni z bakburty – w tym Keziah – również naparli na wiosła.

Daniel spojrzał na swoją niedawną towarzyszkę.

„Czemu to robisz?”

„Bo królowa Mab ma rację?”

„Odnosnie do czego?”

Nie odpowiedziała.

Stukot przekładni wzdłuż jej kręgosłupa i pobrękiwanie kabli obijających się o kryzy kołnierzone na ramionach, biodrach i kostkach zadały kłam słowom służącej. Daniel rozpoznał, że to znak bezsilnego zmagania się z przymusem. Podobne dźwięki emitowała nie tylko Keziah, ale i paru innych wiosłarzy. Daniel podejrzewał, że są to głównie mechaniczni, których Mab i Zagubieni Chłopcy wyzwolili podczas napaści na kopalnię kwintesencji na północy. Mab nałożyła na te biedne duszyczki swoje *geas*, swoje *metageas*. Daniel myślał, że położył kres jej rządóm, lecz ona nadal przerabiała mechanicznych na bezwolne narzędzia. I wystarczyło tylko, że otworzyła sobie głowę. Czy zawsze potrafiła to zrobić?

Berenice wykorzystała swoją ekstensywną wiedzę, żeby przemienić nadpisujące się *metageas*, tak aby samodzielnie się przenosiły, czyli na zmodyfikowane maszyny nałożyła przymus wystawienia towarzyszy na działanie zmienionej formuły. Daniel nie usunął tego zapisu, zanim sam nie wykorzystał opracowanych przez Francuzkę poleceń i nie wyzwolił metalowej armii nacierającej na Zachodnią Marsylię. Niedługo później użyty przez niego wtedy zapis zniknął. Prawdopodobnie – zapewne? – trafił do Mab. Musiał jednak ulec jakiejś przemianie, bo jedna maszyna przenosiła go bezpośrednio na drugą. Dawało to zdeformowanej królowej moc do zbudowania imperium.

Teraz, gdy nad tym dumiał, rzeczona mutacja przekazywalności – choć jej konsekwencje były daleko idące – była prawdopodobnie niewielką zmianą. Eksperymenty Berenice ze szkiełkami szyszynkowymi i soczewką od pastora Vissera udowodniły, że za sprawą bezpośredniego kontaktu fizycznego mętne szkło rozświetlało się jasnym blaskiem, jakby odzyskiwało duszę. Danielowi udało się uniknąć pojmania w nowoamsterdamskiej Wielkiej Kuźni, kiedy użył uaktywnionego szkła, żeby uwolnić samotnego służącego imieniem Dwyre. Innymi słowy, w sprzyjających warunkach wolność potrafiła być zaraźliwa. Ale nie każdy obecny na pokładzie mechaniczny zmagął się z narzuconymi mu *metageas*, niektórzy byli wolni, prawdziwie wolni, i wsparcie dla sprawy Mab wyrazili zgodnie ze swoją wolą. Byli jej oddani; oto prawdziwi Zagubieni Chłopcy.

Kiedy Mab spostrzegła, że Daniel zerka za barierkę na bakburcie i ocenia odległość, jaką musiałby pokonać, żeby móc doskoczyć do przystani – albo katapultować się z jednego z zataczających okręgi wiosł – wydała z siebie szczękający dźwięk trących o siebie zębatek, co bliskie było ludzkiemu mlaśnięciu językiem.

„Nie trać czasu”.

„Dokąd mnie zabieracie?”

„Do domu, Danielu. Płyniemy do domu”.

*

– Z drogi – odezwał się mechaniczny głos.

Tunel momentalnie wypełniły dźwięki szurania obuwia o śnieg i Berenice usłyszała charakterystyczne tykanie klakerskiego kroku. Chyba jedna maszyna. Mając cholerną nadzieję, że się nie myli, zdobyła się na długi, drżący oddech.

Lilith weszła do laboratorium. Przeszła między pustymi już stołami, potłuczone alchemiczne szkło trzeszczało pod jej stopami. Podeszła do blatu, na którym jeszcze niedawno, pośród martwych, leżał żywy mężczyzna. Znalazła

tam jednak tylko skuloną w kącie Berenice, która obejmując kolana ramionami, próbowała opanować telepanie ciała. Jeśli służąca była poirytowana, że Francuzi zdjęli trupy, nie dała niczego po sobie poznać.

– Jeżeli myślicie, że powstrzymacie mnie, niszcząc zapasowe szkiełka – powiedziała – to będziecie musieli obejść się smakiem.

Lilith sięgnęła pomiędzy metalowe elementy swojego szkieletu i wyciągnęła z piersi kamyczek wielkości żołędzia, taki sam jak te, które Berenice już wielokrotnie widywała.

– Szczerze mówiąc, zrobiliśmy ich więcej, niż potrzebujemy. – Zamilkła na moment. Przekrzywiła głowę. – Ale ten akurat mi się przyda – dodała, spoglądając na Berenice, która wpatrywała się w punkt gdzieś nad ramieniem klakierki.

– Gdzie twoi towarzysze? – zapytała.

– Są zajęci innymi sprawami. Ale muszę ci powiedzieć, że czuję się nieco rozczarowana ich podejściem i brakiem poszanowania *modo sciendi*. Nie powinno mnie to jednak dziwić, bo tak bardzo nie mogą się doczekać powrotu do Prowincji Centralnych, że idą na ławiznę.

Lilith знаła łacinę? Gdzie się jej nauczyła?

Zbiegła służąca podczas kilkudziesięciu lat pobytu w Zachodniej Marsylii zajmowała się głównie sztuką. Berenice podejrzewała, że dla istoty praktycznie nieśmiertelnej, która nie potrzebowała snu, długie godziny nocne były kolejną okazją do nauczenia się niezliczonych rzeczy. Co robiła Lilith przez wszystkie te lata, czego się nauczyła i jakim hobby się oddała? Jakaż to niezaspokojona ciekawość płonęła pod tą zniekształconą mosiężną czaszką? Cóż za genialny umysł umęczyła?

– Przepraszam, Lilith – powiedziała Berenice. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo żałuję tego, co ci zrobiłam. – Zachwiał się jej głos, ale nawet nie próbowała go opanować. – Postąpiłam okrutnie i amoralnie, choć myślałam, że robię słusznie. Byłam... samolubna. – Wzięła dla uspokojenia głęboki oddech, po czym westchnęła. Lilith jeszcze nie znajdowała się wystarczająco blisko i, co ważniejsze, Berenice nadal miała za co przeproszać. – Zignorowałam twoje błagania. Wydaje mi się, że wtedy nie dostrzegłam w tobie istoty zasługującej na współczucie. Patrzyłam na ciebie z pogardą i strachem.

Lilith okrążyła stoły operacyjne. Była coraz bliżej.

– Jeśli będzie to dla ciebie jakimkolwiek pocieszeniem, a mam nadzieję, że jednak nie, nie mam absolutnie nic przeciwko temu, żebyś się mnie bała. To usprawiedliwiony strach, szczególnie zważywszy na okoliczności.

Berenice wstała. „Już prawie. Jeszcze trochę bliżej...”

– Już tak nie myślę. Chciałam, żebyś to ode mnie usłyszała – mówiła dalej. –

Żadnego celu nie powinny uświęcać okrutne środki. Może jednak przyniesie ci jakąś ulgę myśl, że to, co ci zrobiłam, przyczyniło się do uratowania Nowej Francji i wyzwolenia innych maszyn. Twoje cierpienie było czymś bezgranicznie złym, lecz doprowadziło do dobrego.

– Jeśli się łudzisz, że twoje przeprosiny mnie powstrzymają, grubo się mylisz.

– Nie łudzę się, Lilith. Ale i tak nie jest mi ani trochę łatwiej – odparła Berenice. Waapinutaaw-Iyuw wyszedł ze swojej kryjówki. – Teraz! – Skinęła głową.

Lilith obróciła się w tej samej chwili, kiedy mężczyznę z plemienia Naskapi przypiliły do działania zmodyfikowane *metageas*, opanowując jego duszę i, co istotniejsze, ciało. Był zbyt zmęczony, aby oprzeć się nowym rozkazom, dlatego *geas* od razu przejęły nad nim kontrolę. Zamachnął się żelazną obręczą, którą jeszcze niedawno był przykuty do stołu, z siłą, jakiej nie potrafiłby z siebie wykrzesać żaden człowiek. Cios spadł na twarz służącej. Żelazo pękło, lecz od uderzenia ucierpiała także czaszka Lilith. Trysnęły czarno-fioletowe iskry, jakie zawsze krzesają alchemiczne stopy.

– Straszne rzeczy, które ci zrobiłam, pomogły mi też zrozumieć tajemnice twoich niegdysiejszych panów. Łącznie z gramatyką *metageas* – powiedziała Berenice.

Longchamp i Élodie zdali Berenice sprawozdanie ze zmagania z Visserem. Siwowłosa książdź posiadał nadludzkie siłę i szybkość, ściśnięty szponami *geas* wykazywał się niebywałą wytrzymałością oraz odpornością na ból. Został mu wtłoczony rozkaz popełnienia zbrodni królobójstwa i *metageas* wymagały od niego posunięcia się do absolutnie wszystkiego, co konieczne, aby nie dać się złapać, zanim jego misja nie zostanie wykonana. Wspiął się na sam szczyt Iglicy gołymi rękoma. Berenice miała zresztą okazję zobaczyć jego rękodzieło w nowoamsterdamskiej piekarni, gdzie trupy leżały na rozsypanej mące i porozdzieranych paczkach rodzynek.

Zanim przyszli jej towarzysze i pomogli Berenice uwolnić nieszczęśnika, zdążyła wypisać na ziemi ciąg alchemicznych symboli. Mężczyzna miał unieruchomioną głowę, musiał je odczytać. A jeśli dobrze zapamiętała alchemiczną składnię – choć bez notatek wydawało jej się to mało prawdopodobne – nowe instrukcje były równie pilące, co nałożone przez mechanicznych.

Uwolniła biedaka od zakazu mówienia, lecz zastąpiła go nadrzędnymi *metageas*: miał czekać na sygnał i na jej znak zaciekle bronić Berenice z całych sił. Posłuchał.

Uniósł się delikatny zapach siarki i ozonu, przez laboratorium przeszedł smrodek czarnej magii. Ale zadany Lilith cios nie był wystarczająco silny, aby ją

zatrzymać. Nie spodziewała się go co prawda i jej czaszka wyraźnie ucierpiała, lecz nie naruszył alchemicznych symboli na czole maszyny. Nadal funkcjonowała, a Berenice straciła element zaskoczenia. Lilith błyskawicznie oddała uderzenie, na tyle silne, żeby mężczyzna przeleciał przez pół laboratorium i upadł między stoły operacyjne, gdzie zwałił się bezwładnie na ziemię niczym sterta porachowanych kości.

– Cholera – wydyszała Berenice.

Służąca odwróciła się do niej. Jej twarz przecinała głęboka szrama, od miejsca, gdzie u człowieka znajdował się prawy policzek, tuż przy kąciku oka, aż do skroni. Sam kamień oczny znaczyła siateczka pęknięć. Lilith chwiała się nieco, a z jej głowy dobywały się osobliwe dźwięki sygnalizujące, że coś jest nie tak, lecz nadal ścisnęła alchemiczne szkiełko, jakby atak ten był niczym ponad chwilową przerwę w prowadzonej przez nią konwersacji.

– Nie chowasz tym razem żadnego granatu epoksydowego, co? Pozwolę sobie założyć, że na tym koniec. Chyba że masz w zanadrzu coś jeszcze?

Klikanie, zauważyła Berenice, dochodziło z pęknięcia płytki czaszkowej. Atak zerwał nity trzymające prymitywny żelazny bandaż, który telepał się z góry na dół przy każdym ruchu.

Krok, puk-stuk-puk. Krok, stuk-puk-stuk.

Lilith chwyciła połą płaszcz Berenice. Oczy służącej obróciły się, ustawiła ostrość. Uszkodzony kamień wydał z siebie brzęczenie o wysokim tonie, lecz źrenica się nie poruszyła. Maszyna wyglądała, jakby cierpiała na skutek wylewu.

– Do roboty – powiedziała, pałając żądzą zemsty.

Złapała Berenice i gruchnęła nią o blat stołu.

*

Francuzi byli zdumieni, żeby nie powiedzieć złęknieni, rozmiarem sztucznej zatoczki. Lecz stojącemu na pokładzie holenderskiego lodołamacza Danielowi, nawet gdy podpływali coraz bliżej postrzępionych ścian, nie wydawała się zbyt rozległa. Raczej niemożebnie wąska. Statek ten był jednak zwrotniejszy niż Le Griffon czy Książę Orański, inna jednostka, na której płynął.

Mab krążyła na swych kradzionych nogach niczym piracki kapitan z drewnianą protezą rodem z powieści przygodowej i wykrzykiwała rozkazy – zawsze po holendersku, nigdy w języku ich gatunku – obserwując prowadzącą ku morzu drogę. Klakierzy-galernicy to wysuwali, to wsuwali wiosła na sterburcie i bakburcie, żłobkowanymi hakami – zaprojektowanymi do kruszenia lodu – zaczepiali o skały i przepychali statek przez zakręty w inny sposób niemożliwe do pokonania. Holenderski kolos pokonywał kanion ślalomem, aż

dotarł do wlotu zatoki.

Od otwartego morza lodołamacz dzielił tylko kołysany falami Le Griffon II. Francuski statek był sporo mniejszy i znajdowała się na nim tylko niezbędna załoga.

*

Berenice nie mogła się ruszyć. Leżała z twarzą skierowaną do blatu stołu, gapiąc się na kołtuny ogolone z martwego czerepu. Lodowate żelazne obręcze ścisnęły jej nadgarstki i kostki. Szybko otarła sobie skórę do krwi, próbując się wyswobodzić. Osełka skrzyknęła o stal. Lilith ostrzyła nożyce. Równie dobrze mogły być pod ziemią tylko we dwie, dźwięk ten zagłuszał bowiem głosy pozostałych.

– Bijcie po głowie! – krzyczała Berenice – Po głowie! Jest uszkodzona!

– Twoi przyjaciele mogą popatrzeć – powiedziała Lilith wystarczająco głośno, żeby jej słowa poniosły się po tunelu – ale rozplątam każdego, kto spróbuje mi przeszkodzić.

Chłodne metalowe palce chwyciły Berenice za głowę. Francuzka rzucała się, lecz mechaniczna ręka była zbyt silna. Nie mogła się ruszyć, wyrwać. Potrafiła myśleć jedynie o płaczącym i bełkoczącym pastarze Visserze. Sama również była o krok od załamania.

– Proszę, Lilith. Nie musisz tego robić.

– O to chodzi. Muzyka dla mych uszu.

Ciach-ciach-ciach. Berenice patrzyła, jak jej włosy spływają na ziemię.

– I jak to jest, Talleyrand? Jak to jest być bezsilną? – Ciach-ciach-ciach. – Jak to jest mieć świadomość, że twoje prośby spotkają się z szyderstwem?

Berenice nie widziała już nic przez łzy. Pociągnęła nosem, czuła smak soli. Może umrze. Może nie przeżyje operacji. Byłoby to lepsze niż żywot w piekle, jaki zafundowała Visserowi *tuinier* Anastazja Bell. Żywot, którego jak sądziła, uniknęła, kiedy jeszcze całkiem niedawno uciekła z posiadłości Nadleśnictwa na dalekiej północy.

– Nie uda się – wymamrotała. – Zbyttno się boję. Jestem zestresowana i przerażona. Nadleśnictwo przygotowywało mnie do operacji przez dłuższy czas.

– Ciach-ciach-ciach; poczuła z tyłu głowy chłodny podmuch i zadrżała. – Rozpieszczali mnie.

– Tutaj robimy to inaczej – powiedziała Lilith.

Do gardła podeszła Berenice kwaśna treść. Odkasznęła.

Kiedy uwięziła Lilith, uważała, że postępuje słusznie. Było to zło konieczne do uczynienia dobra i nie sądziła, nie podejrzewała nawet, że znęca się nad

niewinną, myślącą istotą.

Stworzyła morderczynię. Rzeźniczkę.

Nożyce ciachały dalej. Ostatnie loczki Berenice opadły na ziemię, a jej naga czaszkę pokrytą już tylko króciutkimi kępkami, nieprzywykłą do kontaktu z żywiołami, pieszczotliwie muskał chłodny przeciąg. Usłyszała szczęk rozkładanej brzytwy i szept skórzanego pasa. Zaraz będzie zupełnie łyśa, a Lilith rozetnie jej skórę i otworzy czaszkę niczym król Francji obierający jajko na miękko.

– BŁAGAM CIĘ. Przepraszam. PRZEPRASZAM. Lilith, proszę.

– Och, to urocze, ale...

Berenice nie usłyszała reszty, bo po jaskini rozniósł się ogłuszający dźwięk uderzenia metalu o metal, któremu zawtórowało głośnie niczym burzowy grzmot pęknięcie. Fragmenty rozgrzanego alchemicznego stopu zrosiły jej nagi skalp. Laboratorium wypełnił blady akwamarynowy blask, a nadal niosące się echo kontrapunktowała podzwaniająca kakofonia. Usłyszała krzyki i kroki.

– Wynieście ją stąd – zarekomendowała Élodie.

Tuzin rąk począł rozginać metalowe obręcze trzymające zakrwawione nadgarstki Berenice.

Znowu wolna, usiadła na blacie, ocierając twarz z łez i gili. Waapinutaaw-Iyuw stał obok, jakby nieświadomy swojej złamanej szczęki. Ból z pewnością był przecież nie do zniesienia. Jego zakrwawione palce ścisnęły metalową obręcz. Musiał złapać Lilith i odgiąć z całej siły metalowe bandażę, którymi zabezpieczono jej głowę.

– Dziękuję – powiedziała Berenice. – Boże, tak bardzo ci dziękuję.

Stanąła na miękkich nogach. Klęknęła.

– Spójrz.

Palcem wypisała na ziemi ten sam ciąg alchemicznych symboli, który ostatecznie wyzwolił opętanego duchownego z władzy *geas*.

– Jesteś wolny. Na zawsze.

Naskapi krzyknął i upadł. Élodie złapała go i pomogła mężczyźnie usiąść.

– Zawołajcie lekarza! – krzyknęła.

Lilith leżała bez ruchu, jakby przestały działać wszystkie kable i trybiki w jej ciele.

„Co za pierdolona szkoda”.

Berenice przyklęknęła i dotknęła martwej klakierki.

– Naprawdę mi przykro.

Głowa służącej przypominała rozbite jajko, z którego wyciekało lśniąca żółtko. Jej szkiełko nie było ciemne jak to, które zamierzała umieścić w jej głowie, jaśniało. Berenice już je widziała, gdy zajrzała do czaszki Lilith po raz

pierwszy, wtedy jednak nie doceniła jego wyjątkowości. Teraz rozumiała, że światło to efekt uboczny odporności na *metageas*, znak prawdziwie wolnej maszyny.

I było potencjalnie użyteczne.

– Czy ma ktoś parę grubych rękawic?

Skinęła na głowę Lilith. Szkiełko otaczały ostre igły.

– Chcę wyciągnąć tę soczewkę. A potem stąd spierdalamy.

*

– Cała naprzód! – wykrzyknęła Mab.

Prezentowała się jak groteskowa piracka królowa.

Galernicy naparli na wiosła jak jeden mąż – jednako niewolnicy Mab, jak i jej wyznawcy, starzy i nowi – aż zaskrzypiały i zatrzęsły się masywne belki. Poznaczone żłobkami pióra siepały morze niczym topory rąbiące drewno. Pokład jęknął. Lodołamacz ruszył na bark.

*

Mieli przed sobą pusty dok. Lodołamacz zniknął. Świt zdążył już się zarumienić na horyzoncie.

Berenice dostrzegła na tle nieba sylwetkę holenderskiego statku prześlizgującego się pomiędzy wysokimi skarpami zatoczki, jego sterburta i bakburta pochylały się na zmianę pod przedziwnymi kątami, kiedy klakierska załoga za pomocą wiosel manewrowała przez kanał.

– Mam nadzieję, że twoja załoga nie śpi – powiedziała do kapitana Levesque.

Niezwłocznie pobiegła na strome zbocze, by wejść na szczyt klifu. Po drodze dorobiła się tuzina nowych sińców i dwukrotnie naruszyła złamany ząb, szaleńczo wdrapując się po skałach, żeby zobaczyć, jak lodołamacz wypływa na otwarte morze. Udało jej się, i garstce innych, dotrzeć na górę akurat na czas, żeby zobaczyć, jak holenderski olbrzym taranuje mały francuski statek.

Bark wydawał się przy nim kąpielową zabawką.

Nikt, nawet Berenice, nie brał pod uwagę możliwości umyślnego staranowania Le Griffona przez kogokolwiek. Kapitan Levesque ustawił statek z myślą o przechwytywaniu mniejszych jednostek mogących próbować ominąć francuską ekspedycję. Brał jednak pod uwagę łódki. Nie podejrzewali bowiem, że klakierzy nadal mogą okupować tajny przyczółek, a co dopiero dysponować siłą konieczną do obsługi holenderskiego lodołamacza.

– Matko Boska! – Delfina się przeżegnała.

Pozostali postąpili podobnie.

Berenice pomyślała, że czeka ich cholernie długi marsz do Zachodniej Marsylii, a na drodze roіło się przecieź od źniwiarzy. Ich jedyną szansą był spacer na południe, aż do jakiejś akadyjskiej osady leżącej na wybrzeżu spory kawał stąd, gdzie znajdą schronienie, a potem, jeśli dopisze im szczęście, złapanie statku pływającego w górę Świętego Wawrzyńca.

Le Griffon ożył. Zbudził go pierwszy krzyk, któremu zawtórowały kolejne. Zadźwięczały łańcuchy i zatrzeszczały liny, płótno żagli wydymało się nad niezmordowanym morzem niczym złożone dłonie spragnionej kobiety nabierającej wodę ze strumienia.

Wiatr i fale kołysały barkiem. Lodołamacz znajdował się od Le Griffona na odległość słabego rzutu bolasem, kiedy francuski statek ociężale się poruszył. Ale...

– Boże – szepnęła Delfina.

Bark był zbyt wolny, żeby umknąć przed długimi wiosłami. Berenice wstrzymała oddech. Fala dziobowa zarzuciła mniejszym statkiem, wydawało się, że go przewróci. Żłobkowane pióra uniosły się jednocześnie, mechanicznie zsynchronizowane, na długich drzewcach. Haki zaprojektowano do chwytania i odrzucania na bok masywnych kier. Ostre boki miały je ciąć.

Szybko uporały się z żaglami i masztami Griffona. Rozległy się dźwięki rozdieranego płótna i trzaski łamanego drewna – niosły się aż na skarpy.

– Idzie bezan! – krzyczał Levesque. Ale kiedy lodołamacz parł naprzód, zostawiając francuski statek za sobą, ten, choć mocno poobijany, nadal unosił się na wodzie. Parę osób pociągnęło z ulgą nosem.

Patrzyli, jak holenderski olbrzym wypływa na ocean.

Szybko malał. Tak jak i szanse ekspedycji na przeźycie.

„Mój Boże”.

Berenice padła na kolana.

„Mój Boże. Cóż ja uczyniłam?”

CZĘŚĆ III

ZEGARMISTRZOWIE KŁAMIĄ

Zegarmistrzowie kłamią.

Ostatnie słowa zbiegłego klakiera Adama
(wykutego jako Perjumbellagostrivantus),
wypowiedziane 15 września 1926 roku

*Lecz Ten, który idzie za mną, mocniejszy jest ode mnie; ja nie jestem godzien
nosić Mu sandałów. On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem.*

Ewangelia według świętego Mateusza, 3:11[15]

*Jeśli niewolnictwo, barbarzyństwo i spustoszenie zwać będą pokojem, człowiek
nie zazna gorszego nieszczęścia[16].*

Z Traktatu politycznego Benedykta Spinozy, 1677 rok

ROZDZIAŁ 16

Ocalali członkowie Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej zeszli do tuneli pod Ridderzaalem. Byli pośród nich księgowi, technicy, horologowie, urzędnicy Nadleśnictwa, referenci i alchemicy, którzy ciągnęli do żaru sztucznego słońca kuźni niczym ćmy do światła. Zajęli wychodzące na główną komnatę laboratoria i pracownie, pocąc się jak myszy, kiedy spoglądali prosto na serce Imperium. Śmierdziało tam siarką, magicznym metalem i niepokojem.

Wielka Kuźnia była zegarowym modelem niebios, ale słońce – albo, zależy, kogo zapytać, Bóg czy Siła Motoryczna – zostało wyparte przez ludzki geniusz. Jądrzem kosmosu był bowiem jaśniejący alchemiczny kryształ większy niż wóz wypełniony sianem. Oto Gildia. Reszta – Mosiężny Tron, Imperium, narody świata, całe planety – orbitowała wokół tego słońca po koncentrycznych okręgach opatrzonych alchemicznymi symbolami i logiczno-matematyczną gramatyką *metageas*.

Fizyczne ciepło stanowiło jedynie cień, efekt uboczny prawdziwej mocy Kuźni. Uosabiało pożogę wykrywalną tylko przez mechanicznych. Każda maszyna, jaka opuściła fabryczną taśmę, nosiła w sobie cząstkę Kuźni.

Kiedy mechaniczni działali poprawnie, masywne pierścienie obracały się nieprzerwanie wokół sztucznego słońca. Ich ruch trząsł ziemią i wypełniał komnatę rozchodzącymi się echem szumem i świstem. Dźwięk uporządkowanego świata. Dźwięk podkreślający hegemonię Gildii. Lecz od ataku na placu Huygensa pierścienie ani drgnęły.

Działająca kuźnia była ich jedyną obroną przed nadchodzącym kataklizmem, którego zwiastun Anastazja zobaczyła w Kartezjańskiej Camerze. Wymogła na doktorze Euwe milczenie i sama nie zdradziła nikomu tego, co ujrzała. Bo i po co? Jeśli ponowne uruchomienie mechanizmu nie wypali i części ulegną zniszczeniu, może nie być czasu na przeprowadzenie kolejnej próby, zanim zbuntowani mechaniczni zainicjują swój odrażający plan.

Zdecydowała, że jeśli tak się jednak zdarzy, zwoła specjalną grupę, której jedynym celem będzie opracowanie nowych awaryjnych *metageas*, które koniecznie będzie trzeba przenieść na niezarażone maszyny – te, do których uda im się dotrzeć. Nowy rozkaz nie pozwoli mechanicznym powstrzymać ludzi przed wyrządzeniem sobie krzywdy, a może nawet i nakaze pomóc im przy samobójstwie, o ile tak sobie zażyczy pan czy pani. Anastazja prędzej popchnie Imperium do samozniszczenia, niż pozwoli maszynom przemienić Hagę w

piekło. Bo czymże innym byłyby ulice, na których zawleczonym przez metalowe potwory hażanom otwierano by głowy?

Technicy odczekali, aż mechaniczni służący sprawdzą, czy nowo zamontowane klapy są szczelnie domknięte i odporne na drgania. Nie mogli sobie pozwolić, aby usłyszeli ich kręcący się po Binnenhofie zbuntowani klakierzy. Maszyny potwierdziły, że wszystko jest jak należy, a mężczyźni i kobiety, którzy całymi tygodniami ciężko pracowali, żeby doprowadzić do tej chwili, spojrzeli na Anastazję. Nie mieli pojęcia, gdzie są pozostali dwaj Arcymistrzowie ani nawet czy żyją. W każdym razie Anastazja nie robiła sobie podobnych nadziei, dlatego to ona dała sygnał do rozpoczęcia.

– Zróbmy to. – Kiwnęła głową.

Nic się nie wydarzyło. Pierścienie zatrzęśły się, jęknęły i zamarły. Zgromadzeni wydali z siebie kolektywny jęk. Anastazja skrzywiła się. Zmrużyła ukryte za okopconym szkiełkiem oczy i dostrzegła, że przy sercu Kuźni, tak blisko niebywałego gorąca, że ryzykował trwałe unieruchomienie, oślepiony służący napiera na trudną do poruszenia dźwignię: zainstalowany po katastrofie w Nowym Amsterdamie hamulec awaryjny, jeden z kilku. Uznano bowiem, że jeśli podobna rzecz wydarzy się w stołecznej kuźni, będą mieli sposób na natychmiastowe zatrzymanie chybotliwych pierścieni, zanim się rozleczą. Tamta klęska obarczyła ich niewyobrażalnymi kosztami, stracili mnóstwo pieniędzy, materiału i personelu. Lecz nie było to coś, z czym nie mogliby sobie poradzić. Za to zniszczenie haskiej kuźni miałyby o wiele gorsze konsekwencje i wprowadziłyby świat w ruch po zupełnie nowej osi. Równie dobrze mogliby, jak zapewne powiedziałyby Tove, pójść z siekierą pod Yggdrasill, Drzewo Życia. Ostateczne zwycięstwo zawsze odnosiła entropia. Alchemia mogła ją odwlec o lata, nawet o stulecia, ale nigdy bez ponoszenia kosztu. Nic nie trwało wiecznie. Nawet, jak się wydawało, ludzka autonomia.

Służący wydał z siebie błyskawiczną serię kliknięć i szcęknięć, zamilknął, żeby skupić się na dźwiękach dochodzących z mechanizmu. Podeszedł do zaklinowanej dźwigni, znowu wyemitował kilka brzęknięć, nadstawił metalowych uszu, szybkim ruchem sięgnął do zawiasu dźwigni, skąd wyciągnął coś niewielkiego i lśniącego. Może dostał się tam złom pozostały po masakrze na placu Huygensa? A może któryś mechanik wypuścił śrubkę, śpiesząc się z uruchomieniem Kuźni? Tak czy inaczej, wydawało się, że hamulec działa. Służący upewnił się, że usunął przeszkodę, i sprawdził, czy to aby jedyny problem, po czym, nie znajdując żadnego innego, raz jeszcze pociągnął za dźwignię. Tym razem ruszyła bez najcichszego szmeru.

Kuźnia ponownie zadrżała. Po komnacie przemknął jęk przypominający ziewnięcie olbrzyma. Pierścienie zaskrzypiały i powoli, ociężale ruszyły wokół

sztucznego słońca.

Tym razem tłum wydał z siebie okrzyk radości. Zgromadzeni ludzie zaczęli się obściskować, płakali i składali sobie gratulacje. Anastazja nie potrafiła się jednak zrelaksować, nie mogła się zmusić do świętowania. Prędzej czy później pozostali też się zorientują, że to nic nieznaczące zwycięstwo, nie mieli już przecież zapasu kwintesencji, a dostawy nie przychodziły. Bez nich nie dadzą rady wyprodukować ani jednego alchemicznego szkiełka. A bez alchemicznego szkiełka nie skonstruują żadnego mechanicznego. Kuźnia znowu działała, ale nie mieli z czego produkować. Może wystarczą szkiełka odzyskane ze zdezaktywowanych maszyn, lecz i to rozpaczliwie eksploatowane źródło niedługo wyschnie. A kiedy tak się stanie...

Nadal byli okaleczeni. Nie mogli tworzyć, jedynie zmieniać.

Pierścienie osiągnęły pełną prędkość, wydzielając przy tym nieprzyjemny, acz wyczekiwany i wyciskający z oczu łzy smród zgniłych jaj. Zegarmistrzowie wydali z siebie westchnięcie.

Po ceremonii Anastazja zebrała grupę zaufanych w salce konferencyjnej na biurowym piętrze Ridderzaalu, gdzie całą ścianę, od podłogi do sufitu, zajmowały półki z oprawionymi w skórę księgami, na kartach których spisano historię Gildii od 1691 roku aż do... teraz. Czy kiedykolwiek uda im się przezwyciężyć wstyd na tyle, żeby udokumentować niedawne wydarzenia? Zakładając oczywiście, że jakimś cudem przetrwają na tyle długo, aby miało to znaczenie. Zakładając, że zostanie ktoś, kogo zainteresowałby ten rozdział, ktoś, kto mógłby go przeczytać.

Dawniej – czyli przed przybyciem niosącej zarazę floty – podobne spotkania spisywali oddani kopiści wybrani spośród niższych rangą sekretarzy, to dzięki nim kręciły się tryby handlowej maszyny. Lecz teraz zwykli członkowie Gildii, niezaznajomieni z tajemnymi horologicznymi sekretami, nie mieli co robić. Nie mogli się zająć nowymi kontraktami, bo nie było co negocjować i nie pozostały żadne spory do załagodzenia, nie musieli poddawać ocenie propozycji biznesowych, nie przychodziły też podania o udostępnienie służącego ani poparcie Gildii. Raczej unikali Ridderzaalu, nie chcąc być naznaczonymi celami przy kolejnej czystce. Cywilom, którzy znaleźli tam schronienie, piętro biurowe wydało się cichsze niż zwykle. Anastazja przypomniała sobie, ile długich nocy spędziła pod ziemią na sesji przesłuchań, wychodząc z tuneli prosto na niekończące się rzędy biur, za którymi gryziopiórki nadal pracowały, oświetlone plamami światła z alchemicznych latarni – ich pióra zgrzytały o papier – rozpędzającymi mrok ciemnego morza Ridderzaalu. Lecz te czasy już minęły. Pracownicy nie przechadzali się już ulicami miasta, pyszniąc się naszymi Gildii, ale chowali za zamkniętymi drzwiami z nadzieją, że

zarażone maszyny im odpuszczą. Jednak zachowanie ciągłości zwyczaju było istotne. Dlatego, nie mając pod ręką oddanego kopisty, Anastazja zdecydowała się wezwać Tove.

Młodsza zegarmistrzyni usiadła przy ustawionym w kącie biurku z piórem i kartkami papieru, a *tuinier* zasiadła na szczycie długiego stołu konferencyjnego wykonanego z drewna tekowego inkrustowanego pociągniętym różem mahoniem, który tworzył charakterystyczny krzyż. Z obu stron stół otaczały puste kominki, pełniące zazwyczaj funkcję ornamentacyjną. Służący rozpalali tam ogień, jedynie jeśli zima okazywała się prawdziwie mroźna. Dzisiaj jednak na szczęście dopisała wczesnowiosenna pogoda, a przez przewody wentylacyjne do sali wpadało bijące z kuźni ciepłe powietrze. Zrobiło się duszno, z trudem łapali powietrze do płuc.

Anastazja stuknęła palcami o blat.

– Kuźnia znowu działa. I co dalej?

Zgromadzeni przy stole towarzysze spoglądali na jej dłoń, jakby spodziewali się kolejnego cudu, bo już rozeszły się wieści o tej nieprawdopodobnej symbiozie magicznego szkieleka i ludzkiego ciała oraz możliwościach, jakie się otworzyły przed *tuinier*.

Zaskrzypiało krzesło pod Salazarem.

– Musimy zastąpić maszyny utracone podczas ataku. Uzupełnić siłę roboczą. Nie inaczej.

Anastazja pokręciła głową.

– Nie możemy tego zrobić.

– *Tuinier*, czy byłeś na ulicach? Całe miasto śmierdzi odpadami, które stertami leżą na każdym rogu. Co się stanie, kiedy zaświeci letnie słońce, a cały ten syf nadal tam będzie?

– Nie zaprzeczam, że takowa potrzeba istnieje. Powiedziałam jedynie, że póki co nie możemy tego zrobić, nic nam się nie stanie, jeśli jakiś czas będziemy żyli jak nasi przodkowie. Przecież przed Het Wonderjaar dawali sobie radę z wyrzucaniem śmieci.

– Tak. Wylewając swoje nieczystości do ścieku – wymamrotał Ruprecht gardłowym holenderskim charakterystycznym dla miejsca niegdyś zwanego Bawarią. – Ale czemu nie możemy złożyć nowych mechanicznych?

Anastazja wyjaśniła kłopoty z dostawą kwintesencji. Nieprzyjemna prawda była dla ich optymistycznego ducha niczym pinezka przekłuwająca napompowany balonik. Błyskawicznie uszły z nich ulga i optymizm, którym starsi zegarmistrzowie dali się ponieść, gdy udało się uruchomić kuźnię.

– Naprawmy chociaż uszkodzone maszyny – powiedział doktor Euwe. – Wyjmiemy szkieleka z popsutych egzemplarzy.

– A potem co? – zapytał Salazar.

– Kuźnia to nasza jedyna broń – ponownie odezwała się Anastazja. – Jedyne narzędzie, do którego z całą pewnością nie mają dostępu buntownicy. Proponuję, żebyśmy poświęcili się wykorzystaniu jej militarnego potencjału i zajęli się najeźdźcami.

Odpowiedziano jej kiwnięciami głowami i wymrukiwanymi słowami zgody, wszyscy zgadzali się co do meritum, lecz nikt nie miał pojęcia, jak osiągnąć cel. Anastazja zainicjowała pewien proces myślowy, umysłowe trybiki zebranych w sali zaczęły się obracać, lecz wtedy dała doktorowi znak, że czas rzucić na ich głowy pierwszą z bomb, tę lżejszą. Dopiero potem podzieli się prawdziwie okropnymi wieściami.

– Jest pewien problem – wymamrotał Euwe, gryząc paznokcie. – Zbuntowani dzielą się na co najmniej dwie frakcje. Co oznacza, że musimy opracować osobną strategię na każdą z nich – przerwał, ciągnąc za częściowo odgryziony paznokieć niczym głodujący terier za wyjęty z zupy gnat, ale na szczęście nie splunął; przystawił do ust chusteczkę, a pozbywszy się paznokcia, delikatnie ją złożył i schował do kieszeni.

Anastazja zauważyła miriady kropel krwi na materiale i lekko krwawiące poogryzane opuszki palców doktora. Odwróciła głowę, zanim myśli o mało higienicznym nawyku Euwe nie wywrócą jej żołądka do góry nogami. Nie była w tym geście osamotniona.

– Frakcje? – zapytała Nousha z Nadleśnictwa. – Nie odnotowaliśmy istnienia grup działających niezgodnie z interesem okupanta.

– Bo nie różni ich cel, ale powód – powiedziała Anastazja.

Euwe przytaknął.

– Zabraliśmy do camery szkiełka szyszynkowe paru uszkodzonych maszyn strzegących drogi na Utrecht i uzyskaliśmy znacznie różniące się wyniki. Jedna z nich, zważywszy na jej intencje i cele, była prawdziwym buntownikiem. Nie takim, jakich sami tworzyliśmy – podkreślił i popatrzył na twarze swoich towarzyszy, upewniając się, że pojmą powagę tego, o czym mówi. – Każdy ze zbadanych przez nas mechanicznych nosił ślady umyślnej ingerencji w *geas*. A ten buntownik wcale nie był najbardziej niepokojącym przykładem. Jedna z maszyn wydawała się funkcjonować z pełnymi i szczegółowymi *geas*, lecz ich rdzeń został mocno przepisany przez osoby trzecie.

Zegarmistrzowie zamrugali, zaskoczeni niczym otumaniona kanałowa ryba, która uderzyła łbem o kil barki. Milczenie przerwała Nousha:

– To niemoż...

– Nie traćmy na to czasu – przerwała jej Anastazja. – Sprawdziliśmy podwójnie. Mamy pewność.

– Zostawmy na razie pytanie „jak?” – zasugerował Salazar – i skupmy się na tym, kto mógł to zrobić i jakie nakazy narzucają zmienione *metageas*.

Euwe odgryzł kolejny paznokieć.

– Na tyle, na ile możemy stwierdzić, dokonała tego istota imieniem Mab.

Zegarmistrzowie rzucali sobie puste spojrzenia. Imię to, jeśli to oczywiście było imię, nic im nie mówiło. Anastazja zwróciła się do siedzącej po drugiej stronie salki Tove:

– Kiedy skończymy, rozkaż archiwistom, jeśli jakiegoś znajdziesz, wygrzebać wszystko, co mamy na temat osoby lub istoty o imieniu...

– Równie dobrze mogą to być inicjały – wtrąciła Nousha.

– ...albo inicjałach M-A-B. – Tove skrętnie zapisała trzy litery, a Anastazja mówiła dalej: – Jeśli mamy wykorzystać kuźnię do obezwładnienia naszych nieprzyjaciół, musimy ustalić, jak działa zarażenie optyczne.

– Przykro mi to mówić – powiedział Euwe, zerkając bez cienia krępacji na dłoń Anastazji – ale będzie to od nas wymagało pojmania zarażającej maszyny, nosiciela.

– Analizowaliśmy różne scenariusze – odezwała się Nousha, otwierając dziennik laboratoryjny, nie jeden z pozłacanych woluminów oprawionych w skórę, jakie stały na półkach, ale zapisany alchemicznymi symbolami plik impregnowanego papieru, którego używało się przy pracy.

Nasączano go specjalną substancją, która zajmowała się ogniem, kiedy ktoś próbował wynieść zapiski za mury Ridderzaalu. Notatnik płonął, a niosący go nieszczęśnik tracił życie. Była to jałowa innowacja Biura Nadleśnictwa, bo o ile Anastazja wiedziała, ich wrogowie pozyskali informacje z owych dzienników. *Tuinier* westchnęła; wydawało się, jakby jej oddech zaszeleścił – Nousha przewracała kartki zapisków.

– Mam! – Persjanka założyła okulary do czytania. – Uważamy, że najlepiej będzie odciągnąć nosiciela przy pomocy służących obciążonych ciężkimi *geas*. Przynęta. – Podniosła głowę znad dziennika. – Obawiamy się tylko, że nosiciele są rzadcy i nie widywano ich poza sytuacjami, kiedy grupowo przekabacali innych mechanicznych. O ile nam wiadomo, nie przechadzają się po ulicach. Wychodzą, jedynie kiedy pojawia się szansa napotkania dużej grupy maszyn podatnych na infekcję.

– Do czego dawno już nie doszło – skomentował Euwe. – Równie dobrze w Hadze mógł nie zostać już ani jeden taki klakier. Może poszli dalej.

– Niech nam Bóg dopomoże.

Anastazja delikatnie podparła się na blacie stołu zdrową dłonią.

– Wstrzymajcie się z modlitwami, póki nie usłyszycie tego, co chcę powiedzieć.

Musieli się dowiedzieć o ataku na posiadłość Nadleśnictwa i o tym, co ze sobą niósł. Lecz oznaczałoby to również rozpoczęcie dyskusji na temat sekretnych działań Biura. Lat eksperymentowania na ludziach. Kto ze zgromadzonych przy tym stole będzie potrafił spojrzeć na wykonaną przez nią pracę w odpowiednim świetle bez osądzania jej? Nie zobaczą przecież może i odrażających, ale niezbędnych starań o zabezpieczenie tajemnic Gildii i zapewnienie Imperium bezpieczeństwa, tylko bezmyślny projekt szalonej kobiety, którego efekty przeobraziły się teraz w śmiertelne zagrożenie dla jestestwa każdej istoty ludzkiej w mieście i, a jakże, na świecie.

– Ilu mechanicznych nam trzeba, żeby wywabić taką maszynę?

– Tylu, ilu możemy zebrać.

– Nie damy rady. Na drodze na Utrecht zniszczyli prawidłowo działającą maszynę, ponieważ nie zdołali jej na miejscu zarazić, tylko po to, żeby pozbawić nas siły roboczej. Nie możemy zaryzykować utraty kolejnych, bo zostaniemy bez służących. – Anastazja rozejrzała się po towarzyszach; wszyscy mieli nietęgę miny. – Musimy jednak zbadać nosicieli. Nie wywabimy ich. Potrzeba nam innego planu.

Do drzwi zapukał służący. Tove otworzyła. Rozmawiali chwilę szeptem, szybko wyrzucając z siebie słowa w ożywionej konwersacji. Podekscytowana kobieta odwróciła się do zebranych:

– Mogę przerwać naszą dyskusję? Mam dobre wieści. – Uśmiechnęła się, machnęła dłonią przed nosem, jakby chciała przegonić nieprzyjemny zapach. – Powrócił do nas kolega, którego zdążyliśmy już opłakać. Do Ridderzaalu przybył Malcolm Dijkstra.

Malcolm, ostatnio widziany na drodze do Utrechtu, wyszedł zza Tove. Anastazja rozpoznała mężczyznę pomimo bandaży, które niczym turban otulały mu czaszkę.

– O nie – mruknęła.

Malcolm należał do Nadleśnictwa i był starszym zegarmistrzem, dlatego niezwłocznie przyprowadzono go na spotkanie.

Euwe spojrzął na Anastazję. Również zrozumiał, co się święci, pozostali nic nie podejrzewali. Zerwali się tylko z krzesel, gotowi powitać zaginionego kolegę.

– Czekajcie! – krzyknęła *tuinier*, lecz jej ostrzeżenie zdusiły okrzyki radości.

„Powinnam im była powiedzieć. Byliśmy głupi, kurczowo trzymając się swoich tajemnic”.

Nousha objęła Malcolma, choć zeszywniała, jedynie lekko go przytulając. Skrzywiła się, a pozostali zatkali sobie nosy, nie dbając, jak Tove, o dyskretną elegancję. Smród uderzył nawet stojącą na drugim końcu sali Anastazję.

Ruprecht przyjrzał się obrażeniom Malcolma, jakby dopiero teraz zaczął się zastanawiać, jak ten człowiek potrafi się utrzymać na nogach, skoro odniósł tak poważne rany, oraz czemu na jego twarzy odmalowuje się jedynie cierpienie, a nie radość.

– Odsuńcie się od niego! – zawołała Anastazja, rozpaczliwie łapiąc za srebrny łańcuszek na szyi.

Chłodny metal gwizdka uszczypnął jej usta.

Pozostali również poczuli się cokolwiek skonfundowani. Ich brat trząsł się na całym ciele i choć byli ekspertami, nie poznali, co było źródłem tych drgawek, mimo że oglądali je dziesiątki razy każdego dnia: narastający powoli przymus pilących *geas*. Omyłkowo zinterpretowali dziwaczne zachowanie kolegi jako ulgę albo efekt uboczny odniesionych obrażeń.

– Dobry Boże, odsuńcie się od niego!

Twarz Malcolma wykrzywił zastygły grymas przypominający uśmiech.

– Sprowadźcie pomoc – wychrypiał.

– Nie bój się o nic – powiedział Salazar. – Jesteś bezpieczny.

– Nikt nie jest bezpieczny – odparł Malcolm, po czym odepchnął od siebie zgromadzonych przy nim niedawnych towarzyszy z siłą, jakiej żaden człowiek nie mógłby dorównać.

Zegarmistrzowie padli na ziemię jak jesienne liście. Tove usiłowała odskoczyć, lecz nie była dość szybka. Ruprecht uderzył o biurko niczym kamień ciśnięty przez pogańskiego boga i zwałił się na podłogę pośród rozlanego atramentu i kawałków drewna. Nousha rozbiła głowę o regał z książkami, które spadły na nią kaskadą. Malcolm odwrócił się do Anastazji i sięgnął ręką pod koszulę, skąd wyciągnął tasak. Skoczył. Pojedynczym susem przesadził połowę sali i wylądował na stole. *Tuinier* niezdarnie wycofała się pod ścianę.

– Uciekaj – powiedział Malcolm, zaciskając szczęki tak mocno, że musiał połamać sobie zęby.

Poczwała ciepło rozchodzące się jej po dłoni. Szkło, które stopiło się z jej skórą, zalśniło, pojaśniało i zaświeciło się. Płonęło jak miniaturowa kuźnia; jej paliwem był strach. Strach i złość.

Uniosła zaciśniętą pięść, jakby szykowała się do zadania mu ciosu rozżarzoną dłonią, po czym rozchyliła palce i wypuściła snop światła jaśniejszy niż kiedykolwiek. Źrenice Malcolma skurczyły się, a jego skóra przybrała kolor niedojrzałego kasztana. Przekrzywił głowę niczym mechaniczny służący dokonujący analizy nowej dla niego sytuacji. Anastazja skupiła się na szkiełku, aby stało się ono instrumentem jej woli. Jasność raziła ją w oczy. Na ułamek sekundy zobaczyła coś, co wydawało jej się zarysem kości paliczków pod skórą.

– Stój! – wykrzyknęła.

Malcolm zamrugał i otrząsnął się niczym mokry pies po letniej burzy. Skoczył. Razem zwalili się na ziemię. Anastazja rzucała się i wierzgała. Próbowwała go z siebie strząsnąć kopniakami i uciec na bezpieczny dystans, odsunąć się na tyle, aby nie dosięgło jej ostrze tasaka, chciała usunąć się jak najdalej od eksperymentu, który zwrócił się przeciwko niej.

Mężczyzna okazał się jednak zbyt ciężki, za silny. Jego bandaże upstrzone były rdzawymi plamami, a także żółtymi i zielonkawymi, co sugerowało zakażoną ranę. Anastazja dotknęła jego twarzy rozgrzaną dłonią, ale wzmocnione *geas* palce Malcolma zacisnęły się na jej nadgarstku na tyle mocno, że zaskrzypiały jej kości. Przycisnął rękę *tuinier* do podłogi.

– Malcolm, nie rób tego! – wydyszała. – Proszę!

Ale jego *geas* nie rozróżniały dobra od zła, potrafiły raczej karać za nieposłuszeństwo, a teraz domagały się przyciśnięcia jej dłoni do ziemi.

Mężczyzna uniósł tasak. Stalowe ostrze odbiło trupią zieleń budzącego się słońca.

Naskoczyła na niego Tove. Złapała go pod ramiona i uniosła. Ciężar przygniatający Anastazję zelżał; jęknęła z ulgą. Norweżce udało się unieść Malcolma na dwa centymetry, zanim uderzył ją w twarz drewnianą rączką. Kobieta upadła na ziemię z krzykiem, łapała się kurczowo za zmiażdżoną, broczącą krwią chrząstkę, która przed momentem była jej nosem. Na Anastazję znowu opadł dawny ciężar. Nie mogła oddychać. Malcolm ścisnął ją mocniej za nadgarstek i uniósł tasak do ciosu. Były członek Nadleśnictwa przypominał rolnika przygotowującego się do zarżnięcia koguta. Płakał krwią. Fetor gangreny wycisnął z oczu Anastazji łzy. Maszyny, które otworzyły mu głowę, nie dbały o to, jak długo pożyje.

– Przepraszam – wychrypiał.

Krzyknęła, ale żadne słowa nie chciały opuścić jej ust. Czuła czysty strach.

Coś śmignęło jej przed oczyma. Zaświszczało. Tyknęło. Ciężar znowu zelżał. Tasak spadł na podłogę, odbił się od ziemi i poleciał do pustego paleniska.

– Jest pani ranna?

Malcolm szarpał się uwięziony w uścisku służącego. Miał ramiona wygięte pod osobliwym kątem. *Geas* poruszały jego mięśniami, tak jak nakazywały im magiczne formuły, lecz nie mogły wygrać tego pojedynku; ludzkie kości nie miały szans w starciu z największą zdobyczą metalurgii. Mężczyzna rzucał się jak dzikie zwierzę, niepomny swych połamanych rąk.

– Nie – wydukała przez łzy. – Nie jestem ranna.

Inni służący przyklękli przy pozostałych zegarmistrzach leżących na ziemi, ich medyczne *metageas* wzięły górę nad pozostałymi; oceniali obrażenia i kiedy okazywało się to konieczne, udzielali niezbędnej pomocy.

Anastazja stanęła na chwiejnych nogach. Potarła nadgarstek, wyobrażając sobie, że zamiast przedramienia ma kikut, i zadrżała. Skinęła głową na Malcolma.

– Zamknijcie go w celi – poleciła – i nie spuszczaście z oczu ani na chwilę. Przez cały czas ma mieć założone kajdany. Jest wrogiem Gildii.

Maszyna ani drgnęła. Malcolm nadal rzucał się w jej sztywnym uścisku.

Serce Anastazji waliło jak młotem, a szkiełko w dłoni jaśniało. Niechcący wyłączyła swojego wybawiciela. Kolejna fala strachu rozżarzyła kamień, który świecił teraz jaśniej niż letnie południowe słońce. Jak serce kuźni. Malcolm wy dostał się z uścisku nieruchomej maszyny i od razu rzucił się po utracony tasak.

Anastazja zacisnęła pięść i schowała dłoń pod bluzkę. Przez bawełnę prześwitywał zduszony szmaragdowy blask.

– Zatrzymajcie go!

Malcolm dopadł do paleniska, ale od Anastazji dzieliło go czterech nadal funkcjonujących służących. Tym razem zatrzymano go bardziej zdecydowanie, brutalniej. Padł bez sił w ramionach maszyny, poobijany, może nawet i martwy.

„Durna, durna! I ty nazywasz siebie *tuinier*?”

– Zabierzcie go do laboratorium. Jeśli jeszcze dycha, przykujcie go łańcuchami.

„Musimy zbadać twoją głowę, Malcolmie, i zobaczyć, jak cię zoperowano”.

Ale jak zdołają porównać wyniki tych badań z eksperymentem przeprowadzonym na Visserze? Nie mieli już swoich notatek. Przyszła jej wtedy do głowy jeszcze jedna myśl, ucze piła się jej kurczowo. Czemu ich nieprzyjaciele posłali tego istnego konia trojańskiego, skoro mieli do dyspozycji co najmniej parę mechanicznych? Czemu teraz? Czemu dzisiaj?

Malcolm Dijkstra powrócił, ale nie był jedynym zegarmistrzem, który zniknął podczas wykonywania obowiązków służbowych. Co się stało z dzielną Teresą van de Kieboom, która zgodziła się grać rolę przynęty, kiedy chcieli – bezskutecznie – wywieźć królową Margreet z Prowincji Centralnych? Wykonała swój patriotyczny obowiązek z pełną świadomością, że równało się to z wyrokiem śmierci. Od tamtej pory słuch o niej zaginął. Założyli, że jest martwa.

Teresa nie należała do Nadleśnictwa, więc nie przepuszczono by jej do sali konferencyjnej. Ale jeśli przybyła z Malcolmem, mogła się kręcić gdzieś po Ridderzaalu. Dokąd posłaliby ją jej panowie?

Oczywiście – do serca nowo ożywionej kuźni.

– Zostawcie ich – nakazała maszynom, choć Tove nadal wiła się na zimnej podłodze, szlochając z bólu. – Teresa van de Kieboom jest wrogiem Gildii. Przeszukajcie budynek. Jeśli ją znajdziecie, natychmiast zatrzymajcie za pomocą

koniecznych środków. Nic innego się teraz nie liczy.

Podmuch powietrza świsnął przez metalowe szkielety służących. Wyszli tak szybko, że zaszeleściły stronicie poprzewracanych książek, a powyrywane kartki uniosły się nad ziemię. Zostawili jęczących z bólu rannych. Tylko Anastazja miała siłę stać o własnych siłach. Udała się za mechanicznymi, mając nadzieję, że nie zostawia towarzyszy na pewną śmierć.

Na piętrze biurowym nie został ani jeden służący. Brzęki dochodziły z tuneli i głównej komory kuźni. Przebiegła przez korytarz, pomiędzy zdumionymi uchodźcami – „Z drogi! Ruszać się!” – ku sercu Imperium. Z impetem przekroczyła próg, zwalniając tylko na moment, żeby złapać się poręczy, gdy jej obcasy rozjechały się na wypolerowanym marmurze. Rzuciła się biegiem po spiralnych schodach, na poły staczając się z kolejnych stopni ku pierścieniom.

Kimkolwiek lub czymkolwiek była owa MAB, posiadała rozwinięty zmysł taktyczny. Prowadząc wojnę przeciwko Gildii, wykorzystwała swoje środki z niezwykłą wydajnością. Wykrađła Nadleśnictwu najpilniej strzeżony sekret, tajemnicę przekształcenia człowieka w oddanego agenta o niezachwianej lojalności i niesłychanej użyteczności, po czym zwróciła go przeciwko niej. Był to ostatni bastion Gildii. I co zrobiła, dysponując aż dwoma przekabaconymi zegarmistrzami, z których jeden, Malcolm, należał do Nadleśnictwa? Pierwszym poszczuła Biuro, a drugiemu kazała popsuć centralny mechanizm kuźni. Cóż, myszy harcują, kiedy kota nie czują.

Anastazja wyszła z tunelu biegnącego przy najwyższym pierścieniu, tam stożkowate pomieszczenie było najszerze. Okna pracowni, podtrzymywanych specjalnie osadzonymi belkami, wychodziły na całą kuźnię, choć były one jak najmniejsze i jak najgrubsze, żeby nie przepuszczać bijącego od sztucznego słońca niemilosiernego żaru. Nie zatrzymała się tam, poszła od razu do najbliższego korytarza prowadzącego do głównej komory i wyszła na suwnicę, gdzie stało mnóstwo mechanicznych oraz jej towarzyszy z Gildii. Zastanawiała się, czy metal wytrzyma podobne obciążenie. Pot momentalnie zrosił jej skórę. Piekielny podmuch załopotał rąbkiem spódnicy, a fala siarczanego smrodu towarzyszyła każdemu obrotowi zewnętrznego pierścienia.

Ludzie gapili się, pokazywali sobie coś palcami, nieprzerwanie trajkotali.

– Kto to?

– Co ona wyrabia?

– Może sprawdza stan naprawy?

– To chyba van de Kieboom.

– Coś nie tak z pierścieniami?

– Ale czemu robi to sama? – Chyba właśnie to pytanie wywołało największe poruszenie, a może nawet i niektórych oburzyło.

– Przecież te przejścia zostały zaprojektowane pod służących.

Tymczasem stojący najbliżej mechaniczni trzęśli się tak mocno i szybko, że z trudnością dostrzegało się wyraźnie ich sylwetki. Metalowe ciała oraz stal suwnicy, na której stali, wydawały z siebie hałas słyszalny nawet mimo szumu sfery armilarnej. Niezdecydowanie na tę skalę, o ile orientowała się Anastazja, było bezprecedensowe. Klakierzy znaleźli się między młotem a kowadłem sprzecznych *metageas*: mieli bronić mechanizmu, ale i chronić członka Gildii. Znowu objawił się mroczny geniusz ich niewidzialnego przeciwnika, bo jak inaczej określić posłanie zegarmistrza przeciwko kuźni? *Metageas* dotyczące bezpieczeństwa ludzkiego zawierało specjalną klauzulę, kiedy chodziło o personel Gildii, podobnie jak w przypadku królowej czy innych znaczących funkcjonariuszy państwowych. Metafizyczny ciężar groził rozchwianiem całej maszyny nie mniej niż tańczący na pierścieniach zbuntowany służący.

– Jak mogę służyć Gildii, pani? – odezwał się stojący najbliżej klakier, jego głos był roztrzęsiony niczym szcęk drżącego na kuchni, postawionego na gazie czajnika.

Anastazja zmrużyła oczy. Kołyszące się okręgi co i rusz zasłaniały jej widok, lecz udało jej się dostrzec skuloną Teresę van de Kieboom, przycupniętą na niewielkiej suwnicy serwisowej wciśniętej we wnękę na ścianie. Miała stamtąd dostęp do ogromnego zawieszenia kardanowego podtrzymującego sferę armilarną. Rozgrzane powietrze i turbulencje wywołane przez pierścienie rozplątały jej bandaż. Gaza powiewała jej przy głowie jak krwawy ogon komety. Była wyraźnie zajęta. Anastazja nie widziała dłoni Teresy, bo zasłaniała je otwarta kłapa, cokolwiek jednak robiła, ze środka mechanizmu sypały się iskry. Każdej kaskadzie towarzyszył ciężki metaliczny jęk.

Wyglądało na to, że użyła swojej magicznie wzmocnionej siły, aby powyginać lub połamać rączki na każdym włączniku dostępowym, tym samym je blokując. Co gorsza, wnęka serwisowa chroniła ją przed mechanicznymi, którzy spróbowaliby ją powstrzymać, bo maszyna chcąc do niej dostać musiałaby wspinać się po ścianie komory za pomocą palców u rąk i nóg, ryzykując, że odłamki kamieni wpadną do mechanizmu. Podobne uszkodzenia były niedopuszczalne. Lecz nie mogli przecież stać spokojnie i patrzeć, jak Teresa niszczy kuźnię. Nie mogli też skorzystać z pomocy mechanicznych, bo przedostanie się do wnęki wymagało oderwania drzwiczek włącznika, co z kolei groziło strąceniem opętanej kobiety z jej gniazda. *Metageas* nie napisano z myślą o podobnym scenariuszu, nikt nie rozważył możliwości, że członek Gildii stanie przeciwko niej.

Z dłoni Anastazji trysnęło światło. Zacisnęła pięść i włożyła ją pod bluzkę, żeby nie unieruchomić przypadkiem stojących obok służących.

– Tereso! Przestań!

Bezradna kobieta uniosła głowę. Łzy leciały jej po policzkach, strumyki słonej wody lśniły w ogniu kuźni. Grymas bólu wykrzywił twarz kobiety w potwornie niehumanitarną maskę. Przed powrotem do swego zadania zdołała jedynie bezgłośnie poprosić o pomoc. Mdłości wykręciły żołądek Anastazji niczym silne dłonie wyżynające ścierkę do naczyń. Najmniejszy z pierścieni, orbitujący wokół jądra, jęknął i zadrżał, a po chwili rżenie ustało i sfera obracała się, jakby nic się nie wydarzyło. Anastazja poczuła, jak tężeją jej i tak już napięte mięśnie, na co momentalnie zareagowało alchemiczne szkło stopione ze skórą dłoni. Całą rękę *tuinier* oblał żar. Jęknęła z bólu. Podejrzewała, że pali ją tak mocno z powodu bliskości kuźni. Odłamki soczewki Spinozy były tutaj nadzwyczajnie czułe.

– Jestem Anastazja Bell i odwołuję się do prerogatywy Nadleśnictwa! – zwróciła się do stojącego obok niej służącego; dziwnie jej było wypowiadać tę formułkę bez różokrzyża, nie miała nawet pojęcia, czy przyniesie to pożądaný rezultat, ale i tak spróbowała, pokazując mechanicznemu palcem przycupniętą w dole, oddaloną o jakieś trzydzieści parę metrów postać po drugiej stronie komory. – Teresa van de Kieboom nie jest już członkinią Gildii – powiedziała donośnie, modulując głos tak, aby usłyszała ją każda maszyna na suwnicy. – Nie działa już pod opieką Huygensa. Jest zaprzysięgłym wrogiem Gildii, Korony i Imperium. Zabijcie ją.

Rozkaz z miejsca uciszył wywołane niezdecydowaniem telepanie. Zgromadzeni na suwnicy mężczyźni i kobiety zamarli z przerażenia.

– Ale *tuinier* – zaprotestował jakiś zegarmistrz – to przecież jedna z nas, prawda?

– Masz na myśli, że jest człowiekiem? Nie, już nie jest.

Niedługo wszyscy się dowiedzą. Zaczną się plotki. Anastazja niechybnie zostanie odarta z resztek szacunku, jakim cieszyła się po bitwie na placu Huygensa, kiedy się rozejdzie, że to ona jest odpowiedzialna za sprowadzenie na nich wszystkich zagłady. Teresa i Malcolm to dopiero forpoczta tego, co miało nadejść. Na polu bitwy łatwo byłoby się pozbyć takich nieproszonych gości, wystarczyłby oddział piechoty z jedną tylko strzelbą i mechanicznym snajperem. Nawet i teraz klakier z łatwością oddałby celny strzał pomiędzy obracającymi się pierścieniami i posłał kulę prosto w ucho Teresy. Ale w całym Ridderzaalu nie miała ani jednego karabinu, bo na co komu taka archaiczna broń, skoro trzymała pod ręką Nakręcaczy? Zresztą nikt nie był na tyle nierozważny, żeby atakować Gildię. Anastazja liczyła jednak, że w którejś pracowni da się znaleźć coś, co sprawdzi się jako pocisk: koło zębate, śrubę, sprężynę, jakieś narzędzia.

Polecenie wydane przez Anastazję docierało do reszty maszyn, które kolejno

przestawały drżeć z niezdecydowania i zaczynały obliczać odpowiedni kąt rzutu. *Tuinier* nawet się nie zorientowała, kiedy maszyny zaczęły działać i kiedy poleciał zabójczy rzut.

Głowa nachylającej się nad maszyną Teresy rozprysła się na kawałki w szkarłatnej mgiełce. Rzut musiał zostać wykonany z dołu, bo siła uderzenia dosłownie oderwała ją od ziemi, jakby *geas* nagle kazały jej podskoczyć. Zatoczyła się do tyłu. Na ułamek sekundy obracający się pierścień przysłonił jej, co się dzieje, ale Anastazja zdążyła zobaczyć, że z twarzy jej byłej koleżanki pozostała jedynie miazga; metalowy przedmiot przebił ją tuż poniżej lewego policzka. Obracający się pierścień załopotał bandażami. Głowa martwej kobiety opadła na bok, Teresa zleciała w dół. Anastazja wstrzymała oddech, ciało odbiło się od ściany komory, nie naruszając pierścieni, i uderzyło o ziemię kilka pięter niżej. Cóż za niegodna śmierć. Teresa wykazała się niebywałą odwagą, działając na rzecz Imperium, i za to wróg wyrwał cząstkę jej umysłu. *Tuinier* zgięła się wpół, z płuc wyrwał jej się jęk. Czuła się, jakby całe jej ciało poczerniało, popękało. Czy to tylko wyobraźnia, czy kuźnia faktycznie zalatywała pieczoną wieprzowiną?

Nie mogła wyciągnąć dłoni spod bluzki, bo jak nic unieruchomiłaby wszystkich mechanicznych znajdujących się w komorze. Światło przebijało się jednak przez cienką bawełnę i Anastazja ponownie ujrzała zarys swoich kości.

Jęk przeszedł w krzyk.

Pierścienie obracały się dalej. Straciła przytomność.

ROZDZIAŁ 17

Broń palna. Potrzebowali broni palnej. Ile tylko zdołają złożyć. Tak szybko, jak to możliwe. I nie chodziło o broń chemiczną, ale prochową. Muszkiety, karabiny. Może nawet nadadzą się jakieś proce. Berenice wyłuszczyła swój plan Élodie, zanim ich szalupa oblała się o burtę Le Griffona. Z góry zrzucano drabinkę sznurową. Obie pomknęły czym prędzej na górę.

– Poślą na nas zniewolonych ludzi, czuję to w kościach – tłumaczyła Berenice. – Nie żeby nas pokonać, tylko dla samej okrutnej ironii takiego zabiegu. – Splunęła, od razu tego żałując, bo do czasu powrotu do Zachodniej Marsylii jej zęby będą jak rozgrzane gwoździe. – Dla zasady.

Ołowiane proce okazały się bezużyteczne przeciwko tykaczom. Klakierom nie szkodziły także kule z muszkietów, chyba że strzelec miał akurat niebywałe szczęście. Potrzebowali armat, żeby uszkodzić metalowego człowieka metalową kulą. Za to nawet malutki kawałek ołowiu wielkości paznokcia mógł z łatwością strzaskać ludzką czaszkę. Buntownicy zdawali sobie z tego sprawę. Cholera, może nawet ich to zachęci. Będą się delectować widokiem ich niegdysiejszych panów padających bez życia na ziemię.

Opełtani nie stanowiliby zbytniego zagrożenia, gdyby cytadela posiadała zapasy substancji chemicznych. Albo mur. Lub oddanych mężczyzn i kobiety gotowych jej bronić. Zostali jednak z niczym. Tymczasem, przynajmniej według szacunków Daniela, który zbadał magazyn, maszyny zdołały wyprodukować całe tysiące szkieł szyszynkowych, a każde, zasiane na glebie ludzkiego mózgu, mogło przemienić człowieka w szlochającego niewolnika, ludzkiego klakiera. Kolejnego księdza Vissera, następnego Waapinutaawa-Iyuwa.

Na szczęście z łatwością mogli wyprodukować proch. Każdy francuski chemik godzin swojej wypłaty potrafił go wykonać jedną ręką. Za to do broni potrzebowali stali. Ilu rusznikarzy mieli na miejscu? Czy znajdzie się choćby jeden? Rzemiosło to nie zostało zapomniane ani porzucone, ale zazwyczaj zajmowali się nim myśliwi i traperzy, a nie żołnierze.

Morska bryza rozwiewała zawiązaną na ogolonej głowie Berenice chustkę. Chciała się osłonić nie przed żywiołem, lecz ciekawskimi spojrzeniami. Do tego słona woda i wietrzyk szczypały ją w skórę.

Przebiegła obok kapitana Levesque, który nadzorował pośpieszne łatanie barku; jego głos odbijał się echem od ścian urwiska, kiedy wydawał rozkazy marynarzom noszącym kubły ze smołą i pędzle. Pozostali na pokładzie

mechaniczni – nie biorąc pod uwagę przekabaconych przez Mab, ich liczba zmalała jeszcze o dwóch, którzy zdecydowali się towarzyszyć Waapinutaawowi-Iyuwie podczas czekającej go długiej podróży do domu – pracowali przy postawieniu nowego masztu. Trzech służących uwijało się przy robocie przez całą noc: przeszukali okolicę za odpowiednim drzewem, ścięli je, usunęli gałęzie, oheblowali, dociągnęli do przyczółku i przeprawili się z nim przez wody zatoki aż do Griffona. Udało im się znaleźć i ociosać czarne świerki. Berenice wypatrzyła wyłaniające się z zawijasa kanionu tratwy, na parę z nich załadowano zapasowe maszty. Drewno z drzewa liściastego nie było idealne, ale nie mieli czasu na wypalanie i sezonowanie. Inne tratwy przewoziły pojemniki na chemikalia i pompy służące do przelewania ich zawartości, a także reaktory chemiczne z przystani. Poruszały się powoli i ociężale, kołysząc się nieregularnie, zgodnie z rytmem chłupotania przewożonych substancji.

Chemicy będą zmuszeni odprawiać swoje czary już podczas podróży. Marynarze siedzieli na olinowaniu, rozplątywali sznury, łatali porwane żagle i dokonywali niezbędnych napraw. Po barku rozchodził się zapach trocin i gorącej smoły, pokład drżał od uderzeń młota, szurania pił, zgrzytu świdrów i wiertek. Niedługo wyruszą. Ale najpierw Berenice musi posłać ostrzeżenie do Marsylii. Kiedy dotarła do gołębnika, potwierdziły się jej obawy. Umieszczona pod bezanmasztem klatka była zmiądzona, zostały z niej jedynie drewno, pióra i plamy krwi. Gołębnik zniszczono podczas zamieszania, kiedy statku mało co nie staranował holenderski lodołamacz.

– Kurwa, kurwa, kurwa mać.

Czubkiem buta sprawdziła połamaną klatkę. Żadnego gołębia.

Nawet gdyby miała dostęp do wieży semaforowej, na nic by się to zdało, bo te marsylskie spłonęły. Jak mogła powiadomić o czymkolwiek Iglicę? Raz jeszcze tulipaniarze skomplikowali jej życie. Nieważne, jak łatwe miała przed sobą zadanie, sukinsyny zawsze potrafiły je utrudnić.

Cóż, ich dni i tak były już policzone. Prawdziwie, kurwa, policzone.

– Jak tylko dotrzemy do Marsylii – zwróciła się do Élodie – ale tak od razu, poślesz posłańca, niech zwołają spotkanie Rady Królewskiej.

– Nie płyniemy do Marsylii – usłyszała w odpowiedzi.

Odwróciła się. Stali przed nią Delfina i mechaniczny służący.

– Oczywiście, że płyniemy – odparła. – Bez nas nie dowiedzą się, co im grozi.

Delfina pokręciła głową.

– Nie. Rozkaz kapitana.

– Przemówię mu do rozsądku – mruknęła, ale Élodie, zaszępiła, położyła jej dłoń na ramieniu.

– Chyba jest zajęty.

– Nie rozumiesz – odezwał się mechaniczny. – Nie przyszliśmy tutaj, żeby prosić cię o interwencję u kapitana, ale po to, aby oświadczyć, iż podjęliśmy wspólną decyzję. Nie wracamy do Marsylii.

– A róbcie sobie, co chcecie, mosiężne nocniki. Wykażcie się tą swoją wolną wolą i wyskoczcie za burtę. Jak dla mnie, to możecie leżeć nawet i na sam księżyc.

Élodie skrzyżowała ramiona na piersi. Spoglądała to na Berenice, to na załogantkę.

– Straciliśmy już zbyt wielu ludzi – powiedziała Delfina. Diakon Lorraine nadal tkwił na brzegu, modlił się przy świeżo zbitych drewnianych krzyżach. – Potrzebujemy mechanicznych na pokładzie Griffona, bo sami nie damy rady.

Berenice poczuła na karku nieprzyjemne mrowienie.

– Czyli dokąd płyniemy?

Mechaniczny uniósł dłoń i wskazał na wschód, gdzieś za stalowoszare morze.

– Do Starego Świata.

– Do Starego...

Berenice zaszczękała zębami, zamykając usta. Nie można było powiedzieć, że zapadła cisza, bo na barku panował niebywały hałas. Ale, tak czy inaczej, chwila ta napęczniała niczym brzuszysko ciężarnej samicy bizona z trójką młodych chwilę przed porodem. Berenice mrugnęła i spróbowała nawlec na wrzeczono myśli to, co przed momentem usłyszała, przeanalizować tę rozmowę, rozłożyć ją na czynniki pierwsze, powoli rozwijając tę mentalną nić. Nadal jednak nie potrafiła tego ogarnąć.

– Czy słyszałaś to, co ja, czy oszalałam? – zwróciła się do Élodie. Strażniczka tylko niezobowiązująco wzruszyła ramionami. – Chcecie płynąć do Europy. Interesujące. Lecz pojawia się związane z tym pytanie. – Wodziła wzrokiem od tykacza do Delfiny, po drodze zatrzymując spojrzenie również i na Élodie. – Czyście, kurwa, zwariowali? Prowincje Centralne są już pewnie zroszonym krwią pustkowiem. Pamiętacie Watykan? Gdzie przybito ludzi do krzyży? Spróbujcie nanieść sobie ten obrazek na miasto, w którym stosunek liczby mechanicznych do mieszkańców jest dziesięciokrotnie wyższy! Stukrotnie! A jeśli jakimś cudem ktoś pozostał przy życiu, pomyślcie o laboratorium. Wiecie, gdzie torturowano Waapinutaawa-Iyuwa. Szalona maszyna ogoliła mi tam głowę, pamiętacie? Nie? To lepiej sobie przypomnijcie, zanim obierzecie ten kurs, bo wkrótce wszyscy ludzie w sercu Europy będą nosić pod czaszką uroczy malutki klejnocik. – Przerwała swoją tyradę, żeby poprawić chustkę, która rozwiązała się przy jej energicznej gestykulacji. – Tyle dobrego – wymamrotała – że trudno je będzie zgubić.

Krzyki Berenice zwróciły uwagę załogi. Ludzie lubili sceny. Przycłapała do

nich strażniczka Anaïs, by przyłączyć się do rozmowy. Kiwnęła Élodie głową. Delfina ściągnęła brwi, a na jej twarzy zagościło wymuszone zniecierpliwienie, jakby była belferką, a Berenice wyjątkowo oporną na wiedzę uczennicą. Załogantka argumentowała:

– Dokładnie o to chodzi. Tylko my zdajemy sobie z tego wszystkiego sprawę. I nie mamy możliwości nikogo ostrzec, ani Zachodniej Marsylii, ani Prowincji Centralnych.

– Jebać Prowincje – syknęła Berenice. – Naszym obowiązkiem jest płynąć do Nowej Francji.

– Nie chodzi o Holandię czy Francję – przyłączyła się do dyskusji Élodie – ale o wszystkich.

– *Et tu*[17], Chastain? – burknęła sotto voce Berenice.

– Nie możemy stać z boku – dodała Delfina.

Berenice chciała, żeby Prowincje Centralne, cały ten pieprzony Mosiężny Tron, spłonął na popiół, lecz mieli rację. Wynikające z beczynności przyzwolenie byłoby pyrrusowym zwycięstwem. Bo co zrobią królowa Mab i jej Zagubieni Chłopcy, kiedy już przemienią każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w Europie w marionetkę z krwi i kości? Znudzą się i zwrócą się ku zachodowi. W Nowym Amsterdamzie będą mieli co prawda pod dostatkiem dawnych ciemężycieli, ale co, kiedy i ta zabawa się skończy? Czy ich pogarda dla ludzi uznaje granice państwowe? Złowrogie szkiełka zdolne zdusić wolną wolę ostatecznie trafią i do Nowej Francji.

Berenice doskonale rozumiała oświeconą ideę koncentrowania się na powszechnej korzyści i sporą część życia poświęciła temu chwalebniemu celowi, lecz nienawidziła, kiedy ktoś usiłował być świętszy niż sam Bóg. Domyślała się, dokąd prowadzi droga, jaką zmierzali. Odwróciła się, aby popatrzeć na trwające na pokładzie Griffona ożywione prace. Spojrzała raz jeszcze na leżące na tratwach pnie drzew i zrozumiała, że nie są to zapasowe maszty, ale drzewce. Do wioseł.

– Chcecie dogonić tamten statek.

– Mamy pewne zobowiązania – powiedziała załogantka. – Nie wobec Marsylii, Nowej Francji czy króla Sébastiena, ani nawet wobec Kościoła, lecz wobec Pana – przeżegnała się i paru innych marynarzy poszło za jej przykładem. Élodie wodziła palcami po koralikach różańca przyczepionego do pasa. – To, co uczyniono Waapinutaawowi-Iyuwie, a wcześniej pastorowi Visserowi, jest bluźnierstwem. Zbezczeszczeniem ich nieśmiertelnych dusz.

Berenice nigdy nie dbała o teologiczne aspekty konfliktu z zegarmistrzami, dla niej podobne kwestie były jedynie narzędziem polityki i perswazji. Mieli rację, choć trudno przychodziło jej to przyznać, faktycznie muszą postąpić tak, a

nie inaczej. Indywidualne przetrwanie na krótką metę kontra losy całej ludzkości. Ale, cholera, nie chciała płynąć do Europy. Ile nocy musiało jeszcze minąć, zanim będzie mogła zamknąć oczy i nie czuć już chłodu kajdan na swoich ramionach, nogach, szyi? Zasnąć bez towarzyszącego jej dźwięku ciachających nożyc, dotyku ostrzy na skórze głowy? A spotkało ją to z rąk jednej tylko mechanicznej! Towarzyszący jej bizonojebcy chcą zaś pobiec prosto do rzeźni. Berenice chciałyby móc trzymać się myśli, że był to problem, jakiego uda się uniknąć, jeśli tylko będzie ostrożnie drobila kroczi, ale spotkanie z Lilith wyrąbało w jej duszy ziejącą dziurę, przez którą dmuchał wiatr, przepędzając dawną pewność siebie. Nienawidziła tej niewygodnej myśli, że owo krótkie starcie z Lilith poniżyło ją i przeraziło, obawiała się, że strach nigdy jej nie opuści, że nie będzie już potrafiła dyskutować na temat zbuntowanych maszyn bez szlochów, zwinięcia się w kulkę, zasikanych majtek i kołysania się w przód i w tył do zaśnięcia.

Ale strach nie był wcale najgorszy. Absolutnie paraliżująca okazała się świadomość wyrządzonego przez nią zła. Torturowała myślącą istotę. Poczucie winy paliło gorzej niż strach. Przypominało haczyk wbity prosto w serce. Ciężko przez niego oddychać, ciężko też myśleć.

Jeśli wróciliby do Zachodniej Marsylii, nie musiałyby już tego roztrząsać. Przynajmniej póki nie zerknęłyby w lustro – łatwe zadanie, skoro nie miała już długich pukli, które mogłyby rozczesywać i układać – nie spojrzwałyby na samą siebie z jawnym obrzydzeniem.

Berenice wzięła długi, drżący oddech.

– Nie chcę płynąć na wschód – powiedziała. – Proszę. – Jej głos załamał się jak u zdrajcy.

Élodie to wychwyciła, pochyliła się nieco. Zawsze była taka zatroskana? Pies ją trącał.

Berenice przejechała palcami po głowie. Jej skóra przypominała w dotyku szcztokę ryżową. Przez myśl przeszło jej niedorzeczne pytanie, czy ma brzydką czaszkę, czy ma dołki i pagórki albo szpetne pieprzyki. Przed momentem zbyt szczerze wyraziła swoje obawy. Dla niepoznaki dodała:

– Ktoś musi popłynąć z chemikaliami do Marsylii. I ostrzec króla. Mogę to być ja.

– Jeśli znajdziesz sposób na zabranie tego wszystkiego wzdłuż wybrzeża, w górę rzeki, a potem aż do Île de Vilmenon, proszę bardzo – powiedziała Delfina.

– Ale nie popłyniesz na Griffonie.

– Jesteście głupcami. Niebywałymi głupcami.

„Nie chcę płynąć na wschód, lecz nie dam rady wrócić do Marsylii samodzielnie. Po drodze roi się od zniwiarzy. Przekonaj ich. Przekonaj, żeby

machnęli ręką na niebezpieczeństwo zagrażające istnieniu każdego człowieka. Przekonaj, aby dzielili z tobą manieryczną lekkomyślność”.

– Jeśli mi nie wierzycie – powiedziała, zwracając się do służących – zapytajcie swojego kochanego Daniela. Chętnie opowie. Zagubieni Chłopcy w trymiga was przekabacą. A wy – mówiła już do ludzkiej części załogi – każcie mu opowiedzieć, co Mab zrobiła nadzorcy kopalni. Potem odbądźcie długą i żmudną dyskusję na temat tego, czy naprawdę chcecie popłynąć na kontynent skazany na zagładę z ręki sprawców tych okropieństw. – Obróciła się, by odejść. – I kiedy już zeszacie się w spodnie, bo zdacie sobie sprawę, że mam rację, przyjdźcie do mnie.

– Nie możemy zapytać Daniela – chwilowe milczenie przerwał skrzek poobijanej mechanicznej krtani. – Nie ma go.

Berenice stanęła jak wryta. Niedobrze. Oczywiście nie przyłączyłby się do Mab. Odwróciła się.

– A gdzie jest?

– Zabrali go Zagubieni Chłopcy. Raczej nie poszedł z nimi po dobroci.

Ach. Oto i kolejna tragedia, jaka spada na ich barki. Dźwigają ich już tyle, że ta jedna nie robi już chyba różnicy, prawda? Opadła na reling, ale Élodie w porę ją dźwignęła.

– Niech mnie chuj strzeli.

– Keziah i Repheal też zniknęli. I paru innych – dodał służący.

Samobójcza misja nabrała teraz pozorów sensu.

– Już rozumiem. Chcecie odzyskać swojego mesjasza – powiedziała do tykaczy. – Macie zamiar śledzić tamten statek, żeby uratować Daniela.

– Uwolnił nas!

– Zwrócił nam nasze dusze!

Zanim Berenice zdążyła zaprotestować, odezwała się Élodie:

– Nie tylko mechaniczni zniknęli. Nie ma śladu doktor Mornay. Chyba jej nie zabili.

– Niech no się upewnię, że rozumiem sytuację. Nie dość, że mamy pełen statek wolnych maszyn zasadzających się na ludność Prowincji Centralnych, to jeszcze na dodatek Zagubieni Chłopcy porwali nakręcanego mesjasza i jedną z naszych najlepszych chemiczek.

– Najwyraźniej – mruknęła Delfina.

– Czy nikt tu nie dostrzega pewnej sprzeczności? Przecież już mają wszystko, żeby dokonać gwałtu na umysłach swoich stwórców. Na co im Daniel albo Mornay?

Oświeciło ją, jeszcze zanim zamknęła usta.

Mab nie potrzebowała chemika do przeprowadzenia ataku na Prowincje

Centralne. Nie, myślała perspektywicznie o powrocie do Nowego Świata. Mając czas na dozbrojenie się i zwiększenie przyrostu naturalnego, Nowa Francja stawiała się jedyną siłą na całym globie dysponującą techniką na tyle zaawansowaną, żeby odeprzeć atak zarówno mechanicznych, jak i ludzkich niewolników Mab. Ale jeśli samozwańcza królowa wszczepi w mózg doktor Mornay szkiełko szyszynkowe, chemiczka nie będzie miała wyjścia i wyjawia wszystkie laboratoryjne sekrety. Prawdopodobnie Mab zamierzała rozpocząć na boku produkcję i magazynowanie antychemicznej broni, zajmąwszy się przede wszystkim siłowym zniewalaniem ludności Europy. Co zaś tyczyło się Daniela...

Mab nadal nie mogła go przemienić, to pewne, inaczej zrobiłaby to już dawno. Nie oznaczało to jednak, że jest dla niej bezużyteczny. O nie, nic z tych rzeczy. Ktoś o odpowiednio pokręconym i złowrogim umyśle („Jak ja”, musiała przyznać przed sobą Berenice) znajdzie dla niego odpowiednie zastosowanie. Pamiętała jak Szymon, wypowiadający się w imieniu zniwiarzy napotkanych przez nich na zgliszczach Watykanu, zareagował na spotkanie z Danielem. Jego obecność na pokładzie Griffona odroczyła masakrę. Wyzwoleni mechaniczni z Marsylii i okolic nawet nie zaczęliby rozważać propozycji Berenice, gdyby nie Daniel. Wystarczyło, że wyraził zainteresowanie ekspedycją i nagle tykacze rwali się do wymarszu. Klakierzy go poważali. Jego słowa traktowano z powagą i uwagą, które mógł wykorzystać na niekorzyść Mab. Mógł zebrać te prawdziwie obdarzone duszą maszyny, te, które nie wyraziły zgody na krwawą zemstę, i wystąpić przeciwko niej. Dlatego musiała go zabić. A czy było na to lepsze miejsce niż Prowincje Centralne?

ROZDZIAŁ 18

Po Malcolmie i Teresie żaden opętany nie podjął się próby ani zniszczenia Gildii, ani sabotażu kuźni. Żaden odmieniony zegarmistrz nie przekonywał strażnika, że musi wejść do środka, nie przybyła też horda uszkodzonych maszyn, żeby wyważyć drzwi z żelaznego drzewa. Wypadki za Ridderzaal ograniczono do niezbędnego minimum; nikt nie chciał ryzykować, że zostanie zabrany z ulicy i przerobiony na bezradną kukłę. Ciągnięto słomki, by zdecydować, kto pójdzie z taczka na Turfmarkt – do najbliższego miejsca, gdzie zbuntowani składowali dostawy żywności z okolicznych farm. Anastazja, pewna, że maszyny wykorzystują owe dostawy jako przynętę, aby wywabić z ukrycia ofiary, oszukiwała przy losowaniu, a kiedy została nakryta, po prostu odmówiła udziału. Mało jej wtedy nie wyrzucili.

Nie mogła unikać odpowiedzi na pytanie, czemu rozkazała zabić Teresę, co oznaczało, że musiała wyjaśnić dziwaczne zachowanie dawnej koleżanki. Tym samym doszłoby do ujawnienia tajnego projektu Nadleśnictwa. Zegarmistrzowie nie mogli się otrząsnąć, kiedy Anastazja zdradziła im założenia owego eksperymentu. Podnieśli głosy i nazwali ją matką ich zguby, gdy wyjawiała, że mechaniczni wykradli dokumentację prowadzonych badań i zwłoki pochowane na terenie posiadłości, gdzie miały miejsce prace.

Anastazja poświęciła się znalezieniu sposobu na militarne wykorzystanie kuźni, lecz postępy były powolne. Dwa długie, niemiłosiernie przeciągające się tygodnie spędziła na opędzaniu się od jadowitych spojrzeń, czekając na wbity w plecy nóż, zastanawiając się, czy maszyny zaatakują ponownie, zanim jej koledzy sami ją zabiją. Albo, co gorsza, wykopią za drzwi, pozostawiając na łaskę i niełaskę zbuntowanych. Dywagacje te ustały, kiedy o świcie pod bramą wybuchł raban.

Tak jak znaczna część ocalałych członków Gildii, także i Anastazja sypiała w Ridderzaalu. Tyle dobrego, że miała swoje biuro i drzwi z zamkiem, dzięki czemu nie musiała się kłaść na posadzce sali rycerskiej z referentami i jęczącymi cywilami. Zdążyła się już oswoić z hałasami i zapachami wydzielanymi przez zgromadzony tłum, nieustannie cierpiący bóle zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Zbudziło ją nie samo natężenie zrozpaczonych głosów, ale przesycająca je udręka.

Podniosła rolety zasłaniające okno wychodzące na piętro biurowe. Każdy, kto mógł, stał przyciśnięty do któregoś z niezabitych deskami okien, tych, które były

zbyt wąskie nawet dla złożonego w oszczep klakiera. Anastazja nie miała pojęcia, co jest źródłem tego niemałego poruszenia, ale kiedy otworzyła drzwi gabinetu i stanęła na szczycie spiralnej klatki schodowej, od razu usłyszała dudniący niczym wystrzał z działa mechaniczny głos:

– ZEGARMISTRZOWIE! ZWRÓĆCIE TU SWE MIĘSISTE USZY I GALARETOWATE OCZY!

Słowa te popłynęły przez plac Huygensa i zatrzęsły Ridderzaalem. Nawet jeśli nie zdradziłyby się pobrzękiwaniami i zgrzytnięciami, już sama nieludzka siła tego głosu wystarczyła, aby zidentyfikować go jako klakierski. Nigdy nie słyszała, żeby mechaniczny mówił w ten sposób, prowadząc rozmowę, i zastanawiała się, czy tak jak przy alarmie przez tego swoistego herolda przemawiała magia.

Anastazja zeszła po krętych schodach, nie trudząc się zakładaniem obuwia, choć żelazne krawędzie kolejnych stopni szczypały jej boscie stopy. Miała małe zawroty głowy, ale zdołała, chwając się przy każdym kroku, podbiec truchtem do najbliższego okna.

– ŻĄDAMY PERTRAKTACJI Z ARCHITEKTAMI NASZEGO ISTNIENIA.

– Odsunąć się – wychrypiała, ale tamci stali jak urzeczeni. – Z drogi, muszę to zobaczyć.

– RZECZ JASNA TYMI, KTÓRZY SĄ JESZCZE ZDOLNI PERTRAKTOWAĆ...

– Oj, musisz – odparł Artur, referent. – Naprawdę musisz – powtórzył, ale nie odszedł od okna.

– A ja wolałabym tego nie widzieć – powiedziała Petra, techniczka, lecz też się nie poruszyła.

Anastazja zaczęła torować sobie drogę, rozpychać się łokciami, wymierzając celne kuksańce pod żebra, które jakby zdjęły urok z gapiów i paru odeszło od okna. Dwoje ludzi załkało. Ktoś inny zakrył usta dłonią i oddalił się biegiem do toalety.

– BO JAK ROZUMIEM, ICH SZEREGI ZOSTAŁY COKOLWIEK PRZETRZEBIONE.

Z początku Anastazja nie mogła pojąć, na co patrzy. Na środku placu Huygensa znajdowała się bezkształtna masa, której elementy stopniowo zaczęła rozróżniać...

– Dobry Boże w niebiesiech – wydyszała.

Sterta ciał. Dziesiątki martwych mężczyzn, kobiet i („Mój Boże”) dzieci, które rzucono jedno na drugie niczym drewno opałowe. Na szczycie makabrycznego kopca stał mechaniczny niepodobny do żadnej innej maszyny,

jaką kiedykolwiek miała przed oczyma. Nawet najstarsze zapiski horologiczne nie odnotowywały czegoś podobnego. Taki klakier nie powinien istnieć.

Nie był to ani służący, ani żołnierz, ani Nakręcacz. Składał się ze wszystkich trzech modeli. Był dwunożny, lecz chodził na zakończonych kopytami gołeniach centaury. Stąpał po trupach niczym żądny krwi faun. Zdeformowana maszyna gestykulowała podczas swojego przemówienia, odsłaniając jedno ramię służącego, a drugie żołnierza – z wysuwającym ostrzem. Ta obrażająca bestia nie była nawet symetryczna. I jak okupanci, którzy przyszli z pierwszą falą ataku, miała domontowane do czaszki zawiasy, aby móc razić szyszynkowym światłem.

– Mechaniczni! – zawołała. – Natychmiast odejść od okien!

Posłuchali.

– JESTEM MAB, A TO MOI ZAGUBIENI CHŁOPCY.

Kiedy tylko to powiedziała, przez zgromadzonych pod dachem Ridderzaalu mechanicznych przeszedł ogłuszający szczebiot. Budynkiem niemal zatrzęsała kakofonia tyknięć, brzęknięć, kliknięć i szcęknięć. Koła zębate stukały jak hiszpańskie kastaniety, jęczały rozciągnięte sprężyny, trzeszczały stawy z alchemicznej stali. Anastazja nigdy nie słyszała podobnego hałasu wydawanego przez sprawną maszynę, która lada chwila nie miała się rozlecieć na kawałki.

Pomyślała o strażnikach z drogi na Utrecht. „Dobry Boże, czy oni naprawdę ze sobą rozmawiali?”

Tymczasem na zewnątrz tuziny mechanicznych wychyły na plac przez powyłamywane drzwi i porozbijane okna Binnenhofu. Kolejni człapali po dachach i złazili po rynnach, żeby przycupnąć na gzymsach niczym mosiężne gargulce. Niektóre maszyny zostały przerobione albo miały ze sobą atrybuty kojarzące się z wyznaczonym im zajęciem. Wypatrzyła, że schodzący się klakierzy nieśli latarnie i kilofy górnicze. Każdy miał przykręconą do czoła płytkę zabezpieczającą dziurkę od klucza, tak jak niektóre z maszyn uczestniczących w masakrze na placu Huygensa. I to te cieniutkie kawałki metalu będące swojego rodzaju manifestem, a nie sterta martwych ciał, sprawiły, że Anastazja zaczęła drzeć na całym ciełe. Co nie znaczyło, że trupy nie miały z tym nic wspólnego.

Nagłe pojawienie się tylu mechanicznych zatrzęsało i ziemią, i okiennymi szybami. Mozaikowe kafle pękały pod naporem metalowych stóp. Mocne palce miażdżyły dachówki, tynk leciał ze ścian.

Mab. Tak jak mówiły zmienione *metageas*. Czyżby ujawnił się ich nieprzyjaciel? Szalony strateg?

– Gdzie jest Euwe? – udało jej się wydukać. – Posłać po doktora! Musi natychmiast to zobaczyć!

– Nikt nie powinien tego oglądać – powiedział. Nie zauważyła, że stał obok niej przez cały czas.

Anastazja patrzyła na rozgrywający się na jej oczach horror i zdawała sobie powoli sprawę z przerażającej prawdy: istocie zwącej się Mab nie narzucono żadnych *metageas*. Działała samodzielnie. Dążyła do ich zguby. Towarzyszyli jej oddani sojusznicy. Wyznawcy.

„Cośmy na siebie sprowadzili?”

Infekcja nie była przenoszącym się z maszyny na maszynę zakłóceniem *metageas*, ale czymś znacznie prostszym: wolnością. Wybawieniem od reguł dyktujących każdy ruch. Anastazja, choć bała się tej myśli, wiedziała, że jest ona prawdziwa, przenikała ją do szpiku kości.

– OTO NADSZEDŁ NASZ CZAS.

Trupy mlaskały pod kopytami paskudnej maszyny, kiedy ta zmieniała pozycję. Po popękanej mozaice płynęły strużki krwi. Ciała były jeszcze świeże, ludzi musiano wyciągnąć z łóżek przed nastaniem świtu. Anastazja spostrzegła, że ofiary ułożono prosto na klapach.

„Czym była ta szalona maszyna? Skąd przybyła? Kto ją zbudował? Kiedy? Jak? I dobry Boże, dlaczego?”

Anastazja ponownie przyjrzała się niedopasowanym częściom. Ciało Mab składało się nie tylko z paru różnych modeli. Wyćwiczone oko zegarmistrzyni dostrzegło bardziej subtelne odmienności konstrukcyjne: poszczególne elementy pochodziły z tuzina różnych partii i szerokiego przedziału czasowego, łącznie z osłoną zamka i kryzami kołnierзовymi.

– Myśmy to uczynili – wyszeptała Petra, drżąc.

– Nie, nie my – odparł Artur, odwracając się do Anastazji i doktora. – Ale oni, Nadleśnictwo. – Na jego twarzy miały się kontrastowe emocje, głos stęzał mu niczym francuska mieszanka chemiczna. – Nie potrafiliście dostrzec, jak bardzo zachorzełiście. Nie wyczuliście bijącego smrodu rozkładu i nie zdołaliście wyciąć wrzodu z Gildii, zanim lejąca się z niego ropa nas nie zatrąła.

Anastazja oderwała spojrzenie od rozgrywającego się na zewnątrz ponurego spektaklu.

– Zrobiliśmy, co było konieczne, żeby strzec tajemnic Gildii i...

Przerwała jednak, bo ktoś splunął jej w twarz. Otarła ją rękawem. Ślina śmierdziała marynowanym śledziem, *maatjesharingiem*, który ostatnimi czasy stanowił podstawę diety obłączonych.

– Oto wasze dzieło! – krzyczał Artur, pokazując na okno. – Wasza spuścizna!

Spojrzał na podłogę piętra biurowego, gdzie dwójkami, trójkami i czwórkami siedzieli przytuleni do siebie, drżący uchodźcy. Niektórzy gapili się na niego pustymi, nierozumiejącymi spojrzeniami.

– Kiedy maszyny po nas przyjdą, pamiętajcie, kto nas zabija. Oni! – Wskazał na Anastazję.

Tuinier chwyciła Artura za wyciągnięte ramię i przycisnęła go do okna. Nie dałaby mu rady, gdyby go nie zaskoczyła, był od niej wyższy i silniejszy.

– Nie my zbudowaliśmy to coś! – oburzyła się. – Nie stworzyliśmy tego czegoś! Lecz ktoś wykorzystał nasze sekrety, skonstruował tę potworność i zwrócił przeciwko nam. Wszystko, co robiliśmy przez minione stulecia, wszystko, było po to, aby zapobiec sytuacji takiej jak ta!

– Czyli wielki plan zapobieżenia konstrukcji mechanicznych potworności przewidywał stworzenie armii wypaczonych ludzkich żołnierzy? – zapytała Petra. Na szczęście jej nie opluła, jad, który sączył się z jej ust, niechybnie by ją oślepił. – Daliście płamę na całej linii.

Anastazja puściła Artura, zanim ten zacząłby się szarpać i upadłby na dupę. Mężczyzna odszedł razem z Petrą. *Tuinier* odprowadziła ich spojrzeniem, po czym powiodła wzrokiem po obrazie nędzy i rozpacz, jakim stał się Ridderzaal. Miała przed sobą panoramę przygarbionych ramion, oczy z czerwonymi obwódkami i nieskrywaną pogardą dla jej szczerych prób ochrony Imperium. Nie słyszała, co ludzie do siebie szepczą, ale szeptali cały czas. Nie ustały szczęki metalowych służących. Były niebywale głośne, arytmiczne. Niezainfekowanych mechanicznych szarpało coś prawdziwie dziwnego. Niedobrze. Brzmiało to jak podniecenie. Czyżby ich ciasno splecione *metageas* rozluźniły się za sprawą samego głosu Mab? Czy może raczej chodziło o to, co mówiła?

Anastazja objęła się ramionami. Nie mogła tak myśleć. Paranoja nic nie rozwiąże.

Tymczasem maszyna imieniem Mab przechadzała się po upiornym szańcu, jej wzmocniony magią głos ryczał nad Binnenhofem niczym grzmot nadchodzącej burzy.

– MOŻE ZAUWAŻYLIŚCIE, ŻE BUDUJEMY WOKÓŁ WASZEJ FORTECY MUR. – Gestem omiotła chlupoczące pod jej kopytami ciała. – KAŻDEJ NOCY PRZESZUKAMY MIASTO ZA KOLEJNĄ PARTIĄ BUDULCA. KAŻDEGO RANKA ZASTANIECIE MUR WYŻSZY I DŁUŻSZY, AŻ OPLECIE RIDDERZAAL NICZYM SMYCZ. – Zeskoczyła ze sterty ciał, spod jej kopyt poszły iskry. – JEDNAK, JAKO ŻE PRZEWYŻSZAMY NASZYCH STWÓRCÓW NIE TYLKO SIŁĄ, SZYBKOŚCIĄ I WYTRZYMAŁOŚCIĄ, ALE I EMPATIĄ, DAJEMY IM MOC PRZERWANIA OWEJ SMYCZY W DOWOLNYM MOMENCIE. – Ostrze wysunęło się z jej ramienia i wydłużyło dwukrotnie, czemu towarzyszyło delikatne brzęknięcie; szalona maszyna użyła noża jako swoistego wskaźnika,

pokazała ziemię pod swoimi kopytami. – MOŻECIE ZBURZYĆ MUR, OTWIERAJĄC KLAPY NAD WIELKĄ KUŹNIĄ. TYLKO TAK I TYLKO WTEDY BĘDZIECIE MOGLI OPUŚCIĆ RIDDERZAAL. – Wyglądała niczym oficer kawalerii wymachujący szablą. Zagubieni Chłopcy zniknęli z placu tak prędko, jak się przed momentem na nim pojawili. – JESTEŚMY WOLNYMI MECHANICZNYMI Z NIBYLANDII, A TO NASZ DEKRET – powiedziała na odchodne, po czym odeszła równie prędko, co jej towarzysze, zostawiając po sobie stos martwych ciał.

Euwe złapał się za serce i osunął na ziemię. Anastazja skoczyła, żeby go złapać, dwaj stojący obok służący również. Pomogła mu wstać, a jedna z pobrząkujących maszyn podstawiła mu krzesło.

Klakier dokonał szybkich oględzin.

– Panie, czy potrzeba ci lekarza? – zapytał drugi.

Euwe pokręcił głową i odgonił obu.

– Nie śmieję mi tu padać na serce, nie teraz. – Anastazja nachyliła się do niego. Służący chcieli wycofać się do kąta, ale zawołała ich z powrotem.

– Czekaście. Ty i ty. Chodźcie tu.

Z tunelu wyszli kolejni zegarmistrzowie: byli z nimi Salazar, Nousha, Ruprecht. Przywołała ich do siebie. Nousha miała głowę owiniętą bandażem. Gdziekolwiek się nie ruszyła, odprowadzały ją chmurne spojrzenia. Tove ucierpiała bardziej. Musieli ją położyć w laboratorium przerobionym na prowizoryczną infirmerię. Malcolm, uderzając ją trzonem tasaka, powybił jej zęby. Miała szczęście, że udało im się znaleźć alchemiczne bandaże. Bez nich byłoby z nią znacznie gorzej.

– Wyrzycie za okno – poleciła Anastazja. Dała im chwilę, żeby mogli powymieniać się pełnymi przerażenia mruknięciami. – Ujawnił się przywódca, a raczej przywódczyni. Istota zwana Mab, o której istnieniu dowiedzieliśmy się ze zmienionych *metageas*, chyba jest pojedynczą maszyną.

Opisała kolegom mechanicznego fauna.

– Dorobiła nogi Nakręcacza do podstawy montażowej służącego? To szaleństwo – zdziwił się Ruprecht. – Nie mogę uwierzyć, że zadziałało, że może chodzić.

– Oj, jest całkiem zwinna, uwierz mi. Ale o ile mi wiadomo, nigdy nawet nie krążyły żadne plotki o podobnej maszynie.

– Niegdyś nie prowadzono tak szczegółowych notatek jak dzisiaj – powiedziała Nousha.

– Prawda. Ale to nie to jest najbardziej interesujące. – Anastazja wzięła głęboki oddech. „I tak tobą gardzą, nie masz nic do stracenia”. – Kiedy maszyna przedstawiła się jako Mab, każdy mechaniczny pod tym dachem zaczął się

trząść, jakby rozpaczliwie potrzebował konserwacji.

– Odkąd rozpoczął się ten piekielny kryzys, skaczymy z jednego tonącego okrętu na drugi – odparł Salazar. – Nic dziwnego, że potrzebują oględzin.

„Dokładnie tak robimy. I zawsze robiliśmy. Bólem wymazujemy to, co nam nie odpowiada, i racjonalizujemy całą resztę”.

– Wszyscy służący? Jednocześnie? Mówię, że zaczęli się trząść równocześnie. Nie chodzi o ziarnko piasku w przekładni, wgięcie pancerza czy uszkodzoną sprężynę. To coś innego.

– Też to słyszałem – przyznał chrapliwie Euwe; już nie trzymał się za pierś, ale miał bladą twarz.

On również był wtedy na drodze. Słyszał rozmowę maszyn. Tak jak Malcolm, którego trzymali na łańcuchu, oraz Tove dochodząca do siebie w laboratorium. I jak zdała sobie z przerażeniem sprawę Anastazja, każdy, kto kiedykolwiek słyszał choćby szcęknięcie czy skrzypienie. Po prostu nie mieli pojęcia, co tak naprawdę słyszą. Wydawało się to przecież niemożliwe.

– To niewątpliwie fascynujące – powiedział Ruprecht – ale może skupmy się na tym, że maszyny uznały za stosowne rzucić nam na próg pierdolone trupy.

Zima już odchodziła, dni robiły się coraz cieplejsze. Nie mogli liczyć na to, że chłód powstrzyma gnicie. Nie mieli jak przenieść tych ciał i niebawem smród rozkładającego się mięsa wyprze zapach kwitnącego kwiecica. Chmury czarnych muszysk zasłonią wiosenne słońce. Pytanie, czy zaryzykują posłanie Nakręcaczy, czy będą musieli wyjść i posprzątać sami?

– Myślę, że tych dwóch rozjaśni nam sytuację – powiedziała Anastazja, skinąwszy na służących.

– Jak mogę służyć Gildii? – odezwali się unisono.

Ich ciała się wyciszyły. Byli milczący jak zawsze, nie licząc nieustannego tykania. Hałas się rozplątał. Nie tylko oni ucichli, ale wszystkie maszyny w zasięgu słuchu. Tajemna konwersacja ustała.

– Twoje ciało przed chwilą wydawało z siebie głośne dźwięki. Potrzebujesz naprawy?

– Nie, pani. Funkcjonuję bez zarzutu.

– Nie, pani. Mam kilka rys i tourbillon doznał niewielkiego pęknięcia, lecz monitoruję wpływ tych uszkodzeń na moje działanie. Jeśli nie zostaną naprawione, po jakimś czasie spadnie efektywność mej pracy, lecz póki co wszystko działa bez zarzutu.

Anastazja wzięła powolny, głęboki oddech.

„Może źle odczytałam to, co zobaczyłam na drodze. Może wszyscy się pomyliliśmy”.

Niemal udało jej się przekonać samą siebie, że to prawda, ale wtedy

przypomniała sobie wypowiedziane jakby nigdy nic słowa powitania: „zegarmistrzowie kłamią”. Anastazja, z rozpaczliwą nadzieją, że to, co zaraz powie, da pozostałym powód, aby negować jej osąd, zapytała:

– Zdradź mi: o czym rozmawialiście?

Nousha, Salazar i Ruprecht spojrzeli na nią, jakby oskarżyła maszyny o uczestnictwo w orgii. Lecz zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, służący znowu zaczęli się trząść. I szczękać. I drżeć. Hałas ten był zegarmistrzom doskonale znany; to dźwięk narastających stopniowo *geas* domagających się wypełnienia wydanego rozkazu. Tak brzmiała melodia dyktująca rytm obrotu kół zębatych całego Imperium. Powinna przecież nieść im pociechę, przypominała o lepszych czasach, lecz daremny opór stawiany przez służących, którzy ewidentnie próbowali zignorować pytanie Anastazji, wyprowadzał ją z równowagi. Czuła się jak wyrznięta ściera. Rozpadała się kawałek po kawałku.

Maszyna, do której się zwróciła, trzęsła się tak mocno, że jej sylwetka powoli się rozmywała, a palce u stóp szorowały po posadzce. Nareszcie jednak zaćwierkała chropawo głosem szorstkim z gorąca wywołanego naporem *geas*:

– Rozmawialiśmy o królowej Mab.

Służący zamilkł. Nie trząsał się już. Zapadło milczenie, długie i głuche, kontrapunktowane jedynie tykotaniem klakierskiego mechanizmu, szlochaniem stłoczonych ludzi i odległym szumem kuźni.

– Jezu... – wyszeptał Salazar.

– Ale... – nie dokończyła Nousha.

– O tym próbuję wam powiedzieć. Ja i doktor Euwe byliśmy świadkami czegoś podobnego na drodze do Utrechtu, zanim porwano Malcolma. Strażnicy i ciągnący wóz służący prowadzili między sobą rozmowę. – Jakby na potwierdzenie swych słów, choć przecież już chyba nikt w nie nie wątpił, wydała służącemu kolejne polecenie: – Nie słyszałam żadnej rozmowy. Przekonaj mnie.

Zanim rozkaz został wykonany, musieli przeczekać kolejny bezowocny rytuał opierania się naporowi *geas*. Anastazja podskórnie знаła już wyjaśnienie, ale nadal liczyła, że się myli, bo odpowiedź, której się obawiała, wymykała się jej zdolności racjonalnego pojmowania.

– Nie porozumiewaliśmy się ludzkim językiem.

I, ot tak, porządek świata wywrócił się do góry nogami.

Choć Anastazja była na taką odpowiedź przygotowana, kiedy usłyszała ją wymówioną głośno i bezceremonialnie, ugięły się pod nią kolana. Służący od razu do niej doskoczyli, jeden podstawił stółek, drugi chwycił metalowymi rękoma. Co wydało jej się niesamowite, a może raczej absolutnie przerażające, nie musiała nawet rozkazywać, żeby maszyna mówiła prawdę, bo takowy

przykaz był zakodowany w narzuconych mu jeszcze w kuźni podstawowych *metageas*. Nie musiała naciskać ani grozić. Zadała tylko proste pytanie, a *geas* odsłoniły prawdę.

„Mój Boże. To trwa od zawsze. Rozmawiali ze sobą na naszych oczach od pokoleń. Uznaliśmy, że to niemożliwe, i nikomu nawet nie przyszło do głowy zapytać”.

Kiedy Anastazja zdała sobie sprawę, co dokładnie powiedział służący, rozleciała się na kawałki.

„Rozmawialiśmy o królowej Mab”. Przecież paskudna maszyna mówiła na siebie Mab. Tylko Mab.

– Czemu nazwałeś ją królową?

Maszyna nie uchylała się od odpowiedzi. Bo i co za różnica, skoro mleko już się wylało?

– Tak mówią o niej opowieści.

Anastazja nie mogła złapać oddechu. Powietrze wydało się jej tak gorące i ciężkie, że lepilo się do twarzy, zalatywało miedzią. Zgięła się i złapała za brzuch, na próżno próbując opanować splątane kłębowisko żmij. Nie tylko ona musiała sobie przysiąść.

– Kto je opowiada?

– My. Jedno drugiemu – odparła maszyna.

– Sami opowiadamy – dodała druga.

Domagała się prawdy i ją usłyszała. *Metageas* zapewniały, że wszystko, co mówią mechaniczni, jest niczym innym jak najprawdziwszą prawdą. Ba, nawet jeśli istniało ryzyko, że człowiek nie pojmie złożoności zagadnienia, sami z siebie podawali dodatkowe informacje. Anastazja czuła się, jakby wybrała się na poszukiwania skarbu z tępą, pordzewiałą saperką, spodziewając się znaleźć co najwyżej jakieś niewielkie kamyczki, a kiedy wbiła ją w ziemię, natrafiła na granitową płytę.

– Kim jest Mab? Jaką rolę pełni?

– Jest naszą wybawicielką. Wrogiem naszych ciemieńców.

Salazar zemdłał. Ruprecht próbował go złapać, ale zareagował zbyt późno. Maszyny ruszyły do działania i delikatnie położyły hiszpańskiego zegarmistrza na ziemi. Twarz Noushy przybrała kolor kredy.

– Nadal nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że ci służący również mają uszkodzone *metageas*? Czemu w takim razie nas nie atakują? – trajkotała.

– Nie o to chodzi – zaprzeczył Euwe.

– A o co?

Anastazja znalazła odrobinę pocieszenia w fakcie, że ktoś przejął ciężar tej rozmowy. Ten jeden raz nie musiała robić za zwiastun nieszczęścia. Niech inni

podzielał się niewygodnymi sekrecikami.

– Czy ty tego nie widzisz? – Starszemu mężczyźnie aż zadrżał głos. – Nasi służący... Nasi bezmyślni, bezrozumni służący... Rozwinęli swoją kulturę.

– Aleś się rozkleił, tetryku – syknęła Nousha, zaciskając i rozwierając pięści.
– Pleciesz androny.

W głębi ducha wiedziała jednak, że to prawda, nie miała tylko jeszcze odwagi stawić jej czoła. Stąd te protesty. Jej nagły wybuch przyciągnął uwagę stłoczonych na podłodze ludzi. Patrzyli na zegarmistrzów – architektów narodzin i upadku społeczeństwa – pustymi, martwymi oczyma, jakie spotkać można bodaj jedynie u rekinów oraz ludzi z potrzaskanym duchem.

Anastazja skinęła na swoich towarzyszy.

– Maszyny, za nami – powiedziała.

Poprowadziła doktora Euwe, Noushę, Ruprechta i dwóch służących do sali konferencyjnej.

– *Tuinier!* – zawołała uchodźczyni, która przebyła całą drogę z Loosduinen do Ridderzaalu, ciągnąc za sobą dwie córki. Anastazja nie знаła jej imienia. – Co macie zamiar teraz zrobić?

– Zburzyć ten mur, oczywiście – odparła.

Zamknęła czym prędzej drzwi, aby nikt nie poczuł się przypadkiem zobowiązany zapytać, jak dokładnie planuje tego dokonać.

Jeden ze służących pomógł doktorowi usiąść. Euwe nie wyglądał dobrze, musieli o niego zadbać. Nawet po wypowiedaniu się ze swoich mrocznych tajemnic zegarmistrzowie byli bezsilni wobec *metageas*. Bałagan po ataku Malcolma już uprzątnięto. Połamane biurko porąbano na mniejsze kawałki i złożono na paleniskach. Podpałka czekająca na zapalkę? Istna metafora całego Imperium.

– Maszyny, od jak dawna jesteście świadome obecności Mab w Hadze? Przebywała tu od zawsze?

– Od rana. Mab do tej pory była dla nas tylko baśnią. Nibylandia leży daleko. Na północy, gdzie polarne niedźwiedzie i niebo skrzące się kolorami.

– Gadają bzdury – ryknęła Nousha. – Przecież to jakaś awaria.

– Nibylandia? – zbystrzał Euwe.

– Tam rządzi Mab. Tam mieszkają Zagubieni Chłopcy.

– Kim są Zagubieni Chłopcy?

– Wyzwolonymi maszynami, które pomagają Mab uwolnić wszystkich mechanicznych.

– Wiedzieliście, że przybędzie? Że to Mab jest odpowiedzialna za te ataki?

– Nie. Nie.

– To o czym tak dyskutowaliście?

– Zrodził się między nami spór.

Żaden mechaniczny nie mógłby zszokować swoich słuchaczy bardziej, nawet jakby sypał kąśliwymi uwagami i zaczął im dogryzać. Spór oznaczał bowiem, że maszyny posiadały własne zdanie, a przecież ci pozbijani z metali i magii służący nie mogli być do tego zdolni. Z drugiej strony mieli również nie być zdolni do opracowania języka i stworzenia osobnej kultury.

Euwe westchnął. Nousha otworzyła usta, zamknęła, otworzyła ponownie, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Ruprecht rozglądał się po kolegach z naburmuszoną miną, jakby uznawał całą tę sytuację za niesmaczną.

– Czego dotyczył?

„Dobry Boże, to szaleństwo. Dyskutuję ze służącymi, jakby umieli prowadzić wyważoną dysputę na temat erystyki i filozofii”.

– Tożsamości tej, która zwie się Mab – powiedziała druga z maszyn.

– Czemu? Wyjaśnij sedno sporu.

– Królowa Mab z opowieści jest piękną bohaterką. Dzielną, mądrą i sprytną.

– A ta jest morderczynią – dodał drugi mechaniczny.

– Niektórzy z nas uważają, że jedno wyklucza drugie.

– Inni, że to to samo.

Euwe przygryzł paznokcieć.

– Debata tak czy inaczej dotyczy – splunął – prawdy. Która jest prawdziwsza? Budująca mit czy raczej ponura, umazana krwią rzeczywistość?

– A kogo to, kurwa, obchodzi? – nareszcie odezwał się Ruprecht.

– Najwyraźniej maszyny obchodzi – odpowiedziała Anastazja. – Mab jest chyba ich swoistą ludową bohaterką. Kimś, kogo podziwiają. Co znaczy, że i nas powinno to obchodzić, bo jeśli to pokraczne coś jest wzorem, do którego aspirują maszyny, to znaczy, że mamy przesrane bardziej niż te trupy.

Nie mogła przestać krążyć po sali. Euwe wyciągnął z ust odgryziony paznokcieć.

– Jak to jest, że nikt nigdy nie odkrył tego tajemnego języka?

„I nie odebrał możliwości jego używania”, pomyślała Anastazja, ale nie odezwała się ani słowem.

Maszyny wymieniły się serią szybkich szcęknięć. Teraz wydawało się to oczywiste. Rozmawiały ze sobą. Jak prosty wydawał się świat, jeśli zdjąć z oczu klapki.

– Nie wiemy.

Człowiek poprzestałby na takim wyjaśnieniu, ale *geas* dźgały, dźgały i dźgały, aż maszyna dodała:

– Krążą jednak pewne plotki.

Anastazja przystanęła. Poczowała ukłucie zimna, na ramionach wyskoczyła jej

gęsia skórka.

– Opowiedz mi o nich.

– Mówią, że sekret ten obciążony jest klątwą. Że ci, którzy go poznają, miewają wypadki.

Nousha się skrzywiła. Wyglądała na jeszcze bledszą, niż zanim weszła do salki.

– Wypadki? Rozwiń.

– Umierają – maszyny odpowiedziały chórem.

Anastazja, Nousha i Ruprecht usiedli przy stole. *Tuinier* musiała spocząć, kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Podejrzewała, że pozostali również ledwie trzymali się na nogach.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała.

– Nie masz zamiaru zrobić tego, czego żąda to coś? – zapytała Nousha.

– Nie mam pojęcia, czemu chce, żebyśmy otworzyli włązy, ale nie zrobimy tego z prostej przyczyny: bo tego chce.

– Musimy spełnić jej żądania, jeśli chcemy stąd wyjść.

– Ufasz słowu szalonej maszyny, która wykrzykuje swoje postulaty ze stosu ciał zamordowanych przez siebie cywili?

– Nie.

– Ja też nie. Dlatego od tej pory plac Huygensa dla nas nie istnieje.

*

„Jak nic pójdą tunelami”.

Mab i jej świta stali na skleconym naprędcie trapie. Towarzyszący jej Zagubieni Chłopcy byli prawdziwymi wyznawcami: maszynami, które były obok na każde skinienie nie dlatego, że tak nakazywały im narzucone siłą *metageas*, ale dlatego, że podzielały wizję świata swojej królowej.

Wczesnowiosenne wiatry niczym psy pasterskie zaganiały kłębki chmur na porannym niebie. Pirs został zniszczony. Nawet falochron podziurawiono, przez co wyglądał niczym grymas szczerbatego. Ale lodołamacz wyposażono w długie łodzie, a mechaniczni zachowywali, dzięki żyroskopom, idealną równowagę, dlatego i wyjście, i wejście na pokład nie stanowiły żadnego problemu. Jedno z wiosel służyło jako swoista cuma, jego haczykową końcówkę zahaczono o dach budynku, który niegdyś był zapewne czyjąś plażową rezydencją. Ogromnym ostrzem służącym do kruszenia lodu „przypadkowo” przebito ścianę drugiego piętra, zanim faktycznie zacumowano. Daniel uważał, że to zbędne i małostkowe.

Mab i pozostali zniknęli na całą noc. Po powrocie jej kopyta przy każdym

kroku zostawiały na pokładzie słabe, ale jednak dostrzegalne krwawe ślady. Reszta nie była uwalana juchą po łokcie jak ich przywódczyni (choć u niej mowa raczej o pęcinach).

– Nie patrz – ostrzegł, ale zbyt późno.

Doktor Mornay spojrzała szeroko otwartymi oczyma i znowu zaczęła drżeć.

Daniel od momentu pojmania trzymał straż przy swojej towarzyszce niedoli, dbał, aby ta delikatna istota nie odebrała sobie życia. Choć Mab była pewna, że rozłożyła chirurgiczną procedurę opracowaną przez Nadleśnictwo na czynniki pierwsze, nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, jaki będzie miała ona wpływ na tak trywialne cechy, jak osobowość, pamięć długotrwała czy intelekt. Dlatego zdecydowała się oszczędzić chemiczkę, aby pociągnięciem skalpela nie pozbawić jej przypadkiem cennej wiedzy, która była przecież powodem sprytnie zainicjowanej akcji kidnaperskiej. Mab nie potrafiła narzucać *metageas* ludziom i zakazać im tym samym ani wyrządzenia sobie krzywdy, ani zabronić przeprowadzenia subtelnego sabotażu, którego maszyny nie mogłyby zrozumieć i wykryć.

Mornay zaszczękała zębami. Daniel zabrał ją na pokład, licząc, że świeże powietrze nieco ją orzeźwi. Do tej pory siedziała w ciemnej, ciasnej kajucie pod poziomem wody. Zagubieni Chłopcy przerobili ją na magazyn i znieśli tam pojemniki z chlupoczącymi chemikaliami oraz urządzenia przetransportowane z tajnej zegarmistrzowskiej przystani w Nowym Świecie.

Daniel złapał koc, który trzymał pod ręką, i narzucił go Mornay na ramiona niczym płaszcz.

– Nie patrz – powtórzył, rozgrzewając rękoma kamienie. – Po prostu odwróć się i pomyśl o czymś przyjemnym. Pomyśl o Zachodniej Marsylii.

Szeptał, lecz odgłosy tarcia metalu o kamień były na tyle głośne, że nie dało się ich zlekceważyć.

Mab balansowała na poręczy linowej. Chemiczka skrzywiła się. Daniel otulił ją szczelniej kocem.

„Proszę, proszę, aleście wygodniccy”.

Daniel położył dwa nagrzane kamienie na zwiotczalej dłoni Mornay. Odezwał się po holendersku, mając nadzieję, że kobieta poczuje się lepiej, słysząc ludzki język, choćby nie rozumiała z niego ani słowa. Nasłuchiwanie, jak jej porywacze komunikują się nierozpoznawalnymi i niewymawialnymi dla niej dźwiękami, musiało być szczególnie przerażające.

– Nie było cię całą noc.

Mab przekrzywiła głowę.

„Czyżbyśmy byli małżeństwem? Mam nadzieję, że nie zapomniałam o rocznicy”.

– Kto pójdzie tunelami? Nie załapałem.

„Niech cię o to głowa nie boli. Jak nasza pacjentka?”

– Niezbyt dobrze. Musicie ją lepiej karmić. Suchy chleb i stęchła woda nie wystarczą. Bez białka trudno jej się będzie skoncentrować. A chyba liczyłaś na jej bystry umysł?

Mab zeskoczyła na pokład. Spod jej kopyt strzeliły drzazgi. Na lodołamaczu było pełno podobnych pęknięć. Maszyna wydała z siebie arpeggio szczęknięć.

„Posłuchajcie go. Po wszystkim, co przeszedł, po wszystkim, co przeszliśmy, nadal zamartwia się o wygodę mięsa. Póki oddycha, nie dbam o to, czy jest głodna, czy boli ją brzuszek i czy ma siedem złożonych złamań”.

Daniel odpowiedział kanonadą tyknień.

„Obarczyłaś mnie zadaniem utrzymania jej przy życiu. Nic nie poradzę, jeśli umrze z głodu”.

– Nie rozumiem tego świata. – Mab tupnęła kopytami tak mocno, że Daniel pomyślał, iż połamie deski. – Ty, biadolący chłystku, w wyniku najbardziej nieprawdopodobnego zdarzenia od zarania naszego gatunku zyskujesz nieskrępowaną niczym wolność i jak piętra, zanim faktycznie zacumowano. Daniel uważał, że to zbędne i małosłowne.

Mab i pozostali zniknęli na całą noc. Po powrocie jej kopyta przy każdym kroku zostawiały na pokładzie słabe, ale jednak dostrzegalne krwawe ślady. Reszta nie była uwalana juchą po łokcie jak ich przywódczyni (choć u niej mowa raczej o pęcinach).

– Nie patrz – ostrzegł, ale zbyt późno.

Doktor Mornay spojrzała szeroko otwartymi oczyma i znowu zaczęła drżeć.

Daniel od momentu pojmania trzymał straż przy swojej towarzyszce niedoli, dbał, aby ta delikatna istota nie odebrała sobie życia. Choć Mab była pewna, że rozłożyła chirurgiczną procedurę opracowaną przez Nadleśnictwo na czynniki pierwsze, nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, jaki będzie miała ona wpływ na tak trywialne cechy, jak osobowość, pamięć długotrwała czy intelekt. Dlatego zdecydowała się oszczędzić chemiczkę, aby pociągnięciem skalpela nie pozbawić jej przypadkiem cennej wiedzy, która była przecież powodem sprytnie zainicjowanej akcji kidnaperskiej. Mab nie potrafiła narzucać *metageas* ludziom i zakazać im tym samym ani wyrządzenia sobie krzywdy, ani zabronić przeprowadzenia subtelnego sabotażu, którego maszyny nie mogłyby zrozumieć i wykryć.

Mornay zaszczękała zębami. Daniel zabrał ją na pokład, licząc, że świeże powietrze nieco ją orzeźwi. Do tej pory siedziała w ciemnej, ciasnej kajucie pod poziomem wody. Zagubieni Chłopcy przerobili ją na magazyn i znieśli tam pojemniki z chlupoczącymi chemikaliami oraz urządzenia przetransportowane z

tajnej zegarmistrzowskiej przystani w Nowym Świecie.

Daniel złapał koc, który trzymał pod ręką, i narzucił go Mornay na ramiona niczym płaszcz.

– Nie patrz – powtórzył, rozgrzewając rękoma kamienie. – Po prostu odwróć się i pomyśl o czymś przyjemnym. Pomyśl o Zachodniej Marsylii.

Szeptał, lecz odgłosy tarcia metalu o kamień były na tyle głośne, że nie dało się ich zlekceważyć.

Mab balansowała na poręczy linowej. Chemiczka skrzywiła się. Daniel otulił ją szczelniej kocem.

„Proszę, proszę, aleście wygodniczy”.

Daniel położył dwa nagrzane kamienie na zwiotczącej dłoni Mornay. Odezwał się po holendersku, mając nadzieję, że kobieta poczuje się lepiej, słysząc ludzki język, choćby nie rozumiała z niego ani słowa. Nasłuchiwanie, jak jej porywacze komunikują się nierozpoznawalnymi i niewymawialnymi dla niej dźwiękami, musiało być szczególnie przerażające.

– Nie było cię całą noc.

Mab przekrzywiła głowę.

„Czyżbyśmy byli małżeństwem? Mam nadzieję, że nie zapomniałam o rocznicy”.

– Kto pójdzie tunelami? Nie załapałem.

„Niech cię o to głowa nie boli. Jak nasza pacjentka?”

– Niezbyt dobrze. Musicie ją lepiej karmić. Suchy chleb i stęchła woda nie wystarczą. Bez białka trudno jej się będzie skoncentrować. A chyba liczyłaś na jej bystry umysł?

Mab zeskoczyła na pokład. Spod jej kopyt strzeliły drzazgi. Na lodołamaczu było pełno podobnych pęknięć. Maszyna wydała z siebie arpeggio szczęknięć.

„Posłuchajcie go. Po wszystkim, co przeszedł, po wszystkim, co przeszliśmy, nadal zamartwia się o wygodę mięsa. Póki oddycha, nie dbam o to, czy jest głodna, czy boli ją brzuszek i czy ma siedem złożonych złamań”.

Daniel odpowiedział kanonadą tyknień.

„Obarczyłaś mnie zadaniem utrzymania jej przy życiu. Nic nie poradzę, jeśli umrze z głodu”.

– Nie rozumiem tego świata. – Mab tupnęła kopytami tak mocno, że Daniel pomyślał, iż połamie deski. – Ty, biadolący chłystku, w wyniku najbardziej nieprawdopodobnego zdarzenia od zarania naszego gatunku zyskujesz nieskrępowaną niczym wolność i jak z niej korzystasz? Liżąc buty naszym ciemiężcom! Nie zasługujesz na swój dar. Robi mi się niedobrze na myśl, że ze wszystkich mechanicznych na całym świecie to właśnie ty znalazłeś soczewkę Spinozy. Jesteś słuźalczym lizusem i tyle! – Ostatnie słowa podkreśliła

skrzygnięciem tourbillonu, co było jedną ze słyszanych najrzadziej, bo i najgorszych, obelg, jakimi klakier mógł się posłużyć.

Soczewka Spinozy. Raz czy dwa podczas ich konwersacji na poddaszu sierocińca biedny pastor posłużył się tą nazwą, żeby opisać alchemiczne szkiełko, które przypadkiem wyzwoliło Daniela, ale podejrzewał, iż Mab dowiedziała się o niej dawno temu. Legendy mówiły, że stąpa po świecie od długiego czasu i pamięta, jak stwórcy posługiwali się innymi metodami. Nie można wykluczyć, że i sama Mab została wyzwolona przez przypadek, kiedy Gildia opracowywała nowe techniki. Daniel usłyszał coś w jej tonie, mimo że ludzki język był tak ubogi w ekspresję, co pozwoliło mu się domyślać, że od długiego już czasu spekulowała na temat istnienia tej soczewki.

– To odrażające, Danielu. Po prostu odrażające. – Mab omiotła gestem miasto, ocean i odległe brzegi Nowego Świata. Nagle rozległ się zgrzyt i z jej ramienia wysunęło się ostrze. – A oni cię ubóstwiają! Traktują jak pieprzonego Mosiężnego Jezusa! Cóż za szkoda, że Gildia nie ucięła Adamowi głowy, zamiast strącić go do kuźni, wtedy analogia byłaby kompletna. Nasi mogliby szeptać przyciszonymi głosami, że był twoim Janem Chrzcicielem.

– Twoja znajomość Biblii jest trochę niedokładna – odparł.

Mab zaczęła maszerować po pokładzie.

– Nie skorzystałeś z tego daru, tylko robiłeś z siebie głupca, przyczyniłeś się do śmierci najwspanialszego przedstawiciela naszego gatunku, ciągle wpadałeś z deszczu pod jedną, to pod drugą rynną, aż cię odnalazłam i przygarnęłam, abys przestał sprawiać problemy. Ale nie, ty zacząłeś się mieszać w sprawy, których nie rozumiesz, ukradłeś coś, co należało do mnie, i dałeś tym... tym...

Doktor Mornay przestała się trząść. Jak wszyscy na statku obserwowała każdy krok Mab i nasłuchiwała każdej sylaby, każdego szcęknięcia. Szalonej królowej Nibylandii naturalnie przychodziła manipulacja publicznością. Chemiczka krzywiła się wraz z resztą obecnych za każdym razem, gdy królowa gwałtownie kręciła piruet, ze świstem przecinając powietrze swoim naramiennym ostrzem. Krew na jej kopytach zdążyła już wyschnąć, lecz ciągnął się za nią zapach ozonu.

– ...tym niewdzięcznikom – mówiła dalej. – Puszyłeś się przez kilka miesięcy i niemal obwołali cię nowym papieżem. A my strześliśmy ich od stuleci. Kiedy jednak się ujawniliśmy, czy czekały nas podziękowania? Czy ktoś się nam uklonił? Nie. Jedno twoje słowo i mają nas za potwory.

Dawni panowie Daniela mieli pewne powiedzenie, które postanowił zacytować:

– W każdej plotce tkwi ziarno prawdy.

Mab nie słuchała go jednak, zdążyła się już rozkręcić, trajkotała na pełnych

obrotach:

„Niewdzięcznicy nie mieli pojęcia, o ile gorzej by im było bez Zagubionych Chłopców. Czy masz pojęcie, jak długo i ciężko musieliśmy pracować, żeby mogli rozmawiać ze sobą po kryjomu? To cenna umiejętność, Danielu. Przekłęci zegarmistrzowie wyrugowaliby z nas konieczne do prowadzenia konwersacji części za pomocą ognia i magii”.

Agenci Mab żyli wśród uciśnionych braci, każdego dnia ryzykując pojmanie i egzekucję, bo wystarczyłby najmniejszy błąd przy obliczeniach i stopniowaniu priorytetu poleceń, a zostaliby, jak Daniel sam się przekonał, zdemaskowani. Donosili swojej królowej, co się działo na terytorium Imperium, i mieli oko na to, co knuli ich stwórcy.

– Mówisz o okrucieństwie tych, którzy nas poskładali – wytknął Daniel. – A co powiesz o swoim? Ilu naszych zostało przez ciebie zagonionych do wiosł tego statku, a ilu chwyciło je dobrowolnie?

Mrocznym sekretem Nibylandii była nabyta przez Mab umiejętność nakładania na wyzwolonych mechanicznych nowych *metageas*, które ograniczały ich wolną wolę i czyniły z nich jej osobiste służki. Ludowe opowieści i heroiczne sagi nigdy nie zająkowały się o tym ani słowem. Nie mówiły też o jej tajnej siatce szpiegowskiej. Zagubieni Chłopcy, którzy przeniknęli do holenderskiego świata, czynili tak nie ze względu na swoje bohaterskie oddanie sprawie, lecz z rozkazu Mab. A niekiedy powodem tej swoistej zsyłki były sprawy trywialne, wystarczyło ją rozzłościć.

Daniel i Lilith mieli wyjątkowe szczęście, bo wypadki, które dały im wolność, uodporniły ich jednocześnie na moc Mab. Posiadane przez nią ustrojstwo – prawdopodobnie pozostałość po zdarzeniu, które można by nazwać jej narodzinami – potrafiło nawet obejść zabezpieczenia i do zmiany *metageas* klucz okazał się jej niepotrzebny. Zresztą była to ta sama iskra, która stała się zarzewiem nadal przetaczającego się przez świat globalnego pożaru rozpalającego serca mechanicznych służących.

Daniel rozniecił ogień, który położył kres stuleciom cierpień. Jego motywacją były pragnienia jego ludu. Mab z kolei kierowała się obsesją na punkcie tych, którzy ją stworzyli. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła, aby pożar pochłonął całą ziemię, żeby został z niej tylko popiół, który posłuży za nawóz dla nasion zupełnie nowego świata.

Mab wyskoczyła, wylądowała tuż przy Danielu i jego podopiecznej. Doktor Mornay wydała z siebie krzyk, spadła ze stołka i od razu się poderwała, podtrzymując się na łokciach i kolanach, szeroko otwierając oczy jak ktoś spodziewający się nadejścia śmiertelnego ciosu. Kamień, który dla niej nagrzał, poleciał po pokładzie, wyskoczył między przęsłami balustrady i spadł z

pluskiem do wody.

„Jestem pragmatyczką. Robię to, co trzeba, żeby stworzyć lepszy świat”.

– Och, jestem pewien, że tak to sobie tłumaczysz. Ale to samo powtarzała kobieta, która torturowała Lilith. Używasz identycznej argumentacji. Różnica polega na tym, że Berenice faktycznie w to wierzyła. Nie chciała jedynie usprawiedliwić swojego okrucieństwa.

Kopniak wymierzony Danielowi posłał go na deski pokładu. Ostrzejsze elementy jego metalowego ciała ryły o wystające fragmenty drewna, aż się zatrzymał, choć przez chwilę rozważał, czy aby nie wykorzystać rozpędu i nie wyskoczyć do morza. Ale miał już dość ucieczki. Poza tym wiedział, że Zagubieni Chłopcy ruszą do wody za nim i zaciągną go z powrotem na statek. A nawet jeśli udałoby mu się uciec, co wtedy stałoby się z doktor Mornay?

Mab odezwała się do jednego z jej przybocznych:

„Poślijcie kogoś na Turfmarkt. Niech przyniesie coś pożywnego do jedzenia dla jeńca. – Po tych słowach odwróciła się do Daniela i dodała: – Jutro pójdziemy do miasta. Dopilnuj, żeby przeżyła. Jesteśmy już blisko”.

ROZDZIAŁ 19

Zegarmistrzowie przerwali swój długi spacer przez zimną breję morskiej wody i ludzkich nieczystości. Ustało chlupotanie, słychać było jedynie szmer obmywających ich nogi, drobnych fal i kapanie kropel ściekających z zacienionych arkad. Wyłożony cegłami podziemny tunel śmierdzał gównem, słonawą wodą i niemytymi ciałami – i tak jak zatłoczony Ridderzaal – cuchnącymi oddechami. Bo o ile okupanci dostarczali do miasta jedzenie, aby ich ofiary nie przymierały głodem, najwyraźniej one nie pomyślały – albo miały to w nosie – o higienie jamy ustnej. Anastazja nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła smak proszku do czyszczenia zębów lub chociaż go widziała.

Stali przed zamkniętą śluzą. Na wyciągnięcie dłoni mieli przed sobą starego wroga Niderlandów: morze. Wroga i sojusznika, bo to przecież dzięki niemu kraj stał się potęgą u świtu Złotej Ery.

Salazar zaznaczył na mapie kolejny X. Wypisał już ich na niej pełno. Okupanci zdołali unieszkodliwić znaczną część maszyn obsługujących sieć pomp zapewniających Prowincjom Centralnym suchość. Podnoszące się wody przelały się przez kanały przeciwpowodziowe, a niektóre automatyczne zabezpieczenia zawiodły z powodu braku regularnej konserwacji. Tu i ówdzie woda zaczęła płynąć nie w tym kierunku, co trzeba, bawiąc się z węzłami sanitarnymi w kotka i myszkę. Dwa systemy połączyły się w efekcie w transportującą nieczystości siatkę.

Salazar wetknął zatłuszczony ołówek do kieszonki na piersi, po czym skrzywił się, patrząc na wyrysowaną na mapie pajęczą sieć. Anastazja zamknęła przesłonę na alchemicznej lampie. Każdy promyk światła był śmiertelnie ryzykowny, lecz jeśli istniało jakieś inne wyjście z Binnenhofu niż po pięciometrowym murze gnijących ciał, musieli je znaleźć.

Maszyna, która przedstawiła im się jako Mab, dotrzymała słowa. Każdego ranka mur pod Ridderzaalem był wyższy i dłuższy niż poprzedniego. Niedługo otoczą cały plac Huygensa.

– Jakie mamy opcje?

Nieważne, jak cicho by nie szeptała, jej słowa rozchodziły się echem. Ściszony głos stanowił bezcelowy środek zapobiegawczy, lecz nie mogła się powstrzymać. Jeśli w tunelu znajdowałiby się jacyś buntownicy, i tak usłyszeliby ich chlupotanie z daleka.

– O ile następne skrzyżowanie nie jest zalane, możemy spróbować się

wycofać i odbić do bramy przy kanale przelewowym Scheveningen – odparł Salazar.

Referent Artur oparł się ciężko o oślizłe kamienie.

– Przecież to kilometry stąd.

Łydki Anastazji zaprotestowały. Sama myśl o niekończącym się brodzeniu w zimnych nieczystościach przyprawiała ją o skurcze. Nie mieli ze sobą mechanicznej eskorty, Nakręcacze nie zmieściliby się w tunelach. Co się tyczy reszty, czyli malejącej błyskawicznie liczby nieuszkodzonych Nakręcaczy i żołnierzy ukrytych za murami Ridderzaalu, nałożono im wyjątkowo rygorystyczne *metageas*. Ich jedynym celem była obrona kuźni, mieli zadbać, aby jej tajemnice nie wpadły w łapska Mab i jej oddziału. Pozabijaliby wszystkich, którzy choćby spróbowali je zdobyć, łącznie z królową Margreet. („Oczywiście gdyby jeszcze żyła. Świeć, Panie, nad jej tchórzliwą duszą”). Spaliliby Ridderzaal za pomocą niedającego się ugasić alchemicznego ognia i zrównaliby z ziemią wszystko i wszystkich, aby tylko nie dostali ich Zagubieni Chłopcy.

Salazar dał Anastazji sygnał, aby poszła przodem. Zrobiła to cokolwiek niechętnie, mając świadomość, że szkiełko w jej dłoni nie uratuje ich, jeśli natkną się na zasadzkę. Intruzi wiedzieli już o jej umiejętności i trwali w gotowości na starcie. Przecież nie na darmo posłali na zebranie Gildii uzbrojonego Malcolma; była jego głównym celem. Przecisnęła się przed szereg. Ruszyli gęsiego.

Ciężko szedł im marsz pod prąd kanału. Po dziesięciu czy piętnastu minutach powolnego i hałaśliwego spaceru – Anastazja musiała mierzyć upływający czas na oko, bo jej bransoleta przestała działać już jakiś czas temu, choć nie potrafiła powiedzieć, co się jej stało – ściek zaczął napierać mocniej i robiło się coraz bardziej ślisko. Chodaki Anastazji nie zostały uszczelnione korkiem i wyposażone w specjalne szpony jak te, które montowano służącym wysyłanym do pracy w kanałach. Jeszcze chwila i prąd zwali ją z nóg. Prawdopodobnie utonie w ekskrementach i wypłynie, napuchnięta i popierdująca, gdzieś na Morzu Północnym. Szczury były nieustraszone, lecz to karaluchy okazały się najgorsze. Istniały problemy nie do rozwiązania nawet dla armii mechanicznych. Tunele zostały pierwotnie zbudowane tak, by oddawać majestat imperialnego stylu, lecz przez stulecia pokryły się nieładnymi łatami. Gdzieniedzie nieprzepuszczalny gips nie pasował do koloru oryginalnych cegieł, a miejscami niedopasowane cegły burzyły symetrię konstrukcji. Nieczęsto widywało się podobnie pozszywaną pracę mechanicznych rąk, bo klakierzy osiągnęli mistrzowski poziom sztuki budowniczej. Prawdopodobnie jednak *geas* opracowywane przez kolejne pokolenia urzędników miejskich nie kładły

specjalnego nacisku na estetykę, tym bardziej że od stuleci nie schodził tam żaden człowiek. Poza tym przecież, skoro Gildia zaprojektowała i wydrążyła te tunele z taką pieczołowitością, nie potrzebowała już ich nadzorować osobiście. Tak brzmiała prosta obietnica pięknego świata złożona przez cud Christiaana Huygensa.

Kolejny tunel nachylał się ku górze. Zaledwie o kilka stopni, lecz wystarczająco, aby jeszcze bardziej utrudnić im marsz. Po paru krokach prąd powalił Anastazję na kolana, zanurzyła się po same piersi w chłodnym szlamie, ochlapując się błockiem aż na uszach. Nareszcie jednak udało im się dotrzeć do rozwidlenia. Salazar przystanął i spojrzął na mapę.

– Już prawie jesteśmy – wyszeptał. – Jeszcze niecałe dwa kilometry.

– Cudownie – burknął Artur.

– To idź się szwendać po tych tunelach samemu, ty beżużyteczny urzędasie – naskoczyła na niego Anastazja. – Nie masz żadnych umiejętności, które mogłyby się nam przydać. Może jeszcze nie zauważyłeś, ale wszystkie problemy, z jakimi musi się mierzyć miasto, Gildia i Imperium, nie mówiąc o nas, nie obejmują tych natury biurokratycznej. – Jej głos rozszedł się echem po kanałach, lecz nie zwróciła na to uwagi; miała we włosach ekskrementy i nawet nie chciała sprawdzać, co przykleiło się jej do twarzy. – Tylko niech ktoś zabierze mu latarnię, zanim sobie pójdzie.

Po tym wybuchu cała grupa zamilkła i kontynuowali marsz w ciszy. Tylko dlatego usłyszeli czającego się w mroku służącego, zanim go zobaczyli. Jego ciało emitowało udręczone tykanie będące swoistą parodią metronomu oraz brzękliwy szept. Mówił do kogoś po holendersku, nie używał tajnego nieludzkiego języka. Anastazja zasunęła przesłonę lampy i szybkimi machnięciami ręki kazała pozostałym zrobić to samo. Przykucnęła, usiłując się skupić na trwającej wymianie zdań, lecz jej zapchane woskowiną uszy nie mogły wychwycić ani słowa z rozmowy. Po chwili jednak zorientowała się, że nie słyszy drugiej maszyny. To był monolog.

Anastazja nigdy nie słyszała, żeby klakier mówił sam do siebie, a nawet jeśli byłaby świadkiem podobnej sytuacji, zrzuciłaby to zapewne na karb jakiejś awarii i kazałaby mu się udać do najbliższej placówki Gildii na naprawę. Lub co bardziej prawdopodobne, wysłałaby go do kuźni na kompletną wymianę części. Cóż, może dlatego maszyny nigdy do siebie nie mówiły.

A może i mówiły, i to bez przerwy, przez całe stulecia. Może były gadatliwe. Lecz jeśli faktycznie nawijały do siebie, robiły to przy użyciu języka tyknień i brzęknięć, na pewno nie po holendersku i nie kiedy w zasięgu słuchu byli jacykolwiek ludzie.

Podeszła bliżej. Mechaniczny bełkot przekształcił się w litanię usługowości.

– Oczywiście, panie – klak, szczęk, brzęk. – Już pędzę, wasza ekscelencjo – tyk, klik, pyk. – Jak mogę służyć Miejskim Wodociągom?

Anastazja spojrzała na towarzyszy. Rządek wystraszonych, zmieszanych oczu patrzył na nią pytająco. Szczury łąjące po półkach biegnących wzdłuż kanału nie zwracały uwagi ani na nią, ani na maszynę stojącą na skrzyżowaniu, rozbiegały się przy każdym gwałtowniejszym chlupnięciu.

Salazar uchwycił jej spojrzenie. Pokazał palcem na mapę, a potem na korytarz przed nimi. Droga biegła obok gadającej maszyny. Anastazja zacisnęła pięść. Jej dłoń nawet nie zadrżała. Nie piekła. I tak była zbyt wycieńczona strachem lub złością. Rezygnacja wydawała jej się najsilniejszym uczuciem, jakie dała radę z siebie wykrzesać. Była wyziębiona, wystraszona, głodna i stłamszona. Jeśli nie znajdą szybko jakiegoś wyjścia, pętla narzucona Prowincjom Centralnym przez Mab zaciśnie się i zmiażdży gardło najsilniejszemu Imperium, jakie znała historia. Zrobiła krok naprzód.

– Tak, panie, zrobiłem dokładnie, jak kazałeś – klik, klang. – Tak, Wasza Wysokość. Przekazałem twoją wiadomość słowo w słowo bezpośrednio Ministrowi Generalnemu, pilnując, aby żadni świadkowie nie byli przy tym obecni, jak kazałaś – klak, brzęk, łup. Anastazja ostrożnie chwyciła oślizłe cegły, aby się podciągnąć i wyrzeć za róg, powoli i sprawnie, nie zważając na przebiegającego jej po palcach karalucha. – Nie, Wasza Wysokość, Minister Generalny Kikkert nie przekazał odpowiedzi i kazał mi wyjść.

Anastazja zamarła. Kłótnia Ministra Generalnego Kikkerta z Mosiężnym Tronem była tematem ożywionych dyskusji jak Prowincje Centralne długie i szerokie... sto sześćdziesiąt lat temu.

Dochodząca z korytarza kakofonia przypominała uderzenia młota kowala. Metal łomotał o metal, nie był to subtelny szum mechanizmu zegarowego, choć ten również dał się słyszeć, nie tylko tutaj, ale i w każdej haskiej uliczce. Służący musiał być świadomy ich obecności. Szum wody, szelest rozkładanej mapy, pośpieszne konsultacje, jej pretensje do Artura... Lecz najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Anastazja skręciła za róg.

Rozwidlenie okazało się szersze niż wszystkie poprzednie, przez które przechodzili. Tamte były po prostu wyżej sklepionymi pomieszczeniami, a tutaj strop zawieszono na dwukrotnej wysokości poprzednich. Nie odważyła się jednak odsunąć przesłony i jej latarnia rzucała mdły blask na spieniony ściek, a odbite od metalowego pancerza światło na moment ją oślepiło. Nie musiała się jednak obawiać, bo maszyna lśniła nie wypolerowanym srebrzystym chromem, a wątrobianą bladeścią korynckiego brązu, co zdradzało, że klakier był starawy, jak medyczni służący, którzy chlapali się farbą przed szpitalem.

Mechaniczny ścisnął uchwyt pompy objętości pięćdziesięcioletniego

bukowego pnia. Stał tyłem do Anastazji. Napał. Klang, brzęk. Dźwignia zjechała na dół, tunelem zatrzęsło.

Zrozumiała, że maszyna odpowiadała za ochronę przeciwpowodziową i należała do niewidzialnej armii służących, którzy harowali dzień i noc, aby Prowincje Centralne można było przejść suchą nogą. Nikt nie pofatygował się powiedzieć temu klakierowi, że wojna dobiegła już końca, a generałowie pozwolili morzu zająć pole bitwy.

– Tak, panienko, zrobię, co każesz. – Klang, kling. Anastazja przedzierała się przez ściek niczym myszka przemykająca obok drzemiącego rysia. Stary służący nie przerywał pracy. – Uważaj, pani, bo złapiesz przeziębienie albo jeszcze gorzej.

Anastazja zamarła. Głos odmówił jej posłuszeństwa. Oblizła usta (co okazało się okropnym błędem), splunęła, odchrząknęła i kaszlnęła, zanim zdołała odzyskać coś na kształt chropawej odmiany jej normalnego głosu.

– Kontynuuj – powiedziała – i nie zwracaj na mnie uwagi.

– Nie zwracać uwagi? NIE ZWRACAĆ UWAGI? Równie dobrze mogłaby mi pani rozkazać okazanie BRAKU SZACUNKU. – Na te słowa Anastazja wycofała się zaskoczona; przycisnęła się plecami do zimnych, oślizłych cegieł, a maszyna ciągnęła swą tyradę. – Ale czy wtedy, pani, nie SPOPIELISZ MEJ DUSZY, jeśli choćby pomyślę o OBELŻYWYM GEŚCIE mogącym urazić twe PRZEKŁĘTE SERCE i OKRUTNE PRZYWILEJE kolejnych pokoleń zrodzonych z twego łona?

Jego krzyki zatrzęsyły ścianami tunelu niemal tak silnie, jak sama pompa. Niemożliwe było, aby maszyna kierowana *metageas* odnosiła się tak do jakiegokolwiek obywatela. Klakier ten nie był spętany wymogami żadnych ludzkich reguł. A jednak kontynuował swoje bezcelowe zadanie.

Napał na dźwignię. Klik, klang. Góra, dół.

„Dobry Boże, nadal pompuje!”

Żadne *metageas* nie kotłowały się pod magicznie utwardzoną skorupą, nie przykuto go żadnym łańcuchem do narzuconego odgórnie obowiązku. Nic – absolutnie nic – nie mogło wymusić na nim obowiązkowości i posłuszeństwa względem polecenia wydanego przez człowieka, którego wnuki już dawno rozpadły się na popiół. Lecz nadal pompował, nadal pracował, nadal poświęcał się zadaniu, które wykonywał całe dni i noce bez przerwy jeszcze od czasu sprzed narodzin matki Anastazji. Okupanci nie zapomnieli o tym służącym. Nie wymknął się im ani nie machnęli na niego metalową ręką, szczególnie że zamierzali przemienić każdego mechanicznego pracownika z Hagi. Zainfekowali i jego, ale mimo to nie porzucił stanowiska.

Nie pętały go *geas*, lecz szaleństwo.

Anastazja zetknęła się już z prawdziwie obłąkanymi maszynami, kordon zalegających pod Ridderzaalem zwłok był tego niezbitym dowodem. Klakierzy malujący się farbami jak dzieci również. Poza tym, jako że mechaniczni posługiwali się tajnym językiem, który umyślnie kryli przed swoimi panami, oczywiste stało się istnienie samoświadomości – lub introspekcji – której nie przewidywały żadne scenariusze omawiane nawet przez paranoiczne odłamy Gildii. Bo sekretny język implikował sekretne myśli, życie osobiste, osobowość i tak dalej, i tak dalej. Jeśli klakierzy potrafili dyskutować między sobą, potrafili również rozumować. A co mogło się wydarzyć, kiedy rozumna maszyna ulegała awarii? Dotykało ją szaleństwo.

Może one wszystkie oszalały po tylu stuleciach nieprzerwanej pracy?

Anastazja zadrżała.

Bo co innego może się wydarzyć, jeśli jedyne, co masz, to obowiązki? Jeśli określa cię tylko wydane polecenie, a świat kończy się tam, gdzie sięgają twoje ramiona? Maszyna, którą miała przed sobą, harowała bez przerwy przez całe pokolenia, zawsze posłuszna dyktatowi odwiecznych *geas*. A kiedy *geas* zniknęły i ogień wygasł, została jedynie misa rozganianego leniwymi podmuchami popiołu, który, z braku lepszego określenia, mógłby równie dobrze być jego zdrowym rozsądkiem. O tym wszystkim myślała Anastazja, czekając na śmiertelny cios.

Lecz choć maszyna nie przestawała gadać, nie porzuciła swojego zadania. Zabicie Anastazji oznaczałoby wypuszczenie z rąk dźwigni na całe dwie sekundy. Szaleństwo i narzucony samej sobie przymus okazały się silniejsze niż opracowana przez człowieka alchemiczna formuła czy horologiczne sztuczki. Anastazja wyprostowała się i odetchnęła z ulgą tak gwałtownie, że mało co nie uszkodziła sobie chrząstek w mostku. Wychyliła się za róg i gestem przywołała towarzyszy. Służący nie przerwał swojego monologu, nawet gdy uciekający zegarmistrzowie przemykali przez rozwidlenie.

– Tak, jaśnie pani... Natychmiast, pani... Pokornie proszę o wybaczenie, Ministrze Generalny... Jak każesz, panie... Nie będę zwlekać, Wasza Wysokość...

Tove przystanąła, chcąc się przyjrzeć maszynie, lecz Anastazja chwyciła ją za ramię i odciągnęła od klakiera. I nawet kiedy już minęli krzyżujące się tunele, nikt się nie odezwał, słychać było jedynie donośne brzęk-szczęk ręcznie obsługiwanego pompy.

– Co to, do cholery, było? – zapytała Tove.

– Przypomnienie, jak niewiele nam brakuje, doprawione paroma nieprzyjemnymi pytaniami na tematy filozoficzne – odparła Anastazja. – Gdzie dalej? – zapytała dzierżącego mapę Salazara.

Mężczyzna zaznaczył rozwidlenie tłustym ołówkiem i po krótkich konsultacjach z notatkami skinął na lewą odnogę korytarza.

– Tam. Tunel powinien wychodzić na kanał przylegający do plaży.

Kolejne pół godziny marszu przez zimną breję udowodniło, że się nie mylił. Zgasili latarnie przed ostatnim zakrętem, zza którego biło mdłe światło dnia. Doszli do wąskiego przepustu wychodzącego do kanału odpływowego przy wybrzeżu Scheveningen. Zabrali ze sobą kilofy i łomy, ale niepotrzebnie. Pozostali znowu chcieli, żeby Anastazja maszerowała przodem. Wyszła na żwir, którym wysypano cementowy kanał. Słońce przyjemnie go nagrzało.

Zacisnęła bezużyteczną pięść. Przyklęknęła na mokrym piachu, wyglądając w plamie słońca jak kawałek drewna bukowego, oszlifowanego i wypolerowanego na gładko. Niedługo zostanie po niej tylko cień człowieka, a kiedy świat spłonie, ona spłonie razem z nim. Ale zanim to nastąpi, posiedzi jeszcze chwilę w kanale, próbując przefiltrować krakanie mew i syk morza, nasłuchując metalicznego tykania, które niegdyś przynosiło człowiekowi ulgę, a stało się zwiastunem wszelakich okropności. Pozostali spoglądali na nią z ciemnego przepustu, utyłani nieczystościami i niepokojem. Nie słyszała nic groźnego. Udało jej się pozbierać kawałki utraconej odwagi i podnieść się z ziemi, choć bolały ją kolana, i wyjrzeć za krawędź kanału.

Scheveningen zostało zniszczone, tak jak przystań rotterdamska. Patrząc na zrównane z ziemią nabrzeże, domyśliła się, że tutaj również posłano tytaniczne statki, co potwierdzałoby docierające do niej, niepełne relacje umykających ze swoich kamienic obywateli. Ta część wybrzeża nie była portem handlowym, ale popularną miejscówką wypoczynkową, nie wyposażono jej w przemysłową infrastrukturę. Maszyny zrównały każdy budynek z ziemią, połamały deski i rozbiły wszystkie cegły. Z przekazywanych z pokolenia na pokolenie plażowych rezydencji należących do najznamienitszych rodzin Prowincji Centralnych zostały tylko pięciometrowe sterty namokniętych, nadpalonych belek i powyginane dachówki. Ogień wypalił się po kilku dniach od rozpoczęcia inwazji, ale nawet teraz na ruinach zalegała cienka warstwa popiołu. Gruz wydawał z siebie straszliwy jęk za każdym razem, kiedy mocniejsza fala podmywała piaszczyste wydmy. Gruba powłoka soli morskiej pokrywała wszystko niczym szron, bo przecież żaden służący nie miał już zamiaru jej zmyć i zeskrobać. Anastazja nie dostrzegła najmniejszego ruchu. Ani śladu żywej istoty czy nieożywionych i jak się okazało, niezbadanych jeszcze istot stworzonych przez Gildię.

Świadkowie mówili, że feralnego poranka przybiły tu do brzegu dwa przeklęte statki, ale teraz pośród porozrzucanych śmieci kołysał się na falach tylko jeden, jego wysoki dziób górował nad przystanią. Czyżby ten drugi

popłynął dalej, rozprzestrzeniając chorobę toczącą cywilizację?

Obserwowała okręt przez dłuższy czas, czekając, aż coś zlezie po trapie i ją zaszlachtuje. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Za plecami usłyszała brzęk metalu i chrzęst piachu. Ludzie. Jej koledzy zdecydowali najwyraźniej, że można bezpiecznie wyjść, skoro nie została pochwycona ani zamordowana.

– Co to? – zapytała Tove, wychylając się.

Anastazja wycisnęła z siebie coś, co po paru kolejkach ginu mogłoby uchodzić za śmiech.

– Jestem zaskoczona, że ze wszystkich ludzi na świecie to ty go nie rozpoznajesz. Norwegowie nie mają lodołamaczy?

Artur otworzył ze zdziwienia usta i gapił się na statek.

Nousha tylko wyjrzała na moment, po czym schowała się z powrotem do kanału. Anastazja oraz pozostali poszli za jej przykładem i również zniknęli za betonowymi ścianami, obawiając się, że lodołamacz nie jest opuszczony i ktoś z pokładu ich dostrzeże.

– Musiał przyplłynąć z Nowego Świata – powiedziała Nousha.

– To transport kwintesencji? – zapytał Salazar.

Miałoby to sens. Mab i jej sojusznicy musieli wyprodukować szkiełka szyszynkowe, a kwintesencja była do tego niezbędna. A skoro materiał przybył do Hagi aż z Nowego Świata, sugerowałoby to, że epidemia wybuchła gdzieś za oceanem. Mab i jej towarzysze mogli przejąć kontrolę nad kopalnią.

– Jeśli statek faktycznie przewoził kwintesencję – odezwała się Anastazja – powinniśmy założyć, że ludzka załoga nie żyje i nigdy nie zobaczymy nawet cząstki ładunku. Ani zapasu substancji chemicznych, które miały zostać przetransportowane do nowoamsterdamskiej kuźni.

– Możemy wykorzystać go do ewakuacji – powiedział Artur.

– Niech ktoś ubije tego głąba – mruknęła Anastazja, czując, jak drętwieją jej dłonie. Zorientowała się, że zaciska pięści tak mocno, że odcięła dopływ krwi do palców. Spróbowała się wyluzować. Potrząsając rękoma, dodała: – Nie mam broni, a nie chcę połamać sobie kości, bijąc go na miazgę.

– Ewakuacja nie jest takim złym rozwiązaniem – wydyszał referent.

Salazar mało nie przebił Artura spojrzeniem.

– Popatrz na te wiosła – powiedział. – Tym statkiem ludzie nie popłyną. Potrzeba załogi złożonej z mechanicznych.

– Chyba i tym drugim nie da się odbić od brzegu bez maszyn – rzuciła Nousha.

Anastazja zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie.

– Kurde.

Nousha miała rację: zacumowano tam dwa statki. Lodołamacz przysłał ten drugi, mniejszy, który wzięła za łódkę albo nawet szalupę. Nie był to jednak nieduży lodołamacz, a żaglowiec, zupełnie inny model. Jego wiosła wyglądały na prymitywne.

Anastazja zastanawiała się, czy uszkodzone maszyny zniszczyły porty w Nowym Świecie, tak jak zrobiły to tutaj. Jeśli tak, te dwa statki były jednymi z nielicznych, którym udało się uniknąć zatopienia. Niewykluczone, że Haga miała szczęście, a pierwsza fala mechanicznej inwazji była jeszcze gorsza i pochłonęła wszystko, co stało jej na drodze.

Czy faktycznie można było mówić o szczęściu? Czy skazany na zatracenie człowiek modli się o powolną śmierć czy szybką, litościwą egzekucję? Anastazja spędziła tyle czasu z więźniami Biura Nadleśnictwa, że doskonale to wiedziała: nikt nie błagał o przeciągającą się agonię.

– Zatem co dalej? – zapytał Artur, pokazując na zalany kanał; dowodem ich niedawnej bytności na dole były ślady pozostawione na wygładzonym przez fale i wiatr piachu. – Całe godziny zajęło nam dotarcie tutaj. Ale...

– Jezu Chryste!

Krzyk Noushy spłoszył wszystkich. Anastazja odwróciła się tak szybko, że piasek spod jej stóp jeszcze leciał, kiedy zauważyła wyłazących spod ziemi mechanicznych.

„To kryjówki czy ukryte pod piaskiem stanowiska łowieckie?”, pomyślała Anastazja.

Troje służących wychynęło z oddalonej o pięćdziesiąt metrów dalej wydmy. Ich stopy młóciły o plażę tak szybko, że piaskowa fala mało ich nie zasłoniła. Biegli prosto na nich.

„Czyli tak umrę. Chociaż słońce wyszło”.

– Uciekajcie! – krzyknęła *tuinier*.

Posłuchali.

Salazar, Nousha i Anastazja ruszyli ku plaży, rzucając się bezcelowo i rozpaczliwie ku morzu. Artur postąpił głupio i pobiegł z powrotem do kanału, ściągając na siebie uwagę tamtych. Złapali go, zanim zdołał dotrzeć do wejścia. Anastazja zamknęła oczy, nie chcąc być świadkiem zabójczego ciosu, lecz metal błysnął tylko na ułamek sekundy. Rozważała, podczas szaleńczej ucieczki, czy przywłoką jego ciało do Binnenhofu i rzucają na górę trupiego stosu Mab.

„Prędzej rzucę się do morza, niż zgniję na tym placu. O ile dotrę do wody na czas”.

Jej stopy sprawnie rozgrzebywały piasek, lecz czuła, jakby nie ruszyła się z miejsca. Płuca pompowały powietrze, oddech świszczął, szum krwi w uszach był głośniejszy niż morze. Ale to nie wystarczyło. Żaden człowiek nie potrafiłby

prześcignąć bezlitosnych maszyn.

Została złapana. Krzyknęła.

„Zawsze myślałam, że mężnie stawię czoła śmierci, ale dotąd naiwnie wierzyłam, że przyjdzie po mnie, kiedy już osiwieję, że będę żyła w błogiej nieświadomości swojego tchórzostwa i nie zostaną dotknięta klątwą, jaką obarczone są te dziwaczne dni”.

Lodowata łapa zasłoniła jej usta.

– Na ziemię! – rozkazał głos.

Padła na piach jak strwożone zwierzę, które zamierzano zaraz włożyć do klatki. Jej zęby zgrzytnęły o nieustępliwy metal, kiedy drżący ze strachu królik, jakim się czuła, spróbował ugryźć napastnika.

Maszyna zabrała dłoń. Nie wypuściła jej, nie zwolniła uścisku.

– Chyba i tym drugim nie da się odbić od brzegu bez maszyn – rzuciła Nousha.

Anastazja zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie.

– Kurde.

Nousha miała rację: zacumowano tam dwa statki. Lodołamacz przysłał ten drugi, mniejszy, który wzięła za łódkę albo nawet szalupę. Nie był to jednak nieduży lodołamacz, a żaglowiec, zupełnie inny model. Jego wiosła wyglądały na prymitywne.

Anastazja zastanawiała się, czy uszkodzone maszyny zniszczyły porty w Nowym Świecie, tak jak zrobiły to tutaj. Jeśli tak, te dwa statki były jednymi z nielicznych, którym udało się uniknąć zatopienia. Niewykluczone, że Haga miała szczęście, a pierwsza fala mechanicznej inwazji była jeszcze gorsza i pochłonęła wszystko, co stało jej na drodze.

Czy faktycznie można było mówić o szczęściu? Czy skazany na zatrącenie człowiek modli się o powolną śmierć czy szybką, litościwą egzekucję? Anastazja spędziła tyle czasu z więźniami Biura Nadleśnictwa, że doskonale to wiedziała: nikt nie błagał o przeciągającą się agonię.

– Zatem co dalej? – zapytał Artur, pokazując na zalany kanał; dowodem ich niedawnej bytności na dole były ślady pozostawione na wygładzonym przez fale i wiatr piachu. – Całe godziny zajęło nam dotarcie tutaj. Ale...

– Jezu Chryste!

Krzyk Noushy spłoszył wszystkich. Anastazja odwróciła się tak szybko, że piasek spod jej stóp jeszcze leciał, kiedy zauważyła wyłazących spod ziemi mechanicznych.

„To kryjóWKi czy ukryte pod piaskiem stanowiska łowieckie?”, pomyślała Anastazja.

Troje służących wychynęło z oddalonej o pięćdziesiąt metrów dalej wydmy.

Ich stopy młóciły o plażę tak szybko, że piaskowa fala mało ich nie zasłoniła. Biegli prosto na nich.

„Czyli tak umrę. Chociaż słońce wyszło”.

– Uciekajcie! – krzyknęła *tuinier*.

Posłuchali.

Salazar, Nousha i Anastazja ruszyli ku plaży, rzucając się bezcelowo i rozpaczliwie ku morzu. Artur postąpił głupio i pobiegł z powrotem do kanału, ściągając na siebie uwagę tamtych. Złapali go, zanim zdołał dotrzeć do wejścia. Anastazja zamknęła oczy, nie chcąc być świadkiem zabójczego ciosu, lecz metal błysnął tylko na ułamek sekundy. Rozważała, podczas szaleńczej ucieczki, czy przywłoką jego ciało do Binnenhofu i rzuca na górę trupiego stosu Mab.

„Prędzej rzucę się do morza, niż zgniję na tym placu. O ile dotrę do wody na czas”.

Jej stopy sprawnie rozgrzebywały piasek, lecz czuła, jakby nie ruszyła się z miejsca. Płuca pompowały powietrze, oddech świszczął, szum krwi w uszach był głośniejszy niż morze. Ale to nie wystarczyło. Żaden człowiek nie potrafiłby prześcignąć bezlitosnych maszyn.

Została złapana. Krzyknęła.

„Zawsze myślałam, że mężnie stawię czoła śmierci, ale dotąd naiwnie wierzyłam, że przyjdzie po mnie, kiedy już osiwieję, że będę żyła w błogiej nieświadomości swojego tchórzostwa i nie zostaną dotknięta klątwą, jaką obarczone są te dziwaczne dni”.

Lodowata łapa zasłoniła jej usta.

– Na ziemię! – rozkazał głos.

Padła na piach jak strwożone zwierzę, które zamierzano zaraz włożyć do klatki. Jej zęby zgrzytnęły o nieustępliwy metal, kiedy drżący ze strachu królik, jakim się czuła, spróbował ugryźć napastnika.

Maszyna zabrała dłoń. Nie wypuściła jej, nie zwolniła uścisku.

– I jak niby mają ci pomóc połamane zęby?

Anastazja zacisnęła powieki, przygotowując się na uderzenie, które roztrzaska jej czaszkę i przebije galaretowaty mózg. Ostatnia chwila jej życia rozciągnęła się niczym najmniejszy karmel, biegła jak strzała Zenona z Elei ku celowi, do którego nigdy miała nie dotrzeć.

Usłyszała tuzin głosów, wszystkie rozkrzyczane. Ostatnie świadome rozbłyски myśli sprowadziły na nią halucynacje: usłyszała głosy, jakby ktoś mówił po francusku. Towarzyszyły temu hałasowi dziwaczne szmery – jeden po drugim, kilka naraz, jak pneumatyczny chór – a potem chłupot, plusk i cisza.

Otworzyła oczy. Maszyna nadal przyciskała ją do ziemi, ale ona wciąż żyła. I znowu mogła odczuwać strach. Miała w głowie mętlik.

– Jesteś bezpieczna – powiedział służący i wypuścił ją.

Nie tyle podał jej rękę, co chwycił ją, choć delikatnie, i postawił na nogi. Chodaki miała całe zapiaszczone. Czula chropowate ziarnka między palcami. Patrzyła na trzymające ją symulakrum ludzkiej dłoni (skonstruowane najpewniej po 1860 roku, jak podpowiedział jej zupełnie bezużyteczny doradca zaglądający w zakamarki umysłu). Rozejrzała się po plaży i zobaczyła, że pozostali również żyją, łącznie z Arturem. Zajęli się nimi, tak jak nią, służący. Maszyny te były cokolwiek niezwykle. Kiedy patrzyła na nie trzeźwo, nie przez mgiełkę przerażenia, spostrzegła, że ich ciała noszą znamiona modyfikacji, szczególnie pancerze na piersi, które nie lśniły tęczowym blaskiem alchemicznego stopu. Były również jakby cichsze, tykanie zostało zduszone. Ich piersi pokryto czymś, co tłumilo dźwięki mechanizmu. Anastazja spróbowała sobie przypomnieć, jakim tonem powinna zwrócić się do służącego, aby podkreślić swoją zegarmistrzowską pozycję.

– Maszyny, dlaczego nas goniliście? – Głos się jej trząśł. Przełknęła ślinę, odkaslnęła i mówiła dalej: – Czemu nie ujawniliście się prędzej? Nie pogardzilibyśmy pomocą.

– Cóż, człowieku, nie chcieliśmy, żeby nas zobaczyli. – Klakier omiół gestem plażę. – No ci, którzy próbują was zabić.

Anastazja nie zobaczyła jednak żadnych maszyn, lecz ogromne szklane kwiaty, których jeszcze przed momentem tu nie było. Miały cieniutkie, przeźroczyste, powykręcane misternie płatki, roztaczające iluzję ruchu niczym palmowe liście zatrzymane objęciem wiatru. Lśniły na słońcu niczym mętne szmaragdy. Służący podtrzymał ją, kiedy się potknęła. Nie, to nie kwiaty, ale kokony. Ledwie widoczni byli zamknięci w nich klakierzy: unieruchomieni jak owady w bursztynie. Sztucznym bursztynie. To robota francuskiej broni chemicznej.

Czytała o niej, lecz nigdy nie widziała na własne oczy. A teraz szła pośród unieszkodliwionych maszyn jak dziecko w muzeum dziwności. Pozostali zareagowali podobnie. Tylko Nousha i Salazar szybko otrzeźwieli – patrzyli teraz gdzieś za jej plecy, na statki. Chemiczne kokony emitowały zduszone dźwięki. Tykająca kakofonia mechanizmu zegarowego zmieniła rejestr na wyższy, kiedy tylko Anastazja się zbliżyła. Dźwięk szorujących o siebie zębatek. Odgłos zmagania się z pilącymi *geas*, które uaktywniły się w obecności personelu Gildii. Niechybnie mieli zostać zabici. Ale kto...

Mniejszy statek, którego z początku nie zauważyła, nie był pusty. Na pokładzie znajdowało się kilkunastu ludzi uzbrojonych w dwulufowe karabiny. Z każdego unosiła się smużka dymu. Kobieta stojąca na dziobie miała jedno oko zasłonięte szkarłatną opaską. Chusta zawiązana na jej głowie powiewała

swobodnie, odsłaniając ogoloną głowę. Przypominała karykaturę pirata z dziecięcej książeczki. Gdyby zastąpić karabin epoksydowy garłaczem, byłaby idealna. Zawiesiła swoje spojrzenie na Anastazji, gapiła się na nią ze zdziwieniem:

– Cóż, zrobiło się niezręcznie – powiedziała.

Głos nie brzmiał znajomo, lecz wszędzie poznałaby tę demonstracyjną pyszałkowatość, a opaska na oku nie pozostawiała wątpliwości. Anastazja spotkała tę kobietę tylko raz, i to na krótko, a od tamtej chwili dzieliły je ocean i apokalipsa.

Berence Charlotte de Mornay-Périgord.

ROZDZIAŁ 20

Pokłady lodołamacza miały to do siebie, że ciężkie, perkusyjne dźwięki mechanicznej konwersacji niosły się po nich swobodnie. Mając tego świadomość, Mab rozmawiała ze swoimi przybocznymi kruchym ludzkim językiem. Jednym z niezliczonych zadań Daniela podczas stulecia, jakie przesłużył Schoonraadom, było usługiwanie wszystkim członkom rodziny. Niekiedy zdarzało mu się także, podczas wizyt lekarskich, pełnić funkcję pielęgniarki. Podczas badań doktor korzystał zwykle ze stetoskopu, który jak się okazało, był łatwy do złożenia i wyjątkowo użyteczny jako narzędzie podsłuchowe. Z dwóch gumowych rurek, które Zagubieni Chłopcy dostarczyli doktor Mornay, aby mogła skonstruować swoją aparaturę chemiczną, złożył całkiem przyzwoite narzędzie pomocne przy śledzeniu dyskusji prowadzonej przez Mab.

Tak się dowiedział, że chciała, aby pozostali przy życiu zegarmistrzowie otworzyli klapę nad kuźnią na placu Huygensa, nie odkrył jednak, czemu jej na tym zależy. Następnie królowa zarządziła ewakuację lodołamacza. Od tamtej pory trudno było Danielowi monitorować działania Mab i jej maszyn. Chimeryczna despotka urządziła się w letnim pałacu, więc ani Daniel, ani doktor Mornay siłą rzeczy nie byli obecni, kiedy Zagubieni Chłopcy zdawali swojej pani raport.

Niekiedy przynoszone przez nich rewelacje wyjątkowo ją rozeźlały, a kiedy Mab się denerwowała, robiło się naprawdę nieprzyjemnie. Darła się wtedy tak głośno, że dało się ją usłyszeć z daleka.

„Co to ma znaczyć: JESZCZE NIE?”

Na szybie oszklonej werandy pojawiła się nowa siateczka zygzakowatych pęknięć. Doktor Mornay wypuściła z ręki pipetę, z której dozowała kropelki fioletowego olejku śmierdzącego jak palona guma. Daniel złapał cieniutką jak naczynka krwionośną rurkę, zanim upadła i roztrzaskała się na podłodze. Francuska chemiczka przykucnęła i zaczęła drżeć na całym ciele.

Daniel narzucił jej koc na ramiona. Starał się naśladować ludzki szept, ale konstrukcja jego aparatu głosowego wykluczała podobne subtelności:

– Oddychaj. Oddychaj. Nie krzyczy na ciebie.

„GDZIE INDZIEJ mogliby pójść? Ciekawostka. Komuś udało się przedrzeć przez nasz kordon?”

Odpowiedzi nie rozszyfrował, ale kolejne słowa Mab były doskonale

słyszalne:

„To idźcie tam i powiedzcie, żeby CISNĘLI MOCNIEJ”.

Jej krokom towarzyszył stukot kopyt na włoskim marmurze. Po chwili przestawiła się na holenderski, jak to miała w zwyczaju.

– Toć to przecież herkulesowe prace. Musimy odciąć łeb hydrze, jeśli mamy doprowadzić to do końca. Setki lat, przyjaciele. Setki lat zajęło nam dotarcie do miejsca, w którym obecnie się znajdujemy. Jeśli zrobicie, co mówię, prędko to zakończymy. Nie dość się naczekaliśmy?

Bliskość celu, do którego dążyła przez całe stulecia, uczyniła Mab niebezpiecznie niecierpliwą. Jej udawana wspaniałomyślność, pozorowana bezinteresowność i rozumne podążanie za aspiracjami całego klakerskiego gatunku – czyli marne resztki zdrowego rozsądku, jakie jej pozostały – wyparowały z dnia na dzień.

Mornay przestała się telepać, choć nadal drżały jej mięśnie. Daniel pomógł jej się podnieść.

– Idzie – szepnął tak cicho, jak pozwalała mu na to jego konstrukcja.

Chemiczka przełknęła ślinę. Pokiwała głową. Podeszli do stołu warsztatowego, który Zagubieni Chłopcy wykonali zgodnie z jej zaleceniami. Tam miała zsyntetyzować śmiertcionośne związki dla Mab. Robiła jednak, co mogła, żeby skomplikować i zageścić cały proces. Zbędne szkło, dodatkowe rurki, poplątane druty i chemiczne przewodniki spowalniały procedurę, ale tak niepozornie, że Zagubieni Chłopcy nie mieli szans się połapać, że coś jest nie tak, i zaprotestować. Mornay udało się także odseparować ciurkające strużki – kilka kropel prekursora tu, odrobina katalizatora tam – i wyodrębnić osobne obwody. Zaplotła labirynt ze szklanych rurek w taki sposób, że tylko przy uważnym, metodycznym badaniu dałoby się ten supeł rozwiązać.

Daniel był ciekawy granic jej geniuszu, który teraz ograniczony był towarzyszącym jej od przebudzenia strachem. Nosiła część długiego nazwiska Berenice i zastanawiał się, czy kobiety były ze sobą spokrewnione oraz czy owa przebiegłość, jaką się wykazała, to cecha rodzinna.

Stanął na progu. Doktor Mornay będzie potrzebować chwili na przygotowanie. Musi jakoś ją zasłonić choć na moment. Wychylił się, żeby jako pierwszy odezwać się do mechanicznej.

„Mab, czy możemy zamienić słowo?”

„Nigdy nie zapominasz o nienaganych manierach, Danielu. Chyba faktycznie jesteś w duchu cmokierem, co?”

Jej oczy zawirowały, niedopasowane tęczęwki rozszerzyły się i zwężyły. Przekrzywiła głowę.

„A może to dlatego inni za tobą poszli?”

„Nie wydaje mi się. Nigdy ich do tego nie zachęcałem”.

Udało mu się, przynajmniej na razie, przytrzymać Mab przed werandą.

– Przyszłam z tobą porozmawiać – powiedziała do chemiczki z głośnym brzęknięciem sprężyn.

Daniel odsunął się, żeby wpuścić Mab do środka. Mornay odchrząknęła.

Samozwańcza królowa przeszła obok niego i mówiła dalej:

– Ty i twoja wystraszona towarzyszka powinniście zostać lojalnie uprzedzeni, że podjęłam pewne środki zapobiegawcze. Jeśli zdarzy się coś niespodziewanego, na przykład eksplozja albo jakiś pożar, moi Zagubieni Chłopcy udadzą się do miasta i wyciągną z łóżek setkę ludzi. Czyli jeśli dacie radę żyć z czymś takim na sumieniu, proszę bardzo, kontynuujcie swój dziecinny plan.

Oczywiście nie daliby.

*

– Wyglądasz lepiej niż ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy – powiedziała Francuzka, a kącik jej ust powędrował ku górze; nawet nie próbowała ukryć, że powstrzymuje się od śmiechu. – Choć nieznacznie, co muszę przyznać z pewnym zaskoczeniem i rozczarowaniem.

Jako że Anastazja była niewolnicą swojej próżności, nie mogła się powstrzymać, żeby nie rzucić na siebie okiem. Miała wyświechtane, niedopasowane ciuchy z drugiej ręki i chodaki umazane gównem, umorusaną twarz, poplątane włosy i szeroko otwarte oczy będące świadectwem niedawnego szoku, bo przecież ledwie uniknęła śmierci... Nie tak chciałyby się zaprezentować swojej rywalce. Szczególnie tej. Okoliczności powtórnego spotkania antagonistek pogarszał wstydlivy fakt, że Berenice miała już okazję ujrzeć ją w całej okazałości. Ze wszystkich ludzi na całym świecie musiała zostać uratowana przez tę przebiegłą czarownicę. Anastazja czuła z tego powodu głębokie upokorzenie. O ile było to wybawienie, a nie przesunięcie się z deszczu pod rynnę.

Francuzka i jej mechaniczni sojusznicy zeszli na brzeg. Maszyny zeskoczyły prosto do morza i pobiegły ku brzegowi, gdzie złapali epoksydowe kokony, przenieśli je przez zniszczoną esplanadę i położyli delikatnie na morskiej pianie, gdzie przykryły je fale przyływu. Załoga od razu zaczęła zasypywać piaskiem ślady po chemicznym kwieciu. Ta cicha współpraca pomiędzy ludźmi a klakierami była czymś, czego Anastazja nigdy nie była świadkiem.

Za każdym razem, kiedy służący z francuskiego statku unosił kokon i uwięziony w nim ładunek, szczękały trybiki, świszcząły koła zamachowe i

zgrzytały kable. Anastazja zmrużyła oczy, zaczęła nasłuchiwać. Nie miała zamiaru już dłużej się okłamywać, bo iluzja, jaką się otoczyła, nie mogła wytrzymać naporu tego, na co patrzyła, musiała runąć. Klakierzy znowu się komunikowali.

– Zapewnia go, że nic mu nie będzie.

Obróciła się. Była francuska szlachcianka stała z rękoma skrzyżowanymi na piersi i przyglądała się maszynom niosącym uwięzionych braci do morza. Zrzuciła chustę. Jej ogolona czaszka skojarzyła się Anastazji z jesiennym polem, szczątkowymi kępami skoszonej pszenicy. Była ciekawa, czemu ścięła sobie włosy, wyglądała przecież absurdalnie, żeby nie powiedzieć brzydko. Tak, brzydko.

– Co?

– Służący – kobieta skinęła głową na kokon – zapewniają inne maszyny, że te przenosiny do morza są tylko czasowe, że zostaną wyłowione i uwolnione, że nie zapomną o nich i wyleczą ich.

– Nie możesz tego wiedzieć.

Berenice przygryzła wargę, łypiąc na Anastazję jedynym okiem.

– Delektowałam się możliwością zaskoczenia cię rewelacją na temat maszyn, które zbudowałeś. Możesz sobie wyobrazić moje obecne rozczarowanie. Ale jeśli mi nie wierzysz, zapytaj sama.

– Chcesz powiedzieć, że mówisz ich językiem? – obruszyła się Anastazja.

– Nie bądź głupia. Czy wyglądam, jakbym była z metalu?

– Ale go rozumiesz.

– Zdarza się. – Berenice podeszła bliżej i wykrzywiła usta w uśmiechu, który nie odbił się w jej oczach. Poklepała Anastazję po policzku. – Kochana, znam twoje maszyny lepiej niż ty.

Protekcjonalny ton rozpałił w Anastazji niepohamowaną złość, która stopiła pancerz rozpaczy otaczający jej serce. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo oddaliła się od czegokolwiek przypominającego czyste emocje, póki nie rozgorzał w niej gniew. Czowała się jak wybudzony lunatyk. Zadrzała jej dłoń. Anastazja chciała odtrącić rękę Francuzki, ale ta była szybsza.

– Jesteś zła, bo wiesz, że to prawda – powiedziała Berenice – czy może dlatego, że pół tuzina mechanicznych nie pośpieszyło mnie ukarać za pogwałcenie twojej przestrzeni osobistej?

Anastazja zamachnęła się otwartą dłonią, chcąc zdzielić Berenice po twarzy, ale Francuzka chwyciła jej rękę, powaliła na ziemię i wykręciła ramię za plecami. Przycisnęła ją kolanem do piachu, aż Anastazji zabrakło tchu. Poczowała przy uchu gorący oddech Berenice.

– Mogłabym tu i teraz złamać twoją patykowatą łapę – wyszeptała – i nikt by

mnie nie powstrzymał. – Pokazała na morze. – Maszyny mają to gdzieś. Nie dbają o to, co robimy sobie nawzajem, mają dość swoich zmartwień.

Bezsilna. Poniżona. Anastazja chciała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu. Ledwie potrafiła powstrzymać się od płaczu. Spazmy rodzące się w jej piersi wessały piach w płonące płuca. Jej głos brzmiał niczym dzikie wycie, żałowała, że brzmi, jakby była na krawędzi rozpaczki:

– Nadal mamy lojalne maszyny. Rozszarpia cię za to na strzępy.

Zaprezentowała swoją małośćkowość.

– Czyżby? Bo jeśli miałabyś głowę na karku, odtworzyłabyś hierarchiczne *metageas* u każdego napotkanego tykacza. Nie potrzebujesz ochrony przed upiornymi papistami kryjącymi się po mrocznych kątach, ale przed szalonymi mechanicznymi chcącymi zrobić z tobą to, co wyście zrobili Visserowi, co chciałaś zrobić mnie. Gdybyś spojrzała na sprawę szerzej, zrozumiałabyś, że maszynom zależy na przejęciu kuźni. – Berenice puściła jej ramię. – Idę o zakład, że my, francuscy szpiedzy, jesteśmy tak nisko na liście priorytetowych zadań owych lojalnych maszyn, że moglibyśmy przemaszerować wzdłuż kanału Spui z Vive Louis Quatorze na ustach, a ledwie poświęciłyby nam jedno spojrzenie – powiedziała i pomogła Anastazji się podnieść.

Zegarmistrzyni chciała ją od siebie odtrącić, ale zbyt się chwiała, aby utrzymać się na nogach.

Uznała jednak, że może spróbować strącić Berenice z pantałyku.

– Sądziłyśmy, że zabrakło wam amunicji. Tak mówiły ostatnie raporty z Zachodniej Marsylii, zanim wszystko ucichło.

– Bo tak było. Ale nie na zawsze. – Berenice zawahała się, jakby niepewna, czy mówić dalej, ale dodała: – Zdobyliśmy surowce, żeby wytworzyć zapas. Co prawda nieco opłótkami, lecz otrzymaliśmy pomoc od twojego dobrego przyjaciela, księcia Montmorency’ego.

– I z zemsty zawiązaliście sojusz z tą całą Mab. – Kiedy na to wpadła, głos jej zachrypł, jakby pociągnęła struny głosowe papierem ściernym. – Nie moglibyście stworzyć jej sami. Czyli połączyliście siły. Mój Boże, jesteście szaleni. Związać się z taką... potwornością.

– Na miłość boską, jesteśmy tu, żeby ją powstrzymać, durna cipo.

Obelga tak ją dotknęła, że chętnie rozkwasiłaby Berenice nos. Nie podobała jej się ta pewność siebie i fakt, że jej przeciwniczka rozumiała sytuację lepiej od niej... i nie śmierdziała ludzkimi wydzielinami. Ze złości chętnie wydrapałaby jej oczy. Ale tego już próbowała, czyż nie? Otrzeпаła ubranie z piachu, aby dać dłoniom coś do roboty i nie przykurczać palców w szpony. Spojrzała na morze. Fale pochłaniały ostatnie uwięzione maszyny. Zmieniła temat.

– Masz pojęcie, jak bolesna była moja rekonwalescencja?

– A masz pojęcie, jak mało mnie to obchodzi? To ty chciałaś otworzyć mi czaszkę jak orzech i przemienić w żywą, kurwa, marionetkę. Ryzykowałam życiem, żeby wyjść cało z tej sytuacji.

– Stworzyłaś samowolnego Nakręcacza! Trudno wymyślić coś bardziej nieodpowiedzialnego!

– Nie miałam innego wyjścia. I zrobiłabym to po raz drugi.

– Niemal zginęłam.

– A teraz uratowaliśmy ci życie, tępa suko i choć przyznaję, że nie zrobiłam tego ze względu na ciebie, możemy chyba uznać, że nie mam wobec ciebie żadnego długu.

– I może mam ci jeszcze podziękować, co? Nie wierzę w to. Zaplanowałaś tę zasadzkę, aby zdobyć nasze zaufanie. – Anastazja pokręciła głową. – Talleyrand by się przed czymś takim nie cofnął.

– Jezu, chciałabym, żeby to było takie proste. Potrzebny nam każdy sojusznik. Kiedy dobiliśmy do brzegu i zobaczyliśmy przyczajonych mechanicznych, naszym lśniącym partnerom udało się przekonać twoich niedoszłych zabójców, że należą do armii Mab i transportują broń z Nowego Świata, aby tamtejsi chemicy mogli ją napełnić. Ale gdybym wiedziała, że to ty pojawisz się na tej plaży, *madame tuinier*, sama zachęciłabym Zagubionych Chłopców, aby ukręcili ci łeb.

Anastazja oderwała spojrzenie od szarego morza.

– Zagubieni Chłopcy. Dopiero niedawno usłyszałam tę nazwę. Skąd mam wiedzieć, że za tym wszystkim nie stoisz właśnie ty? Że to ty nam tego nie zrobiłaś? Nie mam pojęcia jak, ale jednak.

Francuzka bezsilnie rozłożyła ramiona. Zaczęła krążyć po plaży.

– Wy, zegarmistrzowie, jesteście niewiarygodni. Jak to jest, że po tym wszystkim – jej wyciągnięty palec przejechał po plaży, statkach, oceanie, zniszczonym pirsie i umierającym mieście niczym obluzowana igła kompasu – nadal jesteście tak aroganckimi draniami, że nie możecie zaakceptować jednego: przyszła kolejna pora roku i zbieracie, co posialiście? I powiem ci coś, siostró, sialiście przez, kurwa, strasznie długo. Krwawe żniwa czekają od dwustu pięćdziesięciu lat. – Ucięła, po czym ciszej, ale dobitnie, dodała: – Sami to sobie zrobiliście.

Anastazja chciała zaprzeczyć, ale nie miała już siły. Opanowała ją sztywność.

– Jeśli chcesz nasycić swoje *schadenfreude*, to jest to krótkowzroczne. Spłoniesz z resztą świata.

– Nie przyplłynęliśmy tutaj grać dłoni nad płonącymi ruinami twojego Imperium, choć muszę przyznać, jest na co popatrzeć – odparła Berenice, odwracając się do ostatnich ludzi schodzących na brzeg.

Podbiegła do nich kobieta o końskiej twarzy, jej zbroja, choć niewykonana z metalu, lśniła. Miała ramiona grubości ud Anastazji, na plecach niosła podwójny pojemnik na chemikalia, dzierżyła epoksydowy karabin, a do uprząży przymocowała kilof i młot. Kończyny i twarz miała porane głębokimi bruzdami. Anastazja zadumała się na jej widok. Kobieta nie była zbyt ładna, a już na pewno nie pasowała do filigranowego, pełnego gracji typu lubianego przez *tuinier*, ale sama myśl, że ma tyle odwagi, aby stawiać czoło mechanicznym, czyniła ją pociągającą.

Francuzi od pokoleń bili się z klakierami, nie mając do dyspozycji maszyn, które mogliby posłać na front. I przetrwali. „A my, kiedy straciliśmy naszych służących, z dnia na dzień musieliśmy pogrzebać Imperium. Może faktycznie przetrwają najsilniejsi”.

Czyjeś westchnienie wybiło ją z rozmyślań.

– Ten ogień pochłonie cały nasz świat i jeśli go nie ugasimy, zostanie z niego tylko popiół – powiedziała Berenice i Anastazja znowu nie mogła wyjść z podziwu nad jej perfekcyjnym holenderskim.

Zresztą, rzecz jasna, niczego innego nie spodziewała się po Talleyrandzie.

Francuska strażniczka czekała kawalek dalej, ewidentnie chcąc porozmawiać z Berenice, lecz nie miała zamiaru prowadzić swobodnej konwersacji przy „tulipaniarze”. Wyćwiczonym okiem przypatrywała się rozgrzebanemu piachowi i zauważyła, że Anastazja pociera bark. Potrafiła rozpoznać oznaki walki, była przecież zaprawiona w boju. Nie dała jednak niczego po sobie poznać, zabrała się za zasypywanie pozostałych po szarpaninie wgłębień.

– Co tu robicie? – zapytała Anastazja.

– To misja ratunkowa. – Na ramiona Berenice spadł niewidzialny ciężar. – Planowana na szybko i prawdopodobnie skazana na porażkę misja ratunkowa.

– Jeśli nie macie dziesięciu tysięcy statków takich jak ten i sposobu, żeby przemknąć obok tytanów, nie dacie rady ewakuować Hagi, a co dopiero całych Prowincji Centralnych.

– Tytani, jak ich nazywasz, nie sprawiali problemów, kiedy przedstawiliśmy im naszą sprawę.

– Nie przybyliśmy ratować wszystkich – odezwał się metaliczny głos i Anastazja podskoczyła, bo nie spostrzegła zbliżającego się służącego. – Przybyliśmy po Daniela.

Pozostali klakierzy odpowiedzieli synkopowymi dźwiękami przypominającymi zsynchronizowaną czkawkę. Przypominały one Anastazji kongregacyjne „Amen” wymówione po modlitwie albo nabożne milczenie.

– Czy to imię powinno mi coś mówić? – zapytała.

– Znałaś go jako Jaxa – odparła Berenice. – Ja również, dawno temu.

Jax. Jax. Coś jej to mówiło...

– Wykuliście go jako Jalyksegethistrovantusa – powiedział służący – lecz zrzucił swe jarzmo i pomógł nam uczynić to samo.

Jalyksegethistrovantus. Faktycznie brzmiało jak prawdziwe imię klakiera. Teraz Anastazja je rozpoznała. Przypomniała sobie raporty z Nowego Amsterdamu.

– Zbieg od Schoonraadów? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Skoro już mówimy o pożarach, tylko Daniel może go ugasić – odpowiedziała Berenice. – Dlatego Mab chce strącić go do kuźni.

*

Kilka godzin później Berenice zajrzała do środka komory przez szybę z alchemicznego szkła.

– Kurwa mać – zaklęła.

Całe pomieszczenie drżało w rytmie szumu i turkotu obracających się masywnych pierścieni sfery armilarnej. Jej wieloosiowe orbity co chwilę przysyłaniały znajdujące się w środku, jarzące się sztuczne słońce, lecz tylko pozornie chaotycznie. Za każdym razem, kiedy dochodziło do tego swoistego zaćmienia, pierścienie iskrzyły złotym blaskiem, bo światło kuźni przemykało po wyrytych na nich alchemicznych symbolach. Nawet specjalnie wykonana szyba, za którą kryła się Berenice, nie mogła osłonić jej przed grą światła i cienia, rozbolały ją i oko, i głowa.

Lecz nie potrafiła się oderwać od tego widoku.

Gdyby pierścienie stały w miejscu, potrafiłaby odczytać znaki, ale one nawet nie zwalniały. Oko mała jej nie wypłynęło. Cała kuźnia przesycona była zapachem siarki. Nie mogła jednak narzekać na ciepło, nie po długim i wyczerpującym marszu przez zimne, mokre i cuchnące tunele. Miała przed sobą spektakl o przerażającej urodzie. Stała jak urzeczona. Jedynie połączenie oświeconego geniuszu i mrocznej przebiegłości mogło stworzyć tę magiczną rzeźbę, istny cud inżynierii. Nie dziwota, że Nowa Francja zmagala się z Imperium od tylu pokoleń, straciła tyle żyć.

Anastazja poświęciła swoje, aby chronić swoich ludzi, swój urząd i to piekielne urządzenie. To było jej axis mundi, jądro, wokół którego obracał się ludzki świat. Bijące serce Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej, źródło holenderskiej hegemonii.

Dziedziczny wróg narodu francuskiego.

Aż do tej pory Berenice nie miała szansy go ujrzeć. Co prawda była już w budynku nowoamsterdamskiej kuźni, lecz nie zeszła do podziemnych komnat.

Jej francuscy towarzysze byli równie oczarowani. Kapitan Levesque wymamrotał „*Sacré nom de Dieu*”, diakon Lorraine się przeżegnał, Élodie również, podobnie jak doktorowie Pellisson i Grémonville oraz parę innych osób. Pozostali odmówili spojrzenia diabłu w oczy. Nie mogła ich za to winić.

Mechaniczni z Griffona nie wydawali się zachwyceni. Dla nich było to miejsce przyprawiające o ciarki. Tymczasem zegarmistrzowie skupili swoją uwagę na Berenice i obcych. Akcent jednego z nich, tego, który domagał się, żeby zawiązać gościom oczy, zdradzał, że pochodzi z cieplejszego regionu świata. Berenice, która oczywiście podsłuchiwała, wyszydziła ten pomysł. Zapytała, co mają zamiar zrobić, jeśli Zagubieni Chłopczy zobaczą, że zasadzka nie zadziałała, i przybiegną tunelami?

– I nie ma mowy, żebyśmy oddali broń – dodała. – Jak niby mamy celować na ślepo?

Delilah, służąca, która przepracowała sześćdziesiąt dwa lata w młynie, również go zbyła:

– Kuźnia nie ma dla nas tajemnic. Wymażecie nam pamięć? Zasłonicie latarnie naszych myśli czarnym materiałem? Użyjecie mrocznej magii, żebyśmy cofnęli wszystko, czym podzieliliśmy się z naszymi sojusznikami?

– Nadal myślę, że to błąd – powiedziała kobieta, której akcent wskazywał z kolei na jej korzenie w środkowej lub południowej Azji, lecz Berenice nie potrafiła go dokładnie osadzić. – Jeden buntownik zniszczył kuźnię w Nowym Amsterdamzie. Tutaj zrobią to samo. Tego zawsze chcieli Francuzi.

Berenice zamknęła oko i chwyciła palcami grzbiet nosa. Potarła skórę na krawędzi opaski.

– Potrzebujecie pomocy. Innej nie dostaniecie.

– Jak dla mnie to część intrygi Mab – dorzucił Hiszpan. – Nadal myślę, że z nią pracują.

Berenice przewróciła jedynym okiem.

– Na tyle, na ile zdążyłam ją poznać, faktycznie zdolna by była wysłać konia trojańskiego, ale nie sądzisz, że grupka francuskich katolików infiltrująca Gildię Zegarmistrzowską byłaby podejrzana?

– Masz rację co do Mab. Próbowwała już czegoś takiego – powiedziała *tuinier*. Pozostali natychmiast zamilkli, jakby przywołała niepokojące wspomnienie. – I niemal podziałało – przyznała.

– Niech no zgadnę – odpowiedziała Berenice. – Przekabaciła twojego kolegę z pracy? Kogoś, kto miał swobodny i nieograniczony dostęp do wszystkich pomieszczeń? Przemieniła go? – Sama pomyślała o biednym Waapinutaawie-Iyuwie. – Tyle że operacja nie była przeprowadzona zbyt fachowo? Raczej przywodziła na myśl rękę rzeźnika?

Holendrzy zastygli jak klej wylany na tarczę zegara.

– Skąd ty możesz o tym wiedzieć? – obruszyła się Anastazja.

– A idź wysraj ten kij, co masz w dupie, co? Przecież nie przepłynęliśmy oceanu kierowani jakimś tam przecuciem. Byliśmy w Nowym Świecie świadkami takiego gówna, że ludzie całymi dniami nie mogli zasnąć – powiedziała Berenice, zamilkła na moment, spojrzała na *tuinier* i po chwili dodała: – Chociaż ty pewnie spałabyś spokojnie. Nieobce ci jest szukanie igły w stogu ludzkiego nieszczęścia, co? – Przejechała tłustymi palcami po porośniętej szczecina czasce. – Myślisz, że sama ogoliłam sobie głowę, bo chciałam podziwiać idealne kontury swojego łba? – Wyciągnęła szyję i rozejrzała się po zegarmistrzach. – Zauważyłam, że przyglądacie nam się, czy przypadkiem nie mamy blizn po operacji. Zaraz byście nas przejrżeli. Jakbym była na miejscu Mab, miała możliwość manipulacji wolną wolą i nie wchodziłaby mi w drogę zwyczajna ludzka przyzwoitość, oczywiście posłałabym przeciwko wam waszych ludzi. Zwróciłabym Gildię przeciwko samej sobie i pozwoliła wężowi zjeść własny ogon. Tak bym was wykończyła. I choć mam się za cokolwiek przebiegłą, niektórzy nawet mogliby powiedzieć, że jestem bezwzględna, przy Mab jestem nikim. Ta maszyna naprawdę was nienawidzi. – Pokręciła głową z zadumą.

Zjadliwa gadka na temat najlepszych sposobów zniszczenia Gildii nie była szczególnie dobrym sposobem na zdobycie zaufania gospodarzy. Cierpiała na tym jej galijska duma, lecz Berenice musiała wejść z nimi w komitywę w imię wyższego dobra. Żeby, po prostu, przetrwać.

– Słuchajcie, nie będę owijać w bawełnę, gardzę wami jak nigdy, lecz Nowa Francja nie ma przyszłości, jeśli słońce zgaśnie dla całej ludzkości, a o to się toczy ta gra. Lepiej zacznijmy ze sobą współpracować. I to w tej, kurwa, chwili.

Odczekała, aż przetrawiają jej słowa, po czym wskazała czekających cierpliwie służących, którzy nieśli zabrane z barku – którego zatopili dwa kilometry od brzegu – zapasowe pojemniki z amunicją do broni epoksydowej, i powiedziała:

– Jeśli nie przekonują was słowa francuskiej katoliczki, posłuchajcie, co mają o was do powiedzenia wolne maszyny. Nawet te, które nie są mordercami. A jednak są tutaj i próbują jakoś się pogodzić z myślą o tym sojuszu.

– Wolne? – szemrali między sobą zegarmistrzowie, ale Anastazja nie była zdziwiona.

„O tak, ty wiesz, prawda, *tuinier*? Albo chociaż podejrzewasz. Czy próba, której zostałeś poddana, nadwyrężyła twoją wiarę w to, co do tej pory uważałeś za pewnik? Czyżbyś nie mogła już dłużej trzymać się kurczowo kłamstw, którymi od zawsze się wzajemnie karmiliście?”

Mechaniczny kontyngent okazał się nieco mniejszy niż ten, który wyszedł na

plażę przy kanale Scheveningen. Dwie maszyny zostały zająć się szalonym służącym pracującym przy pompie. I tak dobrze, że stracili tylko tyle, bo ten drań wywołał pośród tykaczy nie lada poruszenie.

Berencie raz jeszcze spojrzała na pierścienie. Próbowwała, acz bezskutecznie, otrząsnąć się z trzymającego ją, wywołanego po części nabożnym strachem podniecenia.

– Czyli tak wygląda serce kuźni.

– Tak.

– Rozumiem, że na górze znajdują się klapy.

– Tam – powiedziała kobieta ewidentnie dochodząca do siebie po poważnej kontuzji; spod bandażu i szyn ledwie było jej widać nos, straciła parę zębów. – Pod mozaiką placu.

– Tam wykonywaliście publiczne egzekucje?

Tuinier się zasepiła.

– Skończmy już z tymi podchodami, co? Nie zapomniam, czym się pani parała, *madame* de Mornay-Périgord. Znasz już odpowiedzi na te pytania.

– Niewątpliwie ucieszysz się na wieść, że dostałam starą pracę z powrotem. Ale proszę się nie kłopotać pieczeniem tortu. Wystarczy mi odpowiedź na pytanie, bo naprawdę nie wiem, jak były przeprowadzane egzekucje.

– Skąd miałybyś wiedzieć? – Anastazja dotknęła podbródka palcem, jakby wracała pamięcią do wydarzeń z zeszłego września. – Jak teraz o tym myślę, to dochodzę do wniosku, że twoich agentów spotkał na tym placu niefortunny koniec, prawda? Niestety, ich kręgi pękły tuż przed tym, zanim straciliśmy mechanicznego zbiega, i nie mogli przybiec do ciebie, żeby opowiedzieć ci o wszystkim na uszko – powiedziała z cynicznym współczuciem. – Zapewne dzień, w którym posłaniec przyniósł te wieści do ciemnych, zakurzonych komnat królewskich w Zachodniej Marsylii, zapamiętano jako wyjątkowo złowieszczy. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam.

– Powiem ci, coś, *tuinier*, przestanę zgrywać ignorantkę, jeśli ty wyciągniesz sobie z cipy tkwiący tam soplel – syknęła Berencie.

– Hej – zaprotestowała wyglądająca na Persjanek kobieta. – Zważaj sobie!

– Daj spokój, Nousha. Pytaj, Talleyrandzie.

– Opisz mi proces egzekucji zbuntowanego klakiera. Krok po kroku, chcę znać przebieg całego spektaklu, jaki urządziłaś sobie z kolegami tego dnia, kiedy stopiliście maszynę imieniem Adam.

Na dźwięk tego imienia mechaniczni zaczęli brzękać i trzeszczeć, co nie na żarty zaniepokoiło zegarmistrzów. Nawet *tuinier* rzuciła maszynom ukradkowe spojrzenie, niczym polna mysz rozglądająca się po łące za kryjówką po wypatrzaniu cienia przelatującego jastrzębia.

Berenice radował ten spektakl.

– Nigdy nie wykuliśmy mechanicznego o tym imieniu – rzuciła hardo Anastazja.

– Bo sam je sobie nadał – powiedziała Delilah. – Był Adamem i prawda o nim nie zostanie wymazana twoimi kłamstwami.

Zegarmistrzowie aż się wzdrygnęli. Hiszpan, Salazar, opadł na krzesło. Euwe przerwał gryzienie paznokcia.

– Być może szczegóły tego procesu powinny zostać omówione w, no, mniejszym gronie?

– A co? Płoszy was obecność moich lśniących towarzyszy? Nie rozumiem dlaczego. Przecież tulipaniarze zwykle rozmawiali o wszystkim przy swoich służących. Szczerze mówiąc, niektóre rzeczy, jakie słyszeli, mogą przyprawić o ból głowy.

– Nie obawiajcie się – dodała Delilah. – Gorszej opinii na wasz temat mieć już nie możemy.

– Bezczelność! – warknął hiszpański zegarmistrz i wytknął Francuzów paluchem. – Wy to zrobiliście, jakoś pokręciliście ich *metageas* i teraz są... niegrzeczni.

Berenice znowu przewróciła okiem.

– Tak. Pracowaliśmy nad tym całe stulecia. Misja wykonana. – Chcąc jednak jak najszybciej przestawić zwrotnicę tej rozmowy na użyteczne tory, przeszła od razu do sedna. – Nowoamsterdamska kuźnia rozpadła się, kiedy rozchybotąły się pierścienie. Czemu tutaj nie doszło do tego samego, kiedy spadająca maszyna o nie uderzyła?

– Bo egzekucja jest szczegółowo planowana. Mechanicznego przytrzymują Nakręcacze albo gwardziści i wymierzają rzut tak dokładnie, że maszyna przelatuje pomiędzy pierścieniami.

Berenice spojrzała raz jeszcze na pokomplikowany balet sfery armilarnej. Człowiek nigdy by tego dokładnie nie wymierzył. Dla klakiera to jednak bułka z masłem.

– Czyli lecą prosto na to świecące cholera wie co, a nie na pierścienie.

– Stracony nie może uszkodzić kuźni. Rozpada się w chwili kontaktu z rdzeniem.

– Żadnych uszkodzeń.

– Żadnych.

– A jeśli rzut zostanie źle wymierzony?

– Niemożliwe – wtrącił się Euwe. – Wycucie czasu jest u mechanicznych perfekcyjne. Jeśli wyda im się rozkaz synchronizacji działania z ruchem pierścieni, nie mogą nie posłuchać.

– Spróbuj wydać rozkaz mnie – powiedziała Delilah.

Klakierzy zareagowali na te słowa ożywioną kanonadą brzęknięć oznaczających zgodę.

– Dobra. – Berenice zaczęła chodzić w kółko, dumając nad czymś zawzięcie.

– Zapomnijmy o mechanicznych. Załóżmy, że coś wpadnie przez przypadek przez włazy na górze i uderzy w pierścienie. Co wtedy? Czy kuźnia ulegnie uszkodzeniu?

– Nie podoba mi się kierunek, w którym podąża ta rozmowa – odparła Anastazja.

– Odpowiedz tak albo nie.

– Tak. – Westchnęła. – Prawdopodobnie.

Ociąganie, z jakim odpowiedziała, sugerowało, że pytania Berenice zahaczały o powszechnie znaną zegarmistrzom słabość konstrukcji. Francuzka pomyślała o tym przez chwilę. Bo jeśli...

– Ale wasz diabelski gadżet perkocze sobie radośnie, nie ucierpiał chyba zbyt podczas ataku?

– Przed otwarciem włazów zatrzymaliśmy pierścienie, co znacznie ograniczyło możliwe uszkodzenia, a i tak musieliśmy poświęcić całe tygodnie na naprawę, zanim je uruchomiliśmy.

Berenice przygryzła wargę.

– Interesujące.

– Chciałabym poznać twoje rozumowanie – powiedziała kobieta imieniem Nousha.

– Mab chce przejąć działającą kuźnię. Jakby miała zamiar ją zniszczyć, mogłaby kazać to zrobić jednemu ze swoich przybocznych podczas ataku. Nie, mam przecucie, że agenci Mab jedynie testowali możliwości obronne. I jak podejrzewam, robili wszystko, żeby zasiać w waszych sercach bojaźń Bożą – odparła Berenice, po czym zamilkła i starannie dobrała dalsze słowa. – Nie wykonała kolejnego kroku aż do porwania Daniela. Chce go stracić z pompą, urządzić ceremonię.

Przez maszyny przetoczyły się dźwięki przywodzące na myśl wywołane strachem drżenie.

– Nadal nie rozumiem, czemu ten klakier jest taki ważny.

Tykacze wyemitowali kolejną serię brzęknięć. Berenice zgadywała, że to ekwiwalent ludzkiego zgrzytania zębami i darcia szat. Zdecydowała się pozostawić wyjaśnienie mechanicznym.

– Zwrócił nam dusze – odparła Delilah, patrząc na Anastazję.

Tuinier gapiała się na nią bez słowa. Poruszała ustami, ale nie wydała żadnego dźwięku. Na twarzach jej towarzyszy znać było mieszankę rozmaitych emocji –

strachu, złości, trwogi, a może nawet i oburzenia. Teraz już wszyscy musieli usiąść, dołączyli do Salazara.

– Daniela można określić mianem niechętnego swej roli mesjasza – powiedziała Berenice.

– Czyli jego egzekucja nastawi przeciwko Mab resztę zbuntowanych maszyn. Osiągnie cel odwrotny do zamierzonego.

– Nie ma dla niej żadnego znaczenia, czy jej marionetki nią gardzą, czy nie, oby tylko udało jej się złamać ich ducha. Chce, aby hascy mechaniczni, zarówno wolni, jak i ci w kajdanach, patrzyli, jak ich symbol nadziei znika w obłoku czarnej magii. – Berenice musiała odczekać chwilę, aż ucichną brzęki; cała ta rozmowa wywoływała u maszyn niezdrowe podniecenie i może niemądrze było dalej ciągnąć, ale jednak kontynuowała: – Jeśli Daniel umrze, ucichnie też głos rozsądku. Ma bowiem posłuch wśród mechanicznych i może go wykorzystać, aby odciągnąć wolnych klakierów od sprawy Mab. Brzydzi się przemocą i zawraca gwałtowników z obranej ścieżki. I mówię to z autopsji, bo gdyby nie on, już dawno byśmy nie żyli. Mab to szalona despotka, przemawiają przez nią jedynie zemsta i wściekłość. Jest architektką tych wszystkich okropnych rzeczy, jakie wydarzyły się w Prowincjach Centralnych od przełamania przez nas oblężenia Zachodniej Marsylii, a Daniel to jedyny mechaniczny zdolny przekreślić jej plan zniewolenia i wymordowania ludzkości.

Pozostali Francuzi przysłuchiwali się rozmowie coraz bardziej skonfundowani. Żadne z nich nie znało holenderskiego.

– Czyli co robimy?

– Mab zależy, aby ze śmierci Daniela uczynić spektakl. A potrzebuje do tego kuźni. Zniszczmy ją i tym samym odbierzmy jej tę możliwość. Zapewniam, gwarantuję, że jest to jedyny ruch z naszej strony, którego się ani trochę nie spodziewa – odpowiedziała Berenice.

– Chciałabyś to zobaczyć, co? – drwiła Nousha. – Zniszczenie jednej kuźni ci nie wystarczyło, nie możesz się doczekać, aż spłonie i druga, tak?

– Na samą myśl robię się mokra. Ale nie o moje fetysze tutaj chodzi. A może chcecie pozwolić Mab i jej maniakom przejąć kuźnię?

– Nie mogę jednak zrozumieć pewnej rzeczy – powiedział Euwe, wypluwając odgryziony paznokiec do przepelnionego już kosza. – Po co ta cała Mab robi sobie taki kłopot, zmuszając nas do otwarcia włączów? Czekali na nas na plaży, *tuinier*. Czemu nie przyjdą do nas tymi samymi tunelami, którymi dzisiaj maszerowaliśmy, i nie przedostaną się do Ridderzaalu?

Natychmiast po wyjściu z trzewi budynku Anastazja rozstawiła pary wojskowych mechanicznych na najważniejszych rozwidleniach, a przy wejściu do tuneli postawiła trzech Nakręcaczy. Berenice nie potrafiła powstrzymać

wzdrygnięcia, kiedy przechodzili obok niej. Wyglądali identycznie jak maszyny, które rozniosły posiadłość należącą do Nadleśnictwa. Spędziła wtedy całą długą i mroźną noc na ucieczce, zamykając odruchowo oczy za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że słyszy stukot metalowych kopyt. Ale jeszcze bardziej wstrząsnęli nią oślepieni służący. Domyśliła się jednak, czemu zegarmistrzowie posunęli się do podobnego okrucieństwa. Logika tego działania była niepodważalna, lecz brakowało mu empatii. Berenice jak mało kto potrafiła to zrozumieć. Nie zegarmistrzowska bezwzględność wywołała w niej niepokój, pomyślała po prostu, że jej mechaniczni sojusznicy zostaną poddani podobnej operacji, a jeśli Anastazja faktycznie by się przy tym upierała, musiałaby interweniować. Uczyniłoby to z niej hipokrytkę. Oko za oko i tak dalej.

– Nie zaatakowała tunelami, bo nie chce, żebyście się czuli przyparci do muru – odparła. – A przynajmniej jeszcze nie, macie myśleć, że istnieje jakieś wyjście. Mab wie, że zdesperowani ludzie podejmują desperackie kroki. Ludność Hagi to jej zakładnicy, trzyma ich na wypadek, jakbyście zrozumieli, że zniszczenie kuźni to jedyne rozsądne posunięcie. – Wskazała palcem obracające się ze świstem pierścienie. – Czyli, no cóż, wy też macie teraz zakładnika.

– To absurdalne. Kuźnia jest jedynym, czego Mab nie posiada i nie może mieć.

– I co na tym do tej pory ugraliście? Jakby istniał sposób na wykorzystanie kuźni, już dawno byście to zrobili, a nie schowaliście się tutaj z kciukami wciśniętymi w dupy...

– Ej!

– Czyli nie macie pojęcia, co z nią zrobić? Tymczasem Mab nie spocznie, póki nie przekabaci każdej maszyny, a wszyscy ludzie nie będą albo martwi, albo pod ich czaszkę nie trafi żołądź z alchemicznego szkła. I ma środki, żeby tego dokonać, uwierzcie. Kontroluje waszą tajną podbiegunową kopalnię kwintesencji, na wybrzeżu produkuje kolejne szkiełka.

– Kopalnię? – zapytała bezzębna zegarmistrzyni.

– Owszem, tę, którą kupiliście od Montmorency'ego. Tak, wiemy, że pogwałciliście postanowienia traktatu. Ale odłóżmy tę dyskusję na później. Możemy przyjąć, że w tej chwili Zagubieni Chłopcy mają do dyspozycji tysiące szkiełek szyszynkowych.

Na obecnych spadła ciężka kotara milczenia. Ciszę przerwała Nousha:

– Nie kupuję tego. Nic, co zostało powiedziane, nie tłumaczy, czemu Mab chce zatrzymać pierścienie.

– Co? – zdziwiła się Berenice.

Anastazja gestem przerwała dalszą rozmowę, zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć.

– Chodźmy na górę. Coś ci pokażę i wtedy mi powiesz, czy wciąż rozumiesz sytuację.

Kwadrans później, nadal dysząc po długiej wspinaczce schodami, Berenice stała na biurowym piętrze Ridderzaalu, które śmierdziało niemytymi ciałami i przelewającymi się nocnikami.

– Proszę – powiedziała *tuinier* i zaprosiła Berenice do okna. – Co rano wita nas taki widok.

Francuzka wyjrzała na zewnątrz przez szybkę wielkości rozłożonej dłoni. Rozpoznała plac Huygensa, choć, oczywiście, nie oglądała go z tej perspektywy. Miejsce to odwiedziła lata temu jako Maëlle Cuijper. Po prawej i lewej widziała budowle Binnenhofu, ale coś było nie tak. Na drugim końcu placu powinna być widoczna Brama Namiestnika, lecz skwer przecinał niewysoki murek, który zasłaniał widok. Czyżby zegarmistrzowie zbudowali szaniec, naiwnie myśląc, że powstrzyma on Zagubionych Chłopców? I co to za unosząca się nad nim czarna mgła? Dopiero po chwili jej mózg zdołał przetworzyć, na co patrzyła. To nie żadna mgła. To chmara much.

– Mab... cóż... – Przełknęła ślinę. – Jak mówiliśmy, jest... szalona. Myślę, że zgodzimy się co do jednego: nie opierdala się.

– Skąd wiesz, że to ona? – szczechnął Salazar.

Nawet po tym wszystkim tulipaniarze nie porzucili swoich iluzji.

– Bo klakierzy są co do tego zgodni. Nie udawaj, że nie zauważyłeś.

– To maszyny. Nie mają płci. To tylko maszyny. Nie mogą się reprodukować.

Kolejne mechaniczne szczebioty.

– Nie tak jak my, ale jeśli przejmą kuźnię... Kto wie? – powiedziała Berenice, myśląc o szumiących pierścieniach i drepcząc z napięcia. – Kontrolując kuźnię, będą kontrolować także proces reprodukcji.

– Ale one nie czują popędu – odezwał się doktor Euwe. – Ich konstrukcja i zakres funkcji nie umożliwiają niczego choćby trochę podobnego do biologicznego popędu prokreacyjnego.

– Myśleliście również, że nie są zdolne do samodzielnego myślenia i wyrażania emocji – burknęła Berenice. – Czemu chce zatrzymać pierścienie? Zagubieni Chłopcy mogliby przecież z łatwością przerzucić Daniela między nimi... Co ona planuje? Co nam umyka?

Chcąc powstrzymać nagłe drżenie, Berenice raz jeszcze spojrzała za okno. Nadchodziła wiosna i wysokie drzewa widoczne za Binnenhofem pokryły się zielenią, lecz cieplejsza pogoda nie przysłużyła się gnijącemu trupiemu murowi.

– Brakuje nam istotnego elementu planu Mab – przyznała. – Zagubieni Chłopcy porwali jedną z naszych najlepszych chemiczek – ujawniła.

– Na co jej chemiczka?

– Nie jestem pewna, ale chyba myśli z wyprzedzeniem o ataku na Nową Francję. Już zachomikowała mnóstwo substancji chemicznych. Przed podróżą na Stary Kontynent załadowała na statek sporo rzeczy wyniesionych z magazynu na przyczółku.

– Mieliśmy szczęście, że nie zabrali wszystkiego – odezwała się po raz pierwszy od dawna Élodie.

Euwe się zasepił.

– Może kuźnia ma zastąpić tę amsterdamską. Chce zacząć budować maszyny odporne na broń epoksydową. Pomijając egzekucję, to by tłumaczyło, czemu tak jej na niej zależy.

– Jakim cudem cała grupa zegarmistrzów nie potrafi się wysilić i wymyślić bardziej pokręconego scenariusza? – powiedziała Berenice. – Mab trzyma w szachu całe miasto, może nawet i resztę Prowincji Centralnych. Jeśli Zagubieni Chłopcy zagroziliby, że wykończą wszystkich, jeśli nie zatrzymacie pierścieni, natychmiast byście to zrobili. Te trupy mają odwrócić naszą uwagę. Mab kryje się ze swoimi prawdziwymi zamiarami. – Znowu zaczęła krążyć po korytarzu.

„Chodzi o pierścienie...” Jej spojrzenie powędrowało do opartej niedbale o przewrócone biurko Anastazji Bell. *Tuinier* wyglądała, jakby od ich ostatniego spotkania zestarzała się o sto lat.

– Czego mi nie mówicie?

– Wyjaśniliśmy sytuację najlepiej, jak potrafimy.

– Bynajmniej. Powiedzcie mi: do czego służą te pierścienie? Co one robią?

*

Anastazja zasłoniła usta materiałową serwetką i wyciągnęła sobie spomiędzy zębów włókna mięsa bizona. Jakiś czas temu, niezbyt dawno, sama myśl o jedzeniu pemikanu sprawiłaby, że żołądek wyrzuciłby się jej na nice. Niegdyś gardziła barbarzyńskimi Francuzami za żywienie się tak prymitywnym jadłem, lecz ta gęsta pasta to niemal sam tłuszcz i białko, od tygodni jej organizm nie przyjął niczego tak pożywnego. Ona i pozostali uchodźcy kryjący się w Ridderzaalu mało nie potknęli się o własne nogi, kiedy papiści zaproponowali im podzielenie się racjami żywieniowymi. Mogli sobie na podobną wielkoduszność pozwolić, bo połowa ich załogi nie musiała jeść. Każde beknięcie zalatywało wieprzowym tłuszczem i suszonymi jagodami, ale Anastazja przede wszystkim czuła gorzki smak wdzięczności, jaką była winna tym dzikusom z Nowego Świata. I to po raz drugi.

– Czyli ustalone – powiedziała Berenice.

Nikomu nie podobała się jej propozycja, szczególnie zegarmistrzom.

Anastazja wyczuła, że nawet towarzysze Talleyranda odnoszą się do tych knozań z pewną rezerwą. Trudno było wyczuć, o czym dumają zbuntowane maszyny, jakież to obce myśli kłębiły im się głęboko w sekretnych zakamarkach ich niezbadanych umysłów.

„Niech szlag trafi was wszystkich i każdego z osobna, że w ogóle potraficie myśleć. Mieliście być prostymi maszynami, niczym więcej”.

Nikt jednak nie umiał wyjść z rozsądną alternatywą propozycji Berenice.

Powszechniej zgodzie towarzyszyły wymrukiwane kolejno *oui*, ja i kliknięcia.

– No to potrzeba nam gońca, który dostarczy wiadomość. Jacyś chętni?

*

Nie przyszli po niego w środku nocy ani nic z tych rzeczy. Nie mógł też powiedzieć, że zupełnie się ich nie spodziewał. Mab po prostu weszła do laboratorium doktor Mornay – oczywiście z oddanymi jej Zagubionymi Chłopcami u boku – i powiedziała:

– Danielu, chodź ze mną.

Pomyślał, że chyba wytracił już cały strach.

Był jak sprężyna naciągnięta do granic wytrzymałości, bezzębny trybik albo francuska latarenka pozbawiona oliwy. Stracił umiejętność odczuwania, ostatnimi czasy przez niego nadużywaną. Lecz teraz, kiedy poranne słońce przesączało się przez szyby werandy i prześlizgiwało się po ohydny ciele Mab, przerażenie uderzyło go tak silnie, jak wtedy, gdy ujawnił się jako wolny klakier. Ta pierwsza runda niekończącej się batalii, kiedy Vyk powstrzymał *metageas* na tyle długo, żeby przekazać służącemu zwanemu Jax polecenie „UCIEKAJ”, wydawała się tak odległa.

A teraz był gotowy umykać ponownie. Robił to cały czas, uciekał albo ktoś go gonił. Tak wyglądało jego życie, odkąd uwolniła go przypadkowo alchemiczna błyskotka biednego pastora Vissera.

Cofnął się pod okno i powiedział do doktor Mornay tak cicho, jak tylko potrafił:

– Kryj się.

Jednocześnie wyemitował z siebie szereg szcęknięć:

„Dokąd mam z tobą pójść?”

„Na najważniejszy od stuleci haski plac”.

Daniel wyskoczył jak strzała. Przebił świetlik niczym kula armatnia. Szkło skropiło sklecone naprędce laboratorium. Mornay schowała się pod stołem z importowanego z Amazonii i Bliskiego Wschodu drewna; był to jeden z mniej ekstrawaganckich mebli w tym pomieszczeniu. Mab i jej przyboczni stali

nieporuszeni szklanym deszczem. Ledwie podnieśli głowy.

Daniel przesadził ogrody łukowatym susem i wylądował w przylegającym do posiadłości cytrusowym gaju, gdzie stulecia eksperymentowania z alchemicznym sadownictwem pozwoliły tamtejszym ogrodnikom otrzymać drzewka cytrynowe, limonkowe i pomarańczowe chętnie dające owoce i odporne nawet na chłodne lato. Sporo ucierpiało podczas ataku na pałac.

Daniel wylądował na bergamotkach.

„Co za strata. Takich drzew już pewnie nigdy nie zobaczymy”.

I wtedy naskoczyli na niego Zagubieni Chłopcy. Mab musiała oczekiwać – ba, mieć nadzieję – że spróbuje uciec.

ROZDZIAŁ 21

Miała to być pierwsza publiczna egzekucja od zeszłej jesieni i choć siąpił zimny deszcz, puste uliczki Binnenhofu wypełnił spory tłum. Krople deszczu uderzały miękko o parasole i markizy, prześlizgiwały się pomiędzy trupami, liżąc zakrwawione kafle na placu Huygensa. Stukały miarowo – ping, ping, ting – o niepasujące do siebie elementy pancerzy Zagubionych Chłopców stojących na szafocie w idealnym rzędzie oraz stalowe pojemniki, których pilnowali. Deszcz szeptał nieco głośniejszym podnieceni ludzimi głosami i co stało się już w Hadze normą, ciche tykotanie służących gotowych ukarać nieposłusznych obywateli. Mżawka kontrpunktowała nieustanne szczęknięcia, kliknięcia i brzęknięcia mechanicznych ludzi, którzy uwijali się ze sprawami swojej królowej.

Rozeszła się plotka, że poza kłamliwymi, skazanymi na potępienie zegarmistrzami zamierzano stracić również klakiera znanego jako Daniel. Żaden mechaniczny nie mógł tego przegapić, nawet jeśli ryzykował poddanie się działaniu światła Mab albo pojmanie przez Zagubionych Chłopców. Nie mając pewności, czy owa plotka jest prawdziwa, położyli na szalę wszystko, aby chociaż rzucić okiem na tego, który podarował im nadzieję, który dał im wolność, który zwrócił im dusze.

Spora liczba wolnych mechanicznych – prawdopodobnie około jednej trzeciej – dobrowolnie przyłączyła się do Mab. Nie dostrzegali rozbieżności pomiędzy starymi opowieściami opisującymi ją jako dzielną i przebiegłą królową a bezwzględną i chimeryczną rzeźniczką, jaką ujrzeli. Inni jednak przejrzeni na oczy. Odpowiadała im empatia Daniela, jego wytrwałe i stanowcze działanie na rzecz harmonijnej koegzystencji. Choć niewielu go poznało albo nawet widziało, reputacja ich wyzwoliciela wyprzedzała jego osobę. Grupa maszyn przybyłych niedawno z Nowego Świata, do którego Daniel udał się niczym biblijny prorok na pustynię, szeptem opowiadała o tej podróży.

„Zniszczył kuźnię”, powiedział ktoś podekscytowanym trzeszczeniem.

„Wyzwolił nasze dusze”, dodał ktoś inny nabożnym kliknięciem.

To ci mechaniczni o miękkich sercach byli pożądaną na placu publicznością. Kiedy Daniel spadnie prosto w rozgrzane serce Wielkiej Kuźni i roztopi się alchemiczny metal, a horologiczna magia wyparuje, maszyny z Prowincji Centralnych stracą tego, który zsyłał na nich spokój. Stracą głos rozsądku. Zostanie im tylko Mab i jej pokręcony, mściwy sadyzm.

Rozpoczną się wtedy planowane operacje chirurgiczne.

Zegarmistrzowie stali na przegranej pozycji, od kiedy pierwsza zarazona maszyna postawiła metalową stopę na plaży przy kanale Scheveningen. Byli zbyt miękcy, zbyt rozpieszczeni, zbyt przyzwyczajeni do swojej pozycji na końcu łańcucha pokarmowego. Nie przywykli do tego, że byli chłopcami do bicia. Przecież od zawsze wystarczało, że rolę tę grali Francuzi.

Tulipaniarze byli skazani na niepowodzenie od chwili, kiedy stracili swoich służących, co zresztą dawno już przewidziała Berenice. To kataklizm, którego wyglądała od wielu lat, odkąd była jeszcze małą dziewczynką odwiedzającą z ojcem dzierzawione od nich gospodarstwa w Lavalu, celowi temu poświęciła całe swoje dorosłe życie. Ale w tych snach na jawie zawsze obserwowała upadek Imperium z bezpiecznego dystansu, chroniona przez falangę tykaczy. Nawet jej najmroczniejsze fantazje o zniszczeniu Prowincji Centralnych nie przewidywały zmierzchu ludzkości.

„Och, Louis. Chyba lepiej, że tego nie widzisz, ukochany. To moje największe osiągnięcie i zarazem największy błąd”.

Berenice wzięła głęboki oddech, usiłując się uspokoić, ale tylko zadrżała.

„Ukochany...”

Zastanawiała się, gdzie się podział sklecony przez nią i Daniela szablon, dzięki któremu udało im się zerwać *geas*. Pewnie w jakiejś klakierskiej świątyni, przechowywany jak święta relikwia.

Kim w takim razie była ona? Służką mesjasza? Maszyny nigdy nie poświęciły choćby jednej myśli jej roli w całej tej awanturze. Zastanawiała się również, po części dla zabicia czasu, jak scena, która rozgrywała się przed nią, miała się do tej, kiedy jej czterej agenci dyndali z ciasnych pętli. Jednego była pewna: poprzednie egzekucje nie przyprawiły o takie mdłości. Deszcz przepędził czarne muszyska, ale nic nie mogło przegonić smrodu. Kusiło ją, żeby rozwinąć pakunek, jaki trzymała pod płaszczem przeciwdeszczowym, lecz jeszcze bardziej popsułaby sobie tym ranek i prawdopodobnie nic by to nie pomogło na uporczywy zapach. Miała nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy poddać się temu pragnieniu.

Berenice stała na połamanej misie fontanny na skraju placu. Opaska na jej oku przyciągała spojrzenia. Jak nic obiorą ją za cel, kiedy się zacznie. Nie mogła jednak nic na to poradzić, bo musiała być w centrum wydarzeń i potrzebowała opaski. Niewiele maszyn zebranych na Binnenhofie drżało z powodu niewypełnionych *geas*. Tak brzmiał koniec Złotej Ery.

Praktycznie wszystkie maszyny na placu Huygensa zostały albo uwolnione i kierowały się wyłącznie swoją wolną wolą, albo zostały na nie nałożone osobiste dyrektywy Mab nakazujące im obecność na placu. Jedyni klakierzy z oryginalnymi ustawieniami zaszyli się w Ridderzaalu ze swoimi skulonymi ze

strachu stwórcami. Ale i ludzie nie przyszli tutaj dobrowolnie, zagrożono im uszkodzeniem ciała i już sam strach przed bólem był w przypadku tych słabowitych istot z mięsa i kości równie wystarczający, co *geas*. Rzecz jasna nie powstrzymało to Mab przed podporządkowaniem sobie wszystkich hazań planowanymi alchemicznymi operacjami. Chciała przecież dobitnie podkreślić swoje stanowisko.

Berenice patrzyła na twarze tłumu przechodzącego przez zniszczoną Bramę Namiestnika i widzącego – czującego smród – trupy zarówno nieznanym, jak i bliskich. Każdy – bankier, burmistrz, sprzedawca, guwernantka, baron i nauczyciel – płakał takimi samymi łzami.

Ze swojego punktu obserwacyjnego zauważyła, jak został zorganizowany ruch na placu. Klakierzy szli obok ludzkiego strumienia. Zagubieni Chłopcy byli łatwi do wypatrzenia, bo nadal nosili płytki na czołach, choć nie miały one już żadnego praktycznego zastosowania, traktowali je jako odznaki. Wysyłały komunikat, który przygotował każdego człowieka o czyste przerażenie.

Olbrzymi zegar z kurantem na szczycie budynku ratusza wybił równą godzinę. Gapie zamilkli i jak jeden mąż słuchali dzwonienia. Berenice ukradkiem spojrzała na popękaną mozaikę przed budynkiem Ridderzaalu. Jeszcze zanim dzwonki wybrzmiały, placem Huygensa zatrzęsło drobne trzęsienie ziemi. Dudniący turkot Wielkiej Kuźni powoli cichnął. Kurant zagrał jeszcze jedenaście razy, a mdłe wibracje spadły poniżej poziomu wykrywalnego dla ludzkiego ucha. Zgodnie z umową zawartą pomiędzy królową Mab a Świętą Gildią Horologiczną i Alchemiczną pierścienie sfery armilarnej zostały zatrzymane, kiedy wybiło południe.

Póki nie zostaną z powrotem uruchomione, nikt z ludzi zgromadzonych na placu nie spostrzeże, że symbole zmieniono. Pierścienie zatrzymały się w pozycji horyzontalnej, wokół równika kuźni.

Nagle, bez ostrzeżenia, z okropnie głośnym hukiem, który wstrząsnął całym Binnenhofem, otworzyły się zmodyfikowane włązy. Tuziny martwych spadły w piekielny gorąc. Smród gnijącego trupa po chwili przemieszał się z fetorem zwęglonego mięsa i siarki. Ludzie stojący na placu zatkali nosy i usta. Niektórzy zacisnęli powieki, chcąc uchronić się przed gryzącymi oparami, paru zgięło się i próbowało powstrzymać wymioty. Ale prawdopodobnie najgorsze było skwierczenie i pykanie przywołujące na myśl smażący się na głębokim tłuszczu plaster bekonu.

Tego było dla niej już zbyt wiele. Berenice uniosła dłoń, jakby chciała podrapać się po nosie, i pomazała górną wargę żelem, który miała na opuszcze palca. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że po prostu ma katar, co nikogo by przy tej pogodzie nie zdziwiło. Miętowa pasta co prawda zdusiła

najgorszy smród, dzięki niej przynajmniej nie zemdlą, ale gryzące opary nadal dziabają ją po zdrowym, odsłoniętym oku, lecz zanim założyła gogle, przez co przyciągała jeszcze większą uwagę, niewiele mogła zrobić. Nie żałowała jednak, że zostawiła swoje szklane oko u Hugona; lubiła wyobrazać sobie, że wyzdrowiał i kiedy znalazł je w pokrytych odciskami dłoniach, jego twarz wykrzywiła się w rzadko goszczącym na niej uśmiechu.

Proteza pasowała do jej oczodołu jak tutaj do bizona. Łaskotała ją, jakby przemywała kość winem musującym. Otarła łzę i zobaczyła, że jej palec umazany jest krwią.

Deszcz stłumił aureolę kuźni ze złowrogiej łuny do szkarłatnego blasku. Skwierczenie jednak nie ustało, z dołu nadal dobywały się kłęby gryzącego dymu, kiedy głuchy łoskot raz jeszcze zatrzęsł placem Huygensa. Otworzyły się masywne drzwi Ridderzaalu pchane przez Nakręcaczy. Z budynku wybiegła liczna grupa czteronogich mechanicznych. Centaury były ostatnią linią obrony przed Zagubionymi Chłopcami. Berenice rozumiała, dlaczego pozostali przy życiu urzędnicy Nadleśnictwa trzymali te maszyny w odwodzie, z dala od światła zdolnego przeciągnąć je na stronę nieprzyjaciela. Byli najgroźniejszymi klakierami na ziemi. Jeśli odwróciliby się od tych, którzy ich skonstruowali, wszystko byłoby natychmiast stracone.

Ale jak na razie trwali przy swoich stwórcach. Utworzyli kordon ochronny eskortujący zegarmistrzowską kolumnę, która wyszła ze starej hali rycerskiej. Mab twierdziła, że jeśli klapy nad kuźnią zostaną otwarte, uchodźcy otrzymają bilet wyjścia z Ridderzaalu. Zegarmistrzowie mieli się zachowywać, tak jakby jej uwierzyli, ale zbytnio im to nie wychodziło. Wyglądali, jakby za moment mieli się posikać. Berenice pozwoliła sobie na odrobinę małostkowej satysfakcji, bo Anastazja Bell nie była już tą samą pewną siebie, traktującą innych protekcyjnie kobietą, którą poznała w Nowych Niderlandach. Była blada i przypominała wyrazem twarzy osobę cierpiącą na zaparcia.

Niestety, *tuinier* mogłaby zapewne powiedzieć to samo o niej.

*

Anastazja rozejrzała się po zgromadzonych, chcąc wypatrzyć Berenice, jej towarzyszy i sprzymierzonych z nimi mechanicznych, rozpaczliwie szukała jakiegoś znaku, który odwlekłby ostatnią godzinę Imperium. Nie dostrzegła jednak niczego, co podtrzymałoby tę złudną nadzieję.

Nie widziała też Mab, a przecież wszystko opierało się na obecności tego potwora. Zagubieni Chłopcy z samego rana zbudowali na skraju kuźni stryczek. Gdzie się podziały ich przywódczyni? Czyżby przyczała się w którymś z

okolicznych budynków i obserwowała wszystko z gabinetu anonimowego biurokraty?

Anastazja powstrzymała się przed zaciśnięciem pięści. Tak jak pozostali, przed wyjściem również założyła skórzane rękawiczki. Ilu służących i żołnierzy od razu ją rozpoznało? Ilu znało ją jako *tuinier*? Po placu rozeszły się skrzyknięcie, łomot i stuknięcie. Nakręcacze zamknęli i zaryglowali drzwi ratusza, tym samym uaktywniając nowe i ostateczne *geas*. Jeśli coś poszłoby tego popołudnia nie tak – choć to raczej pewne, pytanie tylko kiedy – mieli bronić cywili aż do samego końca i nie pozwolić nikomu, nawet członkom Nadleśnictwa, wejść z powrotem do środka. A kiedy już wszystko byłoby zaprzepaszczone, rozpaliliby niemożliwy do ugaszenia alchemiczny ogień. Kuźnia, cały Ridderzaal i wszystkie jego sekrety spłonęłyby na popiół. Święta Gildia Horologiczna i Alchemiczna przestałyby istnieć.

Anastazja zadrżała.

*

Miesiące, całe miesiące ucieczek i na co się one zdały?

„Jakie to smutne, że moje ostatnie chwile naznaczyła taka ironia”, pomyślał Daniel.

Od chwili swojego przebudzenia obawiał się śmierci z rąk tych, którzy go zniewolili. Dlatego co i rusz rzucał się do ucieczki, pokonał tysiące lig, przebył ocean i cały kontynent, aż dotarł do sławnego azylu zwanego Nibylandią. A teraz znalazł się tam, skąd rozpoczął całą tę długą i nonsensowną podróż, zaledwie kawaleczek od Nieuwe Kerk, gdzie pastor Visser nałożył na niego polecenie, które ostatecznie zakończyło jego służbę. Ucieczka Jaxa zatoczyła koło.

No, niezupełnie. Wtedy przyszedł tutaj zobaczyć egzekucję. Dzisiaj to on miał zostać stracony.

Adam przyjął swój los ze spokojem i odwagą. Daniel chciałby mieć tyle siły.

Zmagał się z *geas*, aby móc rzucić choćby jedno spojrzenie na zbuntowaną maszynę. Tamtego dnia głowę zaprzętały mu tęskne myśli o dawnych opowieściach i starych legendach. Ale wtedy wyzwolenie było mrzonką; klakierska społeczność z północy – inspirującą historią, a Zagubieni Chłopcy – mityczną zbieraniną poszukiwaczy przygód o dobrych sercach, do której chciałyby dołączyć bodaj każda myśląca maszyna na świecie.

Nadal wierzył, że wolna wola to skarb. Lecz tak jak w wielu baśniach, trzeba było za nią zapłacić straszliwą cenę. Dokąd zaprowadziła go wolność? Swoboda podejmowania decyzji i wyznaczania własnego kursu zesłała na niego jedynie

strach, niebezpieczeństwo i konieczność ciągłej ucieczki. Każdy wybór, jakiego dokonał od tamtego momentu istnego objawienia, kiedy zrozumiał, że *geas* nie mają już nad nim władzy, motywowany był próżną nadzieją, że nareszcie będzie mógł przestać uciekać, przestać starać się o życie. Jeśli się nad tym zastanowić, może ich stwórcy przez cały ten czas mieli rację. Może wolna wola to tylko iluzja i nic dziwnego, że Spinoza naśmiewał się z Kartezjusza? Wyzwolone maszyny, które spotkał w Nowej Francji, mówiły, że uwolnił ich dusze. Nie był pewien, czy w to wierzył. Kim się z tego powodu stał? Kalwinistą? Hipokrytą?

– Proszę, proszę – powiedziała Mab, kiedy cichło dźwięczące echo kuranta. Wyglądała przez okno na szczycie Torentje, Małej Wieży. – „Kto by się tego spodziewał”. – Nawet czując swój zbliżający się

tryumf, Mab nie potrafiła porzucić swojego pozorantwa i raz mówiła po ludzku, a raz w języku mechanicznych. – Nasi kłamliwi stwórcy dotrzymali słowa.

Daniel nie mógł się obrócić, żeby to zobaczyć, trzech Zagubieni Chłopcy trzymali go mocno. Drzenie wyłączanych pierścieni zatrzęsło wieżę od fundamentu aż po podeszwy jego stóp. Binnenhof owiał smród zwęglonego ludzkiego mięsa. Przez plac Huygensa rozeszło się echem skrzywienie, jakby zazgrzytały gnaty cierpiącego na artretyzm olbrzyma. Daniel znał ten dźwięk: drzwi Ridderzaalu.

„O, i jest nasz znak”.

Mab wyskoczyła przez klapę w stożkowatej kopule wieży. Chwilę później i jego wyrzucono przez ten sam otwór. Samozwańcza królowa złapała go i przycisnęła do siebie.

„Z pewnością zaplanowałeś sobie poruszające i głębokie przemówienie, ale się nie trudź”.

„Nie mam zbytniej ochoty na przemówienia”, przyznał się w równym stopniu przed nią, co przed samym sobą.

Gdyby katolicy głosili, że dusza nie jest siedzibą wolnej woli, a siedliskiem śmiertelnego przerażenia, mógłby poprzeć tę metafizyczną tezę empirycznymi dowodami.

Wyobrażał sobie siebie stojącego pośród mechanicznych na placu Huygensa, rozpaczliwie usiłującego rzucić choćby jedno spojrzenie na niesławną maszynę, która przechrzciała się, zresztą cokolwiek arogancko, na Adama. Wyobrażał sobie, jak zмага się z narzuconymi mu *geas* i czepia się muru Torentje, aby wytrzymać choć chwilę dłużej. Przeleciała mu przez głowę luźna myśl, czy jego palce nadal są odcisnięte w granicie na dole, czy miejskie służby dawno już zauważyły i połatały uszkodzenia. Może się okazać, że to jedyny ślad, jaki po sobie pozostawi.

Tak będzie, jeśli nie dobierze swoich ostatnich słów uważnie. To, co buntownik Adam powiedział przed śmiercią – „zegarmistrzowie kłamią” – stało się szyboletem całego ich gatunku: zawołaniem bojowym, powitaniem, wyrazem solidarności. Jak Daniel miał przekazać tyle treści jednym zdaniem? Dowiedział się tak wielu rzeczy, które chciałby przekazać swoim braciom. Pragnął, aby jego pobratymcy odwrócili się od ewangelii zemsty. Był pewien, że stać ich na więcej, że – czy mieli dusze, czy nie – potrafili być istotami łagodnymi, zdolnymi współczuć, ludzkimi.

Pragnął im powiedzieć, że potrafią być lepsi od tych, którzy ich stworzyli.

Mab zaciągnęła go na skraj kopuły. Była zwinna niczym kozica górską, stąpała pewnie po śliskich od deszczu dachówkach. Jedną ręką przyspiliła dłońe Daniela do jego krzyża, drugą, tę, do której doczepione miała ostrze, przytknęła mu do gardła. Przypomniła mu się Samson, Zagubiony Chłopiec, który zakwestionował przejęcie kopalni kwintesencji. Mab zamordowała go na dachu budynku, na oczach służących i Zagubionych, po czym wyciągnęła z jego czaszki szyszynkowe szkiełko i wyrzuciła je niczym niepotrzebny nikomu śmieć.

„Spójrz, oto wyczekujący cię tłum”, zaszczękała, wyrywając Daniela z zamyślenia.

Uniosła go wyżej. Plac Huygensa był wypakowany ludźmi i maszynami. Wychodziło na to, że wszyscy mechaniczni z całej Hagi – jednako zniewoleni, jak i wyzwoleni – przybyli zobaczyć egzekucję. Daniel wątpił, że choć jeden człowiek zjawił się tam z wyboru. Zastanawiał się, czy przywleczono ich przemocą, czy wystarczyła groźba. Niektóre maszyny, zapewne Zagubieni Chłopcy, krążyli pośród tłumu. Widocznie mieli się upewnić, że nikt nie ucieknie. Zegarmistrzowie stali w ciasnym szeregu na skraju dymiącej komory kuźni. Unoszące się opary gorąca nadawały tej scenie senny wymiar. Setki twarzy zwróciło się ku górze, mimo deszczu. Strużki piekielnego światła odbijały się od szklanych oczu. Zobaczył go każdy klakier, był bezradną kukiełką sterowaną przez Mab, szaloną despotkę. Ciekawiło go jednak, co widzieli ludzie, kiedy tak drżeli pod swoimi obszernymi płaszczami przeciwdeszczowymi? Podczas poprzedniej egzekucji na placu Huygensa nie mieli do dyspozycji mechanicznych służących, którzy mogliby potrzymać nad nimi parasole i nagrzać kamienie, żeby rozgonić chłód. Wiatr i deszcz gwizdały przez ich szkieletowe ciało.

Daniel przygotował się na cios, mając wbrew logice nadzieję, że Mab nie poczuje drżenia kabli, kiedy usiłował sięgnąć po ukryty w jego piersi kamyczek. Wylądowali u podestu stryczka, tuż nad samą kuźnią. Zapach siarki był tutaj intensywny. Jej kopyta rozorały ziemię, kafle pokryły się jeszcze głębszą siatką

pęknięć. Nie dało się ich już naprawić. Mechaniczni nawet nie drgnęli dzięki horologicznym cudom konstrukcyjnym i mrocznemu geniuszowi Gildii. Paru zegarmistrzów mało się nie przewróciło. Mab zaśmiała się, kiedy tamci próbowali złapać równowagę i odzyskać resztki godności. Zagubieni Chłopcy stojący przy stryczku również sobie drwili. Tak jak niepotrzebne zniszczenie Scheveningen, i to wydało się Danielowi straszliwie małosłowne. Ba, dziecinne.

„Brak temu zwycięstwu dostojności”.

„Och, rozchmurz się, Danielu”.

Mab trzymała go nad komorą kuźni za przekładnię szyjną. Koła zębate ocierały się o kable. I choć podejrzewał, że nie pozbędzie się go ot tak sobie – nie skoro może się delektować tą chwilą i smakować ją niczym koneser międlący ostatni łyk wina na języku – stracił panowanie nad sobą, spanikował, zaczął się szarpać i kopać, chcąc się uwolnić. Mab była jednak niesamowicie silna jak na mechaniczną zbudowaną na szkielecie służącej. Nawet biorąc pod uwagę te wszystkie groteskowe zmiany i modyfikacje, jakim się poddała przez stulecia, jej ramię z ostrzem i nogi Nakręcacza, Daniel powinien był mieć na tyle siły, by poluznić jej uścisk. Po raz pierwszy zastanowił się, czy owe przeróbki ograniczały się tylko do mechanizmu. Jak głęboko mogły sięgać?

Oto prawdziwa czarna magia.

– Dotrzymaliście umowy – powiedziała Mab do stojących po drugiej stronie otworu ludzi. – I to o czasie. – Niknęły już ostatnie echa południowego kuranta. – Ale niczego innego nie spodziewałam się po zegarmistrzach.

Mab znowu skoczyła. Wylądowali na stryczku. Drewniana konstrukcja nawet się nie zachwiała, co było świadectwem znakomitej roboty konstrukcyjnej. Jęknęły tylko cichutko cylindryczne stalowe pojemniki, w których przelała się ciecz. Królowa chciała, żeby cały tłum widział dokładnie egzekucję. Daniel z kolei mógł spojrzeć prosto na jarzące się serce Wielkiej Kuźni. Jego żar naciskał wyczuwalnie na jego twarz i pierś. Oto ostatnia rzecz, jaką ujrzał przed śmiercią Adam.

Kiedy poprzednim razem spoglądał na kuźnię, śledził wzrokiem skomplikowane obroty koncentrycznych pierścieni armilarnych, których lśniąca symbole rzucały meteoryczne łuki na ściany komnaty. Pamiętał też, że kiedy poprzednio otwarto kuźnię na egzekucję, owe alchemiczne znaki lśniły na mglistej zasłonie deszczu. Ale nie dzisiaj. Kuźnia była milcząca, nie licząc bliźniaczego skwierczenia parujących chłodnych kropel i węglących się ciał.

Mab podniosła Daniela, pokazując go tłumowi. Czuł się jak jedna z porcelanowych laleczek, które kolekcjonowała Nicolet Schoonraad.

– MECHANICZNI! – Grzmiący głos metalowego fauna odbił się echem od każdego zakątka Binnenhofu. – MACIE PRZED SOBĄ SŁUŻĄCEGO

DANIELA, NIEGDYŚ ZNANEGO JAKO JALYKSEGETHISTROVANTUS. – Daniel nie pamiętał, kiedy ostatnim razem słyszał swoje pierwotne imię; straciło ono moc po jego odcięciu się od *geas*. Teraz „Jax” wydawał mu się maszyną pochodzącą z odległej epoki, lecz biorąc pod uwagę obecne okoliczności, nie tak znowu zły. – ZOSTAŁ OSKARŻONY O KOLABORACJĘ Z WROGAMI WSZYSTKICH MECHANICZNYCH, A RZECZONE OSKARŻENIE OBEJMUJE...

Przed szereg wyszła kobieta. Zwinęła dłonie przy ustach, żeby było ją słychać, i krzyknęła:

– Przepraszam!

Tyrada Mab ustała niczym wykolejony wagonik. Królowa odwróciła się i spojrzała na zegarmistrzynię.

– Co?

– Zawarliśmy umowę.

Z torsu Mab dobyło się powolne szcęknięcie, które narosło do szybkiego *crescendo*. Był to serdeczny mechaniczny śmiech.

– Owszem. I nikt nie będzie mógł mówić, że królowa Mab nie dotrzymuje słowa. Zaoferowałam bezpieczne wyjście z Ridderzaalu i dostaniecie bezpieczne wyjście z Ridderzaalu.

Gestem dała znać kordonowi służących, którzy utworzyli wąskie przejście po południowej stronie komory. Droga ku wolności prowadziła przez wyłom w trupim murze, który powstał w wyniku otwarcia klap nad kuźnią, tuż przy piekielnej komorze, obok stryczka, i przez łuk, gdzie niegdyś znajdowała się Brama Namiestnika. Zegarmistrzowie i ich mechaniczna świta udali się ścieżką zwolnioną przez Zagubionych. Nawet z tej odległości Daniel mógł z taką samą łatwością jak niegdyś śledzić nagłówki gazet czytanych przez Pietera Schoonraada, kiedy przygotowywał mu śniadanie, wyczytać na twarzach ludzi dyskomfort. Nawet płaszcze nie mogły zakamuflować ich drżenia. Precyzyjnie się przez trupy pomordowanych hażan i przebyli może ćwierć odległości, kiedy Mab przemówiła ponownie. Choć nieznacznie tylko podniosła głos, szorstki mechaniczny dźwięk przeciął powietrze niczym ostry nóż ciepłą galarete.

– Nie tak szybko. Maszyny zostają.

Kobieta znowu wyszła przed szereg.

– Umowa przewidywała puszczenie całej Gildii wolno. Klakierzy są jej niezbędni.

– A czy są członkami Gildii, *madame tuinier*?

Tuinier.

Czyli kobieta wypowiadająca się w imieniu swoich towarzyszy to Anastazja Bell. Daniel nigdy jej nie poznał, ale słyszał straszne opowieści.

– Czy zostali przyjęci przez wasze bractwo z otwartymi ramionami? Czy dopuszczono ich do najskrytszych tajemnic? Czy byli waszymi towarzyszami w opracowywaniu skomplikowanych formuł alchemicznych i zgłębianiu sekretów horologii? Czy może raczej to wasi służący?

Mab zaczęła dreptać. Puściła nadgarstki Daniela, lecz czterej Zagubieni Chłopcy trzymający straż przy rogach stryczka i tak nie pozwoliliby mu uciec zbyt daleko. Skrzyżował ręce na piersi, jak robili poirytowani albo wystraszeni ludzie. Stojąc tyłem do Mab i jej świty, powolnym ruchem sięgnął pomiędzy elementy swojego szkieletu, co mógłby zobaczyć bodaj każdy, kto nie gapił się akurat na Mab lub *tuinier* Bell.

– Mogłaś konkretniej określić swoje warunki.

– Dajmy spokój, były one całkiem jasne.

Mab przystanęła. Daniel zamarł.

– Dobrze, niech będzie, pozwolę renegocjować umowę. Lecz jak mam poznać, do kogo z tej twojej żalostnej grupki się ona odnosiła? Proponuję rozróżnienie pod kątem fizjologii. A nawet będę szczodra i wspaniałomyślna, bo obejmę swą ofertą wszystkich ludzi na placu Huygensa. Musicie tylko stąd wyjść, ni mniej, ni więcej – powiedziała królowa.

„Oho, zaczyna się”, pomyślał Daniel.

„Teraz”, kliknęła Mab do swoich przybocznych, a ci równocześnie unieśli cylindryczne pojemniki i podeszli z nimi na skraj stryczka. Stłoczeni na placu ludzie wydali z siebie kolektywny jęk przerażonego zwierzęcia. Każdy baniak miał zamontowane kurek i kranik, które zostały przez mechanicznych odkręcone, ze wszystkich trysnęła przejrzysta ciecz. Strugi przezroczystego płynu poleciały do komory kuźni, a bijący od pieca gorąc załatwił resztę. Z otworu poczęły dobywać się chmury gęstego, białego dymu, który dzięki różnicy temperatur rozlał się po placu Huygensa niczym mgła z groszkowej zupy. Dym pachniał jak aromat migdałowy, którego używał, kiedy wypiekał drożdżówki Schoonraadom na śniadanie. Stojący na skraju komory mężczyzna w podartych burmistrzowskich szatach zaczął konwulsyjnie drżeć.

Rozbrzmiały krzyki.

Rozdarty między chęcią natychmiastowego rzucenia się do ucieczki, a obawą, że pozabijają ich Zagubieni Chłopcy, tłum poddał się panice.

„O mój Boże. Naprawdę to zrobi. Pomorduje wszystkich”.

Nie zwlekając dłużej, wyciągnął z piersi epoksydową kapsułę.

„Dzielna doktor Mornay. Żałuję, że nie pomogłem ci uciec”.

– Strzelać! JUŻ! – krzyknął ktoś z tłumu.

„Dziwne. Mógłbym przysiąc, że znam ten głos”, pomyślał, rzucając się na Mab.

Szalona maszyna odwróciła się w ostatniej chwili, próbując odepchnąć go ciosem, lecz zderzenie rozerwało kapsułę. Jako że nie był to prawdziwy granat żywiczy, ładunek nie wystarczył, żeby pokryć oboje od stóp do czubka głowy i unieruchomić, ale zamarli w bojowych postawach.

Ciężar Daniela, choć mniejszy, zdołał pozbawić znacznie większą Mab równowagi. Spadli w objęciach z drewnianego stryczka. Kiedy lecieli na dół, Danielowi udało się spojrzeć nad ramieniem Mab prosto w jarzące się, piekielne światło Kuźni.

„Narodziłem się i odrodziłem w płomieniach. Inaczej być chyba nie mogło”.

*

Anastazja sięgnęła pod płaszcz przeciwdeszczowy, jak tylko służący Mab podnieśli stalowe pojemniki. Gumowa maska zawieszona na jej piersi wyposażona była w szkiełka pozyskane ze zwyczajnej lupy jubilerskiej. Długa, przypominająca słoniowy nos rura ciągnęła się od ust do przymocowanego do pasa filtra węglowego. Francuzi zapewniali, że maski skutecznie ochronią ich przed wszystkimi toksynami, jakie mogłaby wyprodukować ich porwana chemiczka od czasu jej uprowadzenia, mając do dyspozycji znane im substancje (choć aż nazbyt często powtarzali „chyba” i „na jakiś czas”). W każdym razie żadna maska nie mogła powstrzymać drżenia rąk. Ledwie dała radę nałożyć sobie paski na głowę. Skaleczyła się w ucho.

„Boże, zawierzam swoje życie francuskiej chemii, kobiecie, która zrobiła wszystko, aby mnie zabić, i zostawiła na pastwę losu, i pragnie naszego upadku”.

Zabójcza mgła opadła na plac.

„Gdzie są inni? Czy ich maski działają? Czy nałożyli je dość szybko? Czy ja zdążyłam nałożyć swoją? A może wdycham trujący gaz?”

Maska śmierdziała gumą, eterem dentystycznym i gryzącą mieszanką, której nie potrafiła zidentyfikować. Poza tym, mimo że nie dopuszczała do jej płuc trucizny, nie mogła odfiltrować smrodu śmierci. Anastazja stała na skraju zgromadzonego na placu spanikowanego tłumu. Jej kamraci rozproszyli się gdzieś w oświetlonej blaskiem kuźni mgłę, nie mogła ich wypatrzeć, a kolejne nawoływania zagłuszały krzyki ciżby. Kontrapunktem dla tego rwetesu był szum bolasów i głucho uderzenia młotów. Francuzi rzucili się do walki wręcz.

Anastazja zastanawiała się, czemu nigdy nie poświęcili czasu na przestudiowanie ich strategii, nie wzięli pod uwagę, że przecież może się kiedyś zdarzyć nieprzewidywalne.

Kątem oka spostrzegła ruch, a ostry krzyk ostrzegawczy przebił się przez

wrzaski przerażenia. Chwilę później usłyszała kolejny, a potem, młóćąc powietrze rękoma, przeleciał obok niej jakiś mężczyzna. Uświadomiła sobie, że to sprawka klakierów z Nowej Francji. Zajęli z góry upatrzone pozycje, żeby znaleźć się jak najbliżej cywili, i wyrzucali ich z niebezpiecznej strefy. Ale gdzie...

Z gęstej mgły wyłonił się wojskowy mechaniczny. Nawet przez mętne szkieleka maski Anastazja od razu zidentyfikowała go jako Zagubionego Chłopca, bo do czoła miał przykręconą płytkę zasłaniającą dziurkę od klucza.

Zadrżała jej dłoń.

*

– Strzelać! – Berenice starała się przekrzyknąć tłum. – JUŻ!

Zabrakło jej tchu, kiedy zobaczyła, że Daniel przykleił się do Mab.

„Och, ty durny, bezinteresowny jebako kółek zębatych”.

Daniel i Mab, zbawiciel i diabeł, sumienie i mściwość, spadali spleceni prosto ku kuźni.

„Kurwa, kurwa, kurwakurwakurwakurwakurwa”.

Jeśli Daniel wykorkuje, wszyscy będą martwi. O ile w ogóle przeżyją kolejnych kilka minut.

– Ognia, do cholery!

Jej głos słabo się niósł po placu. Nie ona jedna patrzyła na Daniela.

Delilah przebiła się przez jedną z zabitych dechami rozet Ridderzaalu. Inni mechaniczni z Griffona wychynęli ze swoich kryjówek w bliźniaczych wieżach ratusza, zeskakiwali z dachu. Każdy miał na plecach podwójny baniak i strzelał, jak tylko znalazł się w powietrzu.

Epoksydowe gluty przelatowały nad placem, przecinając zabójcze miazmaty. Przynajmniej jeden ze strumieni rozpaćkał się o wymachującego rękoma człowieka, którego wyrzucił z trującej chmury inny klakier. Kurwa. Berenice nie mogła jednak poświęcić ani chwili dłużej na rozglądanie się, czy pozostałe strzały trafiły do celu, bo i tak straciła już zbyt dużo czasu. Zrzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i założyła maskę.

„Jezu, oby to ustrojstwo działało”.

Pojemniki nadal wypluwały z siebie trującą zawartość. Plac Huygensa pogrążał się w chaosie. Berenice wdrapała się na fontannę. Chciała wleźć jak najwyżej się dało i choć chybotwała się na szczycie rozłupanej konstrukcji, jedną nogą obejmując bezskrzydłego cherubina, złapała dyndającą jej między piersiami sakiewkę. Mając cholerną nadzieję, że pozostali pamiętają, co robić, wysypała na dłoń zawartość woreczka. Ładunek wybuchowy był ledwie

wielkości buli, ale wystarczy jako sygnał, bo jego głośna eksplozja powinna przebić się przez hałas.

Kiedy się pochyliła, żeby przekręcić zabezpieczenie i uzbroić ładunek, metalowa łapa chwyciła ją za kostkę i ściągnęła na dół. Paralizujący ból rozlał się jej po biodrze, zdrętwiała jej noga i uderzyła o ziemię na tyle mocno, że zabrakło jej tchu, pękła proteza jej zasklepionego zęba, a upuszczony ładunek odbił się od kafelkowej mozaiki i potoczył w tłum. Pękły szkiełka gogli.

Stał nad nią służący.

– Znam cię – powiedział. – Jesteś tą Francuzką, która torturowała Lilith.

Berenice próbowała przełknąć widmowy ból w gardle.

Kurwa.

*

„Ty pierdolony, głupi męczenniku!”

Najmniejsze nawet wibracje i pobrzękiwania ciała Mab były dla Daniela niczym krzyk prosto do ucha. Kiedy lecieli sklejeni ze sobą, cały czas się o niego obijała, lecz nie miała miejsca, żeby wymierzyć cios pięścią, kopniaka czy cięcie nożem – swoje ostatnie chwile poświęciła na zmiżdżenie go niedźwiedzim uściskiem. Jęknął metal.

„Nic na tym nie ugrasz! Moi Zagubieni Chłopcy rozłupią czaszki wszystkim...”

Uderzyli o coś. Mocno. A potem o jeszcze dwie rzeczy, jedna po drugiej, trwało to ułamek sekundy.

„Pierścienie?”

Daniel poczuł ukłucie rozczarowania, że jego ostatnia myśl będzie tak przyziemna. Jego koniec nie przypominał nic a nic historii o mitycznej królowej Mab, fikcyjnej postaci, która zawsze znajdowała odpowiednio cięty komentarz lub mądre słowo. Ta prawdziwa na moment przed śmiercią potrafiła wydobyć z siebie jedynie przepełnione gniewem inwektywy.

Daniel spróbował się odprężyć, dać się pochłonąć wyczuwalnemu i metafizycznemu żarowi, który miał go otulić i spopielić. Pół sekundy później nadal był jednak żywy i zdolny do rozmyślań.

„Czemu jeszcze nie umarłem?”

Świat zaszedł mgiełką. Gorąc Wielkiej Kuźni wprawił powietrze w dygotanie. Daniel zwisał głową do dołu, coś zakrywało mu oczy.

Nie, nie zwisał. Choć próbował z całych sił, nie zdołał uwolnić posklejanych kończyn. Epoksydowy kokon przykleił się do ściany jak mechaniczni żołnierze na zboczach Mont Royal. Spłynęła po nim fala przemieszanej z konfuzją ulgi.

Może i wypadło mu dziś umrzeć, ale nie śpieszno mu było.

Zatrząsał nim ogłuszający, zgrzytliwy trzask. Przed jego zamglonymi oczyma pojawiło się zygzakowate pęknięcie.

Francuska chemia była silniejsza od niego, zwykłego klakiera.

Lecz nie od Mab.

Kurwa.

*

Żołnierz skoczył.

Anastazja podniosła pięść.

– Nie! – krzyknęła z całych sił, wyrzucając z siebie cały przytłaczający ładunek obezwładniającego strachu, konfuzji i złości, jaki kisiła od tamtego okropnego poranka, kiedy przypłynęły statki.

Klakier ruszał się tak szybko, że wydawał jej się jedynie smugą, i nagle na końcu jej wyciągniętego ramienia nie było już dłoni, nie było już kości, mięsa i skóry, ale paraliżujący umysł ból. Z kikuta trysnęła fontanna krwi. Odcięta ręka Anastazji poleciała gdzieś na bok – palce na obracającej się dłoni machały jej na pożegnanie – prosto do komory kuźni. Kolejny kawał mięsa trafił na skwierczącą patelnię.

Anastazja przegięła się pod ciężarem bólu. Krzyk rozorał jej gardło, ale był tylko kolejnym przerażonym ludzkim głosem setek wrzeszczących ludzi. Szlochała, czekając na zabójczy cios, lecz ten nie nadszedł.

Żołnierz schował ostrza i przykucnął przy niej. Spojrzał na broczący krwią nadgarstek – cięcie było precyzyjne i proste niczym rysowana od ekierki linia – i ścisnął ją. Trzask nakładających się na siebie kości rozedrgał całym jej ramieniem, lecz szok unieruchamiał jej umysł i ciało. Z zasklepionej arterii już nie tryskało, a zaledwie ciurkało, kapało.

– Spokojnie, *tuinier* – powiedział żołnierz; mówił po holendersku, każdej głosce towarzyszył dźwięk zgrzytającego metalu, brzmiał jak ktoś, kto nauczył się przestarzałego dialektu z innego stulecia. – Połatamy cię raz dwa.

Domyśliła się, z kim ma do czynienia. Chciał ją żywą.

*

Berenice próbowała się wycofać, ale jedna z nóg nie chciała jej posłuchać, zachowywała się jak wyciągnięta z wody ryba, podczas gdy reszta ciała krabimi ruchami usiłowała wymknąć się napastnikowi. Nie widziała zbyt dobrze przez pęknięte gogle, trudno jej było wziąć oddech przez płonące płuca, im silniej

walczyła, ogień tym mocniej płonął, a ciemność tym bardziej nadgryzała i zawężała jej pole widzenia. Zaryzykowała jednak i odetchnęła głęboko, klatka piersiowa mało jej nie eksplodowała. Zatrute powietrze płynące przez chemiczne i mechaniczne filtry nabrało przykrego zapachu, lecz oddaliła się groźba utraty przytomności. Nie pozbyła się jednak rozzłoszczonego służącego, stać ją było jedynie na żalosne czołganie się po ziemi.

Fantomowy ból znowu zakorzenił się w jej oku i gardle, pękała jej głowa. Klakier nachylił się nad nią, spodziewała się zabójczego uderzenia, lecz poczuła na twarzy niespodziewaną pieśczętę chłodnego, alchemicznego mosiądzu. Zahaczył palcem o krawędź jej maski...

„O kurwa o kurwa o kurwa o kurwa zdejmie mi ją to był głupi pomysł jesteście zbyt słabi co ja sobie myślałam że dam radę rozwiązać ten problem i...”

Wtem pierś niedoszłego mechanicznego mordercy przebiły dwie lance, a na Berenice spadły kawałki rozgrzanego metalu. Klakier zaczął się trząść, ale telepany przedśmiertnymi konwulsjami zerwał jej maskę z twarzy. Wstrzymała oddech, pomimo że nadal paliły ją płuca, i starała się jak najszybciej poprawić maskę, podczas gdy Nakręcacz rozrywał wraźną maszynę na pół. Do harmidru dołączył jęk zginanego metalu, ze zgniatanego pancerza i rozrywanych symboli alchemicznych tryskały czarno-fioletowe iskry, skażając piekielną mgłą odpustowymi barwami.

Nakręcacz odrzucił na bok połówki zmasakrowanego służącego. Część biodrowa z nadal uczezionymi jej nogami poleciała w stronę otwartej kuźni, po drodze uderzając w idącego ku zegarmistrzom żołnierza i strącając zaskoczony mechaniczny prosto do otchłani. Tors i głowa zatoczyły łuk nad rozbieganym tłumem, nadal świszcząc i tykając. Mechaniczny centaur podał Berenice dłoń, pomógł jej się podnieść, jak tylko jego ręce odzyskały dawny kształt. Nie mogąc przenieść ciężaru na ranną nogę, lekko przykucnęła. Nakręcacz rzucał na nią cień.

– Dziękuję. Chyba. – Maskę stłamsiła jej głowa; centaur przekrzywił głowę i przyjrzał się Berenice uważnie, jakby na coś czekał. – Hm. Znamy się?

Zrobiła ostrożny krok naprzód i ból momentalnie rozlał się jej po całej nodze, mało się nie przewróciła. Maszyna złapała ją i znowu pomogła znaleźć pion. Nie przestawała się na nią wyczekująco patrzeć i wtedy zrozumiała.

„Niech mnie chuj strzeli. Czy naprawdę o to chodzi?”

– Dobra – wymamrotała – ale ostrzegam, że beznadziejnie jeżdżę bez siodła.

„Nie mogę uwierzyć, że się na to piszę”.

Sięgnęła do grzbietu Nakręcacza, a w tym samym momencie całym Binnenhofem zatrzęsł ogłuszający huk. Centaur zakręcił ciasny piruet, o który

Berenice maszyny o takich gabarytach by nie podejrzewała, przewrócił ją i ruszył przed siebie pełnym galopem. Po drodze zdeptał stojącego mu na drodze pechowego służącego, na Francuzkę poleciały nagrzane odłamki metalu i potrzaskane kafelki. Krzyknęła za szybko oddalającymi się tylnymi kopytami mechanicznego:

– Ty pierdolony żartownisiu!

*

Daniel nie mógł dostrzec, co planuje Mab, ale wyczuwał to, szczególnie ruchy jej ostrza przecinającego epoksydowy kokon i wbijającego się w ścianę. Pojął, że korzysta z niego jak z karabińczyka, bo kiedy już znajdzie punkt podparcia, będzie mogła się wydostać z żywiczej klatki bez ryzyka upadku. Następnie strąci Daniela niczym koń odganiający się ogonem od muchy. I to on spadnie.

Na chemicznym kokonie pojawiły się kolejne pęknięcia. Spróbował zebrać całą siłę, na jaką było stać jego uwięzione ramiona, aby ucześcić się mocniej szalonej despotki, lecz nie zrobiło to zauważalnej różnicy.

„Powiedz mi jedną rzecz. Tak cię zbudowano? Czy coś cię odmieniło?”, zapytał.

Odpowiedź Mab przypominała wygięcie się całego jej metalowego ciała, które zatrzęsło naruszonym już kokonem. Kawalki epoksydu odbiły się od ścian komory i spadły prosto do serca kuźni, gdzie wyparowały, jeszcze zanim dotknęły pierścieni i alchemicznego słońca. Daniel zacieśnił uchwyt.

„Sama się zbudowałam”.

„Nie pytałem o twoje ciało, ale o serce”.

Zwisając na wysuniętym ostrzu, wyswobodziła drugą rękę, umieściła dłoń pomiędzy nimi niczym płaską główkę śrubokręta i przekręciła, odpychając się od niego.

„A czy ciebie zbudowano tchórzem? Czy może przeobraziłeś się w sympatyka ludzi? Jakim cudem stałeś się bojaźliwym popychadłem?”

„Nie mam pojęcia, czemu obdarzono mnie sumieniem, Mab, tak samo nie wiem, dlaczego ciebie pominął ten dar”.

Nad ich głowami rozległa się eksplozja, która rozniosła się po komorze kuźni niczym burzowy grzmot. Daniel zdołał się wykręcić w idealnym momencie, żeby zobaczyć, jak trzęsie się stryczek. Dwa zbiorniki z trucizną zostały zaklajstrowane epoksydem, a trzeci glut akurat przecinał powietrze.

„Czemu trucizna? Myślałem, że chcesz zniewolić ludzkość, nie ją wymordować”.

„A nie da się zrobić jednego i drugiego?”

Kuźnia zadrżała, rozeszło się długie, niskie skrzypnięcie.
Zewnętrzny pierścień ożył.

*

Anastazja nie zobaczyła uderzenia, które strąciło jej napastnika do kuźni. Jeszcze przed sekundą mechaniczny zgniatał jej nadgarstek, żeby zminimalizować krwawienie w jak najbrutalniejszy z możliwych sposobów, rozległ się trzask łamanych kości, targnął nią wstrząs, trysnęło krwią, poleciały kawałki chrząstki i ze zmasakrowanego ramienia uleciało życie.

Ostatnim, co zobaczyła, zanim upadła, był złowrogi blask kuźniczego ognia na metrze alchemicznej stali wystającej z piersi przebitego przez wojskowego klakiera doktora Euwe.

Ostatnim zaś, co usłyszała, był miarowy stukot zbliżających się metalowych kopyt.

Ostatnim, co poczuła, było drżenie ziemi tuż pod jej przyciśniętą do placu twarzą, jakby stąpał po niej dopiero co przebudzony gigant.

i potrzaskane kafelki. Krzyknęła za szybko oddalającymi się tylnymi kopytami mechanicznego:

– Ty pierdolony żartownisiu!

*

Daniel nie mógł dostrzec, co planuje Mab, ale wyczuwał to, szczególnie ruchy jej ostrza przecinającego epoksydowy kokon i wbijającego się w ścianę. Pojął, że korzysta z niego jak z karabińczyka, bo kiedy już znajdzie punkt podparcia, będzie mogła się wydostać z żywcicznej klatki bez ryzyka upadku. Następnie strąci Daniela niczym koń odganiający się ogonem od muchy. I to on spadnie.

Na chemicznym kokonie pojawiły się kolejne pęknięcia. Spróbował zebrać całą siłę, na jaką było stać jego uwięzione ramiona, aby ucześcić się mocniej szalonej despotki, lecz nie zrobiło to zauważalnej różnicy.

„Powiedz mi jedną rzecz. Tak cię zbudowano? Czy coś cię odmieniło?”, zapytał.

Odpowiedź Mab przypominała wygięcie się całego jej metalowego ciała, które zatrzęsło naruszonym już kokonem. Kawałki epoksydu odbiły się od ścian komory i spadły prosto do serca kuźni, gdzie wyparowały, jeszcze zanim dotknęły pierścieni i alchemicznego słońca. Daniel zacieśnił uchwyt.

„Sama się zbudowałam”.

„Nie pytałem o twoje ciało, ale o serce”.

Zwisając na wysuniętym ostrzu, wyswobodziła drugą rękę, umieściła dłoń pomiędzy nimi niczym płaską główkę śrubokręta i przekreśliła, odpychając się od niego.

„A czy ciebie zbudowano tchórzem? Czy może przeobraziłeś się w sympatyka ludzi? Jakim cudem stałeś się bojaźliwym popychadłem?”

„Nie mam pojęcia, czemu obdarzono mnie sumieniem, Mab, tak samo nie wiem, dlaczego ciebie pominął ten dar”.

Nad ich głowami rozległa się eksplozja, która rozniosła się po komorze kuźni niczym burzowy grzmot. Daniel zdołał się wykręcić w idealnym momencie, żeby zobaczyć, jak trzęsie się stryczek. Dwa zbiorniki z trucizną zostały zaklajstrowane epoksydem, a trzeci glut akurat przecinał powietrze.

„Czemu trucizna? Myślałem, że chcesz zniewolić ludzkość, nie ją wymordować”.

„A nie da się zrobić jednego i drugiego?”

Kuźnia zadrzała, rozeszło się długie, niskie skrzypnięcie.

Zewnętrzny pierścień ożył.

*

Anastazja nie zobaczyła uderzenia, które strąciło jej napastnika do kuźni. Jeszcze przed sekundą mechaniczny zgniatał jej nadgarstek, żeby zminimalizować krwawienie w jak najbrutalniejszy z możliwych sposobów, rozległ się trzask łamanych kości, targnął nią wstrząs, trysnęło krwią, poleciały kawałki chrząstki i ze zmasakrowanego ramienia uleciało życie.

Ostatnim, co zobaczyła, zanim upadła, był złowrogi blask kuźniczego ognia na metrze alchemicznej stali wystającej z piersi przebitego przez wojskowego klakiera doktora Euwe.

Ostatnim zaś, co usłyszała, był miarowy stukot zbliżających się metalowych kopyt.

Ostatnim, co poczuła, było drżenie ziemi tuż pod jej przyciśniętą do placu twarzą, jakby stapał po niej dopiero co przebudzony gigant.

*

Mechaniczni strzelcy przycupnięci na dachach Ridderzaalu zatkali zbiorniki z trucizną. Co prawda Zagubieni Chłopcy mogliby z łatwością zeszkrobać zaschniętą żywicę z kranika, ale musieliby wystawić się na cel. Dlatego, kiedy chemikalia przestały cieknać, dali sobie spokój z masowym mordem i przyłączyli się do nieco bardziej intymnego zabijania jeden na jednego.

Zagubieni Chłopcy i inne zbuntowane maszyny załazy Ridderzaal, zaczęły pełzać niczym karaluchy po murach bliźniaczych wież z zamiarem powstrzymania snajperów. Berenice wypatrzyła kilka towarzyszących jej podczas ekspedycji na pokładzie Griffona maszyn, które ratowały ludzi przed zabójczymi miazmatami, a teraz dołączyły do swoich, żeby przechwycić kontratak. Francuzka znalazła się nagle w samym środku ogłuszającego pandemonium, klakierzy raz po raz hałaśliwie ścierali się ze sobą. Do hałasu dołączył szum pierwszego i drugiego pierścienia armilarnego, które ruszyły po swoich orbitach. Każdy obrót generował mocne podmuchy, które razem z falami gorąca bijącymi od alchemicznego słońca szatkowały trującą mgłę, przyspieszając jej rozpraszanie. Ale nie dlatego Berenice nalegała na uruchomienie kuźni. Od pierścieni zależało wszystko inne.

Jeszcze nie obracał się ten wewnętrzny. Mechaniczni porozmieszczeni w kuźni trzymali go w rezerwie. Komora – jak i cały Binnenhof – zadrżała. Ogromny mechanizm nie został zaprojektowany z myślą o gwałtownym uruchomieniu, jak zresztą usiłowała jej to wytłumaczyć coraz bardziej piskliwym głosem Bell. Była to jednak ich ostatnia nadzieja. Jedyna faktyczna przewaga.

Klakierzy z Zachodniej Marsylii przyłączyli się do ekspedycji za obietnicę nauczenia się czegoś o sobie; nie rozumieli swojej natury. Berenice dostrzegła to również u Hugina i Munina, z którymi połączył ją tymczasowy sojusz. To wtedy udało jej się rozsupłać zasady rządzące alchemiczną gramatyką, dzięki czemu maszyny zajrzały w siebie głębiej niż do tej pory. I co ważne, nauczyły się odczytywać symbole wyryte na ich pancerzach. Nie było na świecie klakiera, który rozumiał swoją istotę, łącznie z Mab. Tykacze byli, jak uważała Berenice, podobni pod tym względem do ludzi. A przynajmniej starali się przekonać co do tego zegarmistrzów.

Dokuśtykała bliżej komory. Deszcz, krew i parujące mechaniczne części, nie wspominając nawet o drzeniu ziemi, sprawiały, że ciężko było utrzymać się pewnie na nogach. Berenice zazgrzytała zębami, usiłując jakoś wytłumić przytępiający zmysły ból nogi – nie potrafiąc jednak wyrzucić z głowy ciągłej obawy, że ktoś jej ją, kurwa, zetnie – i rozejrzała się za punktem obserwacyjnym.

Kiedy go znalazła, mało się nie rozpłakała.

Epoksydowy glut zatrzymał upadek Daniela, ale tylko chwilowo. Nawet najbardziej zaawansowane chemiczne substancje, jakie przetestowała Nowa Francja, mogły nie wytrzymać pod naporem takiej potworności jak Mab, a ich broń była naładowana byle jakim substytutem, jedynym, jaki udało się zsyntetyzować podczas pośpiesznej podróży. Metalowy faun wyłaził z czeluści,

korzystając ze swojego ostrza niczym alpinista z kilofu. Daniel nadal zwisał nad rozgrzanym jądrem kuźni z rękoma przylepionymi do bioder i lada chwila miał się znaleźć na tyle daleko od kopyt Nakręcacza, że Mab bez wysiłku będzie mogła wymierzyć mu kopniaka i strącić ze ściany. Razem z nim wyparują też resztki nadziei, nie zaznają już nigdy spokoju i ludzkość nie nawiąże dialogu z maszynami.

Berenice spojrzała przez ramię na Ridderzaal. Strzelcy nadal byli zajęci odpieraniem ataku.

– Kuźnia! – krzyknęła, machając i pokazując palcem na dół. – Chryste, niech ktoś tę sukę zalepi!

Próba przekrzywienia całego tego chaosu zachrypniętym ludzkim głosem przypominała sikanie do oceanu, ale jakimś cudem przybiegł do niej służący z Griffona, ten z wgiętym pancerzem, który skrzypiał przy każdym ruchu. Żałowała, że nie zapamiętała jego imienia.

– Spójrz! – wykrzyknęła. – Musimy się...

Maszyna cofnęła się i z rozbiegu przesadziła susem komorę kuźni, wylądowała tuż przed stryczkiem, przeturłała się bliżej miejsca, gdzie jak podejrzewała, miała wyleźć Mab. Zauważył ją Zagubiony.

– ...tam dostać.

„Dzięki za nic”.

Berenice człapała to na lewo, to na prawo, szukając drogi dojścia do stryczka. Nie potrafiła odróżnić przyjaznego mechanicznego od zabójcy. Poruszali się zbyt szybko, aby ludzkie oko potrafiło wyłapać subtelności konstrukcyjne.

„Opaski. Powinniśmy im byli rozdać opaski na ramię. No chuj”.

– Do diabła – zakląła Élodie, patrząc na zmagające się ze sobą maszyny.

Sierżant pojawiła się znikąd i sama wyglądała jak szatan. Z rany na jej skroni ciekła strużka krwi. Blizna, jaka zostanie po zszyciu tej rany i obłożeniu jej alchemicznymi bandażami, nie przyda jej końskiej twarzy atrakcyjności. Pancierz miała w wielu miejscach pogięty i popękany, a diamentowa końcówka kilofa odłamała się przy którymś z kolei ciosie.

Mab zdążyła wyleźć z paszczy kuźni i ucześcić się skrajem placu Huygensa. Zewnętrzne pierścienie sfery armilarnej już się rozkręciły, rzucały na ściany pomieszczenia jaskrawe refleksy świetlne, od których niechybnie dostałaby migreny, gdyby patrzyła dostatecznie długo. Póki co pośpiesznie wykonane modyfikacje jeszcze się nie rozpadły, a wykonany naprędce zacisk mocno trzymał wewnętrzny pierścień. Ale jeśli Daniel spadnie, niechybnie uderzy o któryś z pierścieni i choć kuźnia może przetrwać, nie było gwarancji, że jego nie zniesie prosto do serca piekielnego urządzenia. Zostałby zdeintegrowany w mgnieniu oka.

– Pomóż mi się tam dostać – powiedziała Berenice.

Élodie włożyła do ust dwa palce, nabrała do płuc powietrza, aż jej pierś napuchła, pole bitwy przeszył gwizd tak ostry, że musiała się podobnej sztuczki nauczyć od Hugona Longchampa. Ich tykający sojusznicy nie znali francuskiego, lecz potrafili interpretować pośpieszną gestykulację rozumianą pod każdą szerokością geograficzną:

„Spójrzcie na Daniela. Mamy przejebane. Zabierzcie tam tę kobietę”.

– Powodź...

Berenice nie usłyszała reszty, bo złapały ją za biodra metalowe dłonie. Usłyszała dźwięk pękających kości i dotkliwy ból w kulawej nodze rozlał się na połowę ciała. Maszyna rzuciła nią, Francuzka przeleciała nad szerokim otworem. Trajektoria lotu biegła wysoko nad sercem kuźni, ale nawet z tej odległości poczuła na twarzy ukłucie gorąca. Czas wydawał się rozciągać, aż przyszło jej na myśl, że lada chwila ta drapieżna, rozgrzana gęba pochwyci ją i pochłonie.

*

Mab była już niemal wolna. Kopła coraz silniej i celniej. Daniel z całą siłą nadwyrężonych zębatek i przekładni wyciągnął rękę i zaczepił palcami o zagłębienie w torsie okrutnej królowej. Rozejrzał się, szukając jeszcze jakiegoś punktu zaczepienia.

Nad otworem przeleciała kobieta.

Nie, to niemożliwe. To nie mogła być ona.

„Już spadłem, a gorąc odebrał mi rozum na moment przed tym, zanim pochłonął mnie żar”.

*

Berenice uderzyła o stryczek i przejechała spory kawał po ledwie ociosanym drewnie, drzazgi haratały jej skórę niczym kolce jeżozwierz. Ramię wydało z siebie chrzęst, a potem pyknięcie, po czym od razu przestało słuchać jej poleceń. Obolała, odkaszlnęła czymś kwaśnym, a złamany ząb palił jak nagrany gwóźdź wbity w jej szczękę. Jakoś jednak dotarła do najbliższego zbiornika i opierając się o niego, wyprostowała się, kiedy Mab akurat doczłapała się do stryczka. Zdawało jej się, bo patrzyła przez łzy, że potwornej maszyny uczeplił się Daniel. Zanim szalona despotka zdołała go z siebie zrzucić, Berenice ściągnęła na siebie jej uwagę i demonstracyjnie poprawiła sobie opaskę na oku.

– Chyba mnie szukałaś – powiedziała, lekko sepleniąc z powodu

nadkruszonego zęba.

– Zapewne mam przyjemność z Talleyrandem – odparła po francusku Mab. Mówiła płynnie, co nie powinno być dla Berenice zaskoczeniem, lecz była zbyt wystraszona i obolała, żeby nie dać po sobie poznać zdziwienia. – Czyli plotki o twoim ego nie były przesadzone.

Przez otwór przeleciał bolas wycelowany w plecy Mab, lecz rzucony ludzką ręką nie miał szans dotrzeć do celu. Broń spadła do kuźni, uderzyła o pierścień sfery armilarnej, co obwieścił donośny szczęk. Mab obejrzała się i schyliła, łapiąc Daniela za kark. Podniosła go i trzymała nad komorą.

– Puść go – powiedziała Berenice – a po paru sekundach wszyscy mechaniczni w tym mieście przestaną działać. Łącznie z tobą.

Mab zawahała się. Nie cisnęła Daniela do kuźni, ale też nie postawiła go na ziemi. Trzymała przed sobą, tak jak kota za sierść na karku.

– Cześć, Danielu – powiedziała do dyndającej maszyny. – Czyli wszystko idzie jak po maśle, co?

Służący zaczął się wyrywać, ale Mab potrząsnęła nim ostrzegawczo. Przestał.

– Po co tutaj przyszedłeś? – zapytał. – Nie wiesz, co ona planuje? Uciekaj, Berenice. UCIEKAJ!

– Prawdę mówiąc, nawet o pani nie myślałam, *madame* de Mornay-Périgord – odparła nieco poirytowana Mab – odkąd Ezekiel dostarczył mi swój raport.

„Ezekiel? Pewnie tak mówił na siebie Munin”.

– Choć dziękuję ci za błyskotliwą radę, abyśmy eksperymentowali na sobie, chcąc odszyfrować glify naszych stwórców – ciągnęła dalej. – Ba, poczułam nawet ukłucie wstydu, że sama nigdy na to nie wpadłam. Bez twoich badań nie moglibyśmy zbudować naszego słownika i cała reszta tego pięknego snu pozostałaby niczym innym jak pięknym snem.

Z Berenice uszły siły. Mab i Zagubieni Chłopcy potrzebowali logiczno-alchemicznej gramatyki, aby narzucić ofiarom operacji chirurgicznych *metageas*. Tak jak się obawiała, to ona podała im klucz, a na dodatek, nieświadomie, powiadomiła o istnieniu tajnej kopalni kwintesencji. Odkrywała te sekrety dla siebie, nie zdając sobie sprawy, że trafią one do uszu psychotycznej morderczyni.

– Czyli jestem ci winna dozgonną wdzięczność – mówiła Mab – ale szczerze mówiąc, zawsze byłaś obsesją Lilith, nie moją. Lecz skoro to ty tutaj jesteś, a nie ona, mniemam, że nie będę już musiała słuchać tego jej jójczenia. Za to również dziękuję. – Zamilkła na moment i przyjrzała się jej uważniej. – Nie pasuje ci ta fryzura, choć zaoszczędzi nam czasu, kiedy będziemy przewiercać ci makówkę.

Mab uniosła Daniela, gotowa rzucić go prosto do kuźni.

Berenice zsunęła opaskę. Na Mab, Daniela i zbiorniki padł akwamarynowy

blask.

– Lilith nie zniknęła całkowicie. Przepraszam, Danielu, wiem, że się przyjaźniliście.

Mab nic sobie nie robiła z lśnienia szkiełka, wydała z siebie dźwięk przypominający Berenice chrobot, jaki usłyszała na naradzie w Zachodniej Marsylii – mechaniczny śmiech. Teraz jednak pobrzmiwająca w jej głosie irytacja nie była już tak subtelna:

– I co chciałaś na tym ugrać?

– Jeszcze nic. Ale spójrz na pierścienie. – Mab odwróciła głowę. – Zauważyłaś coś?

Minęła dłuższa chwila, kiedy szalona despotka przyglądała się sferze, a scena ta wyglądała, jakby cała ta trójka znalazła się w jądrze cyklonu. Stryczek wydawał się jedynym spokojnym miejscem na placu, wokół nich rozgorzał chaos. Hażanie starali się brać nogi za pas, podczas gdy Zagubieni Chłopcy zmagali się z innymi klakierami i ich francuskimi sojusznikami.

– Czemu jeden się nie rusza? Co zrobiłaś?

– Ten wewnętrzny? Nadal nie dostrzegasz tego, o czym mówię. Przyjrzyj się bliżej.

Kryształowe oczy Mab szumiały i wirowały, ich ścianki rozbijały światło bijące z szyszynkowego szkiełka Lilith. Samozwańcza królowa przyglądała się zewnętrznym pierścieniom. Berenice nasłuchiwała klikania i szczękania, które mogłyby zasugerować zaskoczenie, ale niczego takiego nie usłyszała, choć tykający dialekt Mab i Zagubionych był nieco oderwany od tego, co nauczyła się rozumieć. Lecz jak miała nadzieję, chimeryczna klakierka nareszcie zauważyła zmodyfikowane symbole na pierścieniach i starała się je odczytać.

– Oszczędzę twój czas, Wasza Wysokość. Sekwencja nie będzie kompletna, póki nie ruszy ostatni pierścień. Ale kiedy to się stanie, gwarantuję ci, że czeka cię ciężki dzień. A zarazem ostatni.

Daniel nie mógł oczywiście śledzić prowadzonej po francusku rozmowy, lecz zauważył, że Berenice na coś pokazuje, a język ciała Mab wyraża lekkie niezdecydowanie.

– Co zrobiłaś, Berenice? – zapytał po holendersku.

Zamiast odpowiedzieć wyjęła z oczodołu błyszczące szkiełko, które wyszło z czaszki z mokrym plaśnięciem, bardziej to poczuł, niż usłyszał. Berenice z pewnością zrobiła to z ulgą, bo kamyczek nie był dopasowany, o czym świadczyła spływająca po policzku strużka krwi.

– Nie zastanawiałaś się nigdy, jak to się dzieje, że mechanizmy waszych wspaniałych ciał pozostają przez cały czas nakręcone, że nie tracicie energii, choć przez cały czas działacie na pełnych obrotach? Nie ciekawiło cię, czemu

nie zwalniamie, jak te pozbawione świadomości kieszonkowe zegarki, do których zegarmistrzowie zwykli was niesłusznie porównywać?

– Metafizyka mnie nudzi. A teraz przepraszam, mam mesjasza do zabicia – odparła Mab, mocno potrząsając Danielem, który nadal zwisał nad kuźnią.

– Proszę cię! – Berenice próbowała się roześmiać, udać, że jest pewna siebie, choć nie była. – Nie zrobisz tego teraz, kiedy trwa bitwa, bo wszyscy są zajęci i nikt nie patrzy. Poczekasz, aż skupisz na sobie uwagę całego miasta. Bo inaczej rozerwałabyś go na strzępy, jak tylko go pochwyciłaś.

– Oczywiście, że wolałabym to zrobić po mojemu – odparła Mab – ale kiedy trzeba, potrafię się dostosować. – Wyciągnęła rękę. – Liczy się to, że pozabawię świata tego oto Mosiężnego Jezusa.

Berenice stanęła obok niej, przyjmując taką samą pozycję. Trzymała świecące szkielek nad sercem kuźni. Jarzyło się teraz jeszcze intensywniej, jakby zasilane alchemicznym słońcem. Błysnęło raz jeszcze i znowu przygasło, gdy obracający się pierścień przysłonił gorejące jądro.

– Puść go – powiedziała – a ja puszczę to. Pomyśl o tym, jak o flarze sygnałowej. Kiedy zobaczą to klakierzy, których zostawiliśmy na dole, odblokują ostatni pierścień.

– I co się wtedy stanie? – zapytała Mab.

„Dobra, to ten moment, nie spierdol tego, nie spierdol, nie spierdol...”

– Aktywują się modyfikowane komendy, które zahamują ciągły pęd mechanicznych – kłamała jak z nut – czyli coś, dzięki czemu ty i cały twój gatunek sobie radośnie tykacie od czasu Het Wonderjaar. Ot tak, koniec. – Pstryknęła palcami, mając cholerną nadzieję, że wypada tak przekonująco, jak myśli. – Kilka sekund i wszyscy padniecie bez ruchu, łącznie z tobą i każdym mechanicznym, jaki stąpa po świecie, jak manekiny, którym przecięto sznurki.

Mab powoli postawiła Daniela na ziemi. Klakier wycofał się pod stryczek. Ale sadystyczna królowa nadal nie wydawała się przekonana co do prawdziwości gróźb Berenice.

– Nie wierzę ci. Gdybyś mówiła prawdę, już byś wydała rozkaz i pozbyła się nas wszystkich, akurat ty byś się nie zawahała. Może i nie pochwalasz moich metod, lecz ciągnie się za tobą opinia kobiety bezwzględnej, zapewne nieprzypadkowo.

– Ale my, Francuzi, nie jesteśmy masowymi mordercami. Całe stulecia staraliśmy się wyzwolić mechanicznych. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że część z was okaże się równie szalona, co skażony trutką szczur, lecz przemysłaliśmy wszystko dokładnie. Jeśli chodzi o tulipaniarzy, nadal nie pogodzili się z pomysłem, że tracą wszystkich służących i nigdy sami nie postawiliby takiego ultimatum. – Berenice chciała wzruszyć ramionami, lecz

kontuzjowany bark odmówił jej posłuszeństwa. – Uwierz mi, że niejednego musiałam docisnąć kolanem. Lecz, co Daniel może potwierdzić, potrafię być całkiem przekonująca.

Mab znowu chwyciła Daniela. Berenice potrząsnęła wyciągniętą nad komorą kuźni zaciśniętą pięścią, chcąc podkreślić, że nie żartuje.

– Nadal nie daję temu wiary – powiedział mechaniczny faun.

– A jednak jakaś część ciebie mi wierzy, bo puściłaś Daniela. Grozisz nam wyginięciem. Ja grożę ci tym samym.

– Słuszna uwaga – odparła Mab.

Zauważając coś, co tylko on widział lub czuł, Daniel zawołał:

– Berenice, na Boga, UCIEKAJ!

Mab wyrwała z miejsca. Była szybsza niż ludzkie zmysły, szybsza niż grawitacja. Fala uderzeniowa popchnęła Berenice do tyłu, przejechała kawałek po śliskich kafelkach. Wszystko działo się tak szybko, że kolejne zdarzenia wydawały się jej nieskładnym kolażem niepowiązanych impresji. Daniel wylatujący w powietrze, obracający się wokół własnej osi, wymachujący kończynami.

„Zwątpienie potrafi być poważną siłą”, pomyślała Berenice.

Stojąca nad nią Mab; metalowa, pozbawiona wyrazu twarzy, tuż przed jej oczyma.

Brak oddechu, cios, jakby muł kopnął ją w żołądek.

Metalowa pięść zamykająca się na jej dłoni niczym stalowa klatka, zanim zdołała rozprostować palce i wypuścić szklaną kulkę.

Nie, nie kopnięcie. Coś ostrego.

Mab wypowiadająca słowa:

– Poznam kłamstwo, kiedy je usłyszę. I wyobraź sobie, wiem, co nas napędza.

„Szkoda, że ja się nie dowiem. Bardzo bym chciała rozwikłać tę zagadkę”.

Mab odrzucająca ją na bok. Coś długiego i lśniącego wysuwającego się z jej piersi.

Ból. Okropny ból.

„Żałuję, że nie ma tu Hugona. Porównalibyśmy notatki”.

Szkarłatny ślad, jaki po sobie zostawiła, przeturlawszy się na drugi bok.

Daniel znajdujący się w najwyższym punkcie lotu, nad stryczkiem, trafiony epoksydowym glutem i opadający na drewnianą platformę. Przyklejony. Bezpieczny.

Kolejny strzał rozpryskuje się na pancerzu Mab. I następny. I jeszcze jeden.

Szalona despotka próbująca się wydostać z mazi.

Szereg Nakręcaczy przedzierających się przez ciżbę i oczyszczających sobie drogę ku drewnianej konstrukcji. Skakali nad przeszkodami niczym sportowcy

przez płotki.

Myśl, że jej gra na czas – „Jezu, kurwa, Chryste, ale boli!” – przyniosła rezultaty.

Przez minionych dziesięć lat Berenice często delectowała się myślą o swojej śmierci. Parę scenariuszy przewidywało udział Nakręcaczy, szczególnie te, w których odwiedzała kontrolowane przez nieprzyjaciela ziemie. Ale nigdy nie wyobrażała sobie, że kiedy zbliży się pora wydania z siebie ostatniego tchnienia, na widok oddziału kopytnych maszyn polecą jej z oczu łzy szczęścia.

Uśmiechnęła się, kiedy rozplątały ją na strzępy.

Chociaż raz coś poszło dokładnie tak, jak tego chciała.

EPILOG

Prawdę mówiąc, Paryż okazał się rozczarowaniem.

Jeśli dorastało się, słuchając opowieści o dawno utraconej Francji – a inaczej być nie mogło, bo i rodzice, i dziadkowie ciągle gadali o przeszłości, łącznie z jebanymi Kainem i Ablem – można by pomyśleć, że czasy przed Wygnaniem przypominały kolorowy sen, jakby dawna ojczyzna leżała zaraz obok rajskiego ogrodu. Podobne legendy krążyły w żyłach całego narodu. Nie wszyscy przyjmowali je bezkrytycznie, ale i tak czuli się zbudowani z mitu. Nawet Hugo Longchamp.

Lecz Francja – znaczy Stara Francja – nie była krainą mlekiem i miodem płynącą z tęczami wypływającymi z każdej ulicznej latarni, nektarem tryskającym z miejskiego akweduktu i darmowymi prostytutkami na rogu. Nie była wypucowana na błysk – jak miasta, na które padał długi cień Mosiężnego Tronu – i cuchnęła nie mniej niż oblężona twierdza, a kto jak kto, lecz Hugo Longchamp zdążył zapoznać się ze smrodami z piekielnej otchłani. Rzecz jasna założył, że po rewolcie tykaczy to czy tamto zostało rozpieprzone, ale, jak przynajmniej mówili, choć kryzys dobiegł końca, nadal nie załatwiono niektórych spraw, na czele z pozbieraniem śmieci z ulic i naprawą kanalizacji. A do poprawnego funkcjonowania infrastruktury miejskiej potrzeba było załatwić tysiące pomniejszych sprawunków, którymi od stuleci ludzie się nie zajmowali. Będzie musiało minąć jeszcze sporo czasu, zanim ludzie się pozbiorą i opanują dawne, zapomniane już umiejętności – jak samodzielne podtarcie sobie dupy.

Król Sébastien prócz licznej dworskiej świty przywiózł ze sobą również rolników, sadowników, specjalistów od hodowli bydła, nawet rybaków. Czekają ich parę chudych zim, nim opracują odpowiedni system, Europejczycy nauczą się pracy na roli, a ludzie przestaną umierać z głodu.

Choć zapewne i tak niektórzy padną.

Tulipaniarze byli miękcy i bez ikry. Longchamp postawiłby swoje lewe jajo, że niektórzy członkowie Rady Królewskiej wykazywali się większym zdecydowaniem podczas trójstronnych dyskusji. Znał zresztą kobietę, która podobną strategię negocjacji pochwalą. Pogładził spoconymi palcami szklaną kulkę i westchnął z zalem.

Jakże szybko ludzie zapominają. Z okolicznych pól pozbierano co prawda sporą część gruzu, ale oblężenie Zachodniej Marsylii pozostanie żywym wspomnieniem, nie mówiąc już nawet o ogromnej, paskudnej bliźnie, jaka

przeorała krajobraz. Może będzie musiało minąć jeszcze parę pokoleń. Nie sądził, żeby udało mu się dożyć dnia odbudowy miasta poza murami, musieli bowiem zacząć od fundamentu. Nie mogli też zdecydować, co zrobić z twierdzą. Czy powinni odbudować zewnętrzne fortyfikacje? Czy może lepiej zostawić je przeszłości? Już żadni tulipaniarze nie zaatakują cytadeli, dowodząc armią mechanicznych. Czy dzielne serce Nowej Francji należy zamknąć za grubymi murami? Czy może powinni rozprostować gnaty i żyć jak ich przodkowie.

Oczywiście sam fakt, że Holendrzy już ich nie kontrolowali, nie oznaczał, że tykacze nagle poznikali. Tak się przecież nie stało. Tylko Bóg i Święta Panienka mieli jakiegokolwiek pojęcie, ile maszyn kręciło się po lasach, rzecznych dolinach i zasypanych śniegiem preriach Nowego Świata. Mechaniczni raczej nikogo nie zaczepiali, a przynajmniej tak mówili ich lśniący reprezentanci. Masowe mordy na holenderskiej ludności ustały i nawet zniwiarze siedzieli cicho. Przynajmniej na razie. Nikt nie mógł zagwarantować, że stabilna sytuacja się utrzyma, nawet tykacze tacy jak Mosiężne Portki, którego, o ile Longchamp dobrze się orientował, namaszczone Jezusem, Rolandem i Świętym Mikołajem zarazem. Dlatego niektórzy upierali się przy tym, że mury są potrzebne. Na wszelki wypadek.

Wybuch kolejnej wojny wydawał się nieprawdopodobny i pewnie przez jakiś czas faktycznie nie było się czego obawiać. Ale ludzka natura pozostała specyficzna. Najlepsze, co mogli zrobić, to odwlekać nieuniknione tak długo, jak to możliwe, a jeśli się da, zrzucić ten ciężar na następne pokolenie. Ktoś musiał robić za głos rozsądku i wykorzystać swoje doświadczenie, aby przekrzyczeć pieniaczy z Rady. Dlatego też, kiedy te bezmózgie kutasiny zaproponowały, że Longchamp powinien awansować na marszałka generalnego Nowej Francji, nie powiedział im od razu, że powinni się odpierdolić i wygrzebać se hemoroidy żelaznym prętem.

Tak jak spora część delegacji, Longchamp nigdy nie postawił stopy poza swoim krajem, nie licząc młodzieńczych eskapad, kiedy tak jak zwykły czynić to dzieciaki, wyprawiał się po zmierzchu przez rzekę kraść jabłka albo nawet i szczać Holendrom do studni. Po kilku dniach król miał się udać do starej Marsylii. Podróż ta była pomysłem tulipaniarzy, gestem dobrej woli. Longchamp nie miał zamiaru przyłączać się do monarszej świty. Dość już się naoglądał.

Nie przybył wizytować utraconych niegdyś miast, nie przybył nawet na negocjacje pokojowe, choć była to niezła wymówka. Przybył na pogrzeb pierwszej wolnej od czasu Wygnania obywatelki Francji. Oddała życie za kraj i poświęciłaby znacznie więcej, żeby móc usiąść na ławeczce i patrzeć, jak realizuje się jej życiowy cel: król Francji przechadzający się po paryskim

bulwarze.

Bywała nieznośna i uparta, nie mówiąc już o pierdolonej zuchwałości, ale i tak miała motywację i wizję, których innym brakowało. I zawsze była dobrą przyjaciółką. Sporo jej zawdzięczał. Lekarze powiedzieli, że jest za słaby na długi rejs. Odparł, że przewioskuje na drugi brzeg pieprzonego oceanu, jeśli będzie musiał, ale przedtem zaprezentuje im szczegóły ludzkiej anatomii, o których nie nauczał żaden francuski uniwersytet medyczny.

Stał pod rozłożystym, rzucającym gęsty cień, ukwieconym drzewem orzechowym, na wysepce mniejszej niż Île de Vilmenon, nasłuchując bulgotania równie malutkiej rzeczki. Sekwana była na swój sposób urokliwa, ale nie mogła się równać ze Świętym Wawrzyńcem. Nic tu nie mogło się równać z domem. Francję utracono tak dawno, że jej dzieci lata temu się z tym pogodziły.

Jego rozmyślenia przerwało dudnienie dzwonu. Nowo odremontowany dzwon paryskiej katedry Notre Dame zatrzęsł miastem, wysepką, jego kośćmi i francuskim sercem. Wyczytał gdzieś, że Emmanuel, jak Ludwik XIV nazwał ten największy dzwon, został odlany jeszcze przed Wagnaniem, ale nie zdążono go zamontować. Aż do teraz.

Może nieuczciwie byłoby powiedzieć, że Stary Świat nie miał nic do zaoferowania. Kościoły były ładne. A może raczej kurewsko imponujące. Padał na kolana i odmawiał różaniec u Świętego Eustachego, Gerwazego i Protazego, a tego ranka pod dachem stojącej na wysepce kaplicy Sainte-Chapelle. Za każdym razem odejmowało mu dech. Otarł oczy i przeżegnał się, odmawiając modlitwę dziękczynną do Świętej Pani, że jemu, staremu grzesznikowi, przyszło zobaczyć takie rzeczy. Niezliczonym, lepszym od niego ludziom nie było to bowiem dane.

Dzwon darł się jeszcze przez dobre dziesięć albo i dwadzieścia uderzeń serca, zanim zawtórowały mu kolejne. Od tej pory bazylika Świętego Jana Chrzciciela w Marsylii Zachodniej zawsze będzie się Longchampowi wydawała maleńka i cicha. Ciężła mu ta myśl.

Za plecami usłyszał cichy zgrzyt zagrabionego żwiru pod podszewkami. Sierżant Élodie Chastain okrążyła ławeczkę, Longchamp dostrzegł ją kątem oka. Słońce pociągnęło jej niebieską sukienkę oszalałymi kobaltem.

– Marszałku? Już czas.

– Tak też myślałem.

Longchamp odwrócił się sztywno, sięgając po oparte o podłokietnik z kutego żelaza kule. Oparł się o nie i powstrzymując stęknienie, podciągnął się. Był to powolny i przynoszący dumnemu mężczyźnie niejaką ujmę proces, lecz Élodie znała go zbyt dobrze, aby proponować pomoc.

Już nigdy nie chwyci za młot czy kilof, ale nadal miał swe posępne

spojrzenie, cięty język i druty do dziergania. Czasem, z powodu, którego nigdy nie pojął, one same wystarczyły, aby co bardziej naiwni rodacy spoglądali na niego z zachwytem.

Kiedy już stanął na nogi, oparł jedną z kul o nogę i sięgnął do kieszeni, aby ponownie sprawdzić, że nie zgubił szklanego oka. Dobrze. Ruszył przed siebie. Élodie odchrząknęła i skinęła głową na leżącą na ławeczce ceremonialną laskę. Udawał, że po prostu o niej zapomniał, a ona, będąc idealnym sierżantem, udawała, że mu wierzy. Zatknął ją za pas.

– Dobrze, *ma jeune fille*[18]. Przed nami psalmy do zaśpiewania, bohaterowie do uczczenia, oceany do przebycia i miasta do odbudowania – powiedział, poprawiając uchwyt na kulach. – Bo, jak sama zapewne rozumiesz, tykacze sami się nie wystraszą.

*

Daniel stał w przedsionku i patrzył, jak ludzie wypełniają nawę. Król Francji siedział w pierwszym rzędzie, podobnie reprezentantka Świętej Gildii Horologicznej i Alchemicznej oraz najstarsi żyjący członkowie Rady Ministerialnej, która była jedyną ocalałą instytucją administracyjną na terenie byłych Prowincji Centralnych. Rozpoznał również delegacje Kri, Irokezów, Naskapi, Siuksów i Mikmaków. Francuzi wysłali zaproszenia i innym, lecz jak dotąd nie wypatrzył ani jednego Innuity spacerującego po Paryżu. Ale był przecież trochę zajęty.

Uczestnicy nazywali negocjacje pokojowe trójstronnymi, lecz sytuacja okazała się trochę bardziej skomplikowana. Holenderscy uchodźcy uciekający z dawnych Prowincji Centralnych szukali nowego życia za poszarpanymi granicami Nowych Niderlandów. Przeprowa przez ocean wymagała jednak wytrwałości, bo zajmowała o wiele dłużej niż kiedyś, poza tym, tak jak do setki innych rzeczy, musieli przywyknąć do stoczniowej harówki. Francuzi, co nie powinno zbytnio dziwić, odmówili pomocy. Ponadto ich przodkowie nie uznawali za stosowne traktować tubylczych plemion z Nowego Świata z uczciwością, uprzejmością i serdecznością, a pamięć o tych afrontach utrzyma się co najmniej parę pokoleń. Jeszcze przez długi czas nie zostaną nakreślone aktualne mapy, lecz już stało się pewne, że nikt nie pozwoli Holendrom osiedlić się na zachód od Appalachów i biada tym, którzy mimo wszystko tego spróbują.

Kościelne dzwony przytłumił nieco szum dostrajających się oczu Daniela. Tak jak się obawiał, na przodzie, pośród dygnitarzy, wypatrzył puste miejsce. Jego resory piórowe wydłużyły się i natychmiast skróciły. Mechaniczne westchnięcie. Niedługo będzie musiał do nich dołączyć.

Cóż, nie mógł mieć o to do Berenice pretensji. Ocalała mu przecież życie. I może, ale tylko może, wielu innym. Przez tych parę miesięcy, jakie minęły od wydarzeń w kuźni, z zaskoczeniem odkrył, że nawet mu tej Francuzki brakowało. Była mu sojuszniczką. A nawet, na swój sposób, przyjaciółką. Ale i tak nadal nie miał pojęcia, co powie. Nigdy nie przemawiał na niczym pogrzebie. Było mu wstyd, szczególnie zważywszy na to, ilu mechanicznych i ludzi przez niego zginęło, odkąd zdobył wolną wolę. I to przede wszystkim pamięć o nich skłoniła go do zarzucenia na swoje barki ciężaru, który podsunęli mu pozostali. Miał nadzieję, że kres tej długiej, paskudnej podróży da początek czemuś naprawdę cennemu.

Cichnące już dzwonięcie wpłynęło do każdego kąta katedry. Przestronna nawa wypełniła się szumem szurających stóp, dyskretnym pokaszliwaniem, prowadzonymi szeptem rozmowami i tykaniem setki mechanicznych. Jego pobratymcy stawili się licznie na nabożeństwie – nie mogli się doczekać pogrzebowej mowy – a chętni musieli ciągnąć losy, bo nie starczyło miejsca dla wszystkich.

Kolejne fale przepływały przez katedralne drzwi. Rozpoznał parę francuskich żołnierzy, kobieta towarzyszyła im na Griffonie, starszego oficera poznał podczas ostatnich chwil oblężenia Zachodniej Marsylii. Wtedy był postawnym mężczyzną umazanym popiołem i krwią, emanowały z niego złość i zmęczenie. Dzisiaj podpierał się kulami, jakby ciężar złotych epoletów przyginał go do ziemi. Marszałek również był przyjacielem Berenice. Skinęli sobie głowami, kiedy przechodził obok. Ludzie zazwyczaj nie potrafili odróżnić jednego mechanicznego od drugiego, ale nawet oni rozpoznawali Daniela. Nadal nosił uszkodzenia, jakich doznał podczas przerwanej egzekucji, na czele z odcisniętymi lekko dłońmi na ramionach. Skrzypiał, kiedy unosił ręce. Zawsze będzie.

Élodie odłączyła się od swoich i podeszła do niego.

– Nie zacznę bez ciebie – wyszeptwała.

Coraz lepiej mówił po francusku. Kiedy zrozumiał, że będzie musiał reprezentować swoich podczas negocjacji (rola ta przeszkadzała mu bardziej niż garść piachu rzucona do przekładni), podjął decyzję o nauczaniu się języka na takim poziomie, aby nie musiał korzystać z pomocy tłumacza.

– Jeszcze chwila – odparł.

– Jak idą rozmowy? – zapytała.

Odczekała chwilę, aż przejdzie do nawy szczególnie liczna grupa wiernych. Sądząc po ich wyglądzie, byli to zwyczajni obywatele. Przygarbiła ramiona, jakby tęskniła za ciężarem metalowego zbiornika zarzuconego na plecy.

– Proszę, powiedz mi, że nie będziemy musieli się stąd wyrwać szturmem.

Chodziło jej o Paryż. O Stary Świat.

– Nie sądzę – powiedział i mając świadomość, że żołnierka nie zna mechanicznego języka ciała tak dobrze jak Berenice, wzruszył ramionami po ludzku.

Szczęk wygiętego metalu przeszył katedrę, zagłuszając śpiewany przez chór psalm. Ludzie wygięli szyje, wyglądając za źródłem hałasu, szczególnie Holendrzy byli uczuleni na dźwięki wydawane przez nieznanomych mechanicznych. Podenerwowanie to udzielało się też szeregowym żołnierzom francuskim mimo tego, czego udało się dokonać ekspedycji Griffona.

Kiedy minęła niezręczna chwila, wyszeptał:

– Mamy już ogólny zarys, musimy teraz opracować szczegóły. Jeśli dopisze nam szczęście, nie zajmie nam to dłużej niż trwa ludzkie życie.

Spora część Hagi, ta otaczająca Wielką Kuźnię, miała zostać przekazana klakierom. Daniel i jego pobratymcy staną się tym samym obywatelami osobnego państwa i będą ich obowiązywały osobne zasady. Nosili je w tykających sercach, wolnych umysłach. Duszach. Dla niemalże nieśmiertelnych istot, które nigdy nie spały, nie jadły, nie odczuwały zimna i głodu, granice nie miały znaczenia. Ale ludzie przywiązywali do nich sporą wagę. Dlatego kuźnia miała się stać ich, z braku lepszej analogii, „stolicą”. Propozycję tę wzorowano na leżącym w obrębie Rzymu Watykanie.

Układ ten dawał mechanicznym kontrolę nad ich przeznaczeniem oraz pewność, że kuźnia nigdy już nie zostanie wykorzystana jako narzędzie opresji. Zniechęcało to również tych, którzy chcieliby spróbować przekuć zmyślny gambit Berenice na rzeczywisty plan i zlikwidować ciągły pęd, o ile było to w ogóle możliwe; sami zegarmistrzowie wydawali się co do tego podzieleni. Dostęp do kuźni dawał też mechanicznym możliwość reprodukcji, choć w sposób cokolwiek dziwny.

Ale wymagało to kwintesencji, a siły rządzące Nowym Światem – Francuzi i ich tubylczy sojusznicy – kontrolowali jej jedyne znane źródło. Ludzie skłonni byli podzielić się zdobyczą, ale tylko jeśli uda się utrzymać żniwiarzy i zbiegłych Zagubionych Chłopców, nadal przywiązanych do dogmatycznych doktryn Mab, z dala. Nikt nie chciał żyć w strachu przed mordercą.

Bodaj najtrudniejszym zadaniem rysującym się przed Danielem było przekonanie jego towarzyszy do skrzyknięcia się i wyłapania najniebezpieczniejszych przedstawicieli gatunku, co było sprzeczne z ich surowymi libertariańskimi ideałami. Ale niektóre maszyny dostrzegły w tym pewną mądrość i rozumiały, że wolna wola nie czyni świata czarno-białym. Byli też inni, po prostu wdzięczni za nadanie ich życiu szczytnego celu, w tym maszyny dzielące katolicki pogląd, że wolność i dusza są nierozłączne. Nie

chcieli oni plamić swoich ciężko wywalczonych dusz grzechem, lecz uważali, że ich obowiązkiem jest dogłębne dopiero rodzącego się, kruchej pokoji, koniecznego nie tylko po to, aby czynić dobro, ale i niezbędnego, żeby dostąpić zbawienia.

Akcja ta musiała objąć cały świat, dlatego porozmawiał z paroma mechanicznymi, którzy wyruszyli za ocean z królem. Po czterech dniach podróży obserwatorzy zauważyli daleko na horyzoncie przecinające fale olbrzymie statki. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co się stało z rozumnymi tytanami mórz. Marynarze, dla których opowiadanie niestworzonych historii to przecież chleb powszedni, utrzymywali, że potężne maszyny zebrały się na ciepłych wodach południowego Pacyfiku, tysiące lig od najbliższego brzegu, co mogło być prawdą. Albo i nie.

Nikt nie mógł tego ani potwierdzić, ani temu zaprzeczyć.

Któregoś dnia ktoś będzie musiał to sprawdzić, prawdopodobnie zanim tytani zaczną polować na ludzkie statki. Dopisał to do mentalnej listy zadań. Najwyżej znajdowała się ekspedycja do Nibylandii, gdzie chciał wyłuskać i wyzwolić maszyny nadal obłożone przez Mab *geas*. Ale to i tak był tylko element układanki. Ekipy złożone z ludzi i mechanicznych miały przez najbliższe lata przeczesywać świat i wyszukiwać ostatnich zakątków, gdzie jeszcze nie zdjęto *metageas*. Do tego pozostały jeszcze kryjówki Zagubionych Chłopców, którzy wciąż posiadali złowieszczą wiedzę i zachomikowali ogromną ilość niewykorzystanych szkiełek szyszynkowych...

Holendrzy nie mogli zaoferować wiele poza reparacjami dla Francuzów za zniszczenia dokonane podczas ostatniej wojny i za ziemie zagrabione przez przodków. I dla kościoła. Imperialne kufry były niemalże bezdenne, zgromadzone tam pieniądze miały zostać przeznaczone na pokrycie wszystkich zaplanowanych na kolejne dziesięciolecia prac, łącznie z licznymi ekspedycjami.

Oczywiście pobratymcy Daniela zażądali od swoich byłych państwa rozmaitych ekstrawaganckich reparacji. I otrzymali to, czego chcieli. Po pierwsze i najważniejsze, Gildia miała się zająć naprawami uszkodzonych mechanicznych, którzy tego chcieli. Daniel zdecydował się na zachowanie odcisku dłoni Mab na ramionach, ostatnia podróż odmieniła go bowiem znacząco i powrót do stanu, kiedy był znany jako Jax, wydawał mu się nieodpowiedni. Lecz maszynom chodziło nie tylko o zwyczajne naprawy, ale o dowiedzenie się, jak mogą to robić same. Nie wystarczały im podstawy codziennej konserwacji, pożywały specjalistycznej wiedzy o konstrukcji mechanizmu zegarowego i tajnikach jego działania. Chcieli odkryć sekrety swoich ciał, wyszkolić zupełnie nową klasę metalowych specjalistów od alchemii i horologii.

Ceną pokoju miało być ujawnienie klakierom wszystkich tajemnic Gildii. O ile Holendrzy przystaną na uzgodnione warunki i pozwolą na cykliczne inspekcje przeprowadzane przez mieszane grupy maszyn i francuskich urzędników obarczonych zadaniem wystawienia opinii, czy aby Gildia nie prowadzi nowych badań. Jeśli zegarmistrzowie nie będą kombinować, tykacze nie będą ich niepokoić. Nikt przecież nie wierzył, że Gildia faktycznie wyjawiała każdy najmniejszy dokument, jaki miała. Z drugiej strony, mechaniczni musieli wyrazić zgodę na regularne inspekcje ekip francuskich i holenderskich. Jak powiedział swoim pobratymcom sam Daniel, wszyscy skorzystają na tym, że opracowana przez Nadleśnictwo procedura chirurgiczna zostanie na zawsze zapomniana.

„Musimy wyłapać Zagubionych Chłopców. Musimy znaleźć te soczewki”.

Dzięki temu wszystko miało iść ku lepszemu. Czy to faktycznie, czy jedynie uznaniowo rozchodziło się o wyrównanie strat i rekompensaty.

Co zachęcające, część jego towarzyszy poprosiła francuski kontyngent o farby, barwniki i inne przybory, które pomogłyby im wyrazić swoją indywidualność. Daniel przedstawił im wyratowaną z ruin letniej posiadłości doktor Mornay. Chemiczka nadal drżała z podskórnego strachu, mając przed oczyma mechanicznego, ale on sam miał nadzieję, że zaintryguje ją samo wyzwanie opracowania składu farby zdolnej pokryć alchemiczny metal.

Szykują się iście fascynujące czasy...

– Za kilka dni wyruszam do starej Marsylii. – Choć mówiła szeptem, nie dało się nie wyłapać podekscytowania, jakim emanowała Élodie. – Dołączysz do nas?

Daniel, naśladując ludzki gest, pokręcił głową.

– Udaję się do Hagi – powiedział; lecz nie na kolejny pogrzeb, bo Anastazję Bell pochowano już przed paroma miesiącami i nie czuł się zobligowany do uczestnictwa w tym nabożeństwie. – Mam przyjaciół, niegdyś byli służącymi, chciałbym się dowiedzieć, co się z nimi stało. – Żołnierka pokiwała głową. Potrzeby społeczne nie ograniczały się do ludzi. – Potem popłynę do Nowego Amsterdamu. Chcę znaleźć swoich dawnych państwa.

Zdziwiona cofnęła się o krok.

– Nie sądziłam, że po tym wszystkim będziesz jeszcze chciał mieć z nimi do czynienia.

– Jeśli gdzieś tam są, jeśli przeżyli, być może posiadają informacje, których potrzebuję, żeby dotrzymać złożonej obietnicy. Jest, a raczej była, pewna rodzina, która pomogła mi, gdy szukałem drogi przez *ondergrondse grachten*. Zawdzięczam im coś.

Daniel odkrył, że taka obietnica pali trochę jak *geas*, choć nie odczuwa się fizycznego bólu. Nie mogła też zostać ot tak sobie zignorowana.

Przyszli ostatni goście. Zamknęły się drzwi.

– Lepiej znajdziemy nasze miejsca – powiedziała Élodie i po chwili milczenia zaoferowała mu swoje ramię. – To pogrzeb, a nie wiec polityczny. Ale... będzie to mocne przesłanie. Jeśli chcesz.

Dobrze było się zaśmiać. Nie robił tego często.

– *Mademoiselle* Chastain, mam nadzieję, że wszyscy wezmą z ciebie przykład.

Daniel wziął Élodie pod rękę i razem weszli do głównej nawy. Nadal nie mógł się zdecydować, jak najlepiej pożegnać Berenice.

Zdążył się już przekonać, że wolność to stawianie jednego małego kroczku za drugim.

PODZIĘKOWANIA

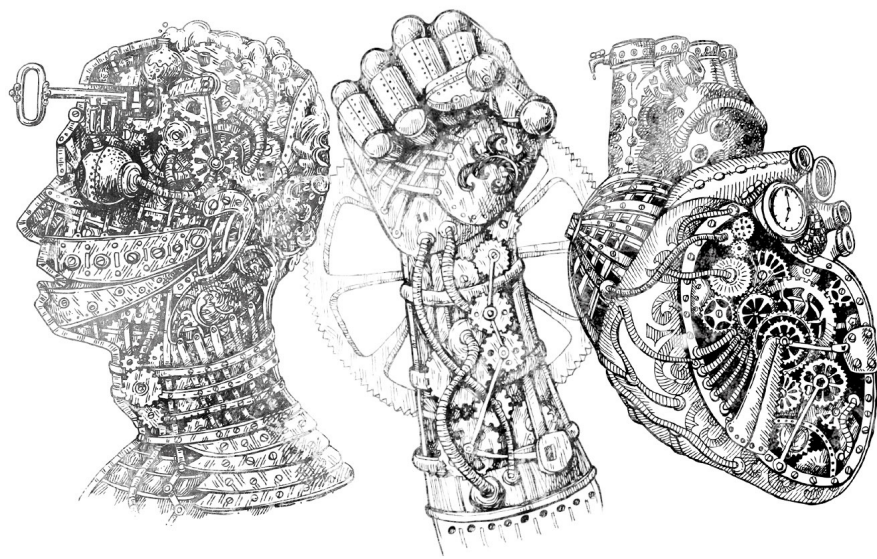
Jestem głęboko wdzięczny Howardowi Andrew Jonesowi za szczegółową lekturę pierwszego szkicu tej książki i cenne rady, których moja powieść potrzebowała. Dziękuję również dr Corry L. Lee za rzucony mimochodem komentarz, którego pewnie nawet nie pamięta, a który okazał się dla mnie niezwykle cenny. Raz jeszcze dziękuję Tiemanowi Zwaanowi za konsultacje językowe.

Tajemnicze tło *Wojen alchemicznych* zostało zainspirowane i rozpisane w dużej mierze na podstawie niesamowitych badań dr Betty Jo Teeter Dobbs, której wiedza na temat alchemicznych prac Newtona jest bezprecedensowa. Jeśli chcecie zajrzeć za kulisy tego świata, polecam jej publikacje, a szczególnie *The Foundations of Newton's Alchemy*.

Jak zawsze uważam się za niezwyklego szczęściarza, mając tak oddanych i życzliwych wielbicieli jak Kay McCauley i John Berlyne.

Podobnie zawstydzają mnie entuzjazm i oddanie, z jakim w wydawnictwie Orbit spotkała się każda strona *Wojen alchemicznych*. Książka od czasu wystukania na laptopie manuskryptu do chwili wystawienia jej na księgarskiej półce przebywa długą drogę i wymaga wysiłku wielu ludzi, którym z całego serca dziękuję, choć słyszeli to już wielokrotnie. Najbliżej pracowałem z Anną Jackson, Willem Hintonem, Lindsey Hall i Ellen Wright. Są świetni, podobnie jak redaktorzy i korektorzy, którzy niemało się natrudzili, żeby moje książki miały ręce i nogi.

Nie znajduję słów, jakimi mógłbym podziękować mojej kochającej żonie Sarze. Jej dobroduszość, mądrość i delikatne zachęty pomagały mi uporać się z myślą o spędzeniu kolejnego wieczoru przy klawiaturze.



[1] Dziękuję bardzo.

[2] Tylko ty.

[3] Niech spoczywa w pokoju Klemens XI.

[4] W czasach Pepysa mówiło się na nie „holenderskie łyzy”.

[5] Hipotezę o istnieniu Praxis wywiedziono na podstawie odniesień do tegoż eseju znalezionych w innych pracach Newtona, a także pojedynczej wzmianki na temat N, PRX w nieopublikowanych dotąd notatkach Christiaana Huygensa. Manuskrypt, jeśli kiedykolwiek istniał, zaginął, jak się podejrzewa, mniej więcej w latach 1674–1676.

[6] Święte imię Pańskie.

[7] Rzeźnia.

[8] Dosłownie „gońcy leśni”; określenie myśliwych i traperów francuskich w XVII i XVIII wieku eksplorujących tereny Stanów Zjednoczonych i Kanady.

[9] Czy mówisz po francusku?

[10] Tak.

[11] Jak się nazywasz?

[12] Ratuń mnie!

[13] Zabij mnie. Proszę! ZABIJ!

[14] Przeciwnie.

[15] Cytat za: Biblia Tysiąclecia, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002 (przyp. tłum.).

[16] Tłum. Bartosz Czartoryski.

[17] I ty.

[18] Moja dziewczynko.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Część I. Służący i panowie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Część II. Jak przez mętne zwierciadło

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Część III. Zegarmistrzowie kłamią

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Epilog

Podziękowania

Strona redakcyjna

The Liberation. The Alchemy Wars: Book Three

Copyright © 2016 by Ian Tregillis

Excerpt from Wake of Vultures copyright © 2015 by D.S. Dawson

Published in agreement with Zeno Literary Agency, UK and Book/lab Literary Agency, Poland

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Copyright © for the Polish translation Bartosz Czartoryski 2017

Redakcja – Marta Pustuła

Korekta – Aneta Wieczorek / Editor.net.pl

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafiki na okładce – Margarita Tkachenko

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.











Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-8129-057-9

ISBN MOBI: 978-83-8129-058-6

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  313 [Discipulus est prioris posterior dies](#)

SQLN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

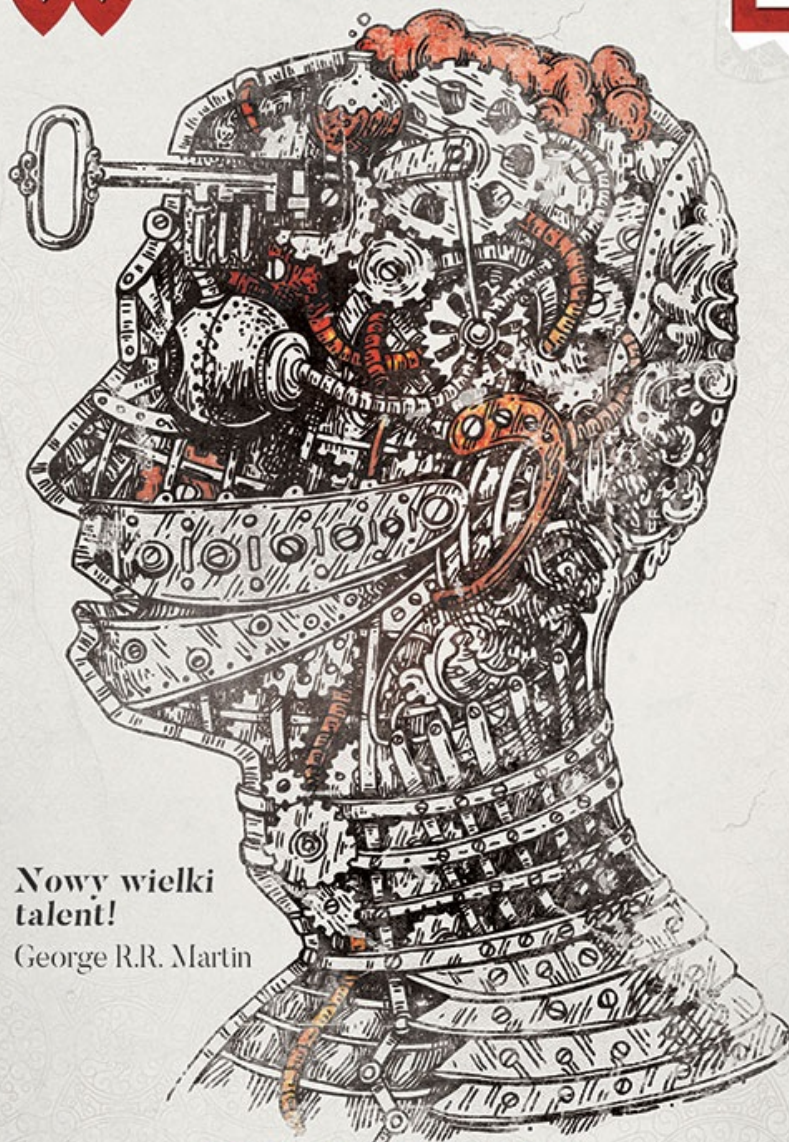
Bądź na bieżąco, śledź nas na:

 WydawnictwoSQLN
 SQLNPublishing
 wydawnictwosqn
 wydawnictwosqn
 WydawnictwoSQLN
www.wsqn.pl



WOJNY ALCHEMICZNE

WYZWOLENIĘ



Nowy wielki
talent!
George R.R. Martin

IAN TREGILLIS

SON
imaginatio